

ROBERT LUDLUM

Transakcja Rhinemanna

Przełożył: Arkadiusz Nakoniecznik

Data wydania oryginalnego 1974

Data wydania polskiego 1990

Transakcja Rhinemanna

Przełożył: Arkadiusz Nakoniecznik

Data wydania oryginalnego 1974

Data wydania polskiego 1990

WSTĘP

20 marca 1944, Waszyngton, D. C.

- Dawid?

Dziewczyna weszła do pokoju i przez chwilę patrzyła w milczeniu na wysokiego oficera, stojącego przy oknie hotelowym. Padał zimny, mroźny deszcz, tworząc na waszyngtońskim niebie zacieki z wiatru i mgły.

Spaulding odwrócił się świadom jej obecności, choć nie usłyszał ani słowa.

- Przepraszam, mówiłaś coś?

Zauważył, że kobieta trzyma jego płaszcz przeciwdeszczowy. Stwierdził też troskę w jej oczach... i strach, który starała się ukryć.

- Już po wszystkim - powiedziała cicho.

- Już po wszystkim - powtórzył. - A raczej będzie po wszystkim, za jakąś godzinę.

- Czy oni tam będą w komplecie? - zapytała, zbliżając się do niego z wyciągniętym przed siebie płaszczem, tak jakby to była tarcza.

- Owszem. Nie mają wyboru. Ja zresztą też. Lewe ramię Spauldinga było zabandażowane, ręka zaś spoczywała pod marynarką na szerokim czarnym temblaku. - Czy możesz mi pomóc? Deszcz nadal pada bez ustanku.

Jean Cameron ociągając się podała mu płaszcz.

Zatrzymała się w pół kroku, spoglądając na kołnierz jego wojskowej koszuli, a następnie na naramienniki munduru. Wszelkie dystynkcje zostały z nich usunięte. Pozostały po nich tylko wyblakłe ślady.

Ani stopnia wojskowego, ani też oznak przynależności do określonego rodzaju broni.

Nie było nawet złożonych inicjałów kraju, któremu służył.

Służył do tej pory.

Zauważył jej spojrzenie.

- Właśnie tak zaczynałem - powiedział cicho. - Bez nazwiska, bez stopnia, bez przeszłości. Tylko numer i litera. Chcę, żeby o tym pamiętano.

Dziewczyna stała bez ruchu, ściskając płaszcz w dłoniach.

- Zabiją cię, Dawidzie - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

- Tego na pewno nie zrobią - odparł spokojnie. - Nie będzie żadnych zabójców, wypadków ani też nagłych rozkazów przenoszących mnie do Birmy albo do Dar es-Salaam.

To już skończone. Nie mogą dowiedzieć się o tym, co zrobiłem.

Uśmiechnął się łagodnie i dotknął jej twarzy. Jej cudownej twarzy. Westchnęła głęboko, starając się zachować spokój, którego bynajmniej nie czuła. Ostrożnie założyła mu płaszcz na lewe ramię, a on tymczasem sięgnął ręką do prawego rękawa. Przytuliła na chwilę twarz do jego pleców. Poczł lekkie drżenie w jej głosie.

- Nie będę się bała. Obiecałam ci.

Wyszedł przez szklane drzwi hotelu Shoreham i skłonił głowę w kierunku stojącego pod daszkiem odzwierneego. Nie chciał taksówki, potrzebował spaceru. Długiego spaceru, żeby zdążyły wypalić się do końca dogasające w nim płomienie wściekłości. Byłaby to ostatnia godzina w jego życiu, kiedy ma na sobie mundur.

Mundur bez dystynkcji, bez znaków rozpoznawczych.

Wszedłby przez podwójne drzwi do gmachu Ministerstwa Wojny i podałby swoje nazwisko żandarmowi.

Dawid Spaulding.

Nic więcej nie powie, to wystarczy. Nikt nie będzie próbował go zatrzymać i przeszkadzać mu.

Bezimienni dowódcy, noszący jedynie wydziałowe znaki rozpoznawcze, wydadzą rozkazy, które pozwolą mu przejść szarymi korytarzami aż do niczym nie oznaczonych drzwi pewnego pokoju.

Rozkazy będą pozostawione przy stanowisku służby bezpieczeństwa dlatego, że wcześniej został wydany inny rozkaz, którego źródła nie sposób ustalić, samego rozkazu zaś nikt nie rozumiał.

W każdym razie tak stwierdzą. Ze wściekłością.

Ale ta wściekłość nie może równać się z jego gniewem.

Bezimienni dowódcy również zdawali sobie z tego sprawę.

W nie oznakowanym pokoju będą na niego czekali ludzie o nazwiskach, które jeszcze kilka miesięcy temu nie miały dla niego żadnego znaczenia. O nazwiskach, które obecnie stanowiły dla niego symbol tak potwornego fałszu, że kiedy to sobie uświadomił, zaczął

całkiem poważnie obawiać się o stan swojego umysłu.

Howard Oliver.

Jonathan Craft.

Walter Kendall.

Same nazwiska brzmiały zupełnie niewinnie. Mogły należeć do kogokolwiek z setek tysięcy ludzi. Było w nich coś tak amerykańskiego...

A mimo to te nazwiska, ci ludzie doprowadzili go niemal do szaleństwa.

Będą na niego czekać w nie oznakowanym pokoju, a on przypomni im o tych, których tam zabraknie.

Erich Rhinemann, Buenos Aires.

Alan Swanson, Waszyngton.

Franz Altmüller, Berlin.

Inne symbole. Inne skojarzenia...

Otchłań fałszu, w którą został wciągnięty przez... wrogów.

Jak to się stało, na Boga?

Jak to w ogóle mogło się stać?

Ale rzeczywiście stało się. A on spisał wszystkie fakty, które zdołał poznać.

Spisał je i umieścił... ów dokument w teczce, zdeponowanej w skrytce bankowej w Kolorado.

Nikomiu nie uda się do niej dotrzeć. Pozostanie zamknięta pod ziemią na tysiąc lat...

bo tak będzie lepiej.

Chyba że ludzie, czekający na niego w nie oznakowanym pokoju, zmuszą go, aby postąpił inaczej.

Jeśli tak się stanie... jeśli go zmuszą... to odporność milionów ludzi zostanie wystawiona na próbę. Powszechna odraza nie będzie znała ani granic, ani interesów jakiegokolwiek plemienia na świecie.

Przywódcy staną się pariasami.

Takimi, jak on jest teraz.

Numer, a po nim litera.

Stał przed schodami prowadzącymi do Ministerstwa Wojny; ciemne, kamienne kolumny przestały mu się kojarzyć z niezwyciężoną potęgą, tylko z jasnobrązową cementową zaprawą.

To nie miało już znaczenia.

Przeszedł przez podwójne drzwi i stanął przed stanowiskiem służby bezpieczeństwa, gdzie znajdował się podpułkownik w średnim wieku, w towarzystwie dwóch sierżantów.

- Spaulding, Dawid - powiedział po cichu.

- Pańskie dokumenty... - Podpułkownik zerknął na naramienniki płaszcza, a potem na kołnierzyk. - ...Spaulding.

- Nazywam się Dawid Spaulding. Pochodzę z Fairfax - powtórzył Dawid nie podnosząc głosu. - Sprawdź w papierach, żołnierzu.

Podpułkownik podniósł raptownie głowę, mierząc go gniewnym spojrzeniem, ale w miarę, jak spoglądał na Spauldinga stopniowo zaczęło ogarniać go zdumienie. To bowiem, co usłyszał, nie było powiedziane ani ostro, ani nawet niegrzecznie, tylko całkiem zwyczajnie.

Stojący po jego lewej stronie sierżant bez słowa wskazał na papier leżący na biurku przed oficerem. Podpułkownik spojrzał w tym kierunku.

Zerknął jeszcze raz na Dawida i skinął przyzwalająco ręką.

Idąc przez szare korytarze, z płaszczem przewieszonym przez ramię, Spaulding czuł

na sobie dziesiątki spojrzeń, lustrujących zwłaszcza mundur pozbawiony wszelkich dystynkcji i znaków rozpoznawczych. Kilka osób z wahaniem oddało mu honory.

Nie zareagował.

Mijani mężczyźni oglądali się za nim, inni zaś wychylali się z otwartych drzwi.

To ten... oficer, mówiły ich spojrzenia. Dotarły do nich plotki, powtarzane szeptem w najdalszych kątach. To on.

Wydano rozkaz...

Oto ten człowiek.

PROLOG

8 września 1939, Nowy Jork

Dwaj oficerowie w nienagannie odprasowanych mundurach, bez czapek, obserwowali grupę dowolnie ubranych mężczyzn i kobiet znajdującą się po drugiej stronie szklanego przepierzenia. Pokój, w którym siedzieli oficerowie, był pogrążony w ciemności.

Zapaliło się czerwone światło i z głośników umieszczonych po obu stronach szklanej tafli, stanowiącej jedną ścianę zaciemnionego pomieszczenia, rozległy się dźwięki organów.

W chwilę potem dołączyło do nich szczekanie wielkich, krwiożerczych psów, a następnie, na tle tych połączonych dźwięków, zabrzmiał głęboki, czysty, posępny głos: **Gdziekolwiek czai się szaleństwo, gdziekolwiek słyhać bezsilne zawodzenie, tam z pewnością dostrzeżecie wysoką, ukrytą w cieniu postać Jonathana Tyne'a, czekającego tylko na sposobność, by zewrzeć się w boju z mocami piekielnymi, widzialnymi i niewidzialnymi...**

Nagle rozległ się przeraźliwy, świdrujący w uszach krzyk. Aaaach! Korpulentna kobieta mrugnęła do niskiego mężczyzny w grubych okularach czytającego tekst z kartki maszynopisu i żując bez przerwy gumę odeszła od mikrofonu.

Donośny głos ciągnął dalej:

Dziś wieczorem będziemy świadkami, jak Jonathan Tyne przyjdzie z pomocą przerażonej lady Ashcroft, której mąż zniknął na zamglonych szkockich grzędawiskach dokładnie o północy przed trzema tygodniami. Co dnia, o północy, nad pogrążonymi w mroku polami rozlega się wycie bezpańskich psów. Wydają się one szczekać na człowieka, który skrada się

niepostrzeżenie w ogarniającej wszystko mgle. Jonathan Tyne, tropiciel zła, nemesis Lucyfera, wybawiciel bezsilnych więźniów ciemności...

Dźwięki organów przybrały ponownie na sile, a ujadanie psów stało się jeszcze bardziej złowieszcze.

Starszy oficer, pułkownik, spojrzał na swego towarzysza, porucznika. Młodszy mężczyzna wpatrywał się z zatroskaną miną w grupę zachowujących się nonszalancko aktorów, znajdujących się w oświetlonym studio.

Pułkownik skrzywił się.

- Interesujące, nieprawdaż? - zapytał.

- Co proszę? Ach, tak, sir. Nawet bardzo interesujące... Który to?

- Ten wysoki facet, w rogu. Czyta teraz gazetę.

- Czy to on gra Tyne'a?

- On? Nie, poruczniku. Ma jakąś rolę. Coś mówi w którymś z hiszpańskich dialektów, zdaje się.

- Małą rolę w hiszpańskim dialekcie... - Porucznik powtórzył słowa pułkownika z nutą wahania w głosie i ze zdziwionym spojrzeniem. - Proszę mi wybaczyć, sir, ale nic z tego nie rozumiem. Nie wiem, co my tu robimy ani też, co on tu robi? Sądziłem, że jest inżynierem budowlanym.

- Bo jest.

Muzyka organowa przycichła do pianissimo, a ujadanie psów umilkło w oddali. Z

głośników rozległ się inny głos - bardziej aksamitny, cieplejszy, niczym nie zwiastujący niczym nadciągającego dramatu.

Pielgrzym. Mydło, które pachnie jak majowe kwiaty. Mydło o zapachu majowym. Dzięki Pielgrzymowi słuchacie kolejnych przygód Jonathana Tyne'a.

Otworzyły się grube, wyłożone dźwiękochłonnym materiałem drzwi i do pogrążonego w ciemności pomieszczenia wszedł wyprostowany, łysiejący mężczyzna, ubrany w tradycyjny garnitur wizytowy. Wyciągnął prawą dłoń do pułkownika, a w lewej trzymał szarą kopertę.

- Witaj, Ed - powiedział cicho, ale nie szeptem. - Miło, że cię znowu widzę. Nie muszę chyba ci mówić, że twój telefon trochę mnie zaskoczył.

- Też tak myślę. Jak się masz, Jack. Poruczniku, to pan John Ryan, jeszcze jakiś czas temu major John Ryan z Szóstego Korpusu.

Oficer uniósł się z miejsca.

- Proszę usiąść, poruczniku - powiedział Ryan, uściśnawszy jego dłoń.

- Miło mi pana poznać. Dziękuję panu.

Ryan obszedł rząd czarnych skórzanych foteli i usiadł obok pułkownika, tuż przed szklaną ścianą działową. Muzyka organowa przybrała ponownie na sile, podobnie jak przeraźliwe wycie psów. Kilkoro aktorów zgromadziło się wokół dwóch mikrofonów i patrzyło na mężczyznę znajdującego się w innym, także oddzielnym szklaną ścianą, ale oświetlonym pomieszczeniu po drugiej stronie studia.

- Co słyszeć u Jane i dzieci? - zapytał Ryan.

- Nienawidzi Waszyngtonu, podobnie jak jej syn. Obydwoje najchętniej wróciliby do Oahu. Ale Cynthii bardzo tu się podoba. Ma osiemnaście lat, lubi te wszystkie potańcówki w stolicy...

Mężczyzna z oświetlonego pomieszczenia po przeciwnej stronie studia dał znak ręką i aktorzy rozpoczęli dialog.

- A ty? - kontynuował Ryan. - Waszyngton wygląda ładnie na liście przeniesień.

- Przypuszczam, że tak, ale to dla mnie mała pociecha, bo i tak nikt nie wie, że tutaj jestem.

- Naprawdę?

- G-2. A ty wyglądasz kwitnąco, Jack.

- Wiem. - Ryan uśmiechnął się z zażenowaniem. - Ale to nie moja zasługa. W firmie jest co najmniej dziesięciu facetów, którzy mogliby robić to samo, co ja, tyle tylko, że...

lepiej. Niestety, nie potrafią oddać tego w swoich opracowaniach. Stałem się symbolem firmy, jej ośrodkiem i czynnikiem spajającym. Klienci już się do tego przyzwyczaili.

Pułkownik roześmiał się.

- Gówno prawda. Zawsze potrafiłeś sobie radzić. Nawet przełożeni zazwyczaj kierowali kongresmanów właśnie do ciebie.

- Pochlebiasz mi. W każdym razie wydaje mi się, że mi pochlebiasz.

- Aaaa! - Pulchna aktorka, nie przestając ani na chwilę żuć gumy, wrzasnęła do drugiego mikrofonu.

Cofnęła się, potrącając po drodze szczupłego aktora o zniewieściałym wyglądzie, który szykował się właśnie do wypowiedzenia swojej kwestii.

- Sporo tu krzyku, prawda? - W ustach pułkownika wcale nie zabrzmiało to jak pytanie.

- I szczekanie psów, i dźwięki rozstrojonych organów, i tyle jęków oraz chrapliwych oddechów. „Tyne” to nasz najbardziej popularny program.

- Przyznam się, że go słucham. Tak jak cała rodzina, odkąd tu powróciliśmy.

- Nie uwierzyłbyś, gdybym powiedział ci, kto pisze większość scenariuszy.

- Czyżby?

- Pewien poeta, który zdobył nagrodę Pulitzera. Pod pseudonimem, rzecz jasna.

- To raczej dziwne.

- Bynajmniej. Instynkt samozachowawczy. My płacimy, a za poezję dostaje się niewiele pieniędzy.

- Czy dlatego i on tu jest? - Pułkownik skinął głową w kierunku wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, który tymczasem odłożył już gazetę, ale cały czas stał w rogu studia, z daleka od innych aktorów, opierając się o ścianę wyłożoną białą wykładziną.

- Diabli wiedzą. Nie miałem pojęcia, kto to jest - to znaczy wiedziałem, „kto jest kto”, ale nic o nim nie wiedziałem, dopóki nie zadzwoniłeś. - Ryan wręczył pułkownikowi szarą kopertę. - Oto lista przedstawień i słuchowisk, w których brał udział, i firm, dla których pracował. Zadzwoniłem tu i ówdzie, dając do zrozumienia, że chcemy zaangażować go do jakiejś większej roli. Hammertsi... często korzystają z niego.

- Kto?

- To hurtownicy. Mają około piętnastu programów: seriale i wieczorne programy rozrywkowe. Twierdzą, że jest solidny, żadnych problemów z nadużywaniem. Zdaje się, że korzystają z niego głównie ze względu na języki. Biegłość językowa, jak się powiada.

- Niemiecki i hiszpański. - Stwierdzenie.

- Zgadza się.

- Tylko że to nie hiszpański, lecz portugalski.

- Kto to odróżni? Wiesz przecież, kim są jego rodzice.

- Richard i Margo Spaulding. Pianiści, bardzo znani w Anglii i w Europie. Obecnie na częściowej

emeryturze w Costa del Santiago, w Portugalii.

- Ale są Amerykanami, prawda?

- Jak najbardziej. Dopilnowali, żeby ich syn urodził się tutaj, i wszędzie, gdzie mieszkali, posyłali go do amerykańskich szkół, a na ostatnie dwa lata szkoły średniej i do college'u przysłali go do Stanów.

- Więc skąd się wzięła ta Portugalia?

- Kto to może wiedzieć? Pierwsze swoje sukcesy odnieśli w Europie i postanowili tam zostać. Sądzę, że powinniśmy być im za to wdzięczni. Przyjeżdżają tu tylko na koncerty, ostatnio coraz rzadziej. Czy wiedziałeś, że on jest inżynierem budowlanym?

- Nie. Nie wiedziałem. To interesujące.

- „Interesujące”? Nic więcej?

Ryan uśmiechnął się i w jego oczach pojawił się cień smutku.

- No, w ciągu ostatnich sześciu lat niewiele się budowało, prawda? Nie ma specjalnego zapotrzebowania na inżynierów, jeśli nie liczyć Cywilnego Korpusu Konserwacji i Biura Odbudowy Narodowej. - Wyciągnął prawą rękę i zatoczył nią koło, obejmując tym gestem ludzi zgromadzonych w studiu. - Wiesz, kto tam jest? Adwokat, którego klienci -

jeżeli w ogóle uda mu się ich znaleźć - nie mają mu z czego zapłacić. Urzędnik z Rolls-Royce'a, bezrobotny od trzydziestego ósmego. Niedysiejszy senator stanowy, którego kampania wyborcza sprzed kilku lat kosztowała go nie tylko posadę, ale również wielu potencjalnych pracodawców. Ludzie myślą, że on jest czerwony. Nie wygłupiaj się, Ed.

Dobrze słyszałeś, kryzys jeszcze się nie skończył. Ci ludzie mieli szczęście, bo znaleźli sobie uboczne zajęcie, które z czasem stało się ich główną pracą.

- Jeżeli uda mi się wykonać moje zadanie, to jego kariera nie potrwa już nawet miesiąca.

- Domyśliłem się, że o to chodzi. Nadciąga burza, prawda? Wkrótce i my się w niej znajdziemy. Pewnie ja też powrócę... Gdzie chcesz go wykorzystać?

- W Lizbonie.

Dawid Spaulding odsunął się od białej ściany studia, wygładził kartkę ze swoją kwestią i ruszył w kierunku mikrofonu, szykując się do swego kawałka.

Pace przyglądał mu się z drugiej strony szklanej ściany, zastanawiając się, jak zabrzmiał głos Spauldinga. Zwrócił uwagę, że gdy Spaulding zbliżył się do grupy aktorów skupionych wokół mikrofonu, nastąpiło świadome, czy też pozorowane świadome rozejście się tej grupy, zupełnie tak,

jak gdyby nowy uczestnik był jakoś dla nich obcy, jakby zgromadzeni tam aktorzy celowo odsunęli się od niego, wyczuwając w nim obcość. Może była to zwykła uprzejmość, pozwalająca nowemu wykonawcy zająć wygodne miejsce, ale pułkownik był

innego zdania. Świadczące o zażyłości uśmiechy i spojrzenia, wymieniane między pozostałymi aktorami, nie były kierowane do Spauldinga.

Nikt nie mrugnął doń porozumiewawczo. Nawet korpulentna kobieta, która wrzeszczała, żuła gumę i poszturchiwała swoich kolegów, stała teraz bez ruchu i spoglądała na Spauldinga zapomniawszy na chwilę nawet o gumie do żucia trzymanej w ustach. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

Spaulding uśmiechnął się i wszyscy, nawet szczupły, zniewieściał mężczyzna, znajdujący się w połowie monologu, odpowiedzieli uśmiechem. Otyła kobieta mrugnęła.

Dziwne, pomyślał pułkownik Pace.

Z głośników rozległ się głos Spauldinga, niezbyt głęboki, donośny, o silnym akcencie.

Rola zwariowanego lekarza, którą odtwarzał, miała wiele akcentów komediowych. Właściwie byłaby ona komiczna, pomyślał Pace, gdyby nie powaga, z jaką Spaulding wypowiadał swoją kwestię. Pace nie znał się na aktorstwie, ale potrafił odróżnić, czy ktoś jest przekonujący czy nie. Spaulding był przekonujący.

Będzie mu to potrzebne w Lizbonie.

Po kilku minutach Spaulding zakończył swoją kwestię. Korpulentna kobieta znowu wrzasnęła, a on wrócił do swego kąta, ostrożnie rozpostarł zmiętą gazetę, po czym wyjął z kieszeni ołówek i oparł się ponownie o ścianę. Najwyraźniej rozwiązywał krzyżówkę z „New York Timesa”.

Pace ani na moment nie spuszczał go z oka. Zawsze starał się dokładnie przyjrzeć tej osobie, z którą zamierzał nawiązać kontakt. Szczególną uwagę przywiązywał do drobnostek: sposobu chodzenia, trzymania głowy, pewności lub braku pewności spojrzenia, a także do ubrania, marki zegarka, spinek do mankietów, wypastowanych butów, stopnia starcia obcasów, stylu - lub jego braku - zachowania.

Pace usiłował ocenić człowieka opartego o ścianę i zajętego rozwiązywaniem krzyżówki, którego dossier znajdowało się w jego waszyngtońskim biurze.

Na pierwszy ślad Spauldinga natrafiono w aktach Wojskowego Korpusu Inżynierskiego. Dawid Spaulding zgłosił się tam... nie, nie jako ochotnik, tylko żeby dowiedzieć się o perspektywy służby. Jakie będzie miał możliwości? Czy są prowadzone jakieś interesujące prace budowlane? Jak długo miałby pozostać w Korpusie? Podobne pytania stawiały tysiące wykwalifikowanych ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że Ustawa o Rozszerzonym Obowiązku Służby Wojskowej zostanie uchwalona w ciągu najbliższego tygodnia lub dwóch. Jeżeli, zgłaszając się wcześniej, mogliby uzyskać skrócenie okresu służby lub możliwość pracy w wyuczonym zawodzie, to lepiej było się na to zdecydować, niż znaleźć później w tłumie rekrutów.

Spaulding wypełnił wszystkie potrzebne formularze i usłyszał, że wojsko się z nim skontaktuje. Minęło sześć tygodni bez żadnego odzewu. Nie dlatego, że Korpus nie był

zainteresowany - był. Według przecieków z bezpośredniego otoczenia Roosevelta ustawa miała zostać uchwalona lada dzień i w związku z nadspodziewanie masową rozbudową koszar i innych urządzeń wojskowych inżynier, a szczególnie inżynier budowlany o kwalifikacjach Spauldinga, stanowił niezwykle cenny przedmiot zainteresowania.

Jednak dowództwo Korpusu Inżynierskiego wiedziało o poszukiwaniach prowadzonych przez Wydział Wywiadu Połączonych Szefów Sztabu i przez Ministerstwo Wojny. O poszukiwaniach prowadzonych powoli, bez rozgłosu i bez ryzyka popełnienia błędu.

Dowództwo Korpusu przekazało więc akta Dawida Spauldinga do G-2 i otrzymało rozkaz, żeby zostawić go w spokoju.

Człowiek, którego poszukiwał Wydział Wywiadu, musiał dysponować trzema podstawowymi umiejętnościami. Po ustaleniu, że spełnia te trzy wymagania, można było przystąpić do szczegółowego badania, mającego na celu ustalenie, czy odznacza się również innymi, także pożądanymi cechami. Już jednak trzy pierwsze były wystarczająco trudne: pierwsza, to bezbłędna znajomość portugalskiego; druga, to analogiczna biegłość w posługiwaniu się niemieckim; trzecia, to doświadczenie inżynierskie, pozwalające na bezbłędne orientowanie się w planach, zdjęciach, a nawet w ustnych charakterystykach najróżniejszych konstrukcji przemysłowych. Od mostów i fabryk do magazynów i kompleksów kolejowych.

Człowiek z Lizbony powinien dysponować tymi właśnie umiejętnościami. Będą mu potrzebne w czasie wojny, w której prędzej czy później muszą się także znaleźć Stany Zjednoczone.

Zadaniem człowieka z Lizbony będzie utworzenie siatki wywiadowczej, zajmującej się przede wszystkim niszczeniem instalacji przemysłowych na głębokim zapleczu wroga.

Niektórzy ludzie podróżowali tam i z powrotem przez tereny nieprzyjaciela, koncentrując swą nie określoną bliżej działalność w państwach neutralnych. Ich właśnie miał

wykorzystać człowiek z Lizbony... Zanim zrobi to ktoś inny.

Ich, a także innych, których sam wyszkoli w celach infiltracji. Oddziały szpiegowskie.

Zespoły dwu- i trójjęzycznych agentów, których wyśle przez terytorium Francji do Niemiec, żeby korzystać z ich obserwacji, a czasem posłużyć się nimi do bezpośrednich działań niszczycielskich.

Anglicy uznali, że taki Amerykanin jest nieodzownie potrzebny w Lizbonie. Wywiad brytyjski zdawał sobie sprawę ze swojej słabości na tym terenie - Anglicy byli tam już po prostu zbyt długo i działali w sposób nader oczywisty. Poza tym w samym Londynie doszło do kilku bardzo poważnych potknięć w zakresie bezpieczeństwa; do MI 5 przedostały się obce wtyczki.

Lizbonę powinni byli przejąć Amerykanie.

O ile uda im się znaleźć odpowiedniego człowieka.

Wypełniając formularze przyjęcia Dawid Spaulding podał wszystkie trzy niezbędne umiejętności. Od dzieciństwa władał trzema językami. Jego rodzice, powszechnie znani państwo Richard i Margo Spaulding, utrzymywali trzy domy: niewielkie, eleganckie mieszkanie w Londynie, zimową daczę w Baden-Baden w Niemczech i obszerną, wzniesioną nad brzegiem oceanu w dzielnicy artystów, willę w Costa del Santiago w Portugalii.

Spaulding wychowywał się właśnie w tych trzech domach. Kiedy skończył szesnaście lat, jego ojciec - mimo sprzeciwów matki - postanowił, że ich syn dokończy wykształcenie średnie w Stanach Zjednoczonych, a następnie wstąpi na jakiś uniwersytet amerykański.

Andover w Massachusetts, Dartmouth w New Hampshire, wreszcie Carnegie Institute w Pensylwanii.

Oczywiście Wydział Wywiadu nie dowiedział się tego wszystkiego z ankiet wypełnionych przez Spauldinga. Dodatkowych informacji i jeszcze znacznie więcej dostarczył mieszkający w Nowym Jorku człowiek o nazwisku Aaron Mandel.

Pace, cały czas nie spuszczać wzroku z wysokiego, szczupłego mężczyzny, który odłożył gazetę i z lekkim rozbawieniem przypatrywał się stłoczonym wokół mikrofonów aktorom, przypomniał sobie swoje jedyne spotkanie z Mandlem. Po raz kolejny starał się dopasować uzyskane wówczas informacje do człowieka, którego teraz miał przed oczami.

Nazwisko Mandla figurowało w ankiecie w rubryce REFERENCJE. „Pełnomocnik, impresario rodziców”. Adres: apartament w budynku Chryslera. Mandel, rosyjski Żyd, był

wziętym agentem artystycznym, rywalizującym o klientelę z Solem Hurokiem, chociaż ani nie cieszył się takim rozgłosem, ani też o to nie zabiegał.

- Dawida traktuję jak rodzzonego syna - powiedział Pace'owi. - Zresztą, pan na pewno o tym wie.

- Dlaczego pan tak przypuszcza? Wiem tylko to, co znajduje się w ankiecie. Poza tym jeszcze kilka przypadkowych szczegółów: wyniki podczas studiów i opinie pracodawców.

- Powiedzmy, że tak sobie pana wyobrażałem. Lub kogoś takiego jak pan.

- No, proszę!

- Och, niechże pan da spokój. Dawid spędził wiele lat w Niemczech. Można nawet powiedzieć, że tam prawie wydorósł.

- W swojej ankiecie... podobnie jak w formularzu paszportowym podał nam również Londyn i miejsce o nazwie Costa del Santiago w Portugalii.

- Powiedziałem przecież „prawie”, choć on mówi biegle po niemiecku.
- Zdaje się, że również po portugalsku.
- Tak jest. I po hiszpańsku, bo to pokrewny język. Nie sądziłem, że każdym, kto chce się znaleźć w Korpusie Inżynierskim, interesują się pułkownicy. I urzędnicy z Wydziału Paszportów. - Mandel uśmiechnął się, mrużąc oczy.
- Nie byłem przygotowany na pana przyście - stwierdził spokojnie Pace. - Większość ludzi uważa to za normalne. Albo dochodzą później do takiego wniosku... z naszą niewielką pomocą.
- Większość ludzi nie żyła tak jak Żydzi w carskim Kijowie. Czego pan ode mnie oczekuje?
- Po pierwsze, czy powiedział pan Spauldingowi, że się pan nas spodziewa? A może komuś innemu...
- Oczywiście, że nie - przerwał mu delikatnie Mandel. - Już panu mówiłem, że traktuję go jak syna. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, aby podsuwać mu takie pomysły.
- To dobrze. Zresztą, i tak może z tego nic nie wyjść.
- Mimo to ma pan nadzieję, że jednak wyjdzie.
- Szczerze mówiąc, tak. Ale jest parę pytań, na które muszę znaleźć odpowiedź. Jego przeszłość jest niezwykła, ale i pełna sprzeczności. Przede wszystkim, rzadko się zdarza, żeby syn znanych muzyków, to znaczy...
- Artystów - Mandel podsunął Pace'owi brakujące słowo.
- Właśnie, artystów. Rzadko się zdarza, żeby dzieci takich ludzi zostawały inżynierami. Czy na przykład księgowymi, jeśli wie pan, co mam na myśli. A potem, kiedy ich syn jest już inżynierem, wydaje się dość niezwykle, że większość swoich dochodów uzyskuje jako... jako artysta radiowy. To wszystko wskazuje na pewien brak stabilności.

Może nawet na całkiem duży brak stabilności.

- Cierpi pan na typowo amerykańską manię spójności. Nie jest to bynajmniej zarzut pod pańskim adresem. Ja raczej nie sprawdziłbym się jako neurochirurg. Pan z kolei mógłby być nawet niezłym pianistą, ale wątpię, czy udałoby mi się wepchnąć pana do Covent Garden... Łatwo mogę rozwiać pańskie wątpliwości. Możliwe, że na końcu dotrzemy nawet do owej „stabilności”, o której był pan uprzejmy wspomnieć. Czy wie pan, czy wyobraża pan sobie, jak wygląda życie koncertujących artystów? To czyste szaleństwo. Dawid żył w tym szaleństwie przez niemal dwadzieścia lat. Podejrzewam... Nie, nie podejrzewam. Wiem, że mu to obrzydło. A ludzie bardzo często nie dostrzegają pewnych cech, którymi nierzadko odznaczają się muzycy. Cech dziedzicznych. Na przykład, talent matematyczny. Weźmy chociażby Bacha... Geniusz w matematyce.

Według Aarona Mandla, Dawid Spaulding odkrył swoje powołanie na drugim roku studiów. Solidność i stałość twórczości strukturalnej połączona z dokładnością przy projektowaniu detali stała

się dla niego ucieczką od płynnego świata sceny. Jednocześnie doszły w nim do głosu pewne odziedziczone cechy: miał rozbudowane ego i silne poczucie niezależności. Potrzebował uznania i aprobaty, o co raczej trudno było młodemu inżynierowi, zatrudnionemu u schyłku lat trzydziestych w dużej firmie nowojorskiej. Miał po prostu niewielkie szanse, a jednocześnie brakowało mu kapitału, z którym mógłby cokolwiek przedsięwziąć.

- Rozstał się z tą firmą - opowiadał Mandel - i przyjął sporo indywidualnych zamówień konstruktorskich, z których, jak sądził, mógł uzyskać szybciej większe profity i pracować na własne konto. Nie był niczym związany, więc mógł podróżować. Kilka budów na Środkowym Zachodzie, jedna... nie, dwie w Ameryce Środkowej i chyba cztery w Kanadzie. Pierwsze prace otrzymał z ogłoszeń w gazetach, a potem wszystko potoczyło się już samo. Wrócił do Nowego Jorku około półtora roku temu. Tak jak się spodziewałem, nie zarobił zbyt wiele, a jego projekty autorskie miały raczej znaczenie lokalne, prowincjalne.

- I dlatego właśnie trafił do radia?

Mandel roześmiał się i odchylił do tyłu w fotelu.

- Jak pan zapewne wie, panie pułkowniku, znacznie rozszerzyłem profil swojej działalności. Koncertowe estrady i wojna w Europie, która lada moment ogarnie także i ten kraj, nie pasują zbyt do siebie. Moi klienci coraz częściej korzystają z innych możliwości występów, także w radiu, które bardzo dobrze płaci. Dawid szybko dostrzegł tu dla siebie szansę, a ja przyznałem mu rację. Radzi sobie znakomicie.

- Chociaż nie jest profesjonalistą.

- Rzeczywiście, nie jest. Ale ma coś, co jest warte o wiele więcej, a co ma większość dzieci znanych artystów, polityków albo ludzi bardzo zamożnych: pewność siebie albo tupet, jeśli pan woli, całkowicie niezależne od ich prawdziwych obaw i lęków. Nic w tym dziwnego, bo przecież niemal od chwili urodzenia są ciągle wystawiani na widok publiczny. Dawid z pewnością taki właśnie jest. Poza tym ma dobry słuch, odziedziczony bez wątpienia po rodzicach, dobrą pamięć muzyczną, szybko chwytą melodię języka. On nie gra, on czyta, niemal wyłącznie w różnych dialektach i językach obcych, którymi płynnie włada.

Pojawienie się Dawida Spauldinga w radiu było związane wyłącznie ze sprawami finansowymi: zdążył się już przyzwyczaić do wysokiego poziomu życia. W czasie, gdy właściciele wielkich firm budowlanych z trudem wyciągali do stu dolarów tygodniowo, Spaulding zarabiał trzysta lub czterysta wyłącznie dzięki pracy dla radia.

- Jak może się pan domyślać - kontynuował Mandel - celem, który obecnie stawia przed sobą Dawid, jest zgromadzenie funduszy na założenie własnej firmy. Użyłem słowa

„obecnie”, cel ów bowiem może ulec zmianie pod wpływem różnych czynników zewnętrznych i wewnętrznych. Dawid nie jest ślepy, a każdy, kto potrafi przeczytać gazetę, widzi, że coraz szybciej jesteśmy wciągani w wojnę.

- Sądzi pan, że tak być powinno?

- Jestem Żydem. Jeśli o mnie chodzi, to już się spóźniliśmy.

- Wróćmy jednak do Spauldinga. Z tego, co pan powiedział, wynika, że jest on bardzo zaradnym człowiekiem.

- Powiedziałem panu tylko to, czego i tak dowiedziałby się pan z innych źródeł. Pan wyciągnął z tego wnioski. Ale to nie jest pełen obraz.

Pace pamiętał dokładnie, że Mandel w tym momencie podniósł się z fotela i zaczął

przechadzać po swoim gabinecie, unikając wzroku rozmówcy. Szukał negatywnych cech, starał się dobrać słowa, które odwiodłyby rząd od pokładania jakichkolwiek nadziei w „jego synie”. Pułkownik Pace doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Z całą pewnością uderzyło pana, jak wiele uwagi Dawid poświęca swojej osobie, czy też wygodzie, jeśli pan woli. Gdybyśmy mówili o interesach, wypadałoby to tylko pochwalić.

Dlatego właśnie starałem się rozwiać pańskie obawy co do jego „niestabilności”. Byłbym jednak nieuczciwy, gdybym nie poinformował pana o jego nieprawdopodobnym uporze. Nie potrafi podporządkować się żadnemu autorytetowi. Mówiąc inaczej, jest po prostu egocentrykiem, nie uznającym dyscypliny. Przykro mi, że tak jest, bo traktuję go jak własnego syna, ale...

Im dłużej Mandel gadał, tym wyraźniej pułkownik Pace widział już słowo ZGODA na teczce z papierami Spauldinga. Ani przez chwilę nie wierzył w te krańcowe zachowania, które nagle Mandel zaczął przypisywać swojemu ulubieńcowi; gdyby było to prawdą, Spaulding z całą pewnością nie potrafiłby działać tak efektywnie i „stabilnie”. Gdyby było to prawdą tylko w połowie, należałoby to uznać za zaletę, a nie wadę.

Ostatnie z wymagań.

Jeżeli bowiem w całej armii Stanów Zjednoczonych miał się znaleźć jakiś żołnierz, obojętne, czy w mundurze, czy też bez, od którego oczekiwaloby się działania całkowicie na własną rękę, bez zwalnających od odpowiedzialności rozkazów, bez przynoszącej ulgę świadomości, że wszelkie decyzje należą do dowódców, to miał nim być oficer Wywiadu działający na terenie Portugalii.

Człowiek w Lizbonie.

8 października 1939, Fairfax, Wirginia

Żadnych nazwisk.

Tylko cyfry i litery.

Najpierw cyfry, potem litera.

Dwa-Sześć-B. Trzy-Pięć-Y. Pięć-Jeden-C.

Żadnych not biograficznych, rysów osobowych, notatek o żonach, dzieciach, rodzicach... Żadnych nazw państw, miast, szkół, wyższych uczelni. Tylko ciała, umysły i poszczególne, szybko reagujące intelekty.

Miejsce wybrano w głębi myśliwskich terenów Wirginii, 220 akrów pól, wzgórz i górskich strumieni. Gęsto zalesione obszary graniczyły bezpośrednio z rozległymi, porośniętymi trawą równinami; groźne bagna, których niepewny grunt mógł pochłonąć niejedną ofiarę, rojące się od gadów i owadów, graniczyły ze wspinającymi się stromo w niebo skałami.

Miejsce wybrano starannie i precyzyjnie, a następnie ogrodzono wysokim na piętnaście stóp, solidnym parkanem przeciwwietrznym, przez który płynął nieprzerwanie prąd o paraliżującym, ale nie śmiertelnościami natężeniu. Co dwanaście stóp znajdował się znak ostrzegający zabłąkanych przechodniów, że cały ten teren - las, bagno, równina i wzgórze -

stanowi wyłączną własność rządu Stanów Zjednoczonych. Informował również ewentualnych ciekawskich, że wstęp jest nie tylko zakazany, ale grozi poważnym niebezpieczeństwem.

Poniżej, obok liczby określającej napięcie płynącego w przewodach prądu, podano numery poszczególnych paragrafów, potwierdzających zgodność owych zakazów z prawem.

Był to najbardziej urozmaicony teren, jaki udało się znaleźć w rozsądnej odległości od Waszyngtonu. W mniejszym lub większym stopniu jego ukształtowanie przypominało topografię rejonów, w które zamierzano wysłać tych, którzy przechodzili tu szkolenie.

Cyfry, a po nich litera.

Żadnych nazwisk.

W środkowej części północnego rewiru znajdowała się jedyna brama, do której prowadziła boczna, terenowa droga. Nad nią, między dwiema budkami strażniczymi, widniał

duży napis:

KWATERA GŁÓWNA WYDZIAŁU OPERACYJNEGO,

FAIRFAX

I ani słowa więcej.

Na budkach strażniczych znajdowały się takie same tabliczki, jak na płocie, z zakazem, ostrzeżeniem, wysokością napięcia i numerami paragrafów.

Nie sposób było się pomylić.

Dawid Spaulding otrzymał nową tożsamość, tożsamość z Fairfax. Teraz był Dwa-Pięć-L.

Nie miał nazwiska. Był liczbą, po której następowała litera.

Dwa-Pięć-L.

Znaczyło to, że jego szkolenie ma się zakończyć piątego dnia drugiego miesiąca.

Miejsce przeznaczenia - Lizbona.

To było nieprawdopodobne. W ciągu czterech miesięcy należało przyswoić sobie nowy sposób życia, tak zupełnie inny, że aż trudno było w to uwierzyć.

- Najprawdopodobniej nie uda się to panu - powiedział pułkownik Edmund Pace.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle mam ochotę spróbować - brzmiała odpowiedź

Spauldinga.

Ale jednym z celów przeszkolenia było wyrobienie motywacji. Głębokiej, solidnej, niezachwianej, mieszczącej się jednak w granicach możliwości psychicznych i percepcyjnych kandydata.

Rząd Stanów Zjednoczonych nie wymachiwał przed Dwa-Pięć-L sztandarem ani też nie trąbił o patriotycznych powinnościach. Takie metody nie były efektywne, jako że lata, podczas których formowała się jego osobowość, kandydat spędził poza granicami kraju w międzynarodowym, wyrafinowanym otoczeniu. Władał językiem przyszłych wrogów, znał

ich jako ludzi - taksówkarzy, sprzedawców, bankierów, adwokatów - większość zaś tych Niemców, których poznał, nie poddała się działaniom maszyny propagandowej. Byli to - co właśnie stanowiło doskonały punkt zaczepienia dla ludzi z Fairfax - cholerni głupcy, którymi rządzą psychopaci i kryminaliści, autentyczni fanatycy; ich zbrodnie w świetle napływających dowodów nie budziły już żadnych wątpliwości, a były to: maltretowanie, morderstwa, tortury i ludobójstwo.

Ponad wszelką wątpliwość.

Zbrodniarze.

Psychopaci.

Oprócz tego był jeszcze Adolf Hitler.

Adolf Hitler zabijał Żydów. Na razie tysiącami, ale wkrótce, jeśli uda mu się doprowadzić do „ostatecznego rozwiązania”, te tysiące zamienią się w miliony.

Aaron Mandel był Żydem. Jego „drugi ojciec” był Żydem, „drugi ojciec”, którego kochał bardziej od prawdziwego. A ci cholerni szaleńcy tolerowali wykrzyknik po słowie *Juden!*

Biorąc pod uwagę okoliczności, nie trzeba było specjalnej perswazji, żeby Dawid Spaulding zaczął nienawidzić tych cholernych szaleńców. Taksówkarzy, sprzedawców, bankierów i adwokatów.

Oprócz tej bardzo rzeczowej argumentacji, Fairfax korzystało także ze standardowej broni psychologicznej: wobec jednych w większym, wobec innych w mniejszym stopniu, ale nie omijało to nikogo.

Wszyscy kandydaci mieli jedną wspólną zaletę, lub wadę, zależnie od punktu widzenia. Musiał ją więc mieć każdy, bez wyjątku.

Była to niepohamowana żądza współzawodnictwa. Pęd do zwycięstwa.

Co do tego nie mogło być wątpliwości: w Fairfax arogancję uważano za pozytywną cechę charakteru.

Analiza psychologicznych cech Dawida Spauldinga doprowadziła dowództwo Fairfax do wniosku, że kandydat na placówkę w Lizbonie ma miękkie serce, ale w warunkach operacyjnych może okrzepnąć - i na pewno tak się stanie, jeśli odpowiednio długo pożyje -

lecz im więcej uda się osiągnąć w okresie szkolenia, tym lepiej. Szczególnie dla niego.

Spaulding był pewny siebie, niezależny, potrafił wspaniale dostosować się do otoczenia; wszystko to należało zapisać po stronie plusów, ale Dwa-Pięć-L miał także pewną słabość. W jego psychice istniała blokada, uniemożliwiająca mu całkowite i bezwzględne wykorzystanie swojej przewagi, aż do unicestwienia przeciwnika. I to zarówno w sensie przenośnym, jak i dosłownym.

Pułkownik Edmund Pace zdał sobie sprawę z tej niedoskonałości pod koniec trzeciego tygodnia szkolenia. Abstrakcyjny kodeks honorowy, którym kierował się Dwa-Pięć-L, nigdy nie sprawdziłby się w Lizbonie. Pułkownik Pace wiedział, jak temu zaradzić.

Działanie fizyczne musi prędzej czy później doprowadzić do zmian w psychice.

„Chwyty, ciosy i uniki” - taką, pozbawioną wszelkiego polotu, nazwę nadano temu kursowi. Kryły się pod nią najbardziej mordercze ćwiczenia, jakie przechodzili kandydaci podczas całego pobytu w ośrodku w Fairfax: walka wręcz. Nóż, łańcuch, drut, sznur, palce, kolana, łokcie... Wszystko, tylko nie rewolwer.

Refleks, refleks, refleks.

Z wyjątkiem tych chwil, kiedy przechodziło się do ataku.

Dwa-Pięć-L radził sobie bardzo dobrze. Był dużym postawnym mężczyzną, ale miał dobrą koordynację ruchową, która najczęściej cechuje osoby o drobniejszej posturze.

Należało hamować jego postępy i upokarzać go jak najczęściej. Musiał na własnej skórze doświadczyć, ile zyskuje się brudną walką.

Mieli go tego nauczyć mężczyźni mniejsi od niego, ale bardziej arogancy.

Pułkownik Edmund Pace „pożyczył” od komandosów brytyjskich najlepszych ludzi, jakich tylko mieli. Trzech nieco zaskoczonych „specjalistów” przewieziono do Fairfax na pokładzie specjalnego bombowca i powiedziano im, co mają robić.

Nakopać w dupę Dwa-Pięć-L.

Robili to. Przez kilka tygodni.

A potem już nie mogli czynić tak dalej bezkarnie.

Dawid Spaulding nie potrafiłby znieść upokorzenia; stał się równie dobry, jak owi „specjaliści”.

Człowiek, który miał zostać wysłany do Lizbony, czynił postępy.

W swoim biurze w Ministerstwie Wojny pułkownik Edmund Pace czytał kolejne raporty.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem.

Tygodnie zamieniały się w miesiące. Kandydaci zgromadzeni w Fairfax poznali wszystkie rodzaje broni, zaczepnej i obronnej, oraz wszystkie metody ataku i obrony. Szyfry stały się dla nich równie łatwe jak ojczysty język, a natychmiastowe fałszerstwa - ich drugą naturą. Dwa-Pięć-L wciąż piął się do góry. Kiedy tylko wychwytywano jakąś, najmniejszą choćby, słabość, „specjaliści” do spraw „chwytów, ciosów i uników” otrzymywali dodatkowe polecenia. Klucz psychiczny leżał w kontrolowanym dawkowaniu upokorzenia fizycznego.

Aż wreszcie nie trzeba już było go stosować. Komandosi wrócili do macierzystych jednostek.

Wszystko zgodnie z planem.

- Może jednak ci się to uda - powiedział pułkownik.

- Tyle tylko, że nie bardzo wiem co - odparł Dawid. Siedział w nowiutkim mundurze porucznika w

barze Mayflower z drinkiem w dłoni. Nagle roześmiał się cicho. -

Przypuszczam, że gdyby przyznawano stopnie naukowe ze znajomości Zaawansowanych Umiejętności Przystępczych, to na pewno nadawałbym się do tego.

Szkolenie Dwa-Pięć-L miało zakończyć się za dziesięć dni. Dobowa przepustka, którą otrzymał, stanowiła odstępstwo od przyjętych reguł, ale Pace się uparł. Musiał porozmawiać ze Spauldingiem.

- Przeszkadza ci to? - zapytał. Spaulding spojrzał na pułkownika.

- Gdybym miał czas się nad tym zastanowić, to na pewno by mi przeszkadzało. A panu?

- Nie. Ja rozumiem powody.

- To dobrze, bo ja nie.

- Poznasz je na miejscu.

- Jasne - przytaknął krótko Dawid.

Pace przyglądał mu się uważnie. Jak należało oczekiwać, młody mężczyzna bardzo się zmienił. Zniknął jego delikatny, trochę nonszalancki wdzięk ruchów i gestów, zastąpiła je zwartość, precyzja i opanowanie w ruchach i w mowie. Przeistoczenie jeszcze się nie zakończyło, ale było bardzo zaawansowane. Zaczynała być widoczna patyna profesjonalizmu.

Lizbona miała ją tylko utrwalić.

- Nie zrobiło na tobie wrażenia, jak bardzo pobyt w Fairfax przyspieszył twój awans?

Ja na tę srebrną belkę czekałem półtora roku.

- Nad tym też jeszcze nie miałem czasu się zastanowić. Dzisiaj pierwszy raz w życiu mam na sobie mundur. Moim zdaniem jest diablo niewygodny. - Przejechał dłonią po marynarce.

- To dobrze. Nie przyzwyczajaj się za bardzo do niego.

- Trochę to dziwne, że...

- Jak się czujesz? - przerwał mu Pace.

Dawid spojrzał na pułkownika. Na chwilę wróciły dawny wdzięk, łagodność, nawet ironia.

- Nie jestem pewien. Chyba tak, jakby wyprodukowano mnie na taśmie montażowej przesuwaną się w ekspresowym tempie. Albo jakbym był zaprzężony do szybkoobrotowego kieratu.

- W pewnym sensie masz rację. Z tym, że wniosłeś niemało własnego wkładu.

Spaulding obracał delikatnie szklankę z drinkiem. Przez chwilę przyglądał się wirującym kostkom

lodu, po czym podniósł wzrok na pułkownika Pace.

- Chciałbym uznać to za komplement, ale chyba nie mogę - powiedział spokojnie. -

Zdążyłem poznać tych, którzy szkolili się razem ze mną, to niezła zbieranina.

- Ale mają silną motywację.

- Ci Europejczycy są równie zwariowani jak ci, z którymi chcą walczyć. To prawda, mają swoje powody, w które nie mogę wątpić, ale...

- Mamy tu za mało Amerykanów - przerwał mu Pace. - Jeszcze za mało.

- Ci, których macie, kwalifikują się od razu do więzienia.

- Nie są wojskowymi.

- Nie wiedziałem o tym - uśmiechnął się Spaulding.

Pace poczuł złość na samego siebie. Niedyskrecja nie była zbyt wielka, ale pozostawała niedyskrecją.

- To nie ma znaczenia. Za dziesięć dni kończysz przeszkolenie w Wirginii i natychmiast wyskakujesz z munduru. Szczerze mówiąc, niepotrzebnie w ogóle ci go dawano.

Wciąż jeszcze mamy mało doświadczenia w tego rodzaju sprawach, a odwieczne przepisy bardzo trudno jest zmienić.

Pace napił się, unikając wzroku Spauldinga.

- Sądziłem, że będę attaché wojskowym przy ambasadzie. Jednym z wielu.

- Oficjalnie, tak. Przygotują ci dokumenty z tą jednak różnicą, że to tylko część kamuflażu. Nie masz sentymentu do munduru i chyba nie powinieneś go nosić. Już nigdy. -

Pace odstawił szklankę i spojrzał na Dawida. - Dzięki rodzinnym koneksjom i znajomości języków udało ci się załatwić wygodną, bezpieczną posadkę. Spieszyłeś się jak diabli, żeby ją dostać, zanim dopadnie cię prawdziwe wojsko.

Spaulding zamyślił się na chwilę.

- To brzmi całkiem logicznie - powiedział wreszcie. - Co, w takim razie, niepokoi pana?

- Tylko jeden człowiek w ambasadzie będzie znał prawdę. Zgłosi się do ciebie. Inni na pewno zaczną podejrzewać, ale nieprędko. Nikt z nich nie będzie wiedział. Ani ambasador, ani nikt z

personelu. Krótko mówiąc, nie będziesz tam zbyt lubiany.

Dawid roześmiał się cicho.

- Mam nadzieję, że odwołacie mnie, nim zostanę zlinczowany?

Odpowiedź Pace'a była krótka i zwięzła:

- Odwołamy innych. Ty zostaniesz.

- Nie rozumiem.

- Niestety, nie mogę powiedzieć ci wszystkiego. Pułkownik postawił szklanę na stoliku. - Będziesz musiał zaczynać niezwykle ostrożnie i powoli. Brytyjski MI 5 podał nam kilka nazwisk. Niewiele, ale zawsze jest to jakiś punkt zaczepienia. Musisz jednak zorganizować własną siatkę - ludzi, którzy będą się kontaktować tylko z tobą, i z nikim innym. Oznacza to konieczność częstych wyjazdów. Naszym zdaniem, powinieneś ciężać ku północnej części kraju, blisko granicy z Hiszpanią, a potem jeszcze dalej, na północ. Do Kraju Basków, gdzie zdecydowana większość ludzi to przeciwnicy Falangi. Właśnie tamtędy, przez tereny na południe od Pirenejów, przebiegać będzie trasa przerzutów ludzi i informacji. Nie mamy co się oszukiwać: Linia Maginota nic nie da i Francja przegra...

- O Jezu - przerwał mu delikatnie Dawid. - Snujecie dalekosiężne prognozy.

- Właśnie tym się zajmujemy. Po to istnieje Fairfax.

Spaulding odchylił się do tyłu na krześle, ponownie bawiąc się szklanką.

- Rozumiem sprawę tej siatki, w końcu, między innymi, właśnie tego dotyczyło szkolenie. Ale nikt wcześniej nie wspominał o Kraju Basków. Znam te tereny.

- Możemy się mylić. Na razie to tylko teoria. Być może uznasz, że szlak wodny przez Morze Śródziemne, Malagę albo Zatokę Biskajską okaże się bardziej odpowiedni. Będziesz musiał podjąć decyzję i zacząć działać.

- W porządku, rozumiem. Co to ma wspólnego z moim odwołaniem?

Pace uśmiechnął się.

- Jeszcze nie znalazłeś się na swojej placówce, a już chcesz prosić o urlop?

- To pan poruszył ten temat. Dostyc niespodziewanie, powiedziałbym.

- To prawda.

Pułkownik poprawił się na krześle. Spaulding był bardzo szybki; dobierał zwięzłe, treściwe słowa i wypowiadał je błyskawicznie, żeby zwiększyć ich efektywność. Będzie się znakomicie nadawał do krótkich, ostrych przesłuchań. W terenie.

- Postanowiliśmy, że pozostaniesz w Portugalii przez dłuższy czas, a swoje urlopy i

„urlopy” będziesz spędzał na południu. Na wybrzeżu jest tam pełno miejscowości wypoczynkowych...

- Wśród nich Costa del Santiago - przerwał mu w pół słowa Spaulding. - Kurorty dla zagranicznych bogaczy.

- Zgadza się. Tam właśnie przygotuj kamuflaż. Daj się często widywać w towarzystwie swoich rodziców, zawieraj znajomości. - Pace ponownie uśmiechnął się, tym razem jakby z wahaniem. - Łatwo mógłbym sobie wyobrazić dużo gorsze zadanie.

- Nie zna pan tych miejscowości, pułkowniku... Jeśli dobrze pana pojmuję, jak mawiamy tutaj, w Fairfax, to chce pan powiedzieć, żeby kandydat Dwa-Pięć-L przyjrzał się jeszcze raz dobrze ulicom Nowego Jorku i Waszyngtonu, bo potem długo ich nie zobaczy.

- Nie możemy ryzykować twojego powrotu wówczas, kiedy już uda ci się zorganizować siatkę, zakładając oczywiście, że tak się rzeczywiście stanie. Jeżeli z jakichkolwiek przyczyn przemieścisz się z Lizbony do kraju znajdującego się pod wpływami aliantów, to nieprzyjaciel natychmiast weźmie cię pod mikroskop i prześledzi każdy twój ruch kilka miesięcy wstecz. Wszystko wzięłoby wtedy w łeb. Zarówno dla ciebie, jak i dla naszych interesów najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz tam na stałe. Nauczyli nas tego Brytyjczycy.

Bywało, że ich ludzie siedzieli tam przez całe lata.

- Nie brzmi to zbyt pocieszająco.

- Nie jesteś w MI 5. Twoje zadanie jest obliczone na określony czas, a przecież wojna nie będzie trwała wiecznie.

Teraz przyszła kolej na Spauldinga, żeby się uśmiechnął; był to uśmiech człowieka postawionego oko w oko z sytuacją, na którą nie miał żadnego wpływu.

- Jest coś szalonego w tym, co pan powiedział: „Wojna nie będzie trwała wiecznie...”

- Dlaczego?

- Przecież dla nas ta wojna nawet się jeszcze nie zaczęła.

- Dla nas może nie, ale dla ciebie już tak - odparł Pace.

8 września 1943, Peenemünde, Niemcy

Człowiek w garniturze w drobne prążki, uszytym przez krawców z Altestrasse, spoglądał z niedowierzaniem na trzech mężczyzn, siedzących po przeciwnej stronie stołu. Nie wierzyłby własnym oczom, gdyby trzej eksperci nie mieli przypiętych plakietek do śnieżnobiałych klap laboratoryjnych marynarek. Plakietki te były czerwone, prostokątne, wykonane z metalu i uprawniały do wstępu wszędzie tam, gdzie miała dostęp sama elita Peenemünde. On również miał identyczną plakietkę przy klapie swego garnituru -

tymczasową przepustkę, co do której wcale nie był pewien, czy chciał ją posiadać.

Z całą pewnością nie chciał jej w tej chwili.

- Nie mogę się zgodzić z waszymi wyliczeniami - powiedział spokojnie. - Są niedorzeczne.

- Więc proszę pójść z nami - stwierdził naukowiec siedzący pośrodku.

- Nie ma sensu tego odwlekać - dodał trzeci z mężczyzn. Wszyscy czterej wstali z krzeseł i podeszli do stalowych drzwi, stanowiących jedyne wyjście z pokoju. Każdy z nich po kolei odpinał swoją plakietkę i przyciskał ją do szarej płytki znajdującej się w ścianie. W

tym momencie zapalała się na dwie sekundy mała, jasna żaróweczka; automat wykonywał

zdjęcie. Mężczyzna idący na końcu, należący do stałego personelu Peenemünde, otworzył

drzwi i wszyscy wyszli na korytarz.

Gdyby było ich tylko trzech albo pięciu, lub jakakolwiek inna liczba, nie odpowiadająca liczbie sfotografowanych osób, które weszły do pokoju, natychmiast zostałby wszczęty alarm.

Szli w milczeniu długim, nieskazitelnie białym korytarzem: na przedzie berlińczyk w towarzystwie naukowca, który siedział pośrodku przy stole i który, najwyraźniej, był tym głównym; dwaj pozostali kroczyli za nimi.

Przy windach odprawili ponownie rytuał czerwonych plakietek, szarych płytek i małych żarówek, zapalających się dokładnie na dwie sekundy. Poniżej szarej płytki zaświeciła się cyfra.

Sześć.

Z windy numer sześć rozległ się stłumiony odgłos dzwonka. Stalowe drzwi rozsunęły się i mężczyźni kolejno weszli do środka.

Zjechali osiem pięter, z czego cztery pod ziemię, na najniższy poziom Peenemünde.

Znaleźli się w identycznym, białym korytarzu, gdzie czekał na nich wysoki mężczyzna w dopasowanym, zielonym kombinezonie; u szerokiego, brązowego pasa wisiała potężnych rozmiarów kabura, w której znajdował się Luger Sternlicht - specjalnie opracowany pistolet maszynowy z

teleskopowym celownikiem. Sądząc po wysokiej czapce z daszkiem na głowie mężczyzny można było stwierdzić, że znajdowały się one na wyposażeniu Gestapo.

Gestapowiec najwyraźniej znał trzech naukowców, uśmiechnął się bowiem od niechcienia i skoncentrował uwagę na mężczyźnie w garniturze. Wyciągnął rękę po jego identyfikator.

Kiedy berlińczyk mu go podał, oficer podszedł do ściennego telefonu, nacisnął kilka guzików, po czym przeczytał do mikrofonu nazwisko widniejące na czerwonej plakietce.

Czekał około dziesięciu sekund. Następnie, odwiesiwszy słuchawkę, zwrócił plakietkę. Z jego arogancji, którą okazywał jeszcze przed chwilą, nie pozostało ani śladu.

- Przepraszam za zwłokę, Herr Strasser. Powinienem był wiedzieć...

- Nie ma za co, Herr Oberleutnant. Przeprosiny byłyby potrzebne tylko wtedy, gdyby zaniedbał pan swoje obowiązki.

- *Danke* - odparł gestapowiec i dał znak gestem, że czterej mężczyźni mogą iść dalej.

Po drodze przeszli przez podwójne drzwi. Rozległ się stukot zwalnianych zatrasków, zapłonęły małe, jaskrawe lampki umieszczone ponad gzymsami i ponownie automat wykonał zdjęcia.

Dotarli do rozwidlenia korytarza i skręcili w prawo; tym razem zamiast bieli otoczyła ich bura czerń. Minęło kilka chwil, zanim oczy Strassera przyzwyczyły się do nagłej zmiany oświetlenia, jakie dawały małe podsufitowe lampy.

- Tutaj jeszcze pana nie było - odezwał się idący obok Strassera główny naukowiec.

To pomysł pewnego specjalisty od optyki. Rzekomo ma przygotowywać wzrok do silnego oświetlenia aparatów mikroskopowych, ale większość z nas uważa, że to bzdura.

Na końcu długiego, mrocznego tunelu znajdowały się stalowe drzwi. Strasser odruchowo sięgnął po swój czerwony identyfikator, ale naukowiec potrząsnął głową i dał delikatny znak ręką.

- Za słabe światło do zdjęć - powiedział. - Strażnik został o nas powiadomiony.

Drzwi otworzyły się i mężczyźni weszli do obszernego laboratorium. Przy prawej ścianie, na całej jej długości ciągnęła się ława, a przy niej wysokie stołki. Każdy z nich znajdował się dokładnie naprzeciwko stojącego na ławie silnego mikroskopu, obok którego na długim, wyprowadzonym z nieskazitelnie białej ściany przegubie zwieszała się lampa.

Lewa strona laboratorium wyglądała podobnie jak prawa, tyle tylko, że na ławie stało mniej mikroskopów, sama ława zaś była nieco wyższa. Najwyraźniej używano jej do narad i konferencji,

kiedy wiele par oczu spoglądało po kolei przez ten sam okular. Stołki tylko by przeszkadzały, zazwyczaj bowiem dyskutowano o oglądanych cząsteczkach na stojąco.

W przeciwnym końcu pomieszczenia widać było kolejne drzwi; już nie wejście, a tylko ciężkie, stalowe zamknięcie o wymiarach cztery stopy na siedem. Na gładkiej powierzchni znajdowały się dwa grube drążki i błyszczące srebrem koło szyfrowe.

Główny naukowiec ruszył w tamtym kierunku.

- Za piętnaście minut automat wsunie szuflady i zamknie drzwi - powiedział uczonego. -

Moim zdaniem powinno to tak pozostać co najmniej przez tydzień. Oczywiście, będzie mi potrzebna pańska zgoda.

- Czy jest pan pewien, że jej udzielię?

- Tak. - Naukowiec pokręcił kołem w lewo i w prawo, ustawiając pożądaną kombinację. - Szyfr zmienia się automatycznie co dwadzieścia cztery godziny.

Ustawił koło w pozycji końcowej, po czym pociągnął górny drążek w dół, a po chwili, kiedy rozległ się ledwie słyszalny odgłos poruszającego się mechanizmu, pchnął dolny do góry. Szmer ustał, głośno stuknęły odsuwane bolce, uczonego pociągnął oba skrzydła i stalowe drzwi stanęły otworem.

- Oto narzędzia Peenemünde. Proszę zobaczyć.

Strasser zbliżył się i zajrzał do środka. Znajdowało się tam pięć szuflad, a w każdej z nich po sto szklanych, stojących pionowo tacek. W sumie pięćset.

Krawędzie opróżnionych tacek były oznaczone białym paskiem z napisanym wyraźnymi literami słowem *Auffüllen*.

Tacki pełne miały pasek koloru czarnego.

Cztery i pół rzędu tacek z białymi paskami.

Strasser nachylił się, wysunął kilka tacek, po czym wyprostował się i spojrzał na uczonego z Peenemünde.

- Czy to cały nasz zapas? - zapytał cicho.

- Tak. Wykonaliśmy sześć tysięcy osłon; Bóg wie, ile ulegnie zniszczeniu podczas eksperymentów. Sam pan może ocenić, na ile nam jeszcze tego starczy.

Strasser spojrzał mu prosto w oczy.

- Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, o czym pan mówi?

- Tak. Będziemy w stanie wykonać tylko drobny ułamek zamówienia. Peenemünde grozi katastrofa.

9 września 1943, Morze Północne

Z powodu grubej warstwy chmur kierująca się nad Essen flotylla bombowców B-17

musiała zrezygnować ze swego zasadniczego celu. Dowódca eskadry, pomimo sprzeciwów członków załogi, wyznaczył cel zastępczy: stocznie na północ od Bremerhaven. Nikt nie lubił

tej trasy, bowiem Messerschmitty i Stukasy zbierały tam obfite żniwo. Działające na tym obszarze dywizjony przechwytyjące nazywano „samobójczymi oddziałami Luftwaffe”; młodzi fanatycy faszystowscy mogli równie dobrze zestrzelić samolot wroga, jak też zderzyć się z nim. Trudno to nawet nazwać wielką odwagą, gdyż często przyczyną był brak doświadczenia lub po prostu nieodpowiednie wyszkolenie.

Bremerhaven Północ stanowiło więc odstraszący, zastępczy obiekt ataku. Kiedy wyznaczano je jako główny cel, bombowcom towarzyszyła wzmocniona eskorta myśliwców; kiedy zaś był to cel zastępczy, bombowce leciały w osamotnieniu.

Jednak dowódca eskadry był twardzielem, a co gorsza, absolwentem West Point; celem zastępczym zostanie trafiony, i to trafiony z takiej wysokości, która gwarantowała maksymalną skuteczność rażenia. Zignorował wyrażany głośno sprzeciw zastępcy, który jednoznacznie stwierdził, że atak z takiej wysokości byłby brawurą nawet wówczas, gdyby wokół bombowców uwijała się eskorta myśliwców. Bez niej, biorąc pod uwagę silny ogień artylerii przeciwlotniczej, stanowiło to szaleństwo. Dowódca eskadry odpowiedział

wyrecytowanymi twardym głosem nowymi koordynatami i nakazaniem ciszy radiowej.

Kiedy znaleźli się w korytarzu prowadzącym do Bremerhaven, zewsząd pojawiły się myśliwce niemieckie i rozpoczął się morderczy ogień artylerii. Dowódca eskadry sprowadził

swoją maszynę na wysokość podawaną w podręcznikach i został natychmiast zmieciony z nieba.

Jego zastępca cenił swoje życie i samoloty znacznie bardziej od niego. Wydał rozkaz ucieczki w górę, polecając bombardierom, aby zrzucili ładunek gdzie popadnie, byle tylko wywalić to cholerne żelastwo, tak aby maszyny mogły osiągnąć maksymalną wysokość, zmniejszając tym samym ryzyko z powodu ognia z ziemi i z powietrza.

Rozkaz przyszedł zbyt późno. Jeden z bombowców buchnął nagle płomieniem i runął

w dół; rozwinęły się tylko trzy spadochrony. Dwa inne bombowce doznały tak poważnych uszkodzeń, że natychmiast zaczęły zmniejszać wysokość. Załogi wyskoczyły; w każdym razie, ich większość.

Pozostałe maszyny pięły się w górę, a wraz z nimi Messerschmitty. Coraz wyżej i wyżej, poza

granicę bezpieczeństwa. Wydano rozkaz nałożenia masek tlenowych; nie wszystkie działały.

Po czterech minutach niedobitki eskadry znalazły się na pustym, nocnym niebie, o wiele jaśniejszym niż zwykle, bo oglądanym z dolnych warstw stratosfery w rozrzedzonym powietrzu. Gwiazdy rozsiewały czysty, jaskrawy blask, a księżyc stał się jeszcze bliższy dla załóg bombowców.

Tutaj znajdowało się ocalenie.

- Nawigator! - rzucił do interkomu wyczerpany, ale szczęśliwy zastępca dowódcy. -

Podaj kurs. Z powrotem do Lakenheath, jeśli można cię prosić.

Odpowiedź, która nadeszła, zburzyła nastrój ulgi i odprężenia.

- On nie żyje, pułkowniku - zameldował tylny strzelec. - Nelson nie żyje.

- Trójka, przejmujesz nawigację - powiedział pułkownik z samolotu numer dwa. Było za mało czasu, żeby dodać cokolwiek więcej.

Podano kurs, formacja przegrupowała się i - zszedłszy na bezpieczną wysokość poniżej pokrywy chmur - skierowała się w stronę Morza Północnego.

Minęło pięć, siedem, dwanaście minut. Wreszcie dwadzieścia. Niebo pod nimi było niemal zupełnie czyste, więc co najmniej dwie minuty temu powinni zobaczyć już brzeg Anglii. Wielu pilotom to się nie spodobało. Kilku wyraziło to na głos.

- Trójka, podałeś dobry kurs? - zapytał obecny dowódca eskadry.

- Tak jest, panie pułkowniku - nadeszła odpowiedź.

- Inni nawigatorzy, macie jakieś uwagi?

Parę zaprzeczeń nadeszło z pozostałych samolotów.

- Kurs jest w porządku, panie pułkowniku - odezwał się dowódca piątki. - Gorzej z pańskim wykonaniem.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Według moich wskazań podałeś pan dwa-trzy-dziewięć. Myślałem, że trafili mi w przyrządy, więc...

Nagle eter wypełnił się podekscytowanymi głosami pilotów zdziesiątkowanej eskadry.

- U mnie było jeden-siedem...

- A u mnie dwa-dziesięć-dwa! Prosto w...

- Jezu! Ja miałem sześć-cztery!

- My tak oberwaliśmy, że w ogóle przestałem zwracać uwagę na przyrządy.

A potem zapadła cisza. Wszyscy zrozumieli.

Albo raczej zrozumieli to, czego nie mogli pojąć.

- Cisza na wszystkich częstotliwościach - rozkazał dowódca. - Spróbuję połączyć się z bazą.

Nad nimi pojawiła się przerwa w pokrywie chmur; nie na długo, ale wystarczająco długo. Głos, który odezwał się w słuchawkach, należał do dowódcy trójki.

- Sądząc po gwiazdach, panie pułkowniku, lecimy prosto na północny zachód.

Znowu cisza.

- Muszą się w końcu odezwać - przerwał ją po pewnym czasie dowódca. - Czy wasze wskaźniki pokazują to samo co mój? Paliwa jeszcze na dziesięć do piętnastu minut?

- To był długi lot, panie pułkowniku - odparła siódemka. - Na pewno nie mamy na więcej.

- Pięć minut temu powinniśmy już podchodzić do lądowania - odezwała się ósemka.

- Ale nie podchodzimy - ucięła czwórka.

Dowódcy w dwójce udało się połączyć z Lakenheath na częstotliwości awaryjnej.

- Na ile możemy ustalić - odezwał się pełen napięcia, ale opanowany głos - zbliżacie się poprzez otwarte przejścia w obronie wybrzeża, na lądzie i na wodzie, do sektora Dunbar.

To już granica szkocka, panie pułkowniku. Skąd się tam wzięliście, do cholery?

- Nie mam pojęcia, na miłość boską! Są tu jakieś lotniska?

- Nie dla naszych maszyn, a już na pewno nie dla całej formacji. Może jednemu lub dwóm...

- Nie chrzań, sukinsynu, tylko daj instrukcje awaryjne!

- Nie byliśmy przygotowani na...

- Słyszysz mnie?! Mam ze sobą resztki eskadry i zostało nam paliwa na jakieś sześć minut lotu! Mów, co mamy robić!

Cisza trwała dokładnie cztery sekundy, tyle, ile tym w Lakenheath było trzeba na podjęcie ostatecznej decyzji.

- Lada chwila powinniście zobaczyć wybrzeże. Najprawdopodobniej będzie to Szkocja. Siadajcie na morzu. Zrobimy, co tylko w naszej mocy.

- To jest jedenaście bombowców, Lakenheath, a nie stado kaczek.

- Nie ma czasu na nic więcej, panie dowódcu. Logistyka jest nieubłagana. Poza tym przecież to nie my was tam poprowadziliśmy. Siadajcie na wodzie. Zrobimy, co będziemy mogli. Niech Bóg ma was w swojej opiece.

CZĘŚĆ PIERWSZA

10 września 1943, Berlin, Niemcy

Reichsminister do spraw zbrojeń Albert Speer wbiegł po schodach w gmachu Ministerstwa Lotnictwa w dzielnicy Tiergarten. Nie czuł spływających po nim strug deszczu, siekących z szarego nieba; nie zdawał sobie sprawy, że jego nie zapięty płaszcz zsunął mu się z ramion, wystawiając marynarkę i koszulę na pastwę wrześnieowej ulewy. Był tak wściekły, że nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o tym, co go do takiego stanu doprowadziło.

Szaleństwo! Czyste, niewiarygodne, niewybaczalne szaleństwo!

Przemysłowe rezerwy całych Niemiec zaczynały się wyczerpywać, ale z tym ogromnym problemem mógł jeszcze sobie jakoś poradzić, odpowiednio wykorzystując potencjał produkcyjny krajów okupowanych i rezygnując z nie dającej się opanować praktyki importu siły roboczej. Jakiej tam siły roboczej? Niewolników!

Katastrofalnie niska wydajność, bezustanne, nie kończące się sabotaże.

Czy można było oczekiwać czegoś innego?

Nadszedł czas poświęceń! Hitler musi przestać być wszystkim dla wszystkich!

Zamiast wielkich Mercedesów, oper i zatłoczonych restauracji potrzeba czołgów, amunicji, okrętów i samolotów! Takie były ówczesne priorytety!

Ale Führer nie mógł zapomnieć o rewolucji z 1918 roku.

Co za brak konsekwencji! Samotny człowiek, którego wola kształtowała historię i który znajdował się blisko spełnienia swego niesamowitego snu o Tysiącletniej Rzeszy, bał

się minionych wspomnień o niespokojnych tłumach i niezadowolonych masach!

Speer zastanawiał się nad tym, czy w przyszłości historycy zwrócą na to uwagę i czy odkryją, jak słaby był, w gruncie rzeczy, Hitler wówczas, gdy chodziło o jego rodaków. Jak trząśł się ze strachu, kiedy produkcja dóbr konsumpcyjnych spadała poniżej zakładanego planu.

Szaleństwo!

Ale on, minister zbrojeń Rzeszy, mógł tolerować tę fatalną w skutkach niekonsekwencję tak długo, jak długo był przekonany, że to tylko sprawa czasu. Powiedzmy, kilku miesięcy, w najgorszym razie pół roku.

Istniało przecież Peenemünde.

Rakiety.

Wszystko sprowadzało się do Peenemünde.

Nic mu się nie oprze. Dzięki Peenemünde legną w gruzach Londyn i Waszyngton, a obydwa rządy dostrzegą bezsens kontynuowania tej masowej zagłady.

Rozsądni ludzie zasiądą wówczas do rokowań i wynegocjują rozsądne porozumienia.

Nawet gdyby miało to oznaczać konieczność uciszenia nierozsądnych ludzi. Takich jak Hitler.

Speer zdawał sobie sprawę, że wielu jest takich, którzy myślą podobnie jak on. Führer zaczął coraz wyraźniej okazywać niezdrowe oznaki stresu i przemęczenia. Otaczał się miernotami, pragnąc rozkoszować się trudno ukrywanym pragnieniem przebywania z ludźmi o takim samym, jak on, poziomie intelektualnym. Zaszło to jednak już zbyt daleko, problem bowiem dotyczył nie tylko jego, ale całej Rzeszy. Handlarz winem - ministrem spraw zagranicznych! Trzeciorzędny, partyjny propagandzista - ministrem do spraw Wschodu!

Niegdysiejszy pilot myśliwca - nadzorcą całej gospodarki.

Czy choćby on sam: spokojny, skromny architekt. A teraz minister zbrojeń.

Wszystko to zmieni się dzięki Peenemünde.

Nawet on. Dzięki Bogu!

Ale najpierw Peenemünde musiało zadziałać. Nie mogło być niepewności powodzenia operacyjnego. Bez Peenemünde wojna byłaby przegrana.

A tu mówią mu, że jednak jest jakiś problem. Drobne uchybienie, które może zwiastować porażkę Niemiec.

Kapral, sprawiający wrażenie kompletnie bezmyślnego człowieka, otworzył przed nim drzwi do gabinetu. Okazało się, że miejsca przy długim, konferencyjnym stole były zajęte mniej więcej w dwóch trzecich, krzesła zaś ścieśnione w małe grupki, jakby zajmujący je ludzie bali się nawzajem. Rzeczywiście tak było, w łonie Rzeszy bowiem zaczynało coraz wyraźniej dochodzić do rywalizacji różnych grup interesów.

Speer dotarł do końca stołu, gdzie, po jego prawej stronie, siedział jedyny człowiek na sali, któremu mógł zaufać: Franz Altmüller.

Altmüller był czterdziestodwuletnim cynikiem. Wysoki, jasnowłosy arystokrata, uosobienie prawdziwego aryjczyka z owych czasów, ani przez chwilę nie wierzącego w rasowy nonsens, propagowany przez Trzecią Rzeszę. Wierzył natomiast bez zastrzeżeń w teorię skrzętnego gromadzenia wszelkich zysków, jakie napotykał na swojej drodze, i zgadzał

się pozornie ze wszystkimi, od których pozyskanie zysków mogło zależeć w jakikolwiek sposób.

Zgadzał się publicznie.

Prywatnie, wśród bardzo bliskich mu osób, mówił prawdę.

Wtedy kiedy również prawda mogła mu przynieść jakąś korzyść.

Speer nie tylko należał do tych bliskich osób, ale był wręcz przyjacielem Altmüllera.

Ich rodziny mieszkały po sąsiedzku, a ojcowie często podejmowali wspólne przedsięwzięcia handlowe, matki zaś chodziły razem do szkoły.

Altmüller wdał się w swego ojca: stał się nadzwyczaj przedsiębiorczym biznesmenem, a jego specjalnością było zarządzanie produkcją.

- Dzień dobry - powiedział Altmüller, strząsając niewidzialny pyłek z kłapy marynarki. Nosił partyjny mundur dużo częściej, niż to było potrzebne; najwyraźniej doszedł

do wniosku, że jeśli już się mylić, to na korzyść silniejszego.

- To wręcz nieprawdopodobne - odparł Speer siadając pośpiesznie na krześle. Grupki -

a teraz podziały zaznaczyły się wyraźnie - cały czas rozprawiały między sobą przyciszonymi głosami. Spojrzenia kierowały się w stronę Speera, ale natychmiast odwracały się w przeciwnym kierunku. Wszyscy byli gotowi natychmiast zamilknąć, ale nikt nie chciał okazać lęku i poczucia winy.

Cisza zapadnie wtedy, gdy Altmüller lub Speer podniosą się z miejsca i przemówią do zebranych, ale na pewno nie wcześniej. Wcześniejsze milczenie mogłoby oznaczać strach, a strach równałby się przyznaniu do błędu. Nikt z siedzących przy stole nie mógł sobie pozwolić na to.

Altmüller otworzył dużą, kartonową teczkę i położył ją przed Speerem. Wewnątrz znajdowała się lista zaproszonych na spotkanie. Można było wśród nich wyróżnić z grubsza trzy główne frakcje, podzielone jeszcze na mniejsze grupki; każda z frakcji miała swego rzecznika. Speer przeczytał wszystkie nazwiska, zerkając dyskretnie - jak mu się wydawało -

czy i gdzie są ci trzej najważniejsi ludzie.

Przy drugim końcu stołu, w mundurze olśniewającym masą odznaczeń, z których najstarsze pochodziły sprzed trzydziestu lat, siedział Ernst Leeb, szef Wydziału Zaopatrzenia Armii. Był średniego wzrostu, ale bardzo muskularny, choć miał już ponad sześćdziesiąt lat.

Palił papierosa w cygarnicze z kości słoniowej, która służyła mu również do przerywania w dowolnym momencie rozmówek podwładnych. Pod wieloma względami Leeb był karykaturą, ale karykaturą wciąż jeszcze potężną. Hitler cenił go nie tylko za jego umiejętności, ale i za imponującą prezencję wojskową.

W środkowej części po lewej stronie siedział Albert Vögler, bystry, agresywny zwierzchnik przemysłu Rzeszy. Dzięki potężnej sylwetce kojarzył się natychmiast z burmistrzem jakiegoś miasteczka; miękkie, nalane rysy jego twarzy układały się najczęściej w grymas niedowierzania. Śmiał się często, lecz był to twardy śmiech, stanowiący jeden ze środków do osiągnięcia celu, a nie dowód rozbawienia. Znakomicie nadawał się na swoje stanowisko, nic bowiem nie sprawiało mu więcej przyjemności niż rozstrzyganie sporów między zwaśnionymi firmami przemysłowymi. Był także wyśmienitym mediatorem, a to dlatego, że zwykle obie strony jednakowo go się bały.

Miejsce naprzeciw Vöglera, trochę bliżej Altmüllera i Speera, zajmował Wilhelm Zangen, przewodniczący Związku Przemysłowców Niemieckich. Był to chorobliwie chudy człowiek o wąskich wargach i bez odrobiny poczucia humoru: wyniszczony szkielet, znajdujący przyjemność jedynie w swoich wykresach i tabelach. Był człowiekiem bardzo dokładnym, który - pod wpływem zdenerwowania, pocił się szczególnie na brzegu łysiejącego czoła, pod nosem i na brodzie. Teraz także się pocił, co chwila unosząc do twarzy chusteczkę, aby otrzeć nieprzyjemną wilgoć. Mimo swej aparycji był bardzo przekonującym dyskutantem, nigdy bowiem nie sprzeczał się nie dysponując niezbitymi faktami...

Wszyscy oni są właściwie bardzo przekonujący, pomyślał Speer. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie jego gniew, to potrafiliby go nawet zastraszyć - i najprawdopodobniej nie omieszkaliby tego uczynić. Albert Speer potrafił spojrzeć na siebie krytycznie i wiedział, że nie ma zbyt wielkich zdolności przywódczych. Wobec ludzi, którzy byli jego potencjalnymi przeciwnikami, miewał kłopoty z precyzyjnym i otwartym przedstawieniem swoich myśli, ale teraz ci potencjalni przeciwnicy znajdowali się w defensywie. Nie mógł

dopuścić do tego, żeby jego gniew wywołał wśród nich panikę, bo wtedy każdy będzie się starał zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Niemcy potrzebowały cudownego lekarstwa.

Należało uratować Peenemünde.

- Jak sądzisz, od czego powinniśmy zacząć! - zapytał Altmüllera przyciszonym głosem, żeby nie usłyszał go nikt inny.

- Moim zdaniem to nie ma żadnego znaczenia. I tak minie godzina hałaśliwych, nudnych, bezsensownych wyjaśnień, zanim dojdziemy do konkretów.

- Nie interesują mnie wyjaśnienia.

- W takim razie wymówki.

- A tym bardziej wymówki. Potrzebuję rozwiązania.

- Jeśli nawet znajdziesz je przy tym stole, w co, szczerze mówiąc, wątpię, to i tak musisz najpierw wytrzymać czczą gadaninę. Może jednak coś z tego wyjdzie. Chociaż to też nie wydaje mi się prawdopodobne.

- Mógłbyś to wyjaśnić?

Altmüller spojrzał Speerowi prosto w oczy.

- Wątpię, czy w ogóle istnieje jakiekolwiek rozwiązanie, a jeżeli nawet, to na pewno nie tutaj. Może jednak się mylę. Chyba mimo wszystko trzeba będzie ich wysłuchać.

- Dobrze. Czy mógłbyś zacząć od zagajenia, które przygotowałeś? Boję się, że ja straciłbym zaraz cierpliwość.

- Jeśli wolno mi coś zaproponować, to byłoby dobrze, gdybyś jednak stracił ją przynajmniej raz podczas tego spotkania - szepnął Altmüller. - Obawiam się, że nie da się tego uniknąć.

- Rozumiem.

Altmüller wstał i odsunął krzesło. Jedna za drugą grupki zgromadzone przy stole przerywały rozmowę.

- Panowie, to nadzwyczajne spotkanie zostało zwołane z przyczyn, o których, mam wrażenie, doskonale wiecie. A przynajmniej powinniście wiedzieć. Wszystko wskazuje na to, że jedynymi nie poinformowanymi osobami byli minister zbrojeń Rzeszy i personel ministerstwa. Minister uważa, że jest to oburzające. Krótko mówiąc, realizacja projektu Peenemünde napotkała najpoważniejsze przeszkody, z jakimi mieliśmy do tej pory do czynienia. Pomimo milionów, jakie są przeznaczone na to najważniejsze ze wszystkich przedsięwzięcie zbrojeniowe i pomimo wielokrotnie powtarzanych zapewnień waszych resortów, dowiadujemy się teraz, że w ciągu najbliższych tygodni produkcja może ulec całkowitemu wstrzymaniu. Na kilka miesięcy przed ustaloną datą przekazania pierwszych rakiet gotowych do użycia. Ta data nigdy nie była podawana w wątpliwość. Stanowiła centralny punkt wszystkich naszych planów strategicznych. Dostosowywano do niej działania całych armii. Od jej dotrzymania zależy zwycięstwo Niemiec... A teraz Peenemünde, a tym samym całe Niemcy, znalazły się w niebezpieczeństwie. Jeżeli przewidywania i materiały opracowane przez personel Ministerstwa Zbrojeń sprawdzą się, to przed upływem trzech miesięcy Peenemünde wyczerpie swoje zapasy diamentów przemysłowych, bez których niemożliwe byłoby kontynuowanie precyzyjnego obrabiania części.

W chwili kiedy Altmüller usiadł, na sali wybuchnął harmider podnieconych, gardłowych, domagających się uwagi głosów. Generał Leeb wymachiwał cygarniczką, jakby to była szabla; Albert Vögler, krzywiąc się i mrużąc otoczone fałdami tłuszczu oczy, położył

pulchne dłonie na stole i perorował donośnym, monotonnym głosem; Wilhelm Zangen posługiwał się chusteczką bezustannie, zbierając pot z czoła, warg i brody, jego piskliwy głos zaś się wyróżniał w sposób szczególny. Franz Altmüller nachylił się w kierunku Speera.

- Widziałeś kiedyś w zoo klatkę z rozwścieczonymi ocelotami? Dozorca nie powinien im pozwolić,

żeby rzuciły się na przęty. Proponuję, żebyś stracił cierpliwość nieco wcześniej, niż planowaliśmy. Na przykład teraz.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Nie mogą pomyśleć, że się ich boisz.

- Nie boję się - odparł Speer z ledwie widocznym uśmiechem. Podniósł się z miejsca. -

Panowie...

Głosy umilkły.

- Herr Altmüller wyraził się dosyć ostro chyba dlatego, że i ja w ten sposób rozmawiałem z nim dzisiaj rano, bardzo wcześnie rano. Problem, przed którym stanęliśmy, jest jednak na tyle poważny, że nie czas teraz na wzajemne oskarżenia. Nie mówię tego, żeby lekceważyć krytyczne aspekty sytuacji, podtrzymuję je bowiem w całej rozciągłości, ale gniew niczego tu nie rozwiąże. A nam potrzeba wyłącznie rozwiązań... Dlatego właśnie potrzebuję waszej pomocy - pomocy najświetniejszych umysłów w przemyśle i w armii Rzeszy. Przede wszystkim, rzecz jasna, musimy dokładnie poznać wszystkie szczegóły.

Zacniemy od Herr Vöglera. Czy, jako sprawujący pieczę nad przemysłem Rzeszy, mógłby pan poinformować nas o swoich ustaleniach?

Vögler sprawiał wrażenie przygnębionego; nie miał najmniejszej ochoty wypowiadać się jako pierwszy.

- Obawiam się, że nie będę w stanie wnieść zbyt wiele nowego, Herr Reichsminister.

Ja również bazuję na dostarczanych mi raportach. Wszystkie były optymistyczne i jeszcze do ubiegłego tygodnia nie było w nich żadnej wzmianki o jakichkolwiek trudnościach.

- Co pan rozumie przez słowo „optymistyczne”? - zapytał Speer.

- Zapasy diamentów przemysłowych miały być całkowicie wystarczające. Oprócz tego cały czas są prowadzone eksperymenty z proszkiem kamiennym, węglem i parafiną.

Nasz wywiad doniósł, że w Anglii potwierdzono teorię Hannaya-Moissana: diamenty były produkowane w ten sposób.

- Czy ktoś to sprawdził? - przerwał mu Altmüller tonem dalekim od grzecznego. - Nie przyszło wam na myśl, że ta informacja została nam celowo podsunięta?

- Weryfikacja danych należy do Wywiadu. Ja nie pracuję w Wywiadzie. Herr Altmüller.

- Proszę mówić dalej - wtrącił się Speer. - Co jeszcze?

- Anglicy i Amerykanie prowadzą wspólny eksperyment pod kierunkiem Bridgemanna. Poddają grafit ciśnieniu przekraczającemu sześć milionów funtów na cal kwadratowy; jak na razie nie wiemy nic, co by mogło świadczyć o ich sukcesie.

- A czy wiemy coś, co by mogło świadczyć o ich porażce? - zapytał uprzejmie Altmüller, unosząc w górę swe arystokratyczne brwi.

- Powtarzam po raz kolejny, że nie pracuję w Wywiadzie. Nie otrzymałem na ten temat żadnych informacji.

- Czy nie daje to do myślenia - spytał Altmüller, choć było to raczej stwierdzenie, a nie pytanie.

- Tak czy inaczej przypuszczał pan - odezwał się pośpiesznie Speer, zanim Vögler zdążył zareagować - że zapasy diamentów są wystarczające, czy tak?

- Wystarczające, a w każdym razie na pewno osiągalne, panie ministrze.

- Osiągalne? Jak pan to rozumie?

- Sądzę, że w tej kwestii więcej do powiedzenia będzie miał pan generał Leeb.

Leeb o mało nie upuścił cygarniczki z kości słoniowej. Altmüller zauważył jego zaskoczenie i wkroczył zdecydowanie.

- Herr Vögler, dlaczego miałby o tym wiedzieć akurat szef Zaopatrzenia Armii?

Pytam o to przez zwykłą ciekawość.

- Panowie, chodzi o raporty. Z tego, co wiem, zadaniem Szefostwa Zaopatrzenia jest między innymi ocena potencjału przemysłowego, rolniczego i mineralnego terytoriów okupowanych. A także tych, które dopiero mają być okupowane.

Ernst Leeb nie był całkiem zaskoczony. Na pewno był zaskoczony insynuacjami Vöglera, ale nie samym zagadnieniem. Skinął na swego adiutanta, który zaczął pośpiesznie przerzucać trzymane w pogotowiu dokumenty.

- Szefostwo Zaopatrzenia ma ostatnio ogromnie dużo zajęć, podobnie jak pański resort, Herr Vögler. Nie wiem, czy generał Leeb znalazł czas, żeby...

- Znalazłem - przerwał Speerowi Leeb. W porównaniu do mieszczańskiej gburowatości Vöglera jego wojskowe zachowanie i ton głosu jeszcze bardziej rzucały się w oczy. - Kiedy otrzymaliśmy informację od podwładnych Herr Vöglera, że kryzys jest nieunikniony, nie z naszej winy, ale nieunikniony, natychmiast zaczęliśmy szukać ewentualnych dróg wyjścia.

Franz Altmüller zasłonił usta dłonią, by ukryć mimowolny uśmiech. Zerknął na Speera, ale ten był

zbyt zirytowany, żeby dostrzec humorystyczne aspekty sytuacji.

- Cieszę się, generale, że na Szefostwie Zaopatrzenia można polegać w każdej sytuacji

- oznajmił Speer. Jako minister zbrojeń Rzeszy w ogóle nie polegał na wojskowych i miał

spore kłopoty z ukrywaniem takiego nastawienia. - A jakież są to drogi?

- Użyłem określenia „możliwości”, Herr Speer. Żeby ustalić, które z nich nadają się do praktycznej realizacji, będziemy potrzebowali znacznie więcej czasu.

- Dobrze więc: jakie są te możliwości?

- Istnieje środek zaradczy dający się zastosować od zaraz, środek mający już precedens historyczny. -

Leeb przerwał, aby zgasić papierosa. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że wszystkie oczy skierowane są w jego stronę. - Pozwoliłem sobie zwrócić się do Sztabu Generalnego z prośbą o dokonanie wstępnych analiz. Należałoby liczyć się z użyciem sił ekspedycyjnych w ilości nie przekraczającej czterech batalionów... Afryka. Kopalnie diamentów na wschód od Tanganiki.

- Co takiego?! - Altmüller aż nachylił się w jego kierunku; było widać, że z najwyższym trudem panuje nad sobą. - Pan chyba nie mówi poważnie?!

- Proszę o spokój!

Speer musiał powstrzymać swego przyjaciela. Jeżeli Leeb zadał sobie dość trudu, żeby przygotować projekt tak drastycznej akcji, to coś musiało w tym być. Żaden wojskowy nie proponowałby podobnego absurdu, zdając sobie sprawę z coraz mniejszej siły bojowej armii, topniejącej w zastraszającym tempie na froncie wschodnim i uginającej się pod naporem aliantów we Włoszech, gdyby nie miał realistycznej nadziei na sukces.

- Proszę mówić dalej, panie generale.

- Dokładniej rzecz biorąc, chodzi o kopalnie Williamsona w Mwadui, w centralnym regionie między obszarem Tanganiki i Zanzibaru. Rocznie wydobywa się w nich ponad milion karatów diamentów. Wywiad - który, nawiasem mówiąc, na moją prośbę przesyła mi regularne raporty - ocenia, że znajdują się w nich wielomiesięczne zapasy. Nasi agenci w Dar es-Salaam są przekonani, że taka akcja mogłaby zakończyć się powodzeniem.

Franz Altmüller podsunął Speerowi kartkę. Były na niej tylko trzy słowa: „On postradał zmysły”.

- Co to za historyczny precedens, o którym pan wspomniał? - zapytał Speer, zakrywając dłonią kartkę otrzymaną od Altmüllera.

- Wszystkie tereny na wschód od Dar es-Salaam należą prawnie do Trzeciej Rzeszy jako Niemiecka Afryka Zachodnia. Oddzielono je od ojczyzny po Wielkiej Wojnie. Sam Führer wypowiedział się na ten temat już przed czterema laty.

Wokół stołu zapanowało milczenie. Pełne zakłopotania. Nawet adiutanci starego żołnierza starannie unikali jego wzroku. Milczenie przerwał Speer.

- To raczej usprawiedliwienie, a nie precedens, panie generale - odpowiedział

spokojnie. Świat nie jest zainteresowany naszymi usprawiedliwieniami. Osobiście nie podoba mi się pomysł przemieszczania kilku batalionów na drugą półkulę, ale nie przeczę, że poruszył pan bardzo ważną kwestię. Może gdzieś bliżej, na przykład w Afryce Wschodniej, również udałoby się znaleźć diamenty?

Leeb spojrzął na swoich adiutantów. Wilhelm Zangen uniósł chusteczkę do nosa i skłonił lekko głowę w stronę generała.

- Ja panu odpowiem, Herr Reichsminister - odezwał się wysokim, pełnym irytacji głosem. - Mam nadzieję, że sam pan się przekona, jak bezsensowna jest ta dyskusja.

Sześćdziesiąt procent światowych zasobów diamentów znajduje się w Kongu Belgijskim.

Dwa podstawowe złoża to Kasai i Bakwanga, między rzekami Kanshi i Bushimaie.

Gubernatorem tych terenów jest Pierre Ryckmans, zwolennik belgijskiego rządu emigracyjnego w Londynie. Mogę zapewnić generała Leeba, że wpływy belgijskie w Kongu są znacznie większe, niż były kiedykolwiek nasze wpływy w Dar es-Salaam.

Leeb zapalił gniewnie papierosa. Speer oparł się głębiej w fotelu i zwrócił się bezpośrednio do Zangena:

- W porządku, sześćdziesiąt procent bortów. Co z karbonadami i całą resztą?

- Francuska Afryka Równikowa, całkowicie podporządkowana Wolnej Francji de Gaulle'a; Ghana i Sierra Leone, ściśle kontrolowane przez Anglię; Angola, kolonia portugalska o nienaruszalnej neutralności; Francuska Afryka Zachodnia, nie tylko pod panowaniem wolnych Francuzów, ale ze stacjonującymi tam oddziałami aliantów... Mieliśmy tam jedną, jedyną szansę, ale zaprzepaściliśmy ją półtora roku temu, kiedy rząd z Vichy oddał

Wybrzeże Kości Słoniowej. W Afryce, Herr Reichsminister, nie mamy żadnego wojskowego punktu zaczepienia.

- Rozumiem. - Speer bawił się podsuniętą mu przez Altmüllera kartką. - Czy w takim razie optuje pan za rozwiązaniem niemilitarnym?

- To jedyne, co nam pozostało. Pytanie tylko jakie? Speer odwrócił się do Altmüllera.

Wysoki, jasnowłosy mężczyzna spoglądał na twarze siedzących przy stole ludzi. Na wszystkich malował się wyraz zmieszania i niepewności.

11 września 1943, Waszyngton, D. C.

Generał brygady Alan Swanson wysiadł z taksówki i spojrzał na potężne, dębowe drzwi jednej z rezydencji w dzielnicy Georgetown. Wydawało mu się, że jadąc ulicami pośród niskich domów słyszy nieprzerwany łoskot werbli.

Wstęp do egzekucji.

Gdzieś wewnątrz tego arystokratycznego, wzniesionego z piaskowca i cegły, czteropiętrowego budynku znajdował się obszerny pokój, w którym zapadną decyzje o niezliczonych egzekucjach, nie związanych jednak z ludźmi, którzy tam będą.

Wstęp do zagłady.

Jeżeli zostaną dotrzymane wszystkie terminy. Nie do pomyslenia, żeby mogło być inaczej.

Masowe mordertwo.

Zgodnie z rozkazami, jakie otrzymał, rozejrzał się uważnie dokoła, aby upewnić się, czy nie jest śledzony. Idiotyzm! Przecież kontrwywiad i tak miał ich wszystkich pod ciągłą obserwacją. Który z przechodniów lub sunących wolno samochodów znajdował się tutaj wyłącznie z jego powodu? To nie miało znaczenia; wybór miejsca spotkania również był

niesamowitym idiotyzmem. Czyżby im się naprawdę wydawało, że zdołają - utrzymać kryzys w tajemnicy? Czy naprawdę myśleli, że pomoże cokolwiek organizowanie konferencji w odosobnionych rezydencjach Georgetown?

Durnie!

Nie zwracał uwagi na deszcz, lejący się z nieba strumieniami. Jesienna, waszyngtońska ulewa. Jego widoczna pod rozpiętym płaszczem marynarka munduru była mokra i pomarszczona. Swanson nawet tego nie zauważył; nie miał czasu myśleć o takich sprawach.

Jedyna rzecz, o której mógł myśleć, była zapakowana w metalowe pudełko o wymiarach siedem cali szerokości, pięć wysokości i mniej więcej stopę długości. Była tak skonstruowana, żeby nie przekraczać tych wymiarów, i już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie wytworu zaawansowanej technologii. Miała za zadanie działać opierając się na podstawowych zasadach bezwładności i precyzji.

Ale nie działała.

Każda kolejna próba kończyła się niepowodzeniem.

Z taśm produkcyjnych w rozrzuconych po całym kraju fabrykach wyjeżdżało właśnie dziesięć tysięcy bombowców B-17. Bez precyzyjnych, funkcjonujących na wielkich wysokościach za pomocą fal radiowych, żyroskopów mogły równie dobrze wszystkie zostać na ziemi!

A bez tych samolotów operacja Overlord stawała pod znakiem zapytania. Inwazja na Europę kosztowałaby tak wielką cenę, że przekroczyłaby wszelkie granice rozsądku.

Ale przecież użycie samolotów do całodobowych, zmasowanych nalotów na Niemcy bez zapewnienia im możliwości ucieczki na wielkie wysokości równałoby się skazaniu większości na zniszczenie, a ich załóg na śmierć. Nie brakowało przykładów, o których należy stale pamiętać, gdy potężne maszyny wzbiły się na zbyt wysoki pułap. Nie chodziło o błędy pilotów, ogień nieprzyjaciela ani o zmęczenie sprzętu - problem stanowiły wielkie wysokości. Nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu eskadra bombowców, wracających z nalotu na Bremerhaven, uciekła w górę przed ogniem nieprzyjaciela i - lecąc na maksymalnych obrotach przegrupowała się znacznie powyżej warstw tlenu. Z tego, co udało się ustalić, wynikało, że oszalały przyrządy nawigacyjne i cała eskadra runęła do morza w rejonie Dunbar w pobliżu wybrzeży Szkocji. Do lądu dotarł tylko jeden samolot, a patrole przybrzeżne wyłowiły trzech rozbitków; trzech z Bóg wie ilu, którym udało się uciec znad Bremerhaven. Ta jedyna maszyna, która zdołała dolecieć do lądu, eksplodowała podczas próby awaryjnego lądowania na obrzeżach jakiegoś miasteczka. Nikt nie ocalał.

Niemcy staczali się już po równi pochyłej, prowadzącej ku klęsce, ale wcale nie mieli zamiaru łatwo się poddać. Byli gotowi do kontruderzenia. Podziałała lekcja, którą otrzymali w Rosji; generałowie Hitlera byli przygotowani. Zrozumieli, że ich jedyną nadzieją na osiągnięcie kapitulacji innej niż bezwarunkowa było to, żeby zwiększyć koszty zwycięstwa aliantów do tego stopnia, aby wstrząsnęły one wyobraźnią i obudziły sumienie ludzkości.

Wtedy doszłoby do porozumienia.

Takie rozwiązanie było nie do przyjęcia dla aliantów. Bezwarunkowa kapitulacja oto cel polityczny trójki sojuszniczej tak głęboko zakodowany, że nikt nie odważyłby się go zmienić. Wszystkie kraje ogarnęło gorączkowe dążenie do całkowitego zwycięstwa, podsycane jeszcze przez ich przywódców. A teraz przywódcy stanęli nagle przed ślepą ścianą i mogli się jedynie zdobyć na heroiczne słowa, że trzeba będzie jeszcze pogodzić się ze stratami.

Swanson ruszył w górę po schodach. Jakby na hasło drzwi otworzyły się i stojący za nimi major zasalutował, wpuszczając go do środka. W hallu stało w postawie „spocznij” kilku podoficerów w mundurach wojsk desantowych; Swanson rozpoznał naszywki batalionu Rangersów. Ministerstwo Wojny zatroszczyło się o efektowny wystrój sceny.

Sierżant zaprowadził Swansona do niewielkiej windy o azurowych, metalowych drzwiach, która zawiozła go dwa piętra w górę. Generał wyszedł na korytarz. Rozpoznał

twarz pułkownika, który czekał na niego przy drzwiach znajdujących się na końcu krótkiego korytarza, ale nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska; wiedział tylko, że był związany z Wydziałem Tajnych Operacji i starał się nie rzucać w oczy.

- General Swanson? - zapytał oficer salutując. - Jestem pułkownik Pace.

Swanson skinął głową i wyciągnął rękę.

- Ed Pace, prawda?

- Tak jest, sir.

- A więc wyciągnęli pana z podziemi. Nie sądziłem, że to pańskie terytorium.

- Bo nie jest, sir. Tyle tylko, że miałem okazję poznać ludzi, z którymi pan się spotka.

Sprawdzenie wiarygodności.

Swanson uśmiechnął się.

- Widząc pana przekonali się, że to poważna sprawa.

- Jestem pewien, że poważna, tylko nie wiem, czego dotyczy.

- Ma pan szczęście. Kto tam jest?

- Howard Oliver z Meridian, Jonathan Craft z Packarda i Spinelli, naukowiec z ATCO.

- Co za miłe towarzystwo, wręcz nie mogę się doczekać. Kto przewodniczy? Na Boga, przecież musi być choć jeden po naszej stronie!

- Vandamm.

Usta Swansona złożyły się jak do przeciągłego gwizdnięcia; pułkownik skinął

aprobując głową. Frederic Vandamm był podsekretarzem stanu i, jak głosiły plotki, najbliższym współpracownikiem Cordella Hulla. Jeżeli ktoś chciał dotrzeć do Roosevelta, to najlepsza droga prowadziła przez Hulla; jeśli akurat ta droga była zamknięta, należało szukać Vandamma.

- Potężna artyleria - zauważył Swanson.

- Craft i Oliver mało nie zemdleli, kiedy go zobaczyli. Spinelli jest cały czas w błędnym widzie; on nawet Pattona wzięłby za odźwiernego.

- Nie znam Spinello, ale o nim słyszałem. Podobno jest najlepszym specem od żyroskopów. Olivera i Crafta znam aż zbyt dobrze; moim zdaniem nie powinno się ich dopuścić nawet do atlasu drogowego.

- Niewiele można zrobić, jeśli to ich drogi, sir - powiedział pułkownik wzruszając ramionami. Było jasne, że zgadza się z oceną Swansona.

- Mogę panu coś podpowiedzieć, Pace. Craft uchylił się od służby wojskowej, a Oliver handlował

kradzionym mięsem.

- Ma go jeszcze sporo na sobie - roześmiał się cicho pułkownik.

Swanson zdjął płaszcz.

- Jeśli usłyszysz pan strzały, pułkowniku, to znaczy, że to ja się zabawiam. Proszę sobie wtedy pójść na spacer.

- Rozkaz, generale. Od tej chwili przestaję cokolwiek słyszeć - odparł Pace, otwierając przed nim drzwi.

Swanson wszedł szybkim krokiem do pokoju. Była to biblioteka, w której wszystkie meble poprzesuwno pod ściany, na samym środku zaś ustawiono duży, konferencyjny stół.

U jego szczytu siedział siwowłosy, arystokratyczny Frederic Vandamm, po jego lewej stronie otyły, łysiejący Howard Oliver, przed którym piętrzył się stos papierów. Naprzeciwko Olivera siedzieli Craft i niski, ciemnowłosy mężczyzna w okularach - bez wątpienia Gian Spinelli.

Puste krzesło naprzeciwko Vandamma było najwyraźniej przeznaczone dla Swansona.

- Przepraszam za spóźnienie, panie ministrze. Może udałoby mi się go uniknąć, gdybym wziął służbowy samochód, a tak miałem trochę kłopotów ze znalezieniem taksówki.

Panowie...

Pozostała trójka skinęła głowami: Craft i Oliver mruknęli coś pod nosem, a Spinelli tylko spojrział na niego zza grubych szkieł okularów.

- Proszę o wybaczenie, panie generale Swanson - odezwał się Vandamm pewnym głosem, z lekkim akcentem angielskim, zdradzającym wykształcenie poparte grubymi pieniędzmi. - Z oczywistych przyczyn nie chcieliśmy, żeby nasze spotkanie odbyło się w jednym z budynków rządowych, a w razie gdyby wyszło na jaw, żeby przywiązywano do niego jakąkolwiek wagę. Nie muszę panu mówić, że obecność w Ministerstwie Wojny któregośkolwiek z tych dżentelmenów natychmiast wywołałaby lawinę plotek, podobnie jak widok służbowych samochodów, pędzących przez ulice Waszyngtonu. Proszę mnie nie pytać, dlaczego, ale one nigdy nie jeżdżą z normalną prędkością. Mam nadzieję, że pan się ze mną zgadza?

Swanson odwzajemnił się siwowłosemu mężczyźnie równie znaczącym spojrzeniem.

Vandamm nie jest głupi, pomyślał. Może niepotrzebnie wspomniął o taksówce, ale Vandamm zrozumiał, o co chodzi, i odpowiednio to wykorzystał, ostrzegając go przed ich rozmówcami.

Na czas tego spotkania trzej siedzący po bokach stołu mężczyźni byli ich wrogami.

- Zachowałem najdalej idącą dyskrecję, panie ministrze.

- Jestem tego pewien. Czy możemy przejść do rzeczy? Pan Oliver zwrócił się do mnie z prośbą, żeby pozwolono mu rozpocząć od ogólnej informacji na temat sytuacji, w jakiej znajduje się Meridian Aircraft.

Swanson przyglądał się, jak gruby, obarczony wielkim podgardlem mężczyzna porządkuje swoje notatki. Nie znosił Olivera, było bowiem w nim coś obrzydliwie żarłocznego. Był także zręcznym manipulatorem, od których w ostatnich latach aż roiło się w Waszyngtonie; czerpali z wojny olbrzymie zyski, dysponując prawdziwą potęgą i ustalając wszystkie warunki.

Spomiędzy tłustych warg Olivera wydobył się chrapliwy głos.

- Dziękuję panu. My w Meridian Aircraft odnosimy wrażenie, że... hipotetyczna powaga obecnej sytuacji przesłoniła nasze dotychczasowe, faktyczne osiągnięcia. Samolot, o który chodzi, udowodnił ponad wszelką wątpliwość swoje znakomite możliwości. Nowa, udoskonalona Forteca jest już gotowa do działań operacyjnych; pozostał jedynie do rozwiązania problem wielkich wysokości.

Oliver przerwał nagle i położył pulchne dłonie na swoich notatkach; powiedział

wszystko, co miał do powiedzenia. Craft skinął z aprobatą głową, po czym obaj spojrzeli w kierunku Vandamma. Gian Spinelli cały czas nie spuszczał z Olivera swoich brązowych, powiększonych przez okulary, oczu.

Alan Swanson był zdumiony - nie tyle zwięzłością wypowiedzi, co naiwnością zawartego w niej kłamstwa.

- Jeśli ma to być prezentacja pańskiego stanowiska, to dla mnie jest ona całkowicie nie do przyjęcia. Samolot, o którym mowa, nie udowodnił swoich możliwości, nie jest bowiem zdolny do lotu na wysokościach przewidzianych w zamówieniu rządowym.

- Jest gotowy do działań operacyjnych - powtórzył Oliver.

- I nic poza tym. Nie wykona żadnego zadania, dopóki nie będzie mógł przelecieć z punktu A do punktu B na wysokości przyjętej w zamówieniu.

- Która jest tam określona jako „zamierzone maksimum”, panie generale Swanson -

odpalił Oliver z przymilnym uśmiechem, w którym można się było dopatrzeć wszystkiego, z wyjątkiem uprzejmości.

- Co to ma znaczyć, do diabła? - zapytał Swanson spoglądając na Vandamma.

- Pan Oliver ma na myśli możliwość różnych interpretacji tego sformułowania.

- Nie mam zamiaru się tym zajmować.

- Ale ja muszę - odezwał się Oliver. - Ministertwo Wojny odmówiło przekazania umówionej zapłaty. Mamy kontrakt, który...

- Więc podpiszcie go sobie z kimś innym!

- Gniew niczego nie rozwiąże - zareagował natychmiast Vandamm.

- Przepraszam, panie ministrze, ale nie jestem tu po to, żeby omawiać „możliwość różnych interpretacji kontraktu”.

- Niestety, obawiam się, że będzie pan musiał, panie generale. - Głos Vandamma był

znowu spokojny. - Wypłata została wstrzymana na podstawie pańskiej negatywnej opinii; nie wyraził pan zgody na to.

- A muszę? Ten samolot nie spełnia naszych oczekiwań, i to wszystko.

- Spełnia oczekiwania, które zostały zawarte w kontrakcie - odparł Oliver, zwracając swoją nalaną twarz w stronę generała. - Może pan być pewny, panie generale Swanson, że wszystkie nasze wysiłki są skoncentrowane na skonstruowaniu systemu nawigacyjnego, który umożliwiłby osiągnięcie zamierzonego maksimum wysokości. Jesteśmy przekonani o tym, że wkrótce osiągniemy przełom. Zanim to jednak nastąpi, oczekujemy, że zostaną dotrzymane ustalenia kontraktu. My ze swej strony dotrzymaliśmy.

- Czy pan proponuje, żebyśmy wzięli go w takim stanie, w jakim jest?

- To jest w tej chwili najlepszy bombowiec na świecie - odezwał się Jonatan Craft.

Jego wysoki, delikatny głos nie nadał słowom takiej wagi, jakiej oczekiwał. Uniósł dłoń w geście, który, w jego imieniu, miał tę wagę umocnić.

Swanson zignorował go, koncentrując swoje zainteresowanie na drobnej twarzy i nienaturalnie wielkich oczach Spinellego.

- Co z żyroskopami, panie Spinelli? Może mi pan powiedzieć coś na ten temat?

- Użyjcie istniejących już systemów - wtrącił się Howard Oliver. - Wprowadźcie samoloty do akcji.

- Nie! - ryknął z wściekłością Swanson; niech sobie Vandamm mówi, co chce. - Nasze plany strategiczne przewidują całodobowe naloty na najodleglejsze rejony Niemiec. Ze wszystkich lotnisk znanych i nieznanych. Z Anglii, Włoch, Grecji, z baz w Jugosławii i Turcji, z lotniskowców na Morzu Śródziemnym, a nawet na Czarnym. W powietrzu znajduje się jednocześnie tysiące maszyn, które zapchają na amen wszystkie istniejące korytarze powietrzne. Potrzebujemy większych wysokości i urządzeń, które umożliwią tam dokładną nawigację. Wszystko, co nie spełnia tych wymagań, nie wchodzi w grę! Proszę o wybaczenie, panie ministrze, ale wydaje mi się, że moje zdenerwowanie

jest usprawiedliwione.

- Rozumiem pana - powiedział posiwiąły Vandamm. - Wszyscy znaleźliśmy się tutaj po to, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie... a także pieniądze. - Utkwił spojrzenie w Crafcie. -

Czy z punktu widzenia Packarda może pan dodać coś do wypowiedzi pana Olivera?

Craft rozplatał swoje długie, wypielęgnowane palce i nabrał głęboko powietrza w płuca, jakby szykował się do wygłoszenia jakiejś fundamentalnej prawdy. Głos z sali, obliczony na zyskanie przychylności przewodniczącego, pomyślał Swanson.

- Oczywiście, panie ministrze. Jako główny kooperant Meridian Aircraft jesteśmy, podobnie jak pan generał, w najwyższym stopniu zaniepokojeni brakiem pomyslnych rezultatów podczas prób nawigacyjnych. Nie szczędzimy wysiłków, żeby to zmienić.

Najlepszym dowodem jest obecność tutaj pana Spinello. W końcu to właśnie my włączyliśmy do sprawy ATCO. - Craft zdobył się na heroiczny, ale i smutny uśmiech. - Jak wszyscy wiedzą, ATCO jest najsolidniejszym... i najdroższym ze wszystkich możliwych kontrahentów. Mimo to na niczym nie oszczędziliśmy.

- Zwróciliście się do ATCO, bo wasze laboratoria nie mogły poradzić sobie z problemem - przerwał mu nonszalancko Swanson. - Zwiększonymi kosztami obciążyliście Meridian, a oni z kolei obciążyli nas. Rzeczywiście, na niczym nie oszczędzaliście, bo nic nie wydawaliście.

- Mój Boże, panie generale! - wykrzyknął Craft bez większego przekonania. - A czas, a negocjacje... Czas to pieniądz, proszę pana, nie można o tym zapominać. Mogę panu pokazać...

- Zdaje się, że to mnie generał zadał pytanie. Chciałbym na nie odpowiedzieć.

Słowa te wypowiedział niepozorny naukowiec mówiący językiem zawierającym pewne naleciałości regionalne, który albo nie zwrócił uwagi na bezsensowną gadaninę Craffa, albo o niej natychmiast zapomniał, albo też dokonał w jakiś sposób obydwu tych rzeczy naraz.

- Będę panu bardzo zobowiązany, panie Spinelli.

- Postęp, jakiego dokonujemy, nie jest może błyskawiczny, ale odbywa się nieprzerwanie lub ciągle, jak pan woli to określić. Problemy są poważne. Sądzymy, że zaburzenia w rozchodzeniu się fal radiowych na różnych wysokościach mają związek z różnicami temperatur i niejednorodnym ukształtowaniem masy lądów. Rozwiązanie leży bez wątpienia w korygowanej na bieżąco kompensacji. Prowadzone przez nas eksperymenty coraz bardziej zawężają pole poszukiwań. Posuwalibyśmy się naprzód dużo szybciej, gdyby nam stale nie przeszkadzano.

Gian Spinelli zamilkł i zwrócił spojrzenie swoich groteskowo powiększonych oczu w stronę Olivera, którego gruby kark i nalana twarz nagle aż poczerwieniały z gniewu.

- My na pewno wam nie przeszkadzaliśmy!

- Ani nie Packard! - zawtórował mu Craft. - Byliśmy w codziennym kontakcie, ale nigdy nie narzucaliśmy się z pytaniami.

Spinelli zwrócił się do Crafta.

- Wszystkie wasze „zapytania”, tak samo jak Meridiana, dotyczyły wyłącznie spraw budżetowych.

- To absurd! Jeśli nawet przeprowadzaliśmy jakieś dociekania finansowe, to tylko na życzenie komisji kontroli finansowej naszego kontrahenta!

- I jedynie wtedy, kiedy to było absolutnie konieczne! - Oliver nie był w stanie ukryć wściekłości, jaką wywołał w nim ów mały Włoch. - Wy... naukowcy, nie umiecie się pogodzić, jesteście jak dzieci!

Przez następne trzydzieści sekund trzech mężczyźni gadali w podnieceniu jeden przez drugiego. Swanson spojrzał porozumiewawczo na Vandamma, który skinął lekko głową.

Oliver pierwszy zorientował się, że wpadli w pułapkę, i uniósł władczy gestem dłoń uciszając dyskusję.

- Panie ministrze - powiedział, starając się zapanować nad gniewem - nie chciałbym, żeby z powodu naszej małej sprzeczki odniósł pan niewłaściwe wrażenie. Nasze działanie przynosi jednak konkretne efekty.

- Nie tym razem - odparł Swanson. - Pamiętam doskonale wasze zapewnienia podczas starania się o kontrakt. To były jedyne efekty, które jak dotąd udało się wam osiągnąć.

Oliver spojrzał na niego i generał odniósł wrażenie, że czułby się teraz znacznie pewniej, gdyby miał broń w ręku. Przedstawiciel Meridian Aircraft był bliski wybuchu.

- Opieraliśmy się na obliczeniach naszych pracowników - wycedził Oliver z nie ukrywaną wrogością w głosie. - Wydaje się, że wojskowi mają swój udział w pomysłach naszego personelu.

- U nas szeregowcy nie planują operacji strategicznych.

- Panie Oliver - odezwał się podnieconym głosem Vandamm. - Przypuśćmy, że generał Swanson uznałby, że nie ma potrzeby wstrzymywania funduszy... Jaki termin mógłby pan wówczas zaproponować?

Oliver zwrócił się do Spinellogo.

- Jak pan uważa? - zapytał lodowatym tonem.

Skryte za powiększającymi szklami okularów oczy skierowały się na sufit.

- Jeśli mam być szczery, to nie jestem w stanie udzielić wiążącej odpowiedzi. Równie dobrze możemy znaleźć rozwiązanie w przyszłym tygodniu albo w przyszłym roku.

Swanson wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki zmiętą kartkę papieru i rozprostował ją przed sobą na stole.

- Według ostatniej odpowiedzi, jaką otrzymaliśmy z ATCO, po udoskonaleniu samego systemu będziecie jeszcze potrzebować sześciu tygodni, aby przeprowadzić testy na poligonie w Montanie.

- Zgadza się, panie generale. Sam to dyktowałem - potwierdził Spinelli.

- Sześć tygodni od przyszłego tygodnia. Albo od przyszłego roku. A zakładając, że testy zakończą się pomyślnie, jeszcze miesiąc na wyposażenie samolotów.

- Tak.

Swanson zwrócił się bezpośrednio do Vandamma.

- W świetle tego, co usłyszeliśmy, panie ministrze, nie ma innego wyjścia, jak tylko zmienić najważniejsze plany. Nie będziemy w stanie dotrzymać terminu.

- Nie ma mowy, panie generale Swanson. Musimy dotrzymać. Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie prosto w oczy. Obydwaj doskonale wiedzieli, o jaką stawkę toczy się gra. *Overlord*. Inwazja na Europę.

- Trzeba to przełożyć na później, proszę pana.

- Niemożliwe, panie generale.

Swanson spojrzał na trzech mężczyzn siedzących po obu stronach stołu. Wrogowie.

- Będziemy w kontakcie, proszę panów - powiedział.

12 września 1943, Kraj Basków, Hiszpania

Dawid Spaulding czekał, ukryty w cieniu sękatego pnia grubego drzewa, rosnącego na skalistym zboczu wąwozu. Powietrze, jak zwykle o tej porze roku w Kraju Basków, było chłodne i przesycone wilgocią. Stał zwrócony tyłem do popołudniowego słońca, rzucającego swe promienie na okoliczne wzgórza. Kilka lat temu - czasem wydawało mu się, że co najmniej przed tysiącem lat, ale to nie była prawda - nauczył się rozpoznawać błysk słońca odbijającego się w metalowych, lśniących częściach broni. Jego karabin miał lufę pomazaną zwęglonym korkiem.

Cztery.

Dziwne, ale kiedy tak wpatrywał się przed siebie, wciąż przychodziła mu na myśl ta cyfra.

Cztery.

Dokładnie cztery lata i cztery dni temu. Również to dzisiejsze popołudniowe spotkanie było umówione punktualnie na godzinę czwartą.

Cztery lata i cztery dni temu za szklaną ścianą nowojorskiego studia radiowego zobaczył po raz pierwszy wyprasowane, brązowe mundury. Cztery lata i cztery dni temu podszedł do tej ściany, żeby wziąć swój leżący na krześle płaszcz i zorientował się, że spokojny, zimny wzrok starszego wiekiem i rangą oficera jest wymierzony właśnie w niego.

Młodszy mężczyzna unikał jego spojrzenia, ale nie można było tego powiedzieć o pułkowniku.

Przyglądał mu się.

Od tego się zaczęło.

A teraz, badając wzrokiem wąwóz w poszukiwaniu oznak jakiegoś ruchu, zastanawiał się, kiedy to się skończy. Czy będzie jeszcze żył, żeby być tego świadkiem?

W każdym razie miał taki zamiar.

Kiedyś, przy drinku w barze Mayflower w Waszyngtonie, nazwał to kieratem. Fairfax rzeczywiście zasługiwało na takie określenie, ale nie przypuszczał wówczas, że wciąż będzie aktualne: zwariowany, obracający się bez przerwy kierat.

Czasem co najwyżej zwalniał. Od czasu do czasu wymagało tego bezustanne napięcie fizyczne i psychiczne; on sam musiał poznać, kiedy nadchodził odpowiedni moment. Na przykład wtedy, kiedy stawał się zbyt nieostrożny lub pewny siebie. Albo wówczas, gdy zbyt lekko podejmował decyzje, które miały kosztować czyjeś życie.

Lub jego własne życie.

Takie decyzje przychodziły zbyt łatwo. Nieraz przerażało go to. Potwornie przerażało.

W takich chwilach wyjeżdżał na dalekie, południowe wybrzeże Portugalii, gdzie mieszkający w luksusowych enklawach bogacze nie dopuszczali do siebie świadomości jakiegokolwiek wojny. Albo niespodziewanie odwiedzał w Costa del Santiago swoich zdumionych rodziców. Albo chronił się w zakamarkach ambasady w Lizbonie, dając się wciągnąć pozbawionemu jakiegokolwiek znaczenia wirowi dyplomacji neutralnej. Attaché wojskowy pomniejszego kalibru, który nigdy nie pokazuje się w mundurze. Na zewnątrz nikt tego nie oczekiwał, lecz co innego w samej ambasadzie. Mimo to nie nosił go i nikt nie zwracał na to specjalnej uwagi. Nie był zbyt lubiany, za łatwo bowiem nawiązywał kontakty towarzyskie i miał zbyt wielu znajomych jeszcze sprzed wojny. Najczęściej po prostu go ignorowano, może z leciutką domieszką lekceważenia.

Wtedy właśnie wypoczywał. Zmuszał się, żeby o niczym nie myśleć, i starał się odzyskać siły.

Cztery lata i cztery dni temu nie mogło być nawet mowy o takich myślach.

Teraz powracały niemal bez przerwy, ilekroć mógł sobie na nie pozwolić.

W tej chwili akurat nie mógł.

W wąwozie wciąż nie było widać ani śladu poruszenia. Coś się nie zgadzało. Zerknął

na zegarek; grupa z San Sebastian spóźniała się znacznie bardziej, niż należało się spodziewać. To nie było normalne spóźnienie, nie dalej bowiem jak przed sześcioma godzinami francuski ruch oporu podał przez radio informację, że wszystko jest w porządku, nie było żadnych komplikacji, i że grupa wyruszyła już w drogę.

Kurierzy z San Sebastian mieli przynieść zdjęcia niemieckich lotnisk znajdujących się na północ od Mont-de-Marsan. Stratedzy z Londynu domagali się ich już od miesięcy.

Uzyskanie tych zdjęć kosztowało życie czterech... znowu ta przeklęta czwórka., utajnionych agentów.

Jeśli już coś miało pójść niezgodnie z planem, to raczej w drugą stronę. Kurierzy powinni byli czekać na człowieka z Lizbony.

I wtedy zobaczył to, może jakieś pół mili od niego; po przeciwnej stronie wąwozu, powyżej jego krawędzi, na jednym z miniaturowych wzgórz. Błyski.

Sporadyczne, ale w równych odstępach czasu. Stałe przerwy wskazywały na ich celowość, nie przypadkowość.

Sygnał, nadawany do niego przez kogoś, kto niewątpliwie znał dokładnie jego metody działania. Może nawet przez kogoś, kogo on sam wyszkolił. Ostrzeżenie.

Spaulding przewiesił karabin przez plecy, po czym ściągnął ramię tak mocno, że broń stała się

niemal częścią jego ciała. Na biodrze czuł ciężar kabury; była na miejscu, pistolet także. Odepchnął się od powyginanego pnia drzewa i pomknął chyłkiem na szczyt kamienistego zbocza.

Znalazłszy się na grzbiecie skręcił w lewo, w wysoką trawę, w kierunku dogorywającego sadu z gruszkami. Na ziemi siedzieli tam mężczyźni w ubraniach pokrytych zaschniętym błotem, w całkowitym milczeniu rzucając na przemian nożem. Usłyszawszy jego kroki sięgnęli błyskawicznie po leżącą w zasięgu ręki broń.

Spaulding nakazał im gestem, żeby zostali na ziemi, po czym zbliżył się i zapytał po hiszpańsku:

- Czy któryś z was wie, kto jest w tej grupie?

- Zdaje się, że Bergeron - odparł jeden z mężczyzn. - I chyba Chivier. Staruszek wie, o co chodzi, od czterdziestu lat zajmuje się szmugłem przez granicę.

- W takim razie to musi być Bergeron - powiedział Spaulding.

- A co się stało? - zapytał drugi mężczyzna.

- Widziałem sygnały. Spóźnili się i któryś z nich wykorzystał resztki słońca, żeby zwrócić naszą uwagę.

- Może chcieli tylko powiadomić, że już idą - zauważył ten, który odezwał się jako pierwszy, chowając nóż do pochwy.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne. I tak czekalibyśmy jeszcze co najmniej kilka godzin. - Spaulding uniósł się nieco i spojrzał na wschód. - Chodźcie, przeniesiemy się nad samą krawędź. Stamtąd będziemy mieli wszystko na oku.

Trzej mężczyźni pojedynczo, ale nie tracąc się nawzajem z oczu, pomknęli skrajem pola o długości około czterystu jardów. Spaulding zatrzymał się za niewielką skałką, wysuniętą nieco poza urwisko, i zaczął czekać na swoich kompanów. Od falującej w dole wody dzieliło go około stu stóp. Kurierzy z San Sebastian jak zwykle będą ją przekraczali mniej więcej dwieście jardów na zachód stąd, przez wąski, płytki przesmyk.

Po kilkunastu sekundach byli znowu razem.

- Mieli kierować się na to stare drzewo, przy którym stałeś, prawda? - zapytał jeden z mężczyzn.

Tak - odparł Spaulding, wyjmując lornetkę z przytroczonego do pasa futerału. Była bardzo mocna, z zeissowskimi szklami, najlepsza, jaką produkowano w Niemczech.

Wcześniej należała do jakiegoś Niemca, zabitego nad rzeką Tejo.

- Więc po co tu zeszedliśmy? W razie jakichś problemów stamtąd miałbyś lepszy punkt obserwacyjny.

- Jeśli mają kłopoty, to również o tym pomyślą i skręcą na wschód. Gdyby poszli na zachód, zaczęliby się oddalać od umówionego punktu. Zresztą, może masz rację. Może rzeczywiście chcieli tylko dać znać, że nadchodzą?

Nie dalej niż dwieście jardów od nich, dokładnie na zachód od wąskiego przejścia, pojawili się dwaj ludzie. Hiszpan klęczący po lewej stronie Spauldinga dotknął jego ramienia.

- To Bergeron i Chivier - szepnął.

Spaulding uniósł dłoń, nakazując mu milczenie, i zaczął przesuwać powoli lornetkę, przyglądając się okolicy. Nagle zamarł. Wpatrywał się w jeden punkt, ale po chwili skinął

ręką, by zwrócić uwagę swych towarzyszy na tamto miejsce.

Poniżej, w odległości co najwyżej pięćdziesięciu jardów, czterech żołnierzy w mundurach Wehrmachtu przedzierało się przez gęstą roślinność, kierując się w stronę wody wypełniającej dno wąwozu.

Spaulding ponownie skierował lornetkę na dwóch Francuzów, którzy właśnie przeprawiali się na drugi brzeg. Oparł dłoń o skałę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w las, z którego wyszli, aż wreszcie dostrzegł to, na czym mu zależało.

Piąty Niemiec, tym razem oficer, przyczajony w plątaninie krzaków i niższych gałęzi, trzymał na muszce karabinu dwóch przechodzących przez wodę mężczyzn.

Spaulding podał szybko lornetkę jednemu z Hiszpanów.

- Z tyłu, za Chivierem - szepnął.

Mężczyzna spojrział we wskazanym kierunku, po czym podał lornetkę swemu rodakowi.

Każdy z nich wiedział, co należy zrobić; nie musieli nawet ustalać metody. Wszystko zależało od precyzji i doskonałego zgrania w czasie. Spaulding wyciągnął z pochwy krótki bagnet. Jego dwaj towarzysze uczynili to samo, a następnie wszyscy trzej wychylili się ostrożnie zza skały i obserwowali żołnierzy Wehrmachtu.

Czterej Niemcy, stanąwszy wobec konieczności przeprawy przez wodę, wzburzoną dość silnym prądem i sięgającą do pasa, przywiązali sobie karabiny poziomo do ramion i ruszyli jeden za drugim. Otwierający pochód szedł powoli, sprawdzając najpierw ostrożnie głębokość wody.

Spaulding oraz dwaj Hiszpanie wyslizgnęli się zza skały i zaczęli zsuwać się w dół

zbocza, korzystając z ochrony gęstej roślinności i szumu wypełniającego przestrzeń między stromymi ścianami. Nie minęło nawet pół minuty, kiedy, kryjąc się za połamanymi krzakami i gałęziami drzew, znaleźli się około trzydziestu stóp bezpośrednio za wermachtowcami, schowanymi za koronami obalonych sosen. Dawid ostrożnie wszedł do wody jako pierwszy.

Z ulgą zauważył, że zamykający pochod żołnierz, od którego dzieliło go zaledwie piętnaście stóp, z najwyższym trudem utrzymuje równowagę na śliskich kamieniach zalegających dno.

Uwaga pozostałych, oddalonych jeden od drugiego o mniej więcej dziesięć jardów, była zaprzątnięta bez reszty Francuzami znajdującymi się w górze strumienia.

Faszysta zauważył Spauldinga; w jego oczach odmalowało się zdumienie i strach. Ten ułamek sekundy był wszystkim, czego Dawid potrzebował. Rzucił się błyskawicznie na żołnierza przebijając mu gardło bagnetem i wepchnął jego głowę pod wodę, która natychmiast zabarwiła się szkarłatną czerwienią.

Nie było czasu, ani sekundy do stracenia. Dawid pozwolił odpłynąć bezwładnemu ciału i zobaczył, że dwaj Hiszpanie znajdują się na brzegu dokładnie na jego wysokości.

Pierwszy z nich, przyczajony za stertą kamieni, skinął w kierunku Niemca idącego na przedzie, drugi zaś pokazał głową tego, który szedł za nim. Trzeci należał do Spauldinga.

Uwinęli się szybciej, niż Bergeron i Chivier zdążyli dotrzeć na drugi brzeg. Trzy nieruchome ciała odpłynęły z prądem, objijając się o skały i znacząc wodę strużkami krwi.

Spaulding dał znak, że wszyscy muszą przejść na północny brzeg. Po chwili pojawił

się obok niego jeden z Hiszpanów; z głębokiej rany na jego prawej dłoni płynęła obficie krew.

- Nic ci nie jest? - zapytał szeptem Spaulding.

- Nóż mi się zsunął. Zgubiłem go. - Zaklął po cichu.

- Idź na farmę Valdero, żeby cię opatrzyli.

- Sam to sobie zabandażuję. Nic mi nie będzie.

Dołączył do nich drugi Hiszpan. Drgnął na widok rany, co było dość dziwną reakcją u kogoś, kto przed chwilą poderznął gardło człowiekowi, o mało nie ucinając mu przy tym głowy.

- Brzydko to wygląda - powiedział.

- Jesteś niezdolny do działania. Nie mamy czasu na dyskusje - dodał Spaulding...

- Mogę...

- Nie możesz. - Ton głosu Dawida nie dopuszczał najmniejszego sprzeciwu. - Wracaj do Valdero. Zobaczymy się za tydzień lub dwa. Znikaj, ale tak, żeby cię nikt nie widział!

- W porządku. - Hiszpan był przygnębiony, ale nie ulegało wątpliwości, że musi podporządkować się poleceniu Amerykanina. Odwrócił się i bezszelestnie ruszył na wschód.

- Dziękuję - powiedział Spaulding trochę głośniej, aby szum strumienia nie zagłuszył

jego słów. - Dobra robota.

Hiszpan uśmiechnął się i zniknął między drzewami, ściskając zranioną rękę w przegubie.

Dawid dotknął ramienia drugiego Hiszpana, który z nim pozostał, i kazał mu iść za sobą. Wspiął się nieco wyżej i zatrzymał przy pniu zwalonego drzewa, którego korona była zanurzona w strumieniu. Kryjąc się za nim, szepnął do swego towarzysza:

- Chcę mieć go żywego. Muszę go przesłuchać.

- Ja to załatwię.

- Nie, ja. Pamiętaj, że nie wolno ci strzelać. Za nim może być patrol ubezpieczający.

Spaulding zauważył, że słuchający go Hiszpan z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Wiedział dlaczego: mówił po hiszpańsku z naleciałościami kastylijskimi i do tego jeszcze z lekkim, cudzoziemskim akcentem. W Kraju Basków tego typu mieszanka była zupełnie nie na miejscu.

Podobnie jak i on sam.

- Jak sobie życzysz, przyjacielu - odparł Hiszpan. - Czy chcesz, żebym poszedł

naprzód i zawiadomił Bergerona? Już chyba oszalał z niepewności.

- Nie, jeszcze nie teraz. Zaczekaj, aż będziemy zupełnie bezpieczni. Nie bój się o niego, będzie po prostu szedł naprzód. - Dawid ostrożnie wychylił głowę zza pnia i ocenił

odległość. Od niemieckiego oficera dzieliło ich około sześćdziesięciu jardów. - Pójdę za nimi i rozejrzę się, czy nie ma jeszcze kogoś. Jeśli tak, to wrócę i spróbujemy się stąd wyślizgnąć, a jeśli nie, to go drapnę. Gdyby mnie usłyszał, na pewno będzie uciekał w kierunku wody.

Wtedy możesz się nim zająć.

Hiszpan skinął głową. Spaulding sprawdził rzemień, którym był przywiązany karabin, i pożegnał swego podwładnego krótkim uśmiechem. Zdążył jeszcze zauważyć, że jego ręce opierają się na ziemnym potężnym szponie; gdyby oficer Wehrmachtu zmierzał w tę stronę, to nie miałby szans, żeby się wydostać z tych szponów - pomyślał Dawid.

Prześlizgnął się szybko i bezszelestnie między drzewa. Poruszał się niczym pierwotny myśliwy, omijając zdradliwe szeleszczące gałązki i grożące obsunięciem kamienie.

W ciągu niespełna trzech minut udało mu się przybliżyć do Niemca o trzydzieści jardów, nieco z jego lewej strony. Schował się za drzewem, wyciągnął lornetkę i dokładnie rozejrzał się dookoła; nikogo

nie zauważył. Wycofał się ostrożnie, starając się maksymalnie wtopić w otoczenie.

Kiedy znalazł się dziesięć stóp od oficera Wehrmachtu, wyciągnął pistolet i odezwał się po niemiecku:

- Nie ruszaj się, bo rozwalę ci łeb!

Faszysta odwrócił się, usiłując nieporadnie wyciągnąć broń z kabury. Spaulding podskoczył błyskawicznie, wytrącił mu ją z ręki kopnięciem, a drugie kopnięcie wycelował w głowę, oficer bowiem nie zamierzał posłuchać polecenia. Czapka z wygiętym daszkiem potoczyła się po zboczu, na skroni Niemca pojawiła się szybko rozszerzająca się strużka krwi, on sam zaś osunął się bez przytomności na ziemię.

Spaulding nachylił się i szarpnął nim z całej siły, odrywając guziki munduru. Pod marynarką z dystynkcjami porucznika znajdowała się wodoodporna saszetka, przytroczona do przecinającego ukosem pierś pasa. Dawid rozpiął suwak i wydobyl z niej to, co spodziewał się tam znaleźć.

Zdjęcia tajnych obiektów Luftwaffe na północ od Mont-de-Marsan, a także fotokopie amatorskich szkiców, w których na pewno brakowało wielu szczegółów, ale mimo wszystko były to ich dosyć dokładne plany. Zostały odebrane Bergeronowi, który potem wprowadził

Niemca w pułapkę.

Gdyby Dawidowi udało się je rozpracować, poinformowałby Londyn, że oddziały ruchu oporu będą w stanie same dokonać niezbędnych zniszczeń, które uniemożliwią Luftwaffe korzystanie z lotniska i znajdujących się na nim urządzeń, a następnie sam zorganizowałby tę akcję.

Ludzie, odpowiedzialni w dowództwie alianckim za organizację nalotów, mieli na tym punkcie chybia. Z nieba spadała ulewa bomb, zamieniających w zgliszcza nie tylko sam cel, ale także wszystko dokoła w znacznym promieniu; przy okazji ginęło tyle samo niewinnych ludzi, co nieprzyjaciół. Gdyby Spauldingowi udało się zapobiec nalotom na Mount-de-Marsan, to może, choć pośrednio, uczyniłby zadość decyzji, którą teraz musiał podjąć.

Wśród wzgórz Galicji, Kraju Basków nie było ani jeńców, ani obozów internowania.

Ten porucznik Wehrmachtu, który okazał się tak niefortunnym myśliwym, a który zapewne przed wojną mieszkał wraz z rodziną w jakimś spokojnym miasteczku, musiał

umrzeć, a on, człowiek z Lizbony, miał wykonać wyrok. Ocuci go, przesłucha, żeby stwierdzić, jak głęboko udało się Niemcom zinfiltrować organizacje podziemne z San Sebastian, a potem zabije go.

Ów oficer Wehrmachtu bowiem widział człowieka z Lizbony i później mógłby go rozpoznać jako

Dawida Spauldinga.

Fakt, że śmierć będzie litościwie szybka - zupełnie inna od tej, jaka spotkałaby Niemca z rąk partyzantów - stanowił dla Dawida niewielką pociechę. Wiedział, że w chwili, kiedy naciśnie spust, świat nagle zawiruje mu w oczach, a on sam poczuje nudności i będzie walczyć ze swoim, porażonym obrzydzeniem, ciałem.

Ale nie da tego poznać po sobie. Nic nie zrobi, nie powie ani słowa. Dzięki temu legenda będzie rosła, a kierat kręcić się dalej.

Człowiek z Lizbony, bezlitosny morderca.

20 września 1943, Mannheim, Niemcy

Wilhelm Zangen dotknął chusteczką brody, następnie górnej wargi, a wreszcie wysokiego czoła. Jego twarz pociła się jeszcze bardziej niż zwykle, w zagłębieniu zaś między ustami a brodą pojawiła się wysypka, zaogniona codziennym goleniem i nieustannym pocieraniem.

Piekły go policzki, a wcale niemałe zakłopotanie pogłębiły jeszcze ostatnie słowa Franza Altmüllera:

- Naprawdę, Wilhelmie, powinieneś pójść do lekarza. To paskudnie wygląda.

Powiedziawszy to z nie zobowiązującym zatroskaniem, Altmüller wstał z miejsca i ruszył w kierunku drzwi. Szedł wolno, celowo trzymając teczkę zawierającą dokumenty w wyciągniętej ręce, jakby znajdowały się w niej zarazki jakiejś nieznanej choroby.

Byli sami. Altmüller odprawił grupę uczonych stwierdzając, że niestety nie może dostrzec żadnego postępu. Nie pozwolił nawet, żeby on, sprawujący w imieniu Rzeszy pieczę nad przemysłem niemieckim, podziękował naukowcom za ich współpracę i wysiłek.

Altmüller zdawał sobie sprawę z tego, że to najwybitniejsze umysły w całych Niemczech, ale nie miał pojęcia, jak należy z nimi postępować. Byli wrażliwi, na swój łagodny sposób bardzo kapryśni i potrzebowali ciągłych pochwał, a on nie miał dość cierpliwości ani taktu.

Tym bardziej, że jednak był pewien postęp.

Laboratoria Kruppa uzyskały niemal stuprocentową pewność, że rozwiązania należy szukać w eksperymentach z grafitem. Już niemal od miesiąca warsztaty doświadczalne w Essen pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ich szefowie odzwyczaili się niemal od snu. Udało im się nawet uzyskać cząsteczki, stanowiące pochodne węgla, co do których byli pewni, że wykazują właściwości niezbędne do zastosowania w obróbce precyzyjnej.

Reszta była już tylko kwestią czasu, niezbędnego dla otrzymania większych cząsteczek, które będzie można wykorzystać w istniejących urządzeniach.

Franz Altmüller wysłuchał raportu zespołu Kruppa bez najmniejszych nawet oznak entuzjazmu, chociaż w świetle przedstawionych okoliczności należało oczekiwać choćby odrobiny zainteresowania. Kiedy rzecznik zespołu badawczego zakończył swoje wprowadzenie, Altmüller zadał tylko jedno pytanie, i to najbardziej znudzonym tonem, jaki można sobie wyobrazić:

- Czy te... cząsteczki poddano działaniom obciążeń, które będą musiały wytrzymać podczas obróbki?

- Oczywiście, że nie! Przecież to niemożliwe! Owszem, wystawiono je na działanie zastępcze, sztucznego ciśnienia, i nic ponadto.

Taka odpowiedź nie mogła zostać zaakceptowana. Altmüller odprawił najwspanialsze, twórcze

umysły Rzeszy nawet bez jednego słowa podziękowania, a tylko ze źle maskowaną wrogością.

- Panowie, przyszliście do mnie ze słowami, a my nie potrzebujemy słów, tylko diamentów. Musimy je mieć w ciągu najbliższych tygodni. Dwa miesiące to maksimum, na jakie możemy sobie pozwolić. Proponuję, żebyście wrócili do swoich laboratoriów i poważnie zastanowili się nad naszym problemem. Żegnam panów.

To było okropne!

Kiedy uczeni wyszli, Altmüller stał się jeszcze bardziej nieznośny.

- Wilhelmie, czy na tym ma właśnie polegać to nie wymagające użycia siły wojskowej rozwiązanie, o którym wspominałeś ministrowi zbrojeń? - zapytał przepelnionym odrazą głosem.

Dlaczego nie wymienił nazwiska Speera? Czy uważał, że może straszyć go tytułami?

- Oczywiście. Z pewnością znacznie bardziej realne od tego szalonego rajdu w głąb Konga. Kopalnie nad rzeką Bushimaie! Wariactwo!

- Porównanie nie ma sensu. Przeceniłem cię, obdarzając znacznie większym zaufaniem, niż na to zasługujesz. Oczywiście, zdajesz sobie sprawę z tego, że zawiodłeś. - Z

całą pewnością to nie było pytanie.

- Nie zgadzam się z twoją opinią. Wciąż czekamy na wyniki. Nie możesz tak mnie oceniać.

- Mogę i właśnie to zrobiłem! - Altmüller uderzył z całej siły dłonią w stół i rozległ się głośny trzask, kiedy miękkie ciało zetknęło się z twardą powierzchnią. Niewybaczalna obraza. - Nie mamy czasu! Nie możemy tracić całych tygodni, podczas których te pacany bawią się swoimi palnikami, produkując kamyki rozpadające się przy pierwszym kontakcie ze stalą! Potrzebujemy odpowiedniego produktu!

- Będziesz go miał! - Pokryta nie ogolonym zarostem broda Zangena lśniła od potu. -

Najwspanialsze umysły Niemiec...

- ...wciąż eksperymentują - dokończył za niego Altmüller z pogardą. - Dajcie nam produkt. To rozkaz! Przecież te renomowane, działające od wielu lat firmy muszą mieć wielu przyjaciół, także za granicą.

Wilhelm Zangen otarł chusteczką brodę; pieczenie stawało się nie do wytrzymania.

- Zbadaliśmy te możliwości. Nic z tego.

- Więc zbadajcie je jeszcze raz. - Altmüller wskazał swoim eleganckim palcem chusteczkę Zangena. - Naprawdę, Wilhelmie, powinieneś pójść do lekarza. To paskudnie wygląda.

24 września 1943, Nowy Jork

Jonathan Craft przystanął na chwilę pod jedną z latarni na Park Avenue i spojrzął na zegarek. Jego długie, szczupłe palce drżały wyraźnie - ostatnia pozostałość po zbyt wielu kieliszkach martini, które przestał pić równe dwadzieścia cztery godziny temu w Ann Arbor.

Tak się złożyło, że przez ostatnie trzy dni był bezustannie pijany. Ani razu nie zajrzał do biura, bo jego widok natychmiast przypominał mu o generale Alanie Swansonie, a nie był w stanie znieść tego wspomnienia. Teraz będzie musiał.

Była za piętnaście dziewiąta; jeszcze kwadrans i wejdzie do domu oznaczonego numerem 800, uśmiechnie się do portiera i skieruje prosto do windy. Nie chciał przyjść za wcześnie, a nie miał odwagi się spóźnić. Był tam do tej pory siedem razy, a każdy pobyt wspominał jak koszmar sen. Zawsze z tego samego powodu: zawsze przynosił złe nowiny.

Mimo to potrzebowali go. Był bez zarzutu. Jego rodzina miała stare, porządne pieniądze, a on uczęszczał do odpowiednich szkół i na najlepsze przyjęcia. Miał dostęp do kręgów zarówno towarzyskich, jak i instytucjonalnych - o których zwykły handlarz mógłby tylko marzyć. Nieważne, że utknął na jakiś czas w Ann Arbor: to tylko chwilowy kryzys, jedna z niedogodności czasu wojny. Poświęcenie.

Jak tylko to cholerstwo się skończy, natychmiast wraca do Nowego Jorku, na Giełdę.

Tego wieczoru nie wolno mu o tym zapomnieć, już za kilka minut bowiem będzie musiał powtórzyć wszystko, co wyrzeszczał do niego Swanson w jego biurze u Packarda.

Opisał tę rozmowę... nieprawdopodobną rozmowę... w poufnym raporcie, który wysłał do Olivera z Meridian Aircraft.

„Jeśli naprawdę zrobiliście to, co podejrzewam, to zostaniecie oskarżeni o zdradę!

Wojna już się zaczęła!”

Swanson.

Szaleństwo.

Ciekawe, ilu ich tam będzie; najlepiej, żeby co najmniej kilkunastu, bo wtedy zaczną się kłócić między sobą, a o nim zapomną. Nie zapomną tylko informacji, którą im przyniósł.

Chodził w tę i z powrotem po ulicy, oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Minęło dziesięć minut.

„Zostaniecie oskarżeni o zdradę!

Wojna już się zaczęła!”

Zegarek wskazywał za pięć dziewiątą. Wszedł do budynku, uśmiechnął się do portiera, podał windziarzowi piętro i wkrótce znalazł się w hallu prywatnej przybudówki nad ostatnią kondygnacją.

Lokaj wziął od niego płaszcz i zaprowadził go na koniec hallu, a potem po trzech stopniach w dół, do obszernego salonu.

Znajdowali się w nim tylko dwaj mężczyźni. Craft poczuł w żołądku ostre, bolesne ukłucie - instynktowna reakcja, spowodowana częściowo faktem, że to nadzwyczaj ważne spotkanie odbędzie się w tak nielicznym gronie, a częściowo widokiem Waltera Kendalla.

Kendall pozostawał zawsze w cieniu spełniając rolę animatora kukiełek, niewidocznego dla publiczności. Liczył sobie około pięćdziesięciu lat, był średniego wzrostu, miał przerzedzone, nie myte włosy, zgrzytliwy głos i nijaki, lichego wyglądu. Jego oczy znajdowały się w ciągłym ruchu, nigdy nie patrzył wprost na rozmówcę. Uważano powszechnie, że myśli ma wiecznie zaprzątnięte najróżniejszymi planami i kontrplanami, jedynym zaś celem jego życia jest przechytrzenie wszystkich dookoła; nie miało najmniejszego znaczenia, czy byli to wrogowie, czy przyjaciele, Kendall bowiem nie dzielił

ludzi na takie kategorie.

Wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu, byli jego przeciwnikami.

Jednak to, co robił, robił znakomicie. Dopóki udało mu się utrzymać go w cieniu, dokonywane przez niego manipulacje dobrze służyły jego klientom i przysparzały mu ogromnych pieniędzy, które, sądząc po źle dopasowanych, wymiętoszonych garniturach, skrzętnie ciułał. Zawsze trzymano go w cieniu, a jego pojawienie się zwiastowało wszędzie niechybnie poważny kryzys.

Jonathan Craft gardził Kendallem, ponieważ się go bał.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, należało tu się spodziewać drugiego człowieka; był nim Howard Oliver, otyły negocjator kontraktów między Ministerstwem Wojny a Meridian Aircraft.

- Nie spóźnił się pan - zauważył lakonicznie Walter Kendall zajmując miejsce w fotelu i wyciągając dokumenty ze stojącej na podłodze, obskurnej teczki.

- Witaj, Jon. - Oliver podszedł do niego i uściśnął mu pospiesznie dłoń.

- Gdzie reszta? - zapytał Craft.

- Nikt nie chciał przyjść - odparł Kendall, rzucając ukradkowe spojrzenie na Olivera. -

Howard musiał, a mnie za to płacą. Przyjemną miał pan rozmowę z tym Swansonem.

- Czytał pan mój raport?

- Czytał - odpowiedział za Kendalla Oliver, nachylając się nad ustawionym w kącie małym stolikiem na kółkach, na którego miedzianym blacie stała bateria butelek i szklanek.

- I ma pytania.

- Wydaje mi się, że opisałem wszystko dostatecznie...

- Chodzi o inne pytania przerwał mu Kendall zgniatając w palcach ustnik papierosa, który następnie włożył do ust. Kiedy zapalił zapalną, Craft podszedł do stojącego naprzeciw doradcy dużego, obitego pluszem krzesła i usiadł. Oliver nalał sobie whisky, ale pozostał w kącie.

- Jeśli chcesz się czegoś napić, Jon, to możesz się nie krępować - powiedział.

Na wzmiankę o alkoholu Kendall podniósł znad papierów swoje oczy fretki.

- Nie, dziękuję - odparł Craft. - Chcę załatwić to jak najszybciej.

- Jak chcesz. - Oliver przeniósł wzrok na doradcę. - W takim razie pytania.

- Ten Spinelli z ATCO, widział się pan z nim po ostatniej rozmowie ze Swansonem? -

zapytał Kendall, wydmuchując dym nosem.

- Nie. Bez instrukcji i tak nie mógłbym mu nic powiedzieć. Jak pan wie, zadzwoniłem do Howarda, a on kazał mi napisać raport i czekać.

- Craft jest tubą w stosunku do ATCO. Nie chciałem, żeby ganiał tam i usiłował

wszystko załagodzić - dodał Oliver. - Wyglądałoby na to, że próbujemy coś przed nimi ukryć.

- Bo tak jest. - Kendall wyjął papierosa z ust, strząsnął popiół na spodnie i zaczął

powoli przekładać papiery trzymane na kolanach. - Przypomnijmy sobie zarzuty Spinello, tak jak je przedstawił Swanson.

Zwięźle i krótko przytoczył wszystkie poruszone kwestie: opóźnienia w dostawach, przeniesienia personelu, przetrzymywanie planów i kilka innych zarzutów mniejszego kalibru. Craft, kiedy mógł, odpowiadał równie zwięźle, kiedy nie mógł, przyznawał się od razu do ignorancji. Nie miał powodu, żeby cokolwiek ukrywać.

On nie wydawał poleceń, tylko je wykonywał.

- Czy Spinelli jest w stanie poprzeć te zarzuty dowodami? Nie oszukujmy się, to prawdziwe zarzuty, nie żadne skargi.

- Co znowu za zarzuty? - parsknął Oliver. - To on, ta doświadczalna świnia, wszystko spieprzył! Kim on jest, żeby stawiać nam jakieś zarzuty?

- Uspokój się - rzucił Kendall chrapliwym głosem. - Oszczędź sobie przedstawień.

Zachowaj je dla komisji Kongresu, chyba że uda mi się coś wymyślić.

Po tych słowach Kendalla Craft ponownie poczuł znów bolesne ukłucie w żołądku.

Jakakolwiek perspektywa niełaski, nawet taka, w którą byłby wpłątany jedynie pośrednio, zrujnowałyby jego życie. Życie, które miał zamiar spędzić w Nowym Jorku. Ci finansowi prostacy, ci... ci „handlarze” nigdy tego nie rozumieją.

- To chyba mała przesada...

Kendall spojrzał na niego.

- Nie słyszał pan Swansona? To wcale nie przesada. Dostaliście kontrakt na Fortece, ponieważ zobowiązaliście się spełnić wszystkie wymagania.

- Chwileczkę! - zawołał Oliver. - Z prawnego punktu widzenia...

- Pieprzę twój prawny punkt widzenia! wrzasnął Kendall, zagłuszając jego protest. -

Uzgadnialiście to z moją firmą, ze mną osobiście. Wiem, co naobiecowaliście. Inne firmy odpadły, bo nie odważyły się powiedzieć tego, co wy. Ani Douglas, ani Boeing, ani Lockheed. Byliście głodni, więc dostaliście żreć, a teraz nawalacie. Wracając do sprawy, czy Spinelli może w jakiś sposób poprzeć swoje zarzuty?

- Niech to szlag trafi! - warknął Oliver i skierował się do baru.

- Nie bardzo rozumiem... Jak to poprzeć? - wyjąkał Craft czując, jak żołądek skręca mu się w agonii.

- To znaczy, czy krążą gdzieś jakieś pisma, w których byłaby chociaż część tych rzeczy? - Kendall postukał w plik papierów.

- No... - Craft zawahał się, ból był nie do wytrzymania. - Kiedy wysyłano polecenia w sprawie przeniesienia poszczególnych osób, to...

- Odpowiedź brzmi... tak - przerwał mu z obrzydzeniem w głosie Oliver, nalewając sobie drinka.

- A cięcia w funduszach?

- Udało się ukryć - odparł ponownie Oliver. - Zamówienia Spinellego gdzieś po prostu zaginęły w szufladach biurowych,

- Nie podniósł wrzasku? Nie zaczął wysyłać ponagleń?

- To już działka Crafta - powiedział Oliver, wychylając jednym haustem swoją whisky. - Spinelli był jego pupilem.

- A więc? - Kendall przeniósł wzrok na Crafta.

- No... przysyłał nam sporo pism. - Craft pochylił się do przodu, żeby zmniejszyć ból w żołądku, a jednocześnie stworzyć pozory pełnej zaufania konspiracji. - Wszystkie wyrzuciłem.

- O Boże. - Kendall spojrział przelotnie na sufit. - Gównu mnie obchodzi, co zniszczyłeś! On i tak ma kopie. Daty?

- Trudno mi powiedzieć, ale...

- Nie pisał tego sam, prawda? Może wyrzuciłeś również jego pieprzone sekretarki?

- Nie musi się pan od razu tak unosić...

- Unosić! Zabawny jesteś. Ja się unoszę, a dla ciebie już może szykują twarzowy pasiak w więzieniu federalnym w Leavenworth - parsknął Kendall i skoncentrował uwagę na Oliverze. - Swanson ma hak i powiesi cię na nim, Howard. Nie trzeba być prawnikiem, żeby o tym wiedzieć. Zataiłeś prawdę. Chciałeś użyć starych instrumentów nawigacyjnych.

- Tylko dlatego, że ta laboratoryjna świnka dostarczyła mi na czas nowych żyroskopów.

- Oszczędzając ci jednocześnie kilkaset milionów dolarów. Powinieneś pozłocić taką pompę, a nie wstrzymywać dopływ wody. Teraz jesteście jak tłuste kaczki na jarmarcznej strzelnicy. Nawet ślepiec może was strącić bez trudu.

Oliver odstawił szklanę.

- Nie za to ci płacimy, Walter - mówił powoli. - Mam nadzieję, że to nie wszystko, co masz do powiedzenia?

Kendall zdusił zmaltretowanego papierosa, brudząc swoje nie domyte paznokcie popiołem.

- Nie - odparł. - Potrzebujecie kogoś, znajdujecie się w bardzo niewygodnym położeniu. Będzie was kosztowało, ale nie macie wyboru. Musicie wszystkich skrzyknąć i dogadać się z nimi: Sperry Rand, General Motors, Chrysler, Lockheed, Douglas, Rolls-Royce... Musicie dotrzeć do każdego sukinsyna, który dysponuje odpowiednim laboratorium i uruchomić ogólnonarodowy, awaryjny program badawczy. Dajcie im wszystkie materiały, udostępnicie wszystko, cokolwiek będą chcieli.

- Złupią nas bez litości! - ryknął Oliver. - Miliony!

- Jeśli tego nie zrobicie, będzie was to kosztowało dużo więcej... Ja przygotuję wstępne raporty finansowe. Tak je pogmatwam, że minie dziesięć lat, zanim ktoś się w tym rozezna. To, oczywiście, również będzie kosztowało. - Kendall uśmiechnął się szeroko, obnażając żółtkłe zęby.

Howard Oliver przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w niechlujnego referenta.

- To szaleństwo - odezwał się wreszcie. - Wydamy fortunę na coś, czego i tak nie można kupić, bo to nie istnieje.

- Ale ty powiedziałeś Swansonowi coś innego, i to z takim przekonaniem, na jakie nie byłoby stać nikogo, oprócz ciebie. Najpierw roztoczyłeś upojne wizje swoich możliwości, a kiedy nic z tego nie wyszło, zacząłeś się wymigiwać. Swanson ma rację. W sojuszu z takimi, jak ty, nie wygrywa się wojen. Może rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby cię rozstrzelali?

Jonathan Craft patrzył na niechlujnego, uśmiechniętego księgowego o zaniedbanych zębach i czuł, że zbiera mu się na wymioty. Ale Kendall był ich jedyną nadzieją.

25 września 1943, Stuttgart, Niemcy

Wilhelm Zangen stał przy oknie wychodzącym na stuttgarcki Reichsrieg Platz, ocierając chusteczką swoją piekącą, spoconą brodę. Bomby oszczędziły tę część miasta, pozostawiając nienaruszone luksusowe rezydencje. W oddali widać było rzekę Neckar toczącą dostojne swe wody, obojętną na zniszczenia, jakie dotknęły dzielnice usytuowane na jej drugim brzegu.

Zangen uświadomił sobie, że wszyscy czekają na to, by odpowiedział von Schnitzlerowi, który zabrał głos w imieniu I. G. Farben. Dwaj pozostali mężczyźni oczekiwali jego słów z takim napięciem, jak von Schnitzler. Nie było sensu przeciągać sprawy, musiał

wypełnić polecenia Altmüllera.

- Laboratoria Kruppa zawiodły nas. Bez względu na to, co mówi Essen, nie ma już czasu na eksperymenty. Ministerstwo Zbrojeń dało mi do zrozumienia przez Altmüllera, który jest prawą ręką Speera, że minister obarcza was odpowiedzialnością.

- Jak to możliwe? - zapytał z gniewem von Schnitzler. - W jaki sposób możemy być odpowiedzialni za coś, o czym nic nie wiemy? To nielogiczne! Śmieszne!

- Czy mam przekazać tę opinię ministrowi?

- Dziękuję, sam to mogę zrobić - odparł von Schnitzler. - Farben nie bierze w tym udziału.

- Wszyscy bierzemy w tym udział - powiedział spokojnie Zangen.

- Co pan przez to rozumie? - zapytał Heinrich Krepps, dyrektor Schreibwaren, największego koncernu wydawniczego w Niemczech. - Nasza współpraca z Peenemünde równała się praktycznie zeru, a to, co było, utajniono aż do przesady. Tajemnica to jedno, okłamywanie samego siebie to drugie. Proszę nas do tego nie mieszać, panie Zangen.

- Już jesteście w to wmieszani.

- Nie mogę się z panem zgodzić. Zapoznałem się ze wszystkimi dokumentami dotyczącymi naszej współpracy z Peenemünde.

- Być może do niektórych nie miał pan dostępu.

- Absurd!

- Możliwe. Mimo to...

- Tego typu zarzut na pewno nie może się odnosić do mnie - odezwał się Johann Dietricht, zniewieściał, czterdziestoparoletni spadkobierca imperium Dietricht Fabriken.

Jego rodzina przyczyniła się znacznie do wspomnienia funduszy Narodowych Socjalistów.

Kiedy ojciec i wuj umarli, Johannowi pozwolono zarządzać interesami, chociaż w rzeczywistości nie miał zbyt wiele do powiedzenia. - U nas nie może się zdarzyć nic, o czym natychmiast bym nie wiedział. Nie mamy nic wspólnego z Peenemünde!

Wykrzywił w uśmiechu tłuste wargi; przymrużone oczy świadczyły o nadużywaniu alkoholu, a częściowo zrosnięte brwi o specyficznych upodobaniach seksualnych. Zangen nienawidził Dietricha; ten osobnik - na pewno nie mężczyzna - był czymś obrzydliwym, co przynosiło wstyd całemu przemysłowi niemieckiemu. Nie ma sensu przeciągać sprawy, pomyślał jeszcze raz Zangen. Dla Kreppsa i von Schnitzlera z pewnością nie będzie to zbyt wielkie zaskoczenie.

- W zakładach Dietricha dzieje się wiele rzeczy, o których nie ma pan najmniejszego pojęcia. Od samego początku wasze laboratoria współpracują z Peenemünde w badaniach nad chemicznymi materiałami wybuchowymi.

Dietrich pobladł wyraźnie.

- O co właściwie chodzi, Herr Zangen? - wtrącił się Krepps. - Czy wezwał nas pan tylko po to, żeby nas obrażać i powiedzieć nam, że nie panujemy nad naszymi firmami? Nie znam zbyt dobrze pana Dietricha, ale mogę pana zapewnić, że ani von Schnitzler, ani ja nie jesteśmy marionetkami.

Von Schnitzler cały czas przyglądał się uważnie Zangenowi, obserwując jego manipulacje z chusteczką. Zangen nerwowo otarł po raz kolejny brodę.

- Przypuszczam, że dysponuje pan szczegółowymi informacjami, takimi jak ta, którą podzielił się pan przed chwilą z panem Dietrichem, a które mogłyby udokumentować pańskie twierdzenia.

- Owszem.

- Uważa pan więc, że nie byliśmy informowani o pewnych działaniach, podejmowanych na terenie naszych fabryk?

- Tak.

- W takim razie, jak możemy być za to odpowiedzialni? Pańskie oskarżenia są czystym szaleństwem!

- Ale mają pewien praktyczny cel.

- Pan chyba nie wie, co mówi! - wykrzyknął Dietrich, odzyskawszy mowę. Zangen go uraził.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że się z tym zgadzam - powiedział Krepps, jakby poparcie słów jawnego homoseksualisty budziło w nim odrazę, ale inaczej nie mógł postąpić.

- Panowie, czy mam wam wszystko narysować? Przecież to wasze firmy! I. G. Farben dostarczyło osiemdziesiąt trzy procent wszystkich substancji chemicznych niezbędnych do rakiet. Schreibwaren wydrukowało każdy, najmniejszy nawet skrawek planów. Z fabryk Dietricha wyszła większość składników materiałów wybuchowych. Obecnie stanęliśmy w obliczu kryzysu. Jeśli go nie przezwyciężymy, nie pomogą wam żadne tłumaczenia o niewiedzy. Powiem nawet więcej, w samym ministerstwie, a także gdzie indziej, są ludzie, którzy zaprzeczają, jakoby ukrywano przed wami jakiegokolwiek informacje, i powiedzą, że - po prostu - schowaliście głowy w piasek. Szczerze mówiąc, nawet ja sam nie jestem pewien, czy przypadkiem nie jest tak naprawdę.

- To kłamstwo! - wrzasnął Dietrich.

- Absurd! - dodał Krepps.

- Ale obrzydliwie poręczny - podsumował cicho von Schnitzler, cały czas uważnie przyglądając się Zangenowi. - Więc to właśnie chciał nam powiedzieć Altmüller, prawda?

Albo wykorzystamy wszystkie nasze środki, żeby znaleźć rozwiązanie, albo będziemy odpowiadać przed ministerstwem za niepowodzenie projektu, prawda?

- Nie tylko przed ministerstwem, także przed Führerem i całą Rzeszą.

- Ale co mamy zrobić? - zapytał przerażonym szeptem Johann Dietrich.

Zangen pamiętał dokładnie słowa Altmüllera.

- Wasze firmy działają już od wielu lat, zarówno samodzielnie, jak i w większych korporacjach. Od Bałtyku po Morze Śródziemne, od Nowego Jorku po Rio de Janeiro, od Arabii Saudyjskiej po Johannesburg.

- Również w Szanghaju, na Malajach, w Australii i na Morzu Tasmana - dodał półgłosem von Schnitzler.

- To nas nie interesuje.

- Tak myślałem.

- Czy pan sugeruje, panie Altmüller, że rozwikłanie problemu Peenemünde należy szukać w naszych dawnych powiązaniach? - Von Schnitzler pochylił się ku przodowi w swym fotelu kładąc ręce na stole i koncentrując na nim wzrok.

- To poważny kryzys. Nie można zaprzepaścić żadnej szansy. Zapewnimy wszelkie ułatwienia w nawiązaniu kontaktów.

- Nie wątpię. Dlaczego uważa pan, że zostaną nawiązane? - Ciągnął dalej szef I. G.

Farben.

- Ze względu na zyski - odparł Zangen.

- Dostyc trudno będzie z nich korzystać, stojąc przed plutonem egzekucyjnym. - Von Schnitzler podniósł się i wyjrzał zamyślony przez okno.

- Pan mówi o ewentualności ujawnienia pewnych transakcji, mnie zaś chodzi raczej o rezultaty, które można osiągnąć nie zawierając ich.

- Mógłby pan to wyjaśnić? - zapytał Krepps nie podnosząc wzroku.

- Istnieje około dwudziestu pięciu możliwych do zaakceptowania źródeł diamentów technicznych, możliwych do zaakceptowania w tym sensie, że istnieje szansa uzyskania od razu całej potrzebnej ilości. Afryka, Ameryka Południowa, jedno lub dwa miejsca w Ameryce Środkowej. Wszystkie kopalnie działają pod ścisłym nadzorem Amerykanów, Brytyjczyków, wolnych Francuzów, Belgów, i tak dalej. Dostawy są dokładnie kontrolowane, miejsca przeznaczenia starannie ustalane i badane. Istnieje jednak możliwość podania błędnego adresu lub zmiany trasy, na przykład na terenie jakiegoś neutralnego państwa, z powodu niekompetencji lub zwykłego, ludzkiego błędu. Nikt nie mówi o zdradzie.

- Nadzwyczaj opłacalnego błędu - podsumował von Schnitzler.

- Otóż to - zgodził się Wilhelm Zangen.

- Tylko gdzie można znaleźć takich ludzi? - zapytał swoim piskliwym głosem Johann Dietrich.

- Wszędzie - odparł Heinrich Krepps. Zangen otarł brodę chusteczką.

29 listopada 1943, Kraj Basków, Hiszpania

Spaulding biegł wzdłuż podnóża pagórka tak długo, aż zobaczył znak, który stanowiły zrosnięte gałęzie dwóch drzew. Skręcił w prawo i skierował się pod górę, odliczając w przybliżeniu 125 jardów, po czym zwolnił, skręcił w lewo i ostrożnie, ściskając mocno w dłoni pistolet, przeszedł na zachodnie zbocze.

Posuwając się powoli, rozglądał się w poszukiwaniu skały, jednej z wielu na tym usianym gładzi wzgórzu galicyjskim, z wyrytym tuż nad ziemią symbolem; to było miejsce, do którego miał dotrzeć.

Znalazł je zwróciwszy najpierw uwagę na połamane źdźbła wysokiej, górskiej trawy.

Przykucnął i spojrzął na zegarek; druga czterdzieści pięć.

Zjawił się piętnaście minut za wcześnie, dokładnie tak, jak planował. Za kwadrans zejdzie na dół zachodnim zboczem i znajdzie się na wprost wyszczerbionej skały, a tam natrafi na stos gałęzi, zasłaniających wejście do płytkiej jaskini. W tej jaskini - jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - znajdzie trzech ludzi. Jeden z nich będzie członkiem grupy, która dokonała infiltracji, a dwaj pozostali niemieckimi Wissenschaftlerami, naukowcami, związanymi z laboratorium w Kindorf w Zagłębiu Ruhry. Ich dezercję, a właściwie ucieczkę, planowano od bardzo dawna.

Przeszkody były zawsze takie same.

Gestapo.

Gestapo dostało w swoje ręce jednego z członków podziemia i wydobyło z niego informację o obydwu uczonych, ale, co było typowe dla elity SS, zatrzymało ją dla siebie, mając nadzieję na schwytanie grubszej zwierzyny niż dwaj rozczarowani naukowcy. Agenci Gestapo robili, co mogli. Zaprzestano ciągłej obserwacji, zmniejszono częstotliwość patroli, zaniechano rutynowych przesłuchań.

Nie świadczyło to bynajmniej o nieudolności lub nieostrożności. Szykowano pułapkę.

Instrukcje, jakie Spaulding wydał podziemnej organizacji, były zwięzłe i proste: pozwolić zatrzasnąć się pułapce. Bez zdobyczy.

Spreparowano przeciek, według którego uczeni, którym pozwolono na weekend wyjechać do Stuttgartu, w rzeczywistości skierują się na północ, do Bremerhaven, gdzie mieli skontaktować się z wysokim rangą oficerem marynarki, dowodzącym niewielkim okrętem, który zamierzał przedostać się na stronę aliantów. Było powszechnie wiadomo, że w niemieckiej marynarce aż kipiało od niepokoju; stamtąd właśnie rekrutowała się znaczna część członków najróżniejszych antyhitlerowskich organizacji, które jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać w całej Rzeszy.

Ten przeciek da wszystkim sporo do myślenia, argumentował Spaulding. Ludzie, których natychmiast zaczęli śledzić Gestapo, nie będą naukowcami z Kindorf, lecz dwoma tajnymi agentami Wehrmachtu, wysłanymi z fałszywą misją.

Plany i kontrplany.

Najróżniejsze i najbardziej niezwykle. Różne zadania człowieka z Lizbony.

To popołudnie stanowiło ustępstwo z jego strony, na wyraźne żądanie niemieckiego podziemia. Musiał osobiście zająć się ostatecznym kontaktem. Ruch oporu twierdził, że człowiek z Lizbony zbyt skomplikował sprawę, stwarzając niebezpieczeństwo popełnienia błędu i kontrinfiltracji. Zdaniem Dawida nic takiego nie wchodziło w grę, ale jeśli ta akcja miała przekonać i uspokoić niemieckich antyfaszystów, to nie widział powodu, dla którego miałby się na nią nie zgodzić.

Miał w odwodzie swój oddział Valdero, ukryty pół mili stąd, w wyższej części wzgórz. Wystarczyły dwa strzały, żeby zjawili się z pomocą na najszybszych koniach, jakie można było kupić w całej Kastylii.

Już pora. Musi stawić się do jaskini na umówione spotkanie.

Zaczął ześlizgiwać się po stromym zboczu, aż wreszcie znalazł się nad stertą gałęzi, pod którymi kryło się wejście do jaskini. Zgarnął w dłoń nieco ziemi i rzucił na szeleszczące liście.

Odpowiedź była zgodna z ustaleniami, kilkakrotne uderzenie kijem w wiązkę leżących gałęzi. Z pobliskich krzaków zerwał się z furkotem jakiś ptak.

Dawid błyskawicznie zsunął się niżej i stanął przy maskującej zasłonie.

- *Alles in Ordnung. Kommen Sie* - powiedział cicho, ale wyraźnie. - Musimy się śpieszyć.

- *Halt!* - krzyknął nieoczekiwanie ktoś z wnętrza.

Dawid przywarł do skalnej ściany i uniósł colta. Głos odezwał się ponownie, tym razem po angielsku:

- Czy ty jesteś... z Lizbony?

- Tak! Na litość boską, nie rób tego nigdy więcej, bo rozwalę ci łeb! - O Jezu, pomyślał Spaulding, wysłali z nimi dziecko albo półgłówka. - Wychodźcie!

Stos gałęzi zaczął się poruszać, rozsuwany od środka.

- Przepraszam cię, Lizbona - powiedział głos. - Mieliśmy trochę kłopotów.

Kurier pojawił się jako pierwszy; nie był to nikt z tych, których szkolił Dawid. Był

niski, bardzo umięśniony i miał nie więcej niż dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat.

W jego oczach czaił się strach.

- Na przyszłość pamiętaj, żeby nigdy nie zadawać pytań po potwierdzeniu sygnału.

Chyba że chcesz kogoś zabić. *Es ist Schwarztuchchiffre.*

- *Was ist das?* Czarny...

- Czarny Woal, przyjacielu. To znaczy: wystarczy jedno potwierdzenie. Zresztą nieważne, pamiętaj tylko, żeby nigdy tego nie robić. Gdzie reszta?

- W środku. Są w porządku, zmęczeni i przestraszeni, ale cali i zdrowi. - Kurier odwrócił się i odrzucił jeszcze kilka gałęzi. - Wychodźcie, to człowiek z Lizbony.

Dwaj uczeni, już nie pierwszej młodości, mocno przerażeni, wypełzli ostrożnie za zewnątrz, mrużąc oczy w promieniach ostrego, gorącego słońca. Spojrzeli z wdzięcznością na Dawida, a wyższy powiedział jękającą się angielszczyzną.

- Oto... chwila, na którą czekaliśmy. Bardzo serdecznie dziękujemy.

Spaulding uśmiechnął się.

- No, jeszcze nie wyszliśmy z lasu. *Frei.* Jesteście dzielnymi ludźmi. Zrobimy dla was wszystko, co się da.

- Nie pozostało nam... *nichts...* innego - odezwał się niższy. - Socjalistyczna *Politik* mojego przyjaciela była... niepopularna. Moja nieżyjąca żona była *eine Jüdin.*

- Mieliście dzieci?

- *Nein. Gott sei dank.*

- Ja mam syna - wtrącił się pierwszy. - *Er ist Gestapo.*

Wszystko zostało już powiedziane, pomyślał Spaulding.

- Ja ich przejmę - zwrócił się do kuriera, który uważnie patrzył na wzgórza i rozciągający się poniżej las. - Wracaj do bazy numer cztery najszybciej, jak tylko możesz. Za kilka dni spodziewamy się dużej przesyłki z Koblencji i będziemy wszystkich potrzebować.

Odpocznij trochę.

Kurier zawahał się. Dawid już wielokrotnie widział identyczny wyraz twarzy. Ten człowiek miał teraz wędrować zupełnie sam, bez żadnego towarzystwa, miłego lub niemiłego.

Po prostu sam.

- Powiedziano nam coś innego, Lizbona. Mam trochę z tobą zostać.

- Dlaczego?

- Takie mam instrukcje...

- Kto ci je dał?

- Ci z San Sebastian. Pan Bergeron i jego ludzie. Nie poinformowali cię?

Dawid przyjrzał mu się uważniej. Kurier był złym kłamcą, bo za bardzo się bał. A może był kimś jeszcze? Kimś zupełnie nieoczekiwanym, którego pojawienia się w tej chwili nikt nie brał nawet pod uwagę, bo było to zupełnie nielogiczne. Chyba że...

Przyczyną tak wielkiego zdenerwowania młodego człowieka mogły być jego napięte nerwy i brak doświadczenia. Mogły, ale nie musiały...

- Nie, nikt mnie nie poinformował - odparł. - Chodź, pójdziemy do obozu Beta.

Zostaniemy tam do rana. - Skinął ręką i ruszyli w poprzek stoku.

- Jeszcze nigdy nie pracowałem tak daleko na południu - powiedział kurier, idąc tuż za Spauldingiem.
- Czy będziemy szli także nocą?

- Zobaczymy - odparł Dawid, oglądając się na naukowców maszerujących jeden obok drugiego. - Raczej nie, jeśli tylko uda nam się tego uniknąć. W nocy Baskowie spuszczają ze smyczy psy i strzelają do wszystkiego, co się rusza.

- Rozumiem.

- Idziemy gęsiego - polecił Spaulding. - Zajmij miejsce za naszymi gośćmi.

Przeszli tak w czwórkę kilka mil, kierując się prosto na wschód. Spaulding narzucił

dość ostre tempo: żaden z uczonych nie skarżył się, ale szybki marsz najwyraźniej dawał się obydwu we znaki. Kilka razy Dawid kazał pozostałej trójce zatrzymać się na miejscu, sam zaś zagłębiał się między drzewa, wracając po kilku minutach. Przy każdej takiej okazji starsi mężczyźni odpoczywali, wdzięczni za chwilę przerwy, natomiast kurier sprawiał wrażenie ciężko przestraszonego, jakby bał się, że Amerykanin już nie wróci. Spaulding nie zachęcał

go do nawiązania rozmowy, ale za którymś razem młody Niemiec nie wytrzymał.

- Co ty właściwie robisz? - zapytał.

Dawid spojrział na Wiederstandskampferów i uśmiechnął się.

- Odbieram meldunki.

- Meldunki?

- Pozostawione w umówionych miejscach na naszej drodze. Przekazujemy w ten sposób ważne informacje, których nie możemy nadawać przez radio z uwagi na niebezpieczeństwo przechwycenia.

Szli dalej wąską ścieżką, prowadzącą wzdłuż skraju lasu, aż wreszcie drzewa rozstały się, ukazując rozległą łąkę, nad którą wznosiły się szczyty wzgórz. Obydwaj uczeni łapali ciężko powietrze, a ich koszule były mokre od potu.

- Odpoczniemy tutaj przez chwilę - oznajmił Spaulding ku ich widocznej uldze. - I tak już najwyższa pora, żebyśmy nawiązał kontakt.

- *Was ist los?* - dopytywał się kurier. - Jaki kontakt?

- Muszę zasygnalizować naszą pozycję - wyjaśnił Dawid, wyjmując małe lusterko ze swej polowej kurtki. - Chłopcy będą spokojniejsi, kiedy dowiedzą się, gdzie jesteśmy. Jeśli masz pracować na północy - to znaczy tam, gdzie dla ciebie jest południe - lepiej to wszystko zapamiętaj.

- Dobrze. Dobrze.

Dawid chwycił w lusterko promienie słońca, skierował je na północny stok wzgórza i wykonał kilka szybkich, precyzyjnych ruchów dłonią.

Niebawem otrzymał odpowiedź z połowy wysokości najwyższego wzgórza na północy; błyski światła nadchodziły z jakiegoś niewidocznego, ginącego w zielonej oddali punktu.

- Nie idziemy do Bety - oznajmił Spaulding. - Pełno tam patroli falangistów.

Zostaniemy tutaj, dopóki nie dadzą nam znać. Możecie odpocząć.

Potężnie zbudowany Bask odłożył zamykane lusterko; jego towarzysz wciąż przypatrywał się przez lornetkę łące znajdującej się w odległości kilku mil w dole, na której Amerykanin i trzech obcy mężczyźni odpoczywali po forsownym marszu.

- Mówi, że są śledzeni. Mamy zająć pozycje i nie pokazywać się - powiedział

człowiek z lusterkiem. - Odbierzemy naukowców jutro wieczorem, jak da nam znać.

- Co on ma zamiar zrobić?

- Nie wiem. Kazał przekazać wiadomość do Lizbony. Zostaje w górach.

- To fachowiec - mruknął Bask.

2 grudnia 1943, Waszyngton, D. C.

Alan Swanson siedział z tyłu służbowego samochodu wojskowego, starając się za wszelką cenę nad sobą zapanować. Spoglądał przez okno. Wczesnym przedpołudniem ruch nie był zbyt intensywny. Olbrzymia waszyngtońska siła robocza dotarła już do miejsc przeznaczenia. Wszędzie huczały maszyny, dzwoniły telefony, ludzie krzyczeli, szeptali, a także, częściej niż powinni, kończyli pierwszego tego dnia drinka. Im bliżej było do południa, tym szybciej opadał entuzjazm, towarzyszący zawsze pierwszym godzinom pracy. O wpół do dwunastej zdecydowana większość ludzi uważała, że cała ta wojna to wielkie nudziarstwo, i miała już serdecznie dosyć nie kończącego się powielania tych samych, bezsensownych papierków. Ludzie ci nie byli w stanie zrozumieć konieczności drobiazgowej, dokładnej logistyki, rozdzielającej informację na niezliczone, prowadzące coraz niżej kanały.

Nie potrafili tego zrozumieć, ponieważ nie widzieli całego obrazu, a tylko jego drobne fragmenty, powtarzające się dane statystyczne. Nic dziwnego, że byli znudzeni.

Znudzeni, a także zmęczeni. Podobnie jak on czternaście godzin temu w Pasadenie, w Kalifornii.

Wszystko na nic.

Meridian Aircraft Corporation zainicjowała, a raczej została zmuszona do zainicjowania programu awaryjnego, ale najznakomitsze umysły w laboratoriach całego kraju nie były w stanie wyeliminować błędów, kryjących się w małej skrzyneczce, zawierającej instrumenty nawigacyjne samolotu. Małe, wirujące dyskiety na wielkich wysokościach zaczynały wirować nie tak, jak powinny. Były nieobliczalne. Czasem działały bez zarzutu, a w chwilę potem popełniały kolosalne błędy.

Nawet najmniejszy błąd mógł spowodować zderzenie olbrzymich maszyn w powietrzu, biorąc pod uwagę zaś liczbę samolotów, jaka miała brać udział w dywanowych bombardowaniach poprzedzających operację Overlord, które powinny rozpocząć się już za cztery miesiące, takie zderzenia musiały nastąpić.

Ale tego ranka wszystko wyglądało inaczej.

Wyglądałoby, gdyby znalazło potwierdzenie to, o czym mu mówiono. W samolocie nie mógł spać ani jeść. Po wylądowaniu w bazie Andrews kazał się zawieźć do swego waszyngtońskiego mieszkania, gdzie wziął prysznic, ogolił się, zmienił mundur i zadzwonił

do żony, mieszkającej ostatnio w Scarsdale ze swoją siostrą. Nie pamiętał, o czym rozmawiali;

żadnych czułych słówek, tylko rutynowe pytania. Nie miał dla niej czasu.

Samochód wojskowy wjechał na autostradę Wirginii i przyśpieszył. Jechali do Fairfax; będą tam za około dwudziestu minut. Za niecałe pół godziny dowie się, czy niemożliwe rzeczywiście stało się najzupełniej możliwe. Ta wiadomość była jak odroczenie egzekucji w ostatniej chwili, jak kawaleryjska trąbka, której przytłumiony, dobiegający zza wzgórz dźwięk obwieszczał przybycie odsieczy.

Nawet bardzo przytłumiony, pomyślał Swanson, kiedy samochód skręcił w boczną drogę. Na ogrodzonym wysokim płotem terenie Fairfax, wielkości około dwustu akrów, znajdowały się hangary z prefabrykatów, czasy radarów i wieże radiowe, wystające z ziemi niczym ogromne, stalowe narośla. Mieściło się tam Dowództwo Wydziału Tajnych Operacji, po podziemiach Białego Domu najczulszy i najważniejszy punkt całej alianckiej sieci wywiadu.

Wczoraj, późnym popołudniem, odebrano tam potwierdzenie wcześniejszego meldunku, zakwalifikowanego początkowo do kategorii FAŁSZYWE. Pochodził z Johannesburga w Afryce Południowej i tym razem wszystko wskazywało na to, że jest on prawdziwy.

Opracowano żyroskopy działające niezawodnie na wielkich wysokościach. Istniała możliwość zdobycia ich planów.

2 grudnia 1943, Berlin, Niemcy

Altmüller wyjechał otwartym samochodem Durenberga z Berlina w kierunku Falkensee autostradą prowadzącą do Spandau. Czuł się znakomicie. Głęboko wdychał

orzeźwiający powietrze wczesnego poranka.

Radosne podniecenie, jakie odczuwał, sprawiało, że gotów był nawet wybaczyć teatralną tajemniczość, w której lubowała się Nachrichtendienst; pod tym kryptonimem krył

się starannie wyselekcjonowany oddział służb wywiadowczych, o którego istnieniu wiedziało zaledwie kilku najbardziej zaufanych ministrów i część Sztabu Generalnego. Specjalność Gehlena.

Z tego właśnie powodu Nachrichtendienst nigdy nie odbywała swoich konferencji na terenie Berlina, lecz zawsze poza jego granicami, w jakimś odludnym zakątku lub nawet w czyjejs prywatnej posiadłości, z dala od ciekawskich oczu.

Tym razem wybór padł na Falkensee, dwadzieścia kilka mil na północny zachód od Berlina. Spotkanie wyznaczono w przeznaczonym dla gości domu w dobrach Gregora Strassera.

Gdyby rozbudowane w nim niespodziewanie nadzieje miały się spełnić, Altmüller byłby gotów nawet polecieć do samego Stalingradu.

Nachrichtendienst znalazła ratunek dla Peenemünde!

Rozwiązanie było pewne; pozostawał jedynie problem jego wykorzystania.

Rozwiązanie, na które nie trafił żaden z „negocjatorów” rozesłanych w najdalsze zakątki globu w celu ponownego nawiązania przedwojennych kontaktów: Kapsztad, Dar es-Salaam, Johannesburg, Buenos Aires...

Bez rezultatu.

Ani jedna firma, ani jeden przemysłowiec nie zgodził się na rozmowy z Niemcami.

Rzesza znalazła się już w wirze walki na śmierć i życie, który miał ją wciągnąć na samo dno.

Takie przekonanie panowało w Zurychu, a to, w co wierzył Zurych, stanowiło niepodważalny dogmat dla międzynarodowego businessu.

Ale Nachrichtendienst udało się znaleźć inne rozwiązanie.

Tak mu przynajmniej powiedziano.

Pomruk potężnego silnika Duesenberga przybrał na sile; samochód przyśpieszył, podrywając w powietrze leżące na szosie jesienne liście.

Po lewej stronie wyłoniła się kamienna, zwieńczona orłami Wehrmachtu brama posiadłości Strassera. Altmüller skręcił na długi, prowadzący łukiem podjazd i zatrzymał się przy dwóch żołnierzach, trzymających na smyczach owczarki szczerzące kły. Podał

dokumenty jednemu z żołnierzy, który najwyraźniej go oczekiwał.

- Dzień dobry, Herr Unterstaatssekretär. Proszę jechać prosto, a za głównym budynkiem skręcić w prawo.

- Czy inni już są?

- Czekają na pana.

Altmüller minął główny budynek i po chwili, zza zasłaniających widoczność drzew, wyłonił się gościnny dom, przypominający raczej myśliwską chatę niż rezydencję.

Ciemnobrązowe, potężne bale, z których wzniesiono ściany, wtapiały się w leśny krajobraz.

Na wysypanym żwirem podejździe stały cztery limuzyny. Zaparkował samochód, wysiadł, po czym obciągnął marynarkę, wyprostował się i ruszył ścieżką prowadzącą do drzwi.

Podczas narad Nachrichtendienst nigdy nie używano żadnych nazwisk. Jeśli uczestniczący w nich ludzie znali się, a najczęściej tak właśnie było, nie dawali tego po sobie poznać. Adresata wypowiedzi wskazywało się wzrokiem, grupę adresatów zaś - gestem ręki.

Wewnątrz niewielkiego, wysokiego pokoju nie było konferencyjnego stołu, który podświadomie Altmüller spodziewał się tam zobaczyć; nie było też ustawienia foteli zaaranżowanego przez jakiś niewidzialny protokół, kilku dość swobodnie ubranych pięćdziesięcio- i sześćdziesięcioletnich mężczyzn stało w różnych miejscach niewielkiego pokoju z wysoką bawarską powalą, pijąc kawę i rozmawiając półgłosem. Altmüller został

powitany jako „Herr Unterstaatssekretär” i poinformowany, że poranna konferencja nie będzie zbyt długa. Rozpocznie się w chwili, gdy zjawi się ostatni ze spodziewanych gości.

Altmüller, przyjąwszy filiżankę kawy, usiłował dostosować się do luźnej atmosfery.

Bez skutku. Chciał ryknąć z wściekłością i zażądać natychmiastowych, poważnych wyjaśnień. Czy oni naprawdę nie rozumieją, o co toczy się gra?

Ale to była Nachrichtendienst; tu się nie krzyczało ani nie stawiało żądań.

Wreszcie, po czasie, który dla jego skręcającego się żołądka wydawał się wiecznością, z zewnątrz dobiegł odgłos silnika. Kiedy otworzyły się drzwi, o mało nie upuścił filiżanki; człowieka, który wszedł do pokoju, znał z kilku wspólnych wyjazdów ze Speerem do Berchtesgaden. Był to lokaj

Führera, ale teraz na jego twarzy nie znać było ani śladu służalczości.

Bez niczyjego polecenia zapadła cisza. Część obecnych zajęła miejsce w fotelach, inni opierali się o ściany lub stali wokół stolika. Podeszły wiekiem mężczyzna w grubej, tweedowej marynarce wyszedł przed kominek i zwrócił się do Franza, stojącego za skórzaną kanapą.

- Najlepiej będzie, jeśli od razu przejdę do rzeczy. Sądzymy, że udało nam się zdobyć informację, której pan potrzebował. Użyłem słowa „sądzymy”, ponieważ my tylko zbieramy informacje, nie zajmujemy się ich wykorzystaniem. Ministerstwo może uznać, że ta akurat nie jest przydatna.

- Wydaje to mi się co najmniej nieprawdopodobne - odparł Altmüller.

- Znakomicie. W takim razie najpierw kilka pytań, żeby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień. - Starszy mężczyzna przerwał, by zapalić grubą fajkę z pianki morskiej. - Czy wykorzystaliście wszystkie tradycyjne kanały wywiadu, łącznie z Zurychem i Lizboną?

- Tak. A także w wielu innych miejscach na terytoriach okupowanych, neutralnych i należących do nieprzyjaciela.

- Chodziło mi głównie o tradycyjne kierunki, przede wszystkim szwajcarski, skandynawski i portugalski.

- Skandynawią raczej się nie zajmowaliśmy, Herr Zangen bowiem uważał, że...

- Bardzo proszę, żadnych nazwisk. Może pan używać określeń resortów lub instytucji.

- A więc Ministerstwo Przemysłu Rzeszy, które prowadzi ożywioną działalność w rejonie Bałtyku, było przekonane, że w interesującej nas sprawie nie zdołamy tam niczego osiągnąć. Przypuszczam, że w grę wchodziły głównie przyczyny natury geograficznej. W

Bałtyku nie ma diamentów.

- Albo zbyt często się tam poparzyli - odezwał się siedzący na kanapie, niepozorny mężczyzna w średnim wieku. - Jeżeli chcecie, żeby Amerykanie i Anglicy znali wasze zamiary, zanim jeszcze coś zrobicie, to najlepiej zadawać się właśnie ze Skandynawami.

- Bardzo słuszna uwaga - potwierdził inny członek Nachrichtendienst, stojący przy stole z filiżanką kawy w ręku. - W ubiegłym tygodniu wróciłem ze Sztokholmu. Nie możemy tam ufać nawet tym, którzy oficjalnie nas popierają.

- Powiedziałbym, że szczególnie tym - uśmiechnął się starszy mężczyzna znajdujący się obok kominka i ponownie zwrócił spojrzenie na Altmüllera. - Przypuszczam, że wasze oferty były wystarczająco hojne? W szwajcarskiej walucie, rzecz jasna.

- „Wystarczająco hojne” to zbyt skromne określenie dla sum, o jakich mówiliśmy -

odparł Altmüller. - Będę szczery, nikt nie chce nas nawet dotknąć. Ci, którzy by mogli, powołują się

na prognozy Zurychu, według których zostaniemy pokonani. Obawiają się reparacji, a nawet mówią o ewentualnych powojennych reklamacjach depozytów bankowych.

- Jeśli te pogłoski dotrą do najwyższego dowództwa, wywołają panikę - zauważył z przekąsem lokaj Führera, rozparty wygodnie w fotelu. Mężczyzna zaś stojący przy kominku mówił dalej:

- W takim razie należało zrezygnować z pieniędzy jako zachęty w przetargach. Nawet z tak ogromnych sum.

- Naszym negocjatorom nie udało się nic wskórać. Przecież wiecie o tym. - Altmüller, z najwyższym trudem, krył wzburzenie. Kiedy wreszcie przejdą do rzeczy?

- A na horyzoncie zabrakło ewentualnych zdrajców powodujących się motywacjami ideologicznymi. W każdym razie takich, którzy mieliby dostęp do diamentów.

- Oczywiście, *mein Herr*.

- Należało wobec tego poszukać innej przynęty, innego argumentu.

- Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza. Powiedziano mi, że...

- Za chwilę pan zrozumie - przerwał mu mężczyzna w podeszłym wieku, wytrząsając popiół do paleniska. Musi pan wiedzieć, że wykryliśmy panikę równie wielką, jak nasza... w szeregach nieprzyjaciela. Wpadliśmy na trop najlepszej motywacji, jaką można sobie wyobrazić. Każda ze stron dysponuje rozwiązaniem problemu, który gnębi przeciwnika.

Franz Altmüller poczuł nagle, że ogarnia go strach. Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał słowa rozmówcy.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Peenemünde opracowało niezawodny system nawigacyjny, działający na największych wysokościach, zgadza się?

- Oczywiście. To podstawa, bez której nie mogłyby posuwać się naprzód inne prace nad raketami.

- Ale tych raket nie będzie - a jeśli będą, to żałośnie mało - bez szybkich dostaw diamentów technicznych?

- Tak jest.

- Otóż w Stanach Zjednoczonych pewne koła przemysłowe stanęły wobec nieprzezwyciężonych... - starszy pan przerwał na dokładnie jedną sekundę, po czym ciągnął

dalej: - ...powtarzam, nieprzezwyciężonych problemów, którym zaradzić może jedynie bezzwłoczne uzyskanie dostępu do precyzyjnych żyroskopów funkcjonujących na ogromnych wysokościach.

- Czy pan sugeruje...

- Nachrichtendienst niczego nie sugeruje, Herr Unterstaatssekretär. My tylko przekazujemy faktyczne informacje. - Mężczyzna wyjął fajkę z ust. - Kiedy sytuacja na to pozwala, to pośredniczymy w wymianie informacji między tymi, którzy tego potrzebują. Tak właśnie uczyniliśmy w Johannesburgu. Kiedy człowiek wysłany do kopalni Koeniga przez I.

G. Farben został odprawiony z kwitkiem, włączyliśmy się do akcji, dostarczając dowodów na potwierdzenie dawnej informacji wywiadu amerykańskiego. Wiedzieliśmy, że Waszyngton natychmiast się o tym dowie, nasi bowiem agenci z Kalifornii donieśli nam o poważnym kryzysie w tamtejszym przemyśle lotniczym. Moment był jak po temu najlepszy.

- Nie bardzo rozumiem...

- Jeżeli się nie mylimy, niebawem należy się spodziewać próby nawiązania ponownego kontaktu z jednym z ludzi I. G. Farben. Mam nadzieję, że zostaną poczynione kroki dla ułatwienia tych kontaktów.

- Oczywiście. Tradycyjne kanały przez Genewę.

- W takim razie to wszystko, co mieliśmy panu do przekazania. Życzymy miłej drogi powrotnej do Berlina.

2 grudnia 1943, Fairfax, Wirginia

Widok wnętrza hangaru przeczył wrażeniu surowości, jakie można było odnieść, przyglądając mu się z zewnątrz. Przede wszystkim był pięciokrotnie większy niż zwykły hangar z prefabrykatów, jego zaś metalowa skorupa została od środka wyłożona materiałem dźwiękochłonnym, zwisającym teraz płatami z wysokiego sufitu. Budowla nie przypominała normalnego, lotniczego hangaru, którym w gruncie rzeczy była, a raczej wielką, bezokienną skorupę o solidnych ścianach. Wszędzie poustawiano stoły ze skomplikowanymi urządzeniami radiowymi wysokiej częstotliwości, a naprzeciw każdego stołu znajdowały się przeszklone gabloty z dziesiątkami szczegółowych map, zmienianych za naciśnięciem guzika.

Nad nimi delikatnie umocowano cienkie ramiona z twardej stali, zakończone precyzyjnymi pisakami, przypominającymi igły gramofonowe, obsługiwane przez radiooperatorów, których obserwowali bez przerwy przechadzający się po hangarze ludzie z dużymi notatnikami w rozkładanych, sztywnych oprawkach. Wszyscy byli w mundurach, co najmniej w stopniu porucznika.

Na trzech czwartych długości budynku przegradzała go sięgająca od podłogi do sufitu ściana z pojedynczymi drzwiami, znajdującymi się dokładnie pośrodku. Były one wykonane ze stali.

Swanson nigdy jeszcze nie był wewnątrz tego hangaru. Przyjeżdżał do Fairfax wiele razy - w celu zapoznania się z otoczonymi ścisłą tajemnicą ustaleniami wywiadu, żeby obserwować szkolenie szczególnie ważnych grup szpiegowskich - ale mimo jego munduru generała brygady i dziesiątków tajemnic, jakie nosił w głowie, nigdy nie zezwolono mu na wejście do tego budynku. Ci, którzy takie pozwolenie otrzymali, nie opuszczali dwustuakrowego, wydzielonego terenu przez kilka tygodni, a nawet miesięcy. Przepustek udzielano rzadko, jedynie w wyjątkowo poważnych okolicznościach, a i to nigdy nie zapominano o przydzieleniu eskorty.

Fascynujące, pomyślał Swanson, któremu wydawało się nieraz, że już nic nie zdoła go zadziwić. Żadnych wind, tylnych schodów, okien. Nawet nie musiał wchodzić do toalety, z góry bowiem wiedział, że i to pomieszczenie ma mechaniczną wentylację. Poza tym budynek miał tylko jedno wejście; znalazłszy się wewnątrz nie sposób było ukryć się gdziekolwiek, ani wyjść niepostrzeżenie, bez dokładnego przeszukania. Wszelkie przedmioty osobistego użytku należało zostawić przy wejściu. Z budynku nie wolno było niczego wynosić, żadnej koperty, teczki, papierów, materiałów czy jakiegokolwiek przedmiotu, bez pisemnego zezwolenia pułkownika Edmunda Pace'a i bez jego osobistego nadzoru.

Jeżeli gdziekolwiek na świecie istniał absolutny system bezpieczeństwa, to znajdował się on właśnie tutaj.

Swanson zbliżył się do stalowych drzwi, a towarzyszący mu porucznik nacisnął umieszczony obok guzik. Nad interkomem zapłonęło małe, czerwone światełko.

- Generał Swanson, panie pułkowniku - oznajmił porucznik.

- Dziękuję, panie poruczniku - rozległo się z głośnika interkomu. Szczękną zwalniający zatrząsk i porucznik sięgnął do klamki.

Biuro Pace'a wyglądało dokładnie tak samo, jak każde inne biuro dowództwa Wywiadu: na ścianach oświetlone mocnymi żarówkami mapy, zmieniane za naciśnięciem guzika w konsolce, ustawione w karnych szeregach dalekopisy zaopatrzone w karteczki, informujące o teatrze operacji, z którego pochodziły informacje. Tylko meble były inne, tak proste, że niemal prymitywne. Żadnych foteli, sof ani niczego, co ze swego założenia miało służyć wygodzie - tylko metalowe krzesła, biurko przypominające raczej stół, a wszystko to stało na gołej, drewnianej podłodze. Pomieszczenie było przeznaczone do wyteźonej pracy, nie do odpoczynku.

Edmund Pace, dowódca Wydziału Operacyjnego w Fairfax, wstał z krzesła, okrążył

biurko i oddał honory generałowi.

W pokoju znajdował się jeszcze jeden człowiek, cywil: podsekretarz stanu Frederic Vandamm.

- Miło mi pana znowu widzieć, panie generale. Poprzednio spotkaliśmy się chyba w domu pana Vandamma.

- Rzeczywiście. Jak się panu tu wiedzie?

- Dobrze, tylko czuję się trochę... odizolowany.

- Nie wątpię. - Swanson przeniósł wzrok na Vandamma. - Panie ministrze, przyjechałem tu najszybciej, jak tylko mogłem. Nie muszę chyba panu mówić, jakie to dla mnie ważne. Ostatni miesiąc nie należał do najłatwiejszych.

- Wiem o tym - odparł ze zdawkowym uśmiechem arystokratyczny Vandamm, ściskając niedbale dłoń Swansona. - Przejdziemy od razu do rzeczy. Pułkowniku, czy zechce pan streścić generałowi przebieg naszej rozmowy?

- Oczywiście, panie ministrze. Zaraz potem będę musiał odejść - odparł z rezerwą Pace. Był to wojskowy sposób przekazania koledze oficerowi nie wypowiedzianej na głos informacji: Bądź ostrożny.

Pułkownik podszedł do mapy ściiennej, pokrytej gęsto najróżniejszymi znakami. Był

to szczegółowy plan części Johannesburga w Afryce Południowej. Frederic Vandamm usiadł

na krześle stojącym przed biurkiem, Swanson zaś stanął przy mapie, obok Pace'a.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy podczas wnikliwego badania terenu natrafimy na coś interesującego. Ani gdzie. - Pułkownik wziął do ręki drewniany wskaźnik i przytknął do błękitnego znaku na planie miasta. - Albo czy może coś z tego wyniknąć. W tym przypadku chyba może. W ubiegłym tygodniu do

mieszkającego w Johannesburgu prawnika, Afrykanera, którego matka była Austriaczką, a ojciec Burem, byłego dyrektora kopalń Koeniga, zgłosili się dwaj ludzie, podający się za przedstawicieli Staats-Bank z Zurychu, i zaproponowali mu pośredniczenie w negocjacjach z Koenigiem; chodziło o prostą transakcję, polegającą na zakupie znacznej ilości diamentów za franki szwajcarskie. Klienci, zainteresowani nabyciem kamieni, uważali, że bardziej opłaca się lokować pieniądze w diamentach niż złocie ze względu na mniejsze wahania ceny diamentów. - Pace zwrócił się do Swansona. - Jak na razie, wszystko jest w porządku. Teraz, w warunkach land-leasu, kiedy wiele systemów walutowych idzie z dymem, na rynku diamentów panuje spory ruch. Ów prawnik przyjął propozycję, ale proszę sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy po przybyciu na umówione miejsce spotkania rozpoznał w jednym z rzekomych „Szwajcarów” swego bardzo dobrego przyjaciela jeszcze sprzed wojny, Niemca, z którym chodził razem do szkoły, utrzymywał bliskie kontakty do trzydziestego dziewiątego roku. Ten Niemiec pracował wtedy dla I. G. Farben.

- Jaki był cel spotkania? - przerwał niecierpliwie Swanson.

- Za chwilę do tego dojdę. Ważne są szczegóły.

- W porządku. Proszę mówić dalej.

- Okazało się, że nie wchodziła w grę żadna spekulacja ani transakcja z jakimkolwiek szwajcarskim bankiem. Chodziło o zwykłe kupno. Człowiek pracujący dla I. G. Farben chciał

kupić znaczną ilość bortów i karbonadów...

- Diamenty techniczne? - przerwał ponownie Swanson.

Pace skinął głową.

- Zaproponował swemu przyjacielowi prawdziwą fortunę za pomoc w sfinalizowaniu transakcji. Afrykaner odmówił, lecz jego długotrwała przyjaźń z Niemcem sprawiła, że początkowo nie poinformował nikogo o tym wydarzeniu. Uczynił to dopiero przed trzema dniami.

Pace odłożył wskaźnik i wrócił za biurko. Swanson domyślił się, że pułkownik chce zajrzeć do meldunków, które dostarczono mu na piśmie, więc poszedł za nim i usiadł na krześle obok Vandamma.

- Trzy dni temu - kontynuował Pace stojąc za biurkiem - ponownie skontaktowano się z Afrykanerem, tym razem nie trując się żadnym kamuflażem. Jego rozmówca powiedział, że jest Niemcem i że dysponuje informacjami, na których bardzo zależy aliantom. Już od długiego czasu.

- I co? - nie wytrzymał Swanson. W jego głosie było wyraźnie słychać ogromne napięcie.

- Niemiec zgodził się przyjść do biura prawnika, ale odpowiednio się zabezpieczył.

Poinformował Afrykanera, że gdyby spróbowano go zatrzymać, to przebywający w Niemczech jego

przyjaciel z I. G. Farben zostanie natychmiast rozstrzelany. - Pułkownik wziął z biurka kartkę papieru i podał ją Swansonowi. - Oto meldunek przywieziony przez kuriera.

Przede wszystkim rzucał się w oczy duży, wyraźny stempel: **ŚCIŚLE TAJNE. Specjalnego znaczenia. FAIRFAX 4-0.**

28.11.1943, Johannesburg. Potwierdzone przez Nachrichtendienst. Udoskonalono stratosferyczne żyroskopy kierunkowe. Próby zakończono pozytywnie. Peenemünde.

Następny kontakt: Genewa, ewentualnie Johannesburg.

Swanson przeczytał notatkę kilka razy, starając się w pełni wchłonąć zawartą w niej informację, po czym zadał pytanie składające się tylko z jednego słowa:

- Genewa?

- Tak, neutralny kanał. Oczywiście nieoficjalnie.

- Co to jest to... Nachrichtendienst?

- Ich organizacja wywiadowcza. Tak mała i wyspecjalizowana, że nawet u nich prawie nikt o niej nie wie. Czasem zastanawiamy się, czy w ogóle jest po którejkolwiek stronie, bo zawsze wydaje się bardziej zainteresowana obserwacją niż uczestnictwem i tym, co będzie po wojnie, a także, co jest teraz. Podejrzewamy, że ma coś wspólnego z Gehlenem. Jak do tej pory, nigdy się nie pomylił ani nie starał się nikogo wprowadzić w błąd.

- Rozumiem - mruknął Swanson, oddając notatkę pułkownikowi.

Pace nie wyciągnął po nią ręki, tylko wyszedł zza biurka i skierował się do stalowych drzwi.

- Zostawiam panów samych. Kiedy skończycie, proszę dać mi znać i nacisnąć biały guzik na moim biurku.

Otworzył drzwi i wyszedł szybko; stalowa płyta zamknęła się za nim z wyraźnym odgłosem zatraskiwania.

Frederic Vandamm spojrzał prosto na Swansona.

- Oto rozwiązanie pańskiego problemu, panie generale. Pański żyroskop. W

Peenemünde. Musi pan tylko wysłać kogoś do Genewy. Ktoś chce nam go sprzedać.

Alan Swanson wciąż wpatrywał się w znajdującą się w jego dłoni kartkę papieru.

4 grudnia 1943, Berlin, Niemcy

Altmüller wpatrywał się w kartkę papieru znajdującą się w jego ręku. Minęła już północ i miasto było pogrążone w ciemności. Berlin przeżył kolejne mordercze bombardowanie. Teraz zapanował spokój, który miał trwać aż do wczesnego przedpołudnia; tak przynajmniej bywało do tej pory. Mimo to okna we wszystkich domach, a także w budynku ministerstwa, pozostały szczelnie zakryte czarnymi zasłonami.

Najważniejsza była teraz szybkość, ale mimo to nie należało rezygnować z obowiązkowych środków ostrożności. Spotkanie z łącznikiem w Genewie miało stanowić zaledwie pierwszy krok, preludium, ale musiało być poprzedzone z maksymalnym wyczuciem. Nieważne było, co mówiono, ale kto to mówił. To coś mógł przekazać każdy o odpowiednich pełnomocnictwach i o uznanym autorytecie, ale na wypadek gdyby wojna miała zakończyć się upadkiem Niemiec, ten ktoś nie mógł być w żaden sposób związany z przywódcami Trzeciej Rzeszy. Speer sformułował to jasno i bez żadnych niedomówień.

Altmüller doskonale go rozumiał; nie można było dopuścić do tego, żeby w wypadku przegranej ktokolwiek mógł powiesić na drzwiach ministerstwa tabliczkę z napisem ZDRAJCY albo nazwać w ten sposób któregokolwiek z przywódców, których będą potrzebować pokonane Niemcy. W roku 1918, po Wersalu, doszło do masowych wzajemnych oskarżeń. Nikt nie kontrolował pogłębiających się rozłamów, aż wreszcie ogólnonarodowa paranoja poszukiwania zdrajców doprowadziła do fanatyzmu z lat dwudziestych. Niemcy nie byli w stanie pogodzić się z porażką, nie mogli znieść świadomości, że niektórzy spośród nich przyczynili się do tego.

Wszystko to, oczywiście, były tylko wymówki.

Mimo to należało za wszelką cenę unikać niebezpieczeństwa, choćby nie wiadomo jak odległego, powtórzenia się historii. Speer miał na tym punkcie prawdziwą obsesję.

Człowiek, który pojedzie do Genewy, nie może mieć żadnych powiązań z Najwyższym Dowództwem. Musi to być ktoś z kręgów przemysłowych, którego nic nie łączy z władcami Trzeciej Rzeszy; ktoś, bez kogo łatwo się będzie później obejść.

Altmüller usiłował wykazać nielogiczność takiego rozumowania Speera; raczej nie należało się spodziewać, żeby ktokolwiek wręczył plany superdokładnych żyroskopów jakiemuś nie mającemu większego znaczenia przeciętniakowi z kręgów businessu niemieckiego. Peenemünde było dosłownie zagrzebane w ziemi, środki bezpieczeństwa zaś doskonałe.

Speer jednak pozostawał głuchy na tego rodzaju argumenty i Altmüller w pewnej chwili pojął logikę postępowania ministra Rzeszy: on po prostu spychał problem na barki tych, którzy go spowodowali kłamstwami i niedomówieniami, doprowadzając Peenemünde na skraj przepaści. Albert Speer starał się patrzeć w inną stronę, podobnie jak czynił to zawsze, gdy chodziło o wykorzystywanie

niewolniczej siły roboczej, obozy koncentracyjne czy masakry ludności. Chciał za wszelką cenę osiągnąć pozytywne rezultaty, ale nie miał

zamiaru pobrudzić się przy tym.

W tym szczególnym przypadku, rozmyślał dalej Altmüller, Speer ma rację. Jeżeli istniało ryzyko wielkiej pomyłki, to lepiej, żeby podjęły je niemieckie koła przemysłowe.

Całkowita odpowiedzialność niechaj spocznie na barkach niemieckich biznesmenów.

Genewa była tak niezwykle ważna wyłącznie dlatego, że miał to być pierwszy kontakt. Padną tam ostrożne, wyważone słowa, mogące doprowadzić - lub nie - do drugiej fazy nieprawdopodobnych negocjacji.

W drugiej fazie należało rozstrzygnąć problem natury geograficznej: miejsce transakcji, jeżeli w ogóle miałyby dojść do skutku.

W ciągu ostatniego tygodnia Altmüller, dniem i nocą, o tym głównie myślał. Starał się rozpatrywać ten problem zarówno z własnego punktu widzenia, jak i z pozycji nieprzyjaciela.

Na jego biurku piętrzyły się stosy map, a z szuflad wylewały się raporty, szczegółowo analizujące aktualny klimat polityczny wszystkich po kolei neutralnych krajów na Ziemi.

Miejsce to bowiem powinno być neutralne, tak żeby każda ze stron miała możliwość dokładnego zbadania i poznania istniejących zabezpieczeń. A co najważniejsze, musiało leżeć tysiące mil od stref wpływów którejkolwiek strony.

Odległe.

Na uboczu.

Łatwo dostępne.

Ameryka Południowa.

Buenos Aires.

Znakomity wybór, pomyślał Franz Altmüller. Amerykanie mogą nawet uznać, że jest dla nich korzystny. Wydawało się mało prawdopodobne, aby go odrzucili. W Argentynie obydwaj adwersarze mieli ogromne wpływy, ale żaden nie mógł powiedzieć, że kontroluje ten kraj w sposób realny.

W trzeciej fazie miał się pojawić czynnik ludzki, który najlepiej określało słowo

„Schiedsrichter”.

Arbiter.

Człowiek zdolny do nadzorowania transakcji, dysponujący na neutralnym terytorium siłą, wystarczającą do zajęcia się całą logistyką. Ktoś, kto sprawiałby wrażenie zupełnie niezaangażowanego i kto zostałby zaakceptowany przez Amerykanów.

W Buenos Aires mieszkał taki właśnie człowiek.

Jedna z kolosalnych omyłek Hitlera.

Nazywał się Erich Rhinemann. Zmuszony do emigracji Żyd, wielokrotnie zniesławiany przez szaleńczą propagandę Goebbelsa, pozbawiony przez Rzeszę wszystkich dóbr i przedsięwzięć.

Tylko tych, których nie zdążył zabezpieczyć przed ciskanymi na oślep gromami.

Nieznaczny procent całego jego majątku, co prawda wystarczająco duży, żeby wywołać histeryczne wrzaski antysemitki prasy, ale w gruncie rzeczy zupełnie nieistotna część ogromnego bogactwa.

Erich Rhinemann żył w Buenos Aires na luksusowym wygnaniu, jego fortuna spoczywała bezpiecznie w bankach szwajcarskich, a interesy kwitły w całej Ameryce Południowej. Niewielu ludzi wiedziało, że w głębi duszy jest on bardziej zaciekle faszystą niż sam Hitler. W dziedzinie finansów i wojskowości nikt nie mógł mu dorównać, a jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie - był zwolennikiem istnienia ściśle określonych elit.

Wybudował imperium, lecz sam zachowywał stoickie milczenie.

Miał ku temu powody.

Wiedział doskonale, że niezależnie od wyniku wojny czeka go powrót do Niemiec.

Gdyby Trzecia Rzesza odniosła zwycięstwo, z całą pewnością zostałby uchylony szaleńczy edykt Hitlera - możliwe, że wraz z nim samym, gdyby dalej szedł drogą, na którą wkroczył ostatnio. Gdyby poniosła klęskę, jak przewidywali to finansjści z Zurychu, doświadczenie Rhinemanna i jego szwajcarskie konta bardzo przydałyby się podczas odbudowy.

To jednak była przyszłość, a na razie liczyła się teraźniejszość, w teraźniejszości zaś Erich Rhinemann był Żydem, wygnanym przez rodaków ze swojej ojczyzny, walczącej ze Stanami Zjednoczonymi.

Amerykanie z całą pewnością nie mieliby nic przeciwko niemu.

A on zatroszczyłby się odpowiednio o interesy Rzeszy w Buenos Aires.

Fazy druga i trzecia jawiły się Altmüllerowi jasno i wyraziście, ale najpierw musiało dojść do porozumienia w Genewie. Należało zaczekać na koniec preludium, odegranego przez drugoplanowe instrumenty.

Potrzebny był człowiek, który pojechałby do Genewy. Ktoś, kogo nikt nie powiązałby z przywódcami Rzeszy, a jednocześnie posiadający pewne znaczenie na rynku.

Altmüller wpatrywał się w dokumenty leżące na biurku. Piekły go oczy, on sam był

potwornie zmęczony, ale wiedział, że nie opuści swego gabinetu ani nie położy się spać, dopóki nie podejmie decyzji.

To miała być jego decyzja, wyłącznie. Taka, którą rano Speer zatwierdzi, ledwie rzuciwszy nań okiem. Jedno nazwisko i bez dyskusji.

Nie wiadomo, czy spowodowały to leżące na wierzchu raporty z Johannesburga, czy po prostu zadziałała podświadomość, w każdym razie jego wzrok padł na to nazwisko, a ręka wzięła pióro i zakreśliła je grubą krechą. Nie miał żadnych wątpliwości: to także był

znakomity wybór.

Johann Dietrich, nieudaczny spadkobierca Dietrich Fabriken. Budzący wstręt pederasta, alkoholik i panikarz. Całkowicie zbędny członek społeczności przemysłowców.

Największy cynik nie posądziłby go o jakiegokolwiek związku z Najwyższym Dowództwem.

Nikomun niepotrzebny przeciętniak.

Posłaniec.

5 grudnia 1943, Waszyngton, D. C.

Basowe dźwięki zegara stojącego na obramowaniu kominka odmierzały kolejną godzinę. Była szósta rano, Alan Swanson wyglądał przez okno na pogrążony w ciemności Waszyngton. Jego apartament znajdował się na dwunastym piętrze, zapewniając, szczególnie z salonu, piękny widok na całą stolicę; stał właśnie tam w szlafroku i bez kapci na nogach.

Wyglądał przez okno prawie przez całą noc, nie tylko tę, ale i dwie poprzednie. Jeśli nawet udało mu się przysnąć na chwilę, był to sen niespokojny i co chwila zrywał się gwałtownie, tak spocony, że aż mokra była poduszka.

Gdyby była razem z nim jego żona, z pewnością nalegałaby, żeby się zgłosił na badanie do Waltera Reeda. Powtarzałaby to tak długo, aż wreszcie zgodziłby się, zmuszony do posłuszeństwa jej uporem. Jej jednak tu nie było; nic nie zdołało zmienić jego postanowienia w tej sprawie. Przeprowadziła się do swojej siostry w Scardale, jego obecne zajęcie bowiem nie pozwalało na określenie liczby godzin, jakie musiał mu codziennie poświęcać. Należało to rozumieć w ten sposób: wojskowy nie miał czasu dla swojej wojskowej żony. Wojskowa żona w pełni to rozumiała; nadszedł krytyczny

okres i jej mąż nie był w stanie sprostać jej najskromniejszym nawet żądaniom. Nie chciał, żeby widziała go w takiej sytuacji i wiedział, że ona o tym wie. Będzie lepiej, jeśli zostanie w Scardale.

O, Boże, nie do wiary!

Nikt nie powiedział tego na głos; być może nawet nikt nie odważył się tego pomyśleć.

Ale to była prawda. Ci nieliczni - bardzo nieliczni - którzy mieli dostęp do wszystkich informacji, nie dopuszczali do siebie żadnej próby osądu tego rozwiązania. Dla nich cała sprawa kończyła się w połowie - resztą mieli się zająć inni, nie oni.

Tak właśnie uczynił to ten przebiegły, stary arystokrata Vandamm.

„Oto rozwiązanie pańskiego problemu, panie generale. Pański żyroskop. W

Peenemünde... Ktoś chce nam go sprzedać”.

I to wszystko.

Proszę to kupić!

Ale nikt nie chciał zapytać o cenę. Cena jest nieistotna... Szczegółami niech się zajmą inni. Mało ważne detale pod żadnym - żadnym - pozorem nie mogą stać się przedmiotem dyskusji! Należało sobie z nimi błyskawicznie poradzić, i już.

Tłumaczenie: sprawność całego przedsięwzięcia zależała od maksymalnie szybkiej realizacji ogólnych rozkazów; nikt nie oczekiwał od nikogo ich analizowania, wyjaśniania i uzasadniania. Szczegóły były przekleństwem, bo zabierały tylko czas, a na szczycie dowódczej drabiny nikt nie dysponował jego nadmiarem. Do diabła, człowieku, przecież mamy wojnę! Musimy podporządkować się nadrzędnym interesom państwa!

W brudach będą się grzebać ci na dole, których ręce mogą nawet przejść nieprzyjemnym zapachem, ale przecież właśnie na tym wszystko polegało.

Proszę to kupić!

Nie mamy czasu! W tej chwili nasze oczy i myśli są zwrócone w inną stronę.

Należy wykonać rozkaz tak, jak zrobiłby to każdy dobry żołnierz rozumiejący, na czym polega działanie całej maszyny. Nikt nie będzie o nic pytał; liczy się wyłącznie rezultat.

Wszyscy o tym wiemy, staruszk.

Szaleństwo.

Przedziwnym zbiegiem okoliczności prowadzone przez wywiad poszukiwania zostają uwieńczone sukcesem w Johannesburgu dzięki człowiekowi, do którego zwrócono się z prośbą o pomoc w zorganizowaniu kupna diamentów technicznych; olbrzymie pieniądze na tę transakcję przeznaczyło I. G. Farben, jeden ze zbrojeniowych gigantów Trzeciej Rzeszy.

Peenemünde dysponowało żyroskopami. Można było je kupić.

Za jaką cenę?

Nie trzeba było specjalnej inteligencji, żeby się tego domyślić.

Diamenty techniczne.

Szaleństwo.

Z nieznanых przyczyn Niemcy rozpaczliwie potrzebowali diamentów. Z przyczyn aż nadto znanych alianci rozpaczliwie potrzebowali systemów nawigacyjnych działających na wielkich wysokościach.

Transakcja między wrogami u szczytu najokropniejszej wojny w historii ludzkości.

Szaleństwo. Rzecz absolutnie nie do pomyślenia.

Generał Alan Swanson skreślił ją całkowicie i nieodwołalnie.

Odezwało się pojedyncze uderzenie zegara, oznaczające pierwszy kwadrans. Tu i ówdzie w rozciągającym się za oknem betonowym labiryncie zapalały się pojedyncze światełka, a czarne niebo zaczęło nasiąkać szarofioletową poświatą, na tle której można było odróżnić niewyraźne zarysy chmur.

Dolne warstwy stratosfery.

Swanson podszedł do kanapy stojącej naprzeciw kominka i usiadł. Minęło dwanaście godzin... jedenaście godzin i czterdzieści pięć minut, żeby być dokładnym... od chwili, kiedy podjął pierwsze kroki w celu zaniechania tego szalonego pomysłu.

Przekazał go tam, gdzie powinien się znaleźć: ludziom, którzy spowodowali cały kryzys, których kłamstwa i manipulacje doprowadziły operację Overlord nad krawędź przepaści.

Wydał rozkaz, żeby Howard Oliver i Jonathan Craft stawili się w jego mieszkaniu o szóstej wieczorem. Dokładnie dwanaście godzin i piętnaście minut temu. Dzień wcześniej zadzwonił do nich osobiście, dając im jasno do zrozumienia, że nie przyjmie do wiadomości żadnych usprawiedliwień. Jeżeli mają jakieś kłopoty z transportem, pomoże im, ale punktualnie o szóstej mają zjawić się w Waszyngtonie w jego mieszkaniu pod podanym adresem.

Alternatywę stanowiło zdemaskowanie ich dotychczasowych działań.

Gdy wraz z szóstym uderzeniem stojącego na kominku zegara rozległ się dzwonek do drzwi, Swanson wiedział, że ma ogromną przewagę nad nimi. Ludzie tacy jak Oliver i Craft -

szczególnie Oliver - byli punktualni wyłącznie wtedy, kiedy się bali. Nie miało to nic wspólnego z uprzejmością.

Przekazanie sprawy odbyło się nadzwyczaj prosto.

Numer telefonu w Genewie. Pod tym numerem będzie czekał człowiek, który na dane hasło doprowadzi do spotkania obydwu stron, w razie potrzeby służąc jako tłumacz. Należało przyjąć, że druga strona dysponuje planami precyzyjnych stratosferycznych żyroskopów, pierwsza zaś powinna mieć dostęp lub przynajmniej wiedzieć maksymalnie dużo o możliwościach uzyskania dostępu do znacznych ilości diamentów technicznych. Miejscem, od którego warto by zacząć, były kopalnie Koeniga w Johannesburgu.

Te informacje musiały im wystarczyć.

I drobna sugestia: byłoby dobrze, gdyby panowie Craft i Oliver zaczęli działać natychmiast.

Gdyby tego nie uczynili, Ministerstwo Wojny mogłoby wysunąć niezwykle poważne zarzuty dotyczące osobistych lub zbiorowych niedopatrzeń w zakresie kontaktów zbrojeniowych.

Kiedy Swanson skończył, zapadła długotrwała cisza. Obydwaj mężczyźni chłonęli powoli wszystkie implikacje, jakie pociągało za sobą jego ostatnie stwierdzenie.

Alan Swanson dodał jeszcze tylko jednoznaczne potwierdzenie ich najgorszych obaw: ktoś, kto zostanie wybrany, żeby polecieć do Genewy, nie może być mu znany osobiście ani nikomu z Ministerstwa Wojny i współpracujących z nim agend. Ta kwestia nie podlegała żadnej dyskusji.

Spotkanie w Genewie miało charakter rozpoznawczy. Człowiek, który tam poleci, musi dysponować odpowiednią wiedzą i, w miarę możliwości, umiejętnością wykrywania podstępów. Nieodzwonne jest, żeby sam potrafił je w razie potrzeby zastosować.

To chyba nie powinno sprawić im większej trudności; w kołach, w których się zwykle obracają, raczej nie powinni mieć kłopotów ze znalezieniem odpowiedniego kandydata.

Rzeczywiście. Doradca o nazwisku Walter Kendall.

Swanson spojrzął na zegar na kominku; dwadzieścia po szóstej.

Dlaczego ten czas tak się wlecze? Dlaczego się w ogóle nie zatrzymał? Dlaczego wszystko się nie zatrzyma, z wyjątkiem promieniowania słonecznego? Dlaczego muszą być noce, które trzeba jakoś przeżyć?

Za godzinę pójdzie do biura i jakby nigdy nic załatwi dla niejakiego Waltera Kendalla przelot jedną z

neutralnych tras do Genewy. Papiery, które w związku z tym wypełni, schowa do błękitnej teczki wraz z dziesiątkami innych, dotyczących najróżniejszych przelotów i transportów. Nie będzie na nich żadnego podpisu, jedynie stempel Wydziału Operacyjnego Fairfax i adnotacja: procedura standardowa w postępowaniu z łącznikami.

O, Boże! pomyślał Swanson. Gdyby można było mieć na to wpływ, nie biorąc w tym jednocześnie udziału!

Ale wiedział, że to niemożliwe i że prędzej czy później będzie musiał stawić czoło temu, co zrobił.

6 grudnia 1943, Kraj Basków, Hiszpania

Przebywał na północy już od tygodnia. Nie spodziewał się, że będzie to trwało aż tak długo, ale Spaulding wiedział, że to konieczne; nieoczekiwana dywidenda. To, co zapowiadało się na rutynową akcję, polegającą na ułatwieniu ucieczki dwóm naukowcom z Zagłębia Ruhry, okazało się czymś więcej.

Naukowcy stanowili przynętę zastawioną przez Gestapo. Kurier, który doprowadził ich aż tutaj z Zagłębia Ruhry, nie należał do niemieckiego ruchu oporu, lecz do Gestapo.

Spaulding potrzebował trzech dni, żeby nabrać co do tego całkowitej pewności.

Niemiec był jednym z najlepszych fachowców, jakich zdarzyło mu się do tej pory spotkać, ale błędy, jakie popełniał, układały się w pewną całość; brakowało mu jeszcze doświadczenia. W

chwili kiedy Dawid był już pewien, wiedział dokładnie, co należy zrobić.

Przez pięć dni prowadził swego „kolegę z podziemia” przez szczyty i przełęcze na wschód, docierając aż do Sierra de Guara, niemal sto mil od tradycyjnego szlaku ucieczkowego. Wchodził do leżących na uboczu wsi i rozmawiał z ludźmi, o których wiedział, że są falangistami - ale oni nie wiedzieli nic o nim - a następnie mówił

gestapowcowi, że to partyzanci. Wędrując górskimi ścieżkami w dół rzeki Guayardo wyjaśniał swemu towarzyszowi, że tędy właśnie prowadzą zawsze trasy ucieczek. Wbrew temu, w co wierzyli Niemcy, wiodły one na wschód, w kierunku Morza Śródziemnego, nie na zachód do Atlantyku. Właśnie dzięki temu, że cały czas udawało się utrzymywać nieprzyjaciela w tym przekonaniu, pirenejska siatka odnotowała na swoim koncie tyle sukcesów. Dwukrotnie posłał agenta niemieckiego do małych miasteczek, żeby zdobył nieco pożywienia; za każdym razem widział, jak gestapowiec wchodzi do domów, z których dachów zwieszały się grube druty telefoniczne.

Informacje były przesyłane do Niemiec; już choćby to stanowiło wystarczający powód, żeby zainwestować dodatkowe pięć dni. Wróg straci kilka kolejnych miesięcy, koncentrując się na nie istniejących „szlakach wschodnich”, podczas gdy prawdziwe będą mogły spokojnie funkcjonować.

Ale teraz gra zbliżała się już do końca. To dobrze, pomyślał Dawid. Czekają na niego nowe zadania w Ortegale na wybrzeżu Zatoki Biskajskiej.

Z niewielkiego ogniska pozostały już tylko dogasające węgle; nocne powietrze było nieprzyjemnie chłodne. Spaulding spojrzął na zegarek: druga. Poleciał „kurierowi”, żeby stanął

na warcie w sporej odległości, poza zasięgiem migotliwego światła. W ciemności dał mu

wystarczająco dużo czasu, ale Niemiec nie wykorzystał szansy, pozostając na posterunku.

Niech i tak będzie, pomyślał Dawid. Może ten człowiek nie jest jednak aż takim ekspertem, za jakiego go uważał, a może informacje, które przekazali mu jego ludzie, nie odpowiadały prawdzie. Nie było oddziału żołnierzy niemieckich, podejrzanych strzelców alpejskich; który zszedłby z gór, aby przechwycić agenta Gestapo.

I schwytać Spauldinga.

Podszedł do skały, na której siedział Niemiec.

- Odpocznij. Teraz ja popilnuję.

- *Danke* - powiedział mężczyzna wstając z miejsca. - Najpierw podstawowe potrzeby.

Muszę pofolgować wnętrznościom. Wezmę saperkę i pójdę na pole.

- Lepiej idź do lasu. Na polach pasą się zwierzęta. Mogą cię zwęszyć.

- Oczywiście. Ty o wszystkim pamiętasz.

- Staram się - odparł Dawid.

Niemiec wrócił do miejsca, w którym płonął ogień, wyjął ze swego plecaka saperkę i ruszył w stronę lasu graniczącego z polem. Spaulding nie spuszczał go z oka i w pewnej chwili uświadomił sobie, że jego pierwsze wrażenie było jednak słuszne; agent Gestapo był

ekspertem. Nie zapomniał o tym, że przed sześcioma dniami uczeni z Zagłębia Ruhry zniknęli bez śladu podczas jego drzemki. Dawid zobaczył wtedy w jego oczach potworną wściekłość i wiedział, że gestapowiec pamiętał o tamtym wydarzeniu.

Jeżeli Spaulding prawidłowo ocenił sytuację, to należało się spodziewać, że Niemiec odczeka co najmniej godzinę, aby upewnić się, że on, Dawid, nie stara się nawiązać kontaktu z niewidocznymi w ciemnościach partyzantami, i dopiero potem da sygnał, który sprowadzi na małe obozowisko oddział gotowych do boju strzelców alpejskich.

Gestapowiec popełnił jednak błąd: zbyt łatwo przyjął ostrzeżenie Dawida o pasących się na polach zwierzętach i propozycję, żeby załatwił swoją potrzebę w lesie.

Na miejsce obozowiska dotarli późnym popołudniem. Kawałek pola był zupełnie goły, kamienisty, porośnięty resztkami suchej, kwaśnej trawy. Nic by tu się nie pasło, nawet kozy.

Poza tym nie było wiatru. Nocne powietrze było zimne, ale nieruchome.

Doświadczony kurier zareagowałby jakimś żartem i stwierdziłby, że nie ma najmniejszego zamiaru srać w kompletnie ciemnym lesie; lecz Niemiec nie potrafił

zrezygnować z okazji, która w znaczny sposób ułatwiła mu nawiązanie kontaktu.

Jeżeli rzeczywiście miał zamiar go nawiązać, pomyślał Dawid. Dowie się o tym za kilka minut.

Odczekał trzydzieści sekund od chwili, kiedy agent Gestapo zniknął między drzewami, po czym szybko, bezszelestnie padł na ziemię i zaczął toczyć się po kamienistym gruncie w kierunku lasu, o kilkadziesiąt jardów w bok od miejsca, w którym widział Niemca po raz ostatni.

Przebywszy w ten sposób trzydzieści pięć do czterdziestu stóp, wstał z ziemi i nisko pochylony wbiegł między drzewa; o ile się nie mylił, od nieprzyjaciela dzieliło go około sześćdziesięciu jardów.

Zagłębiwszy się w gęstwinię, zaczął bezgłośnie zmniejszać tę odległość. Nie widział jeszcze celu, ale wiedział, że niebawem go zobaczy.

Dostrzegł go w chwilę później: sygnał. Zapalona zapałka, trzymana przez sekundę w dłoni, i zaraz potem raptownie zgaszona.

Jeszcze jedna. Ta płonęła znacznie dłużej, nim została zgaszona szybkim dmuchnięciem.

Z głębi lasu, z dwóch przeciwległych punktów, nadeszły dwie odpowiedzi - palące się zapałki.

Spaulding ocenił odległość na jakieś sto stóp. Niemiec, nie obeznany z baskijskim lasem, zatrzymał się praktycznie na jego skraju. Oddział, dla którego były przeznaczone sygnały, zbliżał się coraz bardziej. Spaulding podpełznął bliżej bezszelestnie, aby nie zakłócić jednostajnego szumu lasu.

Usłyszał szepty, z których rozumiał tylko pojedyncze słowa, ale to wystarczyło.

Wrócił szybko do miejsca, w którym wszedł między drzewa, a następnie popędził na swój posterunek. Znalazłszy się przy skale, wyjął z kieszeni małą latarkę i zasłaniając częściowo dłonią szkiełko, skierował ją dokładnie na południowy zachód, a w krótkich odstępach czasu nacisnął pięć razy przycisk. Następnie schował ją do kieszeni i czekał.

Nie sądził, żeby trwało to zbyt długo.

Miał rację.

Niemiec nadszedł od strony lasu, trzymając saperkę i paląc papierosa. Noc była ciemna, gęste chmury bowiem jedynie od czasu do czasu przepuszczały słaby blask księżyca.

Dawid wstał ze skały i gwizdnął cicho, żeby zwrócić na siebie uwagę. Niemiec zbliżył się do niego.

- Co jest, Sizborlo? - zapytał.

Odpowiedź Spauldinga była cicha i składała się tylko z dwóch słów.

- Heil Hitler.

Krótki bagnet wbił się po rękojeść w żołądek faszysty, a następnie, pchnięty z ogromną siłą, poszedł w dół, zabijając go na miejscu.

Mężczyzna padł na ziemię z wykrzywioną zdumieniem twarzą. Odbyło się to w zupełnej ciszy; jedynym dźwiękiem był odgłos wypuszczonego raptownie z płuc powietrza, początek krzyku, zduszony w zarodku wepchniętą w usta dłonią.

Dawid ponownie pobiegł do lasu, tym razem bardziej w lewo, bliżej miejsca, w którym niedawno słyszał prowadzoną szeptem rozmowę. Rzucił się na ziemię, przyciskając twarz do zeschniętych liści, niespodziewanie bowiem chmury rozstały się i blask księżyca rozświetlił nocne ciemności. Leżał bez ruchu kilka długich sekund, oczekując na alarm, ale nic takiego nie nastąpiło.

Księżyc ponownie schował się za chmury, znów nastąpiła ciemność. Nikt nie dostrzegł leżącego na polu ciała; ten fakt stanowił dla Dawida bardzo ważną wskazówkę.

Nadciągający z głębi lasu strzelcy alpejscy z pewnością nie dotarli jeszcze do jego skraj, a jeśli nawet już tam byli, to na pewno nie koncentrowali swojej uwagi na polu.

Czekali na coś, co miało nastąpić gdzie indziej.

Albo po prostu czekali.

Uniósł się na kolana i poczołgał pośpiesznie na zachód przez gęste poszycie, starając się każdym ruchem ciała i kończyn dopasować do nierówności terenu. Nikogo nie widząc, nie wyczuwając niczyjej obecności, dotarł do miejsca, w którym jeszcze niedawno trzej ludzie rozmawiali.

Wyjął z kieszeni pudełko wodoodpornych zapalek; zapalił pierwszą i natychmiast ją zgasił, drugiej zaś pozwolił płonąć przez kilka sekund.

Jakieś czterdzieści stóp od niego zapłonął na chwilę mały ogienek. Dokładnie na północ.

Niemal jednocześnie nadeszła druga odpowiedź, tym razem z zachodu, z odległości pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu stóp.

I to wszystko.

Wystarczająco dużo.

Spaulding poczołgał się szybko, kierując na północny wschód. Przebywszy nie więcej niż piętnaście stóp, przykucnął za pnem zaatakowanego przez mrówki drzewa.

Czekał, a czekając wyjął z kieszeni giętki, cienki drut, na którego obydwu końcach znajdowały się drewniane uchwyty dopasowane do kształtu dłoni.

Jak na strzelca alpejskiego ten żołnierz robi zbyt wiele hałasu, pomyślał Dawid.

Właściwie biegł, zaniepokojony nagłym wezwaniem. Dla Spauldinga stanowiło to dodatkową informację: agent Gestapo, którego zabił, musiał być bardzo wymagającym człowiekiem.

Oznaczało to, że oddział pozostanie na miejscu, oczekując rozkazów, i że żaden ze strzelców nie przejawia własnej inicjatywy.

Teraz jednak nie miał czasu się nad tym zastanawiać, żołnierz bowiem właśnie mijał jego kryjówkę.

Dawid wyskoczył bezszelestnie zza drzewa, zarzucił drut na szyję Niemca, po czym szarpnął z całej siły, czując, jak ciało ustępuje bezradnie przed tnącym niczym brzytwą metalem.

Tym razem rozległ się jedynie odgłos powietrza wypuszczonego nagle z płuc.

Dawid Spaulding słyszał ten dźwięk już tyle razy, że przestał robić na nim jakiegokolwiek wrażenie. Kiedyś robił.

Cisza.

A potem trzask łamanych gałęzi i głośnie kroki, stawiane niepewnie na nieznanym terenie, gwałtowne i zniecierpliwione. Człowiek, który leżał u jego stóp, był jeszcze niedawno równie zniecierpliwiony.

Spaulding schował zakrwawiony drut do kieszeni i wyciągnął bagnet z przytroczonej do pasa pochwy. Wiedział, że nie musi się śpieszyć; jego trzecia ofiara będzie na niego czekała. Najprawdopodobniej przerażona i dezorientowana... albo i nie, jeśli to rzeczywiście był strzelec alpejski. Strzelcy byli twardsi od Gestapo; mówiło się nawet, że nie sposób zostać strzelcem nie będąc choćby w minimalnym stopniu sadystą. Maszyny, potrafiące utrzymać się przy życiu na górskich przełęczach i zachować bojowy zapał aż do chwili, kiedy otrzymywały rozkaz ataku.

Tak, co do tego nie było żadnych wątpliwości: zabijanie strzelców alpejskich wiązało się z wyraźną przyjemnością.

Kierat.

Ruszył naprzód z wyciągniętym przed siebie bagnetem.

- *Wer?.. Wer ist dort?* - szepnęła nerwowo majacząca w ciemności postać.

- *Hier, mein Soldat* - odparł Dawid, wbijając ostrze w pierś Niemca.

Dołączyli do niego partyzanci z gór: czterech Basków i jeden Katalończyk. Dowódca, krępy i przysadzisty, był Baskiem.

- Nieźle nas przegoniłeś, Lizbona. Chwilami myśleliśmy, że jesteś *loco*, Matko Boska!

Przeszliśmy co najmniej sto mil.

- Niemcy zrobią kilka razy więcej, możesz być tego pewien. Co jest na północ od nas?

- Strzelcy alpejscy, co najmniej dwudziestu, rozstawieni co kilka kilometrów aż do granicy. Pozwolimy im tam siedzieć do usranej śmierci?

- Nie - odparł z namysłem Dawid. - Zabijcie ich. Wszystkich, z wyjątkiem ostatnich trzech. Tych tylko porządnie pogońcie. Potwierdzą w Gestapo to, co im podsunęliśmy.

- Nie rozumiem.

- Nie musisz. - Dawid podszedł do dogasającego ogniska i kopnął żarzące się węgle.

Musiał czym prędzej dostać się do Ortegal. Nie potrafił myśleć o niczym innym.

Nagle zdał sobie sprawę, że toporny Bask przyszedł za nim i stanął po drugiej stronie ogniska, najwyraźniej mając zamiar coś powiedzieć.

- Chyba powinieneś już wiedzieć - odezwał się wreszcie. - Odkryliśmy, w jaki sposób te świny się do nas dobrały. Tydzień temu.

- O czym ty gadasz? - zapytał ze zniecierpliwieniem Spaulding. Cała struktura opierała się na starannie obliczonym ryzyku; niebawem otrzyma pisemne raporty, a akurat w tej chwili nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę. Chciał położyć się spać, obudzić się i wyruszyć do Ortegal. Jednak nie było potrzeby sprawiać Baskowi przykrości. - Mów, *amigo*.

- Nie powiedzieliśmy ci wcześniej, bo baliśmy się, żebyś w gniewie nie zaczął działać zbyt pochopnie.

- Jak to? Dlaczego?

- To był Bergeron.

- Nie wierzę.

- To prawda. Wzięli go w San Sebastian. Nie poszło im łatwo, ale w końcu go złamali.

Dziesięć dni tortur: druty w genitaliach, narkotyki. Podobno umarł plując im w twarz.

Dawid patrzył w oczy partyzanta. Informacja nie wywołała w nim żadnych uczuć.

Żadnych. A to podziało na niego jak ostrzeżenie. Sam wyszkolił Bergerona, przebywając z nim długie tygodnie w górach, rozmawiając godzinami o sprawach, jakie porusza się tylko wtedy, gdy jest się kimś naprawdę blisko. Bergeron walczył z nim i poświęcał się dla niego.

Był najbliższym przyjacielem, jakiego Dawid miał w Kraju Basków.

Jeszcze dwa lata temu taka wiadomość wprawiałaby go w nieopisaną wściekłość.

Waliby pięścią w ziemię domagając się przeprowadzenia akcji odwetowej, żeby dokonać aktu zemsty.

Rok temu odszedłby na bok, żeby być przez chwilę sam na sam ze sobą i pomyśleć w samotności o człowieku, który oddał swoje życie, pozostawiając po sobie jedynie wspomnienia.

Teraz nic nie czuł.

Zupełnie nic.

To okropne uczucie, kiedy zupełnie nic się nie czuje.

- Nie popełniaj więcej tego błędu - powiedział do Baska. - Następnym razem masz mnie natychmiast o wszystkim informować. Ja nie działam pochopnie.

13 grudnia 1943, Berlin, Niemcy

Johann Dietrich po raz kolejny zmienił nieco położenie swego ogromnego, miękkiego cielska wierząc się niespokojnie na obitym skórą krześle, stojącym naprzeciwko biurka Altmüllera. Dochodziła już dwudziesta druga trzydziści, a on jeszcze nawet nie jadł obiadu; po prostu nie miał czasu. Wtłoczony do ciasnego wnętrza Messerschmitta odbył niezbyt przyjemny lot z Genewy, a szczególnie rzecz biorąc znajdował się w stanie maksymalnego wyczerpania, na co nie omieszkął kilkakrotnie zwrócić uwagi swemu rozmówcy.

- Zdajemy sobie sprawę z tego, co pan przeszedł, i w pełni to doceniamy, Herr Dietrich. Oddał pan swemu krajowi nieocenioną przysługę. - Głos Altmüllera był

przepełniony głębokim współczuciem. - Jeszcze tylko kilka minut i każę pana odwieźć, dokądkolwiek pan zechce.

- Najlepiej do jakiejś przyzwoitej restauracji, jeżeli jeszcze jakaś jest czynna o tej porze - odparł z rozdrażnieniem Dietrich.

- Przykro nam, że naraziliśmy pana na niewygodę. Może choć częściowo zrekompensuje je naprawdę miły wieczór: dobry posiłek, Schnapps, przyjemne towarzystwo... Bóg jeden wie, jak bardzo pan sobie na to zasłużył. Kilka mil za miastem znajduje się gospoda o ściśle dobranym gronie gości: głównie młodzi porucznicy lotnictwa, odbywający w pobliżu przeszkolenie. Mają tam naprawdę znakomitą kuchnię.

Johann Dietrich nie uważał za stosowne odpowiedzieć na uśmiechnięte spojrzenie Altmüllera; pewne sprawy uważał za nierozzerwalnie związane ze swoim stylem życia i inni starali się dostarczyć mu ich w wielkiej obfitości. Był przecież ważną osobą, na której zależało wielu ludziom; w tej chwili zależało na nim Herr Altmüllerowi.

- Tak, to nie byłoby najgorsze. Miałem okropny dzień. Kilka dni, jeśli chodzi o ścisłość.

- Oczywiście, jeśli ma pan jakieś inne życzenia...

- Nie, w porządku. Niech będzie to, co pan poleca. Może skończymy wreszcie, dobrze?

- Oczywiście. Powtórzmy wszystko jeszcze raz, żeby uniknąć ryzyka popełnienia jakiegokolwiek błędu... Więc Amerykanin nie miał żadnych obiekcji, kiedy wspomniał pan o Buenos Aires?

- Wręcz przeciwnie. To obrzydliwy typ: ani razu nie spojrzał mi prosto w oczy, ale wiedział, co mówi. Po prostu obrzydliwy! Ubranie, nawet paznokcie, odrażające!

- Tak, oczywiście. Czy jest pan całkowicie pewien, że go dobrze zrozumiał?

- Mówię biegle po angielsku. Rozumiem najdrobniejsze niuanse. Był bardzo zadowolony, bo to miejsce z pewnością spełnia dwa warunki: jest oddalone o tysiące mil, a jednocześnie teoretycznie znajduje się w sferze wpływów Stanów Zjednoczonych.

- Tak, spodziewaliśmy się takiej reakcji. Czy miał odpowiednie pełnomocnictwa?

- Ponad wszelką wątpliwość. Mimo swoich obrzydliwych manier z całą pewnością jest bardzo wpływowym człowiekiem. To krętacz, ale widać, że zależy mu na sfinalizowaniu transakcji.

- Czy wspominaliście, choćby mimochodem, o motywach?

- Słowo honoru, to było nieuniknione. Kendall dał mi jasno do zrozumienia, że chodzi wyłącznie o sprawy finansowe, a ja mu wierzę bez zastrzeżeń. On myśli kategoriami liczbowymi. Wątpię, czy jest w stanie zrozumieć cokolwiek innego. Znam się na ludziach.

- Właśnie na to liczyliśmy. A Rhinemann? Do niego także nie miał żadnych zastrzeżeń?

- Absolutnie żadnych. Zwróciłem jego uwagę na ryzyko, jakie świadomie podejmujemy, żeby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń. Rhinemann jest przecież na przymusowym wygnaniu. Na Kendallu zrobiło wrażenie jedynie jego bogactwo.

- Pozostał element czasu. Musimy być nadzwyczaj dokładni. Przyjrzyjmy się proponowanym datom. Każdy błąd mógłby pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje.

Jeśli dobrze zrozumiałem, Amerykanin określił przedział wielkości, w jakim musiałyby się zmieścić dostawa diamentów...

- Tak, tak - przerwał Dietrich takim tonem, jakby wyjaśniał oczywiste sprawy dziecku. Przecież nie wiedział, jakie są nasze potrzeby. Rzecz jasna, zażądałem maksimum, bo różnice w czasie nie były zbyt wielkie. Będą musieli zmienić przeznaczenie ładunków przygotowywanych do transportu, bo naruszenie istniejących zapasów stanowiłoby zbyt duże ryzyko.

- Nie jestem pewien, czy to dobrze rozumiem. To może być pułapka.

- Zgadza się, tylko że to oni wpadli w pułapkę swoich własnych środków ostrożności.

Dokładnie od miesiąca każdy skład diamentów technicznych jest strzeżony ze zdwojoną uwagą, a każdy kilogram musi być potwierdzony dziesięcioma podpisami. Tak duże ubytki zostałyby natychmiast wykryte.

- Na tym polegają niedogodności demokracji. Kiedy ci na dole dopną się do jakiegokolwiek władzy, nie sposób im ją odebrać. Trudno to sobie wyobrazić.

- Kendall ujął to w ten sposób, że nie będzie zadawanych zbyt wiele pytań i że nie dowie się o tym za dużo osób. Mogłoby to spowodować spore kłopoty. W ich służbie bezpieczeństwa jest dużo Turków.

- Trudno, musimy zgodzić się na ten warunek - stwierdził Altmüller z nieudawaną rezygnacją. - Czas, jaki będzie potrzebny na zmianę miejsca przeznaczenia tych transportów, określono na cztery do sześciu tygodni. Nie da się tego przyspieszyć?

- Oczywiście, że się da, jeśli sami przystąpimy do przeróbki rudy. To niemożliwe.

Zostalibyśmy z tonami bezużytecznych odpadów.

- Potrzebujemy produktu końcowego.

- Dałem mu to jasno do zrozumienia.

- A jednak uważam to opóźnienie za niczym nie uzasadnione. Muszę szukać dziury w całym, panie Dietrich. Sam pan powiedział, że ten Kendall to krętacz.

- Ale powiedziałem też, że zależy mi na sfinalizowaniu transakcji. Posłużył się analogią, która nadaje dodatkową wagę jego słowom. Powiedział, że znaleźli się w sytuacji człowieka, który wszedł do narodowego skarbcza w Kentucky i postanowił niepostrzeżenie wynieść z niego parę worków złota... Czy już skończyliśmy?

- Prawie. Czy łącznik w Genewie otrzyma nazwisko człowieka, z którym nawiążemy kontakt w Buenos Aires?

- Tak, za trzy lub cztery dni. Kendall przypuszcza, że to będzie niejaki Spinelli, znakomity ekspert od żyroskopów.

- Chyba nie aż tak znakomity, jak mu się wydaje. Włoch?

- Obywatel amerykański.

- Rozumiem. Oczywiście należało się spodziewać, że będą chcieli najpierw sprawdzić autentyczność planów. Teraz pozostaje nam już tylko rytualny taniec, czyli wzajemne podchody przed sfinalizowaniem transakcji.

- To już sprawa pańskich ludzi, mnie to zupełnie nie interesuje. Ja zrobiłem pierwszy i, jak mi się wydaje, najważniejszy krok w całej tej sprawie.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Sądzę, że spełni pan do końca nadzieje, jakie pokłada w panu Führer. Czy rozmawiał pan z kimś o swojej podróży do Genewy?

- Z nikim. Z pewnością nie zawiodę zaufania Führera. On na pewno wie o tym. Już mój ojciec, brat i wuj udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że lojalność rodziny Dietrich nie ma sobie równych.

- Rzeczywiście, Führer często o tym wspominał. To już wszystko, *mein Herr!*

- Znakomicie! Czuję się zupełnie wykończony... Skorzystam z pańskiej propozycji co do restauracji. Gdyby zechciał pan zarezerwować mi stolik, zadzwoniłbym po samochód.

- Jak pan sobie życzy, ale przecież mój kierowca może tam pana zawieźć. Jak już wspomniałem, to nie jest ogólnie dostępne miejsce, a mój szofer to młody chłopak, który wszędzie umie się znaleźć. - Altmüller spojrzał na Dietricha; przez ułamek sekundy patrzyli sobie prosto w oczy. - Führer miałby mi za złe, gdyby dowiedział się, że naraziłem pana na jakieś niewygody.

- No, niech i tak będzie. Skoro pan tak nalega... Przede wszystkim nie możemy sprawiać przykrości Führerowi.

Dietrich wstał z trudem z krzesła, Altmüller zaś wyszedł zza biurka.

- Dziękuję panu, Herr Dietrich - powiedział minister, wyciągając dłoń. - Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, ujawnimy pańskie nadzwyczajne zasługi. Jest pan bohaterem Rzeszy, *mein Herr*. To dla mnie wielki zaszczyt, że mogłem pana poznać. Mój adiutant zaprowadzi pana do samochodu, kierowca już czeka.

- Co za ulga! Dobranoc, Herr Altmüller. - Kiedy Johann Dietrich odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi, Altmüller nacisnął guzik zainstalowany na biurku.

Rano Dietrich zostanie znaleziony martwy, towarzyszyć zaś temu będą takie okoliczności, że nikt nie będzie miał ochoty rozmawiać o nich inaczej, jak tylko najcichszym szeptem.

Dietrich jak pionek zniknie z szachownicy.

A wraz z nim zatarte zostaną wszelkie ślady wiodące z Genewy do przywódców Rzeszy. Sprawa Buenos Aires znajdzie się wyłącznie w rękach Ericha Rhinemanna i jego dawnych kolegów z kół przemysłowych Niemiec.

Oraz jego, Franza Altmüllera.

Głównego manipulanta.

15 grudnia 1943, Waszyngton, D. C.

Swansonowi nie podobały się metody, jakie był zmuszony stosować, przeczuwał

bowiem, że stanowią one początek całego łańcucha oszustw, a on nie był oszustem. Potrafił

znakomicie demaskować oszustów, lecz wynikało to nie tyle z wrodzonych cech jego charakteru, co z faktu, że musiał się często z nimi stykać.

Metody rzeczywiście budziły w nim obrzydzenie: podglądanie i podsłuchiwanie ludzi nie mających pojęcia o tym, że są śledzeni, rozmawiających bez oporów o wszystkim, o czym z pewnością by nie rozmawiali, gdyby wiedzieli, że stanowią obiekt obserwacji. To wszystko należało do innego świata, świata Edmunda Pace'a.

Zaaranżowanie sytuacji nie przedstawiało większych trudności, wywiad wojskowy dysponował bowiem odpowiednio przygotowanymi pomieszczeniami, rozrzuconymi po całym Waszyngtonie, nawet w najmniej oczekiwanych miejscach. Edmund Pace dał mu ich listę, a on wybrał hotel Sheraton, czwarte piętro, apartament 4-M; oficjalnie dwa pokoje, w rzeczywistości trzy. Ten trzeci znajdował się za ścianą z szybami z jednostronnie przezroczystego szkła, zamaskowanymi od strony udostępnianych gościom pomieszczeń dużymi obrazami impresjonistów. Na półce w dodatkowym pokoju stały magnetofony, głośniki zaś podwieszane do wzmacniaczy powtarzały wszelkie odgłosy z zaledwie minimalnymi zniekształceniami. Jedyłą, zresztą nieznaczną, przeszkodę w obserwacji stanowiły delikatne, pastelowe kolory obrazów.

Nie była to jednak przeszkoda, o której warto by wspominać.

Żadnych trudności nie przedstawiało także sprowadzenie trzech mężczyzn do tego apartamentu. Swanson zadzwonił do Jonathana Crafta, przedstawiciela Packarda, i poinformował go, że Walter Kendall przylatuje popołudniowym samolotem z Genewy, a także wspomniał przestraszonemu cywilowi o tym, że być może władze wojskowe będą chciały pozostawać w stałym kontakcie telefonicznym, więc najlepiej będzie, jeśli Craft zarezerwuje pokój w jakimś ruchliwym hotelu w centrum miasta. On osobiście polecałby Sheraton.

Craft był mocno podenerwowany, bo przecież chodziło także o jego głowę. Jeżeli Ministerstwo Wojny życzy sobie Sheraton, to proszę bardzo. Zrobił rezerwację nie zadając sobie trudu, żeby najpierw skontaktować się z Howardem Oliverem z Meridian Aircraft.

Resztą zajęła się już recepcja hotelowa.

Kiedy przed godziną Walter Kendall zjawił się w hotelu, Swansona uderzył jego niedbały wygląd, z całą pewnością nie wynikający jedynie z trudów podróży. Niechlujstwo, zaczynające się od gestów, a kończące na wiecznie rozbieganych oczach. Kojarzył się z wyrośniętym ponad miarę gryzoniem, przypominającym nieco dorosłego mężczyznę.

Wydawało się niewiarygodne, że ludzie tacy jak Oliver i Craft - szczególnie Craft - mogli mieć z nim cokolwiek wspólnego. To tylko potwierdza jego wartość, pomyślał Swanson.

Kendall był właścicielem nowojorskiej firmy consultingowej; sam zajmował się analizą finansów i pracował dla różnych przedsiębiorstw, wynajmujących go w celu manipulowania prognozami i statystykami.

Nie podał ręki żadnemu z czekających na niego mężczyzn, tylko skierował się od razu do fotela, stojącego naprzeciw kanapy, usiadł i otworzył teczkę. Swoją relację zaczął od dosyć treściwego stwierdzenia: - Przysięgam na Boga, ten sukinsyn był pedałem!

Następnie precyzyjnie, z najdrobniejszymi szczegółami opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się

w Genewie. Ustalono ilości, warunki i karbonadów; wymagania jakościowe; Buenos Aires; Gian Spinelli, plany żyroskopów, ich sprawdzenie i dostarczenie; wreszcie pośrednik - Erich Rhinemann, wypędzony Żyd. Kendall był bardzo pewnym siebie gryzoniem, nie obawiającym się zagłębić w cuchnące tunele negocjacji. W gruncie rzeczy, czuł się tam jak u siebie w domu.

- Skąd możemy mieć pewność, że będą postępować z nami uczciwie? - zapytał Craft.

- Uczciwie? - Kendall roześmiał się głośno. - Nie do pomyślenia! Uczciwie!

- Mogą nam dać fałszywe plany - nie ustępował Craft. - Jakies bezużyteczne, niepotrzebne papierzyska.

- Ma rację - powiedział Oliver nie otwierając prawie ust.

- A my możemy im wysłać parę skrzyń potłuczonego szkła. Sądzą, że nie przyszło im to na myśl? Ale ani oni, ani my nie zrobimy nic w tym rodzaju z dokładnie tego samego, pieprzonego powodu: nad naszymi głowami wisi topór. Mamy wspólnego wroga.

- U nich Najwyższe Dowództwo, u nas Ministerstwo Wojny - dopowiedział Oliver, siedzący na krześle vis-a-vis Kendalla.

- Otóż to. I my, i oni zajmujemy się zaopatrzeniem. Dla Boga, ojczyzny i paru dolarów. A wszyscy razem znajdujemy się w paskudnym położeniu. Nie mówimy tym cholernym generałom, jak mają prowadzić wojnę, a oni nie mówią nam, jak mamy utrzymywać produkcję. Jeżeli oni popieprzą coś ze strategią albo przegrają jakąś bitwę, to siedzimy cicho, ale kiedy nam się powinie noga, kiedy opóźnimy dostawy, te sukinsyny od razu skaczą nam do gardła. Ta cholerna niesprawiedliwość. Ten pedał Dietrich ma dokładnie takie samo zdanie, jak ja: musimy się bronić.

Craft wstał z kanapy; był to nerwowy gest, świadczący o poważnych wątpliwościach.

- To co robimy, nie jest zwyczajną obroną - powiedział z wahaniem. - My wchodzimy w układy z wrogiem.

- Z którym wrogiem? - zapytał Kendall grzebiąc w swoich papierach. Nie spojrzał

nawet na Crafta. - Racja, to nie jest „zwyczajne”. Bez względu na to, kto wygra, i my, i oni będziemy mieli sporo do roboty. Obydwaj nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości.

Zapadła cisza. Przerwał ją Oliver, pochylając się ze wzrokiem cały czas utkwionym w Kendallu.

- To czysty zysk, Walterze. Może w tym być sporo zdrowego rozsądku.

- Sporo - powtórzył doradca, rzucając krótkie spojrzenie na korpulentnego mężczyznę.

- Rozpieprzamy ich miasta, zdmuchujemy z powierzchni ziemi całe fabryki, linie kolejowe, autostrady. A będzie jeszcze gorzej. Potrzeba będzie kupy forsy, żeby to wszystko odbudować.

- A jeśli Niemcy wygrają? - zapytał Craft stojąc przy oknie.

- To cholernie mało prawdopodobne - odpowiedział Kendall. - Cała sprawa sprowadza się do tego, kto komu wyrządzi więcej szkód, a przewaga jest po naszej stronie. Im więcej zniszczeń, tym więcej pieniędzy będzie trzeba na odbudowę. To samo dotyczy Anglii. Jeśli jesteście sprytni, chłopcy, to każdej chwili musicie być gotowi do nawrócenia, żeby zgarnąć trochę z tego, co będzie do zarobienia po wojnie. - Te diamenty... - Craft odszedł od okna. -

Do czego one są im potrzebne?

- Co za różnica? - Kendall napisał coś na jednej z kartek leżących na jego kolanach. -

Po prostu skończyły im się, a ktoś chce ich za to kopnąć w dupę. Dokładnie tak samo, jak z tymi waszymi żyroskopami... Właśnie, Howard, czy rozmawiałeś już wstępnie z kopalniami?

Oliver zamrugał szybko, wyrwany z głębokiego zamyślenia.

- Tak. Z biurem Koeniga w Nowym Jorku.

- Jak to sformułowałeś?

- Że to ściśle tajne zamówienie, za zgodą Ministerstwa Wojny. Potwierdzenie przyjdzie z biura Swansona, ale on ma rzekomo nic o tym nie wiedzieć.

- Kupili to? - Doradca ciągle coś pisał.

- Powiedziałem, że jeszcze przed potwierdzeniem przyjdą pieniądze. Nie mają nic przeciwko zarobieniu paru milionów. Spotkaliśmy się w Klubie Bankierów.

- A więc kupili?

- Walter... - mówił dalej Oliver. - Wymieniłeś wcześniej nazwisko Spinellego. Moim zdaniem, to zły wybór.

Kendall przerwał pisanie i spojrzał na przedstawiciela Meridian Aircraft.

- Nie mam zamiaru mówić mu o niczym. Tyle tylko, że kupujemy, a on ma sprawdzić przed przekazaniem pieniędzy, czy te plany są prawdziwe.

- Nic z tego. Nie można go nagle odciągnąć od pracy nad tym projektem. Za dużo problemów. Znajdź kogoś innego.

- Rozumiem, co masz na myśli - Kendall odłożył ołówek i w zamyśleniu zaczął

skubać czubek nosa. - Zaczekaj... Jest ktoś taki, w samej Pasadenie. To dziwaczny sukinsyn, ale może być wręcz doskonały. - Kendall roześmiał się, wciągając ustami powietrze. - Nic nikomu nie powie, bo w ogóle nie mówi.

- Jesteś pewien, że się nada? - zapytał Oliver.

- Ma pewne problemy, ale chyba będzie lepszy od Spinellego - odparł Kendall, notując coś na osobnej kartce. - Zajmę się tym. To będzie was kosztowało.

Oliver wzruszył ramionami.

- Dopisz to do kosztów własnych, ty fiucie. Co dalej?

- Kontakt w Buenos Aires. Ktoś, kto we współpracy z Rhinemannem przygotowuje szczegóły transakcji.

- Kto? - zapytał z napięciem w głosie Craft, nieświadomie składając dłonie.

Kendall uśmiechnął się, odsłaniając pokryte nalotem zęby.

- Zgłaszasz się na ochotnika? Wyglądasz na księdza.

- Boże, ależ skąd! Ja tylko...

- Ile? - przerwał mu Oliver.

- Więcej, niż chcielibyście zapłacić, ale nie wydaje mi się, żebyście mieli jakiś wybór.

Postaram się ściągnąć maksymalnie dużo od Wuja Sama, żeby zaoszczędzić wam nieco wydatków.

- Zrób to.

- W Buenos Aires roi się od wojskowych. Swanson będzie musiał postawić zasłonę dymną.

- Na pewno tego nie robi - dodał bez wahania Oliver. - Dał nam jasno do zrozumienia, że nie chce widzieć cię na oczy ani nawet więcej o tobie słyszeć.

- Gównu mnie to obchodzi. Ten Rhinemann będzie jednak żądał pewnych gwarancji, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Swanson będzie niezadowolony. - Głos Crafta był piskliwy i pełen napięcia. - Nie chcemy, żeby był niezadowolony.

- Niezadowolony, cholera! Po prostu nie chce sobie pobrudzić tego swojego ślicznego mundurka. Wiecie co? Na razie zostawcie go w spokoju. Dajcie mi trochę czasu, mam masę spraw do przemyślenia. Może znajdę jakiś sposób, żeby go zadowolić. Może po prostu wyślę mu rachunek.

„Po prostu nie chce sobie pobrudzić tego swojego ślicznego mundurka...” Ma pan świętą rację, panie Kendall, pomyślał Swanson zbliżając się do windy.

Ale to nie było możliwe. Mundur musiał się pobrudzić. Okazało się to oczywiste w chwili, kiedy na

scenie pojawił się człowiek o nazwisku Erich Rhinemann.

Rhinemann stanowił jedną z porażek Hitlera; zdawał sobie z tego sprawę Berlin, jak również Londyn i Waszyngton. Był całkowicie oddany sile finansowej, politycznej i wojskowej. Dla niego władza powinna emanować z pojedynczego, silnego źródła, on sam zaś zgodzi się tylko na to, żeby być w jego bezpośrednim pobliżu.

Jego żydowskie pochodzenie nie miało większego znaczenia; drobna niedogodność, która miała przestać się liczyć z chwilą zakończenia wojny.

Kiedy bowiem wojna się skończy, Erich Rhinemann zostanie wezwany z powrotem.

Będzie tego wymagało zarówno to, co pozostanie z niemieckiego przemysłu, jak i interesy światowej finansjery.

Rhinemann powróci na rynek międzynarodowy dysponując siłą większą niż kiedykolwiek przedtem.

Nawet nie biorąc udziału w transakcji w Buenos Aires.

Jeśli weźmie w niej udział, jego wpływy staną się przeogromne.

Wiedza, jaką będzie dysponował, da mu olbrzymią przewagę. Będzie mógł ją w każdej chwili wykorzystać przeciwko którejkolwiek ze stron.

A szczególnie przeciwko Waszyngtonowi.

Erich Rhinemann musi zostać wyeliminowany.

Po sfinalizowaniu transakcji.

Już choćby z tego powodu Waszyngton musiał mieć jeszcze jednego człowieka w Buenos Aires.

16 grudnia 1943, Waszyngton, D. C.

Było czymś w największym stopniu niezwykłym, żeby wyższy oficer opuszczał teren Fairfax z jakiegokolwiek powodu, ale pułkownik Edmund Pace otrzymał taki rozkaz.

Stał teraz przed biurkiem generała Swansona i powoli zaczynał rozumieć. Instrukcje Swansona były krótkie, lecz zawierały znacznie więcej treści, niż sugerowałyby to ich zwięzłość. Z wielu pilnie strzeżonych gabinetów należało wydostać tajne akta wywiadu i dokładnie przejrzeć znaczną ich część.

Swanson zdawał sobie sprawę z tego, że początkowo Pace miał spore obiekcje.

Dowódca Fairfax nawet nie starał się ukryć swego zaskoczenia - do pewnego momentu.

Agent, którego poszukiwano, musiał władać biegle niemieckim i hiszpańskim, znać się w pewnym zakresie - może nie na poziomie specjalisty, ale na pewno lepiej, niż wymagałoby prowadzenie luźnej rozmowy na ten temat - na inżynierii lotniczej, łącznie z dynamiką metali i systemami nawigacyjnymi. Powinien dysponować umiejętnościami pozwalającymi na pozorowane zatrudnienie go w ambasadzie, a to oznaczało swobodę poruszania się w kręgach finansowych i na arenie dyplomatycznej.

W tym momencie Pace nie wytrzymał. Wiedza, jaką dysponował mi temat Johannesburga i Genewy, zmusiła go do zgłoszenia sprzeciwu. Osiągnął tylko tyle, iż zwrócono mu uwagę, żeby wstrzymał się ze swoimi uwagami do chwili, kiedy skończy mówić jego przełożony.

Ostatnia umiejętność, którą musiał dysponować człowiek w Buenos Aires (generał nie ukrywał, że kłóciła się ona nieco z wymienionymi wcześniej kwalifikacjami), była następująca: zdolność do szybkiej eliminacji przeciwnika.

Ten człowiek powinien znać się na zabijaniu. Nie w hałasie i rozgardiaszu bitwy, strzelając na oślep do niewidocznego wroga, lecz cicho i bezszelestnie, stając oko w oko z ofiarą. Samotnie.

To żądanie nieco udobruchało pułkownika. Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że w takim razie to, w co wplątali się jego zwierzchnicy, nie jest do końca tym, co podejrzewał.

Ministerstwo Wojny nie poszukiwałoby takiego człowieka, gdyby miało zamiar dotrzymać swoich zobowiązań.

Dowódca Fairfax powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Było oczywiste, że to on sam ma przeprowadzić poszukiwania. Zapytał tylko o kryptonim, jakim ma się posługiwać podczas ewentualnych kontaktów.

Swanson nachylił się nad mapą, która już od ponad trzech godzin leżała na jego biurku.

Niech będzie „Tortugas” - powiedział.

18 grudnia 1943, Berlin, Niemcy

Altmüller wpatrywał się w nie naruszoną pieczęć na dużej brązowej kopercie.

Podsunał ją pod lampę i wyjął szkło powiększające z górnej szuflady. Po dokładnych oględzinach odłożył lupę z zadowoleniem; nikt nie próbował dostać się do zawartości koperty.

Kurier dyplomatyczny przyleciał z nią z Buenos Aires - przez Senegal i Lizbonę - i zgodnie z otrzymanym poleceniem wręczył mu ją osobiście. Ponieważ miał niebawem wrócić do Argentyny, gdzie przebywał na stałe, Altmüller nie chciał, żeby zawiózł tam ze sobą niepotrzebne plotki, więc wciągnął go w niezobowiązującą rozmowę, kilka razy wspominając z lekceważeniem także o dostarczonej przesyłce. Starał się sprawić wrażenie, że jest to niemiłe widziana niedogodność - notatka dotycząca rozliczeń ambasady, którą właściwie powinno zająć się Ministerstwo Finansów, ale cóż on może poradzić? Ambasador był

przecież podobno starym przyjacielem Speera.

Teraz, kiedy kurier wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Altmüller skoncentrował

uwagę na kopercie. Jej nadawcą był Erich Rhinemann.

Rozciął krawędź i wydobyl kartkę papieru, pokrytą trudno czytelnym, odręcznym pismem Rhinemanna.

Mój drogi Altmüller!

Okazja przysłużenia się Rzeszy stanowi dla mnie zaszczyt, którego podejmuję się z prawdziwym entuzjazmem. Oczywiście, jestem Ci niezmiernie wdzięczny za zapewnienia, że poinformujesz o moich wysiłkach licznych, starych przyjaciół. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że mógłbyś postąpić inaczej.

Z pewnością ucieszy Cię wiadomość, że na przybrzeżnych wodach, od Punta Delgada na południu do Morza Karaibskiego na północy, moje statki korzystają z neutralnych przywilejów pod banderą Paragwaju. Być może ten fakt okaże Ci się do czegoś przydatny. Poza tym dysponuję pewną liczbą małych i średnich jednostek wyposażonych w nadzwyczaj mocne silniki. Mogą przemieszczać się błyskawicznie po wodach przybrzeżnych, uzupełniając paliwo w stacjach przybrzeżnych, dzięki czemu są w stanie dość szybko pokonywać nawet spore odległości. Rzecz jasna, nie można porównywać ich z samolotami, ale za to podróże odbywane są w całkowitej dyskrecji, z dala od ciekawskich oczu, które w obecnych czasach obserwują wszystkie lotniska.

Nawet my, obywatele neutralnych krajów, musimy omijać najróżniejsze blokady.

Mam nadzieję, że te informacje stanowią wystarczającą odpowiedź na zadziwiająco tajemnicze pytania, które mi postawiłeś.

Proszę Cię, żebyś w przyszłości starał się wyrażać nieco jaśniej. Niezależnie od tego możesz być przekonany o moim oddaniu dla Rzeszy.

Otrzymałem wiadomości od moich znajomych z Berna, że wasz Führer zaczyna wykazywać wyraźne objawy zmęczenia. Należało się tego spodziewać, nieprawdaż?

Pamiętaj, mój drogi Franz, że myśl jest zawsze pomnikiem większym od człowieka. W obecnej sytuacji myśl pojawiła się przed człowiekiem. To ona pozostanie owym pomnikiem.

Oczekuję na wiadomość od Ciebie.

Erich Rhinemann

Cóż za subtelny brak delikatności! „Oddanie dla Rzeszy...”, „znajomi z Berna...”,

„wyraźne objawy zmęczenia...”, „należało się tego spodziewać...”

„Myśl jest zawsze pomnikiem większym od człowieka...”

Rhinemann

informował

o

swoich

możliwościach,

potędze

finansowej,

„prawomyślnych” troskach i bezwzględny oddaniu dla Niemiec. Zestawiając razem to wszystko, wywyższał się ponad Hitlera, potępiając go - oczywiście z myślą o większej chwale Rzeszy. Bez wątpienia pozostawił sobie fotokopie tego listu, z pewnością też będzie zbierał

skrętnie wszystkie dokumenty związane z tą operacją, żeby pewnego dnia wykorzystać je po to, aby znaleźć się u steru powojennych Niemiec, a może nawet całej Europy. Będzie dysponował bronią, która zapewni mu posłuszeństwo.

Bez względu na rezultat, jakim zakończy się wojna. Niezachwiane poświęcenie lub w razie potrzeby groźba tak potwornego szantażu, że alianci drżeliby na samą myśl o tym.

Niech i tak będzie, pomyślał Altmüller. Nie miał co się z nim równać. Rhinemann był

ekspertem we wszystkim, co robił: metodyczny aż do przesady, szalenie konserwatywny w działaniu - w tym sensie, że zanim uczynił krok naprzód, musiał mieć absolutną pewność, że stoi na twardym gruncie - a przede wszystkim dysponujący ogromną wyobraźnią.

Wzrok Altmüllera spoczął na nabazgranej linijce tekstu: „Proszę Cię, żebyś w przyszłości starał się wyrażać nieco jaśniej”.

Franz uśmiechnął się. Rhinemann miał rację: był tajemniczy. Ale nie bez powodu; nie miał pojęcia, dokąd zmierza, a nawet, czy przypadkiem nie jest przez kogoś prowadzony.

Wiedział tylko tyle, że skrzynie z diamentami muszą zostać dokładnie sprawdzone, a to wymagało czasu. Więcej, niż spodziewał się Rhinemann, jeśli wiadomości, które dostarczono z Peenemünde, miały okazać się prawdziwe. Według nich Amerykanie mogli dostarczyć transport diamentów najgorszej jakości, dla laika nie do odróżnienia od tych właściwych.

Kamyczki, które rozsypią się w pył przy pierwszym zetknięciu ze stalą.

Gdyby sprawa znajdowała się w rękach Anglików, to taka ewentualność byłaby bardziej niż prawdopodobna.

Amerykanie także mieli niezgorszych manipulatorów w swoim wywiadzie, o ile, rzecz jasna, wywiad został w ogóle dopuszczony do operacji. Altmüller wątpił jednak, czy zostaną oni włączeni do akcji; hipokryzja Amerykanów zaczynała się już na szczeblu rządowym.

Przedstawiali przemysłowcom swoje żądania i oczekiwali, że będą one spełnione, ale nie interesowały ich zupełnie metody, jakimi zostanie to osiągnięte. Nieskomplikowane, purytańskie zasady zamieniły się w czcze frazesy w Waszyngtonie.

Dzieci. Ale rozzłoszczone, sfrustrowane dzieci mogą być niebezpieczne.

Ładunek musi zostać dokładnie sprawdzony.

Jeszcze w Buenos Aires.

Kiedy to już nastąpi, nie może zaistnieć najmniejsze ryzyko, że utonie w morzu albo spadnie z nieba. Trzeba zapytać Rhinemanna o możliwości wywiezienia ładunku. Skrzynie muszą w jakiś sposób dostać się na najbardziej oczywisty środek transportu, którym dostarczy się je do Niemiec.

Okręt podwodny.

Rhinemann z pewnością wszystko zrozumie, a może nawet pochwali jasność i precyzję następnych kontaktów.

Altmüller wstał, przeciągnął się, po czym zaczął przechadzać się po gabinecie, usiłując pozbyć się bólu w krzyżu, wywołanego zbyt długim siedzeniem w jednej pozycji.

Niechcący zbliżył się do obitego skórą krzesła, na którym kilka dni temu siedział Dietrich.

Dietrich nie żył. Jednorazowy posłaniec został znaleziony w łóżku zbroczonym krwią, plotki zaś o nocnej orgii, w której brał udział, były tak obrzydliwe, że postanowiono czym prędzej pochować je wraz z ciałem.

Ciekawe, czy Amerykanów byłoby stać na takie rozwiązanie.

On, Franz Altmüller, mocno w to wątpił.

19 grudnia 1943, Fairfax, Wirginia

Swanson stanął w milczeniu przed stalowymi drzwiami prowadzącymi do drugiej części hangaru. Porucznik wypowiedział do interkomu nazwisko generała, po czym skinął

głową i ponownie zasalutował. Stuknęły odskakujące zatrzaski; Swanson mógł wejść do środka.

Zgodnie z otrzymanym od niego poleceniem, dowódca Fairfax był sam. Stał po prawej stronie biurka, trzymając w dłoni plik akt. Oddał honory swemu przełożonemu.

- Dzień dobry, panie generale.

- Dzień dobry. Szybko się pan uwinął, doceniam to.

- Może to nie do końca to, czego pan oczekiwał, ale nic lepszego nie jesteśmy w stanie znaleźć. Proszę spocząć, sir. Przedstawię panu jego kwalifikacje. Jeśli uzna pan, że się nadaje, te akta są pańskie, jeśli nie, wracają do sejfu.

Swanson usiadł na jednym z metalowych krzeseł stojących naprzeciw biurka pułkownika. Czuł ogarniające go rozdrażnienie; Ed Pace, podobnie jak wielu jego podwładnych w Wydziale Tajnych Operacji, zachowywał się tak, jakby był odpowiedzialny tylko przed Bogiem; nawet On musiałby uzyskać jego zgodę, żeby dostać się do Fairfax.

Byłoby znacznie prościej, gdyby Pace dał mu te akta i pozwolił, żeby generał sam je przeczytał.

Z drugiej strony u podłoża doktryny obowiązującej w Fairfax leżało przekonanie, że nie istnieje taka para oczu, która nie mogłaby zostać skaptowana przez nieprzyjaciela. Każdy mógł być jeszcze dzisiaj w Waszyngtonie, a już za tydzień w Anzio albo na Wyspach Salomona. W metodzie Pace'a kryła się głębsza logika: wystarczyło, żeby pękło jedno ogniwo łańcucha, a zagrożona była cała sieć agentów rozsianych po świecie.

Pomimo wszystko było to diabelnie irytujące. Pace wydawał się rozkoszować swoją rolą. On nie ma za grosz poczucia humoru, pomyślał Swanson.

- Interesujący nas człowiek wielokrotnie sprawdził się w akcji, działając na własną rękę w najważniejszych rejonach. Znajomość języków: bardzo dobra. Umiejętność stosowania kamuflażu: znakomita. Czuje się równie swobodnie w salonie dyplomatycznym, jak i w mieszkaniu murarza; wszędzie jest równie przekonujący.

- Pan go mi zachwala, panie pułkowniku.

- Jeśli tak, to przepraszam. Bardzo go potrzebujemy tam, gdzie się obecnie znajduje.

Ale nie wie pan jeszcze wszystkiego. Może pan zmienić zdanie.

- W takim razie słucham.

- Z negatywów należy przede wszystkim wymienić to, że nie jest wojskowym. To nie znaczy, że jest cywilem. Ma nawet stopień kapitana, ale wątpię, czy kiedykolwiek go używał.

Chodzi o to, że nie jest przyzwyczajony do hierarchii służbowej. Sam tworzy siatkę i sam nią dowodzi. Robi to już od niemal czterech lat.

- Dlaczego uważa pan to za wadę?

- Nie sposób przewidzieć, jak zareaguje na konieczność podporządkowania się dyscyplinie i przyjmowania rozkazów.

- Nie będzie miał wyboru i basta.

- Dobrze więc... Druga wada: nie ma nic wspólnego z lotnictwem.

- To już jest istotne, niestety! - zareagował ostro Swanson. PACE marnował jego czas; człowiek w Buenos Aires musiał rozumieć, o co chodzi. Może nawet więcej niż tylko rozumieć.

- Ale zajmuje się zblizoną dziedziną, sir. Nasi ludzie twierdzą, że tacy specjaliści nadają się do wszystkiego.

- To znaczy?

- Jest inżynierem budowlanym o sporym doświadczeniu w dziedzinie mechaniki, elektryczności i inżynierii metali. Nadzorował całe budowy, od fundamentów do oddania ich do użytku. To ekspert od wszelkiego rodzaju planów i rysunków technicznych.

Swanson milczał przez chwilę, po czym skinął zdawkowo głową.

- Proszę mówić dalej, panie pułkowniku.

- Największy problem stanowiło znalezienie osoby łączącej wymagane kwalifikacje techniczne z umiejętnością usuwania przeciwników. Sam pan zwrócił na to uwagę.

- Istotnie. - Swanson uznał, iż nadszedł odpowiedni moment, żeby okazać odrobinę ludzkich uczuć. PACE sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego; poszukiwania na pewno nie były łatwe. - Dałem panu niewdzięczne zadanie. Czy pański niezdyscyplinowany, działający w pojedynkę inżynier ma już na koncie jakieś „usunięcia”?

- Nie prowadzimy dokładnej dokumentacji, bo...

- Przecież pan wie, co mam na myśli.

- Tak. Znajduje się tam, gdzie jest to nie do uniknięcia. Jeśli nie liczyć naszych ludzi w Birmie i w Indiach, musiał stosować rozwiązanie ostateczne częściej niż ktokolwiek. Dla pańskiej wiadomości

mogę dodać, że nigdy się nie zawahał.

Swanson otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale minęła dłuższa chwila, nim zapytał z uniesionymi wysoko brwiami:

- Tacy ludzie wciąż jeszcze wprawiają pana w zdumienie, prawda?

- Są tak właśnie wyszkoleni. Jak wszyscy, wykonują po prostu swoją pracę... w jakimś celu. On nie jest mordercą z natury rzeczy. Ci najlepsi nigdy nimi nie są.

- Nigdy nie rozumiałem pańskiej pracy, Ed. Czy to nie dziwne?

- Ani trochę. Ja, z kolei, chyba nie potrafiłbym funkcjonować na pańskim poletku w Ministerstwie Wojny. Te tabele, wykresy, czcza gadanina z cywilami... Nie, to nie dla mnie.

Co pan sądzi o moim kandydacie?

- Nie ma innych?

- Nawet kilku, lecz z każdym jest ten sam problem: znają języki i mają pojęcie o technice lotniczej, ale jeśli chodzi o eliminację przeciwnika - zero. Przyjąłem założenie, że to równie ważne jak pozostałe wymagania.

- Słusznie. Zna go pan osobiście?

- Bardzo dobrze. Sam go znalazłem i obserwowałem każdą fazę jego szkolenia.

Widziałem go w akcji, to profesjonalista.

- Takiego właśnie potrzebuję.

- Więc może jest tym, kogo pan szuka. Jednak, zanim to powiem, chcę zadać jedno pytanie. Właściwie, to muszę je zadać, bo ja również z pewnością je usłyszę.

- Mam nadzieję, że będę mógł na nie odpowiedzieć.

- Chyba tak, bo nie dotyczy ono żadnych szczegółów.

- W takim razie słucham.

Pace wyszedł ku Swansonowi przed biurko, po czym przysiadł na nim, krzyżując ręce na piersi. Był to sygnał, który w języku wojskowych znaczył mniej więcej tyle: co prawda jestem twoim podwładnym, ale to, co mam do powiedzenia, stawia mnie przez chwilę na równi z tobą.

- Zazaczyłem już, że ten człowiek jest dla nas bardzo cenny tam, gdzie znajduje się obecnie. Prawdę mówiąc, on jest tam niezastąpiony. Odwołując go narazimy na niepowodzenie bardzo ważną operację - może damy sobie jakoś radę, ale ryzyko jest duże.

Muszę wiedzieć, czy jego nowe zadanie usprawiedliwia to ryzyko.

- Ujmijmy to w ten sposób, panie pułkowniku - odparł Swanson cichym, ale pewnym głosem. - Nie ma zadania równie ważnego, jak to, może z wyjątkiem projektu Manhattan.

Przypuszczam, że słyszał pan o projekcie Manhattan?

- Słyszałem. - Pace oderwał się od biurka. - Czy Ministerstwo Wojny potwierdzi ten priorytet, oczywiście przez pańskie biuro?

- Tak.

- W takim razie oto on, panie generale - powiedział Pace wręczając Swansonowi akta.

- Jeden z naszych najlepszych ludzi. Człowiek z Lizbony... Spaulding, kapitan Dawid Spaulding.

26 grudnia 1943, Ribadavia, Hiszpania

Dawid jechał motocyklem drogą gruntową prowadzącą na południe, wzdłuż rzeki Minho. Była to najkrótsza droga do granicy, tuż poniżej Ribadavii. Po przedostaniu się na drugą stronę skręci na zachód, w kierunku lotniska znajdującego się nieopodal Valency. Jeśli pogoda utrzyma się i jeżeli znajdzie się dla niego jakiś samolot, to podróż do Lizbony potrwa około dwóch godzin. Na lotnisku spodziewano się go dopiero za dwa dni, więc niewykluczone, że wszystkie maszyny mogą znajdować się w powietrzu.

Jego niepokój był równie wielki, jak prędkość obracających się pod nim kół. To wszystko było tak niezwykle, że niemal bezsensowne. W Lizbonie nie było nikogo, kto dysponowałby uprawnieniami wystarczającymi do tego, żeby wydać mu taki rozkaz, jaki otrzymał z Ortegala!

Co się więc stało?

Poczuł się tak, jakby nagle zagrożona została newralgiczna część jego istnienia, ale zaraz potem zastanowił się nad swoją reakcją; przecież nie kochał tego świata, w którym chwilowo żył, a nieustające wybiegi i podstępny nie sprawiały mu żadnej satysfakcji. W

gruncie rzeczy większość jego codziennych obowiązków napawała go obrzydzeniem i miał

już dosyć zarówno nieustającego strachu, jak i ryzyka związanego z podejmowaniem każdej decyzji.

Mimo to wiedział, co go zaniepokoiło: przyzwyczał się już do swojej pracy. Przybył

do Lizbony kilka wieków temu, rozpoczął nowe życie i opanował je do perfekcji. Nagle stało się ono równie ważne, jak wszystkie budowle, które kiedyś miał zamiar wznieść, i plany, które chciał przyoblec w konkretną formę ze stali i betonu. Jego praca wymagała precyzji i zdecydowania, rezultaty zaś były widoczne każdego dnia, czasem nawet częściej niż tylko raz. Podobnie jak kiedyś setki szczegółów o wykorzystywanych materiałach, tak teraz spływały do niego najróżniejsze informacje, z których on konstruował rzeczywistość.

Dla wielu była ona czymś nie do zastąpienia.

A teraz ktoś chciał go odwołać z Lizbony; mało tego, w ogóle z Portugalii i Hiszpanii!

Czyżby to było takie proste? Czy jego raporty rozwścieczyły o jednego generała za dużo?

Czy trzeba było zrezygnować z jakiejś spektakularnej operacji, ponieważ przesłał meldunek, który, ukazując prawdziwy obraz sytuacji, niweczył wszelkie szanse jej powodzenia?

Czyżby szczy w Waszyngtonie i Londynie doszły do wniosku, że należy wreszcie usunąć cierń sprawiający tyle niewygód? Było to całkiem możliwe. Mówiono mu często, że ludzie pracujący w

wielopiętrowych bunkrach przy londyńskiej Tower Road nie raz i nie dwa wybuchali wściekłością po lekturze jego raportów. Wiedział o tym, że konkurencyjne służby Waszyngtonu skarżyły się wielokrotnie na to, że wkracza na ich terytorium, a nawet wydział

G-2, teoretycznie jego pracodawca, krytycznie patrzył na jego angażowanie się w organizację ucieczek z terytoriów okupowanych.

Istniał jednak pewien argument ważniejszy od wszystkich tych zastrzeżeń: Dawid Spaulding był dobry. Udało mu się zmontować najlepszą siatkę w Europie. I dlatego właśnie nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia i niepokoju. Był także inny powód, którego istnienia nie chciał potwierdzić nawet przed sobą samym: potrzebował uznania.

Nie wznosił do tej pory żadnych wielkich budowli i prawdopodobnie już ich nie wzniesie. Kiedy wszystko się skończy, będzie po prostu inżynierem w średnim wieku, który prawie nie miał okazji popracować w swoim zawodzie, nawet w czasie wojny, chociaż Korpus Inżynierski armii USA był największą tego typu instytucją w historii.

Usiłował nie myśleć o tym.

Przekroczył granicę w Mendoso, gdzie strażnicy znali go jako zamożnego, lekkomyślnego wygnańca, unikającego wszelkiego ryzyka związanego z wojną. Przyjęli takie same, jak zwykle, dowody wdzięczności i kazali jechać.

Przelot z Valency na małe lotnisko, położone poza granicami Lizbony, był dwukrotnie przerywany - w Agueda i Pombal - z powodu intensywnych opadów deszczu. U celu podróży czekał nań samochód z ambasady. Kierowca, szyfrant nazwiskiem Marshall, był jedynym członkiem jej personelu, który wiedział, kim naprawdę jest Spaulding.

- Paskudna pogoda, prawda? - zagadał usadowiwszy się za kierownicą, kiedy Dawid wrzucił już swój bagaż na tylne siedzenie. - Nie zazdroścę ci podróży tym latawcem. Przy takim deszczu.

- Ci piloci latają tak nisko, że w każdej chwili mógłbym wyskoczyć. Najbardziej bałem się drzew.

- Ja bym się bał wszystkiego.

Marshall uruchomił silnik i przejechał przez wyrwę w płocie, służącą jako brama wjazdowa na lotnisko. Znalazłszy się na szosie włączył światła drogowe; dochodziła dopiero szósta, ale niebo było pokryte ciemnymi chmurami.

- Myślałem, że zechcesz sprawić mi komplement i zapytasz, dlaczego fachowiec mojej klasy robi za szofera. Byłem tu już o czwartej. No, pytaj. Niezłe się naczekałem.

Spaulding uśmiechnął się.

- Chryste Panie, wydawało mi się, Marsh, że po prostu chcesz się wkupić w moje łaski, żebym następnym razem wziął cię ze sobą. Co się właściwie stało? Zrobili mnie generałem?

- Na pewno czymś cię zrobili, tylko nie wiem czym - odpowiedział poważnie Marshall. - Osobiście odebrałem depeszę z centrali; najwyższy stopień komplikacji szyfru, wyłącznie dla głównego szyfranta.

- Czuję się cholernie zaszczycony - odparł cicho Spaulding ciesząc się, że może wreszcie z kimś o tym porozmawiać. - O co chodzi, do diabła?

- Nie mam, rzecz jasna, pojęcia, do czego jesteś im potrzebny, ale jednego jestem pewien: potrzebują cię na wczoraj. Zneutralizowali wszystkie punkty, w których mogło nastąpić opóźnienie. Przyszły rozkazy, żeby sporządzić szczegółową listę wszystkich twoich kontaktów, wraz z opisem: powód, data, czy i kiedy się powtarzały, miejsce, trasa dojścia, sygnalizacja... O niczym nie zapomnieli. Ostatni rozkaz - zawiadomić całą siatkę, że wypadłeś z gry.

- Wypadłem z... - Dawidowi głos uwiązł ze zdumienia w gardle. „Wypaść z gry” było zwrotem używanym zarówno wobec tych, którzy z takich, czy innych względów się nie sprawdzili, jak i tych, których przenoszono w inne miejsce, i oznaczało całkowite, nieodwołalne zerwanie wszelkich kontaktów. - To szaleństwo! Przecież to moja siatka!

- Już nie. Dzisiaj rano przysłali nowego człowieka z Londynu; zdaje się, że to Kubańczyk, i to w dodatku bogaty. Przed wojną studiował architekturę w Berlinie. Od razu zagrzebał się w biurze, studiując twoją kartotekę. Ma zająć twoje miejsce... Chciałem, żebyś o tym wiedział.

Dawid patrzył przez zalaną strugami deszczu szybę. Jechali szosą prowadzącą przez dzielnicę Alfama, składającą się z płataniny krętych, wspinających się na wzgórze uliczek, dochodzących aż do mauretańskiego kościoła św. Jerzego. Ambasada amerykańska znajdowała się w Baixa, po drugiej stronie Terreiro do Paço. Dzielilo ich od niej jeszcze około dwudziestu minut drogi.

A więc to naprawdę koniec, pomyślał Spaulding. Odwołali go. Człowiekiem z Lizbony będzie teraz jakiś kubański architekt. Ponownie opanowało go uczucie zbędności; w jednej chwili zabrano mu tak wiele i w tak tajemniczych okolicznościach... „Wypadł z gry”...

- Kto podpisał rozkaz?

- To jest najdziwniejsze ze wszystkiego. Do tych szyfrów mają dostęp wyłącznie ci z samej góry, ale pod depeszą nie było żadnego podpisu. Jedyne nazwisko, jakie zostało wymienione w depeszy, to twoje.

- Co mam robić?

- Jutro odlatujesz. Wieczorem poinformują nas, o której godzinie. Będzie jedno międzylądowanie: lotnisko Lajes na Terceirze, Azory. Tam otrzymasz dalsze polecenia.

26 grudnia 1943, Waszyngton, D. C.

- Proszę wprowadzić pana Kendalla - powiedział Swanson, naciśnięszy guzik w interkomie stojącym na jego biurku.

Uniósł się z krzesła czekając, aż otworzą się drzwi. Nie wyjdzie zza biurka, żeby powitać gościa, ani nie poda ręki, by nie stwarzać najmniejszego nawet pozoru, że cieszy się z jego wizyty. Pamiętał dobrze, że podczas spotkania w Sheratonie Kendall nie uściskał dłoni ani Craftowi, ani Oliverowi; teraz z pewnością brak tego gestu nie sprawi mu specjalnej przykrości, ale być może zostanie dostrzeżony.

Kendall wszedł do gabinetu i drzwi zamknęły się za nim. Swanson od razu zwrócił

uwagę, że wygląd doradcy niewiele zmienił się od chwili, kiedy obserwował go z ukrycia kilka dni temu: miał na sobie ten sam garnitur i najprawdopodobniej tę samą, brudną koszulę.

Jeden Bóg znał prawdę o jego bieliźnie, ale o tym lepiej było nie myśleć. Wargi Kendalla były lekko wydęte, lecz nie świadczyło to o gniewie, czy nawet o niezadowoleniu. On po prostu tak oddychał, jednocześnie przez nos i usta. Jak zwierzę.

- Proszę wejść, panie Kendall. Zechce pan usiąść. Kendall usiadł bez słowa. Jego wzrok na króciutką chwilę spotkał się ze spojrzeniem generała.

- Według tego, co mi tu napisano, został pan wezwany w celu wyjaśnienia przyczyn niedotrzymania przez Meridian Aircraft ustaleń pewnego kontraktu - powiedział Swanson, zajmując z powrotem swoje miejsce. - Nie po to, by usprawiedliwić, tylko po prostu wyjaśnić.

Jako... niezależny doradca może pan to z pewnością zrobić.

- Ale to nie jest prawdziwy powód, prawda?

Kendall wyciągnął z kieszeni zmiętoszone pudełko papierosów, wyjął jednego i ścisnął go między palcami, zanim włożył do ust. Swanson spostrzegł, że jego rozmówca ma brudne, obgryzione paznokcie. Generał zaczął rozumieć - ale nie chciał się w to dokładniej wgłębiać - że u podłoża tego niechlujstwa musi leżeć jakaś choroba, rzucający się zaś w oczy brak dbałości o własny wygląd stanowi tylko jeden z jej objawów.

- Rzeczywiście - odparł zwięźle. - Najpierw chciałbym jasno sformułować reguły, żeby uniemożliwić któremukolwiek z nas ich przekroczenie. Przede wszystkim panu.

- Reguły zawsze wiążą się z jakąś grą. W jaką grę gramy, panie generale?

- Powiedzmy, że w „Czyste mundurki”. Albo „Jak poradzić sobie z kłopotami w Buenos Aires” - ta nazwa chyba bardziej się panu spodoba.

Kendall, wpatrujący się od dłuższej chwili w czubek papierosa, przeniósł raptownie wzrok na Swansona.

- Więc jednak Oliver i Craft nie wytrzymali. Musieli przynieść nauczycielowi to piękne, dorodne jabłko. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że będzie pan miał na nie ochotę.

- Ani Craft, ani Oliver nie kontaktowali się ze mną od ponad tygodnia, to znaczy od chwili, kiedy poleciał pan do Genewy.

Kendall odpowiedział dopiero po chwili.

- A więc pański mundur już jest porządnie zabrudzony... Sheraton. Tak coś mi się wydawało, że to nie pasuje do Crafta. Zdecydowanie lepiej prezentowałby się w Waldorffie.

Kazał pan założyć podsłuch. Udupił pan tych gówniarzy. - Jego głos był chrapliwy, niezbyt głośny, bez śladu gniewu. - W takim razie z pewnością wie pan, jak doszło do tego, że poleciałem do Genewy. Na pewno ma pan nagranie.

- Działaliśmy na życzenie Zarządu Produkcji Wojennej. Miało to związek z planowanymi negocjacjami z pewną firmą mającą swą siedzibę w Genewie. Często realizujemy podobne zamówienia, ale czasem poświęcamy im nieco więcej uwagi, jeżeli mamy podstawy przypuszczać, że kryje się za tym coś...

- Gówno prawda!

Swanson westchnął głośno.

- Pańska uwaga jest bezcelowa. Nie mam zamiaru się z panem sprzeczać. Usłyszał pan już to, co miałem do powiedzenia. Dysponuję nagraniem, dzięki któremu trafiłby pan natychmiast na stryczek albo na krzesło elektryczne, zresztą podobnie jak Oliver. Craftowi, być może, udałoby się wykpić dożywciami, bo pan żartował sobie z jego obaw i nie dopuszczał go do głosu... w każdym razie, wie pan, o co mi chodzi.

Kendall pochylił się i zgniół papierosa w popielniczkę stojącej na biurku generała.

Strach sprawił, że wpił się spojrzeniem w twarz Swansona, starając się z niej maksymalnie dużo wyczytać.

- Ale pana chyba bardziej interesuje Buenos Aires niż krzesło elektryczne dla mnie, prawda?

- Z przykrością muszę stwierdzić, że tak. Całkowicie wbrew mojej woli, bowiem tego typu obrzydliwe...

- Niech pan sobie daruje to pieprzenie - przerwał mu Kendall; takie dyskusje nie były dla niego

nowością. Wiedział, kiedy może się postawić. - Jak pan powiedział, wiem już, o co chodzi. Wygląda mi na to, że wlaź pan w gnojówkę wraz z resztą świń, więc proszę nie zgrywać się na Jezusa, bo pańska aureola trochę śmierdzi.

- Racja, ale proszę nie zapominać, że mam przynajmniej tuzin chlewików, do których w każdej chwili mogę się schować. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin Ministerstwo Wojny może przerzucić mnie na Sycylię albo do Birmy - a pana nie. Pan zostaje na widoku, w samym środku gnojówki. A ja w dodatku dysponuję nagraniem, które pana jeszcze bardziej wyróżni. O tym właśnie myślałem, wyrażając nadzieję, że wie pan, o co chodzi. Sądzę, że tak jest w istocie.

Kendall ścisnął w palcach koniec drugiego papierosa, włożył go do ust i zapalił.

Wypuściwszy dym nosem otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko wpatrywał się w Swansona spojrzeniem, w którym strach mieszał się z nienawiścią.

Generał przyłapał się na tym, że nieświadomie unika tego spojrzenia. Gdyby teraz popatrzył w oczy temu człowiekowi, oznaczałoby to, że zawiera z nim układ. W tej samej chwili zrozumiał, że istnieje rozwiązanie, dzięki któremu mógłby na taki układ przystać, i zdumiał się, że nie wpadł na nie wcześniej.

Walter Kendall musiał zostać wyeliminowany.

Podobnie jak Erich Rhinemann.

W chwili gdy do sfinalizowania transakcji w Buenos Aires pozostanie już tylko jeden krok, śmierć Kendalla stanie się nieodzowna.

Dzięki temu znikną wszelkie ślady wiodące do rządu Stanów Zjednoczonych.

Ciekawe, czy ci z Berlina potrafią zdobyć się na tak ostateczne rozwiązania, pomyślał.

On osobiście bardzo w to wątpił.

Spojrzał prosto w oczy swego niechlujnego. - chorego rozmówcy. Generał Alan Swanson już się nie bał. Ani nie czuł się winny.

Był żołnierzem.

- Czy możemy kontynuować, panie Kendall?

Plan Kendalla w związku z Buenos Aires wydawał się znakomicie obmyślany.

Swanson mimo woli odczuwał podziw dla jego zmysłu kręactwa i umiejętności tworzenia zabezpieczeń. Ten człowiek funkcjonował jak ściekowy szczur: instynktownie, sprawdzając wszystkie źródła światła i zapachów, jako najsilniejszą broń mając swe podejrzenia, i nieustannie

weryfikując ocenę swoich przeciwników. Z całą pewnością był zwierzęciem, drapieżnym i nieuchwytnym.

Niemców interesowały przede wszystkim trzy sprawy: jakość diamentów, wielkość dostawy oraz sposób jej bezpiecznego przewiezienia do Niemiec. Dostawa planów żyroskopów nastąpi dopiero wówczas, kiedy uda się rozproszyć ich obawy w każdej z tych kwestii.

Kendall zakładał, że sprawdzeniem jakości dostarczonej partii diamentów zajmie się nie jeden specjalista ani nie dwóch, tylko cały ich zespół.

Zostanie zatem sprowadzonych co najmniej trzech, a może i pięciu ekspertów, czas zaś, potrzebny na skontrolowanie całego ładunku, może wynieść ponad pół tygodnia, zależnie od jakości używanego sprzętu. Tyle dowiedział się od Koeniga w Nowym Jorku. Należy tak wszystko zorganizować, aby jednocześnie aerofizyk sprowadzony ze Stanów mógł wziąć się za sprawdzanie planów przywiezionych z Peenemünde. Jeżeli Niemcy okażą się tak ostrożni, jak spodziewał się Kendall, będą dostarczać je stopniowo, w zależności od tempa, w jakim będzie się posuwać naprzód kontrola diamentów. Zajmujący się planami Amerykanin z pewnością zostanie odizolowany i pozbawiony jakiegokolwiek możliwości skopiowania lub wykradzenia ich; potrwa to do chwili zakończenia prac zespołu ekspertów.

Kiedy obie strony upewnią się co do autentyczności otrzymanego towaru, najprawdopodobniej sięgną po ostateczny środek zastraszenia, aby zagwarantować sobie możliwość jego bezpiecznego przewiezienia. Wydawało się logiczne, że środek ów będzie w obydwu przypadkach identyczny: groźba zdemaskowania. Ujawnienie sposobu przeprowadzenia transakcji i kontrahenta, z którym została przeprowadzona.

Za to groziła tylko jedna kara: śmierć.

Dokładnie ta sama broń, którą generał grozi jemu, Walterowi Kendallowi.

Co jeszcze?

Czy Kendall uważa, że będzie możliwe przechwycenie planów, a następnie zniszczenie lub wstrzymanie dostawy diamentów?

Nie, dopóki będzie to czysto cywilna transakcja. Groźba zdemaskowania będzie zbyt realna, już w tej chwili bowiem istnieje zbyt wiele dowodów kontaktu. Nie sposób zaprzeczyć istnieniu kryzysu, co więcej, znane są nazwiska zaangażowanych osób. Zarzut kolaboracji zrujnowałby zarówno poszczególnych ludzi, jak i całe korporacje; plotki pochodzące z

„pewnego źródła” rozprzestrzeniają się lotem błyskawicy.

Gdyby wojsko wkroczyło do sprawy, to cywile natychmiast umyliby od wszystkiego ręce, odzegnując się od jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Swanson chyba zdaje sobie z tego sprawę, sam miał bowiem zamiar doprowadzić do takiej właśnie sytuacji i w pełni to mu się udało.

Owszem, Swanson zdawał sobie z tego sprawę.

Gdzie zostanie przeprowadzona kontrola diamentów? Jakie miejsce będzie się do tego najlepiej nadawało?

Odpowiedź Kendalla była krótka: każde miejsce, które wyda się odpowiednie jednej ze stron dla jej celów, zostanie natychmiast odrzucone przez drugą. Niemcy z pewnością to przewidzieli i właśnie dlatego wybrali Buenos Aires. Zresztą wszystko to było na nagraniu.

Czyżby Swanson nie słuchał?

Argentyńscy mocarze bez wątpienia, ale i bez rozgłosu, opowiadali się zdecydowanie po stronie państw osi, lecz przeważyło ich uzależnienie od gospodarki aliantów, które zadecydowało o zachowaniu neutralności. Dzięki temu każdy miał coś dla siebie: Niemcy -

sprzyjające otoczenie, a Amerykanie - możliwość wywarcia dostatecznie silnego nacisku, żeby zneutralizować tę sympatię, nie eliminując jej całkowicie.

Kendall żywił głęboki szacunek dla tych ludzi w Berlinie, którzy zdecydowali się na Buenos Aires. Rozumieli doskonale potrzebę zrównoważenia elementów psychologicznych: konieczności zrezygnowania z użycia siły, a jednocześnie zachowania wystarczająco silnych wpływów. To byli fachowcy najwyższej klasy.

Obie strony przedsięwzją najbardziej rygorystyczne środki ostrożności.

Najważniejsze będzie zgranie wszystkiego w czasie.

Swanson wiedział już, w jaki sposób plany żyroskopów opuszcza Argentynę: na pokładzie szybkiego samolotu, korzystającego z immunitetu dyplomatycznego, który wystartuje z jednej z nadbrzeżnych baz. Immunitet ten zostanie rozszerzony na wojskowych.

Tylko on będzie wiedział o operacji - nikt z armii ani z rządu nie zostanie o niej poinformowany. Sam poczynił odpowiednie przygotowania i w odpowiedniej chwili da znać Kendallowi.

- Na jaki środek transportu zdecydują się Niemcy?

- Oni mają znacznie większy problem. Wiedzą o tym i zapewne będą się domagać odpowiednich gwarancji. Może nawet zażądają zakładnika, ale to raczej nie wydaje się prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Czy mamy kogoś, kto jest wprowadzony w zagadnienie, z kogo moglibyśmy zrezygnować? O, Jezu! Gdybym to był ja, pan pierwszy zawołałby: „Zastrzelić tego sukinsyna!” - Kendall spojrział na moment w oczy generała. - Oczywiście, gdyby pan nie wiedział o środkach ostrożności, jakie podjąłem. Sporo mundurów okazałoby się nagle brudnych jak cholera.

Swanson doskonale zrozumiał, co chce mu powiedzieć Kendall, ale specjalnie się tym nie przejął. Na pewno poradzi sobie z tym, będzie jeszcze miał czas dokładniej się zastanowić. Bez wątpienia nie obędzie się bez przygotowań, ale to powinno być nic nadzwyczajnego: najpierw odosobnienie, potem spreparowanie odpowiedniego dossier...

- Skoncentrujmy się na sposobie, w jaki będą chcieli wywieźć diamenty. Nie ma sensu skakać sobie do gardła.

- A więc mamy to już za sobą?

- Tak mi się wydaje.

- To dobrze. Tylko proszę o tym nie zapomnieć, panie generale.

- Diamenty najpierw muszą znaleźć się w Buenos Aires. Czy zostało to już załatwione?

- Jest w trakcie. Dostawa powinna nastąpić za trzy, najdalej trzy i pół tygodnia.

Chyba, że coś popieprzy się na południowym Atlantyku, ale niczego takiego się nie spodziewamy.

- Kontrola zostanie przeprowadzona w Buenos Aires. Wysyłamy tam fizyka.

- Kto to będzie? Spinelli?

- Nie. Ze względu na mnie i na pana postanowiłem go wykluczyć. Ale pan o tym już wie...

- Tak. W takim razie, kto?

- Facet nazwiskiem Lyons. Eugene Lyons. Przygotuję panu teczkę na jego temat.

Trochę pana zatka, jak ją pan przeczyta, ale jeśli istnieje ktoś lepszy od Spinellogo, to właśnie on. Nie możemy pozwolić sobie na ryzyko. Jest już w Nowym Jorku.

Swanson coś sobie zanotował.

- A co z niemieckim transportem? Czy ma pan jakieś propozycje?

- Kilka. Na przykład neutralny samolot transportowy do Brazylii, stamtąd na drugą stronę Atlantyku, na Wyspy Kanaryjskie albo do Gwinei, na wybrzeżu afrykańskim, a potem do Lizbony. To najprostsza trasa, ale mogą nie chcieć korzystać z drogi powietrznej.

- Mówi pan jak wojskowy.

- Kiedy coś robię, to robię to dokładnie.

- Coś jeszcze?

- Przypuszczam, że zdecydują się na okręt podwodny, może nawet na dwa, dla odwrócenia uwagi. To

wolniejszy, ale najpewniejszy środek transportu.

- Okręt podwodny nie wpłynie do żadnego portu argentyńskiego, bo nasze patrole rozwalą go na strzępy, a jeśli nawet wpłynie, to zostanie natychmiast internowany. Nie możemy zmieniać tych reguł.

- Chyba będziecie musieli.

- To niemożliwe. Musi istnieć inny sposób.

- W takim razie mam nadzieję, że go pan znajdzie. Tylko proszę nie zapominać o czystym mundurze.

Swanson spojrzał gdzieś w bok.

- Co z Rhinemannem?

- A co ma być? Pomału szykuje się do powrotu do kraju. Mając taką kupę forsy może sobie gwizdać nawet na Hitlera.

- Nie ufam mu.

- Byłby pan głupcem, gdyby pan mu ufał, ale najgorsze, co może zrobić, to zażądać od obydwu stron ułatwień w dostępie do rynków zbytu albo gratyfikacji pieniężnej. I co z tego?

Wykona swoją część zadania, może pan być spokojny.

- O to akurat jestem. Przy okazji doszliśmy do głównego punktu naszego spotkania: muszę mieć człowieka w Buenos Aires. W ambasadzie

Kendall nie odpowiedział od razu, jakby chciał w pełni wchłonąć znaczenie słów Swansona. Sięgnął po popielniczkę i postawił ją na oparciu krzesła.

- Swojego czy naszego? My także kogoś potrzebujemy. Sądziliśmy, że pozostawi nam pan wybór.

- Źle sądziliście. J a go wybiorę.

- To może okazać się niebezpieczne. To nie groźba, bo tę już pan usłyszał.

- W chwili, gdy wkroczymy do akcji, cywile natychmiast się wycofają?

- Na przykład...

- Miałoby to sens wówczas, gdyby ów człowiek wiedział o diamentach. Pańska głowa w tym, żeby nie wiedział. Radziłbym, żeby miał pan stuprocentową pewność co do tego. Od tego zależy pańskie życie.

Doradca spojrzał uważnie na generała.

- O co dokładnie chodzi?

- Sześć tysięcy mil dzieli zakłady Meridian Aircraft od Buenos Aires. Nie chcę, żeby cokolwiek wydarzyło się po drodze. Te plany musi przywieźć profesjonalista.

- A więc jednak liczy się pan z możliwością pobrudzenia munduru, panie generale?

- Nie. Temu człowiekowi powie się, że Rhinemann zdobył dostęp do planów poza murami Peenemünde, na przykład poprzez niemiecki ruch oporu. W zamian za zorganizowanie tras ucieczek.

- Przecież to się nie trzyma kupy! Od kiedy ruch oporu żąda zapłaty za swoje usługi?

Dlaczego mieliby szukać pośredników trzy tysiące mil od Europy albo w ogóle pracować z Rhinemannem?

- Dlatego, że oni potrzebują jego, a on ich. Rhinemann został wygnany jako Żyd i to był błąd. Rywalizował z Kruppem. Wśród przemysłowców niemieckich jest wielu ludzi wciąż lojalnych wobec niego. Ma przedstawicielstwo w Bernie. Wiemy o tym, że nasz kłopot z żyroskopami nie jest już dla nikogo tajemnicą. Rhinemann mógł wykorzystać tę informację i nawiązać kontakty przez Berno.

- Ale po co mieszać w to ruch oporu?

- Mam swoje powody. Pana nie powinno to obchodzić - odparł krótko Swanson cedząc słowa. Przemknęła mu myśl, że chyba znowu jest przemęczony. Musi uważać, bo w takich chwilach często traci wiele ze swojej siły, a akurat teraz musiał być maksymalnie przekonujący, żeby zmusić Kendalla do całkowitego posłuszeństwa. Najważniejszym zadaniem było doprowadzenie Spauldinga jak najbliżej jego celu, którym miał być Erich Rhinemann.

General przypatrywał się niechlujnemu mężczyźnie siedzącemu przed nim. Odczuwał

mdłości na myśl o tym, że ten ludzki śmieć jest w tej chwili tak niesamowicie potrzebny. A może doświadczał tego uczucia dlatego, że był zmuszony korzystać z jego usług?

Wykorzystać, a następnie zlikwidować. To bardzo ich do siebie zbliżało.

- W porządku. Panie Kendall, powiem to wyraźnie: człowiek, którego wybrałem do tego zadania w Buenos Aires, jest jednym z najlepszych agentów wywiadu, jakich posiadamy.

Na pewno uda mu się dostarczyć plany do miejsca przeznaczenia. Nie mam jednak najmniejszego zamiaru ryzykować, że dowie się o diamentach. Rhinemann działający w pojedynkę wydaje się cokolwiek podejrzany, ale w połączeniu z niemieckim ruchem oporu staje się jak najbardziej do przyjęcia.

Swanson starannie odrobił lekcje; wszyscy mówili o partyzantce, francuskiej i bałkańskiej, ale podziemie niemieckie pracowało ciężiej bardziej efektywnie, okupując to większymi ofiarami niż tamci wszyscy razem wzięci. Były człowiek z Lizbony również o tym wiedział. Dzięki temu

przeniesienie do Buenos Aires stanie się bardziej uzasadniona i usprawiedliwiona.

- Chwileczkę... O, Jezu! Chwileczkę... - Z twarzy Kendalla zniknęło niezadowolenie i powątpiewanie, jakby nagle, z powściągliwym entuzjazmem, dopatrywał się wreszcie sensu w tym, co mówił Swanson. - Tak, to może się nam przydać!

- Co to znaczy „przydać”?

- Właśnie to. Powiedział pan, że chcecie to wykorzystać na użytek waszego agenta, że ruch oporu jest poza wszelkimi podejrzeniami i tak dalej... W porządku, zrobimy jeszcze krok naprzód. Właśnie wymienił pan gwarancję, którą musimy dać Niemcom.

- Jaką gwarancję?

- Na to, że diamenty Koeniga wyjadą bezpiecznie z Buenos Aires. To powinno rozwiązać sprawę. Pozwoli pan, że zadam kilka pytań, ale proszę na nie szczerze odpowiedzieć.

Szczur ściekowy, pomyślał Swanson spoglądając na podnieconego, niechlujnego mężczyznę.

- Słucham.

- Ten ruch oporu... na pewno mają wielu swoich bardzo ważnych ludzi poza granicami Niemiec, prawda? Wszyscy o tym wiedzą.

- Wielokrotnie okazywali się nadzwyczaj użyteczni.

- Czy ma on jakieś wtyczki w marynarce wojennej Niemiec?

- Chyba tak. Centrala Wywiadu Aliantów z pewnością dysponowałaby bardziej szczegółowymi informacjami...

- Ale pan woli ich o to nie pytać, prawda?

- To absolutnie wykluczone.

- Ale czy to możliwe?

- Co?

- To z marynarką, do diabła! A dokładniej chodzi mi o łodzie podwodne.

Kendall pochylił się naprzód wraz z krzesłem, świdrując wzrokiem twarz Swansona.

- Przypuszczam, że tak. Niemiecki ruch oporu dysponuje bardzo rozległą siecią.

Niewykluczone, że ma dostęp nawet do dowództwa marynarki wojennej.

- A więc to jest możliwe!

- Tak, wszystko jest możliwe. - Swanson ściszył głos, jakby starał się nie usłyszeć własnych słów.

Kendall, z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach, rozparł się wygodnie i zgasił

papierosa.

- W takim razie, oto pańska historyjka - powiedział, wycelowując w Swansona wskazujący palec. - Czysta jak łza i daleko poza jakimikolwiek podejrzeniami... Kiedy my jesteśmy zajęci kupowaniem planów, w pobliżu przypadkiem pojawia się niemiecka łódź

podwodna, gotowa w każdej chwili wynurzyć się i przekazać nam jednego - albo nawet dwóch, jeśli pan woli - uciekinierów. Z ukłonami od ruchu oporu. Czy mogłaby mieć jakiś inny powód, żeby wypływać na powierzchnię w samym środku akwenu kontrolowanego przez nieprzyjaciela? Rzecz jasna, zapewnia się jej ochronę przed przypadkowym zatopieniem. Tyle tylko, że nikt z niej nie wysiada, natomiast na pokładzie pojawia się pewien ładunek.

Swanson usiłował możliwie szybko ogarnąć całość planu Kendalla.

- Mogą wystąpić komplikacje...

- Bzdura! To są przecież dwie zupełnie różne rzeczy, jedna nie ma nic wspólnego z drugą. Zresztą przecież i tak wszystko sprowadzi się tylko do gadaniny.

Generał Alan Swanson zrozumiał, że spotkał człowieka dużo lepiej niż on zorientowanego w tej dziedzinie.

- Hm, to chyba możliwe. Chwilowa całkowita cisza radiowa na polecenie Centrali Wywiadu.

Kendall wstał z krzesła.

- To już szczegóły. Zajmę się nimi później - powiedział cicho. - A wy mi zapłaciecie. O

Boże, ależ mi zapłaciecie...

27 grudnia 1943, Azory

Wyspa Terceira, leżąca w archipelagu Azorów, 837 mil na zachód od Lizbony, stanowiła częsty punkt przystankowy dla pilotów latających nad Atlantykiem południową trasą do Stanów Zjednoczonych. Podczas podchodzenia do lądowania towarzyszyła im zawsze miła świadomość, że zostaną bez tłoku błyskawicznie obsłużeni przez fachowy personel naziemny, dzięki czemu będą mogli szybko wyruszyć w dalszą drogę. Służba na lotnisku Lajes na pewno dla nikogo nie stanowiła kary; ci, którzy ją odbywali, zdawali sobie z tego w pełni sprawę i starali się spisywać możliwie jak najlepiej.

Właśnie dlatego major dowodzący samolotem transportowo-osobowym B-17, którego jedynym pasażerem był kapitan Dawid Spaulding, nie rozumiał przyczyny opóźnienia.

Wszystko zaczęło się już na początku schodzenia, jeszcze na pułapie czternastu tysięcy stóp.

Wieża kontrolna w Lajes nagle przerwała wydawanie rutynowych wskazówek i kazała pilotowi czekać na aktualnej wysokości. Major zaprotestował, bowiem z jego punktu widzenia nic nie wskazywało na taką konieczność - pas był przecież wolny. Wieża zgodziła się z nim, ale odpowiedziała, że przekazuje jedynie telefoniczne polecenia z amerykańskiej Kwatery Głównej w Ponta Delgada na sąsiedniej wyspie São Miguel. Rozkazy były jasne; najprawdopodobniej czekali na przybycie kogoś, kto miał się zjawić na lotnisku w chwili przylotu maszyny. Wieża pozostanie w kontakcie z majorem, a tak przy okazji, to czy ma on może na pokładzie jakiś szczególnie ważny ładunek?

Oczywiście, że nie. W samolocie nie było żadnego ładunku, tylko attaché wojskowy ambasady w Lizbonie, niejaki Spaulding. Jeden z tych cholernych, koktajlowych dyplomatów. Lot jest rozkładowy, do Norfolk, więc czemu, do diabła, nie można lądować?

Wieża pozostanie w kontakcie z pilotem.

B-17 wylądował punktualnie o trzynastej, po trwającym dwadzieścia siedem minut oczekiwaniu.

Dawid wstał z dodatkowego fotela, przymocowanego klamrami do podłogi, i przeciągnął się. Z kabiny pilotów wyszedł dowódca, agresywny major, wyglądający co najwyżej na jakieś kilkanaście lat i powiedział, że na zewnątrz czeka lub lada chwila będzie czekał jeep, który ma zabrać kapitana poza teren lotniska.

- W miarę możliwości chciałbym zmieścić się w rozkładzie - dodał dalekim od przyjaznego tonem. - Wiem, że wy, dyplomaci, macie na całym świecie wielu przyjaciół, ale czeka nas jeszcze daleka droga. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan o tym pamiętać.

- Postaram się skrócić partyjkę do najwyżej trzech rozdań - odparł ze znużeniem Dawid.

- Mam nadzieję.

Major odwrócił się i poszedł na tył maszyny, w kierunku luku bagażowego, służącego także jako wyjście z samolotu. Spaulding ruszył za nim, zastanawiając się, kto też będzie na niego czekał.

- Nazywam się Ballantyne, kapitanie - powiedział siedzący za kierownicą jeepa cywil w średnim wieku i wyciągnął rękę. - Pracuję w Kwaterze Głównej na Azorach. Niech pan wskazuje, to powinno nam zająć tylko kilka minut. Jedziemy kilkaset jardów za ten płot, do domu komendanta.

Dawid zwrócił uwagę, że pilnujący bramy strażnicy nawet nie zatrzymywali Ballantyne'a, tylko kazali mu jechać. Jeep skręcił od razu w lewo, w drogę biegnącą równoległe do ogrodzenia, i przyśpieszył. Nie minęło nawet tyle czasu, ile trzeba na zapalenie papierosa, kiedy znaleźli się koło parterowej, hiszpańskiej hacjendy; minęli budynek i zatrzymali się przed zupełnie nie pasującą do scenerii, zamkniętą ze wszystkich stron altaną.

- Jesteśmy na miejscu, panie kapitanie - oświadczył Ballantyne wysiadając z samochodu. Wskazał ruchem głowy na niewielką budowlę. - Czeka na nas mój współpracownik, Paul Hollander.

Hollander okazał się również cywilem w średnim wieku. Był niemal zupełnie łysy i nosił okulary w drucianej oprawie, przez co wydawał się starszy, niż był w istocie. Podobnie jak Ballantyne, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego człowieka, zarówno przez małe, jak i przez duże „i”

[*W języku angielskim „intelligence” znaczy „inteligencja”, natomiast „Intelligence” wywiad (przyp. tłum.).].

Na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech.

- To dla mnie ogromna przyjemność, Spaulding. Podobnie jak wielu innych, jestem pod wielkim wrażeniem dokonań człowieka z Lizbony.

A więc jednak duże „I”, pomyślał Dawid.

- Dziękuję. Chciałbym wiedzieć, dlaczego już nim nie jestem.

- Obawiam się, że na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć ani ja, ani Ballantyne.

- Może doszli do wniosku, że należy się panu odpoczynek - podpowiedział

Ballantyne. - Mój Boże, był pan tam przecież... Ile? Trzy lata, bez choćby jednego dnia przerwy.

- Prawie cztery - poprawił go Dawid. - Z całą masą „przerw”. Palm Beach to szczeniak przy Costa Brava. Powiedziano mi, że pan - to znaczy, wydaje mi się, że pan -

przekaze mi dalsze rozkazy. Nie chciałbym nikogo poganiać, ale w samolocie czeka na mnie wściekły nastolatek w randze majora. To on mnie pogania.

- Może mu pan kazać się wypchać - roześmiał się Hollander. - Owszem, mamy rozkazy dla pana, a

także małą niespodziankę: jest pan już podpułkownikiem. Niech pan każe temu majorowi wyprasować porządnie mundur.

- Coś mi się wydaje, że przeskoczyłem jeden stopień.

- Wcale nie. Majorem został pan już rok temu. Zdaje się, że w Lizbonie nie miał pan zbyt wielu okazji korzystać ze swoich tytułów.

- Ani z kontaktów z przełożonymi - wtrącił Ballantyne.

- Zgadza się - odparł Dawid. - W każdym razie, nie udało im się mnie złamać, chociaż kilkakrotnie grożono mi nocną służbą przy latrynach.

Hollander usiadł na jednym z czterech prostych krzeseł i wskazał gestem Dawidowi, żeby uczynił to samo, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że ich spotkanie może trwać nieco dłużej, niż Spaulding przypuszczał.

- Gdyby był teraz czas na parady i odznaczenia, z pewnością znalazłby się pan w pierwszym szeregu.

- Dziękuję - skinął głową Dawid, zajmując miejsce. - Przynajmniej o jedną rzecz nie muszę się już martwić. O co właściwie chodzi?

- Niestety, nie dysponujemy odpowiedziami, a jedynie instrukcjami udzielanymi ex catedra. Mamy zadać panu kilka pytań, z których jedno zadecyduje o tym, czy w ogóle przejdziemy do dalszego ciągu. Bierzemy się więc do roboty. Z pewnością chciałby pan przynajmniej wiedzieć dokąd pan leci.

- Rzeczywiście, chciałbym.

- Czy od chwili, kiedy został pan zwolniony od swoich obowiązków w Lizbonie, kontaktował się pan w jakikolwiek sposób z kimś spoza ambasady? Przez „kontaktowanie się” rozumiem nawet najbardziej niewinne „do widzenia”, uregulowanie zaległych rachunków w restauracji lub sklepie, przypadkowe spotkanie ze znajomą na lotnisku lub w drodze na nie...

- Nie. Cały bagaż wysłałem pocztą dyplomatyczną, więc nie miałem ze sobą żadnych walizek.

- Jest pan bardzo dokładny - zauważył Ballantyne.

- Mam powody. Rzecz jasna, byłem umówiony w kilku miejscach na następny tydzień po moim powrocie z północy...

- Skąd? - przerwał mu Hollander.

- Z Kraju Basków i Nawarry. Wzdłuż granicy są tam rozmieszczone nasze punkty kontaktowe. Będąc w Lizbonie zawsze pokazywałem się tu i tam - niezbyt często, tyle tylko, żeby być widocznym. W tym

tygodniu miałem pójść na jeden lunch i jeden cocktail.

- I co z nimi? - zapytał Ballantyne, dopiero teraz siadając na krześle koło Dawida.

- Kazałem Marschallowi - to szyfrant, który odebrał rozkazy dla mnie - żeby zadzwonił tam tuż przed początkiem przyjęcia i powiedział, że trochę się spóźnię.

- A nie, że pana nie będzie? - Hollander wydawał się niemal zafascynowany.

- Nie. Tylko tyle, że się spóźnię. Tak będzie lepiej.

- Wierze panu na słowo - roześmiał się Hollander. - Zdał pan celująco. Co pan myśli o Nowym Jorku?

- To, co zawsze: że to przyjemne miasto, jeśli nie mieszka się w nim zbyt długo.

- Nie wiem, jak długo tym razem pan tam pozostanie, ale właśnie tam ma pan się udać. Bez munduru, panie pułkowniku.

- Mieszkałem w Nowym Jorku. Znam tam masę ludzi.

- Pański nowy kamuflaż jest niezwykle prosty: został pan z honorami odesłany do domu po służbie we Włoszech. Powód - zalecenia lekarza i drobne rany. - Hollander wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i wręczył ją Dawidowi. - Wszystko pan tu znajdzie, papiery i w ogóle... To bardzo proste.

- O.K. - odparł Dawid biorąc kopertę. - Więc jestem kulawą kaczką w Nowym Jorku.

Jak na razie, bardzo ładnie. Ale to chyba nie jest naprawdę, co?

- Powiedziałem tylko, że to proste, a nie, że prawdziwe. Przykro mi.

- Mnie też. Co dalej?

- Ktoś się o pana bardzo troszczy, bo dostał pan znakomitą pracę, w dodatku bardzo dobrze płatną. W Meridian Aircraft.

- Meridian?

- Dział Projektowania.

- Zdawało mi się, że Meridian to środkowy Zachód, Illinois albo Michigan.

- Teraz mają już biuro w Nowym Jorku.

- Przypuszczam, że chodzi o projektowanie samolotów?

- Chyba tak.

- Czy ma to coś wspólnego z kontrwywiadem?

- Tego nie wiemy - odparł Ballantyne. - Nie otrzymaliśmy żadnych informacji oprócz nazwisk dwóch ludzi, do których ma się pan zgłosić.

- Są w tej kopercie?

- Nie - pokręcił głową Hollander. - W tej sprawie nie otrzyma pan nic na piśmie, dopóki nie zostanie pan w nią wprowadzony.

- Boże, to mi przypomina Eda Pace'a. On uwielbia takie bzdury.

- Ponownie bardzo mi przykro, ale to jest ponad Pace'em.

- Co takiego? Myślałem, że tam jest już tylko Duch Święty... W takim razie, jak pan składa meldunki? I komu?

- Przez kuriera, prosto pod pewien adres w Waszyngtonie. Nie korzystam z żadnej drogi oficjalnej, ale wszystkie prerogatywy są zatwierdzone przez Wydział Operacyjny w Fairfax.

Spaulding gwizdnął prawie niesłyszalnie.

- Jak brzmią te nazwiska?

- Pierwsze to Lyons. Eugene Lyons, aerofizyk. Mamy panu przekazać informację, że jest trochę dziwny, ale to prawdziwy geniusz.

- Innymi słowy mam lekceważyć go jako człowieka, a wielbić jako geniusza.

- Coś w tym rodzaju. Zdaje się, że to dla pana nie pierwszozna - odparł Ballantyne.

- Zgadza się. A drugie?

- Niejaki Kendall. - Hollander założył nogę na nogę. - Nic o nim nie wiemy, znamy tylko nazwisko. Walter Kendall. Nie mam pojęcia, czym się zajmuje.

Dawid usadowił się na dodatkowym siedzeniu i zapiął pas. Silniki B-17 wyły na wysokich obrotach, wprawiając w wibrację nawet najbardziej odległe części wielkiego kadłuba. Rozejrzał się dookoła tak, jak jeszcze nigdy tego nie robił w samolocie, usiłując sobie wyobrazić, jak te wszystkie krzywizny i detale wyglądają na wyimaginowanych planach. Jeżeli wiadomości Hollandera na temat jego nowej pracy były dokładne (a czemu miałyby nie być?), to za kilka dni będzie miał do czynienia z autentycznymi planami samolotów.

Najdziwniejsze wydały mu się te wszystkie środki ostrożności; były niczym nie usprawiedliwione i przekraczały wszystko, z czym się do tej pory zetknął. Czy nie mógł po prostu zgłosić się w Waszyngtonie, tam otrzymać nowe zadanie i zostać w nie wprowadzonym? Tymczasem wszystko wskazywało na to, że żadnego wprowadzenia już nie będzie.

Dlaczego?

Czy ma przyjąć nie potwierdzone rozkazy od dwóch ludzi, których zobaczy po raz pierwszy w życiu? Bez żadnej autoryzacji czy choćby milczącej zgody kogokolwiek z armii?

Co ten Ed Pace wyrabia, do diabła?”

„Bardzo mi przykro... To jest ponad Pace'em...”

Właśnie takich słów użył Hollander, „...zatwierdzone przez Wydział Operacyjny w Fairfax”.

Znowu Hollander.

Dawid zdawał sobie doskonale sprawę, że z wyjątkiem Białego Domu nie istniało nic tak ważnego jak Fairfax. Ale Fairfax należało przecież do wojska, a mimo to jego instrukcje nie pochodziły stamtąd, tylko zostały tam „zatwierdzone”.

Pozostałe pytania Hollandera nie były w gruncie rzeczy pytaniami, choć niemal wszystkie zaczynały się od „czy”; to były właśnie te instrukcje.

- Czy ma pan przyjaciół na kierowniczych stanowiskach w innych firmach lotniczych?

Skąd miał o tym wiedzieć? Nie było go w kraju tak długo, że nie ma najmniejszego pojęcia, czy w ogóle ma jeszcze jakichś przyjaciół.

Bez względu na to powinien jednak unikać takich „przyjaciół”, gdyby się nagle znaleźli, powiedział Hollander, i natychmiast przekazać ich nazwiska Walterowi Kendallowi.

- Czy zna pan w Nowym Jorku kobiety znane w życiu publicznym?

A cóż to za pytanie, do diabła? Czegóż tak głupiego nie słyszał jeszcze nigdy w życiu!

Czy Hollander byłby łaskaw wyjaśnić, co ma na myśli?

Łysiejący agent w okularach był łaskaw. W dossier Spauldinga znajdowała się informacja, że przed wojną zarabiał na życie jako aktor radiowy. Oznaczało to, że mógł znać wiele aktorek.

I aktorów, dopowiedział Dawid. I co z tego?

Przyjaźń ze znanymi aktorkami może łatwo zaowocować zdjęciami w prasie lub sensacyjnymi artykułami, w których mogłoby się pojawić jego nazwisko. Tego także należało unikać.

Dawid przypomniał sobie, że zna - znał - kilka dziewcząt, którym w czasie jego nieobecności udało się z powodzeniem zacząć karierę filmową. Był krótko związany z aktorką, będącą obecnie gwiazdą w wytwórni Warner Brothers. Co prawda niechętnie, ale przyznał Hollanderowi rację; takie kontakty mogły okazać się niebezpieczne.

- Czy potrafi pan błyskawicznie zapamiętać podane w planach dane techniczne, nie związane z konstrukcjami budowlanymi?

Chyba tak, pod warunkiem, że wcześniej będzie wiedział, o jakie chodzi materiały, i pozna używane symbole.

W takim razie ma się przygotować - wszystko jedno jak - do pracy nad planami samolotów.

To oczywiste, pomyślał Spaulding.

To wszystko, co może mu teraz powiedzieć, oświadczył Hollander.

B-17 podkołował do zachodniego krańca pasa startowego na lotnisku Lajes i stał

gotów do startu. Nieprzyjemny major zadbał o to, żeby w chwili powrotu Spauldinga stać przy luku i spoglądać na zegarek. Dawid wyskoczył z jeeпа, uściskał dłoń Ballantyne'owi i uniósł w przepaszającym geście rękę.

- Przy ostatnim rozdaniu stanął mi zegarek - powiedział do majora. - Zapomniałem poprosić chłopców, żeby mi o tym przypomnieli.

Major nie sprawiał wrażenia specjalnie rozbawionego.

Maszyna zaczęła nabierać prędkości, podskakując coraz szybciej na nierównościach pasa startowego. Za kilka sekund oderwie się od ziemi. Dawid nachylił się, chcąc podnieść miejscową gazetę z podłogi wręczoną mu przez Hollandera, którą położył tam, żeby móc przypiąć się do fotela.

I wtedy to nastąpiło. Eksplozja o takiej sile, że wyrwała z klamer dodatkowe siedzenie i rąbnęła nim i skulonym w nim Dawidem w prawą burtę samolotu. Nigdy się tego nie dowiedział, bo i nie mógł, ale później często zastanawiał się, czy ta gazeta nie ocaliła mu życia.

Buchnął gęsty dym, a maszyna poderwała się nisko nad ziemię i zaczęła koziółkować.

Odgłos giętego i rozdieranego metalu wypełnił kabinę nie kończącym się jękiem; stalowe żebra pękały i wyskakiwały ze swych umocowań na całej długości kadłuba.

Druga eksplozja rozniosła na strzępy kabinę pilotów rozbryzgując strugi krwi i strzępki ciał po pękających, gnących się ścianach. W ramię Spauldinga uderzył kawałek ludzkiego skalpu z wyraźnie widocznym śladem po oparzeniu. Mimo gęstego dymu Dawid dostrzegł jasne promienie słońca, wpadające przez otwartą, przednią część rozpadającego się samolotu.

Maszyna została rozerwana na kawałki, Spaulding błyskawicznie zrozumiał, że ma tylko jedną szansę na ocalenie życia. Zbiorniki paliwa były wypełnione po brzegi, jak zwykle przed długim, transatlantyckim lotem, i mogły w każdej chwili wybuchnąć. Sięgnął do znajdującej się na jego piersi klamry i szarpnął z całej siły; nie chciała puścić, wciśnięta ogromnym przeciążeniem głęboko w jego ciało. Rozpaczliwie ciągnął i szarpał, aż wreszcie ją rozpiął.

Samolot - a raczej to, co z niego pozostało - rozpoczął serię konwulsyjnych drgań oznaczających ostatnią próbę zatrzymania się na pagórkowatym terenie, zaczynającym się zaraz za końcem pasa startowego. Dawid rzucił się do tyłu, pełznąc najszybciej, jak mógł, w kierunku ogona. W pewnej chwili przywarł do podłogi, zakrywając twarz ramieniem i poszarpany kawałek metalu trafił go w prawy bark.

Luk bagażowy został wyrwany siłą eksplozji; tuż przy jego krawędzi leżał martwy człowiek w mundurze sierżanta lotnictwa z klatką piersiową rozplataną na całej długości.

Dawid, mimo ogarniającej go paniki, ocenił dzielącą go od ziemi odległość i rzucił się w dół, maksymalnie skulony, żeby osłabić uderzenie i uniknąć zmiżdżenia przez ogon ryjący głęboką bruzdę.

Ziemia okazała się twarda i najeżona skałami, ale był wolny. Toczył się, pełznął, czołgał, wbijając zakrwawione dłonie w kamienisty grunt, aż wreszcie zabrakło mu tchu w płucach.

Leżąc na ziemi słyszał wycie syren dobiegające z oddali.

A potem rozległa się jeszcze jedna eksplozja, która wstrząsnęła okolicą i zagłuszyła wszelkie inne odgłosy.

Radiooperatorzy z lotniska Lajes i Wydziału Operacyjnego w Fairfax wymienili między sobą specjalnie kodowane, pilne depesze.

Dawid Spaulding miał zostać wysłany na Nową Fundlandię najbliższym samolotem, który odlatywał z Terceiry za godzinę. W bazie lotniczej na Nowej Fundlandii będzie na niego czekał myśliwiec pościgowy, który przetransportuje go bezpośrednio na lotnisko Mitchell w Nowym Jorku. Zważywszy na to, że podpułkownik Spaulding nie doznał w wypadku poważniejszych obrażeń, nie przewiduje się zmian w rozkazach, które otrzymał.

Przyczyną katastrofy B-17 i śmierci załogi był, ponad wszelką wątpliwość, sabotaż.

Bombę podłożono w Lizbonie lub podczas tankowania paliwa na Azorach. Natychmiast wszczęto energiczne śledztwo.

Hollander i Ballantyne towarzyszyli Dawidowi podczas badania, jakiemu poddał go brytyjski lekarz wojskowy. Po założeniu szwów na barku i oczyszczeniu zadrapań na dłoniach i ramionach Dawid oświadczył, że co prawda jeszcze się zupełnie nie otrząsnął, ale jest zdolny do działania. Lekarz, przed odejściem, zaaplikował mu uspokajający zastrzyk, dzięki któremu powinien móc zdrzemnąć się

podczas czekającej go jeszcze podróży do Nowego Jorku.

- Wydaje mi się, że nie powinien pan mieć żadnego kłopotu z uzyskaniem jedno - lub dwutygodniowego urlopu - powiedział Hollander. - Mój Boże, ma pan szczęście, że w ogóle jest pan wśród nas!

- Może lepiej byłoby powiedzieć, że po prostu żyje - zauważył Ballantyne.

- Czy to było przeznaczone dla mnie? - zapytał Dawid.

- Fairfax raczej tak nie uważa - odparł Hollander. - Przypuszczają, że to był zwyczajny sabotaż.

Spaulding nie spuszczał go z oka; odniósł wrażenie, że łysiejący agent zawahał się lekko, jakby coś ukrywał.

- Czy nie za zwyczajny? W końcu byłem jedynym pasażerem.

- Wyeliminowanie dużego samolotu wraz z załogą stanowi na pewno spory sukces dla nieprzyjaciela. Środki bezpieczeństwa w Lizbonie są bardzo nędzne.

- Nie tam, gdzie ja byłem, i nie zawsze.

- Więc może tu, na Terceirze. Przekazuję panu tylko to, co myślą w Fairfax.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy Ballantyne otworzył, pojawił się w nich młody podporucznik, który stanął na baczność i zwrócił się niezbyt głośno do Spauldinga, jakby chcąc dać mu w ten sposób do zrozumienia, że wie, iż przed chwilą otarł się o śmierć.

- Czas się szykować, sir. Powinniśmy wystartować za dwadzieścia minut. Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie, bo nie mam żadnego bagażu, poruczniku. To, co miałem, zostało w tej kupie szmelcu za pasem startowym.

- Tak, oczywiście. Przykro mi.

- Nie ma potrzeby. Lepiej, że to bagaż niż ja... Zaraz będę gotów. Dawid odwrócił się do dwóch towarzyszących mu mężczyzn, Ballantyna i Hollandera, i uścisnął im dłonie.

Żegnając się z Hollanderem zwrócił uwagę na szczególny wyraz jego oczu.

Ten człowiek coś przed nim ukrywał.

Mężczyzna w mundurze kapitana marynarki brytyjskiej otworzył drzwi altany i wszedł do środka. Na jego widok Paul Hollander podniósł się z krzesła.

- Przyniósł pan to? - zapytał oficera.

- Tak.

Kapitan położył teczkę dyplomatkę na metalowym stoliku, otworzył ją, wyjął z niej kopertę i podał Hollanderowi.

- Laboratorium fotograficzne dobrze się spisało. Dobrze oświetlone, przód i tył.

Prawie takie samo, jak prawdziwe.

Hollander otworzył kopertę i wydobył znajdującą się w niej fotografię. Przedstawiała powiększenie małego medalionu w kształcie sześcioramiennej gwiazdy.

Gwiazdy Dawida.

W środkowej części awersu znajdował się hebrajski napis, a na rewersie wizerunek noża skrzyżowanego z błyskawicą.

- Ten napis to imię proroka: Haggai. Jest patronem organizacji fanatyków żydowskich działającej poza terenem Palestyny. Nazywają się Haganah. Twierdzą, że ich posłaniem jest zemsta, i to za całe dwa tysiące lat. W najbliższej przyszłości spodziewamy się sporych kłopotów z ich strony. Niestety, nie pozostawili co do tego żadnych wątpliwości.

- Twierdzi pan, że znaleziono to przyspawane do konstrukcji nośnej kadłuba?

- W taki sposób, żeby nie uległo zniszczeniu. Wasz samolot został wysadzony w powietrze przez Haganah.

Hollander usiadł, cały czas wpatrując się w fotografię. Dopiero po dłuższej chwili podniósł wzrok na brytyjskiego oficera.

- Ale dlaczego? Na Boga, dlaczego?

Tego nie potrafię powiedzieć.

- Ani Fairfax. Szczerze mówiąc, nie mają nawet zamiaru przyjąć tego do wiadomości.

Chcą o tym zapomnieć.

27 grudnia 1943, Waszyngton, D.C.

Kiedy z interkomu rozległ się delikatny, opanowany głos jego sekretarki, Swanson wiedział, że wydarzyło się coś niezwykłego.

- Fairfax jest na linii, sir. Pułkownik Pace. Twierdzi, że musi się z panem natychmiast skontaktować.

Od chwili przekazania generałowi dossier Spauldinga dowódca Fairfax unikał

osobistych kontaktów, przekazując wszelkie informacje za pośrednictwem swoich podwładnych. Ponieważ wszystkie dotyczyły jednej tylko sprawy, a mianowicie przebiegu akcji wydostania Spauldinga z Portugalii, wymowa postępowania pułkownika była jasna: Pace zgodził się na to, ale nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Wciąż jeszcze nie satysfakcjonowały go mętne wyjaśnienia o „najwyższej randze” nowego zadania wyznaczonego Spauldingowi. Musiał podporządkować się rozkazom, i to wszystko.

- Panie generale, otrzymaliśmy pilną depezę z lotniska Lajes na Terceirze - rozległ się pełen napięcia głos pułkownika.

- Co to znaczy, do diabła? Gdzie to jest?

- Na Azorach. B-17, którym leciał Spaulding, wybuchł podczas startu. Sabotaż.

- O Boże!

- Czy mogę prosić, żeby pan tutaj przyjechał, sir?

- Co ze Spauldingiem?

- Według wstępnych doniesień żyje, ale nie mogę niczego gwarantować. Cała sprawa jest niezbyt jasna. Chciałem poczekać, aż będę wiedział coś więcej, ale wobec niespodziewanego rozwoju wydarzeń nie mogłem. Proszę tu przyjechać, panie generale.

- Zaraz tam będę. Dowiedźcie się, co ze Spauldingiem!

Swanson zgarnął papiery leżące na jego biurku - informacje od Kendalla - które należało zamknąć w szczelnej, metalowej puszcze i schować do pancерnej szafy zaopatrzonej w dwa zamki szyfrowe.

Jeżeli w ogóle istniało coś, co za wszelką cenę należało utrzymać w ścisłej tajemnicy, to były to właśnie te papiery.

Ustawił szyfr, przekręcił klucz i otworzywszy drzwi szafy, pomyślał przez chwilę, że może lepiej by

było zabrać je ze sobą... Nie, to nie był dobry pomysł. Tutaj będą bezpieczniejsze. Pancerna, przynitowana do podłogi szafa stanowiła znacznie lepszy schowek od kieszeni kogoś, kto musiał chodzić po ulicy i jeździć samochodami. Szafy nie są narażone na wypadki i nie znają słabości zmęczonych, pięćdziesięcioletnich generałów.

Uniósł dłoń do daszka w odpowiedzi na honory oddane przez wyprężonego przy drzwiach wartownika i szybkim krokiem przeszedł do samochodu czekającego przy krawędzi jezdni. Kierowca, zawiadomiony przez sekretarkę, której operatywność chyba jednak przewyższała jej wysiłki zmierzające ku temu, by być kimś więcej niż tylko sekretarką, był

już gotów do drogi. Swanson doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że pewnego dnia, kiedy ciśnienie stanie się już zbyt duże, wezwie ją do gabinetu i zerznie na skórzanej, brązowej kanapie.

Dlaczego akurat teraz przyszło mu to na myśl? Przecież w gruncie rzeczy nic go nie obchodziła.

Zajął miejsce na tylnym siedzeniu i zdjął czapkę. Wiedział, dlaczego myśli o sekretarce: przynosiło mu to chwilową ulgę, oddalając chwilę, kiedy będzie musiał zająć się komplikacjami, które wyleciały w powietrze - lub nie - na lotnisku na Azorach.

Mój Boże! Perspektywa odbudowania tego, co udało mu się sklecić z tak olbrzymim wysiłkiem, wywoływała w nim wewnętrzny sprzeciw i nieopisane obrzydzenie. Niemożliwy był powrót do punktu wyjścia i ponowne rozpoczęcie poszukiwań właściwego człowieka.

Przecież nawet teraz szczegóły operacji jedynie z najwyższym trudem dawały połączyć się w spójną całość.

Szczegóły dostarczone przez ściekowego szczura.

Kendall.

Kwintesencja tajemniczości. Budząca wstręt łamigłówka, której nie potrafiliby rozwiązać nawet ci z G-2. Swanson polecił przeprowadzić rutynowe badanie, motywując to tym, że doradca ma dostęp do szczegółów kontraktu zawartego przez Meridian. Chłopcy z wywiadu i maniacy Hoovera nie dostarczyli dosłownie nic poza nazwiskami i datami.

Zakazano im zasięgania informacji wśród personelu Meridian Aircraft, w ATCO i u Packarda, co drastycznie ograniczyło pole ich działania.

Kendall miał czterdzieści sześć lat, zaawansowaną astmę i dyplom księgowego.

Kawaler, praktycznie bez przyjaciół, mieszkał na Manhattanie dwie przecznice od firmy stanowiącej jego wyłączną własność.

Informacje na ten temat jego osobowości prawie niczym się od siebie nie różniły: był

nieprzyjemnym odludkiem i zarazem znakomitym statystykiem.

Dossier mogłoby zawierać jakąś smutną historię o trudnym dzieciństwie, braku możliwości samorealizacji czy coś w tym rodzaju, ale nie zawierało. Nie było żadnej wzmianki o ubóstwie lub jakichkolwiek trudnościach, które nie ominęły milionów innych ludzi w latach Wielkiego Kryzysu.

Żadnych szczegółów.

Uosobienie tajemniczości.

Natomiast dostarczone przez niego szczegóły, dotyczące Buenos Aires, stanowiły z kolei wzór jasności i przejrzystości. Doszły do głosu jego zdolności kręactwa, wykorzystujące wrodzony instynkt oszusta i kłamcy. Tak jakby wreszcie znalazł to, na co cały czas czekał. Możliwe, że tak właśnie było w istocie, pomyślał Swanson.

Cała operacja została podzielona na trzy odrębne fazy: dostarczenie i skontrolowanie dostawy diamentów, jednoczesna analiza dokumentacji żyroskopów i wreszcie przewóz ładunku na pokładzie okrętu podwodnego. Skrzynie z diamentami zostaną dyskretnie zdeponowane w jednym z magazynów w dzielnicy Darsena Norte w Puerto Nuevo. Niemcy, którzy zostaną wyznaczeni do tego zadania, będą się kontaktować jedynie z Erichem Rhinemannem.

Aerofizyk Eugene Lyons zamieszka w strzeżonym apartamencie w dzielnicy San Telmo, stanowiącej mniej więcej odpowiednik nowojorskiego Gramercy Park - zamożnej, odizolowanej, znakomicie nadającej się do prowadzenia obserwacji. Kiedy otrzyma plany, natychmiast zawiadomi Spauldinga.

Spaulding zjawi się w Buenos Aires wcześniej przed Lyonsem i podejmie pracę w ambasadzie; do Swansona należy wymyślenie jakiegoś w miarę prawdopodobnego pretekstu.

Jego zadanie - to, o którym on się dowie - będzie polegało na skoordynowaniu transakcji zakupu planów, a po potwierdzeniu ich autentyczności, na wyrażeniu zgody na wypłacenie należności. Zrobi to przesyłając do Waszyngtonu zakodowaną depeszę, która rzekomo umożliwi dokonanie przelewu na konto Rhinemanna w Szwajcarii.

Następnie zjawi się na ustalonym, wcześniej lotnisku, gdzie będzie czekał na niego samolot do Argentyny gotowy do lotu. Wystartuje natychmiast, gdy Rhinemann otrzyma potwierdzenie o otrzymaniu „przelewu”.

W rzeczywistości depesza, którą wyśle Spaulding, będzie stanowiła sygnał dla niemieckiego okrętu podwodnego, by ten wynurzył się w umówionym miejscu i przejął

ładunek diamentów z pokładu małego stateczku. Na ten okres z okolicy zostaną wycofane wszelkie patrole, zarówno morskie, jak i powietrzne. Gdyby ten rozkaz miał zostać zakwestionowany - co nie wydawało się prawdopodobne - użyje się historyjki o uciekinierach.

Po zakończeniu przeładunku okręt podwodny wyśle depeszę - będzie to potwierdzenie dokonania „przelewu” na konto Rhinemanna w Szwajcarii - po czym zanurzy się i wyruszy w drogę powrotną do Niemiec, Spaulding zaś wyleci do Stanów Zjednoczonych.

Żadna ze stron nie mogła oczekiwać lepszych gwarancji. Kendall był przekonany, że zdoła o tym przekonać Ericha Rhinemanna, oni dwaj bowiem podchodzili do sprawy z obiektywizmem, na który inni raczej nie mogli sobie pozwolić.

Swanson nie wnikał głębiej w to porównanie, tak czy inaczej bowiem stanowiło ono jeszcze jeden powód, dla którego Kendall musiał umrzeć.

Doradca poleci do Buenos Aires w przyszłym tygodniu, żeby ostatecznie ustalić wszystkie sprawy z niemieckim wygnańcem. Da Rhinemannowi do zrozumienia, że Spaulding wystąpi w roli doświadczonego kuriera, a jednocześnie opiekuna ekscentrycznego Eugene Lyonsa; sam Kendall twierdził, że jest to pozycja chyba najlepsza z możliwych. I to wszystko. Nie będzie wiedział ani o diamentach, ani o łodzi podwodnej. Wyśle sygnał

umożliwiający sfinalizowanie całej transakcji, lecz sam nie będzie miał o tym żadnego pojęcia. I z pewnością nigdy się o tym nie dowie.

Wszystko dopieszczone i zapięte na ostatni guzik.

Swanson kilka razy czytał te szczegóły przygotowane przez Kendalla i nie potrafił

znaleźć w nich żadnej luki. Ten szczerowaty księgowy sprowadził niewyobrażalnie skomplikowane przedsięwzięcie do kilku prostych posunięć i całkowicie od siebie niezależnych motywów. W pewnym sensie stworzył arcydzieło oszustwa, każdy krok bowiem mógł zostać dokładnie prześladowany, a każdy ruch natychmiast skontrolowany.

Swansonowi pozostało dodać do tej piramidy fałszu jeszcze jeden kamyczek: Dawid Spaulding zabije Ericha Rhinemanna.

Uzasadnienie: instrukcje z Centrali Wywiadu Aliantów. Ze względu na swoje kontakty Rhinemann stanowi zbyt wielkie zagrożenie dla niemieckiego ruchu oporu.

Człowiek z Lizbony może zastosować dowolne metody - wynająć zabójców, zrobić to sam, cokolwiek, byle tylko wykonać rozkaz.

Spaulding z pewnością to zrozumie, bo przecież już od kilku lat żył w mrocznym świecie agentów i podwójnych agentów. Dawid Spaulding (jeżeli można było wierzyć informacjom zawartym w jego dossier), przyjmie ten rozkaz jako - a tak było w istocie -

rozsądne, w pełni profesjonalne rozwiązanie.

O ile jeszcze w ogóle żyje, rzecz jasna.

Na Boga, co się właściwie stało?! I gdzie? Jakies Lapess, Lajes... Cholerne lotnisko gdzieś na Azorach. Sabotaż. Samolot wysadzony w powietrze podczas startu.

Co to miało znaczyć, do diabła?

Kierowca zjechał z autostrady w boczną drogę stanu Wirginia; od celu Fairfax dzieliło ich jeszcze około piętnastu minut. Swanson zorientował się, że cały czas ssie dolną wargę, a w pewnej chwili poczuł w ustach smak krwi.

- Otrzymaliśmy już dodatkowe informacje - oznajmił pułkownik Edmund Pace stojąc przed dużym, lotniczym zdjęciem przedstawiającym wyspę Terceira na Azorach. -

Spauldingowi nic się nie stało. To znaczy, jest w szoku, potłuczony i podrapany, ale żadnych złamań ani kontuzji. To prawdziwy cud, że się z tego wywinął; prawie cała załoga zginęła na miejscu. Ocalał jeszcze tylny strzelec, ale chyba nie wyżyje.

- Czy może się poruszać? Spaulding, oczywiście.

- Tak. Zajęli się nim Hollander i Ballantyne. Pomyślałem, że będzie panu zależało na tym, aby jak najszybciej go stamtąd ściągnąć...

- To chyba oczywiste - przerwał mu Swanson.

- Wsadziłem go do pierwszego samolotu lecącego do Nowej Fundlandii. Przejmie go tam myśliwiec i dostarczy na lotnisko Mitchell, chyba że postanowi pan wydać inne rozkazy.

- Kiedy tam będzie?

- Jeśli pozwoli pogoda, to dziś wieczorem. Jeśli nie, dopiero jutro rano. Mam go sprowadzić od razu tutaj?

Swanson zawahał się przez chwilę.

- Nie... Niech go porządnie zbada lekarz, ale zostawcie go w Nowym Jorku. Jeżeli będzie potrzebował paru dni odpoczynku, umieście go w jakimś hotelu, a jeżeli nie, to wszystko pozostaje bez zmian.

- Cóż... - Pace sprawiał wrażenie lekko rozdrażnionego postawą swojego przełożonego. - Wydaje mi się, że jednak ktoś powinien się z nim zobaczyć.

- Dlaczego?

- Chodzi o jego dokumenty. Wszystko, co miał, zostało w samolocie. Teraz to już tylko kupa popiołów.

- Tak, oczywiście, nie pomyślałem o tym. - Swanson zrobił kilka kroków w kierunku prostego, metalowego krzesła stojącego przed biurkiem i usiadł.

Pułkownik przyglądał mu się uważnie. Brak koncentracji generała najwyraźniej bardzo go zaniepokoił.

- To żaden problem, możemy mu zaraz wystawić nowe.

- To dobrze. W takim razie proszę to załatwić i wysłać kogoś na lotnisko Mitchell, żeby mu je wręczył.

- O.K... Możliwe, że jednak zmieni pan zdanie, panie generale...

- Dlaczego? I na jaki temat?

- Powiedziałem panu, że przyczyną katastrofy był sabotaż. Jak pan może pamiętać, poprosiłem, żeby pan tu przyjechał w związku z nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń.

Swanson przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w pułkownika.

- Miałem bardzo ciężki tydzień. Równie dobrze jak ja zdaje pan sobie sprawę ze znaczenia tej operacji, więc proszę oszczędzić tych podchodów w stylu Fairfax. Nie twierdzę i nigdy nie twierdziłem, że znam się na pańskim fachu. Poprosiłem tylko o pomoc albo zażądałem jej, jeśli pan woli. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciał pan powiedzieć wprost, o co panu chodzi.

- Właśnie staram się panu pomóc, sir - odparł Pace lodowato uprzejmym tonem - ale proszę mi wierzyć, że nie jest to zbyt łatwe. Dzięki mnie właśnie zyskał pan dwanaście godzin do namysłu. Samolot został zniszczony przez Haganah.

- A co to takiego?

Pace wyjaśnił sprawę działalności tej organizacji żydowskiej poza Palestyną ani na moment nie spuszczając go z oka.

- Przecież to nie ma najmniejszego sensu! - wybuchnął Swanson. - Skąd pan o tym wie?

- Pierwsza rzecz, jaką grupa dochodzeniowa robi na miejscu sabotażu, to dokładne przeszukanie szczątków w celu odnalezienia wszystkiego, co może stanowić jakąś poszlakę.

Od tego właśnie się zaczyna i to tak prędko, jak tylko to jest możliwe. Tym razem znaleziono emblemat Haganah przyspawany do konstrukcji nośnej maszyny. Nie mieli zamiaru pozostawiać żadnych wątpliwości co do autorstwa.

- No dobrze, co powiedzieliście obsłudze lotniska?

- Wywalczyłem panu dzień zwłoki, panie generale. Poleciałem Hollanderowi zminimalizować wagę tego znaleziska i utrzymać je w tajemnicy przed Spauldingiem, a nawet zwalić wszystko na czysty przypadek, gdyby sprawa wymknęła się spod kontroli. Ci z Haganah to niezależni fanatycy. Większość organizacji syjonistycznych nie chce mieć z nimi nic wspólnego, nazywając ich barbarzyńcami.

Swansonowi nie dawało spokoju coś innego.

- W jaki sposób ta sprawa mogła wymknąć się spod naszej kontroli?

- Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że Azory są pod kontrolą Brytyjczyków.

Dzięki traktatowi zawartemu dawno temu z Portugalią mają prawo do utrzymywania tam urządzeń wojskowych.

- Wiem o tym - potwierdził z rozdrażnieniem Swanson.

- Emblemat znaleźli właśnie Brytyjczycy.

- I co zrobią?

- Zaczną się zastanawiać, a wreszcie prześlą raport do Centrali Wywiadu Aliantów.

- Ale pan wie o tym już teraz.

- Hollander to dobry człowiek, czyni przysługi i sam otrzymuje je w zamian.

Generał wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju bez celu.

- Co pan o tym myśli, Ed? Czy to było przeznaczone dla Spauldinga?

Wyraz twarzy Pace'a powiedział mu, że pułkownik zaczął wreszcie rozumieć dręczące go obawy. Nie te dotyczące samej operacji - ta wymknęła się już dawno spod kontroli i nie pozostawało nic innego, jak się z tym pogodzić - lecz właściwe człowiekowi, który nagle znalazł się na głębokich, zupełnie obcych wodach. Te obawy mogły wydawać się całkowicie uzasadnione solidnemu, rzetelnemu oficerowi, jakim był Pace.

- Nie mogę zaoferować nic poza domysłami, i to w dodatku niezbyt pewnymi... Tak, celem mógł być właśnie Spaulding. Jednak nawet jeśli tak było, to wcale nie znaczy, że miało to jakikolwiek związek z pańską operacją.

- Jak to?

- Nie wiem, co Spaulding robił w Portugalii, a jeżeli już, to niezbyt dokładnie. W

Haganah roi się od psychopatów, i to tych najniebezpieczniejszych. Zdrowym rozsądkiem posługują się mniej więcej w takim samym stopniu, co oddziały Juliusa Streichera. Być może Spaulding zabił jakiegoś Żyda hiszpańskiego lub portugalskiego, albo posłużył się nim jako żywą pułapką... W tak katolickim kraju komórka Haganah nie potrzebowałaby nic więcej.

Mogło również chodzić o kogoś innego, na przykład o któregoś z członków załogi, który miał

nieszczęście być bliskim krewnym jakiegoś zagorzałego antysyjonisty, a już szczególnie żydowskiego

antysyjonisty. Będziemy musieli dokładnie to zbadać. Zanim nie rozpatrzy się całej sprawy, zapewne nie uda się zrozumieć tych zagadek.

Swanson milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy się odezwał, jego głos był pełen uznania dla postawy Pace'a.

- Dziękuję... Ale to najprawdopodobniej żadna z tych rzeczy, prawda? Nie chodzi o żadnego hiszpańskiego Żyda, o żywą pułapkę, czy o wujka pilota, tylko o Spauldinga...

- Tego nie wiemy. Możemy się domyślać, ale nie mamy pewności.

- Nie rozumiem tylko, jak... - Swanson ponownie usiadł, zastanawiając się na głos. -

Biorąc pod uwagę okoliczności... - Zamilkł, pogrążając się w myślach.

- Czy mogę coś zaproponować? - zapytał Pace wracając za biurko. To nie był dobry moment, żeby sygnalizować przełożonemu swoją wyższość.

- Oczywiście - odparł Swanson, spoglądając z wdzięcznością na nie tracącego pewności siebie oficera wywiadu.

- Nie znam szczegółów pańskiej operacji i, jeśli mam być szczery, nie chcę ich znać.

Powiedziałem kilka minut temu, że powinien pan zastanowić się nad rozwiązaniami alternatywnymi... i może rzeczywiście powinien pan, ale tylko wtedy, jeśli dostrzeże pan bezpośrednie powiązanie. Obserwowałem pana cały czas; nie dostrzegł pan.

- Bo go nie ma.

- Czy pańskie przedsięwzięcie nie jest w jakiś sposób powiązane, nie wiem nawet w jaki sposób, ale wiem o tym z całą pewnością z meldunków i z Johannesburga, z obozami koncentracyjnymi? Auschwitz? Belsen?

- Absolutnie nie.

Pace oparł łokcie na biurku i nachylił się w stronę generała.

- To są właśnie główne zmartwienia Haganah. To, a także „hiszpańscy Żydzi” i „żywe pułapki”. Proszę na razie nie podejmować żadnych decyzji, panie generale. Każda z nich byłaby pochopna, nie poparta wystarczającymi dowodami.

- Wystarczającymi dowodami? - powtórzył z niedowierzaniem Swanson. - Przecież eksplodował samolot! Zginęli ludzie!

- A emblemat mógł zostać przyspawany przy montowaniu ogona samolotu przez kogokolwiek.

Niewykluczone, że jest pan po prostu sprawdzany.

- Przez kogo?

- Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Proszę ostrzec Spauldinga. Pewnie nieźle się z tego uśmieje, bo to przecież on znajdował się na pokładzie tego samolotu. Niech człowiek, który spotka się z nim na lotnisku Mitchell, powie mu, że może nastąpić ponowny atak. On tutaj był, panie generale, i będzie wiedział, jak ma się zachować. Tymczasem proponowałbym, żeby rozejrzał się pan w poszukiwaniu zastępcy.

- Zastępcy?

- Dla Spauldinga. Jeżeli ponowny atak rzeczywiście nastąpi, to może zakończyć się sukcesem i Spaulding zostanie wyeliminowany.

- Chciał pan powiedzieć: zabity. Tak.

W jakim świecie, pan żyje, panie pułkowniku? - zapytał cicho Swanson.

- W skomplikowanym - odparł Pace.

29 grudnia 1943, Nowy Jork

Spaulding spoglądał przez okno wychodzące na Piątą Aleję i na Central Park.

Montgomery był jednym z niewielkich, eleganckich hoteli, w których zawsze zatrzymywali się jego rodzice w czasie pobytów w Nowym Jorku, i mieszkając w nim doznawał

przyjemnego uczucia nostalgii. Wiekowy recepcjonista, wpisując go do książki meldunkowej, ocierał autentyczne łzy wzruszenia; Dawid zdążył już zapomnieć - na szczęście przypomniał

sobie, zanim jeszcze wysechł jego podpis - że wiele lat temu staruszek zabierał go na spacer do parku. Od tamtej pory minęło już ćwierć wieku!

Przechadzki po parku. Guwernantki. Kierowcy, czekający w foyer gotowi w każdej chwili zawieźć jego rodziców do pociągu, na koncert, na próbę. Krytycy muzyczni.

Dyrektorzy firm płytowych. Nie kończące się kolacje, na których zawsze dawał popis przed pójściem do łóżka, informując gości, ile lat miał Mozart, kiedy skomponował Czterdziestą Symfonię; wykuwane na pamięć daty i fakty, które nic go nie obchodziły. Dyskusje. Ataki hysterii z powodu złego dyrygenta, gorszego występu lub niepochlebnej recenzji.

Szaleństwo.

A wśród tego wszystkiego postać Aarona Mandla, spokojnego i opiekuńczego, czasem wręcz ojcowskiego wobec nadwrażliwego ojca Dawida i jego matki, czekającej w omdleniu na powrót nadwątlonych sił.

I spokojniejsze czasy: w niedziele - z wyjątkiem tych, kiedy odbywały się koncerty -

rodzice nagle przypominali sobie o jego istnieniu i usiłowali w ciągu jednego dnia nadrobić zaległości w okazywaniu uczuć, który to obowiązek na co dzień scedowali na guwernantki, kierowców i miły, grzeczny personel hotelu. Był wówczas świadom szczerych, choć sztucznych wysiłków ojca i nieraz chciał mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że nie czuje się opuszczony. Wcale nie musieli spędzać jesiennych dni wędrując po ogrodach zoologicznych i muzeach; i tak przecież wiadomo, że i ogrody, i muzea są znacznie piękniejsze w Europie. Wcale nie musieli jeździć latem na Coney Island lub na plażę New Jersey; czym one były w porównaniu do Lido czy Costa del Santiago? Mimo to wszędzie, gdzie tylko się znaleźli, ojciec i matka odczuwali co jakiś czas nieprzewycięzoną potrzebę dopasowania się do wzorca oznaczonego podpisem „amerykańska rodzina”.

Smutne, żalosne, w gruncie rzeczy beznadziejne.

Z jakiegoś powodu skrytego gdzieś w głębi duszy nigdy później nie zjawił się w tym małym,

eleganckim hotelu. Nie było takiej potrzeby, to prawda, ale gdyby chciał, mógłby zdobyć się na ten niewielki wysiłek, tym bardziej że właściciele zawsze odnosili się z największym szacunkiem do jego rodziny. Teraz pojawiła się potrzeba; po kilku latach spędzonych daleko stąd pragnął bezpiecznego kąta w tym obcym teraz kraju, bezpiecznego przynajmniej we wspomnieniach.

Odwrócił się od okna i podszedł do łóżka, na którym boy położył jego nową walizkę z ubraniami; wszystko, łącznie z walizką, zostało kupione u Rogersa Peeta. Pace domyślił się na szczęście, żeby wraz z duplikatami dokumentów zniszczonych podczas katastrofy w Terceira przesłać mu także trochę pieniędzy. Rozbawiło go, że musiał pokwitować właśnie odbiór pieniędzy, nie dokumentów.

Major, który czekał na niego na lotnisku Mitchell Field, zaprowadził go natychmiast do ambulatorium, gdzie znudzony wojskowy lekarz określił jego stan jako „średni, ale zadowolający”, skrytykował fachowo szwy założone na Azorach przez lekarzy brytyjskich, lecz nie uznał za stosowne ich zmienić, i polecił, żeby Dawid trochę odpoczął, łykając co cztery godziny po dwie pastylki aspiryny.

Dziwny pacjent.

Po opuszczeniu ambulatorium major przybrał ton znany doskonale z Fairfax i powiedział, że Wydział Operacyjny zajmuje się dokładną analizą wszystkich okoliczności towarzyszących zamachowi; mógł być skierowany przeciwko niemu, Spauldingowi, i związany z jakimiś jego występkami, popełnionymi poza Lizboną. Powinien zachować daleko idącą ostrożność, o wszelkich niespodziankach zaś informować bezpośrednio pułkownika Edmunda Pace'a w Fairfax. Ma także zapamiętać nazwisko generała Alana Swansona z Ministerstwa Wojny, który skontaktuje się z nim za kilka dni, najdalej za dziesięć.

Po co w takim razie dzwonić do Pace'a? Jedyne w razie jakichś „wypadków”.

Dlaczego nie od razu do Swansona? Bo to on ma się pierwszy odezwać.

Takie są rozkazy Pace'a do chwili, kiedy sprawę przejmie generał.

Rozkazy albo dalszy ciąg mydlenia oczu, pomyślał Dawid przypominając sobie niewyraźny wzrok Hollandera, agenta z Terceiry.

Coś się działo. Cała ta historia rozgrywała się w co najmniej dziwny sposób. Najpierw pilna, specjalna kodowana depesza do Lizbony, bez podpisu, odzywka typu: wypadnięcie ze służby, potem spotkanie na środku oceanu z agentem, który co prawda miał mu tylko dostarczyć dokumenty, ale najpierw zadał kilkanaście pytań, a wreszcie dziwny rozkaz, aby zgłosił się do dwóch zupełnie obcych cywilów bez żadnych wstępnych informacji.

Przypominało to taniec, który należało tańczyć przy wtórze czterech nie słyszających się nawzajem orkiestr. Było to albo coś niesamowicie profesjonalnego, albo nieprawdopodobnie amatorskiego - Dawid podejrzewał, że chodziło o obie te rzeczy jednocześnie. Spotkanie z generałem Swansonem

może okazać się bardzo interesujące. O nim też nigdy nie słyszał.

Położył się na łóżku hotelowym. Odpocznie przez jakąś godzinę, a potem weźmie prysznic, ogoli się i wyjdzie, żeby po raz pierwszy od trzech lat obejrzeć Nowy Jork o zmierzchu i zobaczyć, jakie wieczory wojna zgotowała na Manhattanie; dni, o ile zdążył się zorientować, były dokładnie takie same. Jediną różnicę stanowiły porozlepiane wszędzie plakaty. Dobrze by było mieć dzisiaj kobietę, ale spokojnie, wygodnie, bez pośpiechu.

Najlepsze byłoby jakieś nieoczekiwane, przypadkowe spotkanie - przyjemny, nadzwyczaj pożądaný przerywnik. Mimo to nie miał najmniejszej ochoty grzebać w książce telefonicznej, żeby dopomóc trochę szczęściu. Trzy lata i dziewięć miesięcy minęło od chwili, kiedy po raz ostatni dzwonił do kogoś w Nowym Jorku. W tym czasie nauczył się przywiązywać wielką wagę do zmian zachodzących z dnia na dzień, a cóż dopiero mówić o trzech latach i dziewięciu miesiącach.

Pogrążył się w przyjemnych wspomnieniach o ludziach, którzy przybywali do Lizbony ze Stanów i raczyli wszystkich opowieściami o niezwykle łatwej dostępności kobiet tam, w kraju. Szczególnie w Waszyngtonie i Nowym Jorku, gdzie ludzkie mrowie i powszechna tymczasowość sprzyjały nawiązywaniu znajomości trwających tylko jedną noc.

W tej samej chwili przypomniał sobie z nieco zrezygnowanym rozbawieniem, że w opowieściach tych podkreślano zawsze hipnotyczny wpływ wywierany przez mundur, szczególnie od kapitana wzwyż.

W ciągu ostatnich czterech lat miał na sobie mundur dokładnie trzy razy; w barze hotelu Mayflower na spotkaniu z Edem Pace'em oraz wtedy, kiedy przyjeżdżał i wyjeżdżał z Portugalii.

Teraz w walizce znajdowały się wyłącznie cywilne ubrania.

Drgnął, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Miejsce jego pobytu znało tylko Fairfax i, jak przypuszczał, ów generał Swanson. Zadzwoił do hotelu z lotniska, żeby zarezerwować pokój; major powiedział, że ma siedemdziesiąt dwie godziny odpoczynku. Potrzebuje go i nikt nie będzie go w tym czasie niepokoił. Teraz jednak najwyraźniej ktoś uznał za stosowne to uczynić.

- Halo?

- Dawid! - Głos dziewczyny, niski, nie wiedzieć czemu kojarzący się z wyrafinowaniem. - Dawid Spaulding!

- Kto mówi? - Przez chwilę zastanawiał się, czy to przypadkiem nie figle rozbudzonej wyobraźni.

- Leslie, kochanie! Leslie Jenner. Mój Boże, to już chyba pięć lat!

Umysł Spauldinga funkcjonował na najwyższych obrotach. Leslie Jenner rzeczywiście kojarzyła mu się z Nowym Jorkiem, ale z pewnością nie miała nic wspólnego z radiem.

Należała do grupy złotej młodzieży; spotkania pod zegarem przy Biltmore, przesiadywanie do późnej nocy w La Rue; po zakończeniu studiów ta młodzież wkraczała w dorosłe życie poprzez kawiarniane spotkania i uroczyste przyjęcia, na które był zapraszany nie ze względu na przynależność do tych samych kręgów towarzyskich, lecz dlatego, że był synem „tych słynnych Spauldingów”. Leslie kojarzyła się z Miss Porter, Finchem i Junior League.

Tylko jej nazwisko brzmiało obco. Zdaje się, że wyszła za męża za jakiegoś chłopaka z Yale; nie pamiętał już jego imienia.

- Leslie, to naprawdę... mój Boże, nie spodziewałem się ciebie usłyszeć. Skąd wiedziałaś, że tutaj jestem?

- W Nowym Jorku nie może się zdarzyć nic, o czym bym nie wiedziała. Mam wszędzie oczy i uszy, kochanie! Najlepsza siatka szpiegowska na świecie!

Dawid poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Ten żart zupełnie nie przypadł mu do gustu.

- Pytam poważnie, Leslie. Do nikogo jeszcze nie dzwoniłem, nawet do Aarona. Skąd się dowiedziałaś?

- Jeżeli już musisz wiedzieć, to Cindy Bonner - przedtem nazywała się Tottle, ale wyszła za Paula Bonnera - kupowała dla niego prezenty u Rogersa Peeta, a tu nagle patrzy...

ty we własnej osobie przymierzasz nowy garnitur. Sam wiesz, jaka jest Cindy. Nie odważyła się do ciebie podejść, ale...

Dawid nie znał żadnej Cindy. Nie potrafił przypomnieć sobie ani tego imienia, ani tym bardziej twarzy. Zastanawiał się nad tym, podczas gdy Leslie trajkotała dalej.

- ...pobiegła do najbliższego automatu i zadzwoniła do mnie. Bądź co bądź, kochanie, mieliśmy się kiedyś mocno ku sobie.

Jeżeli właśnie w ten sposób określało się wspólne spędzenie kilku weekendów w East Hampton, to Dawid musiał się zgodzić, ale nie oznaczało to wcale, że podoba mu się to określenie. Cała sprawa miała charakter przejściowy i rozegrała się dawno temu, na długo przed rozsądnym i zgodnym z rodzinnym statusem zamążpójściem dziewczyny.

- Byłoby chyba dobrze, gdybyś nie informowała o tym swojego męża.

- Och, ty moje biedne cielątko! Przecież przedstawiłam ci się jako Jenner, nie Hawkwood! Nawet mi przez myśl nie przeszło pozostać przy tamtym nazwisku.

Zgadza się, wyszła za człowieka nazwiskiem Hawkwood; jakiś Roger, Ralph, czy coś takiego, piłkarz albo tenisista.

- Przepraszam, nie wiedziałem...

- Rozeszliśmy się z Richardem już wieki temu. Mówię ci, to było całkowite nieporozumienie. Ten sukinsyn nie mógł się powstrzymać nawet przed obmacywaniem moich najlepszych przyjaciółek! Teraz jest w Londynie, na pewno zadekowany gdzieś bezpiecznie na tyłach i dogadza angielskim dziewczętom. A umie dogodzić, wiem coś o tym.

Spaulding poczuł coś na kształt delikatnego swędzenia w łędźwiach. Słowa Leslie Jenner brzmiały niemal jak zaproszenie.

- Cóż, w końcu to nasi sojusznicy - zauważył żartobliwie. - Ale nie powiedziałaś mi, jak mnie tu odnalazłaś.

- Potrzebowałam do tego dokładnie czterech rozmów telefonicznych, mój miły.

Najpierw sprawdziłam trzy podstawowe hotele: Commodore, Biltmore i Waldorff, a potem przypomniałam sobie, że twoi rodzice zawsze zatrzymywali się w Montgomerym, ten dobry stary świątek, i pomyślałam, że może postanowiłeś pójść w ich ślady.

- Byłabyś znakomitym detektywem.

- Tylko wtedy, gdy obiekt poszukiwań byłby tego wart, kochanie... Ach, to były piękne czasy!

- Tak, rzeczywiście - potwierdził Spaulding, myśląc intensywnie o czymś zupełnie innym. - Chyba nie możemy pozwolić na to, żeby nasze wspomnienia poszły na marne.

Kolacja?

- Gdybyś tego nie zaproponował, pewnie poryczałabym się z rozpaczyl!

- Przyjechać po ciebie? Możesz podać mi swój adres?

Leslie zawahała się przez chwilę.

- Może lepiej spotkajmy się w restauracji, bo gdybyś tu się zjawił, to już chyba nie wyszlibyśmy stąd nigdy.

Powtórne zaproszenie.

Dawid wymienił nazwę kawiarenki przy 51 Ulicy.

- O wpół do ósmej? Ósma?

- Może być wpół do ósmej, ale nie tam, najśłodszy. Zamknęli ją już parę lat temu. Co powiesz na Gallery? Czterdziesta Szósta. Ja zarezerwuję stolik, bo mnie tam znają.

- Świetnie.

- Biedaku, nie było cię tak długo. O niczym nie wiesz. Postaram się pomóc ci nadrobić to wszystko.

- Nie mam nic przeciwko temu. W takim razie, do wpół do ósmej.

- Nie mogę się doczekać, kochanie. I obiecuję, że nie będę płakać.

Spaulding odłożył słuchawkę. Był zdumiony, i to z kilku powodów.

Po pierwsze, kiedy dziewczyna dzwoni do swego byłego kochanka, którego nie widziała od ponad czterech lat, powinna przede wszystkim zapytać, gdzie był i jak się miewa, tym bardziej że przecież toczy się wojna, a także jak długo ma zamiar pozostać w mieście.

Brak ciekawości w tych jakże „ciekawskich” czasach wydawał się czymś co najmniej nienaturalnym.

Drugi powód napawał go znacznie większym niepokojem.

Jego rodzice ostatni raz zatrzymali się w hotelu Montgomery w roku 1934, on zaś nigdy od tamtej chwili się tu nie pojawił, natomiast tę dziewczynę poznał w roku 1936 w New Haven, dokładnie w październiku, podczas mistrzostw Uniwersytetu Yale. Pamiętał to jak dziś.

Leslie Jenner nie mogła wiedzieć o rodzinnej tradycji związanej z hotelem Montgomery.

Wszystko, co mówiła, było kłamstwem.

29 grudnia 1943, Nowy Jork

Restauracja Gallery wyglądała dokładnie tak, jak się tego spodziewał: mnóstwo ciemnoczerwonego pluszu, obfitość palm wszelkich kształtów, świecące żółtym blaskiem kinkiety, umocowane na ścianach tak wysoko nad stolikami, żeby uniemożliwić odczytanie menu. Równie mało kłopotu sprawiało przewidzenie wyglądu i zachowania gości: wszyscy byli młodzi, zamożni, nonszalancy, obdarzający sąsiadów krzywymi uśmiechami, spojrzzeniami rzucanymi spod wysoko uniesionych brwi i błysnięciami śnieżnobiałych zębów.

Gwar pomieszanych głosów to przybierał, to znów tracił na sile, ale nieszczerze, wypowiedane z przesadną starannością słowa nie przestawały płynąć ani przez chwilę.

Leslie Jenner już na niego czekała. Rzuciła mu się w ramiona przy szatni, po czym stała przez kilka minut, przyciśnięta do niego z całej siły - w każdym razie jemu wydawało się, że trwa to całe minuty, a na pewno zbyt długo. Kiedy wreszcie odchyliła głowę i spojrzała na niego, policzki miała mokre od łez. Łzy były prawdziwe, lecz w niej samej było coś (tylko co? usta? oczy?) sztucznego. A może nie w niej, tylko w nim? Od miejsc takich jak Gallery i dziewcząt takich jak Leslie dzieliło go przecież ładne kilka lat.

Pod każdym innym względem była dokładnie taka, jaką zapamiętał, może co najwyżej odrobinę starsza i z całą pewnością bardziej zmysłowa, co mogła zawdzięczać jedynie doświadczeniu. Jej jasne włosy nabrały lekko brązowego odcienia, duże brązowe oczy dodawały niewinności jej zdecydowanie prowokacyjnemu zachowaniu, twarz nieco zeszczuplała, ale nic nie straciła ze swej posągowej, arystokratycznej doskonałości. Przede wszystkim jednak czuł przy sobie jej ciało: jędrne, mocne, o obfitych piersiach. Ciało uformowane przez seks i dla seksu.

- Och, Boże! Dawid!

Przycisnęła usta do jego ucha.

Usiedli przy stoliku. Cały czas trzymała go za rękę, wypuściwszy ją tylko na chwilę, żeby zapalić papierosa. Mówili jedno przez drugie. Dawid nie był pewien, czy Leslie słucha tego, co on mówi, ale przytakiwała zawzięcie, nie spuszczając ani na moment wzroku z jego twarzy. Powtórzył jej w skrócie historyjkę, która miała teraz stanowić jego wojenną przeszłość i kamuflaż: Włochy, lekkie obrażenia, przeniesienie do pracy w przemyśle, gdzie może robić coś pożyteczniejszego niż uganiać się z karabinem. Niestety, nie wie, jak długo zostanie w Nowym Jorku. (To szczerą prawdą, pomyślał. Nie miał pojęcia, jak długo pozwolą mu tu zostać, a dałby wiele, żeby wiedzieć). Bardzo się cieszy z ich ponownego spotkania.

Kolacja stanowiła wstęp do łóżka. Obydwoje doskonale o tym wiedzieli i żadne nie starało się nawet specjalnie ukryć podniecenia towarzyszącego odnowieniu ich najwspanialszych wspomnień: młodzieńczej miłości dokonywanej cichaczem, po kryjomu, z dala od karcącego wzroku dorosłych,

tym cudowniejszej, bo zakazanej.

- W twoim mieszkaniu? - zapytał.

- Nie, najdroższy. Dzielę je z ciotką, młodszą siostrą mojej matki. To teraz taka patriotyczna moda mieszkać z kimś.

Dawid nawet nie starał się tego zrozumieć.

- W takim razie u mnie - zdecydował.

- Wiesz co, Dawid? - Leslie uścisnęła mocniej jego dłoń i zamilkła, by po chwili podjąć nieco ciszej: - Właściciela Montgomery'ego zna cała masa ludzi z naszych sfer.

Wynajmują tam apartament Allcottowie, Dewhurstowie... Mam klucze do mieszkania Peggy Webster w Village. Pamiętasz ją? Byłeś na jej ślubie z Jackiem Websterem. Jacka znasz na pewno, jest w marynarce. Pojechała go odwiedzić w San Diego. Pójdźmy do niej, dobrze?

Spaulding przyglądał się jej uważnie. Nie zapomniał ani jej dziwnego zachowania podczas rozmowy telefonicznej, ani kłamstwa o sposobie, w jaki odnalazła hotel. Mimo to było całkiem możliwe, że jego wyobraźnia płatała mu figła - lata spędzone w Lizbonie nauczyły go przesadnej ostrożności. Niewykluczone, że wszystko można było jakoś wyjaśnić, także brakami w jego pamięci. Na razie w równym stopniu czuł zarówno zdziwienie, jak i podniecenie. W równie dużym stopniu.

- Niech będzie - powiedział - mieszkanie Peggy.

Jeżeli spotkanie miało na celu jeszcze coś oprócz seksu, to umknęło to jego uwagi.

Kiedy zdjęli płaszcze, Leslie zajęła się przygotowaniem drinków, podczas gdy on zaczął rozpałać ogień w kominku, używając do tego celu starych, zgniecionych gazet.

Stała w drzwiach kuchni przyglądając się, jak Dawid układa starannie kawałki drewna, żeby zapewnić stały przepływ powietrza. Wyciągnęła przed siebie dłoń ze szklanką i uśmiechnęła się.

- Za dwa dni Sylwester, a potem Nowy Rok. Mam nadzieję, że będzie nasz, podobnie jak wiele następnych.

- Oby jak najwięcej - odparł, wyprostowując się. Podeszedł do niej i wziął obie szklanki, także tę, którą przeznaczyła dla siebie i ruszył z nimi w kierunku stolika znajdującego się między kominkiem a niewielką kanapą. W połowie drogi odwrócił się raptownie, spoglądając jej prosto w oczy; nie patrzyła na szklanki ani nie usiłowała zapamiętać ich ustawienia.

Zrobiła natomiast coś innego: zbliżyła się do kominka i zdjęła bluzkę, po czym opuściła ją na podłogę i odwróciła się w jego stronę. Jej duże piersi wypełniały cienki, w znacznej części koronkowy stanik.

- Zdejmij koszulę, Dawid.

Zrobił to i podszedł do niej. Kiedy ujrzała bandażę, przez jej twarz przemknął bolesny skurcz, ale zaraz potem wyciągnęła dłoń i dotknęła ich delikatnie końcami palców.

Przycisnęła się do niego tak, że czuł wyraźnie na swoim udzie dotyk jej bioder, i fachowo, bez pośpiechu, zaczęła się o niego ocierać. Sięgnął do zapięcia jej stanika; zadrżała lekko, gdy go odrzucił, a potem odchyliła się do tyłu, podsuwając mu nagie piersi. Położył na lewej swoją dłoń; Leslie odsunęła się o pół kroku, opuściła ręce i zaczęła rozpinąć mu spodnie.

- Napijemy się później. Dziś zaczyna się nasz Nowy Rok.

Nie wypuszczając z dłoni jej piersi nachylił się nad nią, całując najpierw oczy, a potem uszy. Odpowiedziała westchnieniem, które przeszło w jęk.

- Tutaj - szepnęła. - Tu, na podłodze.

Osunęła się na kolana; spódnica zawinęła się jej na uda, odsłaniając zapięcia pończoch.

Położył się obok niej i złączyli się w pocałunku.

- Pamiętam nasz pierwszy raz - roześmiał się cicho. - W chacie przy hangarze z łodziami, na podłodze. Pamiętam.

- Miałam nadzieję, że pamiętasz. Ja tego nigdy nie zapomniałam.

Była dopiero za piętnaście druga w nocy, kiedy odwiózł ją do domu. Kochali się dwa razy, wypili mnóstwo znakomitej whisky z zapasów Jacka i Peggy Websterów, i dużo rozmawiali, głównie o starych, dobrych czasach. Leslie nie miała żadnych oporów przed roztrząsaniem sprawy swego małżeństwa; jej eks-mąż, Richard Hawkwood, okazał się po prostu człowiekiem niezdolnym do utrzymywania trwałego związku, seksualnym żarłokiem, a jednocześnie kompletnym ignorantem w sprawach finansowych. Był w stanie wydać pięćdziesiąt tysięcy dolarów w ciągu roku, natomiast potrafił zarobić nie więcej niż sześć.

Zdaniem Leslie wojna została wywołana z myślą właśnie o takich ludziach jak Richard. Korzystając z okazji powinni zginąć w glorii chwały, zamiast wracać do swojego cywilnego wcielenia, w którym zupełnie się nie sprawdzili. Spaulding uważał, że to trochę zbyt ostra ocena, natomiast zdaniem Leslie wynikała ona wyłącznie z jej wrodzonej troskliwości. Rozmowa zakończyła się wybuchem śmiechu i kolejnymi pieszczotami.

Przez cały wieczór Dawid miał się na baczności, czekając na jakieś słowo lub pytanie, które powiedziałoby mu coś na temat motywów, jakimi się kierowała, lub wyjaśniło powód wcześniejszych kłamstw. Nic takiego jednak nie usłyszał.

Wreszcie zapytał ją wprost, niby nie dowierzając, że tak dobrze pamiętała o upodobaniu, jakie jego

rodzice żywili do hotelu Montgomery. Zbyła go banałem o niezawodnej pamięci, dodając tylko tyle, że „miłość zdolna jest do najbardziej dokładnych poszukiwań”.

Kolejne kłamstwo; tego, co istniało między nimi, nie sposób było nazwać miłością.

Pozostawiła go w taksówce i nie pozwoliła, żeby odprowadził ją na górę. Ciotka na pewno już spała i nie było potrzeby jej budzić.

Spotkają się jutro u Webstera. Dopiero o dziesiątej wieczorem, bo wcześniej umówiła się już na kolację, z której postara się szybko urwać. Odwoła swój udział w przyjęciu sylwestrowym, żeby mieli cały dzień wyłącznie dla siebie.

Dopiero kiedy zniknęła, a taksówka ruszyła w kierunku Fifth Avenue, przypomniał sobie, że już pojutrze ma rozpocząć pracę w Meridian Aircraft. Właśnie w Sylwestra. Sądził jednak, że popracuje pół dnia.

Wszystko to było dla niego jakby nowe i bardzo dziwne, sylwester, święta.

O świętach zupełnie zapomniał. Co prawda wcześniej wysłał upominki dla rodziców, ale zrobił to jeszcze przed podróżą na północ, do Kraju Basków i Nawarry.

Słowa Boże Narodzenie nie miały dla niego żadnego znaczenia, podobnie jak święci Mikołaje pobrękający dzwoneczkami na nowojorskich ulicach i udekorowane wystawy sklepów.

Odczuwał z tego powodu wielki smutek, dawniej wyglądało to zupełnie inaczej.

Zapłacił taksówkarzowi, przywitał się z pracującym w nocy recepcjonistą, wsiadł do windy i wjechał na swoje piętro. Znalazłszy się przed drzwiami automatycznie, nawet nie patrząc, przesunął palec nad założoną na klamkę karteczką z napisem NIE

PRZESZKADZAĆ.

Nic nie poczuł, więc nachylił się i przyjrzał dokładniej, świecąc zapalniczką.

Nitka zniknęła.

Nawyki i ostrzeżenie otrzymane z Fairfax sprawiły, że przed wyjściem omotał pokój cieniutkimi, kremowymi i czarnymi nitkami niemal niewidzialnej, jedwabnej przędzy.

Pozostawione w kilku miejscach miały informować go o tym, czy podczas jego nieobecności odwiedzali go jacyś nieproszeni goście.

Nie miał przy sobie broni, a obawiał się, że ktoś jeszcze może być w pokoju.

Wrócił do windy i nacisnął guzik. Kiedy przyjechała, zapytał windziarza, czy ma uniwersalny klucz, bo coś stało się z drzwiami do jego pokoju. Odpowiedź brzmiała nie, więc obaj zjechali na dół.

Poszukiwany przedmiot znajdował się w posiadaniu recepcjonisty, który kazał

windziarzowi zostać w głównym hallu, a sam pośpieszył z pomocą panu Spauldingowi w jego zmaganiach z opornym zamkiem.

Kiedy wysiedli na piętrze i ruszyli korytarzem w kierunku pokoju, Dawid usłyszał

wyraźne pstryknięcie zatrasku. Rozejrzał się błyskawicznie w obie strony, usiłując zlokalizować źródło dźwięku.

Zobaczył tylko rzędy zamkniętych hotelowych drzwi.

Recepcjonista nie miał żadnych problemów z otworzeniem zamka. Znacznie trudniej przyszło mu zrozumieć, dlaczego pan Spaulding obejmuje go mocno ramieniem i niemal wciąga ze sobą do pokoju.

Dawid omiół wewnątrz szybkim spojrzeniem: drzwi łazienki i szafy, jedynych możliwych do wykorzystania kryjówek, były otwarte, tak jak je zostawił. Wpuścił z objęć recepcjonistę i wcisnął mu pięciodolarowy banknot.

- Bardzo panu dziękuję. Proszę mi wybaczyć, zdaje się, że trochę za dużo wypilem.

- Ależ skąd, proszę pana. Dziękuję, sir.

Recepcjonista wyszedł, zamykając za sobą starannie drzwi.

Dawid natychmiast przystąpił do sprawdzania nici. Najpierw powieszona w szafie marynarka, górna kieszeń.

Nie ma.

W biurku, w pierwszej i trzeciej szufladzie.

Obie zerwane.

Na łóżku, wzdłuż zszycia poszwy.

Ani śladu.

Podszedł do walizki leżącej na niskiej, przysuniętej do okna ławie, klęknął i przyjrzał

się uważnie prawemu zamkowi; pozostawił nić rozpiętą między klamrą a zasuwką zatrasku.

Gdyby ktoś otwierał wieko, musiałby ją przerwać.

Tak też się stało.

Pozostała jedynie połówka nitki.

Wewnątrz walizki także zostawił jedną nić, łączącą wieko z pudłem w odległości trzech palców od lewego zawiasu.

Zniknęła.

Dawid wstał, podszedł do stolika i sięgnął po leżącą na półeczce książkę telefoniczną.

Nie było czasu do stracenia; mógł uzyskać przewagę jedynie działając z zaskoczenia. Pokój został przeszukany przez fachowców w taki sposób, żeby on nigdy się o tym nie dowiedział.

Znajdzie numer Leslie Jenner, pojedzie pod jej dom i zadzwoni z jakiejś znajdującej się w pobliżu budki - najlepiej takiej, z której mógłby widzieć wejście do budynku. Zacznie jej opowiadać jakieś niestworzone historie, a potem zapyta, czy mógłby się z nią natychmiast zobaczyć; ani słowa o rewizji, ani o jego podejrzeniach. Musi ją kompletnie zaskoczyć i dokładnie przeanalizować jej reakcję. Jeśli się zgodzi, to bardzo dobrze, a jeśli nie, to będzie tam warował nawet do samego rana, jeśli będzie trzeba.

Leslie Jenner z pewnością coś przed nim ukrywała, on zaś musiał się koniecznie dowiedzieć, co ukrywała. Człowiek z Lizbony nie na darmo spędził ostatnie trzy lata w północnych prowincjach.

Pod zapamiętanym przez niego adresem nie mieszkał nikt o nazwisku Jenner.

Na całym Manhattanie mieszkało sześć takich osób.

Podawał po kolei numery telefonistce i po kolei wysłuchiwał takich samych, różniących się od siebie jedynie stopniem zaspiania i zirygowania, odpowiedzi.

Nie, nie mieszka tu żadna Leslie Jenner. Nie, nikt nie słyszał o takiej osobie.

Wreszcie odłożył słuchawkę, wstał z łóżka i zaczął przechadzać się po pokoju.

Pojedzie tam i zapyta portiera. To, że w książce telefonicznej figurowało tylko nazwisko ciotki, było możliwe, ale mało prawdopodobne. Leslie Jenner, gdyby tylko mogła, kazałaby wydrukować swoje podwójną czcionką; dla niej telefon stanowił nie tyle udogodnienie, co instrument nieodzownie potrzebny do życia. Jednak zjawiając się u niej i zadając pytania, okazałby zbyt duży niepokój, a na to nie był przygotowany.

Jak się nazywała ta dziewczyna, która rzekomo zobaczyła go w sklepie? Cindy? Tak, Cindy Tuttle... Tottle... Nie, Cindy Bonner, żona Paula Bonnera. „Kupowała prezenty dla Paula”.

Ponownie usiadł na łóżku i wziął do ręki książkę telefoniczną. Ze znalezieniem Paula Bonnera nie

nie miał żadnych kłopotów: Park Avenue 480. Adres wydawał się dosyć prawdopodobny. Podał numer telefonistce.

Po chwili odezwał się zaspany głos dziewczyny.

- Tak?

- Pani Bonner?

- Tak, słucham?

- Nazywam się Dawid Spaulding. Dzisiaj po południu widziałam pani u Rogersa Peeta; pani kupowała prezenty dla męża, a ja przymierzałem garnitur. Przepraszam, że panią niepokoję, ale to bardzo ważna sprawa. Byłem dzisiaj na kolacji z Leslie Jenner, pani do niej dzwoniła. Odwiozłem ją do domu i umówiliśmy się na jutro, ale okazało się, że nie będę mógł

przyjść. Wiem, że to głupio, lecz nie wziąłem jej telefonu, a nie mogę znaleźć go w książce.

Gdyby pani mogła...

- Panie Spaulding - przerwała mu ostrym, najzupełniej trzeźwym tonem. - Jeśli to ma być żart, to w bardzo złym stylu. Kojarzę pańskie nazwisko, ale nie widziałam pana dzisiaj i nie kupowałam żadnych prezentów. W ogóle nie byłam u Rogersa Peeta. Mój mąż zginął

cztery miesiące temu na Sycylii. Nie rozmawiałam z Leslie Jenner... zresztą, ona teraz chyba nazywa się Hawkwood... od co najmniej roku. Przeprowadziła się do Kalifornii, zdaje się, że do Pasadeny. Nie widziałyśmy się od tego czasu i wątpię, czy jeszcze się zobaczymy.

Rozmowę zakończył stuk odkładanej słuchawki.

31 grudnia 1943, Nowy Jork

Był sylwestrowy poranek.

Pierwszy dzień „pracy” w Biurze Projektów Meridian Aircraft.

Niemal cały poprzedni dzień Dawid spędził w swoim pokoju hotelowym, wychodząc jedynie na obiad i po gazety. Kazał przynieść sobie kolację na górę, a potem bez większego przekonania pojechał taksówką do Greenwich Village, choć wiedział, że Leslie nie stawi się na spotkanie o dwudziestej drugiej.

Na taki, a nie inny sposób spędzenia dnia zdecydował się z dwóch powodów: po pierwsze, zgodnie z przewidywaniami lekarza, który zbadał go na lotnisku, okazało się, że jest potwornie zmęczony, a po drugie, Fairfax zbierało intensywnie materiały na temat Leslie Jenner Hawkwood, Cindy Tottle Bonner i oficera marynarki imieniem Jack lub John Webster, którego żona mieszkała obecnie w Kalifornii. Dawid potrzebował tych informacji przed podjęciem jakichkolwiek kroków, a Ed Pace obiecał zdobyć ich tyle, ile tylko będzie możliwe w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Spauldinga szczególnie uderzyło jedno zdanie Cindy Bonner: „Przeprowadziła się do Kalifornii, zdaje się, że do Pasadeny”.

Rozmowa telefoniczna z zarządcą domu w Greenwich Village potwierdziła, że istotnie, Websterowie mieszkają pod tym adresem. Mąż służył obecnie w marynarce, żona zaś pojechała odwiedzić go gdzieś do Kalifornii. Zarządca odbierał ich pocztę.

Gdzieś do Kalifornii...

Przeprowadziła się do Kalifornii...

Czy miało to ze sobą jakiś związek, czy też może był to tylko przypadek?

Spaulding spojrzął na zegarek; ósma rano ostatniego dnia 1943 roku. Jutro będzie już rok 1944.

Niemniej właśnie dzisiaj miał się zgłosić do niejakiego Waltera Kendalla i Eugene’a Lyonsa w tymczasowym biurze Meridian Aircraft przy Trzydziestej Ósmej Ulicy.

Dlaczego jedna z największych amerykańskich firm lotniczych miała w Nowym Jorku jedynie „tymczasowe” biuro?

Zadzwonił telefon i Dawid podniósł słuchawkę.

- Spaulding?

- Cześć, Ed.

- Zebrałem, co mogłem, ale w sumie to niezbyt wiele. Przede wszystkim, nigdzie nie ma żadnej wzmianki o tym, że Hawkwoodowie się rozeszli. On rzeczywiście jest w Anglii, jako pilot: Dziesiąty Dywizjon Bombowców w Surrey.

- A co z przeprowadzką do Kalifornii?

- Półtora roku temu przeniosła się do swojej ciotki do Pasadeny. Ciotka jest bardzo bogata, to żona bankiera nazwiskiem Goldsmith. Z tego, co wiemy, a jest to fragmentaryczne, wynika, że dziewczynie po prostu podoba się Kalifornia.

- Dobra, teraz ten Webster.

- Wszystko się zgadza, jest oficerem artylerii na „Saratodze”, która przechodzi remont w San Diego. Powinna wyjść w morze za dwa tygodnie i chyba nie będzie żadnych opóźnień.

Do tego czasu wszyscy co chwila dostają przepustki na dwa lub trzy dni, ale nie dłuższe.

Przed kilku dniami Margaret przyjechała do swego męża i zamieszkała w hotelu Greenbier.

- Coś o Bonnerach?

- Tylko to, co już wiesz, z tym dodatkiem, że nieboszczyk okazał się bohaterem działającym w dobrej wierze. Pośmiertna Srebrna Gwiazda dla piechoty. Zabity podczas patrolu zwiadowczego na Sycylii w czasie inwazji.

- I to wszystko?

- Wszystko. Cała czwórka знаła się nawzajem, ale nie udało mi się znaleźć niczego, co miałoby jakiś związek z twoim zadaniem.

- Przecież nie ty je nadzorujesz, Ed. Sam powiedziałeś, że nie wiesz, na czym ono polega.

- Zgadza się. Sądząc jednak po tych fragmentach, o których wiem, te sprawy nie mają ze sobą żadnego związku.

- Ktoś grzebał w moich rzeczach, jestem tego pewien.

- Może zwykły złodziej. Zamożny żołnierz w zamożnym hotelu, powracający do domu po długiej nieobecności. Ktoś mógł pomyśleć, że wiesz ze sobą cały worek żołądu.

- Wątpię. To była zbyt fachowa robota.

- W tym zawodzie pracuje wielu fachowców. Czekają, aż delikwent wyruszy na zakrapiane

spotkanie, a potem...

- Chcę jeszcze coś sprawdzić - przerwał mu Spaulding.

- Co takiego?

- Ta Bonner powiedziała, że „wątpi, czy jeszcze zobaczy się z Leslie Jenner”, i chyba nie żartowała. To brzmi dosyć niezwykle, prawda? Chciałbym wiedzieć, dlaczego to powiedziała.

- Proszę bardzo, to w końcu był twój pokój, nie mój... Wiesz, co ja myślę? A miałem trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić.

- No?

- Że to nowojorskie towarzystwo uwielbia grę w „łóżka do wynajęcia”. Tobie, co prawda, nie przyszło to na myśl, ale czy nie wydaje ci się prawdopodobne, że ta pannica po prostu przyjechała na kilka dni do Nowego Jorku, zobaczyła cię albo spotkała kogoś, kto cię widział, i postanowiła również włączyć się na chwilę do zabawy? Potem wróciła do Kalifornii i koniec sprawy, nigdy już jej nie zobaczysz...

- Nie, to nie ma sensu. Zbyt wszystko komplikowała, a gdyby było tak, jak mówisz, to nie miałyby żadnego powodu. Specjalnie trzymała mnie z daleka od hotelu.

- Cóż, w końcu to ty tam byłeś...

- Zgadza się. Wiesz, to zabawne. Ten major, którego spotkałem na lotnisku, twierdzi, że według ciebie zamach na Azorach był wymierzony bezpośrednio we mnie...

- Powiedziałem tylko, że mógł być - przerwał mu Pace.

- Ja z kolei wcale tak nie uważam. Teraz znowu ja jestem przekonany, że coś tu śmierdzi, a ty nie. Może po prostu obaj jesteśmy przemęczeni.

- Albo ja za bardzo martwię się o tego, kto ma teraz tobą kierować. Ten Swanson jest bardzo nerwowy, bo zupełnie niespodziewanie znalazł się na nie swoim podwórku. Wątpię, czy zniósłby jeszcze jakieś dodatkowe komplikacje.

- W takim razie oszczędźmy mu ich, przynajmniej na razie. Wiedziałbym, gdyby trzeba było postąpić inaczej.

Spaulding nie spuszczał wzroku z niechlujnego mężczyzny, wyjaśniającego mu szczegóły operacji w Buenos Aires. Jeszcze nigdy nie spotkał kogoś takiego jak Walter Kendall. Ten człowiek był po prostu brudny. Woń nie mytego ciała łągodził częściowo silny zapach rumu. Jego koszula miała

ciemny, wymięty kołnierzyk, garnitur od dawna nie widział

żelazka, ale w największe zdumienie wprawił Dawida sposób, w jaki oddychał jego rozmówca: jednocześnie ustami i nosem. Hollander uprzedził go, że Eugene Lyons jest trochę

„dziwny”; jeżeli Kendall był „normalny”, to w takim razie spotkanie z uczonym zapowiadało się jako nie lada przeżycie.

Operacja w Buenos Aires sprawiała wrażenie dosyć prostej, a w każdym razie znacznie mniej skomplikowanej, niż większość zadań, które musiał realizować w Lizbonie.

Tak prostej, iż ogarnęła go fala wściekłości na myśl o tym, że po to właśnie ściągnięto go z jego dotychczasowej placówki. Gdyby ktoś zechciał przedstawić mu ten plan kilka tygodni temu, to oszczędziłby Waszyngtonowi sporo główkowania i, najprawdopodobniej, pieniędzy.

Miał do czynienia z niemieckim ruchem oporu od chwili, kiedy tworzące go, rozmaite organizacje doszły wreszcie do porozumienia, stając się poważną siłą. Jeżeli ten Erich Rhinemann mógł kupić plany i wydostać je z kompleksu Peenemünde, to on, człowiek z Lizbony, z pewnością potrafiłby wyekspediować je za granicę, i to na pewno z zachowaniem większej dyskrecji, niż było to możliwe w przypadku wykorzystywania trasy wiodącej przez Morze Północne i kanał La Manche. Tamtejsze porty znajdowały się pod ścisłym, nieustającym nadzorem; gdyby tak nie było, cała jego dotychczasowa praca nie miałaby żadnego sensu. W tej historii naprawdę godny uwagi był jedynie fakt, że Rhinemann w ogóle mógł zdobyć cokolwiek związanego z Peenemünde. To istotnie należało uznać za coś wręcz niezwykłego. Peenemünde było żelazo-betonowym, zakopanym głęboko w ziemi bunkrem o najbardziej rozbudowanym systemie zabezpieczeń, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Znacznie łatwiej byłoby wykraść stamtąd człowieka, niż choćby jeden skrawek papieru.

Co więcej, kolejne stadia prac laboratoryjnych koordynowała zaledwie garstka starannie dobranych, znakomitych uczonych, pozostających pod ciągłą obserwacją Gestapo.

Po przetłumaczeniu na język operacji w Buenos Aires, oznaczało to, że Erich Rhinemann dokonał następujących rzeczy: 1) dotarł po kolei do kilku osób odpowiedzialnych za poszczególne etapy badań i przekupił je; 2) wymanewrował lub przekupił (niemożliwe) Gestapo; 3) pozyskał do współpracy przynajmniej kilku spośród niewielu ludzi, którzy mieli dostęp do pilnie strzeżonych laboratoriów.

Doświadczenie Dawida podpowiadało mu, że dwie ostatnie ewentualności są najmniej prawdopodobne, bowiem wiązało się z nimi największe ryzyko zdemaskowania. Rhinemann z pewnością skoncentrował się na głównych figurach; było to niemal równie niebezpieczne, ale mimo wszystko łatwiejsze do wykonania.

Słuchając cały czas Kendalla Dawid postanowił jednak zachować te wnioski dla siebie. Zada mu kilka pytań, wśród nich jedno czy dwa takie, na które naprawdę chciałby uzyskać odpowiedzi, ale na razie nie będzie się starał nawiązywać niczego, co mogłoby kojarzyć się z partnerską współpracą. Z podjęciem tej decyzji nie miał żadnych kłopotów, bowiem Kendall należał do najmniej

sympatycznych ludzi, jakich w życiu spotkał.

- Czy istnieje jakaś szczególna przyczyna, dla której plany będą dostarczane stopniowo? - zapytał.
- Wyłącznie taka, że Rhinemann w taki właśnie sposób będzie je otrzymywał. Każdy musi się trzymać swego rozkładu jazdy. Według niego w ten sposób będzie dużo bezpieczniej, a cała sprawa powinna potrwać około tygodnia.
- W porządku, to brzmi dosyć sensownie... Ten Lyons będzie w stanie sprawdzić ich autentyczność?
- Jest najlepszy. Zaraz do niego przejdę, bo jest parę spraw, o których musi pan wiedzieć. Od chwili, kiedy znajdziecie się w Argentynie, będzie stanowił pańską własność.
- To brzmi dość złowieszczo.
- Będzie pan nim dysponował. Oczywiście, otrzyma pan pomoc. Najważniejsze jest to, że gdy tylko on potwierdzi autentyczność planów, pan wysyła depezę, a Rhinemann dostaje pieniądze. Dopiero wtedy, nie wcześniej.
- Nie rozumiem. Po co tak to komplikować? Dlaczego nie można mu zapłacić na miejscu, w Buenos Aires?
- Nie chce, żeby te pieniądze trafiły do argentyńskiego banku.
- To musi być spora suma.
- Zgadza się.
- Czy to nie dziwne, że on współpracuje z niemieckim podziemiem?
- Jest Żydem.
- Proszę tego nie mówić tym, którzy przeszli przez Auschwitz, bo mogą panu nie uwierzyć.
- Wojna pomaga tworzyć nowe sojusze. Nie trzeba zresztą daleko szukać, wystarczy spojrzeć na nas: współpracujemy z czerwonymi. To dokładnie ten sam mechanizm. Jeśli ma się wspólny cel, należy zapomnieć o nieporozumieniach.
- W tym przypadku to trochę perwersyjne.
- To ich problem, nie nasz.
- Nieważne... Bardzo proste pytanie. Skoro znajduję się w drodze do ambasady w Buenos Aires, to po co ten przystanek w Nowym Jorku? Czy nie byłoby prościej, gdybym z Portugalii przeniósł się od razu do Argentyny?

- Zmiany w planach nastąpiły w ostatniej chwili. Trochę to niezgrabnie wyszło, co?
- Rzeczywiście, odrobinę niezręcznie. Czy jestem na liście transferowej?
- Na czym?
- Na liście transferowej Departamentu Stanu. Jako attaché wojskowy.
- Nie wiem. Dlaczego?
- Jestem ciekaw, czy wszyscy wiedzą o tym, że wyjechałem z Lizbony. Albo prawie wszyscy. Wydaje mi się, że nie powinni.
- W takim razie, pewnie nie wiedzą. Po co to panu?
- Żebym wiedział, jak mam się zachowywać, to wszystko.

- Pomyśleliśmy sobie, że powinien pan poświęcić kilka dni na zorientowanie się w sytuacji, spotkać Lyonsa i mnie, poznać dokładny plan.
- To miłe z waszej strony. - Kendall spojrzał na niego pytająco. - Mówię zupełnie serio. Bardzo często musimy działać bez żadnego wprowadzenia, sam zresztą też nieraz postępowałem tak w stosunku do innych... W takim razie rozumiem, że mój udział w kampanii włoskiej stanowi kamuflaż wyłącznie na tu i teraz, w Nowym Jorku?
- Owszem. - Kendall, który do tej pory siedział na krawędzi biurka, wstał i podszedł do swojego krzesła.
- Do jakiego stopnia mam go wykorzystywać?
- Co?

Kendall unikał spojrzenia Dawida, siedzącego od początku rozmowy na służbowej kozetce.

- Ten kamuflaż. Dokumenty opiewają na Piątą Armię - to generał Clark - Trzydziestą Czwartą Dywizję, Sto Dwunasty Batalion i tak dalej. Mam to wszystkim rozpowiadać? Nie wiem zbyt dużo o działaniach we Włoszech, a teoretycznie zostałem ranny już po Salerno.

Może są jakieś szczegóły?

- To sprawa armii. Jeżeli o mnie chodzi, to wiem tyle, że zostanie pan tutaj jeszcze jakieś pięć do sześciu dni, po czym spotka się pan z generałem Swansonem, który wyśle pana prosto do Buenos Aires.

- W porządku, zaczekam na generała Swansona. - Dawid stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że nie ma sensu rozmawiać z Kendalllem w sposób przyjęty w G-2. Pół

profesjonalista, pół amator. Kołomyjka wahania...

- Do chwili wyjazdu może pan spędzić z Lyonsem tak dużo czasu, jak tylko uzna pan za stosowne. W jego gabinecie.

- Świetnie, chętnie go poznam. - Dawid uniósł się z miejsca.

- Proszę siadać, dziś go tu nie ma. Nikogo nie ma, prócz recepcjonisty. Dzisiaj jest sylwester. - Kendall opadł ciężko na krzesło i zapalił papierosa, którego najpierw zmiął w palcach. - Muszę panu o nim opowiedzieć.

- W porządku - skinął głową Spaulding, wracając na kozetkę.

- Lyons jest alkoholikiem. Przesiedział cztery lata w więzieniu. Prawie nie mówi, bo ma gardło spalone czystym alkoholem. Jest również najzdolniejszym sukinsynem, jaki kiedykolwiek zajmował się aerofizyką.

Spaulding przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w Kendalla; kiedy się odezwał, nawet nie usiłował ukryć zdumienia.

- Trudno to uznać za pozytywną rekomendację.

- Przecież powiedziałem, że jest bystry.

- Podobnie jak połowa czubków w Belleuve Center. Czy on w ogóle... działa? Skoro ma być moją własnością, jak pan to ujął, muszę wiedzieć, co właściwie mi wcisnęliście. I dlaczego, rzecz jasna.

- Jest najlepszy.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Pytania.

- Jest pan żołnierzem. Wykonuje pan rozkazy.

- Również je wydaję. Proszę nie zaczynać ze mną w ten sposób.

- Dobrze... Niech będzie. Przypuszczam, że może pan o tym wiedzieć.

- Ja też tak sądzę.

- Eugene Lyons napisał podręcznik z zakresu aerodynamiki i został najmłodszym profesorem w historii Massachusetts Institute of Technology. Być może zbyt młodym, bo szybko zaczął się staczać. Nieudane małżeństwo, dużo alkoholu, jeszcze więcej długów... Jak zwykle, zadecydowały długi i

zbyt wiele intelektu, za który nikt nie chciał płacić.

- O czym zdecydowały?

- Wyruszył w rejs i dostał hyzja. Kiedy ocknął się w hotelowym pokoju w Bostonie, dziewczyna, z którą był w łóżku, nie żyła. Pobił ją na śmierć. Była kurwą, więc nikt się specjalnie nie przejął, ale fakt pozostał faktem. Zakwalifikowali to jako nieumyślne morderstwo, a MIT znalazł mu dobrego obrońcę. Odsiedział cztery lata, wyszedł na wolność, ale już nikt nie chciał nawet z nim rozmawiać. To było w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym. W końcu zrezygnował i stoczył się do rynsztoka.

- Kendall uśmiechnął się. -
Całkiem dosłownie.

Dawida zaniepokoił uśmiech jego rozmówcy, nie mógł bowiem dopatrzeć się w tej opowieści niczego wesołego.

- Wygląda na to, że jednak tam nie pozostał. - Było to jedyne, co przychodziło mu na myśl.

- Został, i to przez całe trzy lata. Spalił sobie gardło nie gdzie indziej jak tu, na Houston Street.

- To bardzo przykre.

- Najlepsze, co mogło mu się przytrafić. W szpitalu zainteresowali się jego historią, wzięli na ubezpieczalnię, odkurowali, a z chwilą rozpoczęcia wojny zagonili do roboty.

- Więc teraz jest w porządku - bardziej stwierdził, niż zapytał Dawid. I znowu nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Z tego nie da się wyjść w ciągu paru tygodni ani paru lat. Miewa ataki, od czasu do czasu odczuwa głód alkoholowy. Ponieważ pracuje nad ściśle tajnymi projektami, ma swoich stałych, osobistych strażników. Na przykład tu, w Nowym Jorku, mieszka w izolatce w szpitalu Świętego Łukasza. Wożą go w tę i z powrotem jak jakiegoś pijaczka z wyższych sfer... W Kalifornii Lockheed umieścił go w eleganckim domku z ogrodem i zapewnił

całodobową opiekę dwóch pielęgniarzy. Można powiedzieć, że w sumie nie najgorzej wylądował.

- Musiał być bardzo cenny. Tyle zachodu...

- Już panu powiedziałem - przerwał mu Kendall. - Jest najlepszy. Tyle tylko, że trzeba cały czas mieć go na oku.

- Co by się stało, gdyby się wymknął? Znałem paru alkoholików i wiem, że czasem potrafią w genialny sposób zmylić czujność wszystkich „opiekunów”.

- To żaden problem. Kiedy chce, i tak może zdobyć dostęp do alkoholu, bo on naprawdę jest

geniuszem, ale z całą pewnością nigdy nie będzie chciał uciec, bo wtedy byłby narażony na spotkania z ludźmi.

- Chyba nie bardzo rozumiem.

- On właściwie nie mówi. Jedyne, co może z siebie wydobyć, to ochryply szept.

Proszę pamiętać, że ma całkowicie spalone gardło... Stroni od ludzi, a my nie mamy nic przeciwko temu. Kiedy nie pije, a nie pije prawie w ogóle, pracuje i czyta. Potrafi całymi dniami siedzieć w laboratorium, trzeźwy jak świnia, i nawet nie wychylić nosa na zewnątrz.

- Jak się porozumiewa?

- Kartka papieru i ołówek, szept, gestykulacja. Jednak głównie na piśmie. Jego język to liczby, wykresy i równania.

- I nic poza tym?

- Raczej nie. Jeśli szykował się pan na dłuższą konwersację, to radzę o tym zapomnieć. On już od ponad dziesięciu lat z nikim nie rozmawiał.

31 grudnia 1943, Nowy Jork

Spaulding szedł szybkim krokiem wzdłuż Madison Avenue w kierunku północno-wschodniego narożnika domu towarowego Altmana. Prószył drobny śnieg; dwie czy trzy osoby usiłowały zatrzymać taksówkę, ale wszyscy kierowcy jechali prosto pod wejście do supermarketu, gdzie mogli liczyć na lepszych klientów. Ludzie, którzy robią zakupy u Altmana po południu w ostatni dzień roku, muszą mieć bardzo wypchane portfele, więc po co tracić benzynę na tych z cieńszymi?

Dawid zorientował się w pewnej chwili, że idzie bardzo szybko, chociaż właściwie nie ma ku temu powodu. Nie śpieszył się na żadne spotkanie, tylko po prostu starał się jak najprędzej uciec od Waltera Kendalla.

Kendall zakończył spotkanie stwierdzeniem, że Lyonsowi w podróży do Buenos Aires będą towarzyszyli jego dwaj „goryle”. Pod żadnym pozorem nie wolno mu dobrać się do alkoholu; zresztą, pielęgniarki na wszelki wypadek będą przy sobie zawsze mieli „końskie pastylki”. Eugene Lyons musi skoncentrować się wyłącznie na pracy; zresztą, dlaczego by nie? Przecież nie miał żadnych innych zajęć.

Dawid wykręcił się od wspólnego lunchu mówiąc, że musi jeszcze odwiedzić znajomych. W końcu, nie było go przecież ponad trzy lata... Zjawi się w biurze drugiego stycznia.

W rzeczywistości chciał jak najprędzej uciec od tego człowieka. Istniała także inna przyczyna: Leslie Jenner Hawkwood.

Nie miał pojęcia, od czego powinien zacząć, ale na pewno powinien zacząć, i to szybko. Na rozwiązanie nieprawdopodobnej historii, która wydarzyła się dwie doby temu, miał zaledwie tydzień. Z całą pewnością wiedział tylko tyle, że gdzieś na samym jej początku znajduje się fiszka z nazwiskiem „Bonner”.

Może potrafi mu pomóc Aaron Mandel?

Wyjąwszy z kieszeni banknot dolarowy zbliżył się do portiera stojącego przed drzwiami domu towarowego; taksówka znalazła się w ciągu niespełna minuty.

Podróż do centrum przebiegała przy akompaniamencie nieprzerwanej gadaniny taksówkarza, który wydawał się mieć swoje zdanie na każdy możliwy temat. Dawid poczuł

ogarniające go rozdrażnienie; chciał przez chwilę spokojnie pomyśleć, ale w takich warunkach było to niemożliwe. Nagle irytacja przerodziła się w uczucie wdzięczności.

- Myślałem, że pojeżdżę wieczorem, bo jak ludzie śpieszą się na bale i przyjęcia, to dają większe

napiwki, ale żona powiedziała nie, masz być w domu, wypijemy po kieliszku wina i pomodlimy się, żeby naszemu dziecku nic się nie stało w przyszłym roku - paplał

kierowca. - Potem, jakby co, musiałbym wysłuchiwać, że to niby przeze mnie. A co ma mu się stać, do diabła? Pracuje w kancelarii w Fort Dix.

Dawid zapomniał o czymś oczywistym, a raczej nie tyle zapomniał, co po prostu nie przyszło mu to na myśl, bo po trzech latach była to dla niego zupełna nowość. Znajdował się w Nowym Jorku, w sylwestra, a sylwester w Nowym Jorku oznaczał całą masę przyjęć, balów dobroczynnych i innych uroczystości organizowanych z myślą o ofiarach wojny w niezliczonych restauracjach, kawiarniach i salonach.

Pani Bonner z całą pewnością będzie brała udział w jednej z nich. Od śmierci jej męża minęły cztery miesiące - wystarczająco długa żałoba, jeśli weźmie się pod uwagę czas i okoliczności. Przyjaciółki (kobiety takie jak Leslie Jenner, choć z pewnością nie ona) dadzą jej to jasno do zrozumienia. Tak właśnie żyło się na Manhattanie; całkiem rozsądnie, jeśli się nad tym bliżej zastanowić.

Ustalenie, dokąd dokładnie się wybiera, nie powinno nastęrczać zbyt wielkich trudności, a kiedy znajdzie ją, to znajdzie i pozostałych... Tak, od tego właśnie należało zacząć.

Zapłacił taksówkarzowi, nie zapominając o napiwku, i szybkim krokiem wszedł do hotelu Montgomery.

- Panie Spaulding! - głos starego recepcjonisty odbił się echem w wyłożonym marmurem wnętrzu. - Jest dla pana wiadomość.

- Dziękuję. - Rozłożył kartkę papieru.

- Dzwonił pan Fairfax z prośbą, żeby skontaktował się pan z nim natychmiast.

Ed Pace miał dla niego jakąś informację.

Nić, którą zostawił przy drzwiach, była nietknięta. Wszedł do pokoju i skierował się prosto do telefonu.

- Mamy coś o tej Hawkwood - powiedział Pace. - Pomyślałem sobie, że może cię to zainteresuje.

- Co to jest? - Boże, dlaczego Pace każdą rozmowę zaczyna właśnie w taki sposób?

Czy spodziewał się, że Dawid powie „Nie, nie interesuje mnie to” i odłoży słuchawkę?

- Obawiam się, że to potwierdza moje przypuszczenia; zdaje się, że twój przeciążony system ostrzegawczy wszczął fałszywy alarm.

- Ed, daję ci słowo, że przypnę ci ten medal, natychmiast, jak tylko będę mógł, ale teraz powiedz mi wreszcie, o co chodzi.

- To bardzo pracowita dziewczyna. Ma rozległe kontakty erotyczne w całym rejonie Los Angeles. Dziwka wyższej kategorii, jeżeli oczywiście nie sprawia ci to przykrości.

- Nie, nie sprawia. Skąd o tym wiadomo?

- Przede wszystkim od kilku oficerów, zarówno z marynarki, jak lotnictwa, a poza tym od aktorów, kamerzystów, ludzi z obsługi studiów filmowych i w ogóle związanych z filmem, a także z przemysłem; głównie Lockheed i Sperry Rand. Nie jest najbardziej lubianym gościem w Yacht-klubie w Santa Monica.

- Czy może mieć jakiś związek z G-2?

- To pierwsze, co sprawdziliśmy, ale odpowiedź brzmi nie. Nie stwierdziliśmy, żeby w jej łóżku bywali ludzie mający dostęp do tajnych informacji. Obecnie rzeczywiście przebywa w Nowym Jorku. Według naszych ustaleń przyjechała w odwiedziny do swoich rodziców.

- Nikt z Jennerów, którzy są w książce telefonicznej, nigdy o niej nie słyszał.

- Również w Bernardsville w New Jersey?

- Nie - odparł ze znużeniem Dawid. - Na Manhattanie. Wydawało mi się, że powiedziałaś Nowy Jork.

- Więc spróbuj w Bernardsville, jeśli chcesz ją znaleźć. Tylko postaraj się nikogo nie likwidować. To nie Kraj Basków.

- Rzeczywiście, nie. Ale na pewno dobry teren do polowania.

- Jak to?

- Przyjemna okolica, dużo koni, co chwila okazja do strzemienego... Dzięki, Ed.

Oszczędziłeś mi mnóstwo roboty.

- Nie ma o czym mówić. Miło nam, że Centrum Wywiadu Aliantów mogło pomóc ci w wyjaśnieniu zawilości twego życia erotycznego. Staramy się zawsze służyć naszym pracownikom.

- Na pewno się u was znowu zatrudnię. Jeszcze raz dzięki.

- Dawe...

- Tak?

- Nie powinienem nic wiedzieć o robocie, którą ci zleca Swanson, więc nie pytam o szczegóły, ale tak ogólnie, co o tym myślisz?

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, dlaczego masz nic o tym nie wiedzieć... To zwykła transakcja

między dwoma cholernymi dziwakami. Ten, z którym dzisiaj rozmawiałem, ma na tym wyjść lepiej od tamtego. Wydaje mi się, że za bardzo wszystko skomplikowali, ale to dlatego, że nie mają doświadczenia. W każdym razie, my na pewno załatwilibyśmy to lepiej.

- Widziałeś się już ze Swansonem?

- Jeszcze nie. Powiedziano mi, że po Nowym Roku. Przecież nie możemy przerywać generałowi jego ferii, prawda? Szkoła zaczyna się dopiero na początku stycznia.

Pace roześmiał się z drugiego końca linii telefonicznej.

- W takim razie, szczęśliwego Nowego Roku, Dawe.

- Nawzajem, Ed. I jeszcze raz dziękuję.

Spaulding odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek: piętnaście po pierwszej. Chyba uda mu się zdobyć gdzieś jakiś wojskowy samochód lub pożyczyć od Mandla. O ile dobrze sobie przypominał, Bernardsville leży na zachód od Nowego Jorku, mniej więcej godzinę jazdy od miasta. Byłoby dobrze, gdyby udało mu się zaskoczyć Leslie, nie dając jej szansy na ucieczkę. Jednak z drugiej strony należało liczyć się z tym, że dziewczyna będzie w Nowym Jorku, na jednym z przyjęć, o których wcześniej myślał, w jakimś mieszkaniu, salonie albo hotelowym pokoju, takim jak ten.

Niespodziewanie przyszło mu na myśl, czy przypadkiem Pace nie ma racji. Czyżby szukał Leslie z przyczyn nie mających nic wspólnego z jego podejrzeniami? Całkiem możliwe, ale nawet dwu lub trzygodzinna jazda do New Jersey i z powrotem nie zbliży go do wyjaśnienia tej zagadki ani z punktu widzenia freudyzmu, ani Wydziału Operacyjnego w Fairfax. Zwłaszcza jeśli jej tam nie zastanie.

Poprosił centralę o podanie numeru domu Jennerów w Bernardsville, New Jersey. Nie, nie chce rozmawiać; chodzi mu wyłącznie o numer. I adres. Potem zadzwonił do Aarona Mandla.

Odkładał tę chwilę tak długo, jak tylko mógł. Aaron z całą pewnością zaleje go łzami, pytaniami i propozycjami dotyczącymi wszystkiego, co tylko istniało pod manhattańskim słońcem, a także księżycem. Wiedział od Pace'a, że ten przed czterema laty rozmawiał ze starym menedżerem, zanim zdecydował się wysłać Dawida do Lizbony; oznaczało to, że przynajmniej uda mu się uniknąć dyskusji na temat jego pracy.

Poza tym, pomoc Aarona mogła okazać się dla niego bardzo cenna, starzec bowiem znał w Nowym Jorku chyba wszystkich, których znać należało. Dawid będzie wiedział coś więcej po wizycie w Bernardsville; tę grzecznościową rozmowę należało przeprowadzić teraz, zanim zwróci się do Mandla z jakąś konkretną prośbą.

W pierwszej chwili Spaulding przestraszył się, że staruszek dostanie zawału. Głos Aarona odmówił mu posłuszeństwa, zdradzając jego zdumienie, radość i uczucia, jakie żywił

do syna swoich byłych klientów. Potem posypały się pytania znacznie szybciej, niż Dawid był

w stanie na nie odpowiadać, dotyczące matki, ojca, wreszcie jego samego.

Nie pytał o pracę, ale i nie satysfakcjonowały go zapewnienia, że Dawid czuje się tak dobrze, jak nigdy dotąd. Kategoriecznie zażądał spotkania, jeśli nie dziś, to koniecznie jutro.

Dawid zgodził się na późne przedpołudnie. Pójdą gdzieś na drinka, może na lekki lunch i wspólnie powitają Nowy Rok.

- Chwała Bogu, że nic ci nie jest. Na pewno przyjdiesz?

- Obiecuję.

- Jak do tej pory, nigdy nie złamałeś danego mi słowa.

- I nie złamię. Aaron...

- Tak?

- Możliwe, że będę musiał dzisiaj kogoś znaleźć. Nie wiem dokładnie, gdzie powinienem szukać, ale wydaje mi się, że raczej wśród wyższych sfer. Jak tam twoje kontakty w tych rejonach?

Starzec zachichotał z tą samą jak zwykle odrobiną arogancji, która Dawidowi tak dobrze wryła się w pamięć.

- Jestem jedynym Żydem, który ma własną ławkę w katedrze Świętego Jana. Teraz wszyscy potrzebują artystów - im taniej, tym lepiej, rzecz jasna. Czerwony Krzyż, zielony krzyż, w kropki, w paski, na opatrunki, na sierotki, co tylko chcesz, a wszystko załatwia nie kto inny, tylko stary Mandel. Na dzisiaj zorganizowałem trzy koloratury, dwóch pianistów i pięciu barytonów. Wszyscy występują na rzecz „naszych chłopców” i wszyscy w najwyższych sferach, jakie tylko możesz sobie wymarzyć - Upper East Side.

- Niewykluczone, że zadzwonię do ciebie. Będziesz w biurze?

- A gdzie indziej? Czy słyszałeś o czymś takim jak wakacje dla żołnierzy i impresariów?

- Nic się nie zmieniło.

- Najważniejsze, że jesteś cały i zdrowy...

Telefon zadzwonił natychmiast, jak tylko Dawid odłożył słuchawkę.

- Mam numer i adres w Bernardsville, o który pan prosił, panie Spaulding.

- Tak, już zapisuję.

Koło aparatu zawsze leżał otwarty notatnik.

- Czy mam pana połączyć?

Dawid zawahał się przez chwilę.

- Tak, proszę - zdecydował wreszcie. - Nie będę się rozłączał. Proszę zapytać o panią Hawkwood.

- Pani Hawkwood. Tak jest, sir. Mogę do pana zadzwonić, kiedy ta osoba podejdzie.

- Wolę być na podsłuchu... Trochę za późno ugryzł się w język, ale telefonistka najwidoczniej miała doświadczenie w takich sprawach.

- Oczywiście, proszę pana - powiedziała, zniżając wyraźnie głos. - Domyślam się, że jeśli podejdzie ktoś inny, a nie pani Hawkwood, zechce pan przerwać połączenie?

- Dam pani znać.

Wciągnięta do spisku o jednoznacznie erotycznym charakterze telefonistka spełniła swoją rolę z profesjonalną doskonałością. Połączyła się z centralą międzymiastową, a w chwilę potem w słuchawce rozległ się sygnał aparatu w Bernardsville, New Jersey. Odebrała kobieta, ale nie była to Leslie.

- Czy mogę prosić panią Hawkwood?

- Pani... - Kobieta wyraźnie się zawahała.

- Pani Hawkwood. To rozmowa międzymiastowa - dodała telefonistka, jakby rzeczywiście pracowała w centrali międzymiastowej.

- Nie ma jej tutaj.

- Czy może mi pani powiedzieć, o której można się jej spodziewać?

- O której? Mój Boże, wcale się jej nie spodziewam... To znaczy, nie wiedziałam, że ona...

Telefonistka nie dawała zbić się z tropu.

- Czy w takim razie może pani podać numer telefonu, pod którym można zastać panią Hawkwood?

No... - W głosie kobiety coraz wyraźniej było słychać nutę zdziwienia. -

Przypuszczam, że w Kalifornii...

Dawid zorientował się, że pora interweniować.

- Będę rozmawiał z tą osobą - powiedział do słuchawki.

- Bardzo proszę, sir. - Rozległo się krótkie chrupnięcie i telefonistka wyłączyła się z rozmowy.

- Pani Jenner?

- Tak, słucham - odpowiedziała z ulgą kobieta z Bernardsville.

- Nazywam się Dawid Spaulding. Jestem przyjacielem Leslie i... - Jezu! Zapomniał, jak ma na imię jej mąż. - ...kapitana Hawkwooda. Podano mi ten numer i...

- Dawid? Dawid Spaulding? Jak się masz! Tu Madge Jenner, ty głuptasie! Mój Boże, to już chyba osiem... nie, co najmniej dziesięć lat! Co słychać u twoich rodziców? Słyszałam, że mieszkają w Londynie. Nie wiedziałam, że są tacy odważni?

Niech to lichy, pomyślał Spaulding. W życiu by się nie spodziewał, że matka Leslie będzie pamiętać dwa letnie miesiące sprzed niemal dziesięciu lat.

- Eee... pani Jenner... Rodzice mają się dobrze, dziękuję. Przepraszam, że panią niepokoję, ale...

- Nawet nie ma o czym mówić, chłopcze. Jesteśmy już tylko parą starych, stajennych parobków. James sprzedał prawie połowę ziemi; teraz nikt już nie chce trzymać koni...

Myślałeś, że zastaniesz tutaj Leslie?

- Tak, rzeczywiście.

- Przykro mi, że ci się nie udało. Szczerze mówiąc, sami niezbyt często ją widzimy, bo przeprowadziła się do Kalifornii.

- Słyszałem, że swoją ciotką.

- Pół ciotką, mój drogi; to moja przyrodnia siostra, z którą nigdy nie potrafiłam się dogadać. Wyszła za jakiegoś Żyda o nazwisku Goldsmith. Brzmi prawie tak samo, jak Goldberg albo Goldstein, prawda? Jesteśmy przekonani, że działa na czarnym rynku i ma różne inne kontakty... Wiesz, co mam na myśli?

- Proszę? A, tak, oczywiście... Więc Leslie nie przyjechała na święta?

- Skądże znowu! Ledwie zdążyła przesłać nam kartkę.

Dawid przez chwilę odczuwał pokusę, żeby zadzwonić do Fairfax i poinformować Pace'a, że kalifornijski wydział G-2 raczej się nie popisał, ale doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. Leslie Jenner Hawkwood ponad wszelką wątpliwość była w Nowym Jorku.

Pozostało tylko ustalić, po co?

Połączył się z Mandlem i podał mu dwa nazwiska: Leslie Hawkwood i Cindy Tottle Bonner, wdowa po Paulu, bohaterze. Nie powiedział tego wprost, ale dał mu delikatnie do zrozumienia, że podłożem jego zainteresowania tymi osobami mogą być przyczyny natury bardziej zawodowej, niż osobistej. Mandel nie zadawał żadnych pytań, tylko od razu wziął się do pracy.

Spauldingowi dopiero teraz przyszło do głowy, że mógłby po prostu zatelefonować do Cindy Bonner i poprosić ją o spotkanie, ale natychmiast uświadomił sobie, że nie może ryzykować odmowy, która wobec jego niedawnego, co najmniej niezręcznego zachowania była więcej niż prawdopodobna. Nie, to nie jest dobry pomysł. Musi spotkać się z nią osobiście i zaufać bezpośredniemu kontaktowi.

Co prawda nawet wtedy może się okazać, że nie jest w stanie mu nic powiedzieć, ale zawsze istniała szansa, że uda mu się wywnioskować coś, choćby z jej zachowania.

Minęło dwadzieścia minut. Za piętnaście trzecia rozległ się dzwonek telefonu.

- Dawid? Tu Aaron. O tej Hawkwood nie udało mi się dowiedzieć absolutnie nic.

Wszyscy twierdzą, że przeniosła się do Kalifornii i od tego czasu nie dała znaku życia. Pani Bonner: prywatne przyjęcie na 66 Ulicy, numer 212, niejaki Warfield.

- Dziękuję. Spróbuję się tam wdrzeć przy użyciu moich najlepszych manier.

- Nie trzeba, bo masz zaproszenie, osobiście od pani domu. Ma na imię Andrea i będzie zachwycona mogąc gościć żołnierza, syna słynnych i tak dalej, i tak dalej. Potrzebny jej również sopran na koniec lutego, ale to już moje zmartwienie.

31 grudnia 1943, Nowy Jork

Miał wrażenie, że goście, których widział podczas kolacji w Gallery, przenieśli się w komplecie do tej kamienicy przy 66 Ulicy. Dawid łatwo dopasował się do nich. Mały, złoty znaczek w klapie marynarki spełnił swoją rolę; dzięki niemu szybciej został zaakceptowany i sam stał się bardziej osiągalny. Napoje i bufet były znakomite, a niewielki, murzyński zespół

jazzowy co najmniej dobry.

Wkrótce dostrzegł w kącie Cindy Bonner, czekającą na powrót partnera, znajdującego się chwilowo przy barze, w osobie porucznika piechoty. Była drobna, szczupła, miała lekko rudawe włosy i bardzo jasną, niemal błądą cerę. W skromnej, ale niewątpliwie bardzo drogiej sukni wyglądała tak, jakby została przeniesiona prosto z okładki *Vogue*. Sprawiała wrażenie osoby odrobinę melancholijnej, ale raczej nie smutnej, a już na pewno nie było w niej nic z heroizmu żony bohatera. Zwykła, bogata dziewczyna.

- Mam nadzieję, że przyjmie pani moje szczere i serdeczne przeprosiny.

- Nie wiem, czego miałyby dotyczyć. Chyba jeszcze się nie spotkaliśmy.

Uśmiechnęła się, ale nie do końca, jakby jego słowa poruszyły nitkę prowadzącą do wspomnienia, którego na razie nie mogła jeszcze zidentyfikować. Spaulding wiedział, co to było: jego głos. Głos, który przysporzył mu kiedyś wcale niemałych pieniędzy.

- Nazywam się Spaulding. Dawid Spaulding...

- To pan do mnie dzwonił! - W jej oczach pojawił się gniew. - Prezenty dla Paula i Leslie...

- Właśnie za to chciałem panią przeprosić. To było okropne nieporozumienie. Proszę mi wybaczyć; to nie jest żart, na który bym się świadomie poważył. Może mi pani wierzyć, że byłem równie zdenerwowany, jak pani.

Mówił cicho, spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. Wystarczyło. Zatrzepotała powiekami i uspokoiła się. Zerknęła przelotnie na widniejącego na klapie jego marynarki orła -

miniaturkę, która mogła oznaczać dokładnie cokolwiek.

- Wydaje mi się, że panu wierzę.

- Powinna pani. To było coś wstrętnego, a ja nie jestem wstrętny.

Zjawił się porucznik z dwiema szklankami, był podпиты i wyraźnie wrogo nastawiony.

Cindy przedstawiła ich sobie, ale on ledwie raczył zwrócić uwagę na cywila stojącego przed nim. Chciał tańczyć, Cindy nie bardzo. Wszystko wskazywało na to, że korzystna atmosfera, którą Dawidowi udało się tak szybko stworzyć, za chwilę będzie należała do przeszłości.

- Służyłem z mężem pani Bonner - odezwał się Spaulding z nutą melancholii w głosie.

- Chciałbym porozmawiać z nią przez kilka minut. Będę musiał niedługo wyjść, bo umówiłem się z żoną na mieście.

Tych kilka faktów, z których każdy stanowił jednocześnie częściową gwarancję, zdumiało i zarazem uspokoiło podpitego porucznika. Odwołano się do jego dobrych manier; ukłonił się z pijacką galanterią i wyruszył w drogę powrotną do baru.

- Ładnie pan to załatwił - powiedziała Cindy. - Szczerze mówiąc nie zdziwiłabym się, gdyby rzeczywiście istniała jakaś pani Spaulding. Powiedział mi pan, że był na kolacji z Leslie, a to do niej bardzo podobne.

Dawid spojrział na nią uważnie. Zaufaj instynktowi, pomyślał.

- Nie ma żadnej pani Spaulding - odparł - ale tamtego wieczoru istotnie była pani Hawkwood. Zdaje się, że pani jej zbytnio nie lubi.

- Ona i mój mąż mieli się, jak to się mówi, „ku sobie”, i to nawet przez dosyć długi okres. Niektórzy twierdzą, że to ja zmusiłam ją do przenosin do Kalifornii.

- W takim razie muszę zadać pani oczywiste pytanie: dlaczego, zważywszy na okoliczności, posłużyła się właśnie pani nazwiskiem, po czym natychmiast zniknęła? Przecież z pewnością wiedziała o tym, że będę próbował panią odnaleźć.

- Zdaje się, że użył pan niedawno określenia „wstrętne”. Otóż ona właśnie taka jest.

- Albo usiłowała mi przez to coś powiedzieć.

Dawid opuścił przyjęcie przed nadejściem Nowego Roku. Dotarłszy do rogu Lexington Avenue skręcił na południe. Nie pozostawało mu nic innego jak tylko iść przed siebie i starać się ułożyć w sensowną całość to wszystko, czego się dowiedział.

Na razie nic mu z tego nie wychodziło. Cindy Bonner była przepelniona goryczą, śmierć męża bowiem na polu bitwy pozbawiła ją szansy odegrania się na Leslie. Twierdziła, że chce po prostu o wszystkim zapomnieć, ale rana była zbyt duża. Leslie i Paul nie tylko mieli się, jak to określiła, „ku sobie”, ale ich związek osiągnął takie stadium, że Bonnerowie zgodnie wystąpili o rozwód. Kiedy jednak doszło do konfrontacji między dwiema kobietami, okazało się, że sprawa nie jest wcale taka prosta, Leslie Jenner Hawkwood bowiem nie miała najmniejszego zamiaru rozstać się ze swoim mężem.

Typowa dla wyższych sfer, cuchnąca zgnilizną sprawa; to co Ed Pace nazwał

„łózkami do wynajęcia”.

W takim razie dlaczego Leslie posłużyła się nazwiskiem Cindy? Nosiło to nie tylko znamiona prowokacji i braku dobrego smaku, ale było także całkowicie pozbawione sensu.

Północ zastała go na 52 Ulicy; rozległo się kilka klaksonów, z oddali dobiegło bicie dzwonów i świergot gwizdków, a z pobliskich restauracji i barów przeraźliwy terkot grzechotek i kakofonia okrzyków. Na skraju chodnika kiwali się trzej marynarze w wybrudzonych mundurach, ku rozbawieniu przechodniów śpiewając wniebogłosy, każdy na swoją nutę. Dawid skręcił na zachód, w kierunku kawiarenek usytuowanych między Madison Avenue i Piątą. Za jakieś dziesięć minut, kiedy już nieco opadnie powszechne uniesienie, wstąpi na chwilę do jednej z nich.

- Szczęśliwego Nowego Roku, pułkowniku Spaulding.

Głos był ostry i rozległ się z wypełnionej głębokim cieniem bramy.

- Proszę?

Dawid zatrzymał się i spojrzał dokładniej; kilka kroków od niego stał nieruchomo wysoki mężczyzna w cienkim, szarym płaszczu. Rondo zsuniętego na czoło kapelusza zasłaniało całkowicie jego twarz.

- Co pan powiedział?

- Życzyłem panu szczęśliwego Nowego Roku - odparł mężczyzna. - Jak pan się z pewnością domyśla, szedłem cały czas za panem. Wyprzedziłem pana przed chwilą.

Mężczyzna mówił z dość wyraźnym akcentem, którego Spaulding nie mógł jednak zupełnie umiejscowić. Staranny brytyjski angielski, wyuczony najprawdopodobniej gdzieś w Europie Środkowej, być może na Bałkanach.

- Chyba nie muszę mówić, że to co najmniej niezwykle, jeśli nie... niepokojące -

powiedział Dawid nie ruszając się z miejsca. Nie miał przy sobie żadnej broni i zastanawiał

się, czy podobnie ma się rzecz z ukrytym w bramie mężczyzną. - Czego pan chce?

- Przede wszystkim, powitać pana w domu po długiej nieobecności.

- Dziękuję. W takim razie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

- Mam! Proszę się nie ruszać, panie pułkowniku! Proszę zachowywać się tak, jakby rozmawiał pan ze starym przyjacielem. Nie radzę niczego próbować, trzymam w dłoni rewolwer wymierzony prosto w pańską pierś.

Kilku przechodniów wyminęło Dawida od strony jezdni, a z odległych o dziesięć jardów drzwi wyszła jakaś para. Najwyraźniej bardzo się śpieszyli, przeszli bowiem prędko między Spauldingiem

a nieznaną mężczyzną. Dawid odczuł wielką pokusę, żeby skorzystać z ich osłony, ale powstrzymał się z dwóch powodów: po pierwsze, naraziłby ich na poważne niebezpieczeństwo, a po drugie, człowiek z rewolwerem miał mu coś do powiedzenia. Gdyby chciał go zabić, już by to uczynił.

- W porządku. O co chodzi?

- Proszę zrobić dwa kroki do przodu. Tylko dwa, nie więcej. Dawid zrobił, co mu kazano. Teraz widział twarz nieco lepiej, choć wciąż niezbyt wyraźnie: była szczupła i pociągła, o głęboko osadzonych, zmęczonych oczach. Dostrzegł także błyszczącą w ciemności lufę rewolweru. Mężczyzna zerkał co chwilę nad ramieniem Spauldinga, najwyraźniej na kogoś czekając.

- Proszę bardzo. Teraz nikt między nas nie wejdzie. Czekają pan na kogoś?

- Mówiono mi, że człowiek z Lizbony jest nadzwyczaj opanowany i to się potwierdza.

Tak, czekam. Niebawem po mnie przyjadą.

- Mam jechać z panem?

- To nie jest konieczne. Miałem tylko przekazać panu wiadomość... o wypadku na lotnisku Lajes. Z przykrością muszę stwierdzić, że było to działanie niecierpliwych zapaleńców, ale proszę uznać to za ostrzeżenie. Z pewnością zarówno pan, jak i Fairfax zdajecie sobie sprawę z tego, że nie zawsze uda nam się powstrzymać słuszny gniew. Fairfax przekona się o tym jeszcze przed końcem pierwszego dnia Nowego Roku. Może nawet już wiedzą... Jest mój samochód. Proszę przesunąć się w lewo... - Dawid zrobił to, a mężczyzna wysunął się z bramy, chowając rewolwer pod połą płaszcza. - Niech pan pamięta, pułkowniku, nie może być żadnych negocjacji z Franzem Altmüllerem! Nigdy!

- Chwileczkę, niech pan zaczeka! Nie wiem, o czym pan mówi. Nie znam żadnego Altmüllera!

- Proszę zapamiętać lekcję Fairfax!

Przy krawężniku zatrzymał się ciemnobrązowy sedan z oślepiającymi reflektorami.

Otworzyły się tylne drzwi, mężczyzna podbiegł, omijając idących chodnikiem ludzi, wskoczył do środka, zatraskując za sobą drzwi, i samochód ruszył raptownie z miejsca.

Dawid podbiegł do skraju; jedyne, co mógł uczynić, to zapamiętać numer rejestracyjny. Spotkał go jednak zawód, przy tylnym zderzaku bowiem nie było tablicy.

Dostrzegł jednak twarz, która spojrzała na niego przez owalną tylną szybę i widok ten sprawił, że przez chwilę zapomniał wypuścić nabrane w płuca powietrze. Przemknęła mu nawet krótka niczym mgnienie oka myśl, czy przypadkiem jego wyobraźnia nie płata mu figli, łącząc z teraźniejszością wspomnienia wywiezione z Lizbony.

Otrząsnąwszy się z szoku zaczął biec za samochodem, wymijając trąbiące na niego pojazdy i tych przeklętych, noworocznych wesołków.

Brązowy sedan skręcił w Madison Avenue i przyśpieszył, zostawiając go zadyszanego na środku ulicy.

Twarz za tylną szybą należała do człowieka, z którym współpracował w czasie supertajnych operacji, realizowanych na terenie Portugalii i Hiszpanii.

Była to twarz Marshalla, głównego szyfranta z Lizbony.

Taksówkarz zgodził się sprostać naleganiu Spauldinga, który zażądał dostarczenia go do hotelu Montgomery w ciągu najwyżej pięciu minut. Ostatecznie zajęło to siedem, ale zważywszy na ruch panujący na Piątej Alei, Dawid dał kierowcy pięć dolarów i czym prędzej pogonił do recepcji.

Nie było żadnych wiadomości.

Tym razem przed wyjściem świadomie nie umieścił nitki w drzwiach. Co więcej, gdyby mógł w jakiś sposób zaprosić jeszcze raz tych, którzy dwie noce temu przeszukali jego pokój, z pewnością by to uczynił, podczas bowiem powtórnych odwiedzin mogli już nie być tak ostrożni i pozostawić jakiś ślad.

Zrzucił płaszcz i skierował się prosto do szafki, w której miał butelkę whisky. Na srebrnej tacy stały dwie czyste szklanki. Nalał do jednej złocistego płynu.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedział głośno i wyraźnie, po czym uniósł szklankę do ust.

Następnie podniósł słuchawkę i podał telefonistce numer Fairfax. Okazało się, że będzie musiał chwilę poczekać, wszystkie bowiem linie do Waszyngtonu były zajęte.

Na Boga, co ten człowiek miał na myśli? „Proszę zapamiętać lekcję Fairfax”. Co to miało znaczyć, do stu diabłów? Kim jest ten Altmüller... Jak on ma na imię? Franz. Franz Altmüller.

Kto to jest?

Więc jednak „wypadek” na lotnisku Lajes był skierowany przeciwko niemu. Dlaczego?

A w dodatku twarz Marshalla w oknie samochodu; nie miał żadnych wątpliwości, to na pewno był on!

- Tu Dowództwo Wydziału Operacyjnego - rozległ się w słuchawce bezosobowy głos.

- Proszę z pułkownikiem Edmundem Pace'em.

Chwila ciszy, a potem znane mu doskonale pstryknięcie włączanego podsłuchu połączonego z magnetofonem.

- Kto mówi?

Tym razem on się zawahał. Może podsłuch działał podczas wszystkich rozmów, bo przecież Fairfax było... no, po prostu Fairfax.

- Podpułkownik Dawid Spaulding.

- Czy mam przekazać pułkownikowi jakąś wiadomość, sir? W tej chwili jest zajęty.

- Nie. Proszę połączyć mnie z samym pułkownikiem.

- Przykro mi, sir. Wahanie z tamtej strony zamieniło się w niepewność. - Czy mógłby pan podać swój numer telefonu...

- Słuchaj żołnierzu, nazywam się Spaulding, kategoria preferencji cztery-zero, a to jest właśnie rozmowa cztery-zero. Jeśli to nic dla ciebie nie znaczy, to zapytaj tego sukinsyna, który siedzi na podsłuchu. To pilne, rozumiesz? Połącz mnie natychmiast z pułkownikiem Pace'em!

Odpowiedziało mu kolejne pstryknięcie, tym razem znacznie wyraźniejsze, a następnie inny, niski i twardy głos:

- Mówi pułkownik Barden. Ja też mam cztery-zero i w tej chwili to ja decyduję, czy ktokolwiek inny na to zasługuje. Nie mam ochoty wysłuchiwać pieprzenia o preferencjach.

Czego pan chce?

- Podoba mi się pańska bezpośredniość, pułkowniku - odparł Spaulding, uśmiechając się mimo woli.

- Proszę połączyć mnie z Edem. Mam do niego naprawdę ważną sprawę, dotyczącą Fairfax.

- Nie mogę pana połączyć. Wcale nie staram się być zabawny. Ed Pace nie żyje.

Godzinę temu ktoś przestrzelił mu głowę. Jakiś skurwysyn zabił go tu, na terenie Dowództwa.

1 stycznia 1944, Fairfax, Wirginia

Była czwarta trzydzieści rano, kiedy wojskowy samochód wiozący Spauldinga zatrzymał się przed bramą Fairfax.

Strażnicy zostali uprzedzeni o jego przyjeździe; porównali tylko jego twarz ze zdjęciem w kartotece i wpuścili do środka, chociaż był w cywilnym ubraniu i nie miał

żadnych przepustek. Kusilo go, żeby poprosić o pokazanie tej fotografii, według tego bowiem, co wiedział, musiała pochodzić sprzed czterech lat. Znalazłszy się wewnątrz ogrodzonego obszaru samochód skręcił w lewo i skierował się w stronę jego południowego skraju, by po przejechaniu pół mili szutrową drogą i minięciu metalowych konstrukcji hangarów zatrzymać się przed niskim barakiem, mieszczącym Dowództwo Wydziału.

Przy drzwiach stali dwaj kaprale. Prowadzący samochód sierżant wysiadł i dał im znak, żeby przepuścili zmierzającego w ich kierunku Spauldinga.

Zaprowadzono go do pokoju na piętrze, w którym znajdowali się już pułkownik Ira Barden i lekarz w stopniu kapitana nazwiskiem McCleod. Barden był niskim, przysadzistym mężczyzną o posturze emerytowanego futbolisty i krótko przyciętych, czarnych włosach; natomiast McCleod, szczupły, przygarbiony i w okularach, stanowił uosobienie naukowca pogrążonego wiecznie w myślach.

Barden ograniczył do minimum formalności związane ze wzajemnym przedstawieniem, po czym natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Zdwoiliśmy patrole i rozstawiliśmy ludzi z karabinami maszynowymi wzdłuż ogrodzenia. Jestem pewien, że nikomu nie udało się uciec. Problem tylko w tym, czy nie zrobił tego wcześniej.

- Co się właściwie stało?

- Pace miał gości na sylwestra, dokładnie dwanaście osób. Czterech od siebie, trzech z Archiwum, resztę z Administracji. Przyjęcie było ciche, bo to jednak przecież Fairfax. Wiemy tylko tyle, że wyszedł przez tylne drzwi mniej więcej dwadzieścia minut po północy, może po to, żeby wynieść śmieci, a może tylko łyknąć świeżego powietrza. Nie wrócił. Przyszedł

strażnik patrolujący drogę i doniósł, że słyszał strzał. Nikt inny nie słyszał, w każdym razie nie wewnątrz budynku.

- To dziwne. Te pomieszczenia chyba nie są dźwiękoszczelne.

- Ktoś akurat nastawił głośniej gramofon.

- Zdaje się, że to miało być ciche przyjęcie?

Barden utkwił w Dawidzie twarde spojrzenie. Nie okazywał w ten sposób gniewu, tylko głęboką troskę.

- Gramofon grał głośno nie dłużej niż trzydzieści sekund. Specjaliści od balistyki stwierdzili, że Pace'a zastrzelono najprawdopodobniej z karabinka treningowego kaliber 22

mm.

- Co najwyżej ostry trzask - mruknął Dawid.

- Właśnie. Muzyka z gramofonu stanowiła sygnał.

- A więc ktoś z uczestników.

- Tak. McCleod jest naszym psychiatrą. Zastanawialiśmy się po kolei nad każdym, kto tam był.

- Psychiatra? - zdziwił się Dawid. Jego zdaniem to był problem bezpieczeństwa, nie medycyny.

- Ed zawsze zgrywał ważniaka, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Szkolił cię...

Sprawdziłem cię, Spaulding. To jedna z ewentualności. Zajmujemy się także pozostałymi.

- Słuchajcie - przerwał im lekarz - chyba chcielibyście porozmawiać, a ja muszę przejrzeć te papierki. Zadzwonię do ciebie rano, to znaczy przed południem, Ira. Miło mi było pana poznać, Spaulding. Żałuję, że przy takiej okazji.

- Ja też - odparł Dawid, ściskając podaną mu dłoń.

Psychiatra zgarnął dwanaście teczek, rozłożonych na biurku pułkownika, i wyszedł.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Barden wskazał Spauldingowi krzesło. Dawid usiadł, trąc palcami oczy.

- Wspaniały Nowy Rok, prawda? - zagadnął gospodarz.

- Miałem już lepsze - odparł Spaulding.

- Chce pan jeszcze raz przeanalizować to, co się panu przydarzyło?

- Chyba nie ma sensu, powiedziałem już wszystko. Najwyraźniej tą „lekcją Fairfax” miał być właśnie Ed. To wszystko ma związek z jakimś generałem z Ministerstwa Wojny nazwiskiem Swanson.

- Obawiam się, że nie.

- Jak to?

- Pace nie miał nic wspólnego z tamtą operacją. Jego zadanie polegało wyłącznie na znalezieniu i dostarczeniu pana.

Dawid przypomniał sobie słowa Pace'a; „Nie powinienem nic o tym wiedzieć... Co o tym myślisz? Widziałeś się ze Swansonem?” Spojrzał na Bardena.

- Ale ktoś uważał, że było inaczej. To ten sam motyw, co na Azorach.

- Skąd pan wie?

- Bo pięć godzin temu powiedział mi to ten sukinsyn na 52 Ulicy! Proszę mnie posłuchać: Pace nie żyje. To chyba nadaje dodatkowy wymiar całej sytuacji, prawda? Muszę zobaczyć wszystkie papiery Eda związane z moim przeniesieniem.

- Już to zrobiłem. Po pańskim telefonie wolałem nie czekać na inspekcję jakiegoś generała. Ed był moim najbliższym przyjacielem...

- I?

- Nic. Żadnych dokumentów.

- Muszą być! Musi być całateczka, o Lizbonie i o mnie!

- Teczka jest, ale cała jej zawartość to notatka o przeniesieniu do dyspozycji Ministerstwa Wojny. Żadnych nazwisk, tylko jedno słowo: „Tortugas”.

- A co z papierami, które dla mnie przygotowaliście? Zwolnienie ze służby, dokumenty z Piątej Armii, Sto Dwunastego Batalionu Włochy? Przecież po tym wszystkim musiał pozostać jakiś ślad!

- Pierwsze słyszę o czymś takim. W gabinecie Eda nie było o tym żadnej wzmianki.

- Jakiś major - zdaje się, że miał na nazwisko Winston - czekał na mnie na lotnisku Mitchell. Przyleciałem myśliwcem z Nowej Fundlandii. On dał mi te dokumenty.

- Wiem tylko tyle, że wręczył panu zapieczętowaną kopertę i przekazał ustne polecenia.

- Boże! Co się stało z tą słynną operatywnością Fairfax?

- Mam nadzieję, że pan mi to powie. A skoro już przy tym jesteśmy: kto zamordował

Eda?

Dawid umilkł na chwilę, wpatrując się w twarz Bardena. Słowo „morderstwo” do tej pory nawet nie przyszło mu na myśl. Owszem, można było zabić człowieka, ale zamordować... Jednak pułkownik miał rację, to było morderstwo.

- Tego nie wiem. Ale mogę panu podpowiedzieć, od kogo zacząć poszukiwania.
- Bardzo proszę.
- Skontaktujcie się z Lizboną i ustalcie, co się stało z szyfrantem nazwiskiem Marshall.

1 stycznia 1944, Waszyngton, D. C.

Wiadomość o zamordowaniu Edmunda Pace'a dotarła do Swansona zupełnie przypadkowo i wywarła na nim wstrząsające wrażenie.

Znajdował się w Arlington, na małym sylwestrowym przyjęciu, wydanym przez ważnego generała z kwatermistrzostwa, kiedy zadzwonił telefon. Okazało się, że to pilna informacja dla jednego z gości, innego generała, przydzielonego do Połączonych Szefów Sztabu. Swanson stał akurat blisko drzwi prowadzących do biblioteki, kiedy ów generał stanął

w nich z pobladłą twarzą.

- Mój Boże! - powiedział drżącym głosem, właściwie nie bardzo wiadomo, do kogo. -

Ktoś zastrzelił Pace'a w Fairfax.

Wszyscy biorący udział w przyjęciu należeli do najbardziej wtajemniczonych ludzi w armii; ukrywanie przed nimi tej wiadomości nie miało sensu, bo prędzej czy później i tak by się dowiedzieli.

Pierwsze, paniczne myśli Swansona były związane z Buenos Aires. Czy śmierć Pace'a miała z tym jakiś związek?

Przysłuchiwał się ostrożnym, ale pełnym napięcia spekulacjom generałów.

Poszczególne słowa docierały do niego ze szczególną ostrością: „szpiedzy, wynajęci mordercy, podwójni agenci...” Oszołomiła go zupełnie dzika, ale przedstawiona w logiczny sposób teoria, według której w zabójstwo musiał być zamieszany jeden z tajnych agentów Pace'a, odpowiednio opłacony, by zrobić to po powrocie do Fairfax. Gdzieś w łańcuchu wywiadu znajdowało się słabe ogniwo, człowiek zdemaskowany i przekupiony przez przeciwnika.

Pace był nie tylko jednym z szefów wywiadu, ale i jednym z najważniejszych ludzi w Centrali Wywiadu Aliantów. Do tego stopnia, że dwukrotnie zwracał się z prośbą o nieujawnianie jego awansu na stopień generała, aby nie koncentrować na sobie niepotrzebnej uwagi.

Okazało się to jednak niewystarczające. Za głowę tak nadzwyczajnego człowieka musiała zostać wyznaczona nadzwyczajna cena. Biorąc pod uwagę niezwykle szczelny kordon ochronny otaczający

Fairfax, który zaczynał się już w Bernie i w Szanghaju, morderstwo to musiało być przygotowywane od wielu miesięcy, w taki sposób, żeby zostało dokonane przez kogoś z wewnątrz. Był to jedyny możliwy sposób. Obecnie na terenie Wydziału Operacyjnego znajdowało się ponad pięciuset ludzi, w tym zmieniające się co jakiś czas, przechodzące szkolenie oddziały szpiegowskie z wielu krajów. W takich okolicznościach żaden system bezpieczeństwa nie mógł okazać się wystarczająco szczelny.

Wystarczył jeden człowiek...

„Przygotowywane od wielu miesięcy... ktoś z wewnątrz... podwójny agent... słabe ogniwo... od Berna do Szanghaju...”

Z ogólnego gwaru Swanson wychwytywał akurat te słowa i określenia, bo te właśnie, a nie żadne inne, chciał usłyszeć.

Wszystkie zaprzeczały jakiemukolwiek związkowi z Buenos Aires. Śmierć Pace'a nie mogła mieć z tym nic wspólnego, bo wykluczał to czynnik czasu.

Projekt transakcji Rhinemanna pojawił się zaledwie przed trzema tygodniami; było niemożliwe, żeby zamordowanie Pace'a wiązało się z nim w jakiś sposób, bo oznaczałoby to, że nikt inny jak on, Alan Swanson, złamał milczenie okrywające całą sprawę.

Nikt oprócz niego nie miał pojęcia o udziale Pace'a, a nawet sam pułkownik znał nie tyle zarys, co kawałeczek zarysu operacji.

Drobne fragmenty.

A wszystkie dokumenty dotyczące człowieka z Lizbony zostały usunięte z gabinetu Pace'a. Pozostał jedynie świstek potwierdzający przeniesienie Spauldinga do Ministerstwa Wojny.

Jeden z fragmentów.

W tym momencie Swansonowi przyszła do głowy pewna myśl i aż sam się zdumiał, że było go na nią w tej chwili stać, chociaż z drugiej strony nie mógł zrozumieć, czemu nie wpadł na nią wcześniej. Z chwilą śmierci Pace'a nawet Fairfax nie było w stanie połączyć w jedną całość wydarzeń prowadzących do Buenos Aires. Fakt udziału w operacji rządu Stanów Zjednoczonych został ukryty jeszcze o jeden poziom głębiej.

Jakby nieświadomie szukając potwierdzenia konkluzji, do których doszedł, powiedział

mimochodem, że niedawno kontaktował się z Pace'em w pewnej niezbyt istotnej sprawie.

Sprawa naprawdę była zupełnie błaha, ale ma nadzieję, że...

Potwierdzenie nadeszło niemal natychmiast: generał od Połączonych Szefów Sztabu, a w chwilę potem także trzej inni przyznali, że oni także kontaktowali się Pace'em.

Często. Znacznie częściej, niż on.

- Rozmawiając bezpośrednio z Edem można było oszczędzić masę czasu - powiedział ten ze sztabu. - Załatwiał sprawy niemal od ręki.

„Jeszcze o jeden poziom głębiej”.

Znalazłszy się w swoim mieszkaniu waszyngtońskim, Swanson ponownie zaczął

zastanawiać się nad swymi wątpliwościami. Wątpliwościami, ale i nadziejami. Zabójstwo Pace'a stanowiło problem przede wszystkim ze względu na rezonans, jaki wywoła. Z

pewnością zostanie przeprowadzone zakrojone na wielką skalę śledztwo, zbadane wszystkie ewentualności. Z drugiej jednak strony, w centrum uwagi znajdzie się Fairfax. Na sprawie, przynajmniej przez jakiś czas, skoncentrują się wszystkie siły Centrum Wywiadu Aliantów.

Trudno było wyobrazić sobie lepszy moment na wykonanie ruchu; Walter Kendall musi czym prędzej udać się do Buenos Aires i ostatecznie ustalić warunki z Erichem Rhinemannem.

Chodziło o plany żyroskopów z Peenemünde. Tylko one się liczyły.

Ale najpierw, jeszcze dziś, Dawid Spaulding. Człowiek z Lizbony otrzyma swoje nowe zadanie.

Kiedy Swanson podniósł słuchawkę, przekonał się, że nie może zapanować nad drżeniem ręki.

Poczucie winy stawało się nie do zniesienia.

1 stycznia 1944, Fairfax, Wirginia

- Marshall zginął w zasadzce w Kraju Basków, kilkanaście mil od miasteczka Valdero.

Dawid poderwał się z krzesła.

- Gówno prawda! Marsh nigdy nie jeździł na północ! Nie był przeszkolony, nie wiedziałby, co ma robić.

- Reguły się zmieniają. Teraz kto inny jest człowiekiem z Lizbony... Pojechał tam i został zabity.

- Skąd o tym wiecie?

- Od samego ambasadora.

- A skąd on o tym wie?

- Przypuszczam, że z tych źródeł, co zwykle. Według jego słów to całkowicie pewne.

Dostał jego identyfikator.

- To o niczym nie świadczy!

- A co byś chciał? Ciało?

- Może to cię zdziwi, Barden, ale tak. Ręka albo choćby palec mogą o czymś świadczyć. Jakies zdjęcia, dowody?

- O żadnych nie wspominał. Co ci jest, do diabła? Mówię ci, to pewne!

- Doprawdy?

- Rany boskie, Spaulding! Może lepiej ty mi wyjaśnisz, co to takiego „Tortugas”?

Muszę wiedzieć, jeśli właśnie przez to zginął Ed. I dowiem się, żeby mnie miał szlag trafić!

Nic mnie nie obchodzą jacyś szyfranci z Lizbony.

Rozległ się dzwonek telefonu stojącego na biurku. Pułkownik spojrział przelotnie na niego, po czym ponownie utkwiał wzrok w twarzy Spauldinga.

- Lepiej odbierz - poradził mu Dawid. - Ktoś może o niego pytać, przecież ma... to znaczy, miał rodzinę.

- Nie staraj się komplikować mi życia bardziej, niż już to zrobiłeś. - Barden podszedł

do biurka. - Ed miał służbowo wyjechać na kilka dni. Tak? - Słuchał przez chwilę w milczeniu, a następnie spojrzał na Dawida. - Z Nowego Jorku, szuka cię generał Swanson.

Czeka na linii. Chcesz z nim rozmawiać?

Dawid przypomniał sobie niechęć, jaką Edmund Pace darzył Swansona.

- A muszę?

- Skądże znowu.

- W takim razie, daj.

Spaulding wziął słuchawkę od pułkownika, kilkakrotnie powtórzył „Tak jest, sir”, po czym odłożył ją na widełki.

- Swanson chce widzieć się ze mną jeszcze dziś rano w swoim biurze.

- Muszę wiedzieć, dlaczego ściągnęli cię z Lizbony - powiedział Barden.

Dawid usiadł z powrotem na krześle i milczał przez chwilę; kiedy się odezwał, starał

się bardzo, żeby jego głos nie brzmiał ani po wojskowemu, ani oficjalnie.

- Nie jestem pewien, czy to ma coś wspólnego z... z czymkolwiek. Nie chcę robić uników, ale z drugiej strony muszę. Chciałbym pozostawić sobie kilka możliwości... Jeśli chcesz, możesz to nazwać instynktem. Jest z tym na pewno związany człowiek nazwiskiem Altmüller, Franz Altmüller, ale kim on jest i gdzie - nie mam pojęcia. Niemiec, Szwajcar...

Nie wiem. Dowiedz się, czego możesz na cztery-zero i zadzwoń do hotelu Montgomery w Nowym Jorku. Będę tam przynajmniej do końca tygodnia, a potem lecę do Buenos Aires.

- Zrobię to, jeśli szepniesz mi choć słowo, co się właściwie dzieje, do diabła.

- Na pewno by to ci się nie spodobało, bo mogłoby się okazać, że o wszystkim, co się dzieje w Fairfax, natychmiast wiedzą w Berlinie.

1 stycznia 1944, Nowy Jork

Liniowy samolot pasażerski zaczął podchodzić do lądowania na lotnisku La Guardia.

Dawid spojrzął na zegarek; kilka minut po dwunastej. Wszystko wydarzyło się zaledwie w ciągu dwunastu godzin: Cindy Bonner, nieznajomy z 52 Ulicy, Marshall, zabójstwo Pace'a, Barden, wiadomość z Valdero, a wreszcie kulawa rozmowa z amatorem dowodzącym operacją, generałem Alanem Swansonem z Ministerstwa Wojny.

Dwanaście godzin.

Nie spał już prawie od czterdziestu ośmiu. Potrzebuje trochę snu, żeby odzyskać perspektywę i ułożyć w spójną całość wymykający się całościowej percepcji plan.

Oczywiście nie ten, który był zupełnie jasny.

Erich Rhinemann musi zginąć.

To zupełnie oczywiste, że tak właśnie powinno się stać, ale prawdziwe zaskoczenie stanowił dla Dawida zawołany, niepewny sposób, w jaki generał wydał mu ten jasny i prosty przecież rozkaz, nie wymagający żadnych wyjaśnień i usprawiedliwień. Teraz przynajmniej stał się jasny powód, dla którego ściągnięto go z Lizbony, zniknęła czarna luka ziejąca w miejscu odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. Nie był przecież specjalistą od żyroskopów i dlatego wszystko nie miało sensu, ale teraz było już inaczej. Wybór, jakiego dokonał Pace, stanowił przykład doskonałej, fachowej roboty. Spaulding doskonale nadawał

się do realizacji postawionego przed nim zadania, przy okazji pełniąc rolę dwujęzycznego łącznika między Eugene'em Lyonsem i człowiekiem Rhinemanna, który dostarczy plan.

Tak, mógł stwierdzić z niekłamaną ulgą, że ten obraz był zupełnie wyraźny.

Tym bardziej niepokoił go drugi, w dalszym ciągu daleki od ostrości.

Chodziło o szyfranta z ambasady, który pięć dni temu czekał na niego na zalanym strugami deszczu lotnisku pod Lizboną; o człowieka, którego widział we wnętrzu samochodu na 52 Ulicy, a który rzekomo zginął w Kraju Basków, gdzie nigdy nie był i nie miał

najmniejszego powodu, żeby się tam znaleźć.

Leslie Jenner Hawkwood. Pomysłowa eks-kochanka, starająca się za wszelką cenę wyciągnąć go z pokoju, posługująca się marną bajeczką o Cindy Bonner, kupującej prezenty dla swego nieżyjącego męża, którego zresztą jej wcześniej poderwała. Nie, Leslie na pewno nie była idiotką, chciała mu coś przez to powiedzieć.

Ale co?

Wreszcie Pace. Biedny, pozbawiony poczucia humoru Ed Pace, zabity w najlepiej strzeżonym miejscu w całych Stanach.

„Lekcja Fairfax”, przepowiedziana z nieprawdopodobną dokładnością - niemal co do minuty - przez wysokiego mężczyznę o smutnych oczach, kryjącego się w bramie na 52

Ulicy.

Właśnie to... właśnie oni stanowili główne postacie na nieostrym obrazie.

Dawid ostro potraktował generała. Zażądał podania dokładnej daty, kiedy została podjęta ostateczna decyzja o wyeliminowaniu Ericha Rhinemanna. Kto doszedł do takiego wniosku? W jaki sposób przekazano rozkaz? Czy generał znał szyfranta nazwiskiem Marshall? A może Pace kiedyś o nim wspomniał? Jeśli nie Pace, to może ktoś inny? Jeszcze niejaki Altmüller, Franz Altmüller. Czy to nazwisko mówi coś generałowi?

Odpowiedzi, które uzyskał, nie mogły mu w niczym pomóc, a Swanson z całą pewnością nie kłamał. Nie miał po temu wystarczających kwalifikacji.

O Marshallu i Altmüllerze słyszał po raz pierwszy w życiu. Decyzja o wyeliminowaniu Ericha Rhinemanna została podjęta zaledwie kilkanaście godzin temu i Ed Pace w żaden sposób nie mógł o niej wiedzieć, nie konsultowano się bowiem w tej sprawie ani z nim, ani w ogóle z nikim z Fairfax. Narodziła się w podziemiach Białego Domu; nie miał z nią nic wspólnego nikt, zarówno z Fairfax, jak i z Lizbony. Dla Dawida ta właśnie informacja miała największe znaczenie, wynikało z niej bowiem, że nieostry obraz nie miał

żadnego związku ani z Rhinemannem, ani, o ile można to było w tej chwili stwierdzić, w ogóle z Buenos Aires, postanowił jednak nie dzielić się tą informacją z nerwowym generałem.

Pace miał rację, ten człowiek nie zniósłby już kolejnych komplikacji. Trzeba będzie wykorzystywać Fairfax, ignorując tego, kto teoretycznie dowodził akcją.

Samolot wylądował. Wyszedłszy przed dworzec lotniska, Spaulding rozejrzał się w poszukiwaniu postoju taksówek; znalazł go, kierując się krzykami bagażowych, obwieszczających o miejscu przeznaczenia nie zapełnionych do końca samochodów.

Zabawne, ale odniósł wrażenie, że jedynym zjawiskiem na lotnisku La Guardia, świadczącym o tym, że gdzieś na świecie toczy się w tej chwili wojna, są właśnie wynajmowane do spółki taksówki.

Niemal w tej samej chwili zrozumiał, jak głupie i pretensjonalne są takie myśli.

Do jednego z pojazdów wnoszono żołnierza bez obydwu nóg. Pomagali zarówno bagażowi, jak i pasażerowie, wszyscy jednakowo poruszeni i zatroskani.

Żołnierz był kompletnie pijany. To, co z niego zostało, chwiała im się w rękach we wszystkie strony.

Spaulding dzielił taksówkę z trzema mężczyznami, którzy rozmawiali wyłącznie o ostatnich doniesieniach z frontu włoskiego. Postanowił nie przyznawać się do swej zmyślonej przeszłości, kiedy prędej czy później zostanie zasypany nieuniknionym gradem pytań, nie miał bowiem najmniejszej ochoty dyskutować na temat jakichś mitycznych walk o Salerno.

Pytań jednak nie było; dopiero po chwili zorientował się, dlaczego.

Siedzący obok niego mężczyzna był niewidomy. Kiedy poprawił się na siedzeniu, promienie słońca padły na miniaturkę odznaczenia wpiętą w klapę jego marynarki: południowy Pacyfik.

Dawid uświadomił sobie po raz kolejny, jak bardzo jest zmęczony. Jestem chyba najbardziej gapowatym agentem, jakiemu kiedykolwiek powierzono jakąkolwiek akcję, pomyślał.

Wysiadł z taksówki na Piątej Alei, trzy przecznice od hotelu Montgomery. Zapłacił

więcej, niż wynosiła jego część. Miał nadzieję, że współpasażerowie domyśla się, żeby przekazać nadwyżkę niewidomemu weteranowi, którego ubranie w niczym nie przypominało tych, jakie Leslie Jenner kupowała u Rogersa Peeta.

Leslie Jenner... Hawkwood.

Szyfrant Marshall.

Nieostry obraz.

Musi o wszystkim zapomnieć, położyć się spać, przestać o tym myśleć. Jutro rano spotka się z Eugene'em Lyonsem... i wszystko zacznie się od nowa. Powinien dobrze się przygotować na spotkanie z człowiekiem, który spalił sobie gardło czystym alkoholem i od dziesięciu lat z nikim nie rozmawiał.

Winda zatrzymała się na szóstym piętrze. Jego pokój znajdował się na siódmym, więc miał już powiedzieć windziarzowi, żeby pojechał piętro wyżej, kiedy zorientował się, że drzwi pozostają zamknięte.

Windziarz odwrócił się w jego stronę, ściskając w dłoni krótki rewolwer Smith & Wesson. Drugą ręką chwycił dźwignię awaryjnego zatrzymywania i pchnął ją od siebie; drewniana klatka podskoczyła, po czym utknęła w miejscu.

- Będą na nas dzwonić, pułkownik Spaulding, ale jest jeszcze winda awaryjna. Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Ten

sam akcent, pomyślał Dawid. Brytyjski, ze środkowoeuropejskimi naleciałościami.

- Cieszę się. Już się za wami stęskniłem.

- Nie jest pan wcale zabawny.

- A pan.

- Był pan w Fairfax. Jak podróż?

- Widzę, że macie znakomite źródło informacji.

Spauldingowi chodziło nie tylko o zyskanie na czasie. Wraz z Bardenem podjęli konieczne środki ostrożności; nawet jeśli telefon w jego pokoju był na podsłuchu, to i tak nie istniał żaden dowód na to, że istotnie poleciał do Wirginii. Wszystkie rozmowy przeprowadzał z automatów, a z lotniska Mitchell do bazy Andrews leciał pod fałszywym nazwiskiem, jako członek załogi. Nawet numer, który zostawił w recepcji, był numerem pewnego nowojorskiego mieszkania, pozostającego pod stałą obserwacją. Co zaś do samego Fairfax, to jego nazwisko znał jedynie strażnik przy branie wjazdowej, a w sumie widziało go tam nie więcej, niż cztery lub pięć osób.

- W każdym razie, na pewno godne zaufania... Wie pan już teraz, na czym miała polegać lekcja z Fairfax, prawda?

- Wiem tylko tyle, że został zamordowany porządny człowiek. Przypuszczam, że jego żona i dzieci już o tym wiedzą.

- Podczas wojny trudno mówić o morderstwach, panie pułkowniku. Użył pan niewłaściwego słowa, a poza tym proszę nie mówić do nas...

Przerwał mu dźwięk dzwonka, krótki i delikatny.

- A kim właściwie jesteście? - zapytał Dawid.

- Dowie się pan w swoim czasie, oczywiście tylko wtedy, jeśli zdecyduje się pan z nami współpracować. Jeśli nie, nie będzie to miało żadnego znaczenia, ponieważ i tak zostanie pan zabity. My nie rzucamy słów na wiatr, proszę nie zapominać o Fairfax.

Dzwonek zabrzączał po raz drugi, tym razem dłużej i już nie tak delikatnie.

- Jak mam z wami współpracować? I przy czym?

- Musimy znać dokładne usytuowanie „Tortugas”.

Spaulding wrócił na chwilę myślami do piątej rano tego samego dnia, do Fairfax. Ira Barden powiedział, że „Tortugas” było jedynym słowem obok informacji o jego przeniesieniu; nic poza tym, żadnych szczegółów, tylko to jedno słowo. Zamknięte, wraz z innymi dokumentami, w sejfie Pace’a; ten „sejf był w rzeczywistości specjalnym pokojem o podwójnych, stalowych drzwiach, do którego mieli wstęp jedynie najwyżsi oficerowie wywiadu.

- „Tortugas” wchodzi w skład niewielkiego archipelagu u wybrzeży Florydy.

Najczęściej mówi się o niej Sucha „Tortugas”. Jest na każdej mapie.

Ponowny dzwonek, kilkakrotny, zirytowany.

- Niech pan nie udaje idioty, panie pułkowniku.

- Nikogo nie udaję. Nie wiem, o co panu chodzi.

Dawid zauważył, że mężczyzna wpatrujący się w niego z napięciem traci powoli pewność siebie i stara się stłumić wzbierający w nim gniew. Dzwonek terkotał już bez przerwy, a z góry i z dołu dobiegał gwar głosów.

- Wolałbym pana nie zabijać, ale będę musiał. Gdzie jest „Tortugas”? Nagle na szóstym, w odległości nie większej niż dziesięć stóp od nich, rozległ się donośny, męski głos:

- Jest tutaj! Utknęła między piętrami! Halo, nic wam nie jest?

Windziarz zamrugał raptownie, był najwidoczniej u kresu wytrzymałości nerwowej.

Dawid właśnie na to czekał; błyskawicznym ruchem chwycił mężczyznę za przedramię i uderzył nim z całej siły w metalowe drzwi, jednocześnie przygniatając go ciężarem ciała i z potworną siłą wbijając mu kolano w krocze. Niedawny napastnik wydał przeraźliwy skowyt bólu, a Spaulding ścisnął go drugą ręką za gardło i dwukrotnie powtórzył cios w krocze, aż wreszcie wrzask przeszedł w ciche, bezsilne jęczenie. Ciało nagle zwiotczało, rewolwer z głośnym stukiem upadł na podłogę windy, a w chwilę potem dołączył do niego również rzekomy windziarz.

Dawid odsunął nogą broń i chwyciwszy oburącz kark mężczyzny zaczął nim potrząsać, Teraz ty mi to powiesz, sukinsynu! Co to jest „Tortugas”?

Krzyki na dwóch sąsiadujących ze sobą piętrach przybrały na sile, zamieniając się niemal w histerię, gdy z windy dobiegły przeraźliwe wrzaski. Ktoś wzywał dyrektora hotelu, ktoś inny policję.

Mężczyzna spojrzał na Dawida poprzez łzy bólu.

- Zabij mnie, świnió - wystękał, z trudem łapiąc oddech. - Już próbowałeś...

Spaulding zdziwił się, mógłby bowiem przysiąc, że tego człowieka widzi po raz pierwszy w życiu. Kraj Basków? Nawarra? Nie miał czasu na zastanawianie.

- Co to jest „Tortugas”?

- Ta świnią Altmüller... Altmüller...

Mężczyzna stracił przytomność. Znowu to nazwisko: Altmüller.

Spaulding wstał, pozostawiając ciało na podłodze, i przekręcił dźwignię, nadając windzie maksymalną prędkość. Hotel Montgomery miał dziesięć pięter, a świecące nad drzwiami cyferki wskazywały, że naciśnięto guziki na pierwszym, trzecim i szóstym. Gdyby udało mu się dotrzeć na dziesiąte, zanim dotrą tam właściciele rozhisteryzowanych głosów, to może zdąży wyskoczyć z windy, dobiec do pierwszego zakrętu korytarza, a następnie zawrócić i jakby nigdy nic wmieszać się w tłum, który przez ten czas bez wątpienia zbierze się przy otwartych drzwiach windy, wokół nieprzytomnego człowieka leżącego na podłodze.

Musi zdążyć! Nie miał czasu na tłumaczenie czegokolwiek nowojorskiej policji.

Windziarza odniesiono na noszach; pytania były zwięzłe i krótkie.

Nie, nie znał tego człowieka. Wysiadł na swoim piętrze jakieś dziesięć lub dwanaście minut temu. Był w pokoju, a potem wyszedł, kiedy zaczęło się to całe zamieszanie.

Podobnie jak wszyscy.

To niesamowite, co się ostatnio dzieje w Nowym Jorku.

Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i spojrzał na łóżko. Boże, ależ jest zmęczony! Mimo to jego umysł nie przestawał pracować na wysokich obrotach.

Odłoży wszystko, dopóki nie nabierze sił, z wyjątkiem dwóch rzeczy, nad którymi musi się od razu zastanowić. Nie mogą poczekać, ponieważ w każdej chwili może zadzwonić telefon, albo ktoś wejdzie do pokoju, a on musi być z góry przygotowany.

Po pierwsze, nie wolno mu już w żaden sposób kontaktować się z Fairfax, w którym najwyraźniej aż roi się od obcych agentów. Musi sobie radzić bez Wydziału Operacyjnego, co było zadaniem równie niełatwym, jak dla kaleki chodzenie bez kul.

Ale przecież nie jest kaleką.

Po drugie, człowiek nazwiskiem Altmüller. Musi go znaleźć, ustalić, kim jest i jaką rolę odgrywa na tym nieostrym obrazie.

Położył się na łóżku, ale nie miał już sił, żeby zdjąć ubranie, a nawet buty. Uniósł

tylko rękę, żeby osłonić oczy przez blaskiem popołudniowego słońca, wpadającym przez hotelowe okna, świecącego pierwszego dnia nowego, 1944 roku.

Nagle otworzył oczy, wpatrując się w swoje ciemne tweedowe ubranie; istniała jeszcze jedna rzecz, nierozzerwalnie związana z enigmatycznym Altmüllerem.

Co, do wszystkich diabłów, znaczyło słowo „Tortugas”?

2 stycznia 1944, Nowy Jork

Eugene Lyons siedział w samej koszuli przy desce kreślarskiej w pustej pracowni. Na sąsiednich stołach walały się porozrzucane rysunki. Odbijające się od białych ścian promienie jasnego, przedpołudniowego słońca upodabniały pomieszczenie do aseptycznego, szpitalnego wnętrza.

Widok twarzy i ciała Lyonsa tylko pogłębiał to wrażenie.

Dawid, odczuwając dziwne skrępowanie mającą nastąpić prezentacją, wszedł za Kendalllem do pracowni. Szczerze mówiąc wolałby nic nie wiedzieć o osobie, którą za chwilę pozna.

Uczony odwrócił się w ich stronę na obrotowym stołku. Był chyba najchudszy człowiekiem, jakiego Spaulding w życiu widział. Jego kości były zaledwie otoczone cienką warstwą ciała, a przez, nie tyle starą, co raczej zniszczoną skórę na dłoniach, ramionach, skroniach i karku prześwitywała sieć niebieskich żył. Głęboko osadzonych oczu w żaden sposób nie można było nazwać przygaszonymi czy otępiałymi; były żywe i na swój sposób przenikliwe. Do całości obrazu należało jeszcze dodać proste, przedwcześnie przerzedzone włosy. Wieku tego człowieka nie udałooby się określić z dokładnością większą niż dwadzieścia lat.

Najbardziej rzucała się w oczy jedna jego cecha: obojętność. Zauważył wejście dwóch mężczyzn, najwyraźniej wiedział, kim są, ale nie uczynił żadnego wysiłku, żeby dać to po sobie poznać.

Zmusił go do tego Kendall.

- Eugene, to jest Spaulding. Pokaż mu, od czego ma zacząć.

Powiedziawszy to odwrócił się na pięcie i wyszedł z pracowni, zamykając za sobą drzwi.

Dawid zrobił kilka kroków w kierunku siedzącego nieruchomo naukowca i wyciągnął rękę. Wiedział dokładnie, co ma powiedzieć.

- To dla mnie wielki zaszczyt poznać pana, doktorze Lyons. Nie jestem specjalistą w pańskiej dziedzinie, ale słyszałem o pana dokonaniach w MIT. Miło mi, że będę miał okazję współpracować z panem choć przez krótki czas.

W oczach Lyonsa zamigotał na krótko płomyk zainteresowania. Dawid przygotował

to przywitanie w taki sposób, żeby zawierało kilka informacji, które chciał już na wstępie przekazać swemu rozmówcy, między innymi tę, że wie o tragedii, jaka spotkała go w Bostonie, i o wszystkich jej następstwach, ale mimo to nie żywi wobec niego żadnych uprzedzeń.

Uścisk dłoni Lyonsa był bardzo słaby. W chwilę potem jego wzrok znowu nie wyrażał

nic oprócz obojętności; obojętności, ale nie niechęci.

- Zdaję sobie sprawę, że mamy niewiele czasu, a ja jestem zupełnym neofitą w sprawach żyroskopów
- kontynuował Dawid cofnąwszy się w pobliże deski kreślarskiej. -

Powiedziano mi jednak, że wystarczy mi podstawowa wiedza i znajomość niemieckich odpowiedników terminów i określeń, które mi pan wypisze.

Dawid delikatnie podkreślił słowa „znajomość” i „wypisze”, obserwując uważnie Lyonsa w oczekiwaniu na jakiś sygnał, który świadczyłby o tym, że uczonego zrozumiął, iż jego gość wie o jego kłopotach z mówieniem. Może mu się tylko wydawało, ale chyba dosłyszał

lekkie westchnienie ulgi.

Lyons spojrział na niego, a jednocześnie kąćki jego ust uniosły się nieznacznie do góry, w oczach zaś pojawił się ledwie dostrzegalny ślad wdzięczności. Wstał ze stołka i podszedł do najbliższego stołu, na którym, oprócz najróżniejszych rysunków, leżało także kilka książek. Wziął pierwszą z wierzchu i wręczył Spauldingowi. Tytuł na okładce brzmiał:

„Diagramatyka: bezwładność i precesja”.

W tym momencie Dawid wiedział już, że wszystko będzie w porządku.

Minęła szósta.

Kendall poszedł do domu, podobnie jak portier, który poprosił Dawida, żeby zamknął drzwi, gdyby wychodził jako ostatni, albo powiedział to temu, kto będzie jeszcze zostawał.

Tym kimś mógł być tylko Eugene Lyont lub któryś z jego pielęgniarzy.

Nazywali się Hal i Johnny, obaj wysocy i potężnie zbudowani. Bardziej rozmowny był Hal, natomiast dowodził Johnny, eks-komandos.

- Facio jest bardzo grzeczny - stwierdził Hal. - Nie ma się czego bać.

- Musimy już wracać do szpitala - zauważył Johnny. - Strasznie się wściekają, jeśli spóźnia się na kolację.

Weszli do pracowni i stanęli po obydwu stronach Lyonsa. Zachowywali się grzecznie, ale stanowczo. Lyons spojrział na Spauldinga, wzruszył ramionami, po czym wstał i wyszedł

w towarzystwie swoich opiekunów.

Dawid poczekał, aż rozlegnie się odgłos ruszającej windy, po czym odłożył wręczoną mu przez

uczonego książkę i skierował się do gabinetu Kendalla.

Drzwi były zamknięte, co wydało mu się dosyć dziwne, jako że Kendall wybierał się do Buenos Aires i mogło go nie być nawet kilka tygodni. Spaulding nachylił się nad zamkiem i wydobył z kieszeni niewielki przedmiot, który na pierwszy rzut oka można było wziąć za kosztowny, srebrny scyzoryk, noszony czasem przez członków ekskluzywnych klubów niby zegarek na końcu długiego łańcuszka; a w rzeczywistości był uniwersalnym wytrychem, wykonanym w Londynie i podarowanym mu w Lizbonie przez brytyjskiego kolegę z MI5.

Dawid wysunął cienki cylinderek z płaską, ruchomą końcówką i wsunął go do zamka.

Nie minęło nawet trzydzieści sekund, kiedy rozległo się charakterystyczne pstryknięcie i drzwi stanęły otworem. Dawid wszedł do środka, zamknął drzwi, zapalił lampę stojącą na biurku i otworzył środkową szufladę.

Niewiele brakowało, a roześmiałby się na głos. Wśród imponującego składu spinaczy, wykałaczek, rozpakowanych chusteczek do nosa i luźnych kartek papieru leżały dwa całkiem nowe pisma pornograficzne, choć noszące ślady częstego przeglądania.

Wesołych świąt, panie Kendall, pomyślał Spaulding z odrobiną melancholii.

Boczne szuflady były puste, a w każdym razie nie znajdowało się tam nic godnego uwagi. W najniższej leżało kilka pogniecionych kartek papieru, pokrytych bezsensownymi bazgrołami.

Miał już wstać i wyjść z pokoju, kiedy przyszło mu na myśl rzucić jeszcze raz okiem na pomazane kartki. W biurku nie było nic poza tym, najwyraźniej Kendall zamknął drzwi gabinetu kierowany bardziej odruchem, niż koniecznością. Prawdopodobnie z tego samego powodu nie wyrzucił tych kartek do kosza, w którym znajdowały się jedynie niedopałki papierosów, tylko włożył je do szuflady, aby nie przyciągały uwagi.

Dawid zdawał sobie doskonale sprawę, że porusza się na oślep, ale nie miał wielkiego wyboru, w gruncie rzeczy bowiem nie wiedział nawet, czego właściwie szuka.

Rozprostował dwie pierwsze strony na biurku.

Nic.

To znaczy, niezupełnie. Kontury kobiecych piersi i genitaliów, koła i strzałki, piersi, jakieś linie. Raj dla psychoanalityka.

Następna strona. Znowu koła, strzałki, piersi, z boku chmurki, takie same, jak na dziecięcych rysunkach, a pod nimi kreski mogące oznaczać deszcz lub błyskawice.

I to wszystko, Jeszcze jedna kartka.

Coś zwróciło uwagę Dawida, na samym dole żółtawej, poplamionej strony; ledwo dostrzegalny wśród bezładnych kresek zarys dużej swastyki. Przyjrzał się jej uważniej. Na końcach ramion swastyki znajdowały się małe kółka, sprawiające wrażenie, jakby wirowały z ogromną szybkością, na ich zaś krawędziach można było dostrzec jakieś litery... Inicjały. *JD*, obok *Joh D.*, *J. Diet...* A za nimi pieczołowicie wyczyszczone trzy znaki zapytania:???

???

Dawid starannie złożył kartkę i schował ją do kieszeni marynarki.

W szufladzie pozostały jeszcze tylko dwie strony, więc wyjął je obie. Na tej, którą położył po lewej stronie, znajdował się tylko jeden wielki, jakby wykonany w gniewie bazgroł, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia, natomiast u dołu drugiej kartki można było dostrzec szereg połączonych ze sobą znaków, dających się odczytać jako kolejno po sobie następujące *J* i *D*, podobne do inicjałów umieszczonych na ramionach swastyki. Zaraz za ostatnim *D* zaczynał się rysunek jakby leżącego poziomo, podłużnego obelisku o wyraźnie zaznaczonych krawędziach i obłym zakończeniu... Może miał to być karabinowy pocisk.

Poniżej znowu kółka, tym razem dwa, takie same, jak na jednej z poprzednich kartek, ale teraz narysowane znacznie mocniej, nieomal wryte w papierze.

Nagle Dawid zrozumiał, co to jest.

Walter Kendall nieświadomie narysował penisa znajdującego się w stanie wzwodu wraz z jądrami.

Szczęśliwego Nowego Roku, panie Kendall, pomyślał Spaulding.

Schował kartkę do tej samej kieszeni, co poprzednią, a pozostałe włożył do szuflady.

Następnie zgasił lampę, rozejrzał się po pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoich miejscach, po czym wyszedł z pokoju, przymykając za sobą drzwi. Zastanawiał się przez chwilę, czy bawić się w odblokowywanie zanika, ale doszedł do wniosku, że nie ma to większego sensu; był na tyle prosty, że z pewnością pasowały do niego dziesiątki kluczy, więc podejrzenie najprawdopodobniej padnie na kogoś z obsługi, a poza tym zajęłoby mu to znacznie więcej czasu, niż jego otwarcie.

Pół godziny później nabrał przekonania, że ta decyzja ocaliła mu życie. Dzięki kilkudziesięciu sekundom, które zyskał, że zwierzyny zamienił się w myśliwego.

Założył płaszcz, wyłączył światła i ruszył w kierunku wind. Dochodziła siódma wieczorem pierwszego dnia po Nowym Roku i budynek był praktycznie pusty; w tej chwili w użyciu znajdowała się tylko jedna winda. Minęła jego piętro jadąc w górę, gdzie zatrzymała się, nie reagując na wezwania. Miał już zamiar skierować się do schodów - zejście z drugiego piętra nie powinno zabrać mu zbyt wiele czasu - kiedy usłyszał odgłos licznych, pośpiesznych kroków, dochodzący z tamtej strony. Zastanowiło go to; jeszcze przed chwilą winda była na dole, dlaczego więc dwóch lub więcej ludzi miałyby pędzić w górę po schodach o siódmej wieczorem w niemal zupełnie pustym gmachu? Z

całą pewnością można było znaleźć dziesiątki jak najbardziej prawdopodobnych powodów, ale instynkt i doświadczenie kazały mu przede wszystkim liczyć się z tymi nieprawdopodobnymi.

Zachowując całkowitą ciszę, pobiegł w przeciwnym kierunku, do miejsca, gdzie poprzeczny korytarz łączył się z hallem, prowadzącym do biur mieszczących się w południowej części budynku. Skręcił za róg i przywarł do ściany. Od ostatniej przejażdżki windą w hotelu Montgomery nosił przy sobie broń, niewielką Berettę w kaburze przypasanej bezpośrednio do ciała. Teraz rozpiął guziki płaszcza i koszuli, żeby w razie potrzeby móc błyskawicznie sięgnąć po rewolwer.

Kroki oddaliły się.

Niemal w tej samej chwili zrozumiał swój błąd: nie oddaliły się, a jedynie zwolniły, stały się cichsze i ostrożniejsze. Wkrótce potem usłyszał wymianę zdań, dokonywaną przyciszonym szeptem, z której nic nie mógł zrozumieć. Słowa dochodziły zza zakrętu, z pobliza wejścia do biura Meridian Airlines, a więc z odległości zaledwie trzydziestu stóp.

Spaulding przycisnął twarz do ściany i wyjrzał ostrożnie, kładąc jednocześnie dłoń na rękojeści rewolweru.

Na korytarzu, plecami do niego, stali dwaj mężczyźni, zajęci obserwacją zamkniętych drzwi, pozbawionych jakiegokolwiek napisu. Niższy z nich przysunął twarz do matowej szyby, zasłaniając przyłożonymi do skroni dłońmi odbłaski pochodzące z korytarza; po chwili oderwał się i spojrzał na swego partnera, kręcąc przecząco głową.

Wyższy przesunął się nieco, dzięki czemu Dawid mógł go rozpoznać.

Był to nieznajomy z ciemnej bramy na 52 Ulicy. Wysoki mężczyzna o smutnej twarzy, posługujący się bałkańskim angielskim i mierzący do niego z ciężkiego rewolweru.

Teraz sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął z niej klucz i podał go swemu towarzyszowi, prawą ręką wyciągając jednocześnie zza paska broń - potężny, wojskowy rewolwer kalibru 45

mm. Użyty z bliskiej odległości mógł zmieść przeciwnika z powierzchni ziemi.

- Musi tam być. Nie wychodził. Chcę go dostać - szepnął.

Niższy mężczyzna skinął głową i włożył klucz do zamka, po czym uchylił ostrożnie drzwi i zajrzał do środka.

W tej samej chwili winda zatrzymała się na piętrze. Kiedy rozległ się szcęk otwieranych drzwi, dwaj mężczyźni zamarli na chwilę, a następnie prędko wślizgnęli się do środka.

- Co jest, nie ma nikogo? - wrzasnął rozeźlony windziarz.

Dawid zrozumiał, że to jego jedyna szansa. Za kilka sekund prześladowcy zorientują się, iż winda zatrzymała się dlatego, że ktoś wcześniej nacisnął guzik; ktoś, kogo nie było w biurze, ale i kogo nie spotkali na schodach. Wniosek mógł być tylko jeden: ten ktoś znajdował

się jeszcze na piętrze.

Odwrócił się i popędził korytarzem w kierunku schodów. Nie oglądał się ani nie starał

łumić odgłosów swoich kroków, żeby nic nie stracić na szybkości. Myślał tylko o jednym: dotrzeć do schodów i wydostać się z budynku. Kiedy znalazł się na klatce schodowej, puścił

się biegiem w dół, przeskakując po trzy stopnie, ale już za pierwszym zakrętem stanął jak wryty.

Na półpiętrze, opierając się o poręcz, stał trzeci mężczyzna. A więc Dawid nie mylił

się sądząc, że słyszy więcej niż dwie pary kroków. Człowiek, zdumiony nagłym pojawieniem się Spauldinga, zamarł na ułamek sekundy, a potem błyskawicznym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby domyśleć się, po co.

Dawid skoczył pół piętra w dół, uderzając wyciągniętymi dłońmi w gardło i prawe ramię mężczyzny. Chwycił go za szyję i rąbnął jego głowę w betonową ścianę, jednocześnie wykręcając mu ramię i przygniatając całym ciężarem rozpedzonego ciała.

Napadnięty zdążył wydać jedynie krótki okrzyk, po czym osunął się bezwładnie na posadzkę; z rozległej rany na jego głowie sączyła się obficie krew.

Piętro wyżej rozległ się odgłos otwieranych raptownie drzwi, a następnie pośpieszny tupot.

Dawid poderwał się i zbiegł do głównego hallu. Właśnie zatrzymała się tam wypełniona pasażerami winda, z których ostatni wychodzili z budynku przez główne drzwi.

Nawet jeśli ktoś z nich usłyszał urwany raptownie krzyk, to nikt nie dał tego po sobie poznać.

Dawid pokonał kilkoma susami odległość dzielącą go od drzwi, przepchnął się, roztrącając ludzi łokciami, po czym wypadł na chodnik i skręciwszy na wschód pobiegł przed siebie najszybciej, jak tylko potrafił.

Minął co najmniej czterdzieści przecznic - w Kraju Basków równałoby to się mniej więcej dwóm milom i mimo wszystko byłoby to znacznie przyjemniejsze.

Po drodze zdążył podjąć kilka decyzji. Problem polegał wyłącznie na tym, jak wprowadzić je w życie.

Nie mógł pozostać w Nowym Jorku, jeśli nie chciał podejmować ogromnego, niemożliwego do zaakceptowania ryzyka. Musiał natychmiast przenieść się do Buenos Aires, tak szybko, by żaden z jego prześladowców nie zdążył się zorientować.

Nie ulegało bowiem żadnej wątpliwości, że polowanie rozpoczęło się na dobre.

Zarówno natychmiastowy powrót do hotelu, jak i późniejszy do biura Meridian równałby się samobójstwu; na szczęście mógł załatwić te sprawy przez telefon. W hotelu powie, że musiał nagle służbowo wyjechać do Pensylwanii i prosi o spakowanie i przechowanie jego bagaży, natomiast rachunek ureguluje nieco później.

Kendall znajdował się w drodze do Argentyny, więc to, co powie w biurze, nie miało właściwie żadnego znaczenia.

Niespodziewanie przyszedł mu na myśl Eugene Lyons.

Było mu trochę przykro. Nie z powodu samego człowieka (choć po chwili zastanowienia musiał przyznać, że też, co prawda akurat nie w tej chwili), ale dlatego, że przed wyjazdem do Buenos Aires nie będzie miał czasu na nawiązanie bliższej znajomości z kalekim naukowcem. Jego nagłe zniknięcie może Lyons uznać za dowód, że oto kolejna osoba nie była w stanie zaakceptować jego towarzystwa; było to o tyle niebezpieczne, że w Argentynie pomoc Dawida mogła się dla niego okazać naprawdę niezbędna, choćby tylko przy tłumaczeniu z niemieckiego. Dawid postanowił, że musi zdobyć wybrane dla niego przez Lyonsa książki i zrobić wszystko, by opanować specjalistyczny język, którym posługiwał się uczony.

Niemal w tej samej chwili zdał sobie sprawę, do jakich wniosków prowadziło to rozumowanie.

W ciągu najbliższych kilku godzin najniebezpieczniejszymi miejscami w Nowym Jorku były właśnie biuro Meridian, i szpital Świętego Łukasza.

Kiedy już odwiedzi oba te miejsca, pojedzie na lotnisko Mitchell i zadzwoni do generała Swansona.

Wyjaśnienie wszystkich tajemniczych wydarzeń minionego tygodnia - od Azorów do klatki schodowej w budynku przy 38 Ulicy - znajdowało się w Buenos Aires.

Swanson o tym nie wiedział i nie może wiedzieć, w Fairfax bowiem roilo się od obcych agentów; w związku z tym było jasne, że Dawid nie może liczyć na żadną pomoc z jego strony. Dzięki temu, przynajmniej jedno nie ulegało wątpliwości.

Był sam. W takiej sytuacji pozostawały mu do wyboru dwa wyjścia: wycofać się z gry albo zacząć przesiewać ziarno po ziarnku, odkrywając kolejne nazwiska i kryjące się za nimi twarze.

Pierwsze wyjście nie wchodziło w grę, generał Alan Swanson bowiem miał

prawdziwego świra na punkcie tych żyroskopów, a poza tym, przecież był jeszcze Erich Rhinemann. Nie, nie miał szans na wycofanie się z gry.

Pozostawało drugie: ujawnienie tych, którzy kryli się za tą sprawą.

Po raz pierwszy od bardzo wielu lat opanowało go dziwne uczucie: strach, że może nie podołać zadaniu. Stał wobec problemu, dla którego nie mógł znaleźć nawet przybliżonego odpowiednika w całej swojej dotychczasowej działalności i do którego nie pasował żaden ze schematów opanowanych w Kraju Basków i w Nawarze.

Nagle znalazł się w samym środku zupełnie innej wojny. Nie dość, że jej nie znał, ale jeszcze budziła w nim wątpliwości dotyczące nawet jego samego.

Dostrzegł wolną taksówkę o nieśmiało, jakby wstydliwie podświetlonym napisie na dachu. Rozejrzał się w poszukiwaniu tabliczki z nazwą ulicy; okazało się, że zawędrował aż na Sheridan Square, co tłumaczyło dźwięki jazzowej muzyki, wydobywające się z piwnic i mieszające się z tłumem na bocznych uliczkach. Greenwich Village szykowała się do kolejnego wieczoru.

Uniósł dłoń, ale kierowca nie zauważył go. Ruszył biegiem, gdy zorientował się, że taksówka zwalnia, dojeżdżając do świateł na rogu. Wtem spostrzegł, że z drugiej strony także ktoś biegnie do taksówki, mając nad nim sporą przewagę.

Nagle dotarcie do samochodu jako pierwszy stało się dla Dawida czymś niezmiernie ważnym. Nabierając szybkości i wymijając przechodniów wypadł na jezdnię, gdzie przez chwilę zablokowały go dwa dotykające się niemal zderzakami pojazdy. Oparł się dłońmi o maskę jednego i bagażnik drugiego i przeskoczył na drugą stronę w kierunku celu.

Cel.

Dopadł taksówki jakieś pół sekundy za późno.

Niech to szlag! Przeszkodziły mu te dwa samochody.

Przeszkoda.

Przytrzymał dłonią drzwi, uniemożliwiając ich otwarcie temu, który był pierwszy.

Mężczyzna spojrzał Dawidowi w twarz, w oczy...

- Proszę bardzo, ja zaczekam - powiedział pośpiesznie.

Dawid poczuł nagle ogromne zakłopotanie. Boże, co ja robię, pomyślał.

To wszystko przez niepewność, przez tę cholerną, przeklętą niepewność.

- Nie, nie trzeba. Bardzo pana przepraszam - wymamrotał z zażenowanym uśmiechem. - Proszę wsiadać, mnie się nie śpieszy. Jeszcze raz przepraszam.

Odwrócił się i przeszedł szybkim krokiem na drugą stronę jezdni, by czym prędzej wmieszać się w tłum wypełniający Sheridan Square. Mógł mieć tę taksówkę. Kierat obracał

się bez chwili przerwy.

CZEŚĆ DRUGA

Rok 1944, Buenos Aires, Argentyna

Samolot linii Pan American wystartował z Tampa na Florydzie o ósmej rano, mając zaplanowane międzylądowania w Caracas, Sao Luis, Salvador, a wreszcie w Rio de Janeiro, przed ostatnim, liczącym tysiąc dwieście mil przeskokiem do Buenos Aires. Dawid figurował

na liście pasażerów jako Donald Scanlan z Cincinnati, Ohio, z zawodu inspektor górniczy.

Tożsamość tę przybrał jedynie na czas lotu; „Donald Scanlan” miał zniknąć w chwili, kiedy koła samolotu zetkną się z nawierzchnią Aeroparque Buenos Aires. Inicjały były takie same na wypadek, gdyby w bagażu znalazła się jakaś zapomniana chusteczka z monogramem lub inny przedmiot, oznaczony pierwszymi literami imienia i nazwiska. Coś takiego mogło łatwo przydarzyć się komuś, kto się śpieszył, był zmęczony... lub po prostu się bał.

Kiedy Dawid zadzwonił z lotniska Mitchell do generała Swansona, ten niemal wpadł

w panikę, wykazując tyle samo zdolności do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, co pies myśliwski, oszołomiony liczebnością stada kaczek podrywającego się z trzciny. Jakiegokolwiek odstępstwa od planu Kendalla - a właściwie od jego instrukcji - były dla niego nie do pomyślenia. Przecież Kendall miał udać się do Buenos Aires dopiero nazajutrz rano!

Dawid nie tracił czasu na skomplikowane wyjaśnienia. Jeśli chodzi o niego, to w ostatnim czasie trzykrotnie usiłowano dokonać zamachu na jego życie, więc jeżeli generałowi zależy na jego „usługach” w Buenos Aires, to będzie lepiej, jeśli znajdzie się tam natychmiast, dopóki jeszcze jest cały i zdolny do działania.

Czy te zamachy miały jakiś związek z... Buenos Aires? Generał zadał to pytanie w taki sposób, jakby bał się wymienić nazwę stolicy Argentyny.

Dawid odpowiedział z całą otwartością: nie wiadomo. Wyjaśnienie znajduje się w Buenos Aires. Należało brać pod uwagę taką ewentualność, ale błędem byłoby zakładanie jej jako pewnik.

- Dokładnie tak samo mawiał Pace - powiedział Swanson. - „Zawsze trzeba brać wszystko pod uwagę, ale nigdy nie traktować niczego jako pewnik”.

- Ed zwykle miał rację w takich sprawach.

- Słyszałem od niego, że kiedy działał pan w Lizbonie, często znajdował się pan w bardzo nieciekawych sytuacjach.

- To prawda, chociaż wątpię, żeby znał szczegóły. W Portugalii i Hiszpanii jest bardzo wielu ludzi, którzy woleliby widzieć mnie martwego niż żywego, albo którym tak właśnie się wydaje. Na dobrą sprawę nigdy nie można być tego do końca pewnym. To zwykła rzecz, panie generale.

Odpowiedziało mu długie milczenie.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, Spaulding, że być może będziemy musieli pana kimś zastąpić - odezwał się wreszcie Swanson.

- Oczywiście. Może pan nawet zaraz to zrobić, jeśli ma pan ochotę.

Dawid mówił zupełnie poważnie. Bardzo chciał wrócić do Lizbony do Kraju Basków, a stamtąd do Valdero, żeby dowiedzieć się prawdy o szyfrancie nazwiskiem Marshall.

- Nie... Wszystko zaszło już za daleko. Najważniejsze są plany, nic innego nie ma znaczenia.

Pozostała część rozmowy dotyczyła szczegółów podróży, kwestii pieniędzy, uzupełnienia zapasu garderoby i bagażu. O tym wszystkim generał nie miał żadnego pojęcia i decyzje podejmował nie on, lecz Spaulding. Ostatnie polecenie, a właściwie żądanie, także wyszło od niego, nie od Swansona.

Ani Fairfax, ani nikt inny, z wyjątkiem personelu ambasady w Buenos Aires, nie mógł znać miejsca jego pobytu. Podstawowa sprawa to utrzymać tę informację z dala od Fairfax.

Dlaczego? Czyżby Spaulding podejrzewał...

- W Fairfax jest przeciek, panie generale. Byłoby dobrze, gdyby wiedzieli o tym w podziemiach Białego Domu.

- To niemożliwe!

- Proszę to powiedzieć wdowie po Edzie.

Dawid wyrzął przez okno; przed chwilą pilot poinformował pasażerów, że przelatują nad rozległym, przybrzeżnym jeziorem Mirim w Urugwaju. Wkrótce znajdą się nad Montevideo, czterdzieści minut od Buenos Aires.

Buenos Aires. Nieostry obraz, zamazane postaci Leslie Jenner Hawkwood, Marshalla, Franza Altmüllera; tajemniczy, zdecydowani na wszystko mężczyźni z 52 i 38 Ulicy - w ciemnej bramie, w biurówcu po godzinach urzędowania, na klatce schodowej; człowiek w windzie, który nie bał się śmierci. Przeciwnicy o niezwykłej odwadze... lub fanatycznej brawurze. Szaleńcy.

Rozwiązanie zagadki czekało w Buenos Aires, niecałą godzinę lotu stąd. To znaczy niecała godzina dzieliła go od miasta, natomiast od wyjaśnienia tajemnicy na pewno dużo więcej czasu. W każdym razie, o ile nie myliło go przecucie, nie więcej niż trzy tygodnie.

Tyle, ile trzeba będzie czekać na dostarczenie kompletnych planów.

Zacnie pomału, tak jak zawsze, kiedy stykał się z nowym zadaniem, usiłując najpierw wtopić się w tło, przyzwyczać do roli, oswoić ze środowiskiem. Jego rola stanowiła w gruncie rzeczy przedłużenie tej, którą grał w Lizbonie: pochodzącego z zamożnej rodziny, władającego trzema

językami attaché, którego wykształcenie i przedwojenne kontakty w modnych stolicach Europy czyniły pożądanym uczestnikiem przyjęć przy stole każdego ambasadora. Stanowił atrakcyjny dodatek do delikatnego świata neutralnej stolicy, a jeśli niektórzy podejrzewali, że ten bezpieczny luksus, z dala od pól bitewnych, zapewniały mu czyjeś pieniądze, to tym lepiej. Można było temu zaprzeczyć - zawsze stanowczo, ale nigdy gwałtownie. Na tym właśnie polegała różnica.

Oficjalnie został przeniesiony bezpośrednio do Lizbony, jego zadanie zaś, polegające na pośredniczeniu w kontaktach między brytyjsko-amerykańskimi kołami finansowymi a niemieckim uchodźcą Erichem Rhinemannem, otrzymało najwyższe preferencje i zostało określone jako „ściśle tajne”. Waszyngton, rzecz jasna, zaaprobował je bez wahania, spodziewano się bowiem, że powojenny obrót finansowy w rejonach rekonstrukcji i odbudowy przemysłu urośnie do rangi międzynarodowego problemu. W rozważaniach teoretycznych nikt nie mógł sobie pozwolić na luksus pominięcia Rhinemanna, a już na pewno nikt z wykładanych marmurami budynków w Bernie i Genewie.

Dawid przerwał rozmyślania, żeby skupić się ponownie na książce trzymanej w dłoniach. Był to drugi z sześciu tomów, które wybrał dla niego Lyons.

„Donald Scanlan” przeszedł bez kłopotów przez odprawę celną i paszportową. Nawet urzędnik z ambasady, rejestrujący wszystkich przybywających Amerykanów, zdawał się nic nie wiedzieć o jego prawdziwej tożsamości.

Z walizką w ręku Dawid wyszedł przed budynek dworca lotniczego, gdzie ujrzał długi rząd taksówek, obok których stali kierowcy. Nie był jeszcze przygotowany na to, żeby znowu zamienić się w Spauldinga i pojechać prosto do ambasady. Najpierw chciał się upewnić, że

„Donald Scanlan” został uznany za tego, za kogo się podawał, to znaczy za zwykłego inspektora górniczego, i że nikt nim się specjalnie nie zainteresował. Gdyby było inaczej, oznaczałoby to, że nie udało mu się ani na chwilę przestać być Dawidem Spauldingiem, funkcjonariuszem wywiadu, ostatnio przebywającym służbowo w Lizbonie.

Wybrał pulchnego, sprawiającego sympatyczne wrażenie kierowcę, który czekał wraz ze swoim pojazdem jako czwarty z kolei. Ci z przodu zaczęli głośno protestować, lecz Dawid udął, że tego nie słyszy; „Donald Scanlan” mógł trochę znać hiszpański, ale z pewnością nie na tyle, żeby zrozumieć wymyślne epitety, jakimi obrzucali go wściekli taksówkarze.

Znalazłszy się we wnętrzu samochodu powiedział tłustemu kierowcy, że ma jeszcze godzinę do umówionego spotkania - nie wspominając, gdzie ma to spotkanie nastąpić - i zapytał, czy nie mógłby obwieźć go trochę po mieście. Wycieczka miała służyć dwóm celom: po pierwsze przekona się, czy nie jest śledzony, a po drugie pozna najważniejsze miejsca.

Taksówkarz, na którym doskonały, bezbłędny hiszpański Dawida wywarł ogromne wrażenie, chętnie podjął się roli przewodnika i ruszył żwawo z miejsca, opuszczając teren portu lotniczego położonego na terenie rozległego parku im. 3 Lutego.

Pół godziny później Dawid miał już kilka stron zapełnionych notatkami. Miasto przypominało europejską enklawę na kontynencie południowoamerykańskim, stanowiąc niezwykłą mieszankę Paryża, Rzymu i środkowej Hiszpanii. Ulice nie były zwyczajnymi ulicami, a raczej szerokimi, barwnie udekorowanymi bulwarami, przy których co chwila widziało się fontanny i liczne pomniki. Avenida 9 de Julio równie dobrze mogła być nieco większą Via Veneto lub Saint-Germain-des-Prés. Niezliczone kawiarenki o bogato zdobionych markizach i obstawione setkami donic z najróżniejszymi roślinami roły się od ludzi, spędzających w nich letnie popołudnie. O tym, że w Argentynie rzeczywiście było lato, przypomniał Dawidowi pot, który obficie wystąpił mu na karku i piersiach. Kierowca przyznał, że istotnie dzień jest nadzwyczaj ciepły, zdaje się, że sporo powyżej siedemdziesięciu stopni Fahrenheita.

Spaulding powiedział, że chciałby między innymi zobaczyć dzielnicę San Telmo, na co taksówkarz skinął głową z aprobatą, jakby udowadniając sobie, że jednak dobrze ocenił

zamożnego Amerykanina. Wkrótce Dawid zrozumiał, dlaczego; San Telmo było dokładnie takie, jak powiedział Kendall: eleganckie, odizolowane, znakomicie utrzymane stare wille i domy o balkonowych balustradach z kutego żelaza i tysiącach kwiatów rosnących wzdłuż nienagannie czystych ulic.

Eugene Lyons powinien czuć się tutaj bardzo dobrze.

Następnie kierowca wrócił do centrum miasta i rozpoczął objazd od brzegów Rio de la Plata.

Plaza de Mayo, Cabildo, Casa Rosada, Calle Rivadavia - kolejne nazwy trafiały do notatnika Dawida. Ulice, place i miejsca, których szybko się nauczył.

La Boca, leżąca na południu portowa dzielnica miasta, według kierowcy raczej nie polecana zagranicznym turystom.

Calle Florida, miejsce, gdzie można dokonać najwspanialszych zakupów w całej Ameryce Południowej. Taksówkarz znał osobiście wielu sklepikarzy, u których znajdował się ogromny wybór nadzwyczaj atrakcyjnych towarów po niezwykle niskich cenach, więc może...

Niestety, może innym razem. Do notatnika trafiła natomiast informacja, że wewnątrz dzielnicy był zakazany jakikolwiek ruch samochodowy.

Następnie taksówka skierowała się Avenida Santa Fe w kierunku Palermo. Żaden widok w Buenos Aires nie mógł się równać z Palermo.

Jednak Dawida bardziej niż piękno zainteresował duży park, czy też raczej kilka przylegających do siebie parków, spokojne, rozległe, sztuczne jezioro, ogrody botaniczne i wielkie zoo z rzędami klatek i budynków.

Minęła godzina, za taksówką nie jechał żaden samochód. Nikt nie śledził „Donalda Scanlana”, więc mógł się pojawić Dawid Spaulding.

Niepostrzeżenie.

Kazał kierowcy wysadzić się na postoju przed wejściem do zoo; właśnie tam miał

umówione spotkanie. Taksówkarz sprawiał wrażenie kompletnie zbitego z tropu. Jak to, nie do hotelu? Czyżby Amerykanin nie wiedział jeszcze, gdzie się zatrzyma?

Spaulding nie odpowiedział, tylko zapytał o należność i wręczył ją, nie zapominając o napiwku. Jakiegokolwiek pytania były zupełnie nie na miejscu.

Piętnaście minut, które spędził w ogrodzie zoologicznym, sprawiły mu autentyczną przyjemność. Kupił sobie loda i wędrował wzdłuż klatek z małymi małpkami i orangutanami, odkrywając w nich nadzwyczajne podobieństwa do wielu spośród swoich przyjaciół i wrogów, a kiedy poczuł się zupełnie spokojny i bezpieczny - na tyle, na ile może czuć się żołnierz przed bitwą - wyszedł z zoo i skierował się na postój taksówek.

Odczekał jakieś pięć minut, pozwalając załadować się do samochodów dzieciom, guwernantkom i matkom. Wreszcie nadeszła jego kolej.

- Do ambasady amerykańskiej, *por favor*.

Ambasador Henderson Granville poświęcił równe pół godziny swemu nowemu attaché. Jakiegoś innego dnia usiądą sobie i pogawędzą do woli, ale na pewno nie w niedzielę; niedziele były okropne. Cała reszta Buenos Aires szła do kościoła lub na spacer, natomiast dyplomaci szli do pracy.

Dzisiaj czekały go jeszcze dwa garden-party - lada chwila powinien otrzymać przez telefon informację o tym, kiedy zamierzają pojawić się na nich goście z ambasad Niemiec i Japonii, a wtedy będzie mógł odpowiednio zaplanować swój rozkład jazdy. Po drugiej garden-party był jeszcze przewidziany obiad w ambasadzie Brazylii, już bez niemieckich i japońskich gości. Zdaje się, że Brazylia znajduje się coraz bliżej chwili, kiedy opowie się zdecydowanie za jedną ze stron - nietrudno zgadnąć którą.

- Musi pan wiedzieć, że Włosi już się praktycznie nie liczą - powiedział uśmiechając się do Spauldinga. - Właściwie, to tutaj nigdy się nie liczyli. Większość czasu spędzali usiłując dopaść nas gdzieś w restauracji lub dzwoniąc z automatów i tłumacząc, że Mussolini zrujnował ich kraj.

- Podobnie było w Lizbonie.

- Obawiam się, że to jedyne przyjemne podobieństwo... Nie zamierzam pana zanudzać dokładnym wyliczaniem wszystkich przewrotów, jakie tu przeżyliśmy, ale krótki szkic i zasygnalizowanie najistotniejszych szczegółów powinny pomóc panu w zorientowaniu się w ogólnej sytuacji. Przypuszczam, że przeczytał pan sobie trochę?

- Nie miałem zbyt wiele czasu. Wyjechałem z Lizbony zaledwie tydzień temu. Wiem tylko tyle, że obalono rząd Castillo.

- W czerwcu. To było do przewidzenia... Ramon Castillo był bez wątpienia najgorszym prezydentem w historii Argentyny, a to już o czymś świadczy, może mi pan wierzyć. Sytuacja ekonomiczna osiągnęła dno, rolnictwo i przemysł właściwie przestały cokolwiek produkować. Jego gabinet nie zrobił nic, żeby postarać się wejść w lukę, jaką na rynku wołowiny spowodowało zaangażowanie się Wielkiej Brytanii w wojnę, choć znaczna część ministrów była już przekonana, że stary John Bull wyciągnął nogi. Zasłużył sobie na to, żeby go obalono... Niestety, to, co przyszło po nim, a właściwie wmaszerowało, żeby być w zgodzie z prawdą, jak na razie wcale nie poprawiło sytuacji.

- Mówi pan o juncie wojskowej?

Granville wykonał wymowny gest swymi delikatnymi dłońmi, a na jego starej twarzy o arystokratycznych rysach pojawił się sardoniczny grymas.

- Grupo de Oficiales Unidos! Najbardziej obrzydliwa banda umundurowanych oportunistów chodzących jak na defiladzie, jaką można sobie wyobrazić. Wie pan z pewnością, że cała armia została wyszkolona przez oficerów Wehrmachtu. Proszę teraz dodać do tego gorący, południowy temperament, ekonomiczny chaos i wymuszoną, ale traktowaną przez wszystkich z przymrużeniem oka neutralność, i co otrzymujemy? Całkowity bezwład aparatu politycznego, bez jakiegokolwiek kontroli i równowagi. Państwo policyjne, którym rządzi korupcja.

- W takim razie, czemu należy przypisać zachowanie neutralności?

- Walkom wewnętrznym. W łonie GOU - oni tak to tutaj nazywają - istnieje więcej frakcji niż w Reichstagu w roku 1929, i wszystkie pchają się do władzy. Oprócz tego, rzecz jasna, dużą rolę odgrywa paniczny strach przed chłopcami z drugiej strony ulicy, jeśli tak można powiedzieć, czyli przed marynarką i lotnictwem USA. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy junta zaczęła wyraźnie zmieniać swe nastawienie; pułkownicy, którym szalenie imponują dostarczane przez nas linie produkcyjne i nasze zaopatrzenie, zaczynają zastanawiać się nad sensem zamieszania, które wszczęli ich dotychczasowi protektorzy.

- Trudno im się dziwić, przecież...

- W grę wchodzi jeszcze jedna sprawa. - Granville nie pozwolił dojść mu do słowa. -

W Argentynie mieszka niewielka, ale bardzo zamożna społeczność żydowska. Na przykład pański Erich Rhinemann. GOU nie może zdobyć się na otwarte poparcie rozwiązań stosowanych przez Juliusa Streichera, bo już płaciła żydowskimi pieniędzmi odsetki od kredytów, które zmarnował Castillo. Pułkownicy, jak niemal wszyscy wojskowi, boją się operacji finansowych, ale na tej wojnie można zarobić masę pieniędzy i oni mają zamiar skorzystać z okazji... Czy mój szkic jest wystarczająco przejrzysty?

- Powiedziałbym, że nieco skomplikowany.

- Zgadza się. Mamy tutaj takie nasze powiedzonko, które jak dotąd sprawdza się niemal w stu procentach. Dzisiejszy przyjaciel jutro najprawdopodobniej znajdzie się już na usługach Niemców, ale wczorajszy kurier z Berlina będzie do kupienia nie później, niż w przyszłym tygodniu. Należy być otwartym na wszystkie możliwości i zachowywać swoje opinie wyłącznie dla siebie, będąc jednocześnie bardziej podatnym na sugestie z zewnątrz, niż byłoby dozwolone w innym kraju. Tutaj jest to tolerowane.

- I oczekiwane?

- Też.

Dawid zapalił papierosa. Zależało mu na tym, żeby zmienić temat rozmowy, stary Granville bowiem należał do tych zawodowych dyplomatów, którzy potrafili całymi dniami rozwodzić się o zawiłościach swej pracy, pod warunkiem, że udało im się znaleźć chętnego słuchacza. Ludzie ci z reguły byli znakomitymi dyplomatami, ale znacznie gorszymi partnerami w chwilach, gdy wszystko zależało od błyskawicznego, praktycznego działania.

Jedno w każdym razie na pewno nie ulegało wątpliwości: Henderson Granville był dobrym człowiekiem. Wszystkie troski znajdowały odbicie w jego oczach i były to troski uczciwego człowieka.

- Przypuszczam, że Waszyngton poinformował pana o moim zadaniu?

- Tak. Żałuję, ale nie mogę powiedzieć, żebym się z tego cieszył. Nie, nie chodzi o pana; pan ma swoje instrukcje. Poza tym przypuszczam, że najróżniejsze międzynarodowe interesy będą trwały jeszcze długo po tym, jak Herr Hitler wywrzeszczy swoje ostatnie przemówienie... Coś mi się wydaje, że nie jestem lepszy niż GOU. Wszelkie sprawy związane z finansami wywołują u mnie odrazę.

- Szczególnie sprawy tego typu, jak sądzę.

- Istotnie. Erich Rhinemann to bardzo potężny przyjaciel, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale całkowicie pozbawiony sumienia. Jego moralność można przyrównać do moralności huraganu. Najbardziej nieuczciwy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Wydaje mi się w najwyższym stopniu odrażające, że wyłącznie dzięki jego zasobom uznano go za równorzędnego partnera Londynu i Nowego Jorku.

- Powiedzmy, że za partnera użytecznego.

- Przypuszczam, że właśnie w taki sposób usiłuje się to usprawiedliwić.

- Nie, to tylko moje domysły.

- Oczywiście. Proszę wybaczyć staremu człowiekowi, że ma tak nienowoczesne pojęcie o

użyteczności. Ale przecież nie będziemy się o to sprzeczać. Otrzymał pan określone zadanie; co mogę dla pana zrobić? Domyślam się, że raczej niewiele.

- Rzeczywiście, sir. Proszę tylko wpisać mnie na listę pracowników ambasady i przydzielić jakiegokolwiek biuro, byle tylko z drzwiami i telefonem. Chciałbym także spotkać się z pańskim szyfrantem, bo będę musiał przesłać zakodowaną depezę.

- Mój Boże, to brzmi imponująco - powiedział Granville, uśmiechając się bez cienia wesołości.

- Tylko rutynowe działanie, sir.

- Dobrze. Nasz główny szyfrant nazywa się Ballard. Miły facet; włada siedmioma czy ośmioma językami i jest mistrzem we wszystkich grach towarzyskich. Zaraz pan go pozna.

Co jeszcze?

- Jakieś mieszkanie...

- Tak, wiemy - przerwał mu grzecznie Granville, rzuciwszy przelotne spojrzenie na ścienny zegar. - Pani Cameron już je wyszukała, chyba powinno się panu spodobać.

Waszyngton nie poinformował nas, jak długo zamierza pan pozostać, więc wynajęła je na trzy miesiące.

- To za dużo. Sprostuję... Wydaje mi się, że to chyba wszystko, panie ambasadorze.

Wiem, że pan się śpieszy.

- Obawiam się, że tak jest w istocie.

Dawid uniósł się z fotela i to samo uczynił Granville.

- Aha, jeszcze jedno, sir. Czy Ballard będzie miał listę pracowników ambasady?

Chciałbym nauczyć się wszystkich nazwisk.

- Nie ma ich aż tak wiele - odparł Granville z lekkim niezadowoleniem w głosie. - Na co dzień będzie się pan spotykał z co najwyżej ośmioma lub dziesięcioma osobami. Poza tym mogę pana zapewnić, że nie zaniedbujemy żadnych środków ostrożności.

Dawid przyjął wymówkę z kamienną twarzą.

- Nie miałem tego na myśli, sir. Naprawdę chciałbym tylko poznać wcześniej nazwiska ludzi, z którymi będę pracował.

- Tak, oczywiście. - Ambasador wyszedł zza biurka i odprowadził Spauldinga do drzwi. - Proszę przez chwilę porozmawiać z moją sekretarką, a ja spróbuję złapać Ballarda.

On wszystko panu pokaże.

- Dziękuję, sir.

Dawid podał mu dłoń i w tym momencie po raz pierwszy zwrócił uwagę, że Granville jest znacznie wyższy od niego.

- Wie pan, chciałbym zadać panu jeszcze jedno pytanie, ale na odpowiedź będę musiał trochę poczekać, bo dzisiaj nie mam już czasu - powiedział ambasador, zwalniając uścisk ręki.

- Słucham.

- Zastanawiam się, dlaczego chłopcy z Wall Street i Strandu przysłali właśnie pana.

Nie wydaje mi się, żeby w Nowym Jorku lub Londynie nagle zabrakło doświadczonych bankierów, prawda?

- Rzeczywiście, chyba nie. Ale ja jestem jedynie łącznikiem przenoszącym informacje, które, jak mi się wydaje, nie powinny dotrzeć do niepowołanych uszu. W tej dziedzinie miałem już pewne doświadczenia w... jednym z neutralnych krajów.

Granville uśmiechnął się ponownie, ale także i w tym uśmiechu nie sposób było dopatrzeć się ani śladu wesołości.

- Tak, oczywiście. Byłem pewien, że istnieje jakiś powód.

Ballard miał dwie cechy wspólne wszystkim szyfrantom: był niedbałym cynikiem i niewyczerpanym źródłem informacji. W opinii Spauldinga obie te cechy były wynikiem długich lat spędzonych przy zaszyfrowywaniu i odszyfrowywaniu czyichś tajemnic, z których większość okazywała się całkowicie nieistotna. Był także obarczony imieniem Robert, w zasadzie całkowicie do zaakceptowania, ale połączenie z nawiskiem Ballard doprowadziło nieuchronnie do zamiany w Bobby'ego. Bobby Ballard. Kojarzyło się z jakimś bawidamkiem z lat dwudziestych albo reklamą płatków owsianych.

On sam był kimś zupełnie innym: lingwistą o matematycznym umyśle, człowiekiem niezbyt postawnym, ale muskularnym. Na głowie miał strzechę rudych włosów i był bardzo sympatyczny.

- Tak wygląda nasz dom - powiedział. - Widział pan już część oficjalną: dużą, barokową i cholernie gorącą o tej porze roku. Mam nadzieję, że był pan sprytny i wynajął

sobie mieszkanie.

- A pan nie? Mieszka pan tutaj?

- Dla mnie to wygodniej; moi klienci są całkowicie nieobliczalni i dzwonią o najdziwniejszych porach. Lepiej być na miejscu, niż za każdym razem wlec się z Chacarity albo z Telmo. Poza tym nie jest tak źle, bo wszyscy staramy się nie wchodzić sobie za bardzo w drogę.

- Doprawdy? A dużo was tu jest?

- Różnie, bo jedni przyjeżdżają, a drudzy wyjeżdżają, ale najczęściej około sześciu sztuk. W dwóch skrzydłach, wschodnim i południowym. Granville zajmuje apartamenty w północnym, a oprócz niego na stałe mieszkam tu tylko ja i Jean Cameron. Jean pozna pan jutro, chyba że spotkamy ją, kiedy będzie wychodzić ze staruszką, bo zwykle zabiera ją ze sobą na wszystkie dyplonudy.

- Dyplo-co?

- Dyplonudy. Staruszek sam wymyślił to określenie; dziwne, że nie użył go w rozmowie z panem, bo jest z tego strasznie dumny. Dyplonuda to obowiązkowe przyjęcie w jakiejś ambasadzie. - Znajdowali się w obszernym, pustym hallu; Ballard otworzył francuskie drzwi prowadzące na niewielki balkon. W oddali można było dostrzec wody La Platy i basen Puerto Nuevo, głównego portu Buenos Aires. - Ładny widok, prawda?

- Bardzo. - Dawid wyszedł na balkon. - Czy ta Jean Cameron i ambasador... To znaczy, czy oni...

- Jean i staruszek? - Ballard wybuchnął głośnym, szczerym śmiechem. - Ależ skąd!

Chociaż, kiedy się nad tym zastanowić, to nie wiem, dlaczego mnie to śmieszy.

Przypuszczam, że wielu ludzi uważa to za pewnik, a właśnie to jest śmieszne.

- Dlaczego?

- Można powiedzieć, że raczej smutno-śmieszne - kontynuował Ballard. - Zarówno staruszek, jak i rodzina Cameronów należą do starych, marylandzkich rodów. Wie pan: jachty, puchate sweterki, poranne partyjki tenisa, jednym słowem - wyższe sfery. Jean także do nich należała, a potem wyszła za mąż za Camerona, którego znała od dziecka, bawiła się z nim w lekarza, kiedy starsi nie widzieli. Wkrótce po ich ślubie wybuchła wojna i on zamienił

książki prawnicze na drążek sterowy samolotu. Latał z lotniskowca, a w ubiegłym roku zginął w Zatoce Leyte. Kiedy się o tym dowiedziała, dostała małego bzika, a może nawet nie takiego małego?

- Więc Granville ściągnął ją tutaj?

- Otóż to.

- Miła terapia, pod warunkiem, że można sobie na nią pozwolić.

- Z pewnością zgodziłaby się z panem. - Ballard wszedł z powrotem do hallu, a Dawid za nim. - Ale chyba każdy powie panu, że ona nie ma tego za darmo: pracuje potwornie ciężko, a poza tym wie, co robi. Ma także swoje gorsze dni, rzecz jasna, ale w końcu od czego są dyplonudy?

- A gdzie jest pani Granville?

- Nie mam pojęcia. Rozwiodła się ze staruszkiem jakieś dziesięć czy piętnaście lat temu.

- Mimo wszystko nadal uważam, że to niezła praca, pod warunkiem, że się ją dostanie.

Mówiąc to Dawid myślał o setkach tysięcy kobiet, które również utraciły swoich mężów i żyły z dnia na dzień w domach wypełnionych wspomnieniami. Otrząsnął się, postanawiając wziąć się w garść; to nie jego zmartwienie.

- Ma wszelkie potrzebne kwalifikacje.

- Proszę? - Dawid nie dosłyszał, przyglądał się bowiem pilastrom ozdobionym rokokowymi ornamentami.

- Spędziła tu w sumie cztery lata jako dziecko. Jej ojciec pracował w Departamencie Stanu i pewnie dzisiaj byłby już ambasadorem, gdyby tam pozostał... Pokażę panu biuro, które wyznaczył panu Granville. Mam nadzieję, że zdążyli je już wysprzątać.

- A więc ta rozmowa to była dywersja z pańskiej strony - roześmiał się Dawid, idąc za szyfrantem długim korytarzem.

- Nie miałem wyboru. Dostał pan pokój daleko na zapleczu. Podejrzewam, że do tej pory był

używany jako magazyn.

- Chyba mu trochę podpadłem.

- Tak mi się wydaje. Nie może pana rozgryźć... Ja? Ja nawet nie próbuję. - Ballard skręcił w lewo, w kolejny korytarz. - To jest południowe skrzydło. Biura znajdują się na parterze i piętrze, załedwie po trzy, a na drugim i trzecim piętrze mieszkania. Dach znakomicie nadaje się do opalania, jeśli pan to lubi.

- Zależy od towarzystwa.

Mijali właśnie szerokie schody, kiedy z góry dobiegł donośny, kobiecy głos:

- Czy to ty, Bobby?

- To właśnie Jean - rzucił szeptem Ballard, a głośno odpowiedział: - Tak, jestem ze Spauldingiem. Chodź tu prędko, poznasz nowy nabytek o takich wpływach, że od razu dostaje własne mieszkanie.

- Zaczekaj, aż je zobaczy!

Zza zakrętu schodów wyłoniła się Jean Cameron. Była szczupła i dość wysoka, ubrana w elegancką, sięgającą do ziemi suknię o interesujących barwach, ale prostym kroju.

Jasnobrązowe, gęste włosy opadały jej na ramiona, twarz zaś stanowiła mieszankę wielu bardzo wyrazistych cech stopionych w stonowaną, delikatną całość: duże, intensywnie błękitne oczy, szczupły nos, lekko uśmiechnięte usta. Jej bardzo jasna skóra była pokryta patyną argentyńskiego słońca.

Dawid zorientował się, że Ballard nie spuszcza go z oka, oczekując jego reakcji na ten bez wątpienia bardzo interesujący widok. Na twarzy szyfranta gościł zabawny, lekko cierpki grymas, który Spaulding bez trudu zinterpretował: Ballard był już u źródła i przekonał się, że jest wyschnięte, jeśli nie liczyć kilku kropel chłodnej wody. Teraz występował jedynie w roli przyjaciela, wiedząc dobrze, że to jedyne, na co może liczyć.

Jean Cameron wydawała się nieco zakłopotana niespodziewanym spotkaniem. Zeszła prędko na dół i na jej ustach pojawił się najbardziej szczerzy uśmiech, taki, jakiego Dawid nie widział już od bardzo wielu lat. Szczerzy i całkowicie pozbawiony jakichkolwiek podtekstów.

- Witam - rzekła podając mu dłoń. - Dzięki Bogu, że mam okazję przeprosić pana, zanim pan tam wejdzie. Niewykluczone, że zmieni pan zdanie i przeprowadzi się tutaj, do nas.

- Czyżby było aż tak źle?

Z bliska okazało się, że Jean nie jest tak młoda, jak się wydawało, kiedy stała na schodach; z całą pewnością przekroczyła trzydziestkę. Wydawało się, że zdaje sobie doskonale sprawę z tego, iż stanowi obiekt błyskawicznej, ale szczegółowej oceny, lecz było jej to zupełnie obojętne.

- Na krótki pobyt powinno wystarczyć. Zresztą, gdy się jest Amerykaninem, nie powinno się liczyć na nic innego. Tyle tylko, że jest bardzo małe.

Uścisk jej dłoni był mocny, niemal męski.

- Jestem wdzięczny za to, że zadała sobie pani tyle trudu, i przepraszam za kłopot.

- Gdyby załatwiał to ktoś inny, z całą pewnością wylądowałby pan w hotelu -

powiedział Ballard, dotykając przelotnie ramienia dziewczyny. Czyżby chciał w ten sposób zaznaczyć swoje pierwszeństwo? - przemknęło Dawidowi przez myśl.

- Porteños ufają Mamie Cameron, ale nie nam.

- Porteños - wyjaśniła Jean w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Spauldinga - to ludzie mieszkający w BA...

- BA zaś oznacza zapewne stan Montevideo - uzupełnił Dawid.

- Proszę, przysłali nam naprawdę bystrego faceta - z uznaniem pokiwał głową Ballard.

- Przyzwyczaj się pan do tego - kontynuowała Jean. - Wszyscy Anglicy i Amerykanie, którzy tu mieszkają, tak właśnie mówią. Chyba dlatego, że ciągle widzimy to we wszystkich dokumentach.

- Nieprawda - wtrącił się Ballard. - Po prostu dyftongi w słowach „Buenos” i „Aires” są okropnie niewygodne.

- O tym także bardzo szybko się pan przekona, panie Spaulding - odparła Jean, spoglądając ciepło na Ballarda. - Nigdy nie należy wygłaszać przy Bobbym żadnych opinii.

Ma skłonność do niezgadania się z każdym, wszędzie i na każdy temat.

- Wcale nie - zaprotestował szyfrant. - Po prostu troszczę się o współwięźniów, starając się ich oświecić i przygotować do życia na wolności, kiedy uzyskają ułaskawienie.

- Ja dostałam właśnie czasową przepustkę i jeśli natychmiast nie zjawię się w biurze ambasadora, zaczniesz mnie szukać przez telefon... Jeszcze raz serdecznie witam, panie Spaulding.

- Na imię mam Dawid.

- A ja Jean. Do zobaczenia! - Pobiegła przed siebie korytarzem, ale po chwili zatrzymała się jeszcze na chwilę i zawołała do Ballarda: - Bobby? Masz adres i klucze do mieszkania... Dawida?

- Mam. Możesz iść i się ululać. Ja się wszystkim zajmę.

Jean Cameron zniknęła w drzwiach po prawej stronie korytarza.

- Bardzo atrakcyjna i zdaje się, że jesteście dobrymi przyjaciółmi - zauważył

Spaulding. - Powinienem chyba przeprosić za...

- Nie, nie trzeba - przerwał mu Ballard. - Nie ma za co. Opierając się na niewystarczającej ilości faktów doszedł pan do pochopnych wniosków, podobnie jak ja bym zrobił na pańskim miejscu. Ale nie musi pan zmieniać swojego zdania, nie ma powodu.

- Ona ma rację: pan już z góry nie zgadza się, nie wiedząc jeszcze z czym, a potem zabiera się pan za szczegółową analizę przyczyn, które go do tego skłoniły. Gdyby dać panu dosyć czasu, najprawdopodobniej zabrałby się pan w końcu za podważanie podstaw swojej poprzedniej decyzji.

- Wie pan co? Z tym akurat się zgadzam. To chyba niepokojące?

- Z wami nie sposób dojść do ładu - roześmiał się Dawid, ruszając za swoim przewodnikiem nieco węższym korytarzem, zaczynającym się zaraz za schodami.

- Zerkniemy na pańską służbową celę, a potem zawiozę pana do tej drugiej, prywatnej.

Jest w Cordobie, a my znajdujemy się teraz w Corrientes. To jakieś dziesięć minut jazdy stąd.

Dawid jeszcze raz podziękował Bobby'emu Ballardowi i zamknął drzwi swojego mieszkania. Wymówił się zmęczeniem podróży, którą poprzedziło zbyt huczne powitanie w Nowym Jorku - jeden Bóg wiedział, że niewiele skłamał - więc czy Ballard nie będzie tak uprzejmy i przełoży zaproszenie na kolację na jakiś inny dzień?

Wreszcie sam, rozejrzał się dokładnie po mieszkaniu. Nie było nawet takie okropne, ale na pewno małe: sypialnia, pokój stanowiący jedną całość z kuchnią i łazienką. Miało jednak jedną zaletę, o której nie wspomniała Jean Cameron - było usytuowane na parterze, z tyłu zaś znajdowało się patio wyłożone cegłami, otoczone wysokim murem, udekorowane licznymi donicami z najróżniejszymi, zwieszającymi się roślinami. Pośrodku niewielkiego placzyku rosło jakieś karłowate drzewo owocowe, którego nie potrafił zidentyfikować, a wokół

niego stały trzy wyplatane krzesła - z całą pewnością dni świetności miały już za sobą, ale sprawiały wrażenie nadzwyczaj wygodnych. Jeżeli chodziło o jego osobiste zdanie, to ten jeden plus rekompensował wszystkie minusy.

Ballard podkreślił fakt, że ta część Avenida Cordoba, przy której stoi dom, przylega bezpośrednio do dzielnicy handlowej, stanowiącej śródmieście Buenos Aires. Według niego lokalizacja była bardzo dobra: w miarę elegancko, ale zarazem blisko sklepów i restauracji, co dla nowo przybyłego z pewnością stanowiło spore ułatwienie.

Dawid podniósł słuchawkę; sygnał odezwał się z pewnym opóźnieniem, ale był.

Odłożył ją na widełki i podszedł do lodówki; otworzywszy ją nie mógł powstrzymać się - od mimowolnego uśmiechu. Pani Cameron zaopatrzyła ją - lub kazała komuś zaopatrzyć - w podstawowe artykuły: mleko, masło, chleb, jajka, kawę, a także, co zauważył z ukontentowaniem, w dwie butelki wina, Orfila i Colón. Zamknął lodówkę i wrócił do sypialni.

Rozpakował walizkę, wyjął z niej zawiniętą starannie na czas podróży butelkę whisky i zanotował sobie w pamięci, żeby jutro z samego rana dokupić trochę rzeczy do ubrania.

Ballard zaofiarował się pójść z nim do sklepu w Calle Florida, o ile, rzecz jasna, nie będą akurat „dzwonić” jego „klienci”. Otrzymane od Lyonsa książki położył na nocnym stoliku; przebrnął już przez dwie i powoli zaczynał nabierać pewności w posługiwaniu się językiem aerofizyki. Dla całkowitej pewności będzie jeszcze musiał przestudiować trochę tekstów po niemiecku. Jutro zajrzy do księgarń i antykwariatów w dzielnicy niemieckiej. Nie potrzebuje opasłych ksiąg, a co najwyżej kilkudziesięciu stron, żeby porównać sposób używania i znaczenie poszczególnych terminów. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że najważniejsza część jego zadania polegała na czymś innym.

Nie wiadomo dlaczego przyszedł mu na myśl Walter Kendall, który albo już był w Buenos Aires, albo miał się tu zjawić lada godzina. Opuścił Stany Zjednoczone prawie jednocześnie z Dawidem, ale podróżował krótszą drogą, ze znacznie mniejszą liczbą międzylądowań.

Rozważał przez chwilę ewentualność, żeby pojechać na lotnisko i sprawdzić, czy Kendall przyleciał. Jeśli nie, mógłby na niego zaczekać, a jeśli tak, to wystarczyło tylko zapytać w hotelach. Nie powinno to nastęrczać większych trudności, bowiem według słów Ballarda w całym mieście były tylko trzy lub cztery hotele o dobrym standardzie.

Jednak perspektywa spędzenia z tym odrażającym człowiekiem choćby minuty więcej, niż było to absolutnie nieodzowne, z całą pewnością nie należała do najprzyjemniejszych. Kendall bez wątpienia wściekłby się, że Spaulding przyleciał do Argentyny, zanim on wydał odpowiednie polecenie Swansonowi, i zażądałby wyjaśnień, których Dawid nie miał najmniejszego zamiaru mu udzielić, a być może wysłałby nawet jakąś ostrą depezę do i tak już dostatecznie zestresowanego generała.

Wcześniejsze, niż planowano, nawiązanie kontaktu z Walterem Kendallem nie niosło w perspektywie żadnych korzyści, a jedynie same niedogodności.

Dawid miał co innego do roboty: wyjaśnienie tajemnicy nieostrego obrazu. Będzie znacznie wygodniej, jeśli zacznie poszukiwania zupełnie sam.

Z butelką whisky w rękę przeszedł z powrotem do kuchni-salonu i wyjął z lodówki pojemnik z lodem. Zrobił sobie drinka, po czym spojrzał z namysłem na podwójne drzwi, prowadzące na miniaturowe patio. Tak, chyba będzie przyjemnie posiedzieć o zmierzchu w ciepłych powiewach letniego, styczniowego wiatru.

Słońce kryło się już za murami miasta i jego ostatnie, pomarańczowe promienie z trudem przenikały przez gęste liście nie znanego Spauldingowi drzewa. Dawid rozprostował

nogi i rozparł się wygodnie na plecionym krześle; miał wrażenie, że gdyby zamknął choć na chwilę oczy, otworzyłby je dopiero po kilkunastu godzinach. Musiał uważać, żeby tak się rzeczywiście nie stało - doświadczenie, nauczyło go, że przed dłuższym spoczynkiem zawsze należy coś zjeść.

Jedzenie już dawno przestało być dla niego przyjemnością, zamieniając się w prostą konieczność, związaną w bezpośredni sposób z zaspokajaniem jego potrzeb energetycznych.

Zastanawiał się, czy kiedyś ta przyjemność powróci, wraz z wieloma innymi doznaniem, z których musiał zrezygnować. W Lizbonie miał zapewnione pod każdym względem najlepsze warunki, jakie można było sobie wyobrazić, teraz zaś znajdował się w mieście, w którym bez trudu mógłby pławić się w najwymyślniejszym luksusie.

Jednak dla niego był to po prostu teren działania, tak jak Kraj Basków i Nawarra, gdzie spędził wiele bezsennych, zimnych nocy i upalnych dni, przyczajony w zasadzce, czekając na okazję, żeby zabić.

Podniósł na chwilę głowę, pociągnął łyk ze szklanki trzymanej w dłoni i ponownie pozwolił jej opaść na oparcie krzesła. Gdzieś w koronie drzewa świergotał zapamiętałe jakiś mały ptaszek, najwyraźniej zirytowany jego obecnością. Jego głos przypominał Dawidowi, jak często w lesie nasłuchiwał śpiewu właśnie takich ptaków, które przekazywały sobie nawzajem wiadomości o skradających się, niewidocznych dla niego ludziach. Czasem odnosił

wrażenie, że potrafi wyłowić z przenikliwego świergotu informację o ich liczbie i kierunku, z którego nadchodzili.

W tej chwili uświadomił sobie, że ptaszek wcale nie szczebiocze z jego powodu.

Skakał nerwowo z gałęzi na gałąź, coraz szybciej, coraz niespokojniej.

Chodziło o kogoś innego.

Spod półprzymkniętych powiek Dawid spojrzał w górę, nieco w bok od drzewa.

Zrobił to nie poruszając głową ani żadną inną częścią ciała, jakby było to ostatnie spojrzenie przed zaśnięciem.

Dom miał trzy piętra i dach o bardzo niewielkim spadku, pokryty czymś w rodzaju brązoworóżowej terakoty. Niemal wszystkie okna pokoi znajdujących się ponad jego mieszkaniem były otwarte, żeby wpuścić do środka przynoszące ochłodę powiewy znad La Platy. Słyszał jedynie strzępy przyciszonych rozmów, nic poza tym, żadnych niepokojących hałasów. Według słów Ballarda była to pora argentyńskiej sjesty, różniącej się znacznie od rzymskiego popołudnia lub paryskiego lunchu. Według standardów obowiązujących w świecie obiad w Buenos Aires jadano bardzo późno: dziesiąta, jedenasta czy nawet dwunasta w nocy nie należały wcale do wyjątków.

Niepokój ptaka z pewnością nie był związany z mieszkańcami domu, ale mimo to jego alarmujący świergot nie ustawał nawet na chwilę.

I dopiero wtedy Dawid zobaczył dlaczego.

Na dachu, częściowo skryci za koroną drzewa, czaili się dwaj mężczyźni.

Wychylali się ostrożnie, patrząc w dół; nie miał najmniejszych wątpliwości, że na niego.

Przekręcił lekko głowę, jakby wreszcie spłynął na niego oczekiwany sen, opierając ją na ramieniu i jednocześnie opuszczając dłoń ze szklanką tuż nad wyłożoną ceglami powierzchnię patio.

Pomogło; widział teraz znacznie lepiej, choć wciąż niezbyt dokładnie. W każdym razie wystarczająco dobrze, by dostrzec na tle pomarańczowego nieba wyraźny zarys lufy karabinu, trzymanego pod pachą przez mężczyznę znajdującego się z lewej strony. Nie celował, ograniczał się do obserwowania dziedzińca otoczonego murem.

Mimo to broń sprawiała złowieszcze wrażenie, tak jakby znajdowała się w dłoniach pewnego siebie strażnika, który wie o tym, że płot jest zbyt wysoki i będzie miał dość czasu, aby wymierzyć i celnie strzelić.

Dawid kontynuował przedstawienie: uniósł lekko dłoń ze szklanką i wypuścił ją z palców. Odgłos rozbijającego się szkła „obudził” go; potrząsnął głową i potarł dłonią oczy, jednocześnie unosząc lekko głowę. Sylwetki na dachu cofnęły się nieco, a więc nie należało spodziewać się natychmiastowych strzałów - w każdym razie skierowanych w niego.

Pozbierał z ziemi kawałki szkła, wstał z krzesła i poszedł do mieszkania krokiem zmęczonego człowieka, złęgo na samym sobie za taką niezręczność.

Znalazłszy się pod dachem wrzucił czym prędzej rozbitą szklankę do kosza na śmieci i popędził do sypialni, gdzie wysunął szufladę szafki i spod ułożonych tam chusteczek wyjął

rewolwer. Następnie wsunął go za pasek i wziął z krzesła rzuconą tam uprzednio marynarkę.

Założywszy ją upewnił się, czy zakrywa broń.

Po cichu, bez najmniejszego szmeru, wyszedł z living roomu.

Schody znajdowały się po lewej stronie. Na ich widok Dawid przeklął w duchu architekta, który projektował dom przy Avenida Cordoba, i rozpowszechniony w Argentynie zwyczaj używania dużych ilości drewna w budownictwie; były z desek i choć wypucowane do połysku, z całą pewnością miały parę dziesiątków lat i skrzypiały jak diabli.

Zamknął za sobą drzwi mieszkania, podszedł do schodów i postawił stopę na pierwszym stopniu.

Rozległo się skrzypienie jak w sklepie ze starzyzną.

Miał do pokonania cztery kondygnacje, z czego trzy pierwsze nie miały większego znaczenia. Ruszył w górę przeskakując po dwa stopnie. Przy okazji przekonał się, że bliżej ściany odgłosy jego stąpania były zdecydowanie cichsze i mniej przeraźliwe.

Po kilkunastu sekundach stanął przed drzwiami z napisem wykonanym ozdobnym kastylijskim pismem:

El Techo.

Dach.

Drzwi były co najmniej równie stare jak schody. Dziesiątki lat ciągłych zmian temperatury i wilgotności sprawiły, że od strony zawiasów pojawiły się nierówne szpary, natomiast przeciwległa krawędź była lekko wygięta, wbita siłą w futrynę.

Narobiłyby niesamowitego hałasu, gdyby chciał otworzyć je powoli i ostrożnie.

Pozostawało tylko jedno rozwiązanie. Wyjął rewolwer z za pasa i cofnął się o krok, a następnie nabrał w płuca powietrza, szarpnął z całej siły za klamkę i wyskoczył na zewnątrz, przywierając plecami do znajdującej się po prawej stronie ściany.

Dwaj mężczyźni odwrócili się ze zdumieniem. Stali jakieś trzydzieści stóp od Dawida, niemal na skraju lekko spadzistego dachu. Ten z karabinem zawahał się, po czym uniósł broń; Spaulding mierzył ze swojego rewolweru prosto w jego pierś, ale mężczyzna nie sprawiał

wrażenia kogoś, kto ma zamiar za chwilę zacząć strzelać. Jego wahanie było w pełni świadome, nie wynikało z paniki ani braku zdecydowania.

- *Por favor, señor!* - zawołał jego towarzysz z akcentem, który Dawid rozpoznał jako południowohiszpański, nie argentyński.

- Opuść broń! - polecił po angielsku, żeby sprawdzić, czy znają ten język. - Już!

Człowiek posłuchał, trzymając karabin za łożysko.

- Pan się myli - odparł niezbyt pewnie po angielsku. - Mieliśmy tutaj, jak to się mówi... *ladrones...* złodziei. Złodzieje byli w sąsiedztwie.

Dawid zrobił dwa kroki naprzód, cały czas nie spuszczając z nich rewolweru.

- Nie bardzo wam wierzę. *Se dan corte, amigos.* Nie jesteście z Buenos Aires.

- Tutaj wielu ludzi nie jest stąd, *señor.* W tej dzielnicy mieszkają... ci, którzy urodzili się gdzie indziej.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie jesteście tu po to, żeby mnie pilnować? I że mnie nie obserwowaliście?

To przypadek, zapewniam pana - odparł człowiek z karabinem.

- *Es la verdad* - dodał drugi. - W ubiegłym tygodniu mieliśmy włamanie do dwóch *habitaciones.*

Policja nam nie pomaga, bo dla nich jesteśmy *extranjeros*, cudzoziemcami.

Musimy sami się bronić.

Spaulding przyglądał się im uważnie. Na twarzach obydwu mężczyzn nie mógł dostrzec ani niepokoju, ani większego strachu.

- Pracuję w amerykańskiej ambasadzie - powiedział szorstko. Nic, żadnej reakcji. -

Muszę was wylegitymować.

- *Qué cosa?* - zapytał ten z karabinem.

- Wasze dokumenty. *Certificados*.

- *Por cierto, en seguida*.

Drugi mężczyzna sięgnął do tylnej kieszeni spodni; Dawid uniósł ostrzegawczo rewolwer. Człowiek zawahał się, po raz pierwszy okazując strach.

- To tylko *registro, señor*. Wszyscy je mamy. Naprawdę... W mojej *cartera*.

Dawid wyciągnął lewą rękę i mężczyzna podał mu wysłużony skórzany portfel.

Otworzył go odczuwając coś w rodzaju rozczarowania; w obydwu *extranjeros* było coś smutnego i beznadziejnego. Stykał się już wielokrotnie z podobnymi objawami i wiedział, że prawdziwymi mistrzami w ich wywoływaniu są falangiści Franco.

Zerknął na pęknięte, celuloidowe okienko w wewnętrznej ścianie portfela.

Nagle kolba karabinu uderzyła z ogromną siłą w jego prawą dłoń, wywołując potworny ból, a w chwilę potem ręka została fachowo wykręcona do tyłu i w górę. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wypuścić rewolwer i kopnąć go, by potoczył się jak najdalej po spadzistym dachu. Gdyby tego nie zrobił, bez wątpienia złamano by mu nadgarstek. Kiedy poczuł, że drugi napastnik zabiera się do prawej ręki, kopnął go z całej siły w żołądek; *extranjero* zwinął się w pól, a wtedy Dawid ponowił uderzenie, przewracając go na bok, w kierunku krawędzi. Jednocześnie poddał się działaniu założonej przez drugiego mężczyznę dźwigni i nagłym ruchem wbił mu łokieć w krocze; w następnym ułamku sekundy był już wolny.

Extranjero skulił się, usiłując odzyskać zachwianą równowagę, ale nie zdążył, Spaulding bowiem rąbnął go od dołu kolanem w twarz. Karabin upadł na terakotowe płytki i potoczył się w dół, a mężczyzna osunął się miękko na kolana, krwawiąc obficie z przebitych jego własnymi zębami warg.

Dawid usłyszał za sobą jakiś szmer i odwrócił się.

Za późno. Drugi *extranjero* był już przy nim; zapamiętał tylko świst własnego rewolweru, przecinającego powietrze i opadającego z głuchym uderzeniem na jego czaszkę.

Potem była już tylko ciemność. Pustka.

- Mówili prawdę, tyle tylko, że to zjawisko występuje w innej dzielnicy miasta -

powiedział Ballard przyglądając się Dawidowi, który przyciskał do głowy woreczek z lodem.

- *Extranjeros* skupili się na terenach leżących na zachód od La Boca. Mają tam potwornie wysoki wskaźnik przestępczości, bo policjanci wolą przechadzać się po parkach, niż zapuszczać w tamte uliczki. Poza tym raczej nie są pupilkami GOU.

- Niewiele może mi pan pomóc - zauważył Dawid, przesuając woreczek z lodem w inne miejsce na obolałej głowie.

- Cóż, należy przypuszczać, że nie chcieli pana zabić. Mogli przecież choćby zrzucić pana na dół albo zostawić na krawędzi dachu; pięć do jednego, że sam by pan spadł.

- O tym wiedziałem od samego początku.

- Skąd?

- Stąd, że mogli to zrobić już wcześniej. Przypuszczam, że czekali, aż wyjdę z domu.

- Dlaczego?

- Żeby przeszukać moje rzeczy. Niedawno już to zrobili.

- Kto taki?

- Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem.

- No i kto teraz uchyla się od pomocy?

- Przepraszam... Powiedz mi, Bobby, kto dokładnie wiedział o moim przyjeździe? Jak to było załatwiane?

- Odpowiadam na pytanie numer jeden: trzy osoby. Oczywiście ja, bo przecież przeze mnie przechodzą wszystkie informacje, Granville i Jean Cameron. Staruszek poprosił, żeby poszukała dla ciebie jakiegoś mieszkania... Ale o tym przecież wiesz. Odpowiadam na pytanie numer dwa: nadzwyczaj poufnie. Instrukcje nadeszły w nocy, bezpośrednio z Waszyngtonu. Granville i Jean grali u niego w szachy, kiedy przyniosłem im ten supeł...

- Jaki supeł?

- Specjalnie kodowaną depeszę, którą mogą odebrać tylko ja albo mój pierwszy zastępca i natychmiast muszę przekazać ambasadorowi.

- Dobra, i co potem?

- Nic. To znaczy nic, o czym byś już nie wiedział.

- Mimo to powiedz mi.

Z piersi Ballarda wyrwało się głębokie, protekcyjne westchnienie.

- No cóż, byliśmy tam w trójkę, a w depeszy między innymi domagali się wyraźnie osobnego mieszkania, więc nic dziwnego, że Granville powierzył to zadanie Jean. - Rozejrzył

się dookoła. - Zdaje się, że nie najgorzej się spisała.

- W takim razie wszystko jasne. Mają po prostu w mieście sieć obserwatorów, którzy pilnują wszystkich domów i mieszkań do wynajęcia, o hotelach nie wspominał, bo to najłatwiejsze.

- Chyba nie bardzo rozumiem - powiedział Ballard z wyrazem twarzy wskazującym na to, że mimo wszystko bardzo się stara.

- Możemy być nie wiem jak mądrzy, Bobby, ale nie damy rady zmienić podstawowych praw. Każdy człowiek musi mieć gdzie się przespać i wykapać.

- Och, to akurat rozumiem, tylko nie bardzo mogę to sobie skojarzyć z twoją sytuacją.

Przecież od jutra twoja obecność nie będzie dla nikogo tajemnicą. Waszyngton powiedział, że przyjeżdżasz na własną rękę, więc nie mieliśmy zielonego pojęcia kiedy. Jean nie wynajmowała tego mieszkania konkretnie dla ciebie ani nawet na twoje nazwisko.

- Naprawdę? - Ta informacja wstrząsnęła Dawidem bardziej, niż dał po sobie poznać.

Dwaj *extranjeros* musieli znajdować się na dachu już przed jego przyjazdem albo znaleźć się tam co najwyżej kilka minut później. - W takim razie, jak to załatwiła? Czyim nazwiskiem się posłużyła? Jeśli fałszywym, to dlaczego? Przecież nikt o to nie prosił.

- Boże, a mnie się wydawało, że ja szybko mówię! Niedziela to niedziela, poniedziałek to poniedziałek. Waszyngton dał nam wyraźnie do zrozumienia, że w niedzielę jeszcze cię nie znamy, a w poniedziałek już tak. Nie życzyli sobie potwierdzenia twojego przylotu, a gdybyś przypadkiem postanowił pozostać w ukryciu, to mieliśmy dostosować się do twoich życzeń. Jestem pewien, że Granville zapyta cię, co zamierzasz robić jutro rano... W

jaki sposób Jean wynajęła to mieszkanie? Znając ją podejrzewam, iż dała oględnie do zrozumienia, że ambasador ma na boku jakąś dziewczynę, czy coś w tym rodzaju. *Porteños* mają zrozumienie dla

tego rodzaju spraw; jakkolwiek by było, to przecież Paryż Ameryki Południowej i w ogóle... Jedno, czego jestem absolutnie pewien, to to, że nie posłużyła się twoim nazwiskiem. Prędzej podałyby swoje.

- O, rany - jęknął Dawid, odkładając woreczek z lodem i macając ostrożnie tył swojej głowy; na palcach zostały mu wyraźnie ślady krwi.

- Mam nadzieję, że nie będziesz zgrywał bohatera i pozwolisz obejrzeć się lekarzowi.

- Zgoda - uśmiechnął się Spaulding. - I tak mam do usunięcia kilka szwów. Możemy od razu zrobić wszystko dzisiaj, jeśli uda ci się to załatwić.

- Owszem, mogę. Skąd te szwy?

- Miałem wypadek na Azorach.

- Trochę podróżujesz, no nie?

- Obawiam się, że nie sam.

- Pani Cameron jest tu na moją osobistą prośbę. Proszę wejść, Spaulding.

Rozmawiałem z Ballardem i lekarzem; stare szwy zdjęte, nowe założone. Musi pan się czuć jak poduszczyk do igieł.

Granville, wygodnie rozparty w fotelu, siedział za swoim barokowym biurkiem. Jean Cameron zajmowała miejsce na kanapie znajdującej się po lewej stronie, dla Dawida zaś było najwyraźniej przeznaczone jedno z krzeseł stojących przed biurkiem. Postanowił zaczekać aż do chwili, kiedy Granville poprosi go, żeby usiadł. Nie był pewien, czy lubi starego ambasadora; pokój, który otrzymał do swojej dyspozycji, istotnie znajdował się na dalekim zapleczu i był wykorzystywany jako magazyn.

- To nic poważnego, sir. Gdyby było inaczej, na pewno bym panu o tym powiedział. -

Spojrzał na Jean i dostrzegł troskę malującą się w jej oczach, a w każdym razie wydawało mu się, że tak właśnie należy odczytać ich wyraz.

- Mam nadzieję. Lekarz twierdzi, że na szczęście cios trafił na najtwardsze miejsce, bo w przeciwnym razie mogło być znacznie gorzej.

- Został zadany przez doświadczonego człowieka.

- Tak... Nasz lekarz nie miał również najlepszego zdania o szwach, które panu usunął.

- Nie on pierwszy. Na szczęście, spełniły swoje zadanie i ramię jest w porządku.

Założył mi na nie bandaże.

- Rozumiem. Och, proszę siadać!

Dawid usiadł.

- Dziękuję, sir.

- Z tego, co wiem, dwaj mężczyźni, którzy pana wczoraj napadli, to byli *provincianos*, nie *porteños*?

Spaulding uśmiechnął się z zakłopotaniem i spojrzał na Jean.

- Wiem już, co to są *porteños*. Przypuszczam, że *provincianos* znaczy dokładnie to, co znaczy? Ludzie spoza miast?

- Tak - potwierdziła dziewczyna. - A właściwie spoza miasta BA.

- To dwie zupełnie różne kultury - ciągnął Granville. - *Provincianos* są agresywni i trzeba przyznać,

że nie bez powodu. Są bardzo wykorzystywani i starają się to sobie odbić.

GOU nie zrobiło nic, żeby zaradzić tej sytuacji.

- Ale *provincianos* są Argentyńczykami, prawda?

- Oczywiście. Z ich punktu widzenia nawet bardziej niż mieszkańcy Buenos Aires.

Mają w żyłach mniej krwi włoskiej i niemieckiej, żeby nie wspomnieć o portugalskiej, bałkańskiej i żydowskiej. Widzi pan, do tego kraju docierało wiele fal emigrantów, z których...

- W takim razie, panie ambasadorze - przerwał Dawid, pragnąc uniknąć kolejnego wykładu - to nie byli *provincianos*. Mówili o sobie *extranjeros*, ludzie przeniesieni w inne miejsce, jeśli dobrze rozumiem.

- Termin *extranjero* zawiera w sobie sporo sarkazmu. To mniej więcej tak, jakby użył

go w Waszyngtonie jakiś Indianin z rezerwatu. Cudzoziemiec w swoim kraju, rozumie pan, do czego zmierzam?

- Ci ludzie nie byli z Argentyny powiedział cicho Dawid, ignorując pytanie ambasadora. - Mówili inaczej niż tubylcy.

- Doprawdy? Czy pan jest specjalistą?

- W tej dziedzinie, owszem.

- Rozumiem. - Granville pochylił się w fotelu. - Czy według pana ten napad miał jakiś związek z interesami ambasady lub naszych sprzymierzeńców?

- Nie jestem pewien. Według mnie, celem byłem ja sam. Chciałbym wiedzieć, skąd mieli pewność, że tam będę.

- Wszystko dokładnie przeanalizowałam, Dawidzie - odezwała się z kanapy Jean.

Zamilkła na chwilę, ambasador bowiem spojrzał na nią szybko, kiedy użyła imienia Spauldinga, po czym mówiła dalej. - To mieszkanie było czwartym z kolei, do którego pojechałam. Zaczęłam o dziesiątej, a tam byłam około drugiej. Zdecydowałam się niemal od razu. Przykro mi, ale właśnie ze względu na to patio.

Dawid uśmiechnął się do niej.

- W każdym razie pojechałam do biura wynajmu nieruchomości przy Viamonte.

Właścicielem jest Geraldo Baldez, którego wszyscy znamy. To prawdziwy partyzant, nie znosi

Niemców. Dałam mu do zrozumienia, że chcę wynająć to mieszkanie dla jednego z pracowników ambasady, który zapragnął mieć nieco więcej swobody. Roześmiał się na to i powiedział, że na pewno mam na myśli Bobby'ego. Nie wyprowadziłam go z błędu.

- Ale przecież chodziło ci o krótki termin - zauważył Dawid.

- Zawsze najpierw podpisuje się umowę na trzy miesiące, na wypadek, gdyby ujawniły się jakieś mankamenty mieszkania.

- Dlaczego Bobby, czy ktokolwiek inny, nie mógł sam się tym zająć?

- Z wielu powodów. Poza tym... Taki tu zwyczaj. - Jean uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem. - Znam miasto lepiej niż ktokolwiek inny, bo mieszkałam tu kilka lat, poza tym chodzi także o maksymalne ograniczenie kosztów, a ja dobrze się targuję. Ludzie tacy jak Bobby są wiecznie zajęci, natomiast ja mam znacznie więcej czasu.

- Pani Cameron jest zbyt skromna, Spaulding. Stanowi niezwykle cenny składnik naszej małej społeczności.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, panie ambasadorze... Uważasz więc, że nikt nie miał powodu podejrzewać, że w rzeczywistości szukasz mieszkania dla nowego attaché?

- W żadnym wypadku. Wszystko było załatwiane tak... jakby od niechcienia, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- A co z właścicielem budynku? - zapytał Dawid.

- Nawet go nie widziałam. Większość tych domów stanowi własność zamożnych ludzi, mieszkających w Telmo lub Palermo. Wszystkie formalności są załatwiane za pośrednictwem agencji.

Dawid odwrócił się do Granville'a.

- Czy były do mnie jakieś telefony? Wiadomości?

- Nie. W każdym razie o niczym takim nie wiem, a gdyby były, na pewno by mnie o tym poinformowano. Pana także, rzecz jasna.

- Człowiek nazwiskiem Kendall...

- Kendall? - przerwał mu ambasador. - Znam to nazwisko. Kendall... Tak, Kendall. -

Przeglądał pośpiesznie leżące na jego biurku papiery, by wreszcie triumfalnie wydobyć jeden z nich. - Mam! Niejaki Walter Kendall przyleciał do Buenos Aires wczoraj w nocy, o dwudziestej drugiej trzydziści. Zatrzymał się w Alvearze, niedaleko parku Palermo. To dobry, stary hotel. - Nagle Granville przeniósł spojrzenie na Dawida. - Jest podobno specjalistą od ekonomii przemysłowej. To dosyć ogólne pojęcie, prawda? Czyżby on właśnie był tym bankierem, o którym wspominałem

wczoraj?

- Powiedzmy, że będzie działał równoległe ze mną. - Dawid nie ukrywał, że niechętnie porusza ten temat, ale czuł instynktownie, że Jean oczekuje od niego choćby najbardziej ogólnikowego wyjaśnienia. Moje podstawowe zadanie tutaj polega na działaniu w roli pośrednika między finansistami z Nowego Jorku i Londynu a bankami w Buenos... w BA.

Uśmiechnął się; miał nadzieję, że zrobił to przynajmniej w połowie tak szczerze jak Jean. -

Mam na ten temat mieszane uczucia, bo nie potrafię nawet odróżnić aktywów od wiarygodności, ale Waszyngton zatwierdził moją kandydaturę. Pan ambasador najwyraźniej obawia się, że jednak jestem zbyt niedoświadczony.

Spojrzał znacząco na Granville'a, przypominając mu, że było to absolutnie wszystko, co ktokolwiek oprócz nich dwóch mógł wiedzieć o jego zadaniu. Nazwisko Ericha Rhinemanna musiało pozostać w głębokim ukryciu.

- Tak, rzeczywiście... Ale nie będziemy teraz o tym dyskutować. Wracając do wydarzeń wczorajszego wieczoru, co zamierza pan z tym zrobić? Moim zdaniem powinniśmy złożyć oficjalny protest w komendzie policji, chociaż nie należy się spodziewać, żeby to cokolwiek dało.

Dawid zastanawiał się przez chwilę, rozważając zalety i wady propozycji Granville'a.

- Czy zajmie się tym prasa? - zapytał.

- Jeżeli nawet, to w bardzo niewielkim zakresie - odparła Jean.

- Dyplomaci mają zwykle sporo pieniędzy - wyjaśnił Granville. - Zdarzały się już tego rodzaju historie. Na pewno uznają to za usiłowanie rabunku. Zresztą, może będą mieli rację.

- GOU nie lubi tego rodzaju informacji. To się kłóci z ich obrazem rzeczywistości, a cała prasa jest kontrolowana przez pułkowników. - Jean myślała na głos, nie spuszczając oczu z twarzy Dawida. - Na pewno to wyciszą.

- Ale jeśli nie zgłosimy skargi na policję, to przyznamy tym samym, że podejrzewamy coś innego niż zwykły napad - odparł Spaulding. - Na to nie jestem przygotowany.

- W takim razie zgłaszamy skargę, a pan podyktuje raport o tym zdarzeniu i podpisze go, dobrze? - Najwyraźniej Granville chciał już zakończyć spotkanie. - Jeśli mam być szczerzy, Spaulding, to wydaje mi się, że to jednak była próba napadu na nowo przybyłego, zamożnego Amerykanina. Słyszałem, że taksówkarze rozwożący ludzi z lotniska utworzyli cały gang. Wydaje się, że *extranjeros* byłiby dla nich najbardziej odpowiednimi współpracownikami.

Dawid uniósł się z miejsca i z zadowoleniem stwierdził, że Jean uczyniła to samo.

- Zgadzam się z pańską opinią, panie ambasadorze. Po latach, które spędziłem w Lizbonie, stałem się trochę... przewrażliwiony. Postaram się dostosować.

- Mam nadzieję. Proszę nie zapomnieć o raporcie.

- Tak jest, sir.

- Przyślę ci sekretarkę znającą angielski - zaofiarowała się Jean.

- Nie trzeba. Mogę dyktować po hiszpańsku.

- Zapomniałam - uśmiechnęła się. - Bobby słusznie zauważył, że przysłali nam naprawdę bystrego faceta.

Dawid przypuszczał, że wszystko zaczęło się od tego pierwszego, wspólnego lunchu.

Ona co prawda twierdziła, że wcześniej, wtedy, kiedy domyślił się, że BA oznacza stan Montevideo, ale nie wierzył jej. To nie miało żadnego sensu.

Miało natomiast sens to, co obydwójce wyczuli bez najmniejszej potrzeby mówienia o tym; że będąc z sobą czują się całkowicie odprężeni i zrelaksowani. Tylko to, nic więcej.

Było im bardzo wygodnie, bo milczenie nigdy nie zamieniało się w niezręczną ciszę, a śmiech, kiedy się pojawiał, był naturalny i stanowił ich wspólną, autentyczną potrzebę, a nie wymuszoną reakcję.

Obydwójce uważali to za coś wspaniałego, tym bardziej że żadne ani tego nie oczekiwało, ani do tego nie dążyło. Zarówno on, jak i ona mieli dość powodów, żeby unikać wszelkich związków, które nie byłyby powierzchowne i przejściowe; dla niego ważne było tylko to, żeby przeżyć i w nowym miejscu zacząć wszystko od nowa, bez jakichkolwiek obciążeń emocjonalnych. Poza tym zdawał sobie sprawę, że ona wciąż jeszcze opłakuje innego mężczyznę i z pewnością ostateczne zerwanie z tamtymi wspomnieniami musiałoby się dla niej wiązać z ogromnym cierpieniem.

Ona sama powiedziała mu dlaczego. Jej mąż w niczym nie przypominał szaleńczo odważnych pilotów myśliwców, których wizerunki tak często preparowano na użytek szerokiej publiczności. Odczuwał wielki strach - nie o siebie, ale przed odbieraniem życia innym. Gdyby nie potępienie, które, jak doskonale wiedział, skierowałyby się przede wszystkim przeciwko żonie i rodzinie mieszkającej w stanie Maryland, z pewnością starałby się o zwolnienie ze służby z powodów religijnych. Możliwe jednak, że nie miał dość odwagi, by głośno przyznać się do swoich poglądów.

Dlaczego w takim razie został pilotem?

Latał niemal od dziecka, więc wydawało mu się to zupełnie naturalne, a poza tym nie tracił nadziei, że prędzej czy później przeniosą go na jakieś lotnisko w Stanach w roli instruktora. Nie interesowało

go prawo wojskowe, zbyt wielu jego kolegów bowiem dało się na to nabrać, w wyniku czego znaleźli się ostatecznie w piechocie albo na pokładach okrętów wojennych. Armia nie potrzebowała prawników, tylko pilotów.

Dawidowi wydawało się, że rozumie, dlaczego Jean opowiada mu tak dużo o swoim nieżyjącym mężu. Istniały dwa zasadnicze powody: pierwszy, że dzięki temu oswajała się z tym, co rozwijało się między nimi. Drugi był mniej jasny, ale z pewnością nie mniej ważny: Jean Cameron nienawidziła wojny. Nienawidziła jej za to, co jej zabrała, i chciała, żeby o tym wiedział.

Przecucie mówiło jej, że on, Dawid, jest zaangażowany znacznie bardziej, niż się do tego przyznaje, i nie chciała mieć w tym żadnego udziału. Była przynajmniej tyle winna pamięci swego męża.

Poszli na lunch do restauracji stojącej nad basenem Riachúelo, w pobliżu nabrzeży Darsena Sud. Zarówno propozycja lunchu, jak i wybór lokalu, były jej autorstwa. Wiedziała, że Dawid wciąż jeszcze jest bardzo zmęczony, ból bowiem nie pozwolił mu wyspać się tej nocy. Jej zdaniem potrzebował zjeść bez pośpiechu porządny lunch, a następnie położyć się do łóżka i solidnie wypocząć.

Nie miała zamiaru mu w tym towarzyszyć, a on nawet tego nie oczekiwał.

- Ten Ballard to bardzo miły facet - zauważył Dawid, nalewając do kieliszków zimne, białe Colón.

- Rzeczywiście - skinęła głową. - Bobby jest cudowny.

- Bardzo cię lubi.

- A ja jego... To, nad czym się zastanawiasz, jest całkowicie naturalne, ale przykro mi, że muszę zepsuć tę fantastyczną melodię. Czy użyłam dobrego słowa? Granville powiedział

mi, kim są twoi rodzice. To robi wrażenie.

- Od chwili, kiedy skończyłem osiem lat, nie przeczytałem ani jednej nuty. Ale

„melodia” może być. Rzeczywiście, trochę się zastanawiałem.

- Bobby zabrał się do sprawy z całym profesjonalizmem, wykorzystując swój wdzięk i poczucie humoru. Każda porządna dziewczyna uznałaby to za w zupełności wystarczające.

Właściwie powinien się na mnie obrazić, bo żądałam jego towarzystwa, nie dając prawie nic w zamian...

- Ale przyjął twoje warunki - stwierdził po prostu Dawid.

- Już powiedziałam, że jest cudowny.

- Z pewnością są tu jeszcze inni mężczyźni...

- Nie zapominaj o komandosach, którzy nas pilnują - przerwała mu Jean, naśladując oddawanie honorów wojskowych w cudownie nieporadny sposób.

- Właśnie, w sumie co najmniej stu dziesięciu. Jesteś prawdziwą Deanną Durbin.

- Nie bardzo. Komandosi wymieniają się w bazie na południe od La Boca, a reszta, to znaczy ci bez żon i dzieci, cierpi na schorzenie ambasadowe.

- Co to takiego?

- Uczulenie, rozprzestrzeniane za pośrednictwem Departamentu Stanu. Wydaje się, że ty jesteś na nie uodporniony.

- Być może, ale nie wiem, na czym ono polega.

- To już coś mi mówi na twój temat.

- A co?

- Że nie należysz do tych, którzy z mozołem i uparcię pną się w górę po szczeblach drabiny urzędniczej. To uczulenie objawia się w ten sposób, że dotknięty nim delikwent troszczy się niemal wyłącznie o to, żeby jego zwierzchnicy, a szczególnie ambasador, byli zawsze zadowoleni z jego najszczerzych wysiłków. - Mówiąc to Jean zmarszczyła się niczym szczenię boksera. Dawid wybuchnął głośnym śmiechem; dziewczyna znakomicie sparodiowała zarówno same słowa, należące istotnie do najczęściej powtarzanych w każdej ambasadzie, jak i ton, którym zazwyczaj je wypowiedziano.

- Masz rację! - Roześmiał się ponownie. - Rzeczywiście, jest takie uczulenie!

- Ale ty nie jesteś nim zarażony. - Jean przywróciła swojej twarzy normalny wygląd i spojrzała mu w oczy. - Przyglądałam ci się, kiedy rozmawiałeś z Granville'em. Nawet nie starałeś się być specjalnie uprzejmy. Chyba nie zależy ci na jego pochlebnej opinii, prawda?

Dawid nie spuścił oczu.

- Masz słuszość. Odpowiem ci wprost na pytanie, które tak głośno tłucze się po twojej ślicznej główce, że jeszcze chwila, a powypadają wszystkie szyby: nie, nie jestem karierowiczem z Departamentu Stanu. Moje zajęcie ma ścisły związek z wojną. Pracuję często poza terenem ambasad z wieloma różnymi ludźmi i z wielu różnych powodów.

Władam czterema językami, a dzięki rodzicom, którzy wywarli na tobie takie wielkie wrażenie, dysponuję tym, co określa się eufemistycznie jako dostęp do ważnych osobistości w świecie polityki, handlu i innych podobnych dziedzinach. Ponieważ nie jestem idiotą, często przekazuję poufne informacje pewnym firmom i korporacjom. Międzynarodowy rynek wciąż działa, nie zwracając uwagi na tak drobne niedogodności jak wojna... Tak właśnie wygląda mój osobisty wkład. Nie

Jestem z niego specjalnie dumny, ale nic na to nie poradzę.

Uśmiechnęła się szczerze i wyciągnęła do niego rękę.

- Wydaje mi się, że wszystko, co robisz, robisz bardzo inteligentnie i dobrze. Niewielu jest ludzi, o których można to powiedzieć. Poza tym nie miałeś zbyt wielkiego wyboru.

- Co robiłeś na wojnie, tatusiu? Cóż, synku - Dawid starał się nadać karykaturalne brzmienie swojemu głosowi - jeździłem z miejsca na miejsce powtarzając przyjaciołom z Chase Manhattan Bank, że mają tanio kupować, drogo sprzedawać i starać się wyciągnąć z tego maksymalne zyski.

Ujął jej dłoń w swoją.

- Poza tym biłem się na dachach argentyńskich domów i...

- Skąd się wzięły te szwy na twoim ramieniu?

- Samolot, którym przyleciałem na Azory, miał kłopoty z lądowaniem. Niestety, tylko ja wyszedłem z tego cało.

- A widzisz? Stykasz się dokładnie z takimi samymi niebezpieczeństwami jak każdy żołnierz na froncie. Jeśli spotkam tego chłopca, z którym rozmawiałeś, na pewno mu o tym powiem.

Przez chwilę patrzyli sobie bez słów w oczy, a potem Jean cofnęła z zakłopotaniem rękę. Dla Dawida najważniejsze było to, że uwierzyła bez wahania w jego historyjkę.

Odczuwał znaczną ulgę z tego powodu ale zarazem było mu jakby trochę przykro. To kłamstwo nie przyniosło mu żadnego zadowolenia.

- A więc już wiesz, że udało mi się uniknąć „schorzenia ambasadowego”, choć nadal nie jestem pewien, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Mając do wyboru stu dziesięciu mężczyzn, w tym komandosów...

- Komandosów możesz odjąć, znaleźli sobie odpowiednie zajęcia u siebie, w La Boca.

- Zostaje w takim razie personel. Chyba nie wszyscy „bez żony i dzieci” cierpią na to uczulenie?

- Wszyscy, co do jednego, i bardzo się z tego cieszą. Każdy z nich ma nadzieję zostać kiedyś ambasadorem na dworze Jego Królewskiej Mości.

- I co z tego? Nie rozumiem, gdzie tu powód do zadowolenia.

- Chciałam sprawdzić, czy Bobby powiedział ci, ale widzę, że nie. On jest taki delikatny... Chciał, żebym zrobiła to sama.

- A co miał mi powiedzieć?

- Że mój mąż był przybranym synem Granville'a. Byli ze sobą bardzo zżyci.

Opuścili restaurację kilka minut po czwartej i poszli wzdłuż doków aż do nabrzeża Darsena Sud, wdychając w płuca słone powietrze. Dawid odnosił wrażenie, że Jean rozkoszuje się dawno nie zaznaną możliwością spędzenia kilku godzin na zupełnym luzie, w sposób, który sprawiał jej autentyczną przyjemność. Stanowiło to składnik niewymuszonej swobody, która charakteryzowała niemal od początku ich wzajemny stosunek, ale zarazem sięgało znacznie głębiej. Zupełnie, jakby spłynęło na nią jakieś cudowne ukojenie.

Jej urok rzucił mu się w oczy już w pierwszej chwili, kiedy poznał ją na schodach w ambasadzie, ale kiedy teraz przypominał sobie to wydarzenie, wiedział z całą pewnością, na czym polegała różnica: Jean Cameron także i wówczas stanowiła uosobienie kobiecego wdzięku, ale było w niej coś jeszcze - rezerwa wynikająca z całkowitej samokontroli. Patyna oficjalności, nie mająca nic wspólnego ani z funkcjami, jakie pełniła w ambasadzie, ani z jej pozycją wynikającą z małżeństwa z przybranym synem ambasadora, a mająca swe źródło jedynie w jej własnych decyzjach i osobistym nastawieniu.

Obserwował tę rezerwę przez całe przedpołudnie, kiedy przedstawiała go najróżniejszym pracownikom ambasady, gdy wydawała polecenia swojej sekretarce, a wreszcie, kiedy rozmawiała przez telefon, udzielając krótkich, zwięzłych instrukcji.

Zachowała ją także podczas żartobliwej rozmowy z Bobbym Ballardem, który mógł

spokojnie powiedzieć jej, żeby „poszła się ululać”, ani bowiem on, ani ona nie potrafili sobie nawet wyobrazić, że mogłaby to naprawdę zrobić.

Jean trzymała samą siebie na krótkiej smyczy.

Dzisiaj ta smycz wydawała się odrobinę dłuższa.

Poprzedniego dnia przyglądał się jej uważnie, oceniając jej wiek, a ona przyjęła to całkowicie obojętnie, bez odrobiny próżności. Teraz, kiedy szła wzdłuż nabrzeża trzymając go pod rękę, z zadowoleniem przyjmowała spojrzenia pracujących tam *bocamos*. Dawid wiedział, że zależy jej bardzo na tym, by i on zwrócił na nie uwagę.

- Spójrz! - zawołała nagle. - Te statki zaraz się zderzą!

W odległości kilkuset jardów od nich pędziły na siebie dwa kutry. Powietrze przeszywały wściekłe gwizdki, a obie załogi, skupione przy burtach swych łodzi, obrzucały się nawzajem wyzwiskami.

- Ten z prawej ustąpi.

Tak też się stało, przy wtórze wrzasków i obraźliwych gestów.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała.

- Po prostu takie są przepisy. Gdyby tego nie zrobił, właściciel musiałby płacić odszkodowanie. Zdaje się, że nieźle tu się zakotłuje, kiedy obydwaj przybiją do brzegu.

- Więc chodźmy stąd. Ty już swoje oberwałeś.

Skręcili w wąskie uliczki La Boca, zastawione rybnymi straganami, pilnowanymi przez tłustych handlarzy w zakrwawionych fartuchach, wrzeszczących wniebogłosy, żeby przyciągnąć klientów. Kutry wróciły już z popołudniowego połowu i ich załogi zajmowały się sprzedażą ryb lub pićm wina i opowiadaniem o przypadkach z ostatnich dwunastu godzin.

Dotarli do miniaturowego placu, bez żadnej wyraźnej przyczyny nazwanego Plaza Ocho Calle; nie było ani numeru osiem, ani nawet porządnego placu, godnego jakiegokolwiek nazwy. Na rogu zatrzymała się taksówka, wysiedli pasażerowie i ruszyła powoli, przeciskając się przez tłum nie okazujący jej żadnego respektu. Dawid zerknął na Jean, a kiedy dostrzegł

jej uśmiech i skinięcie głową, krzyknął na kierowcę.

Znalazłszy się w środku podał swój adres. Nawet nie przyszło mu na myśl, że mógłby zrobić inaczej.

Przez kilka minut jechali w zupełnym milczeniu, dotykając się ramionami.

- O czym myślisz? - zapytał Dawid, widząc na jej twarzy wyraz nieco rozbawionego rozmarzenia.

- O tym, jak sobie ciebie wyobrażałam, kiedy Henderson przeczytał wtedy te depezę... Tak, nazywam go Hendersonem; zawsze to robiłam.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek tak do niego mówił, nawet prezydent.

- Bo go nie znasz. Pod marynarką Klubu Tenisowego kryje się naprawdę wspaniały człowiek.

- A jak mnie sobie wyobrażałaś?

- Zupełnie inaczej.

- Inaczej od czego?

- Przede wszystkim... Przede wszystkim myślałam, że będziesz strasznie niski.

Attaché, który nazywa się Dawid Spaulding, zajmuje się sprawami finansowymi i ma pertraktować z bankami i pułkownikami na temat pieniędzy, jest mały, ma co najmniej pięćdziesiąt lat i bardzo niewiele włosów. Nosi także okulary bez oprawek, ma okropnie chudy nos i alergię, przez co ciągle

kicha i wyciera sobie ten nos chusteczką. Mówi krótkimi, oszczędnymi zdaniami. Są bardzo precyzyjne i nie sposób się z nimi zgodzić.

- Nie zapomnij o tym, że ugania się za sekretarkami.

- Mój Dawid Spaulding nie ugania się za sekretarkami, tylko czytuje nieprzyzwoite książki.

Dawid drgnął mimowolnie. Wystarczyłoby dodać potargane włosy, brudną chusteczkę do nosa i zamienić okulary bez oprawek na - noszone od czasu do czasu - z oprawkami, żeby otrzymać dokładny opis Waltera Kendalla.

- Ten twój Spaulding to dosyć nieciekawy facet.

- Tamten, owszem. Ten, nie - odparła, wsuwając mu dłoń pod ramię.

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do domu na Avenida Córdoba. Jean spojrzała na drzwi i wyraźnie się zawahała.

- Czy mam odwieźć cię do ambasady? - zapytał spokojnie Dawid.

- Nie - powiedziała patrząc mu prosto w oczy.

Zapłacił kierowcy i weszli do środka.

Niepostrzeżenie sprawdził palcem nitkę, którą rozpiął między klamką a futryną drzwi swojego mieszkania; była nie naruszona.

Mimo to, przekręciwszy klucz w zamku, odsunął delikatnie dziewczynę na bok i dopiero wtedy otworzył drzwi. Mieszkanie znajdowało się dokładnie w takim stanie, w jakim zostawił je rano. Wiedział, że Jean wyczuwa jego ulgę; przytrzymał drzwi i zaprosił ją do środka.

- I co, chyba nie jest takie najgorsze, prawda? - zapytała, rozejrzawszy się dookoła.

- Ciasne, ale własne.

Zamilkł, nakazując jej gestem, żeby została na miejscu, a sam sprawdził szybko sypialnię, po czym wyszedł na miniaturowe, okolone wysokim murem patio. Stanąwszy pod drzewem omiół uważnym spojrzeniem okna i dach, a następnie uśmiechnął się do niej.

Zrozumiała. Zamknęła drzwi i wyszła do niego.

- Bardzo fachowo pan to zrobił, panie Spaulding.

- Jak na prawdziwego tchórza przystało, pani Cameron.

Niemal od razu zorientował się, że popełnił błąd; to nie była odpowiednia chwila, żeby zwracać się do niej w ten sposób. Mimo to odniósł wrażenie, że z jakichś tajemniczych powodów poczuła do

niego wdzięczność za to. Podeszła bliżej, zatrzymując się tuż przed nim.

- Pani Cameron dziękuje panu.

Objął ją w talii, a jej dłonie powoli, jakby z wahaniem uniosły się w górę. Ujęła jego twarz i spojrzała mu prosto w oczy.

Nie poruszył się. Rozumiał, że to ona musi podjąć decyzję i wykonać pierwszy krok.

Dotknęła wargami jego ust; pocałunek był cudownie delikatny, dokładnie taki, jaki powinien być pocałunek ziemskiego anioła. Niemal natychmiast jej ciałem wstrząsnął nie kontrolowany dreszcz pożądania i zarzuciwszy mu ręce na szyję przytuliła się do niego z zaskakującą siłą, przywierając do jego ust rozchylonymi wargami. Po chwili oderwała je i wtuliła twarz w jego pierś.

- Nic nie mów... - wyszeptała. - Nic nie mów, tylko mnie weź...

W milczeniu wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Cały czas trzymała twarz przyciśniętą do jego piersi, jakby bała się cokolwiek zobaczyć. Położył ją delikatnie na łóżku i zamknął drzwi.

W kilka chwil później leżeli już nadzy pod kocem, w wilgotnej, cudownej ciemności, rozkoszując się ogarniającym ich uczuciem niezwyklej wygody.

- Muszę ci coś powiedzieć - wyszeptała, dotykając delikatnie palcem jego ust. Czuł przy sobie ciepło jej piersi, a nad sobą widział jej uśmiech.

- Wiem. Wolisz tamtego Spauldinga, chudzielca w okularach.

Ucałował jej palce.

- On zniknął, jakby zdmuchnięty wybuchem.

- Używasz dosyć obrazowych wyrażeń, młoda damo.

- Wcale nie taka młoda... Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- Rozumiem. Zbliżasz się do wieku emerytalnego. Zobaczę, co da się zrobić.

- Bądźże wreszcie cicho, głuptasie!

- Nie taki znowu głuptasie...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Na razie jeszcze nic między nami nie ma - powiedziała. - Chcę, żebyś zdawał sobie z tego sprawę. Nie wiem, jak to powinnam powiedzieć... Wszystko stało się tak nagle.

- Stało się dokładnie tak, jak powinno. Nie trzeba żadnych wyjaśnień.

- Chyba niezupełnie. Nie spodziewałam się, że się tutaj znajdę.

- Ja również. Ale przyznam, że miałem nadzieję... chociaż tego nie planowałem.

Żadne z nas tego nie planowało.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie jestem tego taka zupełnie pewna. Mam wrażenie, jakbym podjęła decyzję w chwili, kiedy cię zobaczyłam po raz pierwszy. Czy to brzmi bardzo cynicznie?

- Jeśli nawet tak było w istocie, to jest to decyzja, którą powinnaś podjąć dużo wcześniej.

- Chyba masz rację. - Położyła się na plecach i nakryła kocem. - Byłam bardzo samolubna. Samolubna, zrozumiła i w ogóle do niczego.

- Dlatego, że nie szłaś do łóżka z każdym, kto miał na to ochotę?

Teraz on przekręcił się na brzuch i dotknął jej twarzy. Pocałował ją w szeroko otwarte oczy; w sączących się przez zaciągnięte żaluzje promieniach popołudniowego słońca wydawały się one znacznie ciemniejsze. Uśmiechnęła się, pokazując doskonale równe, białe zęby.

- To zabawne. Okazałam się chyba mało patriotyczna, bo strzegłam zazdrośnie swych wdzięków tylko po to, żeby oddać je cywilowi.

- Wizygoci na pewno by cię potępili. U nich zawsze żołnierze mieli pierwszeństwo.

- Więc lepiej im o tym nie mówmy. - Ujęła w dłonie jego twarz. - Och, Dawid!

- Mam nadzieję, że pana nie obudziłem. Niepokoję pana, ale gdybym tego nie zrobił, miałby mi pan to wtedy za złe.

Ton głosu Granville'a był znacznie bardziej troskliwy, niż należało oczekiwać. Dawid spojrział na zegarek: trzy po dziewiątej.

- Proszę? Ależ nie, sir, właśnie miałem wstać. Przepraszam, trochę zasnęłam.

Przy telefonie leżała jakaś kartka, od Jean.

- Skontaktował się z nami pański przyjaciel.

- Przyjaciel?

Rozłożył kartkę.

Najdroższy! Spałeś tak słodko, że nie mogłam się zdobyć na to, żeby cię obudzić.

Wezwałam taksówkę. Zobaczymy się rano w Bastylli. Twój zmartwychwstały Feniks.

Uśmiechnął się, przypominając sobie jej uśmiech.

- ...ale szczegóły z całą pewnością nie są jeszcze do końca ustalone. - Usłyszał tylko koniec wypowiedzi Granville'a.

- Przepraszam, panie ambasadorze, ale na linii jest chyba jakieś uszkodzenie. Pański głos co chwilę zanika. - Wszyscy wiedzieli, że telefony na południe od równika miały często swoje humory.

- Uszkodzenie albo coś innego - warknął z irytacją Granville, najwyraźniej mając na myśli ewentualny podsłuch. Kiedy pan przyjedzie do ambasady, proszę się natychmiast do mnie zgłosić.

- Tak jest, sir. Zaraz tam będę.

Przeczytał ponownie kartkę od Jean.

Wczoraj powiedziała mu, że komplikuje jej życie, ale i to, że na razie jeszcze nic między nimi nie ma.

A czym miałyby to „coś” ewentualnie być? Nie miał najmniejszej ochoty snuć na ten temat żadnych domysłów ani roztrząsać dokonanego wspólnie odkrycia - uczucia wspaniałej, cudownej wygody, które obydwójce natychmiast rozpoznali. Poza tym nie było teraz na to czasu.

Z drugiej strony odrzucenie tego wszystkiego oznaczałoby negowanie rzeczywistości, a on został wyszkolony tak, żeby dawać sobie radę z każdą rzeczywistością.

Mimo to nie chciał o tym myśleć.

Jego przyjaciel skontaktował się z ambasadą.

Walter Kendall.

To była zupełnie inna rzeczywistość. Nie mogła czekać.

Gniewnym ruchem zgniótł papierosa, brudząc sobie palce popiołem.

Skąd ten gniew?

Nad tym także wolał się nie zastanawiać. Czekano na niego zadanie. Miał nadzieję, że znajdzie w sobie dość przekonania, żeby je zrealizować.

- Jean powiedziała, że o mało nie usnął pan przy obiedzie. Na pewno potrzebował pan wypoczynku. Dzisiaj wygląda pan znacznie lepiej.

Kiedy Dawid znalazł się w obszernym, bogato zdobionym gabinecie, ambasador wyszedł zza biurka, żeby uścisnąć mu dłoń. Spaulding był trochę zdziwiony, w głosie starego dyplomaty bowiem słychać było autentyczną troskę, nie pasującą zupełnie do nie ukrywanej niechęci, którą okazał mu przed dwoma dniami. Czyżby zmiana nastąpiła w chwili, gdy Dawid zwrócił się po imieniu do owdowiałej pani Cameron?

- Bardzo mi pomogła. Bez niej miałbym poważne kłopoty ze znalezieniem porządnej restauracji.

- Nie będę pana zatrzymywał, proszę brać się do roboty z tym Kendalllem.

- Powiedział pan, że skontaktował się...

- Wczoraj wieczorem, a właściwie dziś nad ranem. Mieszka w hotelu Alvear i z tego, co mówi telefonistka, wynika, że jest mocno zdenerwowany. O wpół do trzeciej rano urządził

przez telefon piekielną awanturę, domagając się podania pańskiego adresu. Nie muszę dodawać, że nic nie wskórał.

- Jestem bardzo wdzięczny. Jak sam pan powiedział, sir, potrzebowałem odpoczynku, a Kendall z pewnością by mi przeszkodził. Ma pan jego numer, czy znajdę w książce?

- Nie trzeba, proszę. - Granville wrócił do biurka i podał mu kartkę papieru.

- Dziękuję, sir. Zaraz się tym zajmę. - Odwrócił się i ruszył do drzwi, ale zatrzymał go głos

ambasadora.

- Spaulding?

- Tak, sir?

- Zdaje się, że chciałaby się z panem zobaczyć pani Cameron. Żeby ocenić postępy rekonwalescencji, że tak powiem. Jej biuro znajduje się w południowym skrzydle, pierwsze drzwi na prawo. Trafi pan?

- Z pewnością, sir.

- Tak myślałem. Zobaczymy się później.

Dawid zamknął za sobą ciężkie, barokowe drzwi. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy Granville chciał w ten sposób, aczkolwiek niechętnie, dać mu do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko ich... związkowi? W każdym razie ton był cokolwiek niechętny, ale słowa sprzyjające.

Przeszedł do południowego skrzydła i niebawem znalazł się przed właściwymi drzwiami. Do futryny, po lewej stronie, była przybita mosiężna tabliczka z napisem; wczoraj nie zwrócił na nią uwagi.

„Mrs. Andrew Cameron”.

A więc miał na imię Andrew. Spaulding nie pytał o to, a ona nie poruszyła tego tematu.

Kiedy tak stał, wpatrując się w mosiężną tabliczkę, doznał niezwykłego uczucia: był

wściekły na Andrew Camerona. Wściekły za to, że żył, a jeszcze bardziej za to, że zginął.

Nacisnął klamkę, drzwi były otwarte. Sekretarka Jean najwyraźniej była Argentynką, *porteña*. Czarne, gęste włosy miała zebrane w gruby węzeł, podkreślający latynoskie rysy twarzy.

- Nazywam się Spaulding. Chciałbym się widzieć z panią Cameron.

- Proszę wejść, oczekuje pana. Dawid otworzył kolejne drzwi.

Wszedł tak cicho, że udało mu się ją zaskoczyć. Stała przy oknie z kartką papieru w dłoni i okularami zasuniętymi wysoko na czoło. Wyglądała na trawnik zalany promieniami słońca. Drgnęła, kiedy zdała sobie sprawę z jego obecności, po czym zdjęła okulary i wolno, jakby starając się najpierw mu dobrze przyjrzeć, uśmiechnęła się. Poczł, że nagle ogarnia go niepojęty strach, ale ona akurat odezwała się i doznał niewysłowionej ulgi.

- Rano obudziłam się i chciałam się do ciebie przytulić, ale ciebie nie było. O mało nie popłakałam się.

Podszedł do niej szybko i objął ją w milczeniu. Stali tak, rozkoszując się swoją bliskością.

- Przed chwilą Granville zachował się jak stary stręczyciel - powiedział wreszcie, odsuwając ją od siebie i wpatrując się w jej błękitne, pełne inteligentnego humoru oczy.
- Mówiłam ci, że jest dobrym człowiekiem, ale ty mi nie wierzyłeś.
- Ale nie powiedziałaś mi, że jedliśmy razem obiad i że o mało przy nim nie usnąłem.
- Miałam nadzieję, że się zapłaczesz i dasz mu trochę do myślenia.

- Nie rozumiem.

- Henderson ma problem: mnie. Nie jest pewien, jak powinien sobie z nim, to znaczy ze mną, radzić. Jest nadopiekuńczy, ponieważ dałam mu do zrozumienia, że tego oczekuję. W

pewnym okresie bardzo mi to pomagało. Ale człowieka, który miał trzy żony, a w swoim czasie także co najmniej drugie tyle kochanek, z całą pewnością nie można uważać za świętego. Poza tym zdaje sobie sprawę z tego, że nie będziesz tu długo, i możesz być pewien, że tego dopilnuje. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

- W rzeczy samej - odparł Dawid, naśladowując wytworny akcent Granville'a.

Jean roześmiała się.

- To nie fair. Ty najprawdopodobniej niezbyt mu się podobasz, więc tym trudniej było mu wyrazić tę niewypowiedzianą zgodę.

Dawid uwolnił ją z objęć.

- Wiem, że mnie nie lubi... Słuchaj, muszę wykonać parę telefonów, a potem wyjść, żeby się z kimś spotkać...

- Po prostu „z kimś”?

- Z olśniewającą pięknością, która następnie przedstawi mnie innym, równie olśniewającym pięknościom. Szczerze mówiąc, bierze mnie obrzydzenie na samą myśl o nim, ale muszę się z nim zobaczyć. Zjesz ze mną kolację?

- Owszem, tak właśnie postanowiłam. Nie masz wyboru.

- Miałaś rację, jesteś cyniczna.

- Nigdy nie twierdziłam inaczej. To ty złamałeś swoje zasady, ja pozostałam taka, jaka jestem.

- Wcale tego nie żałuję, bo tak po prostu musiało się stać.

Nie był pewien, dlaczego to powiedział, ale nie miał żadnych wątpliwości, że najzwyczajniej w świecie musiał.

Walter Kendall chodził po pokoju, jakby była to klatka. Spaulding siedział na kanapie i zastanawiał się, jakie zwierzę najbardziej mu przypomina; przyszło mu na myśl już kilka, ale żadnego nie dałoby się zaliczyć do przyjemnych.

- Niech pan słucha - Kendall zatrzymał się naprzeciwko niego. - To nie jest operacja wojskowa. Pan nie wydaje rozkazów, tylko je otrzymuje.

- Obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. - Dawid odczuwał sporą pokusę, żeby na gniew Kendalla odpowiedzieć swoim, ale uznał, że będzie lepiej, jeśli się powstrzyma.

- Źle pana zrozumiałem! Gówno prawda! Powiedział pan Swansonowi, że ma pan w Nowym Jorku jakieś kłopoty. To pański problem, nie nasz!

- Nie byłbym tego taki pewny.

- Ale ja jestem! Chciał pan wcisnąć ciemnotę Swansonowi i udało się panu. Niewiele brakowało, a i my zostalibyśmy do tego włączeni!

- Chwileczkę. - Dawid uznał, że może zaprotestować, nie przekraczając jednak zakresu informacji, które zdecydował się ujawnić Kendallowi. - Powiedziałem Swansonowi tylko tyle, że, moim zdaniem, „kłopoty” w Nowym Jorku mogą mieć jakiś związek z Buenos Aires, a nie, że mają.

- To niemożliwe!

- Skąd jest pan tego taki pewien?

- Jestem, i już! - On jest nie tylko podniecony, ale i zniecierpliwiony, pomyślał Dawid.

- To operacja handlowa. Warunki zostały uzgodnione i nic nie może jej powstrzymać. Nic nie może nas powstrzymać.

- Przeszkody nie ustępują w chwili, kiedy zostają uzgodnione warunki. Jeżeli dowództwo niemieckie zwęszyło cokolwiek, to nie zawahają się nawet przed zniszczeniem Buenos Aires, żeby do tego nie dopuścić.

- Hm... Nie, to niemożliwe.

- Pan to wie?

- Tak, wiem... Proszę więcej nie mieszać w głowie temu głupiemu sukinsynowi Swansonowi. Będę z panem szczery: to są typowe negocjacje, w których chodzi wyłącznie o pieniądze. Dalibyśmy sobie radę bez pomocy Waszyngtonu, ale oni uparli się, a właściwie to Swanson, że muszą mieć tu swojego

człowieka. O.K., to właśnie pan. Może pan okazać się przydatny, chociażby do wywiezienia dokumentów, a poza tym zna pan języki, ale to wszystko, czego od pana oczekujemy. Proszę się nie starać zwrócić na siebie uwagi. Nie chcemy nikogo denerwować.

Dawid powoli zaczął dostrzegać subtelne szczegóły planu generała Alana Swansona; dzięki niemu znajdował się w znakomitej sytuacji, zabójstwo Ericha Rhinemanna bowiem -

niezależnie od tego, czy zrobi to sam, czy poprzez wynajętych morderców - będzie czymś absolutnie nieoczekiwanym. Swanson w żadnym wypadku nie był „głupim sukinsynem”, jak przypuszczał Kendall, a podejrzewał on sam.

Swanson był po prostu nerwowy jak każdy neofita. Ale oprócz tego był także bardzo dobry.

- W porządku, przepraszam - powiedział z rezygnacją, której wcale nie czuł. - Być może ta historia w Nowym Jorku nie jest tak poważna, jak mi się wydawało; nie mogę zaprzeczyć, że w Portugalii narobiłem sobie trochę wrogów. Na wszelki wypadek zniknąłem ze Stanów raczej niepostrzeżenie...

- To znaczy?

- Nikt w Nowym Jorku nie wie, że wyjechałem z miasta.

- Jest pan pewien?

- Tak pewien jak pan, że nikt nie usiłuje przeszkodzić w pańskich negocjacjach.

- Taak... O.K. Wszystko jest już przygotowane, łącznie z dokładnym harmonogramem.

- Widział się pan z Rhinemannem?

- Wczoraj. Spędziliśmy razem prawie cały dzień.

- A co z Lyonsem?

- Swanson przyśle go pod koniec tygodnia, oczywiście razem z pielęgniarkami.

Według Rhinemanna plany powinny dotrzeć w niedzielę lub w poniedziałek.

- Stopniowo, czy wszystkie naraz?

- Najprawdopodobniej w dwóch zestawach, ale nie jest tego całkowicie pewien.

Zresztą, to nie ma żadnego znaczenia, bo całość będzie najpóźniej do wtorku. Daje za to głowę.

- W takim razie zyskaliście sporo na czasie. Poprzednio wspominał pan o trzech tygodniach.

Dawid poczuł bolesne ukłucie w żołądku; nie miało to żadnego związku z Kendallem, Lyonsem czy planami żyroskopów, a jedynie z Jean Cameron i faktem, że będą razem zaledwie przez tydzień.

Bardzo go to poruszyło, tak bardzo, że nawet przez moment usiłował to uczucie zgłębić.

A potem już wiedział, że nie może sobie pozwolić choćby na chwilę słabości. Te dwa światy musiały pozostać całkowicie rozdzielone.

- Rhinemann znakomicie sobie radzi z tą sprawą - zauważył Kendall z wyraźnym podziwem w głosie.
- Jego metody są bez zarzutu. Nadzwyczaj precyzyjne.

- Skoro tak jest, to mnie nie potrzebujecie. - Dawid gotów był skorzystać z każdej okazji, żeby choć na chwilę skierować rozmowę na inny temat. Jego stwierdzenie było czysto retoryczne.

- Oczywiście, że nie! Przecież cały czas to powtarzam. Ale tu chodzi o wielkie pieniądze, z których znaczną część wyłożyło Ministerstwo Wojny, więc nic dziwnego, że Swanson chce mieć coś do powiedzenia. To biznes jak każdy inny.

Spaulding uznał, że właśnie nadeszła odpowiednia chwila.

- W takim razie zajmijmy się depeszą, którą mam wysłać. Nie zmarnowałem tych trzech dni, bo udało mi się prawie zaprzyjaźnić z drucikiem z ambasady

- Z kim?

- Z głównym szyfrantem. To on wysłał sygnał do Waszyngtonu umożliwiający dokonanie przelewu.

- Ach, to...

Kendall miętosił w palcach papierosa, którego miał zamiar włożyć do ust. W ogóle nie obchodzą go żadni szyfranci ani depesze, pomyślał Dawid. Albo uważa to za niezbędną, ale mało istotną otoczkę, którą powinni zająć się inni, albo udaje.

Niebawem powinien się przekonać, która z tych ewentualności wchodziła naprawdę w grę.

- Sam pan powiedział, że chodzi o masę pieniędzy, więc postanowiliśmy zastosować zmienny kod, przestawiany co dwanaście godzin. Jeszcze dzisiaj przygotujemy podstawowy wzór, a jutro kurier zawiezie go do Waszyngtonu. Kluczowym słowem będzie „Tortugas”.

Spaulding nie spuszczał wzroku ze swego budzącego odrazę rozmówcy, ale nie zarejestrował żadnej reakcji.

- Tak?... Bardzo dobrze. - Kendall usiadł w fotelu, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

- Mogę uznać w takim razie, że pan się z tym zgadza?

- Oczywiście. Czemu nie? Bawcie się, w co chcecie, mnie chodzi tylko o to, żeby otrzymać potwierdzenie z Genewy i zobaczyć, jak pan odlatuje z planami.

- Tak, ale sądziłem, że kluczowe słowo powinno mieć związek z samą depeszą.

- O czym pan mówi, do diabła?

- „Tortugas”. Czy to powinno być właśnie „Tortugas”?

- A czemu nie? Co to właściwie jest to „Tortugas”?

Dawid był absolutnie pewien, że Kendall nie udaje.

- Może się pomyliłem. Wydawało się, że to słowo miało się także znaleźć w tekście depeszy.

- Boże! To samo, co Swanson! Wszyscy tacy jesteście, wy wojskowi geniusze!

Wszystko musi wyglądać jak na filmie o Tajnym Agencie Van Den Dann, bo inaczej nie będzie żadnej zabawy, prawda? Słuchaj pan, kiedy Lyons powie panu, że plany są w porządku, pan po prostu zawiadamia o tym Waszyngton, a sam jedzie na małe lotnisko Mendarro, gdzie czekają już ludzie Rhinemanna, którzy powiedzą panu, kiedy może pan startować. Czy to jasne?

- Jasne - odparł Spaulding, choć w rzeczywistości wcale nie był tego taki pewien.

Po wyjściu z hotelu spacerował bez celu ulicami Buenos Aires. Po pewnym czasie dotarł do rozległego parku przy Plaza San Martin, który charakteryzował się mnogością fontann, wysypanymi białym żwirem ścieżkami i lekkim nieładem.

Usiadłszy na drewnianej ławce, próbował dopasować do siebie pojawiające się z coraz większą szybkością elementy nadzwyczaj skomplikowanej układanki.

Walter Kendall nie kłamał, słowo „Tortugas” było dla niego tylko pustym dźwiękiem.

A przecież człowiek z windy w hotelu „Montgomery” gotów był oddać życie, żeby dowiedzieć się, co ono oznacza.

Ira Barden twierdził, że na dokumencie znalezionym w sejfie Pace’a, potwierdzającym fakt przeniesienia Dawida do dyspozycji Ministerstwa Wojny, znajdowało się tylko jedno słowo: „Tortugas”.

Niewykluczone, że rozwiązanie tej zagadki jest dziecinnie proste. Śmierć Pace’a z pewnością bardzo utrudni to zadanie, ale nie może go wykluczyć.

Zapewne Berlin dowiedział się o przecieku z Peenemünde - zbyt późno jednak, żeby do tego nie dopuścić - i teraz za wszelką cenę usiłuje przeszkodzić w sfinalizowaniu transakcji, starając się jednocześnie ujawnić kryjących się za nią ludzi i zdemaskować całą siatkę Rhinemanna.

Jeżeli sytuacja właśnie tak się przedstawiała, to o kryptonimie „Tortugas” Berlin dowiedział się dzięki swoim agentom w Fairfax. To, że tacy istnieją, należało uznać za pewnik - dowód stanowiło chociażby zabójstwo Pace’a.

Roli, jaką miał odgrywać on, Spaulding, nietrudno było się domyślić. Człowiek z Lizbony zostaje nagle przeniesiony do Buenos Aires; ekspert o umiejętnościach potwierdzonych w setkach sytuacji ekstremalnych i twórca najbardziej efektywnie działającej siatki podziemnej w całej Europie Południowej nie pozostawiłby swego dzieła, gdyby jego fachowość nie była pilnie potrzebna gdzieś indziej. Już dawno nabrał przekonania, że Berlin domyśla się roli, jaką pełnił w Hiszpanii i Portugalii. W pewnym sensie stanowiło to dla niego jakieś zabezpieczenie, bo przecież nie mógł liczyć na to, że będzie wygrywał każde rozdanie; gdyby go zabito, ktoś natychmiast zająłby jego miejsce i nieprzyjaciel musiałby zaczynać poszukiwania od samego początku. Na jego korzyść przemawiało to, że co prawda stanowił

poważne niebezpieczeństwo, ale przynajmniej znane.

Powoli, bez pośpiechu analizował kroki, jakie by podjął, gdyby znajdował się na miejscu wroga, w ówczesnej konkretnej sytuacji.

Z wyjątkiem okoliczności powstałych w wyniku błędu lub nie przemyślanego, panicznego działania nie spodziewał się, żeby groziła mu śmierć. W każdym razie jeszcze nie teraz. Usunięcie go nie przeszkodziłoby w dostarczeniu planów, natomiast pozostając przy życiu mógł zaprowadzić swych „opiekunów” na miejsce transakcji.

Gdzie jest „Tortugas”?

Tego właśnie chciał się dowiedzieć zdesperowany człowiek z windy w hotelu

„Montgomery”. Był raczej gotów zginąć, niż ujawnić tych, którzy go przysłali. Faszyci byli znani z takiego właśnie fanatyzmu, ale jeśli się nad tym zastanowić, to nie tylko oni.

Należało się spodziewać, że on, Spaulding, zostanie wzięty pod *äusserste Überwachung*, ścisłą kontrolę prowadzoną przez trzy lub czteroosobowe zespoły przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Było to całkowicie możliwe, już od wielu lat bowiem dla Berlina pracowali agenci z różnych krajów, głęboko zakonspirowani i mogący wykonywać swoje zadania bez żadnych przeszkód, nie istniały bowiem żadne dowody wskazujące na to, że cokolwiek łączy ich z Gestapo, Gehlenem czy Nachrichtendienst.

Tacy ludzie rekrutowali się najczęściej z krajów bałkańskich i z Bliskiego Wschodu.

Byli bardzo kosztowni, ale należeli do najlepszych, ich lojalność zaś dotyczyła wyłącznie funta szterlinga i dolara.

Równoległe z roztoczeniem nad nim całodobowej „opieki” Berlin podejmie nadzwyczajne środki ostrożności, żeby uniemożliwić mu zorganizowanie własnej siatki w Buenos Aires. Oznaczało to konieczność przeniknięcia do ambasady amerykańskiej i Niemcy z całą pewnością uczynią wszystko, żeby to osiągnąć, nie licząc się z kosztami.

Kogo mogli kupić?

Próba skorumpowania osoby zbyt wysoko postawionej wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem, mogła bowiem szybko wzbudzić podejrzenia i wyjść na jaw. Musiał to być ktoś stojący niezbyt wysoko na drabinie, a jednocześnie mający dostęp do wszystkich drzwi, biur, sejfów... i szyfrów. Najlepiej jakiś nie rzucający się w oczy attaché, któremu raczej nie groziła zbyt błyskotliwa kariera polityczna i który zgodziłby się zamienić te niepewne perspektywy na inne, dużo pewniejsze. Za odpowiednio wysoką cenę, rzecz jasna.

Musi się liczyć z tym, że wśród personelu ambasady ma przynajmniej jednego wroga.

Berlin ostatecznie wyda rozkaz zlikwidowania Spauldinga, i nie tylko jego zresztą, ale dopiero w momencie finalizowania transakcji, kiedy w wyniku *äusserste Überwachung* nie pozostanie już nic, czego można by się było dowiedzieć od niego.

Dawid wstał z pomalowanej na zielono ławki i wyprostował się, rozglądając po przepięknym parku w rejonie Plaza San Martin. Wszedł na trawnik i zbliżył się do brzegu niewielkiego stawu, w którego ciemnej wodzie, jak w zwierciadle, odbijały się rosnące nie opodal drzewa. W pewnej odległości od niego przepłynęły dwa alabastrowo obojętne łabędzie, a na kamiennym ocembrowaniu przyklekła mała dziewczynka, obrywając płatki żółtego kwiatu.

Dawid odczuwał satysfakcję, był przekonany bowiem, że prawidłowo ocenił możliwości działania nieprzyjaciela, a także najbardziej prawdopodobny rozwój sytuacji.

Swoje własne nastawienie psychiczne mógł określić jako umiarkowanie pozytywne - równie dalekie od negatywnego, co i od nadmiernego entuzjazmu.

Teraz musiał się zająć opracowaniem swojej kontrstrategii, korzystając z całego doświadczenia, jakie zebrał podczas pobytu w Lizbonie. Miał niewiele czasu i wiedział, że w związku z tym nie może sobie pozwolić na żaden fałszywy krok.

Z pozorną nonszalancją - wewnątrz bowiem był nadzwyczaj skupiony - przechadzał się wśród licznych spacerowiczów, przyglądając się rowerzystom i pasażerom małych łódek, uwijających się po niewielkim stawie. Kto z nich pracuje dla nieprzyjaciela?

Kim są ci, którzy go teraz obserwują, zastanawiając się, o czym myśli?

W ciągu najbliższych kilku dni musi ich odnaleźć, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej jednego lub dwóch.

Na tym polegał pierwszy punkt jego kontrstrategii.

Odizolować i złamać.

Zapalił papierosa i przeszedł na drugą stronę po miniaturowym mostku. Czuł się znakomicie. Oto znowu jest jednocześnie zwierzyną i myśliwym. W całym ciele, w każdym pasemku mięśni odczuwał

znajome napięcie. Znow był w Kraju Basków i Nawarze.

A tam potrafił sobie radzić. Nie miał sobie równych. Znajdował oparcie w solidności konkretnych, metalowych i żelbetowych konstrukcji, które wznosił w swoim umyśle.

Najczęściej było to wszystko, co posiadał.

Spojrzał na zegarek; dochodziła piąta trzydzieści, a Jean powiedziała, że przyjedzie do niego około szóstej. Po trwającym niemal dwie godziny spacerze znalazł się na rogu Viamonte, kilka bloków od swojego domu. Przeszedł na drugą stronę ulicy i w kiosku kupił

gazetę.

Zerknąwszy na pierwszą stronę stwierdził z rozbawieniem, że wiadomości z frontów znajdowały się na samym dole, zepchnięte tam przez doniesienia o kolejnych błogosławieństwach, jakich zaznała Argentyna dzięki swoim pułkownikom. Zwrócił uwagę, że nazwisko jednego z nich, niejakiego Juana Peróna, powtarza się w tytułach aż trzech notatek.

Zwinąwszy gazetę schował ją pod pachę i ponieważ zorientował się, że stoi zadumany na środku chodnika, spojrzał jeszcze raz na zegarek.

Tego, co zrobił, wcale nie uczynił świadomie, po prostu słońce odbiło się w tarczy zegarka, uniemożliwiając odczytanie godziny, więc odwrócił się nieco w prawo, tak żeby wyciągnięta dłoń znalazła się w jego własnym cieniu.

Jednak niemal w tej samej chwili przestał interesować się zegarkiem, kątem oka bowiem zarejestrował jakieś zakłócenie w rytmicznym kołysaniu morza sunących ulicą ciał; mniej więcej trzydzieści stóp od niego po drugiej stronie ulicy dwaj mężczyźni zatrzymali się raptownie i odwrócili, wpadając na innych przechodniów.

Ten po lewej zrobił to nie dość szybko, a może był zbyt mało doświadczony, by błyskawicznie wtopić się w tłum.

Dawid rozpoznał w nim jednego z dwóch ludzi, których przydybał na dachu swojego domu. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości - mężczyzna wciąż jeszcze utykał po laniu, jakie od niego otrzymał.

Śledzono go; bardzo dobrze.

Początek rozgrywki znajdował się bliżej, niż przypuszczał.

Ruszył przed siebie, po mniej więcej dziesięciu jardach wpadając w sam środek licznej grupy, zmierzającej w przeciwnym niż on kierunku. Po trwającym dobre kilka sekund slalomie między ludźmi i niesionymi przez nich pakunkami wszedł do sklepu z tanią biżuterią; kilka urzędniczek wybierało właśnie upominek dla koleżanki odchodzącej na emeryturę. Dawid uśmiechnął się do zniecierpliwionego właściciela, dając mu znak, że nie śpieszy mu się i może poczekać. Sprzedawca odpowiedział bezradnym rozłożeniem ramion.

Spaulding stanął przy drzwiach, niemal całkowicie zasłonięty przez grubą futrynę.

Nie minęła nawet minuta, kiedy znowu zobaczył swoich prześladowców. Znajdowali się wciąż po drugiej stronie ulicy i co chwila ginęli mu z oczu za grupami przechodniów.

Najwyraźniej kłócili się, przy czym ten utykający sprawiał wrażenie, jakby chciał się usprawiedliwić przed swoim towarzyszem, a obydwaj cały czas rozglądali się dookoła, z typową dla amatorów bezradnością wspinając się na palce i wyciągając szyje.

Dawid domyślił się, że skręcą w Avenida de Córdoba i pójda w kierunku jego mieszkania. Tak też uczynili, a wtedy on, nie zważając na protesty właściciela, wypadł ze sklepu i przeskakując między trąbiącymi wściekle samochodami pobiegł na drugą stronę ulicy. Nie mógł iść bezpośrednio za tymi ludźmi, bo oglądając się za siebie, jak czynią zawsze ci, którzy stracili kogoś z oczu, mogliby go przypadkiem zauważyć.

Miał do zrealizowania konkretne zadanie: rozdzielić ich, po czym dopaść utykającego i zmusić go do mówienia.

Gdyby mieli trochę doświadczenia, poszliby czym prędzej do jego domu, po czym jeden zostałby na zewnątrz, by obserwować teren, a drugi wszedłby do środka, żeby sprawdzić, czy przypadkiem zwierzyzna nie jest już u siebie w mieszkaniu. Zdrowy rozsądek przemawiał za tym, żeby tego zadania podjął się ten, którego Dawid jeszcze nie znał.

Spaulding zdjął marynarkę, przewiesił ją sobie przez ramię i z częściowo rozłożoną gazetą - jakby usiłował rozgryźć jakiś niezbyt fortunnie sformułowany tytuł - ruszył wraz z tłumem północną stroną Avenida Córdoba. Szedł powoli, spokojnym krokiem, starając się trzymać jak najdalej od krawędzi chodnika.

Od jego domu dzieliło go już nie więcej niż półtora bloku, kiedy ponownie ujrzał

dwóch mężczyzn. Rzeczywiście, oglądali się co chwila, ale interesowała ich wyłącznie jedna strona ulicy.

Amatorzy. Gdyby zdawali u niego egzamin ze śledzenia, oblaliby w ciągu pięciu minut.

Mężczyźni skoncentrowali uwagę na wejściu do budynku. Dawid wiedział, że to najlepszy moment na wykonanie ruchu - co prawda przez kilka chwil będzie niemal zupełnie odkryty i gdyby któryś z nich odwrócił się właśnie wtedy, zobaczyłby go w odległości zaledwie kilku kroków, ale tego ryzyka nie da się uniknąć. Musi dostać się za wejście do jego domu, na tym właśnie polegał jego plan.

Kilka kroków przed nim szła dość zażywna, obładowana zakupami *porteña* w średnim wieku; najwyraźniej śpieszyła się, by zdążyć do domu. Spaulding zrównał się z nią i zaczął

wypytywać ją o drogę swoim najelegantszym, kastylijskim akcentem. Nachylił się przy tym nieco, mając cały czas głowę odwróconą od jezdni.

Gdyby ktokolwiek zwrócił na nich uwagę, to musiałby uznać, że ten mężczyzna z przewieszoną przez ramię marynarką i z gazetą w dłoni oraz kobieta z zakupami to dobrzy znajomi, śpieszący w tym samym kierunku.

Dwadzieścia jardów za wejściem do budynku Dawid opuścił roześmianą *porteñę* i skręcił raptownie w zacienioną bramę. Przycisnąwszy się do ściany wyrzwał ostrożnie i zobaczył, że - zgodnie z jego oczekiwaniami - dwaj mężczyźni rozdzielili się; obcy wszedł do środka, a kulawy rozejrzał się w lewo i w prawo, po czym ruszył przez jezdnię na drugą stronę ulicy, tę, po której znajdował się Spaulding.

Dawid wiedział, że za kilka sekund utykająca postać minie jego kryjówkę. Znowu była potrzebna logika i umiejętność analizowania sytuacji; mężczyzna najprawdopodobniej przejdzie jeszcze kilkanaście jardów, po czym zatrzyma się w takim miejscu, z którego będzie mógł widzieć wszystkich zbliżających się od tej samej strony, z której i on nadszedł. Zobaczy wtedy Dawida w chwili, kiedy ten wysunie się z bramy choćby o jeden krok.

Nastąpiło to jednak wcześniej, Dawid bowiem doskoczył z boku i błyskawicznie wykręcił mu rękę w taki sposób, że jakakolwiek próba oporu skończyłaby się potwornym bólem w unieruchomionej dłoni.

- Idź dalej jakby nigdy nic, bo ci ją urwę - szepnął po angielsku, popychając lekko mężczyznę na prawą stronę chodnika, żeby ominąć ludzi zmierzających w przeciwną stronę.

Twarz mężczyzny wykrzywiła się w grymasie bólu. Potknął się, nie nadążając za szybkim krokiem Dawida, a ten wzmógł nacisk na wykręconą rękę.

- Złamiesz mi - jęknął, kuśtykając najszybciej, jak potrafił.

- Oczywiście, jeśli się nie pośpieszysz - odparł uprzejmie Dawid. Dotarli do rogu Avenida Parana i Spaulding skręcił w lewo, ciągnąc za sobą swoją zdobycz. Kiedy dotarli do nieco cofniętego wejścia do budynku mieszczącego jakieś biura, wszedł tam, po czym cisnął

utykającego mężczyznę na drewnianą ścianę, zwalniając z uchwytu jego rękę, podczas gdy niedawny prześladowca zaczął ją delikatnie obmacywać, sięgnąwszy szybko pod jego marynarkę wyjął rewolwer z przytroczonej do biodra kabury.

Luger, wyprodukowany najdalej przed rokiem.

Dawid wsadził go sobie za pasek i chwyciwszy jedną ręką za gardło mężczyzny, zaczął drugą przeszukiwać jego kieszenie. Kiedy znalazł duży, skórzany portfel, zwolnił

uchwyt, ale zaraz potem bezlitośnie przygwoździł swoją ofiarę wbitym w jej splot słoneczny łokciem, a sam zajął się przeglądaniem zawartości portfela.

Niemieckie prawo jazdy, przepustka uprawniająca do korzystania z autostrad, podpisane przez najróżniejszych Oberführerów kartki zaopatrzeniowe, ważne na całym terytorium Rzeszy - przywilej dostępny wyłącznie dla wysokich funkcjonariuszy rządowych.

A wreszcie to, czego szukał.

Legitymacja z fotografią i adnotacją dla ministerstw: Informacji, Uzbrojenia, Lotnictwa i Zaopatrzenia.

Gestapo.

- Jesteś chyba najgorszym agentem, jakiego znalazł sobie Himmler - powiedział

Dawid zupełnie serio, chowając portfel do tylnej kieszeni swoich spodni. - Pewnie dostałeś się dzięki znajomościom... *Was ist „Tortugas”?* - Zapytał niespodziewanie, zmieniając ton głosu.

- *Wer ist Altmüller? Was wissen Sie über Marshall?* - Każdemu pytaniu towarzyszyło bolesne uderzenie w klatkę piersiową. - *Sprechen Sie! Sofort!*

- *Nein! Ich weiß nichts!* - Wystękał agent, łapiąc z trudem oddech. - *Nein!*

Spaulding był pewien, że również po niemiecku mężczyzna mówi jakimś dziwnym akcentem, nie mającym nic wspólnego ani z berlińskim, ani bawarskim.

Co to mogło być?

- *Noch'mal!* No, dalej! *Sprechen Sie!*

Wtedy wydarzyło się coś dziwnego: maltretowany człowiek przestał mówić po niemiecku i odezwał się po angielsku.

- Nic nie wiem! Wykonuję tylko rozkazy, naprawdę!

Dawid przesunął się trochę w lewo, aby zasłonić swą ofiarę przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Nikt jednak się nie zatrzymał, brama bowiem była na tyle głęboka, że obydwaj znajdowali się w cieniu i dla nieuważnego obserwatora mogli wydawać się po prostu dwoma lekko zamroczonymi alkoholem kumplami.

Spaulding wziął prawą ręką potężny zamach i wbił pięść w żołądek mężczyzny z taką siłą, że ten zatoczył się bezwładnie i z pewnością by upadł, gdyby Dawid nie chwycił go drugą ręką za włosy.

- Będę to robił tak długo, aż wszystko ci połamię, a potem wrzucę do taksówki i zawiozę pod niemiecką ambasadę, gdzie cię zostawię z odpowiednim liścikiem przypiętym do ubrania. Wtedy oberwiesz także i od nich, nie sądzisz? Więc lepiej powiedz mi wszystko, co chcę wiedzieć! - Podkreślił swoje słowa wbijając kciuk w gardło ślaniającego się mężczyzny.

- Przestań! *Mein Gott*, przestań!

- Dlaczego nie chcesz mówić? Możesz wrzeszczeć, ile chcesz, proszę bardzo... Tyle tylko, że będę musiał dać ci narkozę i podrzucić cię twoim ludziom. No, dalej! Krzycz! -

Jeszcze jeden cios w gardło. - A może wolisz zacząć wreszcie mówić? Co to jest „Tortugas”?

Kto to jest Altmüller? W jaki sposób dostaliście Marshalla?

- Przysięgam na Boga, że nic nie wiem!

Dawid uderzył go po raz kolejny i mężczyzna osunął się na ziemię. Spaulding oparł go o ścianę i pochylił się, kryjąc go przed wzrokiem niepowołanych osób. Agent Gestapo uniósł

z trudem powieki; miał poważne kłopoty ze skoncentrowaniem spojrzenia.

- Masz pięć sekund. Jeśli nic nie powiesz, rozerwę ci gardło.

- Nie, proszę!... Altmüller... Peenemünde...

- Co z Peenemünde?

- Narzędzia... „Tortugas”...

- Co to znaczy, do diabła? - Dawid podsunął zaciśniętą pięść pod oczy Niemca, którego ciałem na wspomnienie bólu wstrząsnął nie kontrolowany dreszcz. - Co to jest

„Tortugas”?

Agent zamrugał nagle powiekami, patrząc w górę, ponad ramieniem Spauldinga. Nie był to żaden wybieg, na to bowiem z całą pewnością nie mógł się już zdobyć.

W tej samej chwili Dawid wyczuł za sobą czyjąś obecność. Ten szósty zmysł

wykształcił się w nim podczas kilku minionych lat i jak do tej pory nigdy go nie zawiódł.

Odwrócił się.

W jego kierunku zmierzał drugi agent, ten, który kilka minut temu poszedł do jego mieszkania. Dorównywał mu wzrostem i był przynajmniej równie umięśniony.

Dawid puścił swoją ofiarę, żeby jednym susem przedostać się pod przeciwną ścianę, ale nie mógł.

Gestapowiec ostatek sił uczeplił się jego ramion, uniemożliwiając mu wykonanie jakiegokolwiek ruchu.

Dawid rąbnął go z całej siły łokciem, wbijając go niemal w drewnianą ścianę, i jednocześnie kopnął na oślep w kierunku zbliżającego się przeciwnika.

Wiedział jednak doskonale, że jest już za późno.

Zobaczył przed twarzą potężną dłoń z rozczapierzonymi szeroko palcami. Miał

wrażenie, że ogląda jakiś makabryczny film wyświetlany w zwolnionym tempie. Poczuł jej dotyk na twarzy i uświadomił sobie, że ktoś z wielką siłą pchnął jego głowę w kierunku ściany.

Potwornemu bólowi towarzyszyło wrażenie, że nurkuje w jakąś głębię bez dna.

Potrząsnął głową i nagle poczuł jakiś straszliwy smród.

Leżał pod ścianą, skulony w pozycji embrionalnej. Był cały mokry, szczególnie na twarzy, piersiach i w okolicach krocza.

Śmierdział bardzo tanią i bardzo mocną whisky.

Koszula wisiała na nim w strzępach, zniknął jeden but wraz ze skarpetką, pasek miał rozpięty, a także rozporek. Jednym słowem, typowy okaz całkowitego degenerata.

Usiadł i uporządkował, na ile mógł, swój wygląd, po czym spojrzał na zegarek.

A raczej na miejsce, gdzie powinien być; zegarek zniknął, portfel też, podobnie jak pieniądze i cała zawartość jego kieszeni.

Podniósł się na nogi. Słońce zaszło jakiś czas temu i Avenida Parana nie była już tak zatłoczona, jak po południu.

Zastanawiał się, jak długo leżał bez przytomności. Przypuszczał, że co najwyżej godzinę.

Ciekawe, czy Jean jeszcze czeka, pomyślał.

Pomogła mu zdjąć ubranie, przyłożyła do głowy woreczek z lodem i kazała wziąć długi, gorący prysznic.

Kiedy wrócił z łazienki, przyrządziła mu drinka, a następnie usiadła przy nim na kanapie.

- Henderson na pewno będzie chciał, żebyś przeprowadził się do ambasady.

- Nie mogę.

- Nie możesz też codziennie obrywać w ten sposób. Tylko mi nie wmawiaj, że to złodzieje. Sam nie chciałeś uwierzyć, kiedy Bobby i Henderson mówili to samo o tych na dachu!

- To było zupełnie co innego. Rany boskie, Jean, przecież ukradli mi wszystko, co miałem! - Dawid robił, co mógł, żeby mu uwierzyła. Musi mu uwierzyć, a niewykluczone, że od tej pory nie będzie mógł się z nią spotykać. Na razie wołał o tym nie myśleć.

- Złodzieje nie wylewają na swoją ofiarę butelki whisky!

- Owszem, robią to, jeśli chcą zyskać na czasie. To stary sposób. Zanim delikwent przekona policję, że jest porządnym obywatelem, oni są już poza miastem.

- Nie wierzę ci. Nie wierzę nawet w to, że chcesz, żebym uwierzyła. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę, bo to prawda. Przecież nie wyrzuciłbym portfela, pieniędzy i zegarka tylko po to, żeby później opowiadać ci niestworzone historie. Daj spokój, Jean! Diabelnie chce mi się pić, a poza tym wciąż boli mnie głowa.

Wzruszyła ramionami widząc, że dyskusja nie ma żadnego sensu.

- Obawiam się, że właśnie skończyła ci się whisky. Wyjdę i kupię ci butelkę. Na rogu Talcahuano jest sklep z alkoholem, to niedaleko...

- Nie - przerwał jej, przypominając sobie mężczyznę o wielkich dłoniach. - Ja pójdę.

Tylko pożycz mi trochę forsy.

- Pójdziemy razem - odparła.

- Proszę cię, zaczekaj tutaj. Spodziewam się telefonu i zależy mi na tym, żeby ktoś był.

- Kto ma dzwonić?

- Facet nazwiskiem Kendall.

Znalazłszy się na ulicy zapytał pierwszego napotkanego człowieka, gdzie może być najbliższy automat. Okazało się, że dopiero w sklepie papierniczym na Rodriguez Peña, kilka przecznic dalej.

Pobiegł tam ile sił.

Boy odszukał Kendalla w jadalni. Doradca żuł coś jeszcze, kiedy podszedł do telefonu. Dawid wyobraził sobie jego zwierzęcy oddech i nieświadomie nagryzmolone, obsceniczne rysunki, ale opanował się; Walter Kendall był po prostu chory.

- Lyons przylatuje za trzy dni - powiedział Kendall. - Ze swoimi niańkami.

Wynająłem mu lokum w San Telmo, porządna dzielnica, spokojna uliczka. Podałem Swansonowi adres, a on przekaże go jego pielęgniarzom. Urządzą go tam, a potem skontaktują się z panem.

- Wydawało mi się, że to ja mam się tym zająć.

- Doszedłem do wniosku, że pan zbyt wszystko komplikuje - odparł Kendall. -

Wątpię, żeby miał pan czego żałować. Odezwią się albo ja to zrobię. Jeszcze jakiś czas tu pobędę.

- Cieszę się... Gestapo też.

- Co?

- Przecież mówię, Gestapo. Przeliczył się pan, Kendall. Ktoś jednak próbuje panu przeszkodzić. Jeśli mam być szczery, wcale mnie to nie dziwi.

- Chyba upadł pan na ten swój pieprzony łeb!

- Bynajmniej.

- Co się właściwie stało?

Dawid opowiedział mu i odniósł wrażenie, że po raz pierwszy od chwili zetknięcia z Kendalllem wyczuł u niego strach.

- W siatce Rhinemanna musiało nastąpić pęknięcie, co wcale nie znaczy, że plany nie dotrą tutaj. Oznacza to tylko tyle, że będziemy mieli pewne kłopoty, oczywiście jeżeli ten Rhinemann jest rzeczywiście tak dobry, jak pan twierdzi. Na mój gust - Berlin stwierdził, że plany zostały skradzione. Przeczesują obecnie tam i z powrotem wszystkie szlaki, zwłaszcza te, którymi Rhinemann chce je wywieźć z Europy. Wydaje mi się, że Najwyższe Dowództwo zwietrzyło sprawę, ale nie chcą nadawać jej rozgłosu, tylko załatwić wszystko po cichu, najdyskretniej, jak tylko będzie można. Może pan być jednak pewien, że w Peenemünde spadnie niejedna głowa.

- To nieprawdopodobne... - Głos Kendalla był tak cichy, że ledwie słyszalny. Po chwili wybąkał coś, czego Dawid nie rozumiał.

- Co pan mówi?

- Ten adres w San Telmo, dla Lyonsa. Trzy pokoje, wejście od tyłu. - Kendall właściwie szeptał, starając się robić to jak najszybciej.

Spanikował, pomyślał Dawid.

- Prawie cię nie słyszę, Kendall. Uspokój się! Nie sądzisz, że nadeszła już pora, żeby przedstawić mnie Rhinemannowi?

- Ten adres w San Telmo, Terazza Verde numer piętnaście... Bardzo spokojna uliczka...

- Jak mogę skontaktować się z Rhinemannem?

- Co?

- Jak skontaktować się z Rhinemannem?

- Nie wiem...

- Do cholery, Kendall! Przecież gadałeś z nim przez pięć godzin!

- Odezwę się...

Dawid osłupiał, słysząc stuk odkładanej słuchawki. Kendall rozłączył się! Zastanawiał

się, czy nie zadzwonić ponownie, ale doszedł do wniosku, że w tej chwili mogłoby to tylko pogorszyć sytuację.

Cholerni amatorzy! Czego oni się spodziewali, do diabła? Że Albert Speer zadzwoni osobiście do Waszyngtonu i zaproponuje im pożyczanie kilku planów, bo słyszał, że mają jakieś kłopoty?

Boże!

Wyszedł wściekły na ulicę.

Co jeszcze miał załatwić? Aha, whisky. Jean powiedziała, że sklep jest na rogu Talcahuano, cztery przecznice na zachód. Zerknął na zegarek, ale zegarka, oczywiście, nie było.

Niech to szlag!

- Przepraszam, że to tak długo trwało. Pomyliłem się i poszedłem w inną stronę. -

Dawid postawił na stole torbę z whisky i wodą sodową. Jean siedziała na kanapie, zamyślona i jakby czymś poruszona. - Był telefon?

- Nie ten, którego się spodziewałeś - odparła cicho. - Dzwonił ktoś inny. Powiedział, że spróbuje jutro.

- Tak? Przedstawił się?

- Owszem. - W jej głosie pojawiła się nuta niepewności, a nawet strachu. - To był

Heinrich Stoltz.

- Stoltz? Nie znam go.

- Powinieneś, jest podsekretarzem w ambasadzie Rzeszy... Dawid, co tu się właściwie dzieje?

- Przykro mi, *señor*. Pan Kendall wyjechał wczoraj wieczorem, dokładnie o dziesiątej trzydzieści.
- Czy zostawił jakiś adres lub numer telefonu?
- Nie, *señor*. Wydaje mi się, że wrócił do Stanów Zjednoczonych, bo o północy startuje samolot Pan American.
- Dziękuję.

Dawid odłożył słuchawkę i sięgnął po papierosy. Niewiarygodne! Kendall załamał się natychmiast, gdy tylko pojawiły się pierwsze trudności! Dlaczego? Drgnął, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

- Halo?
- Herr Spaulding?
- Tak.
- Tu Heinrich Stoltz. Dzwoniłem wczoraj, ale nie zastałem pana.
- Tak, wiem... Podobno pracuje pan w ambasadzie Niemiec. Chyba nie muszę panu mówić, że pański telefon jest czymś co najmniej niezwykłym, jeśli nie wręcz niesmacznym?
- Ależ, Herr Spaulding! Niezwykły? Niesmaczny? Takie słowa w ustach człowieka z Lizbony? - Stoltz roześmiał się uprzejmie.
- Jestem attaché ambasady, specjalizującym się w zagadnieniach ekonomicznych i nic więcej. Z pewnością wie pan o tym, jeśli posiada pan na mój temat jakieś informacje. A teraz przepraszam, ale trochę się śpieszę, więc...

- Dzwonię z automatu - przerwał mu Stoltz. - Chyba coś to panu mówi, prawda?

Oczywiście, że mówiło.

- Nigdy nie prowadzę poważnych rozmów przez telefon.
- Pański jest w porządku. Dokładnie to sprawdziłem.
- Jeżeli chce się pan ze mną spotkać, proszę zaproponować czas i miejsce... najlepiej gdzieś w śródmieściu, gdzie jest dużo ludzi. Żadnych ustronnych zaułków.
- Na północ od Parque Lezama jest taka restauracja, Casa Langosta del Mar. Trochę na uboczu, ale na pewno nie ustronna. W środku żadnych drzwi, tylko zasłony. Można tam spokojnie porozmawiać.

- Kiedy?
- Wpół do pierwszej.
- Czy pan pali? - zapytał nagle Dawid.
- Tak.
- Więc od chwili wyjścia z samochodu proszę trzymać w lewej dłoni paczkę amerykańskich papierosów. Ma być otwarta, a dwa papierosy częściowo wysunięte.
- To niepotrzebne. Znam pana i sam do pana podejść.
- To mnie nie interesuje. Ja pana nie znam - powiedział Dawid i odłożył słuchawkę.

Jak zwykle w takich przypadkach zjawi się na miejscu wcześniej, jeśli to możliwe od tyłu, i zajmie miejsce, z którego będzie mógł widzieć moment przybycia drugiej strony. Pudełko papierosów odgrywało wyłącznie rolę psychologiczną; każdy czuje się mniej pewnie wiedząc, że jest w jakiś sposób naznaczony i stanowi cel łatwy do zidentyfikowania. Taki człowiek zastanowi się dwa razy, zanim zdecyduje się na jakiś nierozważny krok, a jeśli chodziło mu wyłącznie o zorganizowanie zasadzki, to po prostu nie stawi się na spotkanie.

Jean Cameron szła korytarzem w kierunku metalowych schodów prowadzących do podziemi.

Do „piwniczki”.

„Piwniczka” - nazwa pozbawiona jakichkolwiek uczuciowych konotacji, rozpowszechniona wśród dyplomatów i urzędników we wszystkich ambasadach USA na całym świecie - były to podziemne pomieszczenia, w których znajdowały się kartoteki z danymi wszystkich osób, mających jakikolwiek kontakt z ambasadą, znanych i nieznanymi, wrogów i przyjaciół. Były tam również teczki z informacjami na temat personelu: życiorysy, wyniki prowadzonych wyrywkowo obserwacji, opinie Departamentu Stanu, uwagi dotyczące przebiegu pracy. Wszystko, cokolwiek można było zdobyć.

Żeby wejść do „piwniczki”, należało uzyskać dwa podpisy: ambasadora i konkretnej osoby, która poszukiwała jakiejś informacji, przy czym osoba ta musiała pełnić co najmniej funkcję starszego attaché.

W nagłych, wymagających wielkiego pośpiechu przypadkach przepis ten był często omijany. Zazwyczaj oficer pilnujący wejścia dawał się przekonać, że ten czy tamten attaché rzeczywiście potrzebuje bezzwłocznie jakichś danych, i wpisywał na specjalną listę zarówno nazwisko tego, kto sprawdzał, jak i tego, kogo sprawdzano, a następnie towarzyszył podczas otwierania kartoteki. W razie jakichkolwiek reperkusji wszelka odpowiedzialność spadała na głowę dyplomaty.

Reperkusji jednak nie było, oznaczały one bowiem natychmiastowe przeniesienie do Ugandy. Listę codziennie zamykano w zalakowanej kopercie i oddawano ambasadorowi do rąk własnych.

Jean rzadko wykorzystywała w sprawach służbowych swą zażyłość z Granville'em, a jeżeli już, to nigdy nie dotyczyło to niczego poważnego.

Tym razem rzecz miała się inaczej, ona zaś była zdecydowana rzucić na szalę zarówno przynależność do rodziny ambasadora, jak i swą rangę jednego z najbliższych współpracowników. Granville wyszedł na lunch i nie należało się go spodziewać wcześniej niż za kilka godzin. Jean postanowiła powiedzieć strażnikowi, że jej teść, ambasador, poprosił

ją o dyskretne sprawdzenie informacji dotyczących ich nowego współpracownika.

Dawida Spauldinga.

Jeśli Henderson zażąda później wyjaśnień, powie mu prawdę: tajemniczy pan Spaulding bardzo, ale to bardzo ją zainteresował, jeżeli zaś Henderson tego nie zauważył, to znaczy, że jest starym głupcem.

Przy wejściu do podziemia straż pełnił młody porucznik z bazy marines znajdującej się na południe od La Boca. Zawarty między dwoma rządami układ zezwalał na jej istnienie, ale nie dopuszczał obecności umundurowanych żołnierzy poza jej terenem, więc marines, wyznaczeni do służby w ambasadzie, przyjeżdżali do niej ubrani po cywilnemu. Łatwo się domyślić, że nie byli tym zbytnio zachwyceni i czuli się nieco niedowartościowani, więc nic dziwnego, że kiedy do porucznika podeszła synowa ambasadora i zwróciła się do niego po imieniu, ten bez żadnych pytań spełnił jej życzenie.

Jean wpatrywała się w zawartość teczki Dawida czując, jak ogarnia ją przerażenie; teczka była właściwie pusta. Żadnych adnotacji Departamentu Stanu, żadnych raportów, opinii, informacji o przebiegu służby.

Tylko jedna, jedyna kartka.

Znajdowały się na niej dane dotyczące płci, wzrostu, wagi, koloru włosów, oczu i znaków szczególnych.

A nieco niżej kilka słów:

Przeniesienie do Min. Wojny, Wydz. Tajn. Oper., Finanse. „Tortugas” I to wszystko.

- Znalazła pani? - zapytał porucznik.

- Tak, dziękuję. - Jean schowała teczkę do szafy, uśmiechnęła się do młodego komandosa i wyszła.

Dotarłszy do schodów zaczęła wolno iść w górę. Przyjęła do wiadomości fakt, że Dawid wykonuje jakieś tajne zadanie, ale świadomość ta, a raczej związana z nią tajemnica i niebezpieczeństwo,

budziły w niej odrazę i sprzeciw. W pewnym sensie odkrycie to nie stanowiło dla niej zaskoczenia, podświadomie bowiem była przygotowana właśnie na coś takiego, ale nie miała pewności, czy zdoła się z tym pogodzić, choć podjęła decyzję, że spróbuje. Jeśli jej się nie uda, wykorzysta do końca wszystkie przyjemne momenty, po czym pocałuje Spauldinga na pożegnanie. Musi to zrobić. Nie zniesie już więcej bólu.

Poza tym było jeszcze coś innego, nieuchwytnego jak cień w mrocznym pokoju, ale na pewno obecnego; to słowo.

„Tortugas”.

Widziała je całkiem niedawno, zaledwie przed kilkoma dniami.

Zwróciło jej uwagę, ponieważ kojarzyło się z „Suchą Tortugas” i wspólnymi wyprawami żeglarskimi z Andrew...

Ale gdzie je widziała?... Tak, właśnie tam.

Fragment rutynowego raportu leżącego na biurku Granville’a. Czytała go, a właściwie przeglądała niezbyt uważnie kilka dni temu. Te raporty składały się zawsze z krótkich zdań bez rytmu i melodii, pisanych przez ludzi pozbawionych wyobraźni, których obchodziło tylko to, co mogli opisać w skrócie, posługując się wyłącznie faktami.

Było to coś o La Boca.

Coś o kapitanie jakiegoś trawlera... i o jego ładunku, przeznaczonym właśnie do wylądowania w Tortugas. W grę musiała wchodzić oczywista pomyłka, miejsce przeznaczenia bowiem znajdowało się poza wodami terytorialnymi, po których wolno było poruszać się jednostkom tego typu.

A mimo to w dokumentach figurowało wyraźnie słowo „Tortugas”.

To samo, co na notatce w pustej teczce Dawida.

Ponadto do Dawida telefonował Heinrich Stoltz z ambasady Niemiec.

Jean Cameron poczuła nagle, że bardzo się boi.

Kiedy Spaulding był już całkowicie pewien, że Stoltz jest sam, dał mu znak, by poszedł za nim do zasłoniętego kotarą pomieszczenia, które zarezerwował pół godziny wcześniej.

Niemiec cały czas trzymał w dłoni paczkę amerykańskich papierosów. Dawid zajął miejsce w głębi, twarzą do kotary.

- Proszę siadać - powiedział, wskazując gestem krzesło.

Stoltz uśmiechnął się, stwierdziwszy, że będzie siedział tyłem do wejścia.

- Człowiek z Lizbony nie zaniedbuje żadnych środków ostrożności - zauważył, zajmując wskazane miejsce i kładąc papierosy na stole. - Zapewniam pana, że nie mam broni.

- To dobrze, bo ja mam.

- Jest pan zbyt ostrożny. Pułkownicy nie lubią, kiedy przedstawiciele zwaśnionych stron paradują z bronią po ich neutralnym mieście. Powinni to panu powiedzieć w ambasadzie.

- Słyszałem, że podobno chętniej aresztują Amerykanów niż was.

Stoltz wzruszył ramionami.

- Cóż w tym dziwnego? Przecież to my ich szkolimy. Wy kupujecie tylko ich wołowinę.

- Przykro mi, ale tym razem nie będzie lunchu. Zapłaciłem tylko za stolik.

- Szkoda, bo podają tu wspaniałe langusty. W takim razie, może się czegoś napijemy?

- Nie. Będziemy tylko rozmawiać.

- Chciałem pana serdecznie powitać w Buenos Aires - powiedział cicho Stoltz. - W

imieniu Ericha Rhinemanna.

- Właśnie pan?

- Tak. Przeze mnie nawiąże pan kontakt.

- To interesujące.

- Właśnie w taki sposób działa Erich Rhinemann. Płaci za posłuszeństwo.

- Potrzebuję dowodu.

- Proszę bardzo. Otrzyma go pan od samego Rhinemanna, zgoda?

Spaulding skinął głową.

- Gdzie i kiedy?

- Jestem tu po to, żeby to omówić. Rhinemann jest przynajmniej równie ostrożny, jak człowiek z Lizbony.

- Pracowałem w ambasadzie amerykańskiej w Portugalii. Nie widzę powodu, dla którego miałby pan

dopatrywać się czegokolwiek więcej.

- Przykro mi, ale muszę mówić prawdę. Herr Rhinemann jest w najwyższym stopniu niezadowolony z tego, że Waszyngton przysłał właśnie pana. Pańska obecność w Buenos Aires może łatwo zwrócić na nas uwagę.

Dawid sięgnął po papierosy przyniesione przez Niemca i zapalił jednego. Stoltz miał

rację; jedyne ryzyko związane z wyborem jego, Spauldinga, wiązało się z możliwością, że nieprzyjaciel wie wszystko o jego działaniach w Lizbonie. Ed Pace z pewnością brał pod uwagę to niebezpieczeństwo i najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie jest ono tak wielkie jak korzyści, które spodziewał się osiągnąć dzięki temu wyborowi. Tak czy inaczej, nie był to temat do dyskusji z Heinrichem Stoltzem. Niemiecki attaché wciąż jeszcze stanowił wielką niewiadomą.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Przyjechałem do Buenos Aires po to, żeby przekazać wstępne uwagi kół finansowych Londynu i Nowego Jorku, dotyczące powojennych negocjacji w sprawie odbudowy i rekonstrukcji. Widzi pan, my naprawdę wierzymy w to, że zwyciężymy. Nie możemy sobie pozwolić, żeby w naszych planach pominąć Ericha Rhinemanna.

- Człowiek z Lizbony jest w każdym calu profesjonalistą...

- Mógłby pan już wreszcie przestać powtarzać te bzdury.

- ...i przekonującym kłamcą - dokończył Stoltz. - To naprawdę dobry kamuflaż. Nawet Herr Kendall jest tego zdania.

Dawid zaciągnął się papierosem, chcąc trochę zyskać na czasie. Stoltz krążył, zbliżając się powoli do przedstawienia dowodów.

- Proszę opisać Kendalla.

- W skrócie czy dokładnie?

- Wszystko jedno.

Niemiec roześmiał się cicho.

- Wolałbym w skrócie, i to największym z możliwych. To najbardziej obrzydliwy dwunóg, jakiego można sobie wyobrazić, ale ma niesamowitą głowę do interesów. To jedyny powód, dla którego warto poświęcić się i spędzić z nim trochę czasu w jednym pokoju.

- Pan się poświęcił?

- Niestety, na całe cztery godziny. Wraz z Rhinemannem. I jak, możemy rozmawiać?

- Słucham pana.

- Pański Lyons zjawi się tutaj pojutrze. Wszystko możemy załatwić bardzo szybko, bo plany przybędą w jednej przesyłce, a nie w dwóch, jak myśli Kendall.

- A on naprawdę tak myśli?

- Powiedziano mi, że tak właśnie będzie.

- Dlaczego?

- Bo jeszcze do wczorajszego wieczoru sam Herr Rhinemann tak myślał. Ja dowiedziałem się o zmianie dopiero dzisiaj rano.

- W takim razie, dlaczego dzwonił pan do mnie wczoraj?

- Polecenie Waltera Kendalla.

- Proszę to wyjaśnić.

- Czy to konieczne? Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Herr Kendall zadzwonił do mnie, najwyraźniej tuż po rozmowie z panem, i powiedział, że wezwano go z powrotem do Waszyngtonu, a ja mam się skontaktować natychmiast z panem. Mówił to bardzo kategorycznym tonem.

- Czy nie powiedział, dlaczego wezwano go do Stanów?

- Nie, a ja nie widziałem powodu, żeby go o to pytać. Zresztą, spełnił już swoje zadanie i nie musimy się nim przejmować. To pan zna sygnał szyfrowy, który trzeba wysłać do Waszyngtonu, nie on.

Dawid zgniótł papierosa w popielniczce.

- Jaką pozycję zajmuje pan w swojej ambasadzie?

Stoltz uśmiechnął się.

- Nie będę się zbytnio chwalił, jeśli stwierdzę, że jestem trzeci lub czwarty od góry.

Chyba jednak nie muszę dodawać, że moja lojalność dotyczy wyłącznie Ericha Rhinemanna.

- Przekonam się o tym, jeśli z nim porozmawiam, prawda? - Dawid spojrział prosto w oczy swego rozmówcy. - Co tu robi Gestapo?

- Nic, bo ich nie ma... To znaczy, jest jeden człowiek w ambasadzie, ale to właściwie urzędnik. Podobnie jak wszyscy gestapowcy uważa się za jedyne prawdziwego obrońcę Rzeszy i zasypuje naszych kurierów tonami papierzysk. Jednym słowem, totalny bałwan, jak powiadacie wy, Amerykanie. Nikogo więcej nie ma.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście. Mogę pana zapewnić, że wiedziałbym o tym pierwszy, nawet przed ambasadorem. Ta gra jest zupełnie niepotrzebna, Herr Spaulding.

- W takim razie powinien pan zająć się organizacją mojego spotkania z Rhinemannem.

- Tak, oczywiście... Tym samym wracamy do tego, co nie daje Herr Rhinemannowi spokoju: dlaczego człowiek z Lizbony znalazł się w Buenos Aires?

- Obawiam się, że po prostu musiał. Sam pan powiedział, że jestem ostrożny, a w dodatku dysponuję sporym doświadczeniem. Poza tym, znam sygnał szyfrowy.

- Tak, ale dlaczego właśnie pan? Pańskie przeniesienie z Lizbony musiało sporo kosztować. Mówię to zarówno jako nieprzyjaciel, jak i obiektywny obserwator, sprzymierzony z Rhinemannem. Może istnieje jeszcze jakiś powód, o którym nic nie wiemy?

- Nawet jeżeli tak, to ja o nim także nic nie wiem - odparł Dawid, wytrzymując bez mrugnięcia badawcze spojrzenie Stoltza. - Skoro tak szczerze rozmawiamy, to mogę panu powiedzieć, że zależy mi tylko na tym, żeby potwierdzić autentyczność tych planów, nadać wiadomość, że można wam wypłacić te cholerne pieniądze i jak najprędzej stąd zniknąć.

Ponieważ znaczna część tych pieniędzy pochodzi od rządu, należy przypuszczać, iż Waszyngton uznał mnie za najbardziej odpowiedniego człowieka do tego, żeby nadzorować tę sprawę i dopilnować, byśmy nie zostali oszukani.

Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni milczeli. Pierwszy odezwał się Stoltz.

- Wierzę panu. Wy, Amerykanie, zawsze boicie się, żeby was ktoś nie oszukał, prawda?

- Lepiej porozmawiajmy o Rhinemannie. Chcę się z nim spotkać jak najszybciej. Nie uwierzę w żadne z zapewnień Kendalla, dopóki nie usłyszę tego bezpośrednio od niego.

Dopiero wtedy ustalę czas i sposób przekazania informacji do Waszyngtonu.

- Jeszcze pan tego nie zrobił?

- Nie. I nie zrobię, dopóki nie zobaczę się z Rhinemannem.

Stoltz westchnął ciężko.

- Jest pan nadzwyczaj dokładny... Dobrze, spotka się pan z Rhinemannem. Po zachodzie słońca, z dwoma przesiadkami, w jego rezydencji. Herr Rhinemann nie może ryzykować, żeby ktoś zobaczył was razem. Czy te środki ostrożności nie przeszkadzają panu?

- Ani trochę. Bez mojego potwierdzenia nie dostaniecie ani centa na konto w Szwajcarii. Przypuszczam, że Herr Rhinemann okaże się bardzo gościnnym gospodarzem.

- Jestem tego pewien. Dobrze więc, wszystko ustalone. Skontaktujemy się z panem jeszcze dziś wieczorem. Będzie pan w domu?

- Jeżeli nie, to zostawię informację w ambasadzie.

- *Denn auf Wiedersehen, mein Herr.* - Stoltz wstał z miejsca i skinął zdawkowo głową.

- *Heute Abend.*

- *Heute Abend* - odparł Dawid.

Niemiec odsunął zasłonę i wyszedł, zostawiając na stole pudełko papierosów. Miał to być zapewne prezencik lub drobna zniewaga. Dawid wyjął jednego, przyłapując się na tym, że ściska go w palcach tak samo, jak robił to Kendall. Rozerwał bibułkę i wysypał tytoń do popielniczki. Wszystko, co kojarzyło się z Kendallem, budziło w nim ogromny niesmak i przypominało o nagłym, tchórzliwym wyjeździe niechlujnego doradcy.

A Spaulding miał teraz wiele innych spraw, nad którymi musiał się poważnie zastanowić.

Heinrich Stoltz, „trzeci lub czwarty od góry”, w rzeczywistości zajmował w hierarchii ambasady znacznie niższą pozycję, niż przypuszczał. Nie kłamał; naprawdę nie wiedział o tym, że w Buenos Aires pojawiło się Gestapo. Skoro nie wiedział, znaczyło to, że ktoś nie przekazał mu tej wiadomości.

To zabawne, pomyślał Dawid, że mimo wszystko będę pracował z Erichem Rhinemannem. Dopóki go nie zabiję, rzecz jasna.

Heinrich Stoltz usiadł przy swoim biurku i podniósł słuchawkę telefonu.

- Połączcie mnie z Herr Rhinemannem w Lujan - powiedział swą nienaganną, wykształconą niemczyzną.

Odłożył słuchawkę, oparł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął. Kilka chwil później rozległ się brzęczyk.

- Herr Rhinemann?... Tu Heinrich Stoltz... Tak, wszystko poszło gładko. Kendall mówił prawdę. Spaulding nic nie wie ani o Koeningu, ani o diamentach, obchodzą go tylko i wyłącznie plany. Jedyne, czym grozi, to wstrzymanie przelewu pieniędzy. Jest nieszkodliwy, ale musi wysłać tę depeszę do Waszyngtonu, żeby kazali odblokować port, bo inaczej trawler się nie przedostanie... Proszę sobie wyobrazić, że chodzi mu wyłącznie o to, żeby go nikt nie oszukał!

W pierwszym momencie wydawało mu się, że to przywidzenie... Nie, to nieprawda, pomyślał po chwili. Nic mu się nie wydawało. To była po prostu reakcja.

Oślupiał.

Leslie Hawkwood.

Zobaczył ją z taksówki, jak rozmawiała z jakimś mężczyzną przy fontannie na południowym skraju Plaza de Mayo. Taksówka powoli torowała sobie drogę w gęstym ruchu; kazał kierowcy natychmiast podejść do krawężnika i stanąć.

Zapłaciwszy mu wysiadł z samochodu. Znajdował się teraz dokładnie po przeciwnej stronie fontanny i przez bryzgi wody widział zamazane sylwetki Leslie i mężczyzny.

Mężczyzna wręczył dziewczynie jakąś kopertę, po czym uklonił się po europejsku i odszedł w stronę jezdni, usiłując zatrzymać taksówkę. Po chwili jeden z kierowców dostrzegł

uniesioną rękę i w kilka sekund później samochód, już z pasażerem, ponownie włączył się do ruchu. Leslie przystanęła przed przejściem dla pieszych, czekając na zielone światło.

Dawid ostrożnie okrążył fontannę i w chwili, gdy zapłonęło światło, wyskoczył na jezdnię, kierując się nieco w lewo na wypadek, gdyby dziewczynie przyszło do głowy, aby nagle się odwrócić. Przy akompaniamencie klaksonów przebiegł szybko na drugą stronę, lawirując między sunącymi powoli pojazdami. Leslie znajdowała się jakieś pięćdziesiąt jardów z przodu i był pewien, że go nie zauważy.

Znalazłszy się na bulwarze ruszyła na zachód, w kierunku Avenida 9 de Julio. Dawid nieco zmniejszył dzielącą ich odległość, cały czas kryjąc się starannie w tłumie. Kilka razy przystanęła przed wystawami, dwukrotnie najwyraźniej zastanawiając się, czy nie wejść do środka.

Typowe dla niej, zawsze bała się stracić możliwość pozyskania czegoś nowego.

Mimo to za każdym razem ruszała dalej. Raz zerknęła na zegarek, a potem skręciła w Avenida, sprawdzając następnie numery dwóch sąsiadujących ze sobą domów, bez wątplenia po to, by ustalić kierunek, w którym numery rosną.

Leslie Hawkwood nigdy przedtem nie była w Buenos Aires.

Szła niezbyt szybko, chłonąc nadzwyczajne kolory, wypełniające szeroki bulwar.

Minąwszy skrzyżowanie z Corrientes, znalazła się w samym środku dzielnicy teatralnej, o czym świadczyły porozlepiane wszędzie plakaty ze zdjęciami aktorek i aktorów.

Dawid uświadomił sobie, że dwie przecznice dalej znajduje się ambasada amerykańska, między

Alejami Supacha i Esmeralda. Nie było sensu tracić więcej czasu.

Kiedy go zobaczyła, pobladła, co rzuciło się w oczy mimo opalenizny, i zadrżała, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Masz dwie możliwości, Leslie - powiedział, stając tuż przy niej i spoglądając w dół

na jej przerażoną twarz. - Możesz wejść na teren ambasady USA i zostać natychmiast aresztowana pod zarzutem działania na szkodę bezpieczeństwa narodowego, lub nawet szpiegostwa, albo możesz pójść ze mną... i odpowiedzieć na kilka pytań. Co wybierasz?

Taksówka zawiozła ich na lotnisko, gdzie Dawid wynajął samochód posługując się dokumentami opiewającymi na Donalda Scanlana, inspektora górniczego. Zawsze miał je przy sobie, gdy spotykał się z ludźmi takimi jak Heinrich Stoltz.

Trzymał dziewczynę za ramię z wystarczającą siłą, żeby wybić jej z głowy wszelkie myśli o ucieczce; była jego więźniem i wcale nie miał zamiaru żartować na ten temat.

Podczas jazdy na lotnisko nie odezwała się ani słowem, wyglądając przez okno i starając się uniknąć jego wzroku.

Przemówiła dopiero wtedy, gdy wynajmował samochód.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

Odpowiedź była równie zwięzła, jak pytanie.

- Za miasto.

Jechał drogą prowadzącą wzdłuż brzegu rzeki na północ, w kierunku wzgórz wznoszących się za miastem. Po kilku milach Rio Lujan skręciła na zachód, a on zjechał w dół stromymi serpentynami, do szosy biegnącej niemal nad samą wodą. Właśnie ten rejon upodobali sobie argentyńscy bogacze; po rzece dostojnie sunęły wielkie, motorowe jachty, żaglówki pięły się leniwie pod prąd, korzystając z wiatrów wiejących od oceanu i lawirując między zielonymi wysepkami, które wyrastały tu i ówdzie z wody niczym bujne ogrody. Od szosy, która tymczasem odsunęła się nieco od rzeki, odchodziły prywatne drogi, prowadzące do wzniesionych na stromych brzegach olbrzymich willi. Tak, ten widok na pewno mógł

zrobić wrażenie.

Skręcił w lewo w jedną z takich dróg, wspinających się lekko pod górę. Po przejechaniu około mili dotarli do obszernego tarasu, specjalnie utwardzonego i oczyszczonego z roślinności.

Vigia Tigre.

Miejsce widokowe. Ukłon w stronę turystów.

Zatrzymał samochód tuż przed barierką. Był środek tygodnia, więc znajdowali się tu zupełnie sami.

Leslie w dalszym ciągu milczała. Paliła tylko papierosa za papierosem, unosząc je do ust drżącymi palcami i unikając jego wzroku. Dawid wiedział z doświadczenia, że w takiej sytuacji długie milczenie działa zwykle cuda.

Dziewczyna była bliska załamania.

- W porządku, nadszedł czas na pytania. - Odwrócił się na siedzeniu w jej stronę. -

Wierz mi, nie zawaham się przed oddaniem cię w ręce władz wojskowych, jeżeli mi na nie nie odpowiesz.

Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy, z gniewem, ale i wciąż jeszcze ze strachem.

- W takim razie, dlaczego nie zrobiłeś tego godzinę temu?

- Z dwóch powodów: po pierwsze, gdyby dowiedziała się o tym ambasada, musiałbym podporządkować się rozkazom tych z góry, a to mi się zupełnie nie podoba. Po drugie, moja stara przyjaciółko, wydaje mi się, że wplątałaś się w historię, która przerasta cię o kilka głów.

Powiedz mi, Leslie, co to jest? Co chcesz osiągnąć?

Zaciągnęła się papierosem tak głęboko, jakby od tego zależało jej życie, po czym przymknęła na chwilę oczy i wyszeptwała tak cicho, że ledwie usłyszał:

- Nie mogę ci powiedzieć. Nie zmuszaj mnie.

Dawid westchnął.

- Coś mi się zdaje, że ty nadal nic nie rozumiesz. Jestem oficerem wywiadu przydzielonym do Wydziału Tajnych Operacji - o tym z pewnością wiesz. Ułatwiłaś potajemne przeszukanie mego pokoju, okłamałaś mnie, uciekłaś, a następnie, z tego, co wiem, współdziałałaś w zorganizowaniu kilku zamachów, które o mało nie skończyły się moją śmiercią. Teraz ni stąd, ni zowąd pojawiaasz się w Buenos Aires, cztery tysiące mil od mieszkania przy Park Avenue. Przyleciałaś za mną cztery tysiące mil. Dlaczego?

- Nie mogę ci powiedzieć! Nikt mi nie wyjaśnił, co ci mogę powiedzieć, a czego nie!

- Nikt ci... Boże! Tylko na podstawie tego, co wiem i mogę udowodnić, wylądowałabyś w więzieniu na co najmniej dwadzieścia lat!

- Czy mogę wysiąść z samochodu? - zapytała cicho, gasząc papierosa w popielniczce.

- Jasne, proszę bardzo.

Dawid wysiadł i szybko przeszedł na drugą stronę, żeby otworzyć jej drzwi. Leslie podeszła do barierki i spoglądała na widoczną w oddali Rio Lujan.

- Pięknie tu, prawda?

- Tak... Czy chciałaś mnie zabić?

- Boże! - Odwróciła się raptownie, niemal wypluwając poszczególne słowa. -

Chciałam uratować ci życie! Jestem tu dlatego, że nie chcę, abyś zginął!

Minęło kilka chwil, zanim do Dawida dotarło w pełni znaczenie tych słów. Leslie wpatrywała się w niego pełnymi łez oczami; jej usta drżały wyraźnie, a włosy rozsypały się dokoła twarzy.

- Powinnaś to chyba wyjaśnić - powiedział wreszcie pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu głosem.

Odwróciła się od niego, spoglądając na wille, rzekę i sunące po niej łodzie.

- Prawie jak na Riwierze, prawda?

- Leslie, przestań!

- Dlaczego? Przecież o to ci chodzi. - Oparła dłonie na barierce. - Oprócz tego nic nie ma znaczenia, potem jeszcze tylko „gdzie” i „kto”. Ty także do tego należysz.

- Wcale nie. Mylisz się. Poza tym nie uda ci się zbyć mnie byle czym.

- Wcale nie chcę cię zbyć. - Zaciśnęła mocniej dłonie na metalowej poręczy. - Usiłuję ci coś powiedzieć.

- Że przyleciałaś tu po to, żeby ocalić mi życie? - zapytał z niedowierzaniem. - O ile sobie dobrze przypominam, to w Nowym Jorku także byłaś w szalenie dramatycznym nastroju. Czekałaś... ile? Pięć, sześć... nie, osiem lat, żeby znowu wciągnąć mnie do łóżka.

Jesteś dziwką.

- A ty jesteś pionkiem! - krzyknęła w złości, ale zaraz się opanowała. - To znaczy, nie ty jako ty, ale w porównaniu z całością sprawy. W tym znaczeniu wszyscy jesteśmy pionkami.

- A więc działanie naszej damy ma jakiś cel?

- Tak - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy. - I ta dama w niego wierzy.

- W takim razie chyba nie powinnaś mieć nic przeciwko temu, żeby mnie z nim zapoznać?

- Zrobię to, obiecuję... ale na razie nie mogę. Zaufaj mi.

- Oczywiście - odparł niedbale Dawid i w tej samej chwili błyskawicznie złapał jej torebkę, którą miała przewieszoną przez ramię. Początkowo nie chciała jej oddać, ale kiedy spojrzał na nią surowo, ustąpiła.

Otworzył torebkę i wyjął z niej kopertę, którą Leslie otrzymała na Plaza de Mayo.

Jego uwagę zwróciło ciężkie wybrzuszenie, przykryte z wierzchu jedwabną chusteczką.

Sięgnąwszy pod nią ręką wydobyl mały rewolwer Remingtona; bez słowa sprawdził

bezpiecznik i magazynek i schował broń do kieszeni marynarki.

- Wiem, jak się tym posługiwać - bąknęła Leslie.

- To dobrze - odparł Dawid, otwierając kopertę.

- Przynajmniej przekonasz się na własne oczy, jak wiele możemy - powiedziała, odwróciwszy głowę w kierunku rzeki.

Nagłówek wyglądał następująco:

Dawid Spaulding, podpułk., Wywiad Wojskowy, U.S. Army, klasyf. 4-0, Fairfax.

Poniżej, w pięciu obszernych akapitach znajdował się dokładny opis wszystkich jego ruchów od środowego popołudnia, kiedy po raz pierwszy przekroczył bramę ambasady. Z

satysfakcją zauważył, że nigdzie nie wymieniono „Donalda Scanlana”; oznaczało to, że sam moment jego przylotu pozostał niezauważony.

Poza tym było tam wszystko: jego adres, numer telefonu, wzmianka o biurze w ambasadzie, opis incydentu na dachu, lunch z Jean Cameron w La Boca, spotkanie z Kendallem w hotelu, zamach na Avenida Parana, rozmowa telefoniczna ze sklepu na Rodriguez Peña.

Wszystko.

Nawet „lunch” w towarzystwie Heinricha Stoltza w Langosta del Mar. Czas trwania spotkania określono na „minimum godzinę”.

A więc dlatego Leslie spacerowała po Avenida de Mayo; była jednak zaskoczona, lunchu bowiem nie jedli i spotkanie zakończyło się znacznie wcześniej. Ciekawe, czy ktoś go śledził po wyjściu z restauracji. Nie sprawdził tego, miał bowiem myśli zaprzątnięte Stoltzem i obecnością Gestapo, o

której tamten nic nie wiedział.

- Rzeczywiście, wasi ludzie są bardzo dokładni. A teraz powiedz mi, kto to właściwie jest.

- To kobiety i mężczyźni, którzy mają powołanie. Cel. Idee.

- Nie o to mi chodzi...

Rozległ się odgłos silnika pojazdu wspinającego się drogą poniżej parkingu. Dawid sięgnął do kieszeni po pistolet; samochód pojawił się i minął ich, kierując się w górę. Jego pasażerowie śmiali się głośno. Dawid ponownie skoncentrował swoją uwagę na dziewczynie.

- Prosiłam cię, żebyś mi zaufał - powiedziała Leslie. - Szłam na spotkanie, które miało się zacząć o wpół do drugiej. Będą się zastanawiać, co się ze mną stało.

- Nie odpowiesz mi, prawda?

- Odpowiem ci w inny sposób: jestem tu po to, by przekonać cię, żebyś wyjechał z Buenos Aires.

- Dlaczego?

- To, co robisz - a nie wiem, co to jest, bo mi nie powiedziano - jest niewłaściwe. Nie może się stać. To coś złego.

- Skoro nie wiesz, co to jest, skąd możesz wiedzieć, że to coś złego?

- Bo tak mi powiedziano. To wystarczy.

- *Ein Volk, ein Reich, ein Führer* - mruknął Spaulding, a głośniej dodał: - Wsiadaj do samochodu!

- Nie! Musisz mnie wysłuchać. Wyjedź z Buenos Aires! Powiedz swoim generałom, że tego nie da się zrobić!

- Wsiadaj!

Znowu rozległ się odgłos nadjeżdżającego samochodu, tym razem z drugiej strony, z góry. Dawid ponownie wsunął dłoń do kieszeni, ale niemal od razu ją wyjął. Był to ten sam pojazd z roześmianymi turystami, który minął ich przed chwilą; wciąż jeszcze zaśmiewali się do rozpuku, najprawdopodobniej lekko podchmieleni obiadowym winem.

- Nie możesz zabrać mnie do ambasady! Nie możesz!

- Jeśli nie wsiądziesz, to pójdziesz tam na piechotę. No, dalej! Samochód raptownie zahamował, po czym skręcił w ostatniej chwili na parking i zatrzymał się.

Dawid obejrzał się i zaklął pod nosem, z ręką tkwiącą bezużytecznie w kieszeni.

Z uchylonych okien sterczały dwie lufy wielkokalibrowych karabinów. Były skierowane prosto w niego.

Siedzący wewnątrz samochodu ludzie mieli naciągnięte na twarze pończochy, w groteskowy sposób spłaszczające i deformujące ich rysy. Broń trzymał człowiek siedzący obok kierowcy i trzeci, z tyłu.

Właśnie on otworzył drzwiczki, ani na moment nie opuszczając lufy karabinu.

- Proszę do samochodu, pani Hawkwood - powiedział po angielsku doskonale opanowanym głosem.
- A pan, pułkowniku, niech wyjmie rewolwer... dwoma palcami, za lufę.

Dawid zrobił to.

- Proszę podejść do barierki i rzucić go na dół.

Spaulding zastosował się do polecenia. Zamaskowany mężczyzna wysiadł z samochodu, żeby wpuścić Leslie, po czym wskoczył z powrotem i zatrzasnął drzwi.

Rozległ się ryk potężnego silnika i szurgot kół, buksujących w sypkim żwirze.

Samochód wystrzelił z miejsca i nabierając szybko prędkości zniknął za zakrętem, kierując się w dół wzgórza.

Dawid został przy barierce. Zejdzie na dół i odszuka pistolet, bowiem pościg za Leslie Hawkwood i trzema tajemniczymi mężczyznami nie miał najmniejszego sensu. Jego wypożyczony samochód nie mógł się równać z Duesenbergiem.

Restaurację wybrała Jean. Znajdowała się w północnej części miasta, za parkiem Palermo. W ścianie, przy każdym stoliku zainstalowano gniazdko telefoniczne i kelnerzy co chwila biegali z aparatami.

Dawida zdziwiło nieco, że Jean zna ten lokal i że wybrała go dla nich.

- Gdzie byłeś po południu? - zapytała poczekawszy, aż skończy rozglądać się po pograżonym w półmroku wnętrzu.
- Miałem kilka spotkań, zresztą bardzo nudnych. Wszyscy bankierzy, niezależnie od tego, czy są ze Strandu czy z Wall Street, mają niesamowity talent przeciągania wszystkich rozmów wręcz w nieskończoność.
- Może po prostu starają się wykorzystać każdą szansę, żeby wyciągnąć jeszcze jednego dolara.
- Nie „może”, tylko na pewno. A tak w ogóle, to dość niezwykle miejsce. Przypomina mi trochę Lizbonę.
- Raczej Rzym, coś jakby Via Appia. Czy wiesz, że ponad trzydzieści procent ludności Buenos Aires to Włosi?
- W każdym razie przypuszczałem, że musi ich być sporo.
- Przeprowadził mnie tu kiedyś Bobby... Zdaje się, że nie tylko mnie.
- To dosyć przytulne miejsce. I zapewnia dyskrecję.
- Chyba bał się, że Henderson będzie podejrzewał go o nieuczciwe zamiary i dlatego schował się ze mną aż tutaj.
- Co potwierdza, że zamiary rzeczywiście były nieuczciwe. Tak... To restauracja dla kochanków, a my nimi nie byliśmy.
- Cieszę się, że wybrałaś ją dla nas. Daje mi poczucie bezpieczeństwa.
- O nie, na to nie licz! Bezpieczeństwo to w tym roku wyjątkowo niechodliwy towar.

Podobnie jak zaangażowanie uczuciowe. Tutaj się tego nie sprzedaje.

Wzięła papierosa z jego otwartej paczki. Kiedy podawał jej ogień, dostrzegł nad płomieniem utkwione w nim jej przenikliwe spojrzenie. Spuściła oczy.

- Co się stało?

- Nic... Zupełnie nic. - Uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu nie było ani śladu niedawnej szczerości.
- Rozmawiałeś z tym Stoltzem?
- Mój Boże, więc o to ci chodzi? Wybacz mi, powinienem sam ci o tym powiedzieć.

Stoltz chciał sprzedać informacje dotyczące niemieckiej floty wojennej, ale nie mam uprawnień, żeby podejmować takie decyzje. Kazałem mu skontaktować się z Wywiadem Marynarki, a sam złożyłem dzisiaj rano raport dowódcy bazy. Jeżeli będą chcieli z tego skorzystać, to dadzą sobie radę.

- Czy to nie dziwne, że zwrócił się właśnie do ciebie?
- Też tak pomyślałem. Być może zrobił to dlatego, że akurat przyleciałem do Buenos Aires i byłem u nich na tapecie.
- Czy to rzeczywiście zdrajca?
- Być może, ale nie jest wykluczone, że usiłuje nam wcisnąć fałszywe informacje. To jest problem Wywiadu, nie mój.
- W twoich ustach to brzmi bardzo prawdopodobnie.
- Co to ma znaczyć?
- Nic... Tylko tyle, że jesteś szybki. Szybki i sprawny. Z pewnością znakomicie wykonujesz swoje obowiązki.
- A ty jesteś w paskudnym nastroju. Nie sądzisz, że to z powodu nadmiaru dzinu?
- Czyżbyś uważał, że jestem pijana?
- W każdym razie, na pewno nie jesteś trzeźwa. Zresztą, to nie ma znaczenia. -

Uśmiechnął się. - Daleko ci do alkoholizmu.

- Dziękuję za zaufanie, ale lepiej za dużo sobie nie wyobrażaj. Nie możemy dopuścić do tego, żeby między nami powstało coś na serio i na dłużej, prawda?
- Czyżby? Odnoszę wrażenie, jakbyś wyłącznie o tym myślała. Mnie nawet nie przyszło to na myśl.
- Widocznie do tego nie dopuściłeś. Założę się, że masz na głowie inne, znacznie ważniejsze sprawy.
- Odstawiając filiżankę rozlała nieco kawy na obrus. Najwyraźniej była na siebie zła. - Niedobrze to rozgrywam - powiedziała po dłuższej ciszy.
- Zgadzam się.

- Boję się.

- Czego?

- Nie przyjechałeś tu po to, żeby rozmawiać z bankierami, prawda? Chodzi o coś więcej. Wiem, wiem, nie powiesz mi. A za kilka tygodni znikniesz... o ile jeszcze będziesz żył.

- Chyba zbyt łatwo popuszczasz wodze wyobraźni.

Wziął jej dłoń w swoje, a ona zgasła papierosa i położyła na wierzchu drugą.

- Zgoda. Załóżmy, że masz rację. - Mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszał. - To wszystko moja wyobraźnia. Jestem głupia, pijana i zmyślam niestworzone rzeczy, ale przyłącz się na chwilę do gry i pozwól, że ci to wszystko powiem.

- Skoro chcesz... Niech tak będzie.

- To oczywiście wszystko będzie tylko hipoteza. Otóż mój Dawid nie jest pracownikiem Departamentu Stanu, tylko agentem. Mieliśmy tutaj kilku, nawet dość dobrze ich znałam. Pułkownicy nazywają ich *provocarios*... Więc mój Dawid jest agentem, a to oznacza, że obowiązują go inne, związane z wyższym ryzykiem reguły gry, które w gruncie rzeczy nie mają żadnego znaczenia... bo ich w ogóle nie ma. Dla ludzi takich jak ten mój hipotetyczny Dawid nie istnieją żadne reguły. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem - odparł po prostu. - Tylko na razie nie wiem, jak to ma się do rzeczywistych osób ani po co mi to mówisz.

- Zaraz do tego dojdziemy. - Wypiła resztkę kawy, trzymając filiżankę tak mocno w pobielających palcach, że było wyraźnie widać ich drżenie. - Chodzi o to, że... tamten Dawid może być w każdej chwili zabity albo okaleczony. To okropna perspektywa, prawda?

- Tak. Wydaje mi się tylko, że wobec podobnej perspektywy stanęły obecnie setki tysięcy mężczyzn.

- To zupełnie co innego. Oni mają armie, mundury i pewne zasady. Nawet kiedy latają samolotami, mają większe szansę na przeżycie. Wierz mi, wiem coś na ten temat.

Spojrzał na nią poważnie.

- Przestań.

- Och, jeszcze nie. Zaraz ci powiem, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego mój Dawid robi to, co robi? Nie, nie odpowiadaj. - Uśmiechnęła się blado. - Zresztą, chyba tak naprawdę wcale nie chciałeś odpowiedzieć? To i tak nieważne. Jest jeszcze druga część pytania. Jeśli na nią odpowiesz, możesz uzyskać kilka dodatkowych punktów.

- Jak ona brzmi? - Odniósł wrażenie, że Jean powtarza coś, co już wielokrotnie przemyślała. Jej słowa potwierdziły to przypuszczenie.

- Widzisz, wiele nad tym myślałam... nad tą hipotetyczną grą i hipotetycznym agentem. Znajduje się w niezwyklej sytuacji: pracuje sam lub zaledwie z kilkoma ludźmi, w obcym kraju, z daleka od swoich zwierzchników... Czy już wiesz, jaka jest druga część pytania?

Dawid przyglądał się jej uważnie.

- Nie, jeszcze nie.

- Skoro mój Dawid jest sam, w obcym kraju i ma wysłać jakąś depeşe do Waszyngtonu... O tej depeşy powiedział mi Henderson... To znaczy, że ludzie, dla których pracuje, muszą uwierzyć we wszystko, co im powie, a może im powiedzieć, co tylko chce...

Dlaczego więc mimo wszystko robi to, co robi? Chyba nie wierzy w to, że od niego zależy wynik całej wojny. Jest tylko jednym z milionów.

- W związku z tym, jeśli cię dobrze zrozumiałem, mógłby wysłać swoim zwierzchnikom depeşę z meldunkiem, że napotkał poważne trudności...

- I że musi zostać w Buenos Aires. Być może na bardzo, bardzo długo - dokończyła za niego, ściskając z całej siły jego dłoń.

- A gdyby się nie zgodzili, zawsze może ukryć się w pampasach.

- Nie żartuj ze mnie! - zaprotestowała gwałtownie.

- Wcale nie żartuję. Nie będę udawał, że znam logiczne odpowiedzi na twoje pytania, ale nie wydaje mi się, żeby człowiek, o którym mówisz, miał aż taką możliwość manewru. Ci ludzie są zwykłe trzymani na bardzo krótkiej smyczy. Poza tym, w każdej chwili można przysłać innych i nie wątpię, że na pewno by to zrobiono. Strategia, którą zaplanowałaś, jest bardzo krótkowzroczna, natomiast kara, którą by za sobą pociągnęła, nadzwyczaj surowa.

Odwróciła wzrok i cofnęła swoje dłoń.

- Mimo to uważam, że warto spróbować - wyszeptała. - Bardzo cię kocham. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego, a wiem, że są ludzie, którzy do tego dążą. - Ponownie spojrzała mu prosto w oczy. - Chcą cię zabić, prawda? Choć jesteś zaledwie jednym z milionów... Wciąż sobie powtarzam: „Boże, spraw, żeby to nie był on...” Czy ci ludzie, kimkolwiek oni są, są rzeczywiście aż tak ważni? Czy nie zrobiłeś już dla nich wystarczająco dużo?

Niespodziewanie dotarła do niego głębia jej pytania. Odpowiedź wcale nie była przyjemna... Rzeczywiście, zrobił już wystarczająco dużo. Jego życie zostało zmienione do tego stopnia, że to, co kiedyś obce i nie do pomyślenia, teraz stanowiło zwykłą codzienność.

I po co to wszystko?

Dla tych amatorów, Alana Swansona i Waltera Kendalla?

Dla martwego Eda Pace'a? Dla skorumpowanego Fairfaxa?

Jest przecież zaledwie jednym z milionów.

- Señor Spaulding? - Jakiś głos na chwilę wytrącił go z równowagi, bo był zupełnie niespodziewany. Przy stoliku stał zgięty w ukłonie maitre.

- Słucham?

- Telefon do pana.

- Więc proszę przynieść aparat do stolika.

- Najgoręcej pana przepraszam, ale akurat to gniazdko jest chwilowo zepsute.

Spaulding nie miał najmniejszych wątpliwości, że to kłamstwo.

- Trudno. - Dawid uniósł się z krzesła. - Zaraz wracam - powiedział do Jean. - Napij się jeszcze kawy.

- A gdybym chciała drinka?

- To zamów. - Odwrócił się, by odejść.

- Dawid?

- Tak? - Zatrzymał się i spojrzał na nią, napotykać jej wzrok.

- „Tortugas” nie jest tego warte - powiedziała spokojnie.

Poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go z całej siły w żołądek. Na moment przestał oddychać, usiłując zwalczyć nagłą suchość w gardle i ból oczu wpatrzonych w dziewczynę.

- Zaraz wracam.

- Tu Heinrich Stoltz - odezwał się głos w słuchawce.

- Oczekiwałem na pański telefon. Przypuszczam, że w ambasadzie poinformowano pana, gdzie mnie można znaleźć.

- Wcale nie musiałem tam się dowiadywać. Wszystko załatwione. Za dwadzieścia minut przed restaurację przyjedzie zielony Packard. Kierowca wystawi za okno rękę z paczką papierosów, tym razem niemieckich. Mam nadzieję, że doceni pan symbolikę tego gestu,

- Jestem wzruszony. Obawiam się jednak, że będzie pan musiał wprowadzić kilka zmian.

- Żadnych zmian. Herr Rhinemann jest nadzwyczaj wymagający

- Ja również. Powstała nowa sytuacja.

- Nic na to nie poradzę. Za dwadzieścia minut, zielony Packard.

Połączenie zostało przerwane.

Cóż, to już problem Stoltza, pomyślał Dawid. Dla niego ważne jest tylko jedno: wrócić do Jean.

Ruszył z powrotem w kierunku stolika, przeciskając się między krzesłami i stołkami barowymi, odsuniętymi przez swych chwilowych właścicieli daleko od kontuaru. Był coraz bardziej zirytowany koniecznością omijania przeszkód pojawiających się nie wiadomo skąd.

Wreszcie dotarł do części restauracyjnej i po kilku szybkich krokach był już na miejscu.

Jean Cameron zniknęła. Na stoliku leżała przeznaczona dla niego wiadomość.

Nagryzmoła ją szminką na serwetce. Pismo było tak niewyraźne, że miał kłopot z odczytaniem.

Na pewno masz wiele zajęć, a ja wiem, że dzisiaj jestem okropnie męcząca.

I to wszystko. Jakby ktoś przerwał jej w pół zdania. Wsadził serwetkę do kieszeni i pobiegł do wejścia, przy którym stał maitre.

- Czy coś się stało, señor?

- Co się stało z panią, która siedziała przy moim stoliku?

- Chodzi panu o panią Cameron?

Boże, pomyślał Dawid, patrząc na spokojnego porteño, co się tutaj dzieje? Przecież stolik był zarezerwowany na jego nazwisko, a Jean wyraźnie powiedziała, że jest tu dopiero drugi raz!

- Tak, o panią Cameron! Gdzie ona jest?

- Wyszła kilka minut temu i wsiadła do pierwszej taksówki, jaka przejeżdżała.

- Słuchaj no...

- Señor - przerwał mu flegmatyczny Argentyńczyk - na zewnątrz czeka na pana jakiś dżentelmen. On ureguluje pański rachunek. Ma u nas nieograniczony kredyt.

Spaulding wyrzwał przez szerokie, przeszklone drzwi i zobaczył stojącego na chodniku mężczyznę w nieskazitelnie białym garniturze. Pchnął jedno skrzydło i wyszedł mu na spotkanie.

- Pan chciał się ze mną widzieć?

- Po prostu czekam na pana, Herr Spaulding. Pojedziemy razem. Samochód będzie za piętnaście minut.

Zielony Packard zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko restauracji. Przez otwarte okno od strony kierowcy wysunęła się ręka z paczką papierosów niemożliwą do zidentyfikowania z tej odległości. Człowiek w białym garniturze dał

Spauldingowi uprzejmy znak, żeby szedł za nim.

Zbliżywszy się do samochodu Dawid zobaczył, że kierowca jest potężnym mężczyzną w czarnej koszuli z krótkimi rękawami, odsłaniającymi i podkreślającymi jego muskularne ramiona. Najbardziej rzucały się w oczy jego zmierzwiona broda i krzaczaste, czarne brwi; sprawiał wrażenie brutalnego i porywczego rzezimieszka, czyli dokładnie takie, jakie życzyli sobie jego pracodawcy. Człowiek w białym garniturze otworzył drzwi i obaj wsiedli do środka.

Nikt się nie odzywał. Samochód skierował się najpierw na południe, do centrum miasta, a potem na północny wschód, w rejon Aeroparque. Dawid zauważył z lekkim zdziwieniem, że jadą tą samą szeroką szosą, biegnącą wzdłuż brzegu rzeki, co on z Leslie Hawkwood. Zastanawiał się, czy był w tym jakiś cel i czy oczekiwano od niego jakiejś uwagi na temat tego zbiegu okoliczności.

Oparł się wygodniej, nie dając po sobie poznać, że rozpoznaje okolicę.

Packard wyraźnie przyśpieszył, nie skręcając w żadną z bocznych dróg, jadąc wzdłuż rzeki, w kierunku wzgórz położonych na północny zachód od miasta. Kierowca włączył

światła i w ich blasku mignęła tablica z napisem TIGRE 12 KIL.

Ruch był raczej niewielki; od czasu do czasu mijali nadjeżdżające z przeciwka samochody i wyprzedzali jadące w tym samym kierunku. Kierowca co chwila zerkał we wsteczne lusterko.

Na długim, łagodnym zakręcie Packard zwolnił, a szofer dał znak głową mężczyźnie siedzącemu przy Spauldingu.

- Teraz zmienimy samochód, Herr Spaulding - oznajmił człowiek w białym garniturze, wyjmując z kieszeni rewolwer.

Przed nimi pojawił się samotny budynek - restauracja lub gospoda usytuowana na obrzeżu miasta, o łagodnym podejściu, skręcającym tuż przed samym wejściem i prowadzącym na rozległy parking, położony kilkadziesiąt jardów dalej. Reflektory oświetliły drzwi i wypielegnowany trawnik.

Samochód zatrzymał się; siedzący obok Spauldinga mężczyzna dotknął jego ramienia.

- Proszę wysiąść i od razu wejść do środka.

Dawid otworzył drzwiczki. Zdziwił się nieco widząc, że stojący przy wejściu portier w liberii nie

podszedł do samochodu, tylko szybkim krokiem ruszył w kierunku parkingu.

Spaulding w towarzystwie mężczyzny ubranego w biały garnitur wszedł do foyer restauracji wyłożonego miękkim dywanem. Spodziewał się, że pójda do sali, ale jego stróż przytrzymał

go lekko za łokieć i zastukał do drzwi jakiegoś pomieszczenia znajdujących się po prawej stronie hallu. Otworzyły się niemal natychmiast.

Znaleźli się w niewielkim gabinecie, ale Dawid niemal nie zwrócił uwagi na widok wnętrza, jego uwagę bowiem przykuli dwaj ludzie czekający na nich. Jeden z nich miał na sobie nieskazitelnie biały garnitur, drugi zaś - w tym momencie Dawid nie mógł powstrzymać się od uśmiechu - był ubrany dokładnie tak samo, jak on, czyli w jasno-błękitną, prążkowaną marynarkę i ciemne spodnie. Podobieństwo podkreślał jeszcze kolor włosów, wzrost i sylwetka.

Spaulding nie miał czasu na dalsze obserwacje, bowiem stanowiąca jedyne oświetlenie gabinetu lampka, stojąca na biurku, została wyłączona, a człowiek, który towarzyszył mu w drodze z restauracji, podszedł do okna, wychodzącego na podjazd.

- *Schnell. Beeilen Sie sich... Danke* - powiedział cicho.

Dwaj mężczyźni szybkim krokiem wyszli z pokoju. Sylwetka Niemca stojącego przy oknie rysowała się wyraźnie na tle rozproszonego blasku lamp oświetlających wejście do restauracji. W pewnej chwili skinął lekko ręką do Dawida.

- *Kommen Sie her.*

Dawid zbliżył się i stanął obok niego. Na zewnątrz ich dublerzy stali na środku podjazdu, odwrócenie plecami do szosy, rozmawiając i gestykulując zawzięcie, jakby zaistniała między nimi pewna, niezbyt istotna różnica zdań na jakiś temat. Obydwaj palili papierosy, dzięki czemu ich twarze były częściej zasłonięte, niż odsłonięte.

W pewnej chwili od strony parkingu nadszedł samochód, do którego wsiedli. Wóz ruszył natychmiast z miejsca, zatrzymując się na kilka sekund przy wyjeździe na szosę, aby włączyć się do coraz bardziej rzednącego ruchu, po czym wystrzelił jak koń spięty ostrogą, skręcając na południe, w kierunku miasta.

Dawid nie bardzo rozumiał powód, dla którego zadano sobie tyle trudu z przygotowaniem tej mistyfikacji. Miał już o to zapytać stojącego koło niego mężczyznę, kiedy na jego twarzy przysuniętej niemal do samej szyby dostrzegł lekki uśmiech; czym prędzej skierował wzrok tam, gdzie on.

Jakieś pięćdziesiąt jardów od budynku, na poboczu szosy, zapłonęły nagle światła.

Stojący przodem w kierunku północy samochód błyskawicznie zawrócił i popędził za oddalającym się pojazdem.

Niemiec uśmiechnął się szeroko.

- *Amerikanische Kinder.*

Dawid zrobił krok wstecz, a mężczyzna w białym garniturze podszedł do biurka i włączył lampę.

- To była bardzo pouczająca lekcja - powiedział Spaulding.

Niemiec spojrzał na niego.

- Po prostu... Jak wy to nazywacie? *Eine Vorsichtsmassnahme...*

- Środek ostrożności - powiedział Dawid.

- *Ja.* Prawda, pan mówi po niemiecku... Proszę ze mną. Herr Rhinemann nie może czekać dłużej, niż wymagają tego niezbędne... środki ostrożności.

Nawet w dzień byłoby bardzo trudno znaleźć tę drogę. W nocy, bez choćby jednej latarni i jedynie w słabym blasku księżyca, wydawało się, że Packard wjeżdża wprost w czarną ścianę roślinności, ale już po chwili wrażeniu temu zaprzeczył szelest żwiru przesypującego się pod kołami. Kierowca prowadził pewnie, najwyraźniej znając na pamięć wszystkie dość liczne zakręty i pagórki. Po mniej więcej pół mili droga rozszerzyła się i samochód ponownie wyjechał na twardą nawierzchnię.

Okazało się, że to rozległy, asfaltowy parking. Po jego drugiej stronie wznosiły się cztery kamienne słupy zwieńczone gniazdami silnych reflektorów, zalewających powodzią światła cały teren, łącznie z lasem zaczynającym się kilkadziesiąt jardów dalej. Między dwoma środkowymi słupami znajdowała się stalowa brama, bez wątplenia otwierana i zamykana za pomocą silników elektrycznych.

Dokoła stali mężczyźni w czarnych koszulach i spodniach, przypominających nieco krojem mundury. Niektórzy trzymali na smyczach wielkie, wściekle ujadające psy.

Dobermany.

Rozległo się kilka ostrych okrzyków i psy ucichły.

Człowiek w białym garniturze wysiadł z samochodu i podszedł do bramy; z drugiej strony ogrodzenia wykonanego z grubych, metalowych prętów zbliżył się strażnik. Przez chwilę rozmawiali ze sobą, a w tym czasie Dawid dostrzegł, że za plecami strażnika wznosi się niska, najprawdopodobniej betonowa budowla o długości co najwyżej dwudziestu stóp i wąskich, oświetlonych od wewnątrz oknach.

Strażnik wrócił do miniaturowego budynku, a człowiek w białym garniturze do samochodu.

- Zaczekamy kilka minut - oznajmił, sadowiac się na swoim miejscu.

- Miałem wrażenie, że nam się śpieszy.

- Owszem, żeby tutaj dojechać i poinformować Herr Rhinemanna, że już jesteśmy. To wcale nie musi oznaczać, że zostaniemy od razu przyjęci.

- Miły facet - zauważył od niechcienia Dawid.

- Herr Rhinemann może być, kimkolwiek zechce.

Dziesięć minut później stalowa brama rozsunęła się powoli i kierowca uruchomił

silnik. Packard minął budynek przypominający bunkier i strażników z dobermanami; psy zaczęły znowu ujadać, tylko po to, żeby zostać natychmiast uciszone przez swych panów.

Droga prowadziła pod górę, kończąc się jeszcze jednym, niemal równie dużym parkingiem przed obszerną, białą rezydencją; u szczytu szerokich, marmurowych schodów znajdowały się największe dębowe drzwi, jakie Dawid w życiu widział. Również i tutaj cały teren skąpany był w powodzi światła, załamującego się w strumieniach wody bijącej z fontanny wznoszącej się na środku dziedzińca.

Wszystko to sprawiało takie wrażenie, jakby ktoś rozebrał, kamień po kamieniu, dwór jakiegoś ekstrawaganckiego plantatora z głębokiego Południa, a następnie odbudował go w głębi argentyńskiego lasu.

Widok był wspaniały, a samo założenie architektoniczne wręcz przerażające. Ta część duszy Dawida, która wciąż jeszcze należała do inżyniera budownictwa, była zarazem zachwycona i oszołomiona; projekt tego przedsięwzięcia musiał przyprawić każdego o zawrót głowy, a metody realizacji wprost trudno było sobie wyobrazić.

Podobnie jak koszty.

Niemiec wysiadł z samochodu, okrążył go i otworzył drzwi od strony Spauldinga.

- Tutaj się rozstaniemy. Dziękuję za przyjemną podróż. Proszę iść do tych drzwi, zostanie pan wpuszczony. *Auf Wiedersehen.*

Dawid wysiadł, a zielony Packard odjechał w kierunku bramy.

Spaulding stał bez ruchu niemal przez minutę. Jeśli był obserwowany - a raczej należało tego oczekiwać - obserwator mógł uznać go za zdumionego gościa, zachwyconego wspaniałością roztaczającego się przed nim widoku. Ocena ta w pewnym stopniu odpowiadałaby prawdzie; w pewnym stopniu, pozostała część jego uwagi była bowiem skoncentrowana na tych architektonicznych elementach budowli, które mogły mieć później dla niego praktyczne znaczenie, to znaczy na usytuowaniu okien, spadzistości dachu i wyglądzie terenu w bezpośrednim sąsiedztwie rezydencji.

Przed wejściem zawsze należało się zorientować, jak w razie potrzeby wyjść, tego zaś, co mało prawdopodobne, nigdy nie wolno było uznawać z góry za niemożliwe.

Wspiąwszy się po schodach, stanął przed potężnymi, drewnianymi drzwiami. Nigdzie nie mógł dostrzec dzwonka ani nawet kołatki, ale też i nie spodziewał się ich tam znaleźć.

Odwrócił się, by spojrzeć na dziedziniec skąpany w blasku reflektorów. Ani żywej duszy.

Panowała zupełna cisza, do której dostosował się nawet las zwykle obfitujący w najróżniejsze odgłosy. Zakłócał ją jedynie szmer wody tryskającej z fontanny.

Oznaczało to, rzecz jasna, niewidzialne oczy i niesłyszalne szepty, których obiektem był nie kto inny, jak właśnie on.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Heinrich Stoltz.

- Witamy w Habichtsnest, Herr Spaulding. Jastrzębie Gniazdo - to chyba odpowiednia nazwa, nawet jeśli nieco teatralna, nie sądzi pan?

Dawid wszedł do środka. Foyer, jak należało oczekiwać, miało ogromne rozmiary. Za kryształowym żyrandolem, złożonym z wielu tysięcy fragmentów, zaczynały się marmurowe schody, na ścianach wisiały złote draperie, a pod srebrnymi lampkami - renesansowe obrazy.

- Szczerze mówiąc, nie przypomina to żadnego gniazda, jakie do tej pory widziałem.

- Ma pan rację. Obawiam się, że ta nazwa traci nieco po przetłumaczeniu. Proszę za mną, Herr Rhinemann czeka na tarasie od strony rzeki. Mamy dziś bardzo przyjemny wieczór.

Przeszli pod groteskowo wielkim, ale mimo to pięknym żyrandolem i minąwszy marmurowe schody dotarli do łukowato sklepionego wyjścia na końcu hallu, które prowadziło na olbrzymi taras ciągnący się wzdłuż całego budynku. Znajdowały się na nim stoły z metalowych prętów pomalowanych na biało o blatach z nietłukącego szkła i krzesła o siedzeniach i oparciach wykładanych różnobarwnymi materiałami. Po obydwu stronach szerokiego wejścia ciągnęły się szeregi masywnych, podwójnych drzwi, najwidoczniej prowadzących do różnych części ogromnego domu.

Taras był ograniczony kamienną, sięgającą do piersi balustradą, na której stały donice z roślinami i najróżniejsze rzeźby, jego zaś niewielka część odgradzona solidną kratą po lewej stronie stanowiła górną stację miniaturowej kolejki linowej, której trasa prowadziła w dół, w kierunku brzegu rzeki, migoczącej delikatnie w ciemności.

Dawid wchłaniał te wszystkie wspaniałości, oczekując w każdej chwili pojawienia się gospodarza, ale ten się nie zjawiał. Zbliżywszy się do balustrady zobaczył, że mniej więcej dwadzieścia stóp niżej znajduje się kolejny taras, tym razem z obszernym basenem o niebieskozielonej, podświetlonej wodzie. Dokoła stały krzesła i stoliki, poniżej zaś roztaczał

się wypielęgnowany trawnik, który w różnokolorowym, odbitym świetle sprawiał wrażenie najwspanialszego kawałka najbardziej soczystej zieleni, jaką w ogóle można było sobie wyobrazić.

Do tego obrazu zupełnie nie pasowały widoczne tu i ówdzie kije i tyczki, wyznaczające teren boiska do krykieta.

- Mam nadzieję, pułkownik Spaulding, że pewnego dnia znajdzie pan czas na to, żeby odwiedzić nas i wziąć udział w naszych skromnych rozrywkach.

Spokojny, cichy głos podziałał na Dawida niczym trzaśnięcie biczem. Odwrócił się raptownie. W cieniu, tuż przy wejściu z foyer, dostrzegł czyjąś sylwetkę.

Obserwował go Erich Rhinemann.

Gospodarz oderwał się od ściany i wyszedł z cienia. Był średniego wzrostu, o szpakowatych, zaczesanych do tyłu włosach, może odrobinę zbyt korpulentny, choć gdyby nie nazbyt obfity brzuch, z pewnością pasowałoby do niego określenie „potężnie zbudowany”. Miał duże, mięsiste, a mimo to jakby delikatne dłonie; kieliszek z winem, który trzymał w ręku, wydawał się bardzo mały.

Po kilku krokach znalazł się w miejscu, w którym na jego twarz padała wystarczająca ilość światła, żeby Dawid mógł ją wyraźnie zobaczyć. Spaulding nie był pewien, dlaczego, ale jej widok poruszył go. Była duża, o szerokim czole i stosunkowo płaskim nosie, bardzo opalona; promienie słońca sprawiły, że brwi były niemal zupełnie białe.

W chwilę potem już wiedział, co go w niej uderzyło.

Erich Rhinemann był starym człowiekiem. Opalenizna miała za zadanie ukryć niezliczone zmarszczki, oczy wydawały się małe z powodu otaczającej je opuchlizny, nienagannie zaś skrojona, sportowa marynarka i także spodnie były przeznaczone dla kogoś dużo, dużo młodszego.

Rhinemann toczył walkę, w której mimo swego całego bogactwa nie miał żadnych szans.

- *Habichtsnest ist prächtig. Unglaublich* - powiedział Dawid grzecznie, ale bez nachalnego entuzjazmu.

- Jest pan bardzo uprzejmy - odparł Rhinemann, wyciągając do niego rękę - a także nadzwyczaj subtelny, ale nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy rozmawiać po angielsku. Proszę siadać. Napije pan się czegoś? - Finansista wskazał mu miejsce przy najbliższym stoliku.

- Nie, dziękuję - powiedział Dawid, siadając naprzeciw gospodarza. - Mam jeszcze do załatwienia kilka ważnych spraw w Buenos Aires. Chciałem to powiedzieć Stoltzowi, ale przerwał rozmowę.

Rhinemann spojrzał na Stoltza, który z obojętną miną opierał się o kamienną balustradę.

- Czy to było konieczne? Herr Spaulding nie jest osobą, którą należałoby traktować w taki sposób.

- Obawiam się, że było, *mein Herr*. Ze względu na dobro naszego amerykańskiego przyjaciela. Otrzymaliśmy informację, że jest śledzony, ale byliśmy na to przygotowani.

- Nawet jeśli byłem, to nie przez kogo innego, jak właśnie przez was.

- Potem tak, panie pułkowniku. Wcześniej nie mieliśmy żadnego powodu.

Spojrzenie wąskich oczu Rhinemanna skierowało się na Spauldinga.

- To bardzo niepokojące. Kto miałby powód, żeby pana śledzić?

- Czy możemy porozmawiać w cztery oczy? - zapytał Dawid, zerkając wymownie na Stoltza.

Gospodarz uśmiechnął się.

- W naszych negocjacjach nie ma nic, o czym nie mógłby wiedzieć *Hen Botschaftssekretar*. Należy do moich najbliższych współpracowników w Ameryce Południowej, nie mam przed nim żadnych tajemnic.

- O tym, czy tak być powinno, przekona się pan dopiero wtedy, kiedy porozmawiamy w cztery oczy.

- Może nasz miły gość ze Stanów czuje się po prostu trochę zawstydzony - wtrącił się Stoltz z nie ukrywaną ironią w głosie. - Rząd USA chyba nie dowierza człowiekowi z Lizbony, jeżeli przydzielił mu specjalnych opiekunów.

Dawid zapalił papierosa, ignorując wypowiedź niemieckiego attaché.

- Jeśli tak właśnie się stało, a wszystko na to wskazuje, to nie ma powodu, żeby kogokolwiek wyłączać z naszej rozmowy - powiedział Rhinemann, wykonując uspokajający gest swymi dużymi, delikatnymi dłońmi.

- My kupujemy - powiedział z naciskiem Dawid - a pan sprzedaje kradziony towar. -

Stoltz chciał coś powiedzieć, ale Rhinemann powstrzymał go ręką.

- To, co pan sugeruje, jest absolutnie niemożliwe. Wszystko zostało przygotowane w najgłębszej tajemnicy i z pełnym powodzeniem, Herr Stoltz zaś cieszy się pełnym zaufaniem Najwyższego Dowództwa, chyba nawet w większym stopniu niż sam ambasador.

- Nie lubię się powtarzać. - Spaulding wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami. -

Szczególnie wtedy, kiedy ja płacę.

- Zostaw nas samych, Heinrich - powiedział Rhinemann nie podnosząc głosu ze wzrokiem utkwionym w twarzy Dawida.

Stoltz uklonił się sztywno i nie kryjąc wściekłości wszedł do budynku.

- Dziękuję panu.

Dawid poprawił się na krześle i spojrzał w górę, na małe balkony drugiego i trzeciego piętra. Przez chwilę zastanawiał się, jak wielu ludzi czai się za zaciemnionymi oknami, gotowych do skoku lub

strzału w chwili, gdyby wykonał jakikolwiek nierozważny ruch.

- Jesteśmy sami, tak jak pan sobie życzył - przerwał milczenie Rhinemann. - O co chodzi?

- Stoltz jest trefny - oznajmił Dawid. Przerwał, czekając na reakcję, ale zgodnie z tym, czego się spodziewał, żadnej nie było. - Nie otrzymuje pełnych informacji w swojej ambasadzie - dodał tytułem wyjaśnienia. - Zdaje się, że dużo lepiej idzie mu w naszej.

- To niedorzeczność. - Rhinemann nie wykonał najmniejszego ruchu, obserwując swego rozmówcę spod na wpół przymkniętych powiek. - Na jakiej podstawie opiera pan swoje przypuszczenia?

- Chodzi o Gestapo. Stoltz twierdzi, że nie ma ich w Buenos Aires, ale się myli. Są i działają. Zrobią wszystko, żeby pana powstrzymać. Żeby nas powstrzymać.

Kamienna maska, w jaką zamieniła się twarz Ericha Rhinemanna, pękła, choć jeszcze nie do końca. Drgnęło kilka mięśni, poruszając fałdami ciała zwisającymi pod oczami, a jego spojrzenie, o ile w ogóle to możliwe, stało się jeszcze ostrzejsze.

- Proszę mówić jaśniej.

- Najpierw muszę uzyskać odpowiedź na kilka pytań.

- Pan musi?... - Gospodarz chwycił dłońmi za krawędź stolika, a na jego szpakowatych skroniach wystąpiły pulsujące żyły. Opanował się jednak i dokończył takim samym tonem, jak poprzednio: - Proszę mi wybaczyć. Odzwyczailem się od tego, żeby ktokolwiek stawiał mi jakieś warunki.

- Nie wątpię. Ja z kolei nie przywykłem do załatwiania interesów z ludźmi takimi jak Stoltz, nie zdającymi sobie sprawy z możliwości wpadki. Konieczność kontaktowania się z nimi bardzo mnie irytuje... i niepokoi.

- Jakie są te pytania?

- Przypuszczam, że plany zostały już wywiezione z terytorium Niemiec?

- Istotnie.

- Są w drodze?

- Przybędą dziś w nocy.

- Wyprzedził pan rozkład. Nasz człowiek zjawi się tutaj dopiero pojutrze.

- Teraz to pan nie otrzymał pełnych informacji, panie pułkowniku. Amerykański uczonec, Lyons, będzie tu już jutro.

Dawid zamilkł na chwilę. Zbyt często stosował to zagranie wobec innych, żeby teraz dać po sobie poznać zdziwienie.

- Mimo wszystko w dalszym ciągu twierdzą, że jest spodziewany w San Telmo dopiero pojutrze - powiedział wreszcie. - Różnica nie jest zbyt istotna, ale tak właśnie ma być.

Rozmawiałem o tym z Kendallem.

- Ja także z nim rozmawiałem. I to później niż pan.

- Wygląda na to, że on rozmawiał z wieloma ludźmi. Czy istnieje jakiś powód tej zmiany?

- Ustalony wcześniej harmonogram można zmieniać zależnie od potrzeb...

- Lub po to, żeby kogoś zbić z tropu - przerwał mu Spaulding.

- W tym przypadku o niczym takim nie może być mowy. Jak sam pan stwierdził, zresztą bardzo słusznie, my sprzedajemy, wy kupujecie.

- W takim razie należy również przypuszczać, że nie ma powodu, aby w Buenos Aires miało się pojawić Gestapo...

- Właśnie, czy możemy wrócić do tego tematu? - przerwał Rhinemann.

- Za chwilę - odparł Dawid, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że po raz kolejny wystawia na próbę cierpliwość gospodarza. Potrzebuję osiemnastu godzin na przesłanie zaszyfowanego sygnału do Waszyngtonu. Zawiezie je kurier w specjalnie zalakowanej kopercie.

- Stoltz powiedział mi o tym. Postąpił pan niezbyt rozważnie, panie pułkowniku.

Powinien pan być zrobić to już jakiś czas temu.

- *Eine Vorsichtsmassnahme, mein Herr* - wzruszył ramionami Dawid. - Szczerze mówiąc, nie wiem, kto z personelu naszej ambasady został przekupiony, ale jestem pewien, że ktoś taki na pewno istnieje. Szyfry i hasła mają to do siebie, że często stają się przedmiotem handlu. Te prawdziwe zostaną nadane tylko wtedy, kiedy Lyons potwierdzi autentyczność planów.

- W takim razie musi pan działać bardzo szybko i wysłać kuriera jutro z samego rana.

Wieczorem sprowadzę pierwszą część planów do San Telmo... *Eine Vorsichtsmassnahme*.

Pozostałą część przekażę wówczas, gdy poinformuje pan nas o gotowości Waszyngtonu do przekazania należności na nasze konto w Szwajcarii, właśnie w wyniku otrzymania pańskiego sygnału szyfrowego. Opuści pan Argentynę dopiero wtedy, kiedy otrzymam potwierdzenie z Berna. Niedaleko stąd, w Mendarro, jest małe lotnisko, kontrolowane przez moich ludzi. Tam będzie czekał na pana samolot.

- Zgoda. - Dawid zgasił papierosa. - A więc jesteśmy umówieni: jutro wieczorem pierwsza część planów, druga w ciągu dwudziestu czterech godzin. Teraz obydwaj wiemy, jak wygląda aktualnie obowiązujący rozkład jazdy. O nic innego mi nie chodziło.

- *Gut!* W takim razie możemy wrócić do sprawy Gestapo. - Rhinemann pochylił się do przodu, a na jego skroniach znowu pokazały się pulsujące żyły. - Zdaje się, że miał mi pan to wyjaśnić.

Dawid opowiedział mu o wszystkim.

Kiedy skończył, Erich Rhinemann oddychał głęboko i miarowo, starając się w ten sposób zapanować nad ogarniającym go wzburzeniem. Jego wąskie, otoczone fałdami skóry oczy rzucały wściekłe błyski.

- Dziękuję panu. Jestem pewien, że uda nam się to wyjaśnić w jakiś sposób. Na razie będziemy trzymać się naszego harmonogramu... Cóż, to był długi i męczący wieczór.

Zostanie pan odwieziony do domu. Dobranoc.

- Altmüller! - ryknął Rhinemann. - Dureń! Idiota!

- Nie rozumiem - powiedział Stoltz.

- Altmüller... - Głos Rhinemanna przycichł, ale nie stracił nic ze swego gniewu.

Odwrócił się w stronę majaczącej w oddali rzeki i mówił dalej w ciemność: - Tak się zaangażowałem w to, żeby nikt nie skojarzył tej sprawy ani z Najwyższym Dowództwem, ani tym bardziej z jego cennym ministerstwem, że został przyłapany przez swoje własne Gestapo!

- W Buenos Aires nie ma żadnego Gestapo, Herr Rhinemann! - stwierdził

kategorycznie Stoltz. - Człowiek z Lizbony kłamie.

Rhinemann odwrócił się do niego. Kiedy przemówił, jego słowa przypominały sople lodu.

- Potrafię poznać, kiedy ktoś kłamie, Herr Stoltz. On powiedział prawdę. Nie miał

najmniejszego powodu, żeby kłamać. Jeżeli założymy, że Altmüller nie został przyłapany, to znaczy, że mnie zdradził. Nasłał na mnie Gestapo i nie ma zamiaru dotrzymać warunków umowy. Przechwyci diamenty, a potem zniszczy plany. Żydożercy zwabili mnie w pułapkę.

- To ja byłem łącznikiem między nim a panem - powiedział Stoltz najbardziej przekonującym tonem, na jaki go było stać. - Na pana osobiste życzenie, Herr Rhinemann.

Nie ma pan najmniejszego powodu, żeby mi nie ufać. Ludzie w magazynie w Ocho Calle skończą sprawdzać diamenty najdalej za dzień lub dwa, a kurier dostarczy plany jeszcze tej nocy. Wszystko

odbywa się zgodnie z planem. Transakcja zostanie sfinalizowana. Rhinemann ponownie zwrócił się twarzą do ciemności i oparł dłonie o kamienną balustradę.

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać - odparł cicho. - Proszę nawiązać radiową łączność z Berlinem. Chcę, żeby Altmüller przyleciał do Buenos Aires. W

przeciwnym razie nie będzie żadnej transakcji.

Mężczyzna w białym garniturze zmienił swój strój na paramilitarny mundur, taki sam, jakie mieli na sobie strzegący bramy strażnicy, a za kierownicą samochodu siedział jakiś Argentyńczyk.

Samochód także był inny: sześciomiejscowy Bentley o mahoniowej desce rozdzielczej, szarej, pluszowej tapicerce i z zasłonami w oknach. Idealny pojazd na przykład dla jakiegoś ważnego brytyjskiego dyplomaty, ale odrobinę niższego rangą od ambasadora.

Typowe dla Rhinemanna, pomyślał Dawid.

Kierowca wyjechał z bocznej drogi, pogrążonej w całkowitej ciemności, na niewiele lepiej oświetloną szosę i nacisnął energicznie na pedał gazu; Bentley ruszył naprzód, nabierając błyskawicznie prędkości. Niemiec siedzący obok Dawida podsunął mu paczkę papierosów, ale Spaulding odmówił ruchem głowy.

- Pan wspominał, że chce jechać do ambasady amerykańskiej, señor? - zapytał

kierowca, nie odwracając oczu od szosy pędzącej im na spotkanie. - Obawiam się, że to niemożliwe. Señor Rhinemann polecił mi wyraźnie, żebym odwiózł pana pod pański dom.

Przykro mi.

- Nie możemy samowolnie zmieniać rozkazów - dodał Niemiec.

- To znakomita cecha. Dzięki temu wygrywamy z wami wojny.

- Jeśli chciał mnie pan urazić, to nic z tego. Ja nie biorę w tym udziału.

- Prawda, zapomniałem, że Habichtsnest jest całkowicie neutralne.

Dawid zakończył rozmowę zakładając nogę na nogę i odwracając się lekko w stronę okna. Nie mógł w tej chwili myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby możliwie najprędzej dotrzeć do ambasady i zobaczyć się z Jean. Użyła słowa „Tortugas”.

Znowu ta cholerna nazwa!

Skąd mogła ją znać! Czy to możliwe, żeby brała w tym udział, będąc jedną z postaci nieostrego obrazu?

Nie.

„»Tortugas« nie jest tego warte”. Tak właśnie powiedziała. Błagalnym tonem.

Takim samym tonem mówiła Leslie Hawkwood, która przebyła cztery tysiące mil tylko po to, żeby go właśnie błagać. Ale ona robiła to wręcz fanatycznie.

„Dawid, wyjedź z Buenos Aires!”

Czyżby istniał między nimi jakiś związek?

Boże, czy to może być prawda?

- *Señores!*

Ostry głos kierowcy wyrwał Dawida z zamyślenia. Siedzący obok niego Niemiec instynktownie odwrócił się i spojrzał przez tylną szybę. Pytanie, które zadał w chwilę potem, składało się tylko z dwóch słów:

- Jak długo?

- Zbyt długo, żeby to był przypadek. Widział pan?

- Nie.

- Wyprzedziłem trzy samochody, a potem zwolniłem, trzymając się prawego pasa.

Cały czas jedzie za nami. Zbliża się.

- Jesteśmy w dzielnicy Drugiej Podgórskiej, prawda?

- *Si...* Jest coraz bliżej. Musi być bardzo szybki. Niedługo nas dogoni.

- Jedź do Colinas Rojas! Skręcaj w prawo, gdziekolwiek! - rozkazał Niemiec, wyciągając pistolet.

Bentley nagle zahamował, ustawiając się bokiem do dotychczasowego kierunku jazdy.

Siła odśrodkowa przygniotła obydwu pasażerów do lewych drzwi. Kierowca błyskawicznie wrzucił pierwszy bieg i ruszył pod górę, nabierając szybko prędkości. Za szczytem pierwszego wzniesienia droga prowadziła przez chwilę niemal poziomo; wykorzystał to, włączając kolejno wyższe biegi i jeszcze bardziej rozpędzając potężny pojazd, który wystrzelił naprzód niczym ogromny pocisk.

Następny podjazd był bardziej stromy, ale Bentley poradził sobie i z tą przeszkodą.

Kierowca dobrze zna możliwości swojej maszyny - Pomyślał Dawid.

- Są światła! - krzyknął Niemiec. - Jadą za nami!

- Zdaje się, że za tymi wzniesieniami jest bardziej płasko - powiedział kierowca nie odrywając wzroku od drogi. - Spróbujemy się schować w którejś z bocznych dróg. Może nas miną.

- Nie - rzucił krótko Niemiec. Spojrzał jeszcze raz wstecz i sprawdził dotykiem zawartość magazynka pistoletu, po czym, najwyraźniej usatysfakcjonowany, schował go do kieszeni marynarki.

Następnie nachylił się i zaczął oburącz szukać czegoś pod siedzeniem.

Zaklął, samochód bowiem skakał i zarzucał na wszystkie strony.

Rozległo się klaśnięcie odskakujących zatrząsków i Niemiec wyprostował się, trzymając w dłoniach karabin o niezwykle grubej lufie, w którym Dawid natychmiast rozpoznał najnowszą, najbardziej śmiertcionośną broń tego typu, jaką wyprodukowano w Trzeciej Rzeszy. Wygięty łukowato magazynek, który właśnie znalazł się na miejscu z głośnym szczękiem, zawierał ponad czterdzieści pocisków kalibru 30.

- Na płaskim zwolnij i pozwól im się zbliżyć - rzucił krótko podwładny Rhinemanna.

- Nie rób tego! - zaprotestował Dawid, zapierając się rękami między tylną ścianą kabiny a oparciem przednich siedzeń. - Przecież nie wiesz, kto to jest!

Niemiec rzucił na niego przelotne spojrzenie.

- Znam swoje obowiązki - odparł lakonicznie. Sięgnął do metalowego kółka, wystającego z tapicerki tuż przy tylnej szybie, wsadził w nie palec i pociągnął do siebie, odsłaniając otwór o wymiarach mniej więcej dziesięć na cztery cale. Po drugiej stronie szyby znajdowało się identyczne kółko.

Samochód Rhinemanna był przygotowany do najróżniejszych sytuacji; dzięki tym otworom można było prowadzić celny ogień do wszystkiego, co znajdowało się za nim, dysponując cały czas znakomitym przeglądem sytuacji i ograniczając do minimum ryzyko chybionego strzału, spowodowane jazdą po nierównym terenie.

- A jeżeli to ludzie z amerykańskiego wywiadu, którzy mają mnie chronić?! - wrzasnął

Dawid, podczas gdy Niemiec uklęknął na siedzeniu, szykując się do wystawienia lufy karabinu przez otwór.

- Na pewno nie.

- Skąd wiesz?

- *Señores!* - krzyknął kierowca. - Zjeżdżamy w dół i będziemy mieli szeroki, łagodny zakręt. Pamiętaj go! Poniżej są łąki z wysoką trawą i zupełnie płasko! Trzymajcie się!

Bentley nagle zanurkował, jakby spadał z jakiejś wysokiej skarpy, a po chwili opadł z hukiem na cztery koła i przyspieszył tak raptownie, że mężczyzna z karabinem zawisł na moment w powietrzu, a potem runął z łoskotem na podłogę.

Dawid nie wahał się ani chwili: chwycił za broń i zdecydowanym szarpnięciem wyrwał ją Niemcowi z rąk. Człowiek Rhinemanna spojrzał na niego z osłupieniem, a następnie błyskawicznym ruchem wyszarpnął z kieszeni pistolet.

Samochód pędził w dół z ogromną szybkością stromym zjazdem. Po chwili wszedł w zakręt, o

którym wspominał Argentyńczyk, i pokonywał go w sposób, który zdawał się urągać wszelkim prawom fizyki: na dwóch kołach, z dwoma pozostałymi nie dotykającymi niemal gruntu.

Dwaj siedzący z tyłu mężczyźni zaparli się w przeciwnych rogach kabiny, usiłując przeciwdziałać gniożącej ich, potężnej sile odśrodkowej.

- Oddaj karabin! - ryknął Niemiec, celując z pistoletu w pierś Dawida. Spaulding ścisnął pod pachą kolbę karabinu, jego monstrualną lufą niemal dotykając brzucha przeciwnika.

- Jeśli strzelisz, ja też strzelę! - odkrzyknął. - Ja może jakoś się wyliżę, ty na pewno nie. Rozbryźniesz się po całym samochodzie!

W tej chwili kierowca stracił głowę. Wydarzenia na tylnym siedzeniu, w połączeniu z zaciekleym pościgiem, stworzyły w sumie sytuację, z którą nie potrafił dać sobie rady.

- *Señores! Madre de Jesús!* Pozabijacie nas!

Dał się odczuć mocny wstrząs, kiedy Bentley zawadził błotnikiem o skaliste pobocze; kierowca szybko skontrował, wracając na środek drogi.

- Głupio robisz - odezwał się człowiek Rhinemanna. - Tym ludziom chodzi o ciebie, nie o nas!

- Nie jestem tego pewien. Nie zabijam tylko na podstawie przypuszczeń.

- Więc wolisz nas zabić? Dlaczego?

- Nie chcę nikogo zabić. Odłóż pistolet; obaj wiemy, że to nic nie da.

Niemiec zawahał się.

Jeszcze jeden wstrząs, spowodowany uderzeniem w duży kamień lub złamaną gałąź.

To wystarczyło, żeby go przekonać; odłożył broń na siedzenie.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniem; Dawid nie spuszczał oka z dłoni Niemca, a tamten ze spustu karabinu.

- *Madre de Dios!* - wykrzyknął kierowca, tym razem z ulgą, nie z przerażeniem.

Bentley zaczął stopniowo zwalniać.

Dawid spojrział przez przednią szybę; wychodzili właśnie z szerokiego zakrętu i przed nimi, w bladym świetle księżycy majaczyły płaskie połacie pól. Nieoczekiwanie wyciągnął

rękę i, ku zaskoczeniu swego współpasażera, wziął jego pistolet.

- Odpocznij trochę - powiedział Spaulding do kierowcy. - Zapal papierosa, a potem odwieź mnie do

miasta.

- Panie pułkowniku! - zawołał Niemiec. - Może pan zatrzymać broń, jeśli pan chce, ale oni wciąż za nami jadą! Jeśli nie chce pan posłuchać mojej rady, to przynajmniej zjedźmy z drogi!

- Nie mam czasu do stracenia - odparł Dawid. - Nie powiedziałem mu, żeby zwolnił, tylko żeby odpoczął.

Samochód wypadł na zupełnie płaski odcinek drogi i ponownie przyśpieszył.

Kierowca skorzystał z rady Spauldinga i zapalił papierosa. Bentley sunął jak po sznurku.

- Oprzyj się - polecił Dawid swemu sąsiadowi i sam rozparł się wygodnie w narożniku kabiny, trzymając karabin na kolanie pozornie od niechcenia, ale na pewno nie niedbale.

- Znowu światła! - rozległ się przestraszony głos szofera. - Zbliżają się bardzo szybko... Co mam robić?

Dawid zastanowił się przez chwilę.

- Spróbujemy się z nimi dogadać... Czy księżyc świeci wystarczająco jasno, żebyś mógł zgasić światła?

- Najwyżej na chwilę. Nie pamiętam, co...

- Więc zgaś je, a potem zapal. Dwa razy. Już!

Kierowca postąpił tak, jak mu kazano. Efekt był zadziwiający: całkowita ciemność, a w chwilę potem nagle ulewa światła, podczas gdy ciężka maszyna cały czas pędziła wzdłuż rozkołysanych szpalerów wysokiej trawy.

Dawid spoglądał przez tylną szybę na światła ścigającego ich samochodu, ale nie dostrzegł żadnej odpowiedzi. Może nie zrozumieli, że chcemy się z nimi dogadać, pomyślał.

- Jeszcze raz! I przytrzymaj je trochę dłużej. Już!

Rozległo się pstryknięcie wyłącznika; światła zgasły na trzy, cztery sekundy, potem zapłonęły i znowu zgasły.

Tym razem otrzymali odpowiedź.

Z doganiającego ich pojazdu posypał się grad strzałów; tylna szyba rozsypała się w drobny mak, siejąc wokół ostrymi odłamkami. Dawid poczuł, że po policzku ścieka mu strumyczek krwi, a Niemiec krzyknął głośno, chwytając się za lewą rękę.

Bentley zatoczył się w lewo, potem w prawo, posłuszny dłoniom kierowcy, który jechał zygzakiem, starając się utrudnić celowanie.

- Masz, czego chciałeś! - ryknął Niemiec z mieszanką wściekłości i przerażenia w głosie.

Dawid błyskawicznie podał mu karabin.

- Strzelaj!

Mężczyzna wsadził natychmiast lufę w otwór, a Spaulding szarpnął za metalowe kółko po swojej stronie wybitej szyby i zarepetował pistolet.

W tej chwili dosięgły ich kolejne pociski, pochodzące najprawdopodobniej z wielkokalibrowej broni maszynowej, dziurawiąc bagażnik, boczne ścianki kabiny i dach Bentleya. Kilka z nich dotarło aż do przedniej szyby, i ona bowiem rozpadła się na kawałki.

Niemiec otworzył ogień z karabinu. Dawid starał się celować najlepiej, jak mógł, ale rzucony po całej kabinie nie miał zbyt wielkich szans, więc naciskał spust niemal na oślep, licząc na to, że jakimś cudem uda mu się trafić w oponę ścigającego ich pojazdu.

Łoskot strzelającego tuż obok niego karabinu wypełniał co chwila ogłuszającymi falami niewielkie, jeszcze niedawno eleganckie wnętrze. Po kolejnej, którejś z rzędu serii Dawid dostrzegł gwałtowny błysk, po którym spod maski tamtego samochodu zaczęły się wydobywać kłęby dymu i pary.

Mimo to ulewa ognia nie traciła na sile.

Kierowca wydał nagle zduszony, chrapliwy okrzyk; Spaulding spojrział na niego i zobaczył, że z roztrzaskanej czaszki Argentyńczyka bucha strumień krwi, a jego dłonie zsuwają się bezwładnie z kierownicy. Rzucił się naprzód, usiłując do niej sięgnąć, ale nie mógł; w ułamek sekundy później Bentley zjechał z drogi, żłobiąc głęboką bruzdę w wysokiej trawie.

Niemiec wyszarpnął lufę z otworu, wybił kolbą boczną szybę i załadował świeży magazynek. Samochód toczył się jeszcze kilkanaście jardów, po czym stanął z raptownym szarpnięciem.

Ścigający ich wóz zahamował gwałtownie na drodze, wpadł w boczny poślizg i zatrzymał się, otoczony kłębami dymu i kurzu.

Niemal natychmiast jego nieruchoma sylwetka ożyła błyskami wystrzałów. Niemiec kopnął drzwi Bentleya i wyskoczył w wysoką trawę, natomiast Dawid tylko uchylił swoje, żeby w razie potrzeby móc je błyskawicznie otworzyć i wytoczyć się na zewnątrz.

Powietrze ponownie rozdarł basowy łoskot strzelającego bez przerwy karabinu.

Odpowiedziały mu przeraźliwe krzyki; Dawid pchnął drzwi i wytoczywszy się na zewnątrz zobaczył, jak Niemiec wstaje na nogi i idzie przed siebie, zataczając półkola plującym ogniem karabinem, a jego ciało podryguje i skręca się, przeszywane niezliczonymi pociskami.

Wreszcie upadł.

W tej samej chwili ciemność rozdarła oślepiająca eksplozja.

Stojący na drodze samochód zamienił się w ognistą kulę, pełną poskręcane go metalu.

Wybuchł zbiornik paliwa.

Dawid jednym susem przesadził bagażnik Bentleya, by ukryć się przed świszczącymi w powietrzu odłamkami.

Strzelanina ucichła. Słysząc było tylko ryk płomieni i syk uciekającej pary.

Spaulding wychylił się ostrożnie i spojrział w kierunku płonącego wraku.

Rozpoznał go; był to ten sam Duesenberg, do którego po południu wsiadła Leslie Hawkwood.

Na ogarniętym pożogą tylnym siedzeniu spoczywały dwa ciała. Z przodu siedział tylko kierowca, szeroko rozwartymi oczami wpatrując się we własną śmierć.

Przy otwartych na oścież drzwiach leżała czwarta sylwetka. Dawidowi wydawało się, że dostrzegł nieznaczne poruszenie ręki, a w chwilę potem głowy.

To prawda! Ten człowiek żył!

Spaulding podbiegł do płonącego Duesenberga i odciągnął ciało od szalejącego ognia.

Widział już zbyt wielu umierających ludzi, żeby nie poznać oznak zbliżającej się nieuchronnie śmierci. Nie było najmniejszego sensu z nią walczyć; należało już tylko spróbować ją wykorzystać.

Przyklęknął przy mężczyźnie.

- Kim jesteście? Dlaczego chcieliście mnie zabić? Spojrzenie nieprzytomnych oczu spoczęło na twarzy Dawida.

- Kim jesteście? Powiedz mi, kim jesteście?

Człowiek nie mógł - lub nie chciał - nic powiedzieć. Poruszył ustami, ale nie po to, żeby coś wyszeptać.

Kiedy Dawid nachylił się nad nim, mężczyzna spróbował napluć mu w twarz.

Zmieszana z krwią ślina pociekła po jego brodzie, a głowa opadła bezwładnie i pozostała w tej pozycji.

W migotliwym blasku płomieni Dawid przeszukał marynarkę nieboszczyka.

Nic.

Podobnie w kieszeniach spodni.

Mocnym szarpnięciem rozdarł mu koszulę i zamarł w bezruchu, zdumiony i oszołomiony.

Na brzuchu martwego mężczyzny widniały jakieś ślady; blizny, ale nie po kulach.

Uniósł górną część zwłok i zdarł marynarkę i koszulę, odsłaniając ramię.

Był, wryty głęboko w skórę. Niemożliwy do usunięcia.

Wytatuowany numer z obozu śmierci.

Ein Volk, ein Reich, ein Führer.

Martwy mężczyzna był Żydem.

Dochodziła już piąta rano, kiedy Spaulding dotarł do swego mieszkania przy Avenida Córdoba. Sporo czasu zajęło mu odnalezienie i usunięcie wszelkich śladów i dowodów, które mogłyby pomóc w zidentyfikowaniu kierowcy Bentleya, martwego Niemca, a także samego samochodu. Między innymi odkręcił i wyrzucił tablice rejestracyjne, a także przesunął do przodu zegar znajdujący się na desce rozdzielczej, po czym zmiażdżył szkiełko rękojeścią pistoletu. Powinno to opóźnić śledztwo przynajmniej o kilka godzin, dzięki czemu zyska trochę na czasie przed poważną rozmową z Rhinemannem.

Nie ulegało wątpliwości, że do takiej rozmowy dojdzie, a tymczasem było wiele spraw, które należało dokładnie przemyśleć i spróbować je do siebie dopasować.

Marsz przez dwa wzgórza - Colinas Rojas - do głównej szosy trwał blisko godzinę.

Przedtem Dawid usunął odpryski szkła tkwiące w jego twarzy - na szczęście żaden z nich nie wyrządził mu poważniejszej krzywdy - i ukrył głęboko w lesie karabin, z którego strzelał człowiek Rhinemanna.

Zabrała go ciężarówka rozwożąca mleko. Na użytek kierowcy zmyślił bajeczkę o suto zakrapianej alkoholem zabawie, w wyniku której, zwabiony poza miasto perspektywami jeszcze innych uciech, został pobity i doszczętnie ograbiony. Nie miał jednak do nikogo pretensji; co najwyżej mógł mieć żal do samego siebie.

Kierowcy bardzo się spodobało takie podejście do sprawy i niemal cała droga upłynęła im przy wtórze głośnych wybuchów śmiechu.

Wiedział, że nie ma najmniejszego sensu kłaść się spać. Zamiast tego wziął gorący prysznic i zaparzył cały dzbanek kawy.

Po pewnym czasie jego myśli były znowu jasne i precyzyjne, a kiedy wkrótce potem wzeszło słońce nad Atlantyku, wiedział, że już czas, by zadzwonić do Jean.

Poinformował zdumioną telefonistkę w ambasadzie, że pani Cameron spodziewa się tego telefonu; w gruncie rzeczy powinien był nawet zadzwonić jeszcze wcześniej, ale zasnął.

Pani Cameron wybierała się na podwodne łowy i powinni być w La Boca punktualnie o szóstej.

- Halo... Halo? - Głos Jean był najpierw nieprzytomny, a w chwilę potem zdumiony.

- To ja. Nie mam czasu na przeprosiny. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć.

- Dawid? Och, Boże!

- Za dwadzieścia minut będę w twoim biurze.

- Ale...

- Jean, nie mam czasu! Za dwadzieścia minut. Błagam cię, bądź tam. Potrzebuję cię, Jean!

Porucznik pełniący wartę przy bramie, aczkolwiek lekko zgorszony, był pełen dobrych chęci. Zgodził się zadzwonić do gabinetu pani Cameron; jeśli osobiście wyjdzie po Dawida, to on wtedy wpuści go do środka.

Po chwili na frontowych schodach pojawiła się Jean, delikatna i śliczna. Kiedy zbliżyła się do bramy, idąc chodnikiem prowadzącym wzdłuż podjazdu, i zobaczyła go, zasłoniła prędko dłonią usta, żeby powstrzymać okrzyk przerażenia.

Dawid wiedział, co było tego przyczyną.

Środek hamujący krwawienie z zacięć powstałych przy goleniu nie mógł zamaskować ran, jakie pozostały po kilkunastu szklanych odłamkach, które usunął sobie z czoła i policzków.

Idąc korytarzem nie odezwali się do siebie ani słowem, ale ona przywarła do jego ramienia z taką siłą, że aż musiał delikatnie przesunąć ją na drugą stronę, nieświadomie bowiem wbiła mu palce w nie zaleczoną jeszcze ranę po wypadku na Azorach.

Kiedy znaleźli się w jej gabinecie, zamknęła drzwi i drżąc na całym ciele rzuciła mu się w ramiona.

- Tak mi przykro! Przepraszam cię, kochany, przepraszam! Zachowałam się okropnie!

Ujął ją delikatnie za ramiona.

- Miałaś do rozwiązania poważny problem.

- Wydaje mi się, że nie dam sobie z nim rady. A zawsze byłam w tym taka dobra... Co się stało z twoją twarzą? - Musnęła palcami jego policzek. - Jest podrapana i opuchnięta.

- „Tortugas” - odparł spoglądając jej prosto w oczy. - To sprawa „Tortugas”.

- Boże! - szepnęła, przyciskając głowę do jego piersi. - Sama nie wiem, co się dzieje...

Nie wiem, co mam powiedzieć... Błagam, nie pozwól, żeby jeszcze cokolwiek się stało!

- W takim razie, będziesz musiała mi pomóc.

Oderwała się od niego.

- Ja? W jaki sposób?

- Odpowiadając mi na pytania. Uprzedzam cię, że poznam, kiedy kłamiesz.

- Miałabym kłamać? Tobie nigdy nie skłamałam.

Wierzył jej... ale to wcale nie ułatwiało mu zadania.

- Skąd wiesz o „Tortugas”?

Opuściła ręce, którymi obejmowała go za szyję, a on pozwolił jej odejść. Odsunęła się od niego na kilka kroków, ale to nie była ucieczka.

- Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam. Zresztą, to pierwszy raz... Zeszłam do

„piwniczki”, bez zezwolenia... i zajrzałam do twojej teczki. To chyba najkrótsze dossier w całej historii dyplomacji.

- Co w nim było?

Powiedziała mu.

- Jak więc sam widzisz, mój hipotetyczny Dawid z wczorajszego wieczoru nie jest tak nierealny, jakby się mogło wydawać.

Spaulding podszedł do okna wychodzącego na trawnik otaczający budynek ambasady.

Poranne słońce pięło się w górę, a jego promienie błyszczały w kropelkach rosy. Przypomniwał

mu się wypielęgnowany trawnik, oświetlony blaskiem reflektorów przy rezydencji Rhinemanna, to wspomnienie zaś pociągnęło za sobą inne: szyfr i hasło.

- Muszę porozmawiać z Ballardem.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Twój „nie tak nierealny” Dawid ma kilka rzeczy do zrobienia. To się nie zmieniło.

- Chciałeś chyba powiedzieć, że ja nie mogę tego zmienić.

Zbliżył się do niej.

- Nie, nie możesz... Boże, tak bym chciał, żebyś mogła, żeby ja mógł... Wcale nie jestem pewien, czy to, co robię, ma jakiegokolwiek znaczenie, ale najwidoczniej w moim przypadku działa siła przyzwyczajenia, a może ego... W każdym razie mam nadzieję, że chodzi o coś równie prostego.

- A więc jesteś w tym dobry, tak jak powiedziałam...

- Rzeczywiście, jestem. Czy wiesz także, kim jestem?

- Oficerem wywiadu. Agentem. Człowiekiem, który współpracuje z innymi, takimi jak on, porozumiewając się szeptem pod osłoną nocy, często sięgając po pieniądze i kłamstwa.

Musisz wiedzieć, że właśnie w ten sposób o tym myślę.

- Nie o to mi chodzi. Tym jestem teraz, a czy wiesz, kim jestem naprawdę?

Inżynierem. Buduję domy, mosty, tamy i autostrady. Kiedyś zaprojektowałem wybieg w zoo w Mexico City - najlepszy wybieg dla naczelnych na całym świecie. Niestety, budowa kosztowała tak dużo, że nie starczyło już pieniędzy na mały, ale to chyba nie jest najważniejsze.

Roześmiała się cicho.

- Jesteś zabawny.

- Najbardziej lubiłem pracować nad mostami. Jak przekroczyć wodną przeszkodę nie zasypując jej i nie niszcząc sensu jej istnienia...

- Nigdy nie przypuszczałam, że inżynierowie są takimi romantykami.

- Inżynierowie budowlani są romantykami. W każdym razie ci najlepsi. Ale to wszystko było dawno temu. Kiedy skończy się to całe zamieszanie, oczywiście wrócę, ale nie jestem głupcem. Zdaję sobie doskonale sprawę z trudności, na jakie natrafie. To nie to samo co prawnik, który odłoży na jakiś czas swoje książki, żeby potem znowu po nie sięgnąć.

Prawo nie zmienia się tak szybko. Albo na przykład makler. Prawa rządzące rynkiem są zawsze takie same.

- Nie jestem pewna, czy wiem, do czego zmierzasz...

- Chodzi o technologię. To jedyna prawdziwa, cywilizacyjna korzyść, jaka wynika z wojny. W ciągu ostatnich trzech lat stworzono i udoskonalono wiele zupełnie nowych, wspaniałych technik. Ja nie mam o nich najmniejszego pojęcia. Referencje, jakie otrzymam po wojnie, z całą pewnością nie będą najlepsze.

- Mój Boże, przecież ty się nad sobą użalasz!

- Rzeczywiście, w pewnym sensie. Ale w znacznie większym stopniu jestem po prostu wściekły. Nikt nie przykładał mi lufy do skroni. Wdepnąłem w to z zupełnie niewłaściwych powodów i bez odrobiny wyobraźni. I właśnie dlatego muszę być w tym dobry.

- A co z nami? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak „my”?

- Kocham cię - powiedział po prostu. - Jestem tego pewien.

- Zaledwie po tygodniu? Ja wciąż zadaję sobie to pytanie. Przecież nie jesteśmy dziećmi.

- Nie jesteśmy - pokręcił głową. - Dzieci nie mają dostępu do kartotek Departamentu Stanu. - Uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał. - Potrzebuję twojej pomocy.

Spojrzała na niego z uwagą.

- To znaczy?

- Co wiesz o Erichu Rhinemannie?

- To nikczemny człowiek.

- Jest Żydem.

- W takim razie to nikczemny Żyd. Rasa i religia nie mają żadnego znaczenia.

- Dlaczego tak o nim sądzisz?

- Bo wykorzystuje ludzi. Bezwzględnie. Okrutnie. Używa swoich pieniędzy do tego, żeby korumpować każdego, kto mu się nawinie pod rękę. Kupuje sobie wpływy w juncie, dzięki czemu ma ziemię, koncesje rządowe i ułatwienia w handlu zagranicznym. Zmusił kilka firm do zrezygnowania z eksploatacji węgla w Basenie Patagońskim, przejął większość pól naftowych w Comodoro Rivadoria.

- Kogo popiera, jeśli chodzi o politykę?

Jean zastanowiła się przez chwilę; oparła się w fotelu, zerknęła na moment w okno, a potem znowu spojrzała na Dawida.

- Siebie - odparła krótko.

- Słyszałem, że nie ukrywa swoich sympatii dla państw Osi?

- Tylko dlatego, że wierzył w upadek Anglii. Poza tym, wciąż jeszcze ma znaczne bogactwa w Niemczech.

- Przecież jest Żydem!

- Chwilowa niedogodność. Zresztą bardzo wątpię, czy chociaż raz widziano go w synagodze. Gmina żydowska w Buenos Aires nie ma z niego żadnego pożytku.

Dawid raptownie wstał z miejsca.

- Może właśnie o to chodzi!

- To znaczy?

- Rhinemann odwrócił się od swoich współpracowników i otwarcie popiera tych, którzy założyli Auschwitz, więc niewykluczone, że oni wydali na niego wyrok śmierci.

- Jeśli „oni” mają być miejscowymi Żydami, to przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Argentynscy *judios* siedzą cicho, bo Rhinemann ma zbyt wielkie wpływy wśród pułkowników, którzy przecież rządzą armią. Oczywiście, nic nie powstrzyma jednego lub dwóch fanatyków...

- Nawet jeśli to są fanatycy, to nie jest ich dwóch, ani nawet trzech, tylko dużo więcej.

Są zorganizowani i, jak mi się wydaje, mają spore poparcie finansowe.

- Uważasz, że chcieliby zabić Rhinemanna? Tutejsi Żydzi wpadliby w panikę i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby przybiegli z tym właśnie do nas.

Dawid przerwał swoją wędrówkę tam i z powrotem po przekątnej pokoju. Przyszły mu na myśl słowa, które usłyszał w zacienionej bramie na 52 Ulicy: „Nie może być żadnych negocjacji z Altmüllerem”.

- Czy słyszałaś kiedyś o człowieku nazwiskiem Altmüller?

- Nie. Zdaje się, że w niemieckiej ambasadzie jest jakiś Müller, ale to tak samo, jak u nas Smith lub Jones. Żadnego Altmüllera.

- A Hawkwood? Leslie Jenner Hawkwood?

- Też nie. Jeśli ci ludzie mają coś wspólnego z wywiadem, to trudno, abym mogła coś o nich wiedzieć.

- Owszem, mają, ale nie sądzę, żeby się ukrywali pod pseudonimami. W każdym razie na pewno nie ten Altmüller.

- Nie rozumiem.

- Z kontekstu, w jakim zostało użyte jego nazwisko, wynika, że jest osobą dość znaną, a mimo to nie mogę go odszukać.

- Chcesz sprawdzić w „piwniczce”?

- Tak. Załatwię to z Granville’em. O której zaczyna się urzędowanie?

- O ósmej trzydzięci. Henderson zjawia się najczęściej mniej więcej za piętnaście dziewiąta. - Zobaczyła, że Dawid odruchowo zerka na swój przegub dłoni. - Czyli za ponad dwie godziny. Przypomnij mi, żebym kupiła ci zegarek.

- Dziękuję. Najpierw muszę zobaczyć się z Ballardem. Czy on funkcjonuje o tej porze?

- Pytanie jest chyba retoryczne, przyzwyczaił się do wstawania o każdej porze dnia i nocy. Mam do niego zadzwonić?

- Proszę. Można tu zaparzyć kawy?

- Tam jest kuchenka. - Jean wskazała na drzwi prowadzące do przedpokoju. - Zaraz za biurkiem sekretarki. Kran znajdziesz w szafie... Zresztą, zaczekaj, sama to zrobię, tylko najpierw zawiadomię Bobby'ego.

- Ja się zajmę kawą, a ty w tym czasie dzwoń. Tak wspaniale wyglądasz, kiedy siedzisz za biurkiem, że nie ośmieliłbym się ci przeszkadzać.

Usłyszał to w chwili, kiedy wziął do ręki dzbanek: wyraźny odgłos pojedynczego stąpnienia, dochodzący z korytarza. Gdyby ktoś po prostu szedł, byłoby słychać dalsze kroki, ale skończyło się na tym jednym.

Spaulding odstawił dzbanek, błyskawicznie ściągnął buty i bezszelestnie podkradł się do drzwi.

Ponownie odgłos kroków cichych, nienaturalnie ostrożnych.

Dawid rozpiął marynarkę, sprawdził tkwiący za paskiem pistolet, po czym delikatnie nacisnął klamkę, a następnie raptownym szarpnięciem otworzył drzwi i wyskoczył na korytarz.

W odległości piętnastu stóp zobaczył oddalającego się szybkim krokiem mężczyznę.

Słyszac odgłos otwieranych drzwi odwrócił się gwałtownie; na jego twarzy malowało się uczucie, które Spaulding widział już dziesiątki razy na wielu innych twarzach.

Strach.

- Och, dzień dobry! Pan pewnie jest ten nowy, prawda? Jeszcze się nie spotkaliśmy.

Nazywam się Ellis, Bili Ellis... Mam jakieś cholerne spotkanie o siódmej, wyobraża pan sobie?

Attaché nie był zbyt przekonujący.

- A my wybieramy się na ryby, tylko nie wiadomo, co będzie z pogodą. Może przyłączy się pan do nas?

- Z chęcią bym to zrobił, gdyby nie to cholerne spotkanie.

- Prawda, przecież przed chwilą pan powiedział... W takim razie może kawy?

- Wielkie dzięki. Muszę jeszcze przejrzeć trochę papierów.

- Cóż, w takim razie przykro mi.

- Mnie też... Do zobaczenia. - Człowiek nazwiskiem Ellis uśmiechnął się z przymusem, skinął niezręcznie dłonią i ruszył w swoją drogę.

Spaulding wrócił do biura Jean i zamknął za sobą drzwi. Jean stała przy biurku, spoglądając na niego ze zdumieniem.

- Z kim rozmawiałeś o tej porze?

- Powiedział, że nazywa się Ellis i że ma spotkanie o siódmej, ale to nieprawda.

- Jak to?

- Kłamał. Czym on się zajmuje?

- Wydawaniem pozwoleń importowo-eksportowych.

- To bardzo wygodne... Co z Ballardem?

- Już idzie. Powiedział, że jesteś obrzydliwy... Nie rozumiem, co w tym jest

„wygodnego”?

Spaulding wziął z biurka dzbanek i ruszył w kierunku kranu, ale Jean wyjęła mu go z ręki.

- Jaką on ma opinię? - zapytał.

- Znakomitą. Wszystkie typowe objawy uczulenia, walczy o posadę ambasadora w Wielkiej Brytanii. Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie.

- Został kupiony. To wtyczka. Na razie trudno mi ocenić, na ile jest niebezpieczny.

- Mówisz serio? - Jean była wyraźnie wstrząśnięta. Otworzyła drzwi szafy, w której znajdował się zlewozmywak, ale nagle zamarła w bezruchu. - Dawid, co to właściwie znaczy

„Tortugas”?

- Och, Boże, przestań wreszcie żartować.

- To znaczy, że nie chcesz mi powiedzieć?

- To znaczy, że nie wiem. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile bym dał, żeby się dowiedzieć.

- To chyba jakiś kryptonim, prawda? W każdym razie, tyle wynika z twojego dossier.

- Kryptonim, o którym nikt mi nic nie powiedział, choć zdaje się, że właśnie ja jestem za wszystko odpowiedzialny!

- Masz, tylko najpierw go wypłucz.

Jean niespodziewanie wręczyła mu dzbanek, a sama szybkim krokiem skierowała się do swego gabinetu. Dawid poszedł za nią i przystanął w drzwiach.

- Co robisz?

- Jeżeli któryś attaché czy nawet młodszy sekretarz spodziewa się jakiegoś gościa, zawsze informuje o tym wartownika - odparła podnosząc słuchawkę z widełek.

- Ellis?

Skinęła głową. Rozmowa, którą przeprowadziła, trwała bardzo krótko. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Dawida.

- Najwcześniejsze zgłoszenie opiewa na dziewiątą. To spotkanie o siódmej to bujda.

- Wcale się nie dziwię. Ty chyba też nie?

- Chciałam się upewnić... Powiedziałaś, że nie wiesz, co znaczy „Tortugas”. Być może będę ci mogła powiedzieć.

Dawid zrobił krok naprzód.

- Co takiego? - zapytał ze zdumieniem.

- Otrzymał mi raport z rejonu La Boca, to teren Ellisa. Jego wydział kontroluje ruch statków i wydaje zezwolenia. Powiedzieli, że to było przeoczenie.

- Jakie przeoczenie? O czym ty mówisz?

- O trawlerze w La Boca. Wiózł towary poza strefę przybrzeżną. Jako miejsce przeznaczenia podano Tortugas.

W tej chwili raptownie otworzyły się drzwi i do sekretariatu wszedł Bobby Ballard.

- Niech was licho! - zawołał. - Wcześniej wstajecie, krasnoludki!

Ustalenie szyfru zajęło im niecałe pół godziny. Dawid był zdumiony wspaniałą, matematyczną wyobraźnią Ballarda, który od ręki opracował geometryczny szereg liczb i odpowiadających im liter, nad którego rozwiązaniem nawet najlepsi specjaliści musieliby się biedzić co najmniej tydzień.

Teraz Spaulding potrzebował maksimum dziewięćdziesięciu sześciu godzin.

Bobby wsadził kopię przeznaczoną dla Waszyngtonu do kurierskiej koperty, zapieczętował ją, umieścił w specjalnej teczce, zaopatrzonej w trzy zamki, po czym zadzwonił do bazy marines z poleceniem, żeby w ciągu godziny w ambasadzie pojawił się jakiś oficer w randze co najmniej kapitana. O dziewiątej przesyłka znajdzie się na pokładzie samolotu, późnym popołudniem na lotnisku Andrews, a wkrótce na biurku generała Alana Swansona w Ministerstwie Wojny, dostarczona tam opancerzoną półciężarówką.

Hasło było bardzo proste. Dawid podał Ballardowi tylko dwa słowa: „Potwierdzam

»Tortugas«”.

Kiedy wiadomość dotrze do Waszyngtonu, Swanson będzie wiedział, że Eugene Lyons potwierdził autentyczność planów i natychmiast prześle wiadomość do Szwajcarii, żeby dokonano przelewu na konto bankowe Rhinemanna. Decydując się na użycie słowa

„Tortugas” Spaulding miał nadzieję, że ktoś zorientuje się, czemu chciał dać w ten sposób wyraz: wściekłości za to, że obarczono go pełną odpowiedzialnością, nie informując jednocześnie o wszystkich faktach.

Zaczynał bowiem podejrzewać, że Erich Rhinemann żąda więcej, niż mu się należy.

Tyle tylko, że nic mu to nie da.

Rhinemann zostanie zabity.

W umyśle Dawida zaczęły się formować zarysy planu, który zaowocuje tą konieczną śmiercią. Wszystko wskazywało na to, że samo dokonanie tego czynu będzie najłatwiejszym punktem całego przedsięwzięcia.

Ukrywanie przed Jean i Bobbym sprawy planów żyroskopów nie miało najmniejszego sensu. Kendall uciekł bez choćby słowa wyjaśnienia, a Dawid zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że być może już niedługo nadejdzie chwila, kiedy będzie potrzebował pomocy, a wtedy może zabraknąć mu czasu na wyjaśnienie wszystkiego tym, którzy będą mogli mu jej udzielić. Kostium, w którym do tej pory występował, był już zupełnie zbyteczny.

Opowiedział im szczegółowo o całym przedsięwzięciu, nie pomijając roli, jaką miał odegrać Eugene Lyons, i nagłego pojawienia się Heinricha Stoltza.

Ballarda najbardziej zdumiała właśnie ta ostatnia informacja.

- Stoltz? To coś nowego... Jest podobno prawdziwym fanatykiem. Nie, nie chodzi o Hitlera, tylko o Niemcy. Zdrada w Wersalu, za wszelką cenę spłacić reparacje, o, tego typu rzeczy. Dla mnie to był zawsze prawdziwy junkier.

Dawid prawie go nie słuchał.

Miał już gotowy plan działania na całe przedpołudnie. Do jego realizacji przystąpił o ósmej czterdzieści pięć.

Rozmowa z Granville'em była krótka i szczerą; ambasadora nie interesuje prawdziwy powód pojawienia się Spauldinga w Buenos Aires tak długo, jak długo nie doprowadzi to do jakiegoś konfliktu dyplomatycznego. Dawid zapewnił go, że nie ma mowy o takim niebezpieczeństwie, prawdopodobieństwo zaś powstania takiej sytuacji będzie tym mniejsze, im dalej sam ambasador będzie od centrum wydarzeń. Granville przyznał mu całkowitą rację, a następnie, na wyraźną prośbę swego rozmówcy, polecił, żeby sprawdzono, czy w

„piwniczce” znajdują się jakieś informacje na temat Franza Altmüllera i Leslie Jenner Hawkwood.

Wynik poszukiwań: negatywny.

Z gabinetu ambasadora Dawid wrócił prosto do Jean. Z lotniska właśnie nadeszła lista pasażerów oczekiwanych w dniu dzisiejszym. Znajdował się na niej także Eugene Lyons, który powinien przylecieć o drugiej po południu rejssem numer 101. Zawód: fizyk, cel przyjazdu: udział w rozmowach przemysłowych.

Spaulding pomyślał coś bardzo niepochlebnego o Walterze Kendall, choć może adresatem tych myśli powinien być raczej ten przestraszony amator, generał Alan Swanson?

Mogliby przynajmniej podać, że Lyons jest po prostu naukowcem; „fizyk” brzmiało nie tylko głupio, ale w połączeniu z miejscem i czasem po prostu musiało zwrócić na siebie uwagę służb wywiadowczych, w tym także, a może przede wszystkim, alianckich.

Poszedł do swego małego, odosobnionego biura. Musiał spokojnie pomyśleć.

Postanowił, że osobiście przywita Lyonsa. Co prawda Walter Kendall powiedział, iż ulokowaniem smutnego, milczącego mężczyzny w San Telmo zajmą się dwaj pielęgniarki, ale na wspomnienie ich wyglądu i zachowania ogarnęły go najgorsze przeczucia. Wcale by się nie zdziwił, gdyby Johnny i Hal - chyba właśnie tak się nazywali? - dostarczyli swego podopiecznego wprost pod drzwi niemieckiej ambasady myśląc, że to szpital.

Wyjedzie po nich na lotnisko, a następnie odwiezie do San Telmo z zachowaniem wszelkich środków ostrożności.

Po zakwaterowaniu Lyonsa będzie miał jakieś dwie, trzy godziny do chwili, kiedy zgłosi się do niego Stoltz lub Rhinemann. O ile, rzecz jasna, nie usiłują zrobić tego już teraz, przerażeni wydarzeniami, które rozegrały się w Colinas Rojas. Musi liczyć się z taką ewentualnością i przedstawić im niepodważalne alibi; będzie twierdził, że go tam nie było i że o drugiej w nocy spał już smacznie w swoim łóżku.

Alibi istotnie było niepodważalne, bo nie żył już nikt, kto by mógł je zakwestionować.

Tak czy inaczej, po południu powinien mieć dwie lub trzy godziny wolnego.

La Boca.

Jean dyskretnie skontaktowała się z wywiadem morskim w bazie marines. Jej dyskrecja przybrała postać rutynowego telefonu do dyżurnego; przeprosza, że zawraca mu głowę, ale musi uzupełnić jakiś nie dokończony raport - niestety, wciąż ta biurokracja! - więc czy porucznik nie mógłby... Oczywiście. Trawler z ładunkiem błędnie zaadresowanym do Tortugas cumuje przy magazynach w Ocho Calle. Sprawą zajmował się attaché ambasady, pan William Ellis z Wydziału Pozwoleń Importowo-Eksportowych.

Ocho Calle.

Poświęci jakąś godzinkę, żeby się tam rozejrzeć. Prawdopodobnie będzie to strata czasu, bo jaki związek z jego zadaniem mógł mieć trawler rybacki? Choć bardzo się starał, nie mógł sobie wyobrazić takiego związku. Niemniej jednak padła tam nazwa „Tortugas” i w ambasadzie rzeczywiście pracował attaché nazwiskiem Ellis, który podsłuchiwał pod drzwiami i opowiadał bajki o jakimś spotkaniu o siódmej rano.

Mimo wszystko, warto było sprawdzić to Ocho Calle. Potem wróci do swego mieszkania i będzie czekał na telefon.

- Zabierzesz mnie na lunch? - zapytała Jean, wchodząc do pokoju. - Tylko nie patrz na zegarek, bo go nie masz.

Dłoń Dawida zamarła w pół ruchu.

- Nie wiedziałem, że już tak późno.

- Jest dopiero jedenasta, ale ty jeszcze nic nie jadłeś, a zdaje się, że także nie spałeś.

Wydaje mi się, że parę minut po pierwszej miałeś jechać na lotnisko.

- Miałem rację, jesteś urodzonym szefem. Twój zmysł organizacyjny jest wprost niesamowity.

- Daleko mu do twojego. Po drodze wstąpimy do jubilera. Dzwoniłam tam już, czeka na ciebie prezent.

- W takim razie, chodźmy. Bardzo lubię prezenty.

W chwili kiedy Dawid wstał z krzesła, zadzwonił telefon. Spojrzał z lekkim zdziwieniem.

- Czy wiesz, że odkąd tu przyszedłem, zdarza się to po raz pierwszy.
- Możliwe, że to do mnie. Powiedziałam sekretarce, że będę tutaj... i zdaje się, że to był błąd.
- Halo? - powiedział Dawid do słuchawki.
- Spaulding?

Nie miał żadnych trudności z rozpoznaniem głosu Stoltza. Tym razem było w nim słychać wyraźne napięcie.

- Czy to nie odrobinę nierozsądne dzwonić do mnie tutaj?
- Nie mam wyboru. Nasz wspólny przyjaciel jest w najwyższym stopniu zaniepokojony. Cała operacja stanęła pod znakiem zapytania.
- O czym pan mówi?
- To nie czas na żarty! Sytuacja jest nadzwyczaj poważna! To także nie czas na rebusy.
- O co panu chodzi, do diabła?
- Dzisiejsza noc, a właściwie rano, co się stało?
- Gdzie?
- Niech pan przestanie! Przecież pan tam był!
- Gdzie byłem?

Stoltz umilkł, Dawid słyszał jego przyśpieszony oddech. Niemiec był najwyraźniej ogarnięty paniką i ze wszystkich sił starał się opanować.

- Nasi ludzie zostali zabici. Musimy wiedzieć, co się wydarzyło.
- Zabici? Pan oszalał. Jak to się stało?
- Ostrzegam pana...
- Dostyc tego! Proszę nie zapominać, że to ja kupuję, nie pan! Nie mam najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w wasze wewnętrzne porachunki. Wasi ludzie odwieźli mnie do domu około wpół do drugiej w nocy i przy okazji spotkali przypadkiem tych, którzy pilnują mojego mieszkania. A skoro już przy tym jesteśmy, to chciałbym powiedzieć, że wcale mi się nie podoba ta całodobowa „opieka”!

Zgodnie z jego oczekiwaniami, Stoltza na moment aż zatkało.

- O czym panu mówi? - wykrztusił wreszcie. - Kto pilnuje?
- Proszę sobie ze mnie nie kpić. Doskonale pan wie, kto.
- Nic z tego nie rozumiem... - Niemiec próbował jakoś wziąć się w garść.
- To niedobrze - zauważył z lekkim przekąsem Spaulding.

Stoltz wreszcie podjął jakąś decyzję.

- Zadzwoń do pana później - rzucił z determinacją.
- Tylko nie tutaj. Zresztą, po południu raczej mnie pan nie zastanie. Będę na jednym z jachtów, na które tak majestatycznie spogląda nasz wspólny znajomy, w towarzystwie moich przyjaciół, którzy są prawie tak bogaci, jak on. Proszę łapać mnie po piątej w moim mieszkaniu.

Stoltz zaczął protestować, ale Dawid odłożył szybko słuchawkę. Jean wpatrywała się w niego zafascynowana.

- Znakomicie to rozegrałeś - powiedziała.
- Mam w tym więcej doświadczenia od niego.
- To tył Stoltz?
- Tak. Chodźmy do twojego biura.
- Wydawało mi się, że jedziemy na lunch.
- Owszem, ale za chwilę. Czy jest stąd jakieś inne wyjście?
- Nawet kilka. Tylna brama.
- Będę mógł skorzystać z któregoś z samochodów ambasady?
- Oczywiście.
- Czy pozwoliłabyś swojej sekretarce wyjść na nieco dłuższy lunch?
- Jesteś uroczy. Przez chwilę roiły mi się jakieś mrzonki, że wybierasz się ze mną.
- Oczywiście, że z tobą. Jak myślisz, czy ona mogłaby podwiązać sobie włosy i założyć kapelusz?
- Jasne. Jak każda kobieta.
- To dobrze. Daj jej ten żółty płaszcz, który miałaś wczoraj na sobie, i znajdź jakiegoś mężczyznę

mniej więcej mojego wzrostu. Najlepiej takiego, z którym twoja sekretarka chętnie poszłaby na lunch. Byłoby dobrze, gdyby miał ciemne spodnie. Dostanie moją marynarkę.

- Dawid, co ty chcesz zrobić?

- Nasi przyjaciele bardzo lubią płatać innym różne dowcipy. Zobaczymy, czy sami mają poczucie humoru.

Spaulding stał w oknie na drugim piętrze, ukryty za częściowo zaciągniętą zasłoną, i obserwował przez lornetkę główne wejście do budynku. Sekretarka Jean, ubrana w jej żółty płaszcz i w szerokim kapeluszu na głowie, zeszła szybkim krokiem po schodach. Za nią pojawił się jeden z asystentów Ballarda, wysoki mężczyzna w ciemnych spodniach i marynarce Dawida. Obydwoje mieli okulary przeciwsłoneczne. Sobowtór Spauldinga przystanął na chwilę, sprawdzając coś na trzymanej oburącz, rozłożonej mapie; wielka płachta papieru niemal całkowicie zasłaniała mu twarz. Wreszcie zwinął ją i wraz z dziewczyną wsiadł szybko do eleganckiej limuzyny dyplomatycznej z zasłonkami w oknach.

Dawid przesunął lornetkę na Avenida Corrientes, przy której znajdowała się ambasada. W chwili gdy limuzyna wyjechała przez bramę, ruszył za nią dwudrzwiowy Mercedes stojący po drugiej stronie ulicy, a wkrótce potem jeszcze jeden samochód zawrócił

raptownie i podążył za tamtymi dwoma.

Usatysfakcjonowany tym widokiem Dawid odłożył lornetkę i wyszedł z pokoju.

Poszedł korytarzem w lewo, mijając rzędy drzwi i kilka klatek schodowych, aż wreszcie znalazł się w pomieszczeniu w tylnej części budynku, usytuowanym analogicznie do tego, które przed chwilą opuścił. Przy oknie, w wygodnym fotelu siedział Bobby Ballard.

Usłyszawszy kroki Dawida odwrócił się z lornetką w dłoniach.

- I co? - zapytał Spaulding.

- Dwa - odparł szyfrant. - Po obydwu stronach ulicy. Przed chwilą odjechały.

- Tak samo jak od frontu. Porozumiewają się przez radio.

- Fachowcy, no nie?

- Nie tacy dobrzy, za jakich się uważają - odrzekł Spaulding.

Sportowy płaszcz Ballarda był nieco za luźny w pasie i miał za krótkie rękawy, ale dzięki temu każdy mógł od razu zauważyć nowy zegarek pyszniący się na przegubie Dawida.

Jean była bardzo zadowolona z tego powodu, uważała bowiem, że zrobiła dobry zakup.

Restauracja była bardzo mała, dosłownie wnęka w ścianie przy bocznej uliczce niedaleko San Martin. Skąpe markizy osłaniały od słońca kilka stolików stojących na zewnątrz; ten, przy którym usiedli, znajdował się we wnętrzu. Dawid zajął miejsce przodem do ulicy, dzięki czemu mógł cały czas obserwować przechodniów mijających lokal.

Teraz jednak patrzył nie na nich, lecz na Jean, i nagle powiedział coś, czego nawet nie zdążył pomyśleć:

- To już się niedługo skończy. Rezygnuję.

Ujęła go za dłoń, wpatrując mu się prosto w oczy. Przez dłuższą chwilę milczała, jakby chciała, żeby jej słowa zabrzmiały dzięki temu poważniej i bardziej wyraziście.

- Nie spodziewałam się tego usłyszeć, ale nie bardzo wiem, co to właściwie znaczy.

- To znaczy, że chcę być już zawsze tylko z tobą, aż do końca życia. Nie potrafię tego inaczej wyrazić.

Jean zamknęła na chwilę oczy.

- Wydaje mi się, że... że wyraziłeś to najpiękniej, jak tylko można.

Jak ma jej to powiedzieć? W jaki sposób może jej to wyjaśnić? Musi spróbować, bo to przecież tak bardzo, bardzo ważne!

- Niecały miesiąc temu - zaczął bardzo cicho - w Hiszpanii, przy ognisku, coś mi się przydarzyło. Okoliczności nie są ważne, ale to, co się stało, jest najgorszą rzeczą, jaką mogę sobie wyobrazić. Nie ma nic wspólnego ani z ryzykiem, które zawsze mi towarzyszy, ani ze strachem, choć on także jest zawsze ze mną, możesz mi wierzyć... Po prostu nagle stwierdziłem, że nic, ale to zupełnie nic nie czuję. Chwilę wcześniej doniesiono mi o wydarzeniu, które powinno mną wstrząsnąć; powinienem był się rozplakać albo wściec, cholernie wściec. A ja niczego nie czułem. Byłem jakby odrętwiały. Przyjąłem tę wiadomość i jeszcze obsztorcowałem człowieka, który mi ją przekazał, za to, że uczynił to zbyt późno...

Widzisz, on miał prawo przypuszczać, że zareaguję na tę wiadomość w jakiś gwałtowny sposób. - Przerwał na chwilę, by zacisnąć swoją dłoń na dłoni dziewczyny. - Chcę ci przez to powiedzieć, że dzięki tobie odzyskałem coś, o czym byłem przekonany, że to utraciłem.

Nigdy już nie odważę się jeszcze raz postawić tego na szali.

- Zaraz się rozplaczę - wyszeptała drżącymi wargami, usiłując ułożyć je w kształt uśmiechu. - Nie wiesz, że dziewczyny płaczą, kiedy mówi im się takie rzeczy? Będę cię musiała wiele nauczyć... O, mój Boże! Tyle lat... Tyle lat...

Dawid pochylił się ku niej; kiedy ich usta spotkały się, uwolnił delikatnie swoją dłoń i nieśmiało dotknął jej policzka. Na palcach poczuł wilgoć łez.

On także płakał. Nie tak, jak ona, bo tego nie potrafił, ale płakał.

- Będę z tobą - powiedziała.

Jej słowa przywołały go do rzeczywistości.

- Jeszcze nie teraz. Ale już niedługo... Będę potrzebował kilku tygodni, żeby wszystko pozatwierać, a ty musisz przekazać komuś swoje zajęcia w ambasadzie.

Spojrzała na niego pytająco, ale to, co powiedziała, wcale nie było pytaniem.

- Musisz dopilnować przekazania tych planów.

- Tak.

- Kiedy?

- Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za dzień lub dwa. W najgorszym wypadku za trzy.

- W takim razie czemu potrzeba ci aż kilku tygodni?

Zawahał się przez ułamek sekundy, ale niemal natychmiast zrozumiał, że chce powiedzieć jej prawdę. To był dla niego początek nauki. Prawda.

- Agentom wroga udało się przeniknąć do Fairfax...

- Ta nazwa była w twoim dossier - przerwała mu.

- Fairfax to ściśle tajna centrala wywiadu. Znajduje się w Wirginii. Zabito tam człowieka. Był moim przyjacielem. Celowo zataiłem informacje, które mogłyby doprowadzić do zlikwidowania „przecieków”, a być może także do ustalenia jego zabójców.

- Mój Boże, dlaczego?

- W pewnym sensie zostałem do tego zmuszony. Ludzie z Fairfax nie mieli odpowiednich pełnomocnictw, jedyny człowiek zaś, który je miał, okazał się całkowicie nieprzydatny, szczególnie w sytuacji takiej, jak ta. Nie ma nic wspólnego z wywiadem, to generał od zaopatrzenia. Po prostu kupuje różne rzeczy.

- Na przykład plany żyroskopów?

- Na przykład. Kiedy wrócę, zmuszę go, żeby mi wszystko wyjaśnił. - Dawid zamilkł

na chwilę, a kiedy się ponownie odezwał, mówił raczej do siebie, niż do Jean. - Właściwie to nie

obchodzi mnie, czy to zrobi, czy nie. Mam całą masę zaległego urlopu, z którego tydzień lub dwa spędzę w Fairfax. Przez cały czas jest tam niemiecki agent, który ma dostęp do najbardziej tajnych informacji i zabił porządnego człowieka.

- Boję się tego, co mówisz.

Dawid uśmiechnął się.

- Nie powinnaś. Możesz być pewna, że nie zaryzykuję utraty tych wspólnych lat, o których mówiliśmy. Będę działał z maksymalną ostrożnością. Nie obawiaj się.

Skinęła głową.

- Wierzę ci. Będę gotowa za jakieś trzy tygodnie. Jestem to winna Hendersonowi, bo dla niego to będzie naprawdę spory problem. Poza tym, muszę coś zrobić w sprawie Ellisa.

- Na razie zostaw go w spokoju. Nie wiemy o nim nic pewnego, a gdyby nawet okazało się, że rzeczywiście pracuje dla kogoś z zewnątrz, to może okazać się dla nas bardzo użyteczny. Nawróceni grzesznicy to prawdziwe skarby. Gdy ujawniamy jednego takiego, to nagle okazuje się, że to najzdrowszy człowiek w okolicy.

- Dawid, w jakim świecie ty żyjesz? - Jean zadała to pytanie z prawdziwą troską, bez odrobiny humoru.

- Najważniejsze, że dzięki tobie wyrwę się z tego świata. Natychmiast, jak tylko skończę w Fairfax.

Eugene Lyons siedział z tyłu, między Spauldingiem i jednym ze swoich pielęgniarzy o imieniu Hal. Drugi z nich, Johnny, zajmował miejsce obok kierowcy. Dawid podał po hiszpańsku kierunek jazdy i taksówka ruszyła spod budynku dworca lotniczego.

Spojrzał na Lyonsa, choć nie było to wcale łatwe ani przyjemne. Przyglądając się z bliska tej smutnej, mizernej twarzy, dostrzegało się od razu, że malujące się na niej udręczenie miało swe źródło nie w zewnętrznym świecie, lecz w duszy. Uczony wpatrywał

się przed siebie niewidzącym spojrzeniem; był wyczerpany długą podróżą, podejrzliwy wobec nowego otoczenia i rozdrażniony agresywnym pośpiechem, z jakim Spaulding wyprowadził ich z lotniska i zapakował do taksówki.

- Miło znowu pana widzieć - powiedział Dawid.

Lyons zamrugał. Spaulding nie był pewien, czy powinien uznać to za powitanie.

- Nie spodziewaliśmy się pana - odezwał się z przedniego siedzenia Johnny. -

Powiedziano nam, że sami ulokujemy profesora w kwaterze.

- Mamy wszystko zapisane - dodał Hal, wyjmując z kieszeni plik karteluszków. - O, proszę, adres, telefon do pana i do ambasady, portfel z argentyńskimi pieniędzmi...

„Argentyńskimi”, w ten sposób wymówił Hal przedostatnie słowo. Spaulding zastanawiał się, w jaki sposób zdołano go nauczyć wykonywania zastrzyków, kto czytał za niego napisy na fiolkach? Choć z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że szefem ich dwuosobowego zespołu był Johnny, mniej rozmowny i sprawiający wrażenie odrobinę bardziej rozgarniętego.

- Cóż, te rzeczy czasem się zmieniają... Miał pan przyjemną podróż, doktorze?

- Nie była zła - odparł Hal. - Tylko nad Kubą rzucało jak diabli.

- Najprawdopodobniej trafiliście na ciepłe masy powietrza, unoszące się znad rozgrzanego lądu - powiedział Dawid, obserwując kątem oka twarz Lyonsa. Tym razem dostrzegł reakcję: ukradkowe spojrzenie, w którym z całą pewnością migotały iskierki humoru.

- Właśnie - kiwnął głową Hal. - Dokładnie to powiedziała stewardesa.

Wąskie wargi Lyonsa wykrzywiły się jakby w uśmiechu.

Dawid miał już powiedzieć coś, co spointowałoby ten drobny przełom, kiedy we wstecznym lusterku, w które odruchowo co chwila spoglądał, dostrzegł niepokojący widok, a mianowicie wąską chłodnicę samochodu, który widział już wcześniej dwukrotnie: po raz pierwszy w chwili, kiedy ruszali spod budynku dworca, a potem w momencie, gdy włączali się do ruchu na szosie. Teraz pojawił się po raz trzeci i Spaulding przekręcił się lekko na siedzeniu, żeby spojrzeć przez tylną szybę taksówki. Lyons chyba wyczuł w jakiś sposób, że coś go niepokoi, przesunął się bowiem nieco, ułatwiając mu zadanie.

Samochód okazał się czarnym La Salle model 1937, z lekko zardzewiałą chłodnicą i obramowaniami reflektorów. Utrzymywał stałą odległość pięćdziesięciu do sześćdziesięciu jardów, ale kierowca, jakiś blondyn, nie dopuszczał do tego, żeby rozdzielił ich jakiś inny pojazd. Za każdym razem, kiedy się na to zanosilo, przyspieszał wyraźnie, uniemożliwiając intruzowi zjechanie na boczny pas. Świadczyło to o tym, że jest jeszcze bardzo niedoświadczony lub że po prostu nie zależy mu na zachowaniu dyskrecji. Zakładając, oczywiście, że w ogóle ich śledził.

Dawid powiedział kierowcy, oczywiście po hiszpańsku, że da mu pięć dolarów ponad wskazanie licznika, jeśli gwałtownie zawróci i przez kilka minut będzie jechał w przeciwnym kierunku od San Telmo. *Porteño*, w przeciwieństwie do kierowcy La Salle'a, nie miał w sobie nic z amatora; wystarczyło mu jedno spojrzenie w lusterko, żeby zorientować się, o co chodzi.

Skinął w milczeniu głową, po czym raptownie zahamował, wykonał ostry nawrót i popędził

na zachód, klucząc zygzakiem między jadącymi wolniej samochodami. Po pewnym czasie skręcił na południe, w drogę prowadzącą tuż nad brzegiem oceanu. Widok wody przypominał

Dawidowi o Ocho Calle.

Postanowił jak najprędzej ulokować Lyonsa w San Telmo i pojechać tam, by sprawdzić, o co właściwie chodzi z tym tajemniczym trawlerem.

La Salle zniknął.

- O, kurczę! - zawołał Hal. - Co to było, do diabła? - I zaraz odpowiedział na swoje własne pytanie:
- Ktoś nas śledził, prawda?

- W każdym razie, lepiej było nie ryzykować - odparł Dawid.

Lyons przyglądał mu się swymi pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu oczami.

- Czy to znaczy, że możemy mieć jakieś kłopoty? - zapytał z przedniego siedzenia Johnny. - Pan Kendall nic o tym nie wspominał. Mówił, że po prostu mamy dalej wykonywać swoją robotę.

- A przeszkadzałoby wam, gdyby tak było?

Johnny odwrócił się do tyłu. Sprawia wrażenie bardzo poważnego faceta, pomyślał

Dawid.

- To zależy - powiedział z namysłem. - Mamy za zadanie opiekować się profesorem i troszczyć się o niego. Chyba nie byłbym zadowolony, gdyby coś miało nam w tym przeszkodzić.

- Rozumiem. Co byście wtedy zrobili?

- Zabralibyśmy go stąd tak szybko, jak tylko możliwe.

- Doktor Lyons ma tutaj do wykonania bardzo ważne zadanie. Kendall z pewnością wam o tym powiedział.

Johnny spojrzał Spauldingowi prosto w oczy.

- Coś panu powiem: ta brudna świnia może iść i dać się wycyckać. Jeszcze w życiu nie widziałem tak wielkiej kupy gówna.

- Więc czemu nie zrezygnujecie?

- Nie pracujemy dla Kendalla - powiedział Johnny takim tonem, jakby sama myśl o tym napawała go obrzydzeniem. - Płaci nam Ośrodek Badawczy Meridian Aircraft. Ten sukinsyn nie pracuje nawet dla Meridiana. To jakiś wszawy urzędniczyna.

- Niech pan nas zrozumie, panie Spaulding - odezwał się Hal, jakby dystansując się od napastliwości swego partnera. - Musimy zrobić to, co jest najlepsze dla profesora. Po to tu jesteśmy.

- Doskonale to rozumiem. Jestem w stałym kontakcie z Meridian Aircraft i mogę was zapewnić, że nikt nie ma najmniejszego zamiaru skrzywdzić doktora Lyonsa - skłamał gładko Dawid. Nie mógł nikogo o niczym zapewnić, bo sam był daleki od jakiegokolwiek pewności.

Jedynym sposobem, żeby poradzić sobie z Johnnym i Halem, było wykorzystanie tej nowej przeszkody jako atutu. Kluczem będą jego rzekome kontakty z Ośrodkiem Badawczym Meridian Aircraft i dzielona z dwoma pielęgniarzami odraza do Waltera Kendalla.

Taksówka zwolniła i skręciła w jedną z cichych, spokojnych uliczek San Telmo, żeby po chwili zatrzymać się przed białym, piętrowym domem o blaszanym dachu pomalowanym na czerwono; Terraza Verde 15. Cały parter został wynajęty dla Eugene'a Lyonsa i jego dwóch „asystentów”.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Dawid, otwierając drzwi samochodu.

Lyons wysiadł za nim i stanął bez ruchu, podziwiając schludny, niewielki dom stojący przy spokojnej uliczce. Korony drzew były przystrzyżone w geometryczne kształty, a wszystko było doskonale utrzymane i zadbane. Było coś z pogody Starego Świata w tym otoczeniu. Dawid odniósł wrażenie, że ten szczupły, wyniszczony człowiek wreszcie znalazł

to, czego od dawna bezskutecznie szukał.

Chyba wiedział, co to było. Eugene Lyons szukał pięknego zakątka, w którym mógłby odpocząć. Już na zawsze.

Szukał dla siebie grobu.

Okazało się, że ma znacznie mniej czasu, niż na to liczył. Powiedział Stoltzowi, że od piątej będzie w swoim mieszkaniu, a tymczasem dochodziła już niemal czwarta.

Pierwsze łodzie wracały do portu. Powietrze przeszywał przeraźliwy świst gwizdków, o betonowe nabrzeże klaskały mokre cumy, a wszędzie wokół wisały sieci, schnące w ciepłych promieniach popołudniowego słońca.

Ocho Calle znajdowało się w Dársena Norte, na wschód od stoczni Retiro, w leżącej nieco na uboczu części La Boca. W brukowanej nawierzchni wciąż jeszcze tkwiły pordzewiałe, od dawna nie używane tory kolejowe, prowadzące do ramp niszczyjących z wolna magazynów. Ocho Calle z całą pewnością nie stanowiło ruchliwego centrum przeładunkowego i magazynowego; dostęp do otwartego morza był stąd znacznie łatwiejszy, niż z miejsc położonych nieco dalej w górze La Platy, ale urządzenia i całe wyposażenie miały już dawno za sobą lata świetności. Wyglądało na to, jakby zarząd portu nie mógł się zdecydować, czy odsprzedać komuś ten teren, czy może raczej zacząć gruntowną modernizację. Rezultatem tego braku zdecydowania był bałagan rzucający się od razu w oczy.

Spaulding miał na sobie tylko koszulę; letni płaszcz Ballarda pozostawił w domu przy Terraza Verde. Na ramieniu dźwigał wielką, używaną sieć, którą kupił na jakimś straganie.

Co prawda potwornie cuchnęła gnijącymi wodorostami i nieświeżymi rybami, ale spełniała swoje zadanie; miał częściowo schowaną twarz i mógł się swobodnie poruszać, nie różniąc się od otoczenia. Gdyby kiedykolwiek, nie daj Boże, miał szkolić rekrutów w Fairfax, największy nacisk kładłby właśnie na ten czynnik: komfort psychiczny. Miał on ogromne znaczenie i jego obecność odczuwało się równie wyraźnie, jak i brak, zastępowany natychmiast uczuciem wynikającej z niewygodności sztuczności.

Szedł przed siebie popękanym chodnikiem, aż wreszcie minął ostatni budynek i znalazł

się

przed

opuszczonymi,

zarosłymi

wysokim

zielskiem

placykami,

wykorzystywanymi niegdyś do składowania pod gołym niebem towarów, nie wymagających

specjalnej ochrony. Po lewej, od strony wody, stały dwa magazyny, oddzielone od siebie niewielkim, ogrodzonym terenem. W przerwie między budynkami było widać śródokręcie trawlera przycumowanego do przystani. Najbliższe nabrzeże znajdowało się w odległości co najmniej ćwierć mili, po drugiej stronie kanału. Nie ulegało wątpliwości, że Ocho Calle rzeczywiście stanowiło bardzo ustronne miejsce.

Dawid zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Znajdował się na miniaturowym półwyspie, którego jedyną zabudowę stanowiły dwa magazyny wznoszące się po lewej stronie. Oprócz pustych składowisk i pali sterczących z ziemi, powstrzymujących grunt przed osunięciem się do wody, nie było tu absolutnie nic.

Najdalszy zakątek Ocho Calle był nie tylko ustronny, ale wręcz odizolowany od reszty świata.

Przełożył sieć na drugie ramię i zawrócił, jakby przypomniał sobie, że ma coś do załatwienia w którymś z chylących się ku upadkowi domów. Z jednego z nich wyszli właśnie dwaj rybacy, a jakaś kobieta otworzyła okno na piętrze i krzyknęła za nimi, pytając, o której wrócą. Na spróchniałym, drewnianym pomoście przed obskurną tawerną siedział starzec o ciemnej skórze i indiańskich rysach twarzy. Przez brudne szyby można było dostrzec kilku mężczyzn pijących wino prosto z butelki. Z sąsiedniego okna wychyliła się podstarzała dziwka; na widok Spauldinga rozpięła szybko bluzkę, wydobyla obfitą, zwisającą pierś i zaczęła ją uciskać, celując sutką w Dawida.

W Ocho Calle kończył się pewien świat.

Dawid pozdrowił obojętnie starego Indianina i wszedł do tawerny. Smród, jaki niespodziewanie uderzył w jego nozdrza, stanowił mieszaninę zapachu starego moczu i zgnilizny. W środku znajdowali się trzej mężczyźni, wszyscy bardziej pijani niż trzeźwi i bliżsi siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki.

Człowiek, stojący za barem zbitym z surowych desek, był tak zdumiony widokiem nowego klienta, że nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Ku zdumieniu wszystkich obecnych Dawid wyjął z kieszeni banknot i zapytał po hiszpańsku:

- Macie kałamarnice?

- Nie... Nie ma... Bardzo mało dostarczają - odparł właściciel, nie odrywając spojrzenia od banknotu.

- A co jest?

- Robaki, psie mięso, trochę kotów. Koty są bardzo dobre.

- Daj mi kawałek.

Mężczyzna w pośpiechu chwycił ochłap nieświeżego mięsa, zawinął go w brudną gazetę i położył na ladzie, tuż obok banknotu.

- Nie mam jak wydać reszty, señor...

- Nie szkodzi - skinął głową Spaulding. - To ścierwo też możesz sobie zatrzymać.

Właściciel uśmiechnął się niepewnie.

- Señor?...

- Pieniądze są twoje, rozumiesz? A teraz powiedz mi, kto tam pracuje? - Dawid wskazał za siebie, na wymazane okno, przez które niewiele było widać. - W tych dużych magazynach.

- Prawie nikt. Kilku ludzi czasami przychodzi i odchodzi... Nieraz przybije jakaś łódź...

- Byłeś tam?

- O tak. Trzy albo cztery lata temu. Pracowałem. Wtedy to był wielki interes. Wszyscy pracowaliśmy.
- Pozostali skinęli potakująco głowami.

- Teraz już nie?

- Nie, nie... Wszystko pozamykane. Koniec. Teraz nikt tam nie wchodzi. Właściciel to bardzo zły człowiek. Strażnicy biją.

- Strażnicy?

- Tak. Z karabinami. Bardzo, bardzo źli.

- Czy przyjeżdżają tam jakieś samochody?

- Tak, od czasu do czasu. Jeden, dwa... Nie chcą dać nam pracy.

- Dziękuję. Weź te pieniądze.

Dawid podszedł do zarośniętego brudem okna, wytarł niewielki fragment szyby i spojrzał w kierunku magazynów. Wydawały się zupełnie opuszczone, jeśli nie liczyć kilku ludzi kręcących się po nabrzeżu. Kierowany jakimś niejasnym przeczuciem przyjrzał się im dokładniej.

Z początku nie był pewien; szyba, chociaż przetarta od wewnątrz, z drugiej strony wciąż jeszcze była pokryta grubą warstwą brudu, a ludzie poruszali się bez przerwy, co chwila wychodząc poza zasięg obserwacji.

Potem wątpliwości zniknęły, natomiast pojawił się gniew.

Uwijające się po nabrzeżu postaci miały na sobie takie same, paramilitarne stroje jak strażnicy, którzy pilnowali wjazdu do rezydencji Rhinemanna.

Wniosek mógł być tylko jeden: to także byli jego ludzie.

Telefon zadzwonił punktualnie o wpół do szóstej. Głos, który odezwał się z drugiej strony, nie należał do Stoltza i w związku z tym Dawid odmówił zastosowania się do podanych instrukcji. Odłożył słuchawkę; po niespełna dwóch minutach dzwonek odezwał się ponownie.

- Chyba pan przesadza - powiedział Erich Rhinemann. - To raczej my powinniśmy być ostrożni, nie pan.

- Pańska uwaga nie ma żadnego sensu. Nie mam zamiaru podporządkowywać się poleceniom kogoś, kogo nie znam. Co prawda nie należę do zwolenników żelaznej dyscypliny, ale uważam, że tego rodzaju swoboda jest nieco zbyt daleko posunięta.

Rhinemann zamilkł. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był szorstki i oschły.

- Co wydarzyło się ostatniej nocy?

- Powiedziałem już Stoltzowi, co mnie się wydarzyło. O niczym innym nie mam najmniejszego pojęcia.

- Nie wierzę panu. - Oprócz oschłości pojawił się także z trudem tłumiony gniew.

- Przykro mi, choć, szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

- Żaden z tych ludzi nie opuściłby posterunku przy pańskim domu!

- A jednak to zrobili, daję panu moje słowo... Mówiłem już, że nie pozwolę się wciągnąć w wasze wewnętrzne rozgrywki.

- A skąd pan wie, że już pan nie jest wciągnięty?

Spaulding musiał przyznać, że było to jak najbardziej logiczne pytanie.

- Ponieważ jestem tutaj, w moim mieszkaniu, i rozmawiam z panem przez telefon. Z

tego, co mi powiedział Stoltz, wynika, że wszyscy inni nie żyją; ja zamierzam uniknąć tego losu tak długo, jak tylko możliwe. Mam za zadanie kupić od pana pewne dokumenty.

Proponuję, żebyśmy się na tym skoncentrowali.

- Wrócimy jeszcze do tamtego wieczoru.

- Być może, ale na pewno nie teraz. Zdaje się, że mamy przeprowadzić jakąś transakcję.

- Więc proszę zrobić to, co panu powiedziano: pójdzie pan do Casa Rosada na Plaza de Mayo. Gdyby wziął pan taksówkę, proszę wysiąść na Julio i resztę drogi przejść na piechotę.

- Przypuszczam, że pańscy ludzie przejmą mnie w chwili, kiedy wyjdę z domu?

- Tak, ale bardzo dyskretnie. Chcemy mieć pewność, że nie jest pan śledzony.

- W takim razie przespaceruję się. Będzie im wtedy dużo łatwiej.

- Bardzo rozsądnie. Przy Rosada będzie na pana czekał samochód. Ten sam, który przywiózł pana do mnie wczoraj.

- Pan także tam będzie? - zapytał Dawid.

- Oczywiście, że nie. Ale zobaczymy się wkrótce potem.

- Czy będę mógł od razu zawieźć plany do San Telmo?

- Tak, jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

- W takim razie wychodzę za pięć minut. Mam nadzieję, że pańscy ludzie będą gotowi.

- Oni już są gotowi - odparł Rhinemann i odłożył słuchawkę.

Dawid schował swoją Berettę do kabury przypasanej do piersi, założył marynarkę i wszedł do łazienki, gdzie chwycił pierwszy z brzegu ręcznik, żeby wytrzeć z butów kurz, który nagromadził się na nich w Aeroparque i w La Boca. Następnie przyczesał włosy i przypudrował talkiem świeże blizny na twarzy.

Nie mógł nie zauważyć swoich podkrążonych i zapuchniętych oczu; potrzebował snu, ale wiedział, że musi z tym poczekać, przede wszystkim ze względu na swoje bezpieczeństwo.

Ciekawe, jak długo, pomyślał.

Potem usiadł na chwilę przy telefonie. Przed wyjściem musiał jeszcze przeprowadzić dwie rozmowy.

Najpierw Jean. Powie jej, żeby została w ambasadzie, bo być może będzie próbował

się z nią skontaktować, jeśli nie teraz, to na pewno zaraz po powrocie ze spotkania. Będzie z Lyonsem na Terraza Verde. I bardzo ją kocha.

Potem Henderson Granville.

- Obiecałem panu, sir, że nie będę mieszał do swoich spraw ani ambasady, ani pana osobiście. Jeśli teraz czynię inaczej, to tylko dlatego, że jeden z pańskich podwładnych niewłaściwie potraktował raport wywiadu morskiego. Niestety, to dotyczy także mnie osobiście.

- Co to znaczy „niewłaściwie”? To poważny zarzut, jeśli nie wręcz oskarżenie.

- Zgadza się, sir. Właśnie z tego powodu wydaje mi się niezwykle ważne, żeby nie podnosić alarmu i zachować całkowity spokój.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał lodowatym tonem Granville.

- Attaché William Ellis. Proszę nie podejmować żadnych działań, sir. - Spaulding mówił szybko, wyraźnie akcentując każde słowo. - Może dla kogoś pracuje, a może nie. Tak czy inaczej, nie wolno nam wzbudzać jego czujności.

- Rozumiem... W takim razie, czemu mi pan o tym w ogóle powiedział, jeżeli chce pan, żebym nic nie robił?

- Tylko przeciwko Ellisowi, sir. Będziemy natomiast potrzebować potwierdzenia tego raportu. - Dawid opisał dokładnie magazyny w Ocho Calle i trawler stojący przy nabrzeżu.

- Tak, już pamiętam - przerwał mu Granville. - W dokumentach miał podany port przeznaczenia... Zaraz, niech sobie przypomnę...

- Tortugas - odpowiedział Spaulding.

- Właśnie. Przekroczenie wód przybrzeżnych. Oczywiście, najzwyczajszą pomyłką, bo żaden statek tej wielkości nie zaryzykowałby takiej podróży. Chodziło o Torugos, mały port w północnym Urugwaju.

Dawid zastanowił się przez chwilę. Jean nic nie wspomniała o tej drugiej, podobnej nazwie.

- Możliwe, sir, ale mimo wszystko byłoby dobrze wiedzieć, jaki to jest ładunek.

- Był podany w liście przewozowym. Zdaje się, że jakieś maszyny rolnicze.

- Nie wydaje mi się, żeby to była prawda.

- Cóż, nie mamy prawa wejść tak po prostu na pokład i...

- Panie ambasadorze - przerwał mu delikatnie Dawid - czy mamy w juncie kogoś, komu możemy całkowicie, ale tak naprawdę całkowicie zaufać?

Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili i była bardzo ostrożna, Spaulding doskonale wiedział dlaczego.

- Owszem, jest taka osoba. Może dwie.

- Nie pytam o ich nazwiska, sir, ale jestem zmuszony pana poprosić o to, żeby zwrócił

się pan do nich o pomoc, oczywiście z zachowaniem najwyższych środków ostrożności. Te magazyny są strzeżone przez ludzi Ericha Rhinemanna.

- Rhinemann? - Ton głosu ambasadora świadczył o jego najwyższym obrzydzeniu. To dobrze, pomyślał Dawid.

- Mam powody, aby przypuszczać, że usiłuje wycofać się z negocjacji lub dokonać przy okazji jakiegoś przemytu. Musimy wiedzieć, co znajduje się na pokładzie tego trawlera.

- Było to wszystko, co Spaulding mógł przedstawić; ogólnikowe podejrzenia, nie poparte żadnymi dowodami. Ale przecież nie ulegało żadnej wątpliwości, że ludzie zabijali i byli gotowi sami zginąć za „Tortugas”. Może to stanowiło wystarczające uzasadnienie? Dla niego osobiście powodem było już choćby to, że ta nazwa bez jego wiedzy znalazła się w dokumentach dotyczących jego osoby.

- Zrobię wszystko, co będę mógł, ale niczego nie mogę obiecać

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir. I bardzo dziękuję.

Avenida de Mayo była niemal całkowicie zakorkowana, ale to, co się działo na Plaza, przechodziło ludzkie pojęcie. Po drugiej stronie placu wzniesione z różowego kamienia mury Casa Rosada promieniowały odbitym, pomarańczowym blaskiem zachodzącego słońca.

Bardzo stosowny widok, jak na miasto rządzone przez żołnierzy, pomyślał Dawid.

Zatrzymał się przy fontannie, myśląc o wczorajszym dniu i spotkaniu z Leslie Jenner Hawkwood. Gdzie jest teraz? Na pewno nadal w Buenos Aires, ale gdzie? A przede wszystkim dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie mogło stanowić słowo „Tortugas” i ładunek trawlera przycumowanego do nabrzeża w Ocho Calle.

Okrzyżył dwukrotnie fontannę, a potem zawrócił, sprawdzając siebie i ludzi Rhinemanna. Czy nadal go obserwują? Siedzą w samochodzie, czy może spacerują, tak jak on?

Jednego zidentyfikował niemal natychmiast; nie było to zresztą nic trudnego, mężczyzna ów bowiem, zaskoczony jego nagłym odwróceniem się, usiadł raptownie na obramowaniu fontanny, mocząc sobie przy tym w wodzie cały dół marynarki.

Dawid ruszył przed siebie chodnikiem - tym samym, na którym poprzedniego dnia śledził Leslie Hawkwood - i zatrzymał się na pierwszej wysepce, czekając na zmianę świateł.

Kiedy zaświeciło się zielone, nie poszedł jednak dalej, tylko zawrócił i przysiadł na krawędzi fontanny.

Po chwili na horyzoncie pojawił się człowiek w mokrej marynarce. Rozglądał się nerwowo dookoła, aż wreszcie zauważył Spauldinga.

Dawid pomachał mu ręką.

Mężczyzna odwrócił się i pognał na drugą stronę ulicy.

Spaulding ruszył za nim, ledwie zdążając na zielone światło. Mężczyzna biegł nie odwracając się za siebie, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej dotrzeć do kogoś lub czegoś.

Przy Casa Rosada skręcił w lewo, a Dawid za nim, trzymając się bezpiecznej odległości.

Po chwili nieznajomy zwolnił, ku niemałemu zdziwieniu Spauldinga, a następnie zatrzymał się i wszedł do budki telefonicznej.

Jego amatorstwo i brak doświadczenia były wręcz zdumiewające. Świadczyło to o tym, że ludzie Rhinemanna nie są aż tak dobrzy, za jakich się uważają.

W nieustającej kakofonii klaksonów rozległ się donośny, przeciągły sygnał, który najpierw nieco przygłuszył inne, a zaraz potem spowodował ich jeszcze bardziej wściekłe trąbienie. Dawid odwrócił się szybko, ale okazało się, że to tylko jakiś nerwowy motocyklista stracił wreszcie cierpliwość. Po chwili, gdy kolumna pojazdów ruszyła na zielonym świetle, zgiełk wrócił do swego poprzedniego natężenia.

W ułamek sekundy później rozległ się przeraźliwy, kobiecy wrzask. Potem jeszcze jeden.

Wokół budki zaczął się gromadzić szybko gęstniejący tłum.

Dawid rzucił się naprzód, roztrącając wspinających się na palce ludzi.

Człowiek w mokrej marynarce leżał na podłodze budki, skulony w nienaturalnej pozycji, z dłońmi wyciągniętymi ku górze; w jednej wciąż jeszcze ścisnął słuchawkę. Głowa zwisała mu bezwładnie do przodu, a z rany w tyle głowy powolnym, coraz mniejszym strumieniem sączyła się krew. W szklanej ścianie budki od strony ulicy widniały trzy otwory otoczone siateczką pęknięć.

Powietrze przeciął ostry świergot policyjnych gwizdków i Dawid szybko przepchnął

się przez tłum. Dotarłszy do żelaznego płotu, otaczającego Casa Rosada, skręcił w lewo i szybkim krokiem skierował się do południowej bramy.

Stał tam już zielony Packard z silnikiem pracującym cały czas na wolnych obrotach.

W chwili, gdy Dawid znalazł się w odległości kilku jardów, wyszedł mu naprzeciw mężczyzna mniej więcej jego wzrostu.

- Pułkownik Spaulding?

- Tak.

- Zapraszam do środka. - Mówiąc to otworzył drzwi samochodu i Dawid szybko zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

Powitał go Heinrich Stoltz.

- Odbił pan dość długi spacer. Przypuszczam, że mała przejażdżka nie sprawi panu zbyt wielkiej przykrości.

- Kto wie. - Spaulding wskazał ruchem głowy radiostację zainstalowaną pod deską rozdzielczą. - Może pan się połączyć z Rhinemannem?

- Jesteśmy w stałym kontakcie. Dlaczego pan pyta?

- Więc niech go pan poinformuje, że właśnie zabito waszego człowieka.

- Naszego człowieka?

- Tak, tego, który mnie śledził. Został zastrzelony w budce telefonicznej.

- To nie był nasz człowiek, pułkownik - odparł chłodno Stoltz. - To my go zabiliśmy.

- Co takiego?

- To był płatny morderca z Rio de Janeiro. Pan stanowił jego cel.

Wyjaśnienia, jakie przedstawił Stoltz, były zwięzłe i krótkie: morderca został

zidentyfikowany wkrótce potem, jak Spaulding opuścił swoje mieszkanie. Był Korsykaninem, deportowanym z Marsylii krótko przed wojną, rzezimieszkim z Unio Corso, który miał tylko tego pecha, że wykonując rozkazy *contrabandistes*, zabił na południu Francji o jednego prefekta za dużo.

- Nie mogliśmy ryzykować, bo przecież tylko pan zna szyfr i hasło. Przyzna pan, że broń z tłumikiem potrafi dokonać prawdziwych cudów na ruchliwej ulicy.

- Mam wrażenie, że nie chciał mnie zabić - powiedział Dawid. - Chyba się trochę pośpieszyliście.

- Widocznie czekał, aż się pan z nami spotka. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogliśmy do tego dopuścić. Chyba się pan ze mną zgodzi?

- Nie. Sam dałbym sobie z nim radę. - Dawid usiadł głębiej i ze złością potarł dłonią czoło. - Mógłbym czegoś się od niego dowiedzieć, a tak...

Stoltz spojrzał na niego i zapytał ostrożnie:

- Myśli pan, że to znowu...

- A pan nie? W dalszym ciągu twierdzi pan, że w Buenos Aires nie ma Gestapo?

- To niemożliwe! - wysyczał Niemiec przez zaciśnięte zęby.

- To samo powiedział i nasz wspólny przyjaciel o wydarzeniach z ostatniej nocy. To nie moja sprawa, ale zdaje się, że wasi ludzie nie żyją. Nadal podtrzymuje pan swoje zdanie?

- Gestapo nie ma z tym nic wspólnego! Sprawdziliśmy u samego źródła!

- Rhinemann jest Żydem, prawda? - Dawid obserwował uważnie Stoltza, oczekując jego reakcji na to niespodziewane pytanie.

Niemiec zerknął na niego. Spaulding odniósł wrażenie, że z lekkim zakłopotaniem.

- On sam nie wyznaje żadnej religii, ale jego matka była Żydówką... To w gruncie rzeczy nie ma żadnego znaczenia. Teorie rasowe Hitlera i Rosenberga mają wielu przeciwników, a w ogóle to nadano im zbyt wiele rozgłosu. W rzeczywistości chodziło przede wszystkim o problem ekonomiczny - kontrolę nad systemem bankowym, rozbięcie hierarchii finansowej... To niezbyt przyjemny temat.

Dawid miał już coś odpowiedzieć na te wymijające frazesy, ale powstrzymała go pewna myśl: dlaczego Stoltz zadawał sobie trud, żeby przedstawić jakiegokolwiek usprawiedliwienie, wiedząc doskonale, że będzie ono pozbawione choćby podstaw logiki?

Dlatego, że nie służył Trzeciej Rzeszy, tylko Erichowi Rhinemannowi.

Spaulding w milczeniu spoglądał przez okno. Szczerze mówiąc, był porządnie zdezorientowany, ale nie widział powodu, żeby dać to komukolwiek poznać.

- To niezwykle pytanie - podjął Stoltz. - Dlaczego pan je zadał?

- Doszły do mnie jakieś plotki... w ambasadzie. - Tak się przypadkiem składa, że to szczerą prawdą, pomyślał Dawid. - Zdaje się, że gmina żydowska w Buenos Aires nie darzy Rhinemanna zbyt serdecznymi uczuciami?

- Trudno powiedzieć. Żydzi są wszędzie tacy sami - trzymają się w swoim gronie, nie mają wiele wspólnego ze światem zewnętrznym. Tutaj trudno mówić o jakimś wydzielonym getcie, ale coś w tym rodzaju na pewno istnieje. Nie wiem, skąd miałyby się wziąć konflikty z Rhinemannem, bo praktycznie rzecz biorąc nie utrzymują z nim żadnego kontaktu.

- W takim razie możemy skreślić tę hipotezę - zauważył Spaulding.

- Ale jest inna: pańscy rodacy.

Dawid odwrócił się w stronę Niemca.

- To coś ciekawego. Jak pan do tego doszedł?

- Plany żyroskopów kupuje jedna z pięciu lub sześciu wielkich firm, rywalizujących między sobą o zamówienia waszego nie zaspokojonego rządu. Jeśli je zdobędzie, zyska atut niemożliwy do przebicia, bo wszystkie inne systemy nawigacyjne będzie wtedy można wyrzucić do kosza.

- Pan mówi serio?

- Jak najbardziej. Długo rozważaliśmy tę hipotezę i doszliśmy do wniosku, że jest najbardziej logiczna ze wszystkich. - Stoltz odwrócił spojrzenie od twarzy Spauldinga i skierował je prosto przed siebie. - Nie ma innego wyjaśnienia. Ci, którzy usiłują nas powstrzymać, są Amerykanami.

Powód, dla którego zielony Packard kluczył ulicami Buenos Aires, był dla Dawida zupełnie jasny: należało dokładnie sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Co jakiś czas kierowca uruchamiał radiostację i recytował do mikrofonu długi szereg cyfr, by po otrzymaniu odpowiedzi z trzeszczącego głośnika wykonać kolejny, pozornie bezcelowy skręt.

Kilka razy mijali się z innymi samochodami, stanowiącymi ich bezpośrednią ochronę; Dawid doliczył się w sumie co najmniej pięciu pojazdów. Po trzech kwadransach nie ulegało już wątpliwości, że droga do San Telmo była wolna.

- Wszystko w porządku - powiedział kierowca do Stoltza. - Reszta wraca na pozycje.

- Jedziemy - rzucił krótko Stoltz.

Packard skręcił na północny zachód i wyraźnie przyśpieszając ruszył w kierunku San Telmo. Spaulding zdawał sobie sprawę, że za nimi jadą co najmniej trzy samochody, a z przodu dwa. Rhinemann uformował własną kolumnę transportową, co oznaczało, że plany żyroskopów znajdują się w którymś z tych pojazdów.

- Ma pan przy sobie towar? - zapytał Stoltza.

- Część - odparł attaché, nachylając się do przodu i otwierając skrytkę w oparciu fotela kierowcy. Wewnątrz znajdowało się płaskie, metalowe pudełko, przypominające nieco pojemniki, w jakich biblioteki w obawie przed pożarem przechowują swoje najcenniejsze manuskrypty. Niemiec położył pudełko na kolanach i zamknął skrytkę. - Za kilka minut będziemy na miejscu - oświadczył.

Packard zatrzymał się przy krawężniku przed białym domkiem; Dawid sięgnął do klamki, ale Stoltz dotknął jego ramienia i potrząsnął głową. Spaulding cofnął rękę.

Z jednego z towarzyszących im samochodów, który zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt jardów z przodu, wysiedli dwaj mężczyźni i skierowali się w ich stronę. Jeden z nich niósł

płaski, metalowy pojemnik, a drugi podłużną, skórzaną walizeczkę - radio.

Dawid nie musiał się oglądać, żeby sprawdzić, co dzieje się za nimi, ale uczynił to, by potwierdzić słuszność swoich domysłów. Ze stojącego w odległości kilkunastu jardów samochodu wysiedli dwaj inni mężczyźni z identycznymi pakunkami w dłoniach.

Wszyscy czterej spotkali się u drzwi Packarda. Stoltz skinął głową i Spaulding wysiadł, dołączając do małej grupki. Miał już ruszyć krótką ścieżką prowadzącą do drzwi, kiedy Niemiec opuścił szybę.

- Proszę zaczekać - powiedział. - Nasi ludzie jeszcze nie zajęli pozycji. Dadzą nam znać, kiedy będzie można.

W chwilę potem ponownie zatrzeszczało radio zainstalowane w samochodzie; kierowca wziął do

ręki mikrofon i powtórzył nadaną sekwencję cyfr.

Heinrich Stoltz wysiadł z wozu i wszyscy weszli do budynku.

Wewnątrz dwaj ludzie Rhinemanna zostali w hallu, dwaj inni zaś przeszli do kuchni, gdzie zajęli pozycje przy tylnych drzwiach, wychodzących na niewielki ogródek. Stoltz i Spaulding skierowali się prosto do salonu, gdzie przy dużym stole siedział Eugene Lyons.

Stół był pusty, jeśli nie liczyć dwóch notatników i kilku ołówków.

Zgodnie z wcześniejszymi poleceniami Spauldinga, Johnny i Hal stali w przeciwległych kątach pokoju, bez marynarek, dzięki czemu od razu rzucały się w oczy kabury z bronią umocowane pod ich pachami.

Wcześniej Stoltz wziął metalowe pudełko od jednego z członków swojej obstawy i wskazał ruchem głowy, żeby Dawid uczynił to samo z drugim. Teraz położyli wszystkie trzy pojemniki na stole i Niemiec otworzył jeden po drugim. Lyons nie uczynił najmniejszego wysiłku, żeby powitać swoich gości, czy też raczej intruzów, Stoltz zaś ograniczył się do ledwie zauważalnego skinienia głową. Było oczywiste, że Kendall opisał mu ułomności naukowca i niemiecki dyplomata dopasował do tego swoje zachowanie.

Teraz odezwał się do siedzącego bez ruchu Lyonsa:

- Plany są ułożone kolejno, poczynając od pańskiej lewej strony. Do każdego schematu jest dołączony dwujęzyczny klucz, a wszystkie opisy zostały dokładnie przetłumaczone przy użyciu angielskiego słownictwa fachowego lub symboli międzynarodowych. Niedaleko od nas znajduje się aerofizyk pracujący do niedawna w Peenemünde; w każdej chwili może pan się z nim skontaktować przez radio. Wreszcie, jest chyba oczywiste, że nie możemy pozwolić na wykonywanie żadnych zdjęć ani kopii.

Lyons napisał coś w notatniku, po czym wydarł kartkę i wręczył ją Spauldingowi.

„Ile mam czasu? Czy to całość planów?”

Dawid przekazał kartkę Stoltzowi, który zerknął na nią i odpowiedział:

- Tyle, ile panu potrzeba, *Herr Doktor*... Jest jeszcze jeden pojemnik. Otrzyma go pan jutro.

- Najpóźniej w ciągu dwudziestu czterech godzin - wtrącił się Spaulding. - Stanowczo tego żądam.

- Jeśli tylko otrzymamy wiadomość, że przesyłka z szyfrem i hasłem dotarła bezpiecznie do Waszyngtonu.

- Ta wiadomość powinna już być w ambasadzie. - Dawid zerknął na zegarek. - Tak, jestem tego pewien.

- Wierzę panu - powiedział Stoltz. - Zresztą, kłamstwo nie miałoby najmniejszego sensu. I tak nie

opuści pan Argentyny, dopóki my nie otrzymamy potwierdzenia ze Szwajcarii.

Dawid nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego, ale odniósł wrażenie, jakby w głosie Stoltza pojawiła się niepewność, czy może nawet wahanie. Może Niemiec po prostu nie był aż tak twardym graczem, za jakiego chciał uchodzić?

- Sprawdź to, kiedy stąd wyjdziemy. Aha, po skontrolowaniu przez doktora Lyonsa plany powinny zostać tutaj, pod jego opieką.

- Spodziewaliśmy się tego żądania. Wy, Amerykanie, jesteście tacy nieufni... Zgoda, ale zostaną też dwaj nasi ludzie. Reszta będzie na zewnątrz.

- Nie szkoda ich panu? Przecież otrzymaliśmy dopiero trzy czwarte towaru.

- To dokładnie o trzy czwarte więcej, niż mieliście do tej pory - odparł Niemiec.

Następne dwie i pół godziny były wypełnione skrzypieniem ołówków, sporadycznym skrzeczeniem nadajników w hallu i kuchni, po którym następowało monotonne recytowanie szeregu cyfr, odgłosem kroków przechadzającego się Stoltza, który nie spuszczał ani na chwilę oczu z coraz bardziej wyczerpanego Lyonsa, aby mieć pewność, że ten nie ukryje części notatek, a także rozdzierającym ziewaniem Hala i nieprzyjaznym, nerwowym pochrząkiwaniem Johnny'ego.

O dziesiątej trzydzieści pięć Lyons wstał z krzesła, zebrał swoje notatki w jeden stos i podał Spauldingowi kartkę z nagryzłymi dwoma zdaniami:

„Jak na razie, autentyczne. Nie mam żadnych pytań”.

Dawid przekazał notatkę czekającemu niecierpliwie Stoltzowi. Niemiec przeczytał ją i skinął głową.

- Znakomicie. A teraz, panie pułkowniku, proszę wyjaśnić opiekunom doktora, że będziemy zmuszeni odebrać im ich broń. Zostanie im później zwrócona, rzecz jasna.

- W porządku, połóżcie pistolety na stole - powiedział Dawid do Johnny'ego.

- Niby dla kogo to ma być w porządku? - zapytał oparty niedbale o ścianę pielęgniarz, nie czyniąc nawet najmniejszego ruchu.

- Dla mnie - odparł krótko Spaulding. - Nic się nie stanie.

- Przecież te fiuty to faszyci! Co pan, masz nas za idiotów?

- To nie faszyci, tylko Niemcy.

- Pieprzenie! - Johnny oderwał się od ściany i wyprostował się na całą swoją wysokość. - Nie podoba mi się, jak gadają.

- Posłuchaj. - Dawid zbliżył się do niego. - Wielu ludzi z najróżniejszych powodów ryzykowało życiem, żeby doprowadzić do tego spotkania. Może to ci się nie podobać, podobnie jak mnie, ale nie wolno ci teraz wszystkiego przekreślić. Zrób, o co cię proszę.

Johnny spojrział na niego z gniewem.

- Boże, mam nadzieję, że pan wie, co robi.

Obaj pielęgniarze położyli broń na stole.

- Dziękuję panom - powiedział Stoltz i wyszedł do hallu, gdzie przez chwilę rozmawiał cicho po niemiecku z ludźmi z ochrony. Po chwili jeden z nich poszedł szybkim krokiem do kuchni, natomiast drugi wziął ze stołu dwa pistolety, wsadził je sobie za pasek i bez słowa wrócił na swoje poprzednie stanowisko przy wejściu.

Spaulding i Stoltz zbliżyli się do stołu. Lyons schował tymczasem plany do trzech dużych, brązowych kopert.

- Wolę nie myśleć, jakie pieniądze dostanie za to nasz wspólny przyjaciel - zauważył

Dawid.

- Nie płacilibyście tyle, gdyby to nie było tego warte.

- Chyba ma pan rację... Teraz można już je schować do jednego pojemnika, razem z notatkami. - Spojrzął na Lyonsa, który stał bez ruchu po drugiej stronie stołu. - Zgadza się pan, doktorze?

Lyons z na wpół przymkniętymi oczami i jeszcze bledszą niż zazwyczaj twarzą skinął lekko głową.

- Jak chcecie.

Stoltz zebrał razem koperty i notatki, włożył je do pierwszego pojemnika, zamknął go, a następnie to samo uczynił z dwoma pozostałymi i ułożył je jeden na drugim, jakby odprawiał nabożeństwo przed jakimś ołtarzem.

- Mieliście ciężki dzień - zwrócił się Dawid do dwóch pielęgniarzy. - Doktor Lyons też. Zostańcie w domu i pozwólcie, żeby teraz popilnowali was trochę wasi goście. Zdaje się, że oni mają dzisiaj nadgodziny.

Hal wyszczerzył zęby w uśmiechu, Johnny nie zareagował.

- Dobranoc, doktorze - Stoltz skłonił się lekko, przemawiając gładkim, dyplomatycznym tonem. - To był dla mnie zaszczyt poznać tak znakomitego przedstawiciela nauki.

Z kuchni wyszedł strażnik i skinął lekko głową. Opuszczając pokój Dawid uśmiechnął

się do Lyonsa, ale ten nie zareagował, tylko odwrócił się i zniknął w drzwiach prowadzących do jego sypialni.

Attaché otworzył drzwiczki samochodu i przepuścił Spauldinga.

- Bardzo dziwny człowiek ten pański doktor Lyons - zauważył, kiedy już obaj znaleźli się w środku.
- Możliwe, ale jednocześnie jeden z najlepszych w swojej dziedzinie... Proszę powiedzieć kierowcy, żeby zatrzymał się na chwilę przy automacie. Zadzwonię do ambasady, żeby uzyskać to potwierdzenie, na którym panu tak bardzo zależy.
- Znakomity pomysł. Może później zje pan ze mną kolację?

Dawid zerknął na rozpostartego wygodnie Niemca; po jego niedawnej niepewności nie zostało nawet śladu.

- Dziękuję, *Herr Botschaftssekretär*, ale jestem już umówiony.
- Zapewne z uroczą panią Cameron?

Spaulding odwrócił głowę do okna, pozostawiając to pytanie bez odpowiedzi.

Terraza Verde stanowiła uosobienie spokoju. Uliczne lampy oświetlały łagodnym blaskiem puste, otulone ciemnością chodniki, a drzewa przyszyżone w fantazyjne kształty rzucały tajemnicze cienie na pastelowe, wzniesione z cegły i kamienia ściany malowniczych willi śródziemnomorskich. W sypialniach i salonach za oknami, na których stały kwiatowe kompozycje, zachęcająco mrugały żarówki skryte pod grubymi abażurami. Jakiś mężczyzna w wyjściowym garniturze i z gazetą pod pachą wchodził po schodach prowadzących do drzwi, a nieco dalej, opierając się o niskie ogrodzenie wykonane z kutego żelaza, stała roześmiana para. Po chodniku maszerowała rażno mała dziewczynka z jasnobrązowym cocker-spanielem na smyczy; pies dokazywał wesoło, to zatrzymując się raptownie, to znów zniemacka wybiegajcie do przodu.

Doprawdy, trudno był sobie wyobrazić bardziej przytulny zakątek, jak Terraza Verde.

Dawidowi stanął przed oczami obraz zupełnie innej ulicy, którą widział zaledwie kilka godzin temu: starzy, cuchnący potem i uryną mężczyźni, bezzębna dziwka, kocie mięso, zarosłe brudem okna, dwa wielkie magazyny, w których nie można było znaleźć pracy, i trawler z tajemniczym ładunkiem przeznaczonym dla Tortugas.

Packard skręcił w lewo. Tutaj było nieco mniej świateł i przyszyżonych drzew, ale poza tym ulica prawie nie różniła się od Terraza Verde. Przypominała uliczki w Lizbonie, położone na skraju zamożnych *caminos*, z drogimi sklepami, w zasięgu popołudniowej przechadzki bogatych mieszkańców.

Tutaj również znajdowały się sklepy o dyskretnie podświetlonych, elegancko zaprojektowanych

wystawach.

Następna przecznica; Packard zwolnił na chwilę przed skrzyżowaniem i pojechał

prosto. Więcej sklepów, mniej drzew, więcej psów, a z nimi najczęściej służące. Grupa nastolatków, podziwiająca sportowy, włoski samochód.

Mężczyzna w płaszczu. W pierwszej chwili Dawid zarejestrował tylko tyle: szary płaszcz, częściowo skryty w zacienionej bramie.

Szary płaszcz. Brama.

Mężczyzna był wysoki i szczupły. Miał na sobie szary płaszcz. Stał w bramie.

O Boże! Spaulding odniósł wrażenie, jakby coś mu nagle eksplodowało w mózgu. 52

Ulica!

Mężczyzna był odwrócony bokiem i wpatrywał się w słabo oświetloną wystawę.

Dawid mógł sobie wyobrazić głęboko osadzone, ciemne oczy, wyczuć czającą się w nich desperację i niemal usłyszeć staranny akcent, ale pełen bałkańskich naleciałości:

„Nie może być żadnych negocjacji z Franzem Altmüllerem! Proszę zapamiętać lekcję Fairfax!”

Musi wysiąść z Packarda! Natychmiast!

Musi wrócić na Terraza Verde, bez Stoltza. Musi!

- Tam jest kawiarnia - powiedział, wskazując na pomarańczowe markizy wysunięte nad chodnik. - Proszę się tam zatrzymać. Zadzwoń do ambasady.

- Nie ma potrzeby aż tak bardzo się śpieszyć, panie pułkowniku. Zapewniam pana, że mogę poczekać.

Dawid odwrócił się twarzą do Niemca.

- Chce pan, żebym to wyraźnie powiedział? W porządku. Nie lubię pana, Stoltz, podobnie jak Rhinemanna. Nie lubię ludzi, którzy wrzeszczą, wyszczekują rozkazy i każą mnie śledzić. Robię z wami interes, ale to nie znaczy, że muszę się z wami bratać. Nie mam obowiązku jeść z panem kolacji ani jeździć pańskim samochodem. Czy wyraziłem się jasno?

- Jasno, aczkolwiek niezbyt uprzejmie. W dodatku, jeśli wolno mi to powiedzieć, jest pan trochę niewdzięczny. Przecież nie dalej jak dzisiaj po południu ocaliliśmy panu życie.

- To pan tak uważa, nie ja. Proszę pozwolić mi tu wysiąść, a ja zatelefonuję i powiem panu, czego się

dowiedziałem. Jak sam pan stwierdził, nie mam najmniejszego powodu, żeby kłamać. Potem pan pojedzie w swoją stronę, a ja wezmę taksówkę.

Stoltz polecił kierowcy, żeby zatrzymał się przy kawiarni.

- Jak pan sobie życzy. Gdyby jednak miał pan jakieś plany w związku z doktorem Lyonsem, to ostrzegam, że nasi ludzie pilnują całej okolicy i mają precyzyjne rozkazy. Plany zostaną tam, gdzie są.

- Nie płacę za trzy czwarte towaru, tylko za całość. A poza tym, nie mam najmniejszej ochoty zetknąć się z tą bandą bezdusznych automatów.

Packard stanął przy krawężniku i Dawid wysiadł, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Wszedł do jasno oświetlonego wnętrza i zapytał, gdzie jest telefon.

- Ambasador szuka pana już od pół godziny - poinformowała go telefonistka. -

Podobno to coś pilnego. - Podała mu prywatny numer Granville'a.

- Dziękuję. Proszę mnie połączyć z panem Ballardem z Wydziału Łączności.

- Saloon O'Leary'ego - odezwał się znudzony głos Bobby'ego Ballarda.

- Jesteś bardzo zabawny, ale będę miał czas się śmiać dopiero w przyszły wtorek.

- Dziewczyna z centrali powiedziała, że to ty. Wiesz, że Granville cię szuka?

- Wiem. Gdzie jest Jean?

- Usycha z tęsknoty w swoim pokoju, tak jak jej kazałeś.

- Dostałeś wiadomość z Waszyngtonu?

- Tak, kilka godzin temu. Potwierdzają otrzymanie kodu i hasła. A jak tam twoje interesy?

- Mam już trzy czwarte papierów, ale pojawili się dodatkowi chętni do zabawy.

- Terraza Verde?

- W pobliżu.

- Może mam tam posłać kilku wykwalifikowanych opiekunów z bazy?

- Chyba by nie zaszkodziło. Powiedz im, żeby kręcili się po okolicy. W razie potrzeby dam im znać.

- Będą tam za pół godziny.

- Dzięki. Tylko błagam, Bobby, żadnej defilady.

- Bądź spokojny, wszystko zostanie między nami, krawcoludami. Uważaj na siebie.

Dawid nacisnął widełki palcem, odczuwając silną pokusę, żeby wrzucić jeszcze jedną monetę i zadzwonić do Granville'a... Nie było na to czasu. Odwiesił słuchawkę i wyszedł z kawiarni. Stoltz siedział przy opuszczonej szybie Packarda; na jego twarzy Spaulding dostrzegł ślad niedawnej nerwowości.

- Mam potwierdzenie. Może pan dostarczyć resztę towaru i cieszyć się swoimi pieniędzmi... Nie wiem, skąd pan pochodzi, Stoltz, ale dowiem się i zbombarduję to miejsce, zetnę z powierzchni ziemi. Gwarantuję panu, że ten nalot zostanie nazwany pańskim imieniem.

Z niewiadomych przyczyn zgryźliwość Dawida sprawiła Niemcowi wyraźną ulgę.

- Człowiek z Lizbony ma bardzo skomplikowaną psychikę. Przypuszczam, że właśnie dlatego otrzymał tak skomplikowane zadanie... Skontaktujemy się z panem około południa. -

Podkręcił szybę i zwrócił się do kierowcy: - *Los, abfahren, machen Sie schnell!*

Zielony Packard ruszył z rykiem silnika; Dawid spoglądał za nim, chcąc się upewnić, że nie skręci w żadną z bocznych uliczek. Gdyby tak się stało, wróciłby do kawiarni i zaczekał.

Nie skręcił i niebawem jego tylne światła zamieniły się w jeden, mikroskopijny punkcik, żeby wreszcie zniknąć w perspektywie ulicy. Dawid odwrócił się i szybkim krokiem, ale tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi, skierował się w stronę Terraza Verde.

Dotarłszy do odcinka, na którym zobaczył człowieka w szarym płaszczu, zatrzymał

się; wyobraźnia nakazywała spieszyć się, biec, natomiast instynkt doradzał spokój i rozwagę.

Mężczyzny nigdzie nie było. Dawid doszedł do przecznicy i skręcił w lewo, a po przebiegnięciu kilkunastu jardów jeszcze raz w lewo, po czym zwolnił. Wiele by dał za to, żeby lepiej znać teren i wiedzieć, co znajduje się za białą willą Lyonsa. Inni na pewno wiedzieli, ukryci w ciemnych zakamarkach, o których on nie miał żadnego pojęcia.

Inni, czyli ludzie Rhinemanna i człowiek w szarym płaszczu. Ilu jeszcze oprócz niego?

Przeszedł na drugą stronę Terraza Verde, z dala od białego domu, i starając się omijać plamy światła rzuconego przez latarnie dotarł do równoległej, cichej uliczki, również zabudowanej wychuchanymi willami, jakby przeniesionymi z jakiegoś obrazka.

Na parkanie dostrzegł tabliczkę z napisem *Terraza Amarilla*.

Przystanął w cieniu starannie przystrzyżonego drzewa, spoglądając w kierunku, w którym, jak mu się wydawało, znajdował się tył domu Lyonsa. W ciemności widział niewiele, ale ocenił, że dzieli go od niego około stu pięćdziesięciu jardów.

Dostrzegł jeszcze coś innego: samochód, jeden z tych, które towarzyszyły zielonemu Packardowi podczas okrężnej jazdy spod Casa Rosada. Stał przy chodniku, naprzeciwko utrzymanej we włoskim stylu rezydencji z jasnej cegły i z dwoma szerokimi furtkami w ogrodzeniu. Należało przypuszczać, że za nimi zaczynają się wykładane płaskimi kamieniami ścieżki prowadzące do muru lub płotu, oddzielającego taras Willi Lyonsa od tylnego wejścia do włoskiej rezydencji. Przypuszczenie to potwierdzał sposób, w jaki był ustawiony samochód; każdy, kto wchodził lub wychodził przez te furki, musiał znaleźć się w polu widzenia znajdujących się w nim ludzi.

Spaulding przypomniał sobie szum i skrzeczenie radiostacji w hallu i kuchni, a potem długie szeregi powtarzanych po niemiecku cyfr; ci, którzy obsługiwali te urządzenia, mieli przy sobie broń. Sięgnął pod marynarkę i wyjął z kabury swoją Berettę. Wiedział, że magazynek jest pełen, więc tylko odbezpieczył broń, wsadził ją za pasek spodni i przemknął

na drugą stronę ulicy, kierując się w stronę nieruchomego pojazdu.

Niemal w tej samej chwili z tyłu, tuż za nim, rozległ się warkot silnika. Nie miał czasu, żeby rzucić się do ucieczki ani podjąć jakiegokolwiek decyzji, wszystko jedno, słusznej czy nie. Położył dłoń na rękojeści pistoletu i przybrał możliwie obojętną postawę.

Głos, który się do niego odezwał, wprowadził go w całkowite osłupienie.

- Wsiadaj, ty cholerny głuptasie!

Za kierownicą małego Renault coupe siedziała Leslie Hawkwood. Nachyliła się i otworzyła mu drzwi. Dawid chwycił za klamkę, mając myśli zaprzątnięte tylko dwoma rzeczami: jej nagłym pojawieniem się i niebezpieczeństwem, a właściwie pewnością, że wzbudzi to zainteresowanie ludzi Rhinemanna. W zasięgu wzroku znajdowało się zaledwie kilku przechodniów, więc warkot silnika i przejazd samochodu musiały zwrócić ich uwagę.

Wskoczył do środka i lewą dłonią chwycił nogę Leslie tuż nad kolaniem, uciskając boleśnie przechodzące tam nerwy.

- Cofnij najciszej, jak tylko możesz, i skreć w lewo w tę ulicę! - wyszeptał, kładąc nacisk na każde słowo.

- Puść mnie!

- Rób, co mówię, albo rozwalę ci kolano!

Renault miał krótki rozstaw osi, więc obyło się bez włączania wstecznego biegu.

Leslie zakręciła kierownicą i samochód wykonał ostry zakręt.

- Powoli! - syknął Spaulding, nie spuszczając z oczu pojazdu stojącego przy krawędzi jezdni.

Dostrzegł jeszcze, jak w ich stronę obracają się dwie głowy, a potem samochód z ludźmi Rhinemanna zniknął im z oczu.

Zdjął rękę z nogi dziewczyny, a ona podkuliła ją od razu, skręcając się z bólu.

Spaulding złapał za kierownicę i nacisnął hamulec. Renault znieruchomiał przy krawężniku.

- Ty sukinsynu! Złamałeś mi nogę! - Łzy, które pojawiły się w oczach Leslie, były łzami bólu, nie gniewu. Mimo wściekłości, jaką bez wątpienia odczuwała, nie podniosła głosu, a to powiedziało mu o niej coś, o czym do tej pory nie wiedział.

- Złamię ci nie tylko nogę, jeśli mi zaraz nie powiesz, co tutaj robisz! Ilu ludzi jest z tobą? Widziałem jednego. Ilu jeszcze?

Dumnym gestem odrzuciła do tyłu głowę i spojrzała na niego wyzywająco.

- Naprawdę myślałeś, że nie uda nam się go znaleźć?

- Kogo?

- Twojego uczonego, Lyonsa!

- Leslie, na Boga, co ty robisz?!

- Usiłuję cię powstrzymać.

- Mnie?

- Ciebie, a także Altmüllera, Rhinemanna, Koeniga, te świnię z Waszyngtonu i Peenemünde... Wszystko skończone! Przeszaną ci ufać. „Tortugas” spaliło na panewce!

Znowu to tajemnicze nazwisko - Altmüller... „Tortugas”... Koenig? Słowa i nazwiska, niektóre znane, inne zupełnie bez znaczenia. Kręte korytarze, prowadzące donikąd.

Nie ma na to czasu!

Spaulding wyciągnął rękę, chwycił dziewczynę za włosy przy samej skórze i przyciągnął ją do siebie, odchylając jej głowę do tyłu i wbijając w gardło, tuż poniżej szczęki, dwa wyprostowane palce. Pchnął kilka razy, wzmacniając stopniowo nacisk.

- Skoro zaczęłaś tę grę, to doprowadź ją do końca! Powiedz mi, co się dzieje!

Natychmiast!

Usiłowała się wyrwać, uderzając na oślep ramionami i wijąc się w jego uścisku, ale on trzymał ją

mocno, wpychając palce coraz głębiej w jej gardło. Wpatrywała się w niego z przerażeniem wielkimi jak spodki oczami.

- Mów, Leslie! Jeśli nie powiesz, będę musiał cię zabić! Nie mam wyboru. Już nie...

Na Boga, nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił!

Opadła bezwładnie na siedzenie; delikatnie zwolnił uścisk, a ona zaczęła szlochać, potrząsając bezradnie głową. Pogładził ją po twarzy. Otworzyła oczy.

- Nie dotykaj mnie! Słyszysz? Nie dotykaj mnie! - Nawet jeśli chciała krzyczeć, to z jej gardła wydobył się tylko zduszony szept. - I tak... wejdziemy do środka. Zabijemy Lyonsa i ludzi Rhinemanna.

Dawid nie czekał na więcej, tylko błyskawicznie zacisnął pięść i uderzył ją w podbródek; opadła bezwładnie na fotel, tracąc natychmiast przytomność.

Usłyszał wystarczająco dużo. Teraz już naprawdę nie było czasu do stracenia.

Ułożył ją na siedzeniach, usunąwszy uprzednio kluczyki ze stacyjki. Rozejrzał się w poszukiwaniu torebki, ale najwyraźniej nie miała jej przy sobie. Wsiadł z samochodu, zamknął starannie drzwi i rozejrzał się po ulicy; kilkanaście kroków od niego obejmowała się jakaś para, na rogu parkował samochód, z otwartego okna pobliskiego budynku dochodziły wyraźne dźwięki muzyki.

I to wszystko. San Telmo sposobiło się do snu.

Spaulding pobiegł w kierunku Terraza Amarilla. Tuż przed rogiem zwolnił i podkradł

się ostrożnie wzdłuż ogrodzenia, klnąc w duchu świecącą jasno lampę. Poprzez czarne, żelazne pręty dostrzegł samochód stojący w odległości mniej więcej stu jardów i wytyczył

wzrok, usiłując dostrzec, czy dwie głowy nadal poruszają się czujnie, zaniepokojone nagłym pojawieniem się i zniknięciem niezidentyfikowanego pojazdu. W pogrążonym w ciemności wnętrzu panował zupełny spokój; żadnego ruchu, pomarańczowego punkcika papierosa, jaśniejszej plamy twarzy lub dłoni.

Nic.

Chociaż... Jakiś niewyraźny kształt, przyciśnięty do dolnej części lewej szyby, nieprzenikniony dla słabego, rozproszonego światła odległych latarni.

Dawid oderwał się od żelaznych prętów i z dłonią zaciśniętą na rękojeści Beretty wyszedł zza rogu, kierując się w stronę samochodu. Siedemdziesiąt jardów, sześćdziesiąt, czterdzieści pięć...

Wciąż żadnego ruchu.

Trzydzieści pięć, trzydzieści... Wyciągnął pistolet zza paska i położył palec na spuście.

Nic.

Niewyraźny kształt okazał się nienaturalnie odgiętą głową, przyciśniętą do szyby. W

takiej pozycji mógł leżeć tylko trup.

Podbiegł do tyłu pojazdu i przykucnął, unosząc gotowy do strzału pistolet. W środku panowała kompletna cisza.

Ulica była zupełnie pusta. Jedyne odgłos stanowił przytłumiony, ledwie słyszalny szmer dochodzący zza dziesiątków otwartych lub zamkniętych okien. Gdzieś daleko zaszczekał pies, któremu zawtórował płacz dziecka.

Dawid uniósł się nieco i zajrzał do wnętrza samochodu.

Na fotelu pasażera leżał bezwładnie drugi mężczyzna. Światło latarni padało prosto na jego kark i ramiona, zbroczone obficie świeżą krwią.

Spaulding przesunął się ku uchylonej, prawej przedniej szybie. Widok, który ujrzał, był wstrząsający; kierowca został zabity strzałem w tył głowy, jego zaś towarzysz najwyraźniej zasztyletowany kilkoma pchnięciami.

Podłużne radio, zamknięte w skórzanej walizeczce, leżało rozbite na podłodze pod deską rozdzielczą.

Wszystko musiało się rozegrać w ciągu ostatnich pięciu, sześciu minut, pomyślał

Dawid. Leslie Hawkwood pojawiła się dokładnie w chwili, kiedy zabójcy uzbrojeni w pistolety z tłumikami i długie noże zabierali się do ludzi Rhinemanna.

Po dokonaniu dzieła z całą pewnością pobiegli na drugą stronę ulicy, by dostać się na teren willi, zajmowanej przez Lyonsa. Przestali się troszczyć o zachowanie dyskrecji i ostrożności, bo wiedzieli, że nagle zamknięcie nadajnika musi i tak zwrócić uwagę tych, którzy znajdowali się w domu przy Terraza Verde 15.

Spaulding otworzył drzwi samochodu, podkręcił szybę i położył zwłoki kierowcy w poprzek przednich siedzeń. Ciało było nadal widoczne, ale już tak bardzo nie zwracały na siebie uwagi. Za wszelką cenę należało uniknąć tego, żeby jakiś przypadkowy przechodzień podniósł nagle alarm.

Zatrzasnąwszy drzwi spojrzął na szerokie furtki w ogrodzeniu włoskiej rezydencji; lewa była nieznacznie uchylona.

Podbiegł do niej i przecisnął się do środka, trzymając przed sobą gotowy do strzału pistolet. Za furtką zaczynała się wybetonowana ścieżka, prowadząca wzdłuż ściany domu do czegoś w rodzaju miniaturowego patio, otoczonego wysokim, ceglanym murem.

Poruszał się bezszelestnie, ale z maksymalnym pośpiechem. Patio stanowiło kombinację krętych ścieżek, splachetków trawy i niewielkich, kwiatowych ogródków.

Pośrodku nieskazitelną bielą majaczył alabastrowy posąg, a na ceglany mur wspinały się pnącza winorośli.

Dawid oszacował jego wysokość: jakieś siedem stóp, może siedem i pół. Gruby na osiem do dziesięciu cali, czyli standard. Wybudowany chyba niezbyt dawno, sprawiał

wrażenie mocnego. Od chwili, kiedy w 1942 w San Sebastian zawałił się pod nim podobny, tylko że o wysokości dziewięciu stóp, przywiązywał do tych spraw wielką wagę. W miesiąc po wypadku sam się z niego śmiał, ale prawda wyglądała w ten sposób, że o mało wtedy nie zginął.

Zabezpieczył broń i schował ją do kabury, po czym nachylił się i starannie wytarł

dłonie w suchą ziemię, pozbywając się najmniejszych śladów potu i wilgoci, a następnie rozpędził się i skoczył. Chwycił dłońmi górną krawędź muru i podciągnął się.

Znalazłszy się na szczycie zamarł w bezruchu, upodabniając się do kamiennej rzeźby.

Trwał tak kilka sekund, zwrócony twarzą w kierunku tarasu willi Lyonsa. Tylne drzwi były zamknięte, w kuchni panowała ciemność, we wszystkich oknach były zaciągnięte zasłony, z mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy.

Zeskoczył z muru i wyciągnawszy pistolet, podbiegł do kuchennych drzwi, gdzie przywarł plecami do białego stiuku. Ze zdumieniem zobaczył, że drzwi jednak nie są zamknięte, a w chwilę później zrozumiał, dlaczego: z wąskiej szpary tuż przy ziemi sterczała czyjaś dłoń, zaciśnięta kurczowo na drewnianej krawędzi. Była to dłoń martwego człowieka.

Spaulding ostrożnie pchnął drzwi; ustąpiły nie więcej, niż o cal. Nacisnął mocniej: dwa cale. Bezwładny ciężar nie chciał ustąpić. Naparł z całej siły, aż poczuł ból w ramieniu.

Trzy, cztery... pięć cali. Stopa.

Usłyszał jakieś głosy, niewyraźne, ale na pewno męskie i wzburzone.

Stanął przed drzwiami i pchnął jeszcze raz, starając się jednak nie spowodować żadnego hałasu. Zwłoki działały jak wielki, miękki balast, spowalniający i utrudniający wszelkie poczynania. Przekroczył ostrożnie ciało strażnika i cicho zamknął za sobą drzwi.

Głosy dochodziły z salonu. Przesuwał się ostrożnie wzdłuż ściany, trzymając przed sobą zarepetowany pistolet.

Jego uwagę zwróciły szeroko otwarte drzwi spiżarni w przeciwległej ścianie. Przez pojedyncze okno, wykonane z seryjnie produkowanego, witrażowego szkła, wpadało światło księżyca, kładąc się

na podłodze tajemniczymi, kolorowymi plamami. Jedna z nich wydobywała z ciemności zarys zwłok drugiego strażnika. Nie sposób było stwierdzić, jak zgiął ciało było wygięte do tyłu, więc prawdopodobnie dzieła dokonał strzał w plecy z małokalibrowego pistoletu, zaopatrzonego w tłumik. Dawid poczuł, jak na czoło i kark wypełzają mu krople lodowato zimnego potu.

Ilu było napastników? Wyglądało na to, że daliby sobie radę z całym garnizonem.

Jego zobowiązania nie obejmowały walki z tak przeważającym przeciwnikiem.

Miał jednak jeszcze inne zobowiązania, wobec Lyonsa. Wydawało mu się, że wystarczająco duże, ale na wszelki wypadek wolał teraz o tym nie myśleć.

Poza tym, był przecież najlepszy. O tym musiał myśleć. Nie było nikogo lepszego od niego.

O ile to jeszcze w ogóle miało dla kogokolwiek jakieś znaczenie.

Przycisnąwszy policzek do drewnianej futryny zajrzał ostrożnie do salonu; to, co zobaczył, podziałało jak uderzenie obuchem. Odraza i oszołomienie były tym większe, że widok, który ujrzał, zupełnie nie pasował do scenerii. Wygodnie urządzonej pokój ze stołem, kanapą i krzesłami był przeznaczony dla cywilizowanych ludzi, oddających się cywilizowanym zajęciom.

Nie dla śmierci.

Dwaj pielęgniarze - mrukliwy Johnny i ufny, pogodny Hal - leżeli na podłodze, stykając się niemal głowami. Ich krew zmieszała się, tworząc dużą kałużę na błyszczącym parkiecie. Na twarzy Johnny'ego zamarł wyraz wściekłości, na Hala - zdziwienia i spokoju.

Za nimi, przewieszeni przez kanapę niczym zaszlachtowane bydło, na pół leżeli, na pół siedzieli dwaj pozostali strażnicy.

„Mam nadzieję, że pan wie, co robi!”

Słowa Johnny'ego zabrzmiały Dawidowi boleśnie w uszach.

Oprócz czterech trupów w pokoju znajdowali się jeszcze trzej mężczyźni w takich samych, groteskowych maskach jak ci, którzy przyjechali ogromnym Duesenbergiem i przerwali jego rozmowę z Leslie Hawkwood.

Tym samym Duesenbergiem, który następnie eksplodował podczas potyczki w Colinas Rojas.

Wszyscy trzej, na pierwszy rzut oka bez broni, stali nad przygarbioną postacią Eugene Lyonsa, który siedział swobodnie przy stole, nie okazując najmniejszego strachu. Dawid spojrział w jego oczy i dostrzegł to, czego się spodziewał: radosne oczekiwanie śmierci.

- Przecież widzisz, co tu się stało! - mówił do Lyonsa człowiek w szarym płaszczu. -

Nie cofniemy się przed niczym. Jesteś już martwy! Oddaj plany!

Boże, przemknęła Dawidowi błyskawiczna myśl. Lyons ukrył plany!

- Opór nie ma żadnego sensu - kontynuował mężczyzna, którego głęboko osadzone, smutne oczy Spaulding tak dobrze zapamiętał. - Może cię oszczędzimy, ale tylko wtedy, jeśli nam powiesz. Mów!

Uczony nie odpowiedział, tylko nie poruszając głową spojrział na stojącego nad nim człowieka. Po drodze jego oczy napotkały spojrzenie Dawida.

- Napisz! - wrzasnął mężczyzna w płaszczu.

Nie można było już dłużej czekać.

Spaulding wślizgnął się do pokoju, trzymając przed sobą oburącz pistolet.

- Nie ruszać się! - zawołał. - Ty! - ruchem głowy wskazał stojącego najbliżej człowieka. - Odwróć się!

Zaskoczony mężczyzna odruchowo wykonał polecenie; w tej samej chwili Spaulding doskoczył do niego i uderzył go z całej siły ręką Beretty w nasadę czaszki.

Zamaskowany osobnik zwałił się ciężko na podłogę.

- Podnieś to krzesło, już! - wrzasnął Dawid do drugiego, pokazując pistoletem ciężki mebel o wysokim oparciu, znajdujący się w sporej odległości od stołu. - Nie słyszałeś?

Oszołomiony człowiek wykonał polecenie.

- Jeśli je opuścisz choć na chwilę, zginiesz... Doktorze Lyons, proszę zabrać im broń.

Mają pistolety i noże. Proszę się pośpieszyć.

Wszystko działo się błyskawicznie, bowiem jedyna szansa, jaką mieli, polegała na szybkim unieruchomieniu przeciwników i raptownym przechyleniu szali na swoją korzyść.

Lyons wstał z miejsca i najpierw podszedł do mężczyzny w szarym płaszczu. Od razu było jasne, że uczony cały czas obserwował dokładnie napastników i wiedział, gdzie ukryli broń. Wyjął mu z kieszeni płaszcza pistolet, po czym przeszukał trzymającego krzesło i wydobyl identyczny, a oprócz tego jeszcze rewolwer o krótkiej lufie i długi, prosty sztylet.

Położywszy znalezione na stole zabrał się za nieprzytomnego osobnika, z którego kieszeni wydobyl dwa rewolwery i nóż sprężynowy.

- Zdejmujcie płaszcze! No jazda! - rzucił Spaulding. Obydwaj mężczyźni zaczęli je ściągać, a gdy znajdowali się mniej więcej w połowie, Dawid kazał im pozostać w tej pozycji, bez ruchu. - Doktorze, proszę przynieść dwa krzesła i ustawić za nimi.

Lyons wykonał polecenie.

- Siadajcie! - polecił Spaulding swoim więźniom.

Posłuchali, a Dawid podszedł do tyłu i ściągnął im płaszcze tak, że zatrzymały się na łokciach, unieruchamiając im niemal zupełnie ręce.

Dwaj mężczyźni w groteskowych maskach siedzieli bez ruchu, skrępowani własnym ubraniem.

Dawid ściągnął im maski, a następnie cofnął się i oparł o stół, mierząc do nich z pistoletu.

- W porządku - powiedział. - Przypuszczam, że mamy jakieś piętnaście minut, dopóki nie zacznie się prawdziwe piekło. Mam do was kilka pytań, a wy udzielicie mi na nie wyczerpujących odpowiedzi...

Spaulding słuchał z niedowierzaniem. Ciężar oskarżenia był tak wielki, że nie potrafił ogarnąć go w pełni.

Człowiek o smutnych, głębokich oczach nazywał się Asher Feld i był dowódcą Skrzydła Tymczasowych Haganah, działającego na terenie Stanów Zjednoczonych. To on zabrał głos.

Operacji polegającej na wymianie planów udoskonalonych żyroskopów w zamian za ładunek diamentów przemysłowych nadali kryptonim „Tortugas” Amerykanie, a dokładniej mówiąc jeden Amerykanin. Chciał, żeby wymiany dokonano na Suchej Tortugas, na co nie zgodził się Berlin, ale nazwa już pozostała jako kryptonim. Fakt, że jest całkowicie myląca, był bardzo po jego myśli, panicznie bał się bowiem ujawnienia swego udziału w tym przedsięwzięciu. Dla niego bowiem i dla Fairfax kryptonim ten oznaczał działania człowieka z Lizbony. Kiedy Ministerstwo Wojny przekazało nowojorskiemu biuru Koeniga zgodę na transfer diamentów, włączył tę sprawę do operacji „Tortugas”; dzięki temu mógł się uważać za względnie bezpiecznego, bo gdyby ktoś tym się zainteresował, okazałoby się, że to akcja nadzorowana przez Fairfax.

Sam pomysł negocjacji wysunęła *Nachrichtendienst*. Mam nadzieję, że słyszał pan o tej organizacji, panie pułkowniku?

Dawid nic nie powiedział, bo po prostu nie mógł, więc Feld ciągnął dalej: - Haganah dowiedziało się o tym w Genewie. Otrzymaliśmy informację o niezwykłym spotkaniu Amerykanina nazwiskiem Kendall, zatrudnionego w charakterze doradcy finansowego w dużej firmie lotniczej, z pewnym budzącym odrazę przemysłowcem niemieckim, zresztą homoseksualistą, którego przysłał do Szwajcarii jeden z najważniejszych ludzi w Ministerstwie Zbrojeń, *Unterstaatssekretär* Franz Altmüller... Haganah jest wszędzie, panie pułkowniku, nie wyłączając samego ministerstwa i Luftwaffe...

Dawid wpatrywał się bez słowa w Żyda, snującego swą niewiarygodną opowieść obojętnym, spokojnym tonem.

- Chyba zgodzi się pan ze mną, że to spotkanie naprawdę można było uznać za niezwykle. Zdobycie nagrania rozmowy dwóch wysłanników nie nastroczało nam większych trudności; spotkali się w ustronnej restauracji, a poza tym obydwaj byli amatorami.

Dzięki temu dysponowaliśmy podstawowymi wiadomościami co do przedmiotów transakcji i miejsca, w której ma się odbyć, ale szczególnie w tej ostatniej kwestii brakowało nam wielu szczegółów. Buenos Aires jest ogromne, jego zaś port ciągnie się całymi milami.

Gdzie dokładnie ma się dokonać wymiana? W tym momencie otrzymaliśmy informację z Fairfax o odwołaniu człowieka z Lizbony. Było to całkowicie zaskakujące, ale znakomicie przemyślane pociągnięcie; chodziło przecież o najlepszego agenta na całym kontynencie, władającego płynnie zarówno hiszpańskim, jak i niemieckim, a w dodatku dysponującego fachową, inżynierską wiedzą.

Bardzo logiczne, nieprawdaż?

Dawid chciał coś odpowiedzieć, ale zamarł z na wpół otwartymi ustami. To, co słyszał, wywołało w jego umyśle olśniewająco jasne błyskawice, wydobywające z mroku zatarte i niewyraźne do tej pory kształty. Błyskawicom tym towarzyszył huk grzmotu przybierający za każdym razem na sile.

Skinął tępo głową.

Feld mówił dalej, nie spuszczając przenikliwego spojrzenia z jego twarzy.

- W Nowym Jorku wyjaśniłem panu pokrótce przyczynę sabotażu na lotnisku Lajes.

Fanatycy. W gorącej wodzie kąpani, hiszpańscy Żydzi nie potrafili pogodzić się ze świadomością, że człowiek z Lizbony ma brać udział w haniebnej transakcji. Nikt chyba nie ucieszył się bardziej z tego, że uszedł pan z życiem, niż my, ze Skrzydła Tymczasowych.

Zakładaliśmy, że pański krótki pobyt w Nowym Jorku ma służyć ustaleniu szczegółów operacji w Buenos Aires i dostosowaliśmy nasze postępowanie do tego założenia.

A potem, zupełnie niespodziewanie, okazało się, że już na nic nie ma czasu. Meldunek z Johannesburga, który otrzymaliśmy z niewybaczalnym opóźnieniem, mówił, że diamenty dotarły już do Buenos Aires. Podjęliśmy natychmiast błyskawiczne działania w celu usunięcia pana, ale zostały one uniemożliwione przez, jak przypuszczam, ludzi Rhinemanna. - Asher Feld umilkł, by po chwili dodać znużonym głosem: - O całej reszcie już się pan sam dowiedział.

Nieprawda! Niczego się nie dowiedział, o niczym! Szaleństwo! Wariactwo! Wszystko na nic!

Tyle lat... Tyle istnień ludzkich... Nocne koszmary, strach, zabójstwa... Boże, ci wszyscy ludzie... I po co to? Po co?

- Kłamiesz! - wybuchnął Dawid, uderzając w stół ręką pistoletu z taką siłą, że zadźwięczały szyby w oknach. - Kłamiesz! - Krzyk zamienił się niemal w szloch. - Jestem w Buenos Aires po to, żeby kupić plany żyroskopów i potwierdzić ich autentyczność, a potem wysłać zaszyfrowane hasło do Waszyngtonu, żeby ten sukinsyn, dostał swoje cholerne pieniądze. To wszystko! Nie po to, o czym mówisz!

- Właśnie po to - odparł łagodnie Asher Feld.

Ciało Dawida, bez udziału jego woli, skrzyło się jakby po silnym ciosie. Huczące w jego głowie grzmoty i oślepiające błyskawice powodowały okropny ból. Rozciągnięte na podłodze ciała, kałuże krwi... Ciała na kanapie, znowu krew...

Śmierć.

Świat zachwiał się w posadach. Tysiące wybiegów, manipulacji, bolesnych wyrzeczeń... i śmierć. A

potem znowu śmierć... Wszystko mknące w bezsensownej pustce.

Zdrada - jeśli to chodziło właśnie o zdradę - była wręcz niewyobrażalna. Setki tysięcy ludzi ginących na próżno, bez żadnego powodu.

Musi przestać o tym myśleć. Musi się skoncentrować.

Jego wzrok padł na wyniszczonego, bladego jak kartka papieru Lyonsa.

Ten człowiek umiera, pomyślał Spaulding.

Śmierć.

Musi się skoncentrować.

Boże! Od czegoś trzeba zacząć, o coś zahaczyć tę pierwszą, najważniejszą myśl.

Jeśli tego zaraz nie zrobi, oszaleje.

Spojrzał na Felda i w jego oczach dostrzegł współczucie. Mogło tam być coś innego, ale nie było. Tylko współczucie.

A przecież to były oczy człowieka, który zabijał z zimną krwią.

Dokładnie tak samo jak on, człowiek z Lizbony.

Zabijał.

Po co?

Pytania. Musi zadać pytania i słuchać uważnie odpowiedzi, żeby wychwycić w nich jakiś błąd. Błąd! Jeżeli kiedykolwiek od początku świata był potrzebny, to właśnie teraz!

- Nie wierzę ci - powiedział, starając się jak jeszcze nigdy w życiu, żeby zabrzmiało to możliwie przekonywająco.

- Chyba jednak wierzysz - odparł spokojnie Asher Feld. - Leslie powiedziała nam, że ty o niczym nie wiesz. Nie wydawało mi się to prawdopodobne, ale teraz widzę., że tak jest w istocie.

Dawid musiał zastanowić się przez chwilę. W pierwszej chwili nawet nie zwrócił uwagi na to imię, ale zaraz potem dotarło do niego, wywołując kolejny paroksyzm bólu.

- Co ona ma z wami wspólnego? - zapytał.

- Jej wujem jest Harold Goldsmith, ale ona sama nie jest Żydówką, z uwagi na swoje zamążpójście.

- Goldsmith? Nie znam tego nazwiska...

Weź się w garść! Skoncentruj się!

- Ale znają je tysiące Żydów. To on stał za negocjacjami prowadzonymi przez Barucha i Lehmana. Zrobił więcej dla wydostania naszych ludzi z obozów koncentracyjnych niż jakikolwiek inny człowiek w Ameryce. Początkowo nie chciał mieć z nami nic wspólnego, ale zmienił zdanie, kiedy odwrócili się od niego wszyscy ci kulturalni, cywilizowani ludzie w Waszyngtonie, Londynie i Watykanie... Był wściekły. Wywołał

huragan, który porwał również jego bratanicę. Jest może odrobinę egzaltowana, ale pełna poświęcenia i skuteczna, a co najważniejsze, może poruszać się w kręgach, do których żaden Żyd nigdy nie uzyskałby dostępu.

- Ale... dlaczego?

Na Boga, słuchaj! Skoncentruj się! Bądź rozsądny. Asher Feld zamilkł na chwilę, a w jego ciemnych, smutnych oczach pojawił się błysk nienawiści.

- Spotkała wielu spośród tych, których udało się wyciągnąć Goldsmithowi. Widziała zdjęcia, słyszała ich relacje. Wystarczyło. Była gotowa.

Dawid zaczynał powoli odzyskiwać jasność umysłu. Leslie stanowiła punkt oparcia, którego potrzebował, żeby powrócić z szaleństwa do rzeczywistości.

- Mimo to nadal sądzę, że Rhinemann kupił te plany...

- Dajże spokój! - przerwał mu Feld. - Byłeś przecież w Lizbonie. Ile razy twoi agenci -

najlepsi, jakich tylko miałeś - stwierdzali, że do Peenemünde nie da się przeniknąć? Przecież nawet niemiecki ruch oporu zrezygnował po pewnym czasie z jakichkolwiek prób.

- Jak widać, nie do końca. Przecież w tym bierze udział właśnie niemieckie podziemie! - To był ten błąd, na który czekałem, pomyślał Dawid.

- Gdyby sprawy tak się właśnie miały - odparł Feld, wskazując ruchem głowy na przewieszzone przez kanapę zwłoki Niemców - to ci ludzie musieliby być jego członkami.

Możesz być pewien, że wtedy byśmy ich nie zabili.

Spaulding wiedział, że siedzący naprzeciw niego człowiek mówi prawdę.

- Wtedy na ulicy w dzielnicy Parana, kiedy mnie pobili... - powiedział prędko. -

Widziałem ich dokumenty. To było Gestapo!

- To byli nasi ludzie z Haganah. Trudno sobie wyobrazić lepsze przebranie. Gdyby należeli do

Gestapo, to musieliby wiedzieć, kim jesteś, a sądzisz, że wtedy zostawiliby cię przy życiu?

Dawid chciał już zaprotestować, że Gestapo nie ryzykowałoby zabójstwa w neutralnym kraju, ale niemal natychmiast pojął bezsensowność tych argumentów. Buenos Aires to nie Lizbona. Oczywiście, że by go zabili. W tym momencie przypomniał sobie słowa Heinricha Stoltza: „Sprawdziliśmy u samego źródła... To nie Gestapo... Niemożliwe...” A zaraz potem dziwnie nieudolne usprawiedliwienia: „Nie wszyscy podzielają rasowe teorie Hitlera i Rosenberga... To przede wszystkim problem ekonomiczny...” Obrona tego, czego obronić się nie dało, w ustach człowieka lojalnego rzekomo nie wobec Trzeciej Rzeszy, tylko Ericha Rhinemanna. Wobec Żyda.

Wreszcie to, co powiedział Bobby Ballard: „To fanatyk... Prawdziwy junkier...”

- Boże... - wyszeptał bezwiednie Spaulding.

- Pan rozdaje karty, panie pułkowniku. Jaką podejmie pan decyzję? Jesteśmy gotowi umrzeć. Nie staram się sprawić na panu wrażenia heroicznego bohatera, tylko po prostu stwierdzam fakt.

Dawid stał bez ruchu.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, co to wszystko oznacza? - zapytał cicho, z niedowierzaniem w głosie.

- Zdawaliśmy sobie z tego sprawę od samego początku, kiedy Walter Kendall spotkał się w Genewie z Johannem Dietrichem.

Dawid uniósł raptownie głowę.

- Jak? Dietrich?

- Owszem. Nieudacznym spadkobiercą *Dietrich Fabriken*.

- J.D. - szepnął Spaulding, przypominając sobie pomięte, zażółcone kartki papieru z nowojorskiego biura Kendalla. Piersi, penisy, swastyki... Bezwstydne, nerwowe bazgroły zakompleksionego, obrzydliwego człowieka. - Johann Dietrich... J.D...

- Altmüller kazał go zlikwidować w taki sposób, by...

- Dlaczego?

- Według nas dlatego, żeby usunąć wszelkie dowody wskazujące na jego powiązania z Ministerstwem Zbrojeń, a tym samym z Najwyższym Dowództwem. Dietrich zapoczątkował

negocjacje, doprowadzając je do stadium, w którym mogły zostać przeniesione do Buenos Aires i przekazane Rhinemannowi. Z chwilą jego śmierci Najwyższe Dowództwo znalazło się poza wszelkimi podejrzeniami.

Przez głowę Spauldinga przebiegały pośpiesznie urywane myśli. Kendall w panice uciekł z Buenos

Aires. Coś poszło nie tak, jak planował. Bał się, że wpadnie w pułapkę i zostanie zabity. On, Dawid, miał zabić Rhinemanna. Był to drugi powód jego pobytu w Argentynie, niemal tak ważny, jak sprawa planów. Z chwilą śmierci Rhinemanna również i Waszyngton znajdzie się „poza wszelkimi podejrzeniami”.

A przecież był jeszcze Edmund Pace.

Nie, tylko nie to...

- W Fairfax został zastrzelony człowiek - powiedział Dawid. - Pułkownik Edmund Pace...

- Nie dało się tego uniknąć - przerwał mu Asher Feld. - Był wykorzystywany w dokładnie ten sam sposób, jak pan. Nie zdając sobie sprawy z konsekwencji lub też nie chcąc zdać sobie z nich sprawy, pułkownik Pace przygotowywał operację „Tortugas”,

- Mogliście mu po prostu o tym powiedzieć! Nie musieliście go zabijać! Dranie!

Feld westchnął ciężko.

- Obawiam się, że nie zdaje pan sobie sprawy z historii, w jaką wpadli wasi przemysłowcy, niemieccy zresztą też... Musieliśmy go wyeliminować, dzięki czemu zneutralizowaliśmy Fairfax.

Dyskusja na temat sensowności śmierci Pace’a była kompletnie bezcelowa.

Pragmatyczny Feld miał rację, Fairfax zostało odsunięte od operacji „Tortugas”.

- W takim razie Fairfax o niczym nie wie.

- Wie nasz człowiek, ale nie wszystko.

- Kto to jest?

Feld wskazał na swego milczącego towarzysza.

- On nie wie, a ja nie powiem. Nawet gdyby miał mnie pan zabić.

Spaulding zdawał sobie sprawę z tego, że ciemnooki Żyd mówi prawdę.

- Pace i ja byliśmy wykorzystywani... Przez kogo?

- Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć.

- Przecież wie pan tak dużo... Na pewno snuł pan jakieś domysły.

- Najprawdopodobniej przez człowieka, który wydawał panu rozkazy.

- On...

- Wiem. Nie jest dobry, prawda? Ale są jeszcze inni.

- Kto? Gdzie to się kończy? W Ministerstwie Wojny? W Białym Domu? Gdzie, na Boga?

- W tego typu operacjach nazwy nic nie znaczą. Po prostu nie istnieją.

- Ale zostają ludzie! Oni nie znikają!

- W takim razie należy szukać tych, którzy rozmawiali w Afryce Południowej z Koeningiem. Ludzie Kendalla. To oni zaplanowali „Tortugas”. - Głos Felda przybrał na sile. -

Ale to już pańska sprawa, panie pułkowniku. Nam zależy wyłącznie na tym, żeby transakcja nie doszła do skutku. Jesteśmy gotowi zginąć, żeby to osiągnąć.

Dawid spojrział na swego rozmówcę.

- To znaczy dla was aż tak dużo? Mimo tego, co wiecie? Czy warto?

- Trzeba mieć jakąś skalę wartości, pułkowniku Spaulding. Jeżeli Peenemünde wznowi produkcję, Rzesza zyska argument przetargowy, którego my nie możemy zaakceptować. Proszę pomyśleć o Dachau, Auschwitz, Belsen... Po prostu nie możemy.

Dawid okrążył stół i stanął tuż przed dwoma Żydami, po czym schował Berettę do kabury i spojrział Feldowi prosto w oczy.

- Jeżeli mnie pan okłamał, to zabiję pana, a potem wrócę do Lizbony, odszukam w górach i wymorduję wszystkich fanatyków Haganah, jacy się tam kryją. Tych, którzy mi się wymkną, oddam w ręce Gestapo... Załóżcie płaszcze i idźcie stąd. Wynajmijcie pokój w hotelu Alvear na nazwisko... Pace. E.Pace. Skontaktuję się z wami.

- Nasza broń? - zapytał Feld, wciągając na ramiona swój szary płaszcz.

- Zatrzymam ją. Jestem pewien, że stać was na nową... I radzę nie czekać na nas na zewnątrz. Okolica jest patrolowana przez marines.

- A co z „Tortugas”? - W głosie Ashera Felda pojawiła się błagalna nuta.

- Powiedziałem przecież, że się skontaktuję! - wybuchnął Spaulding. - Zabierajcie się stąd. I weźcie ze sobą Leslie, jest za rogiem, w dwudrzwiowym Renault. Oto kluczyki. -

Wyjął je z kieszeni i rzucił milczącemu towarzyszowi Felda, który chwycił je bez trudu. -

Macie ja odesłać do Kalifornii, najlepiej jeszcze dziś w nocy, a nie później, niż jutro rano.

Czy to jasne?

- Tak... Na pewno da nam pan znać?

- Wyoście się - powiedział po prostu Dawid, czując, jak nagle opuszczają go wszystkie siły.

Dwaj agenci Haganah wstali z krzeseł. Młodszy podszedł do leżącego na podłodze mężczyzny, podniósł go i zarzucił sobie na ramię. W drzwiach Asher Feld odwrócił się i obrzucił przelotnym spojrzeniem martwe ciało, koncentrując je następnie na twarzy Spauldinga.

- Pan i ja... Musimy zdecydować, co jest najważniejsze. Nie sądziłem, że człowiek z Lizbony jest kimś tak niezwykłym. - Otworzył drzwi, przytrzymując je dla swego kompana, po czym wyszedł za nim i zamknął je starannie.

- Gdzie są plany? - zapytał Dawid Lyonsa.

W chwili gdy rozpoczął się atak na dom przy Terraza Verde 15, Eugene Lyons uczynił rzecz niezwykłą. W swej istocie było to coś tak prostego, że aż eleganckiego. Chwycił

metalowy pojemnik z planami, otworzył okno sypialni i wyrzucił go na zewnątrz, w rosnący pięć stóp niżej klomb tygrysiich lilii. Zaraz potem zatrzasnął okno i pobiegł do łazienki, gdzie zamknął się na klucz.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, to znaczy szok, panikę i jego fizyczne ułomności, wybrał zupełnie nieoczekiwany wariant postępowania, to znaczy po prostu zachował zimną krew. Nie starał się ukryć pojemnika, tylko go usunął, w dodatku w bardzo łatwo dostępne miejsce. Przekraczało to dedukcyjne zdolności fanatyków, przyzwyczajonych do skomplikowanych wybiegów i zwodniczych podstępów.

Dawid wyszedł z Lyonsem przez tylne drzwi i wspólnie skierowali się do klombu z liliami. Następnie Spaulding wyjął pojemnik z drżących dłoni niemal kompletnie wycieńczonego uczonego i pomógł mu przedostać się na drugą stronę niskiego ogrodzenia, oddzielającego dwie posiadłości sąsiadujące ze sobą. Minawszy od tyłu dwa domy, ostrożnie zbliżyli się do ulicy; Dawid wychylił się nieznacznie, ściskając mocno ramię Lyonsa na wypadek, gdyby w razie niebezpieczeństwa musiał go nagle rzucić na ziemię.

W gruncie rzeczy jednak nie spodziewał się niczego w tym rodzaju, był pewien bowiem, że agenci Haganah wyeliminowali dokładnie wszystkich ludzi Rhinemanna; Asher Feld wyszedł przez frontowe drzwi nie zachowując żadnych środków ostrożności. Jedyne, czego należało się obawiać, to desperacka próba Haganah odzyskania planów lub nagłe pojawienie się jeszcze jednego pojazdu Rhinemanna, którego załogę zaniepokoiło przeciągające się milczenie nadajników tych, którzy strzegli willi przy Terraza Verde 15.

Każda z tych ewentualności była możliwa, ale mało prawdopodobna.

Było zarazem i za wcześnie, i za późno. Za to Dawid miał autentyczną nadzieję, że dostrzeże sunący wolno ulicą samochód z małymi, pomarańczowymi znaczkami na zderzakach, świadczącymi o tym, że jest on własnością rządu Stanów Zjednoczonych. W

środku powinni siedzieć opiekunowie przysłani przez Ballarda, czyli marines z bazy w La Boca.

Zobaczył go, stojący po drugiej stronie ulicy z włączonymi światłami pozycyjnymi.

Trzej mężczyźni znajdujący się we wnętrzu palili papierosy, których żarzące się punkciki rozjaśniały co chwila ciemność.

- Idziemy, powoli i jakby nigdy nic - szepnął do Lyonsa. - Tam jest nasz samochód.

W chwili gdy pojawili się na chodniku, kierowca i pasażer wysiedli z samochodu i stanęli przy masce. Obaj byli w cywilnych ubraniach.

- Wskakujcie do tego cholernego pudła i zabierzcie nas stąd! - syknął Spaulding, kiedy wraz z Lyonsem znalazł się po drugiej stronie jezdni. - Przy okazji możecie pomalować grata w pawie oczy. Na pewno nie zwracalibyście na siebie uwagi bardziej, niż teraz!

- Nie denerwuj się, koleś - odparł pojednawczym tonem kierowca. - Dopiero co przyjechaliśmy.

Otworzył tylne drzwi i Spaulding pomógł uczonemu wejść do środka.

- A poza tym, zdaje się, że mieliście krążyć po okolicy, a nie stać jak kołki! - Dawid wślizgnął się w ślad za Lyonsem. Mężczyzna siedzący przy oknie posunął się, żeby zrobić mu miejsce. Kierowca zamknął swoje drzwi i uruchomił silnik. Trzeci cywil pozostał na zewnątrz. - Wskakuj! - ponaglił go wściekłym szeptem Spaulding.

- On tu zostaje, panie pułkowniku - odezwał się człowiek siedzący obok Lyonsa.

- A kim ty jesteś, do cholery?

- Pułkownik Daniel Meehan z Wywiadu Marynarki Wojennej. Chcemy wiedzieć, co tu się dzieje, do diabła.

Samochód ruszył.

- Nie macie nic wspólnego z tą operacją - powiedział Dawid, wymawiając starannie każde słowo - a ja nie mam czasu lać miodu na czyjekolwiek urażone poczucie godności.

Proszę nas zawieźć do ambasady

- Pieprzę poczucie godności, panie pułkowniku! Po prostu potrzebne mi jest jakiegokolwiek, nawet najprostsze uzasadnienie. Czy pan wie, co się dzieje w naszej części miasta? Ta podróż do San Telmo to właściwie przyjemna przejażdżka i nie byłoby mnie tutaj, gdyby ten sprytny szyfrant nie wymienił pańskiego nazwiska!

Spaulding pochylił się, wbijając wzrok w twarz oficera.

- Chętnie usłyszę, co takiego dzieje się w waszej części miasta, panie pułkowniku. I dlaczego moje nazwisko jest wystarczającym powodem, żeby ściągnąć pana do San Telmo.

Mężczyzna odpowiedział mu równie twardym spojrzeniem, które następnie przeniósł na popielatoszarego Lyonsa.

- Proszę bardzo. Pański przyjaciel wie o sprawie?

- Teraz już tak. Chyba najwięcej z nas wszystkich.

- Wody przybrzeżne w okolicach Buenos Aires patrolują nasze trzy krążowniki w towarzystwie niszczyciela i lotniskowca. Pięć godzin temu zarządzono błękitny alarm: przygotować się do całkowitej ciszy radiowej, wstrzymać obserwację radarową i wszelki ruch naszych jednostek. Czterdzieści pięć minut później z Fairfax przychodzi depesza, stopień tajności 4-0: zlokalizować pułkownika Dawida Spauldinga, także 4-0, i dopilnować, żeby jak najprędzej nawiązał kontakt.

- Z Fairfax?

- Wyłącznie z Fairfax... Wysłaliśmy natychmiast człowieka do pańskiego mieszkania.

Zamiast pana zastał tam jakiegoś sukinsyna, przewracającego je do góry nogami. Wrócił po kilku godzinach z pokiereszowaną gębą i paroma guzami, i w tej samej chwili po publicznej linii dzwoni... kto?

- Ballard - odpowiedział spokojnie Dawid. - Szyfrant z ambasady.

- Otóż to, ten spryciarz we własnej osobie. Mówi nam, jakby nigdy nic, żebyśmy jechali do San Telmo i czekali, aż pan sam zechce nam się pokazać. - Oficer z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Powiedział pan, że błękitny alarm oznacza przygotowanie do ciszy radiowej.

- I całkowite unieruchomienie wszystkich okrętów i samolotów - uzupełnił Meehan. -

Co oni kombinują, do cholery? I kto? Sztab Generalny? Roosevelt? Churchill? A my kim jesteśmy? Nieprzyjaciółmi?

- Nie chodzi o to, co kombinują - powiedział ściszym głosem Dawid - tylko o to, co chcą otrzymać... Wyznaczyli dokładną godzinę?

- Wiemy tylko tyle, że może to nastąpić w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Trudno to nazwać dokładną godziną, prawda?

- Z kim mam się skontaktować w Fairfax?

- Proszę. - Meehan sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał Spauldingowi zapieczętowaną, żółtą kopertę!

Kakofonią trzasków i szumów ożyła nagle radiostacja zainstalowana między przednimi siedzeniami, a w chwilę potem z głośnika rozległo się wezwanie:

- „Czerwony ptak”!

Kierowca sięgnął pośpiesznie do mikrofonu.

- Tu „Czerwony ptak”.

Głos wyraźnie górował nad poziomem zakłóceń.

- W sprawie zlokalizowania Spauldinga: przechwycić go i przywieźć do bazy. Rozkaz 4-0 z Fairfax. Nie dopuścić do nawiązania kontaktu z ambasadą.

- Słyszał pan, panie pułkowniku - roześmiał się Meehan. - Ambasada odpada.

Dawid był kompletnie oszołomiony. Otworzył nawet usta, żeby kategorycznie, zdecydowanie zaprotestować, ale niemal natychmiast je zamknął. Fairfax... Czyli nie faszyci, tylko Haganah. Przecież Asher Feld wyraźnie to powiedział: Skrzydło Tymczasowych hołdowało zasadom praktycznego działania, najbardziej zaś praktycznym z celów w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin było unieruchomienie człowieka, który miał wysłać zaszyfrowany sygnał do Waszyngtonu. Bez tego sygnału nie zostanie wydany rozkaz zakazujący używania radia i radaru, i nieprzyjacielski okręt podwodny, który wynurzy się na powierzchnię w celu spotkania z trawlerem, zostanie dostrzeżony na ekranach i rozniesiony na drobne strzępy. Diamenty Koeniga, nieodzowne dla wznowienia produkcji w Peenemünde, spoczną na dnie Atlantyku.

O, ironio, pomyślał Spaulding. Ktoś w Fairfax robił dokładnie to, co należało zrobić, powodowany motywacjami zupełnie odmiennymi od tych, które były przyczyną działań podejmowanych przez Waszyngton i firmy lotnicze. Te motywacje, a dokładniej rzecz biorąc ich trzy czwarte, spoczywały w metalowym pojemniku u stóp Dawida.

Plany żyroskopów.

Spaulding oparł się nieco mocniej o ramię Lyonsa; wycieńczony naukowiec nadal wpatrywał się prosto przed siebie, ale zareagował na sygnał, odpowiadając niezbyt pewnym poruszeniem łokcia.

Dawid potrząsnął głową i donośnie westchnął, a następnie spojrzał jeszcze raz na żółtą kopertę, wzruszył ramionami i schował ją do kieszeni marynarki.

Wyciągnął z niej natomiast swój pistolet.

- Przykro mi, ale nie mogę przyjąć tych rozkazów, pułkowniku Meehan. - Lyons oparł

się głębiej, by umożliwić mu przyłożenie broni do głowy mężczyzny. - Proszę powiedzieć kierowcy, żeby jechał tam, gdzie mu każe. Nie chcę pana zabić, panie pułkowniku, ale nie zawaham się, jeśli będę musiał. Po prostu niektóre sprawy są ważniejsze od innych.

- Pracuje pan dla dwóch stron! O to właśnie chodziło tym z Fairfax.

Dawid ponownie westchnął, tym razem zupełnie szczerze.

- Chciałbym, żeby to było aż takie proste.

Lyons zasuptywał drżącymi rękami węzły na przegubach Meehana. Kierowca znajdował się jakąś

mię od nich, leżąc związany na skraju wysokiej trawy. Istniało bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, żeby ktoś uwolnił go przed świtem, byli bowiem w mało uczęszczanym rejonie Colinas Rojas.

Lyons odsunął się o krok i skinął głową.

- Niech pan wsiada do wozu - polecił Spaulding.

Uczony ponownie skinął głową i ruszył w kierunku samochodu. Meehan przetoczył się na plecy, żeby spojrzeć na Dawida.

- Jesteś już trupem, Spaulding. W rozkładzie dnia masz spotkanie z plutonem egzekucyjnym. Oprócz tego, jesteś także durniem. Nie widzisz, że twoi hitlerowscy przyjaciele przegrywają tę wojnę?

- I słusznie - odparł Dawid. - Co zaś do egzekucji, to może ich być całkiem sporo, i to w samym Waszyngtonie. Właśnie o to toczy się gra, panie pułkowniku... Jutro na pewno ktoś was tutaj znajdzie, ale jeśli pan sobie życzy, to oczywiście może pan już teraz zacząć się czołgać na zachód. Po mniej więcej mili powinien pan się spotkać z kierowcą... Przykro mi.

Spaulding rozłożył ramiona ze współczuciem, które odczuwał tylko w niewielkim stopniu, po czym odwrócił się i skierował do samochodu. Lyons już siedział na miejscu obok kierowcy; kiedy Spaulding otworzył drzwi, światło lampki umieszczonej nad wstecznym lusterkiem padło na oczy uczonego. Czy możliwe, żeby znajdowało się w nich coś w rodzaju cienia aprobaty, czy nawet wdzięczności? Nie było czasu na zastanawianie się nad tym, więc Dawid tylko uśmiechnął się łagodnie i powiedział:

- Wiem, że to było dla pana okropne, ale nic innego nie mogłem zrobić. Jeśli pan chce, mogę odwieźć pana do ambasady. Będzie tam pan bezpieczny.

Uruchomiwszy silnik skierował samochód na stromy podjazd, jeden z wielu w Colinas Rojas. Za jakieś dziesięć do piętnastu minut powinni dotrzeć do głównej drogi, a wkrótce potem do jakiegoś postoju taksówek na przedmieściu. Wsadzi w jedną z nich Lyonsa i każe kierowcy zawieźć go do ambasady amerykańskiej. Nie było to całkiem po jego myśli, ale czy miał jakieś inne wyjście?

Nagle, tuż koło siebie, usłyszał głos. Głos! Co prawda stłumiony i chrapliwy, ale jednak głos, wydobywający się z głębi pokiereszowanego gardła.

- Zostanę... z panem. Razem...

Spaulding musiał mocniej chwycić kierownicę, żeby nie stracić panowania nad pojazdem. Szok wywołany tą niespodziewaną, okupioną wielkim wysiłkiem przemową - bo dla Lyonsa to naprawdę była przemowa - okazał się większy, niż można się było spodziewać.

Spojrzał na fizyka i w półmroku panującym we wnętrzu kabiny dostrzegł, że Lyons odpowiada mu

twardym, skupionym spojrzeniem. Najwyraźniej zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co robi, a właściwie, co obaj robią, nie dysponując żadną, ale to żadną alternatywą.

- W porządku - powiedział Dawid, starając się, żeby jego głos brzmiał możliwie pewnie i zdecydowanie. - Rozumiem. Jeden Bóg wie, jak bardzo potrzebuję pomocy. Obaj potrzebujemy. Coś mi się wydaje, że mamy teraz dwóch potężnych wrogów: Berlin i Waszyngton.

- Żadnych „ale”, Stoltz! - ryknął Dawid do telefonu w małej budce niedaleko Ocho Calle. W odległości dziesięciu stóp stał samochód z Lyonsem za kierownicą; silnik cicho szemrał na wolnych obrotach Fizek po raz ostatni prowadził przed ponad dwunastoma laty, ale za pomocą gestów i urywków słów przekonał Spauldinga, że w razie potrzeby da sobie radę.

- Nie wolno panu tego robić! - nadeszła przerażona odpowiedź.

- To ja jestem Pawłowem, a pan psem! A teraz proszę się zamknąć i słuchać! Na Terraza Verde wydarzyło się nieszczęście, jeżeli pan jeszcze o tym nie wie. Pańscy ludzie nie żyją, moi zresztą też. Udało mi się uratować plany i Lyonsa. Pańskie nie istniejące Gestapo wzięło się ostro do pracy!

- To niemożliwe!

- Powiedz to trupom, ty nieudolny sukinsynu! I nie zapomnij wszystkiego posprzątać... Muszę mieć resztę planów, Stoltz. Dam panu znać. - Dawid rzucił słuchawkę na widełki i popędził do samochodu. Teraz pora na radio, potem koperta z Fairfax, a na końcu Ballard. Najważniejsze, żeby robić tylko jedną rzecz na raz.

Otworzywszy drzwi wślizgnął się na miejsce obok Lyonsa. Fizek wskazał na radiostację.

- Znowu... - wykrztusił z trudem.

- To dobrze - odparł Spaulding. - Są zaniepokojeni, więc tym uważniej nas wysłuchają.

Przełączył główny wyłącznik i uniósł do ust mikrofon, ściskając go z taką siłą, że aż wgiał metalowe sitko. Zasłoniwszy go częściowo dłonią zaczął nim wykonywać koliste ruchy, by osiągnąć jeszcze większe zniekształcenie dźwięku.

- „Czerwony ptak” do bazy... „Czerwony ptak” do bazy...

- Tu baza - odezwał się natychmiast zirytowany głos. - Co się z wami dzieje, do cholery? Wywołujemy was od prawie dwóch godzin! Ten Ballard dzwoni i dzwoni. Gdzie jesteście, u diabła?

- Tu „Czerwony ptak”... Czy nie odebraliście naszego ostatniego meldunku?

- Jakiego meldunku? Do cholery, nawet teraz ledwo was słyszę! Poczekaj, wezwę dowódcę...

- Nie marnuj czasu. Znowu zanika fonia, śledzimy Spauldinga. Jedzie samochodem i jesteśmy jakies

dwadzieścia siedem lub osiem mil na północ od... - Dawid raptownie zamilkł.

- „Czerwony ptak”! „Czerwony ptak”! Niech to szlag trafi! Na północ od czego? Nie słyszę cię, „Czerwony ptak”! Halo!

- Tu „Czerwony ptak” - powiedział Spaulding wprost do mikrofonu. - To radio można sobie o dupę potłuc. Powtarzam, żadnych problemów. Wracamy do bazy za mniej więcej... -

Wyciągnął rękę i ponownie pstryknął wyłącznikiem.

Zaraz potem wysiadł z samochodu i wrócił do budki.

Tylko jedna rzecz na raz. Bez zbędnego pośpiechu i paniki, każda czynność przeprowadzona starannie i dokładnie.

Teraz kolej na depezę z Fairfax z nazwiskiem człowieka, który miał za zadanie wyłączyć go z gry. Człowieka usytuowanego tak wysoko w hierarchii, że mógł wysyłać tego rodzaju depeze z samego serca jednej z najlepiej strzeżonych siedzib wywiadu.

Człowieka, który w sylwestrową noc zastrzelił pułkownika Edmunda Pace’a.

Agenta Haganah.

Odczuwał nieopisaną pokusę, żeby jednym ruchem rozdrzeć kopertę otrzymaną od Meehana, ale opanował ją, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że będzie zdumiony i zaskoczony, niezależnie od tego, czyje nazwisko znajdzie w środku. Ktokolwiek to jest, to przeznaczył już dla niego miejsce w swoim planie, pomści śmierć przyjaciela.

Otrząsnął się z tych myśli, w tej chwili bowiem stanowiły dla niego wyłącznie przeszkodę, a tych jak na razie udało mu się szczęśliwie uniknąć. Nic nie mogło utrudnić ich sprawnego, ale ostrożnego przejazdu do Ocho Calle, nic nie powinno przeszkodzić w jego kontakcie z Heinrichem Stoltzem.

Wyjął z kieszeni żółtą kopertę i podważył pieczęć palcem.

W pierwszym momencie nazwisko nic dla niego nie znaczyło.

Pułkownik Ira Barden.

Nic.

Dopiero potem.

O, Boże! Przypomniał sobie wieczór sylwestrowy. Zgrywający twardziela waśniak, druga figura w całym Fairfax. „Najlepszy przyjaciel” Pace’a, oplakujący wojskowymi łzami jego śmierć, który zaaranżował przyjazd Spauldinga do bazy, żeby ten mógł wziąć udział w początkowej fazie manipulowanego śledztwa, oraz wykorzystał zgon „przyjaciela”, by dobrać się do jego tajnej kartoteki... i nic nie znaleźć.

Twierdził, że szyfrant nazwiskiem Marshall został zabity w Kraju Basków; obiecywał, że sprawdzi wszystkie informacje na temat Franza Altmüllera.

Było oczywiste, że nigdy tego nie zrobił.

Ten człowiek usiłował przekonać Dawida, żeby zrezygnował z obowiązku zachowania tajemnicy i ujawnił szczegóły zadania zleconego mu przez Ministerstwo Wojny.

Czego ten o mało co nie zrobił. A teraz żałował, że tak się nie stało.

Boże, dlaczego Barden nie zaufał mu? Bo nie mógł. Gdyby to uczynił, obudziłby w nim podejrzenia co do przyczyn śmierci Pace'a.

Ira Barden był może fanatykiem, ale na pewno nie głupcem. Wiedział że człowiek z Lizbony zabije go, gdy tylko się dowie, kto zamordował Edmunda Pace'a.

Lekcja Fairfax...

Walczymy ze sobą, zabijamy się nawzajem, nie wiemy, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem...

Po co?

Pojawił się drugi powód, dla którego koniecznie musiał skontaktować się z Ballardem.

Samo nazwisko to za mało; żeby stanąć twarzą w twarz z Asherem Feldem, trzeba było czegoś więcej.

Wziął do ręki słuchawkę, wrzucił monetę i wykręcił numer.

Odebrał sam Ballard; tym razem w jego głosie trudno było doszukać się choćby śladu humoru.

- Słuchaj, Dawid. - Chyba po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. - Nie zależy mi na tym, żeby znać wszystkie szczegóły, ale jeżeli już biorę w czymś udział, to chciałbym przynajmniej wiedzieć, co to jest!

- Zginęło wielu ludzi. Ja nie byłem wśród nich, z czego się cieszę, ale okoliczności wyglądały w ten sposób, że nie bardzo miałem czas cię zawiadomić. Czy czujesz się usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem?

Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza. Dawid domyślił się, że milczenie Ballarda jest spowodowane nie tylko koniecznością wchłonięcia nowej informacji, ale także obecnością przy nim kogoś trzeciego. Kiedy szyfrant wreszcie się odezwał, jego głos nie był

już zagniewany, a raczej pełen wahania.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. Jest ze mną Lyons.

- A więc marines się spóźnili... - Bobby chyba żałował swych wcześniejszych słów. -

Ciągle do nich dzwonię, ale udzielają wymijających odpowiedzi. Zdaje się, że stracili kontakt ze swoim wozem.

- Tak, bo ja go przejąłem.

- O, cholera!

- Zostawili w San Telmo jednego człowieka. Dwóm pozostałym nic się nie stało, tylko są... Hm, chwilowo wyeliminowani z akcji.

- Co to znaczy, do diabła?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia... Z Fairfax przyszedł rozkaz, żeby mnie uziemić.

Nikt w ambasadzie nie może o tym wiedzieć. To pułapka. Nie mogę pozwolić, żeby mnie dostali, w każdym razie, jeszcze nie teraz.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z Fairfax - stwierdził kategorycznie Ballard.

- Ale tym razem będziesz miał. Powiedziałem już Jean, że mają tam przeciek.

Potrzebuję czasu, być może aż czterdziestu ośmiu godzin, i muszę znać odpowiedź na kilka pytań. Lyons zgodził się mi pomóc. Na Boga, Bobby! Zaufaj mi!

- Mogę ci ufać, ale nie jestem tu żadną grubą rybą... Poczekaj, jest ze mną Jean.

- Tak myślałem.

Co prawda miał zamiar prosić o pomoc Ballarda, ale nagle zdał sobie sprawę, że znacznie bardziej może mu się przydać Jean.

- Dam ci ją, zanim zdrapie mi zupełnie skórę z ręki.

- Zaczekaj jeszcze chwilę. Czy możesz sprawdzić mi szybko kogoś z Waszyngtonu, a dokładniej z Fairfax?

- Musiałbym mieć powód. Ten ktoś na pewno się o tym dowie, szczególnie, jeśli jest z wywiadu.

- Gównu mnie to obchodzi, czy się dowie. Powiedz po prostu, że mi to potrzebne.

Mam kategorię 4-0, nawet G-2 ma to w swoich papierach. Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

- Kto to jest?

- Pułkownik Ira Barden. Zapisaleś?

- Tak. Ira Barden, Fairfax.

- Zgadza się. A teraz daj...

Nie zdążył dokończyć, bowiem zalał go potok słów Jean, stanowiących mieszankę pretensji, miłości, rozpacz i ulgi.

- Kochanie - powiedział, kiedy przebrzmiało ostatnie z kilkunastu pytań, na które w tej chwili nie potrafiłby odpowiedzieć - pewnego wieczoru złożyłaś mi propozycję, której wtedy nie chciałem brać poważnie pod uwagę. Teraz zmieniłem zdanie. Twój mityczny Dawid potrzebuje miejsca, w którym mógłby się schować. Pampasy odpadają, ale może być jakikolwiek ką, byle trochę bliżej... Czy możesz mi pomóc? Czy możesz nam pomóc?

Zadzwoń do Jean później, ale jeszcze przed świtem. Dokądkolwiek on i Lyons mieliby się udać, muszą uczynić to pod osłoną ciemności.

Do Waszyngtonu nie zostanie wysłany żaden sygnał umożliwiający sfinalizowanie ohydnej transakcji, a tym samym nie dojdzie do unieruchomienia floty i lotnictwa oraz zarządzenia ciszy w eterze. Dawid zdał sobie doskonale sprawę z tego, że jest to najprostszy i najpewniejszy sposób storpedowania operacji „Tortugas”.

Ale to za mało.

Za operacją „Tortugas” kryli się konkretni ludzie, których należało wydobyć z ciemnych, brudnych nor i wystawić na światło dzienne. Jeżeli cokolwiek miało jeszcze jakieś znaczenie, jeżeli lata cierpienia, strachu i bólu miały nie pójść na marne, to świat powinien ujrzeć ich w całej swej ohydzie.

Świat na to zasługiwał. Zasługiwały na to setki tysięcy tych, którzy do końca życia będą nosić blizny wojenne.

Oni wszyscy musieli znaleźć odpowiedź na pytanie „dlaczego?” Dawid przyjął rolę, jaka przypadła mu w udziale. Stanie twarzą w twarz z ludźmi odpowiedzialnymi za „Tortugas”. Ale nie może tego uczynić opierając się jedynie na świadectwie fanatycznego Żyda. W gruncie rzeczy słowa Ashera Felda, przywódcy Skrzydła Tymczasowych Haganah, nie stanowiły żadnego dowodu. Wszyscy fanatycy byli szaleńcami, a świat miał już dosyć i jednych, i drugich. Należało ich ignorować lub zabijać, albo robić obie te rzeczy na raz.

Dawid zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma żadnego wyboru.

Kiedy stanie twarzą w twarz z projektodawcami „Tortugas”, jego bronią będą tylko słowa Ashera Felda, nawet nie przypuszczenia i domysły, wynikające z poszczególnych manipulacji.

Oszustwa, kłamstwa, morderstwa.

Stanie przed nimi uzbrojony w to co widział na własne oczy i co mogą potwierdzić żywi świadkowie. Przedstawi argumenty nie do zbiccia, a potem ich zniszczy.

Jednak żeby to osiągnąć, musi dostać się na pokład trawlera przycumowanego do nabrzeża w Ocho Calle. Tego samego, który zostanie zatopiony w chwili, kiedy wyjdzie potajemnie z portu, by spotkać się z niemiecką łodzią podwodną.

To, że do tego dojdzie, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Tak właśnie postąpiłby każdy fanatyk, pozbywając się wszystkich dowodów za jednym zamachem.

Musi dostać się na pokład, zanim to nastąpi.

Wydał ostatnie polecenie Lyonsowi i wślizgnął się do ciepłej, oleistej wody Rio de la Plata. Fizyk zostanie w samochodzie, a jeżeli Dawid nie wróci w ciągu półtorej godziny, pojedzie do bazy marines i poinformuje dowódcę, że Spaulding został uwięziony na pokładzie trawlera. Agent amerykański - więźniem.

Plan był przemyślany i opierał się na zdrowych przesłankach. Rozkazy, które nadeszły z Fairfax, nakazywały jak najszybsze zlokalizowanie i przechwycenie pułkownika Spauldinga, nawet, gdyby w grę wchodziło zorganizowanie akcji zbrojnej. Na takie przedsięwzięcie, w dodatku w neutralnym porcie, trudno było wyobrazić sobie lepszą porę niż wpół do czwartej rano.

To była właśnie droga ucieczki, którą Dawid zawsze starał sobie tworzyć w chwilach największego zagrożenia. Prosta wymiana: jego życie w zamian za mniejsze zło. Nauczył się tego w Kraju Basków.

Jednak gdyby to zależało od niego, wolałby, żeby nie doszło do takiej sytuacji.

Istniało zbyt wiele sposobów na wyłączenie go z gry i było zbyt wielu przerażonych ludzi w Berlinie i Waszyngtonie, żeby pozwolić mu na ujście z życiem. Załamanie się operacji

„Tortugas” byłoby dla nich tylko porażką, natomiast ujawnienie całej prawdy - katastrofą.

Z pistoletem przywiązany mocno do głowy paskiem, który oddarł ze swojej koszuli, płynął w kierunku statku, starając się uchronić mechanizm spustowy przed kontaktem z wodą.

Cenę stanowiło kilka haustów obrzydliwej, oleistej cieczy i oślizgłe dotknięcie chyba węgorza, zwabionego poruszeniami białego ciała.

Wreszcie dotarł do kadłuba. Niewielkie fale pluskały, bezustannie obmywając stalową ścianę wyrastającą z wody. Zaczął powoli przesuwac się w kierunku rufy, wyęzając oczy i uszy w poszukiwaniu jakichś śladów życia.

Nic, tylko monotonne chlupotanie fal.

Pokład był oświetlony blaskiem kilku nagich żarówek, kołyszących się lekko w tak bujania kadłuba. Poza tym nic się nie poruszało i panowała zupełna cisza. Z nabrzeżem łączyły statek dwie konopne cumy, przesiąknięte wilgocią i cuchnącymi smarami; jedna na dziobie, druga w rejonie śródkręcia. Przy potężnych, zamkniętych na głucho drzwiach magazynu siedział na krześle samotny wartownik, ubrany w taki sam, paramilitarny strój, jaki mieli na sobie ludzie strzegący rezydencji Rhinemanna. Usadowiwszy się w blasku dwóch umieszczonych nad wrotami lamp czytał książkę, co Dawid odnotował ze sporym zdziwieniem.

Nagle rozległy się równomierne, wyraźne kroki i w krąg światła wszedł drugi wartownik, niosący w rękę skórzaną torbę z radiostacją - taką samą jak te, które mieli

„opiekunowie” pozostawieni przy willi Lyonsa.

Strażnik siedzący na krześle uśmiechnął się i powiedział po niemiecku:

- Mogę się z tobą zamienić, jeśli chcesz. Posiedź sobie trochę.

- Dzięki - odparł ten z radiem. - Wolę chodzić. Czas szybciej mija.

- Jakież wiadomości z Lujan?

- Bez zmian. Straszne zamieszanie i jakieś wrzaski. Zdaje się, że wszyscy próbują wydawać rozkazy.

- Ciekawe, co się stało w San Telmo...

- Na pewno nic dobrego. W każdym razie rozesłali ludzi po całym Ocho Calle.

- Widziałeś?

- Nie, ale rozmawiałem z Geraldo. Jest tam z Luisem. Przed magazynami, na ulicy.

- Mam nadzieję, że nie obudzą dziwek.

Człowiek z radiem roześmiał się.

- Nawet Geraldo jest lepszy od nich.

- Na twoim miejscu nie stawiałbym na to zbyt dużych pieniędzy - odparł siedzący na krześle.

Obaj mężczyźni ponownie wybuchnęli śmiechem, po czym nowo przybyły ruszył na obchód, pierwszy zaś pogrążył się w lekturze.

Dawid bezszelestnie podpłynął z powrotem do kadłuba statku.

Zaczęły boleć go ramiona, a smród bijący z wody stawał się nie do zniesienia. W

dotatku pojawił się dodatkowy problem: Eugene Lyons.

Uczony czekał w samochodzie mniej więcej w odległości ćwierć mili stąd, po drugiej stronie kanału, u samej nasady Ocho Calle. Jeżeli patrole Rhinemanna rzeczywiście zaczęły przeszukiwać okolicę, to bez wątpienia go znajdą. Spaulding nie przewidział takiej możliwości, a powinien.

Teraz jednak nie było już czasu, żeby o tym myśleć.

Na wysokości śródkręca przywarł do listwy wyznaczającej linię zanurzenia, żeby odpoczęły mu ramiona i barki. Trawler miał jakieś siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt stóp długości i około trzydziestu szerokości. Wnioskując z tego, co Dawid widział, zbliżając się do niego w ciemności, znajdujące się w jego środkowej i rufowej części kabiny mogły mieć odpowiednio mniej więcej piętnaście i dwadzieścia stóp, wejścia z obydwu końców i po dwa bulaje z każdej burty. Jeżeli diamenty Koeninga znajdowały się na pokładzie, to wydawało się logiczne, że zostaną umieszczone

na rufie, możliwie daleko od miejsc uczęszczanych przez załogę. Poza tym, było tam po prostu więcej miejsca i istniały niemal idealne warunki odosobnienia, jeśli zaś Asher Feld miał rację i nad sprawdzeniem wartości diamentów rzeczywiście pracowało dwóch lub trzech naukowców z Peenemünde, to z całą pewnością pozostawali oni pod ścisłą strażą i nie pozwalano im zajmować się niczym innym niż zleconym zadaniem.

Po pewnym czasie Dawid przekonał się, że jego mięśnie odpoczęły, a oddech znacznie się uspokoił. Już niedługo dowie się, czy i gdzie na statku znajdują się diamenty. Już niedługo.

Odwiązał opasujący mu głowę kawałek materiału i mocno uchwycił rękojeść pistoletu. Strzęp koszuli odpłynął, uniesiony prądem, on zaś przywarł do kadłuba i spojrzął w górę; krawędź burty wznosiła się na sześć do siedmiu stóp nad powierzchnię wody. Będzie potrzebował obydwu rąk, żeby wspiąć się na tę wysokość.

Wypluł resztki cuchnącej cieczy i zacisnął zęby na lufie pistoletu, a następnie wytarł

starannie ręce w spodnie, stanowiące jego jedyny strój, usiłując pozbyć się z nich lepkiego, śliskiego osadu.

Kiedy uznał, że nic lepszego już mu się nie uda osiągnąć, chwycił się listwy lewą ręką i wybił się z całej siły z wody, sięgając prawą do kolejnego, biegnącego wzdłuż całego kadłuba zgrubienia. Uczepiwszy się półcalowego występu zawisł na chwilę na jednej ręce, żeby zaraz dołączyć do niej drugą i przycisnąć się całym ciałem do chropawej powierzchni.

Jego boscie nogi dotykały niemal powierzchni wody, od górnej zaś krawędzi burty dzieliło go już tylko nie więcej niż trzy stopy.

Powoli podciągnął kolana, aż oparł palce stóp na linii zanurzenia i pozwolił sobie na krótki odpoczynek, wiedząc jednak, że nie może trwać zbyt długo. Po chwili napiął

maksymalnie mięśnie brzucha i szorując klatką piersiową po powierzchni ostrej niczym tarka wyprostował się, wyrzucając w górę obie ręce. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jeżeli nie uda mu się chwycić krawędzi burty, runie z pluskiem do wody, ściągając na siebie uwagę wartowników.

Lewa dłoń znalazła oparcie, natomiast prawa ześlizgnęła się, ale to nie miało już większego znaczenia.

Podciągnął się do góry, szorując ciałem po chropawym kadłubie, aż na piersiach i brzuchu pojawiły się smużki krwi. Przerzuciwszy lewe ramię na wewnętrzną część burty wyjął z ust pistolet. Zgodnie ze swymi oczekiwaniami znajdował się na śródokręciu, między kabinami, zasłonięty nadbudówką przed wzrokiem wartownika siedzącego na nabrzeżu.

Bezszelestnie przetoczył się na wąski pokład i podkradł się do drewnianej ściany nadbudówki. Oparłszy się o nią plecami uniósł się ostrożnie, cal po calu, a następnie przysunął do najbliższego bulaja. Był otwarty, by wpuścić do środka ożywcze, nocne powiewy, ale częściowo przesłonięty jakąś obskurną zasłoną. W drugim bulaju nie było żadnych zasłon, ale znajdował się zaledwie kilka

stóp od narożnika nadbudówki i Dawid obawiał się, że gdyby z niego skorzystał, pełniący służbę na rufie wartownik mógłby go zauważyć. To, że nikogo takiego nie dostrzegł z wody, jeszcze o niczym nie świadczyło.

Będzie musiał mu wystarczyć pierwszy bulaj.

Przycisnął mokry policzek do zwietrzałej, popękanej uszczelki i zajrzał do środka.

„Zasłona” okazała się pogiętym arkuszem czarnego kartonu; z sufitu na grubym kablu zwisała goła żarówka, natomiast kabel biegł po suficie i ścianie do otworu w drugiej burcie i dalej, na nabrzeże. Najwyraźniej podczas postoju w porcie starano się oszczędzać generatory statku.

Obok żarówki wisiał dziwnie wygięty, płaski kawałek metalu. Jego przeznaczenie stało się jasne, kiedy Dawid spojrział w przeciwny kąt kabiny, gdzie dostrzegł cztery koje, a na nich ludzi pogrążonych we śnie. Kawałek metalu odbijał częściowo światło żarówki, dzięki czemu jej blask nie padał bezpośrednio na śpiących.

W drugim końcu pomieszczenia, tuż przy ścianie stał długi stół, przypominający fragment wyposażenia jakiegoś laboratorium szpitalnego. Był przykryty nieskazitelnie białym płótnem, na nim zaś stały w idealnie równych odległościach cztery silne mikroskopy, a obok każdego z nich lampa, podłączona do dwunastowoltowego akumulatora umieszczonego pod stołem. Na podłodze, dokładnie naprzeciwko mikroskopów, stały cztery białe, wysokie stołki; wszystko razem kojarzyło się z kliniczną czystością zupełnie nie pasującą do otoczenia.

To dobre słowo, pomyślał Dawid. Mała, kliniczna wysepka, otoczona zewsząd brudem i smrodem.

I właśnie wtedy zobaczył je. W kącie.

Pięć stalowych skrzyń o wiekach zaopatrzonych w potężne zawiasy i budzące respekt zamki. Na każdej z nich widniał wyraźny napis: KOPALNIE KOENINGA.

A więc to prawda. Niewiarygodna, niesamowita, ale jednak prawda.

„Tortugas”.

Ohydna transakcja dokonywana za pośrednictwem Ericha Rhinemanna.

Ostateczny dowód znajdował się niemal w zasięgu ręki. Musi go zdobyć.

Do tej pory czuł tylko strach, ale teraz przytłumiły go wściekłość i pokusa. Były wystarczająco silne, żeby przygłuszyć wszelkie obawy i zmusić go, by skoncentrował się wyłącznie na jednej sprawie i uwierzył - wiedząc z góry, że to nieprawda - w jakąś swoją mistyczną nietykalność, którą zyskał na kilka bezcennych minut.

Nie potrzebował niczego więcej.

Schylił się, przebiegł pod pierwszym bulajem i zbliżył się do drugiego. Zajrzał do środka; z tego

miejsca widział dokładnie drzwi kabiny. Były zupełnie nowe, z całą pewnością nie należały do oryginalnego wyposażenia trawlera. Stalowe, zamknięte na metalowy rygiel o średnicy co najmniej jednego cala.

Uczeni z Peenemünde znajdowali się nie tyle w klinicznej izolacji, co po prostu w więzieniu.

Ten rygiel stanowił dla Dawida jego własne, osobiste przejście przez Alpy; musiał zostać pokonany bez żadnego specjalistycznego wyposażenia.

Przykucnął i przysunąwszy się do rogu nadbudówki powoli, milimetr po milimetrze, wysunął część głowy.

Tak, jak się spodziewał, na rufie trawlera stał strażnik - znudzony, zirytowany swoją beczynnością, całkowicie odprężony, ale jednocześnie mający serdecznie dosyć swojej bezużyteczności. Nie miał na sobie paramilitarnego stroju obowiązującego w *Habichtsnest*, lecz luźny kombinezon, podkreślający zwalistą sylwetkę i potężne bary. Jego włosy były krótko ostrzyżone, jak u żołnierzy Wehrmachtu.

Stał oparty o kołowrót służący do wyciągania sieci, paląc cienkie cygareto i wydychając dym w ciemność. Przez ramię miał przewieszony karabin automatyczny; nie dotykał go od co najmniej kilkudziesięciu minut, zarówno bowiem na skórzanym pasie, jak i na metalowej powierzchni zdążył się uformować wilgotny osad.

Skórzany pas... Dawid odpiął swój pasek i wyciągnął go ze spodni, a następnie cofnął

się głębiej za nadbudówkę, wziął do ręki jeden z metalowych bolców leżących na pokładzie i zastukał nim dwukrotnie w burtę. Po chwili przerwy zrobił to ponownie, a potem jeszcze raz.

Usłyszał szurgot stóp, strażnik zmienił pozycję.

Znowu zastukał. Ciche, rytmiczne odgłosy stanowiły wystarczający powód, żeby się nimi zainteresować, nie podnosząc od razu alarmu.

Rozległy się niespieszne kroki. Wartownik szedł w tę stronę, nie tyle zaniepokojony, co po prostu ciekawy. Może to kawałek niesionego przez wodę drewna, stukającego w kadłub w rytm kołysania fali?

W chwili gdy wyłonił się zza rogu, Dawid zarzucił mu na szyję swój pasek i ścisnął, tłumiąc w zarodku przerażony krzyk. Wzmógł nacisk i strażnik osunął się na kolana; choć znajdowali się w półmroku, rozjaśnionym jedynie niezbyt mocnym światłem wydobywającym się z bulaja, Spaulding widział wyraźnie, jak twarz jego ofiary robi się coraz bardziej czerwona, a usta wykrzywają się w bezradnym grymasie.

Nie pozwolił, żeby wartownik stracił przytomność - czekała go przecież jeszcze przeprawa przez Alpy. Wsadził pistolet w spodnie i sięgnąwszy do pochwy przytroczonej do pasa strażnika wyszarpnął z niej długi bagnet, ulubioną broń wszystkich komandosów, rzadko kiedy umocowywaną

do lufy karabinu.

- *Español? Deutsch?* - zapytał, przystawiwszy ostrze do oczodołu mężczyzny.

Poczuł, jak mięśnie ofiary naprężają się w spazmatycznym skurczu. Zaciśnął mocniej uchwyt i ponowił pytanie.

- *Deutsch?*

Wartownik z trudem skinął głową.

Oczywiście, że to Niemiec, pomyślał Spaulding. I do tego hitlerowiec. Wystarczyło spojrzeć na ubranie i włosy. Peenemünde należało jednak do Trzeciej Rzeszy i nic dziwnego, że uczonych strzegli ich ziomkowie. Przekręcił bagnet o sto osiemdziesiąt stopni, powodując, że pod okiem strażnika pojawiła się niewielka, krwawa plamka.

- Zrobisz dokładnie to, co ci powiem, albo wydlubię ci oczy - szepnął mu do ucha. -

Rozumiesz?

Mężczyzna ponownie skinął głową.

Wstań, podejdź do bulaja i powiedz, że masz pilną wiadomość od Franza Altmüllera -

szepnął Dawid po niemiecku. - Muszą wpuścić cię do środka i podpisać. Pamiętaj, że jedno słowo za dużo i ten bagnet znajdzie się w twoim oku!

Wartownik stanął na uginających się pod nim nogach, a Dawid pchnął go w kierunku bulaja, luzując jednocześnie nieznacznie pasek zaciśnięty na gardle Niemca. Sam stanął tuż obok, nie zmieniając położenia trzymanego w prawej dłoni bagnetu.

- Teraz! - szepnął, ponownie przekręcając ostrze.

W pierwszej chwili głos wartownika był sztuczny i napięty. Spaulding wykonał

ostrzegawczy ruch; Niemiec wiedział, że jeśli się nie postara, zostało mu co najwyżej kilka sekund życia.

Postarał się.

Z wnętrza kabiny dobiegło skrzypienie materaca i głośne narzekania, które jednak ucichły w chwili, kiedy padło nazwisko Altmüllera.

Z dolnej koi wstał niski mężczyzna w średnim wieku i powlókł się do drzwi. Miał na sobie tylko krótkie spodenki. Dawid przeciągnął strażnika na drugą stronę nadbudówki i w chwili, kiedy rozległ się odgłos odsuwanej rygli, uderzył nim z całej siły w stalowe drzwi, które otworzyły się, wpuszczając ich do środka. Spaulding wypuścił z ręki nóż, wyciągnął

pistolet i przyłożył lufę do głowy małego naukowca.

- *Schweigen!* - szepnął chrapliwie. - *Wenn Ihnen Ihr Leben lieb ist!* Trzej pozostali mężczyźni, wszyscy raczej podeszli wiekiem, poderwali się z koi i stanęli bezradnie, drżący i przerażeni. Strażnik, któremu Dawid pozwolił runąć na podłogę, poruszył się, usiłując podnieść się na nogi; Spaulding nachylił się nad nim i uderzył ręką pistoletu w skroń, pozbawiając go przytomności.

Najstarszy spośród uczonych wpatrywał się w Dawida bez zmrużenia oczu, a on z jakichś tajemniczych przyczyn poczuł nagle coś w rodzaju wstydu. Przemoc zupełnie nie pasowała do tego aseptycznego miejsca.

- Nic do was nie mam - powiedział przyciszonym głosem po niemiecku. -

Wykonujecie rozkazy. Ale nie łudźcie się, zabiję was, jeśli spróbujecie podnieść alarm! -

Wskazał pistoletem na plik pokrytych liczbami kartek, leżący obok jednego z mikroskopów. -

Ty! - skinął na jednego z mężczyzn. - Podaj mi to!

Starszy człowiek podreptał pośpiesznie we wskazanym kierunku, wziął kartki ze stołu i przyniósł Dawidowi, który wepchnął je do kieszeni przemoczonych spodni.

- Dzięki... A teraz otwierajcie te skrzynie. Wszystkie!

- Nie!... Nie, na litość boską! - wykrztusił ze strachem ten, który górował wzrostem nad pozostałymi.

Dawid chwycił stojącego najbliżej uczonego, zacisnął dłoń na szczupłym, słabym ramieniu i przyłożył mu broń do skroni.

- Otwórzcie je, albo on zginie - oświadczył spokojnym, rzeczowym tonem. - Jeżeli to nie poskutkuje, zabiję następnego. Wierście mi, nie mam wyboru.

Najniższy z całej czwórki spojrzał błagalnie na wysokiego. Dawid słusznie domyślił

się, że najważniejszy jest właśnie ten starzec, którego ramię ścisnął w swojej dłoni. Stara prawda jeszcze raz znalazła potwierdzenie: jeśli masz do czynienia z Niemcami, zawsze zaczynaj od przywódcy.

Wysoki uczonego skierował się z ociąganiem do ściany, przy której stał stół

laboratoryjny, i zdjął jeden z kluczy wiszących w nienagannym porządku na ścianie, z którym następnie nachylił się nad pierwszą z rzędu skrzynią. Szczęknął mechanizm zamka.

- Otwórz wieko! - polecił Dawid.

Był tak podniecony, że zapomniał na chwilę o środkach ostrożności i powiedział to niemal głośno.

Wiek okazał się bardzo ciężki, Niemiec musiał bowiem użyć obydwu rąk, zmarszczki zaś koło oczu i na wpół uchylone usta świadczyły o wysiłku, jaki musiał w to włożyć. Kiedy pokrywa odchyliła się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni od swego poprzedniego położenia, napięły się podtrzymujące łańcuchy i stuknęły zatrzaski, unieruchamiając ją w tej pozycji.

Wewnątrz znajdowało się coś w rodzaju szklanego, podzielonego na kilkanaście części akwarium z wysuwanymi tackami. Na każdej tacce, wyłożonej ochronnym, miękkim tworzywem, leżało kilka papierowych kopert.

Dawid uwolnił swego więźnia i pchnął go w kierunku pozostałych, nakazując ruchem pistoletu, by przeszedł tam również ten, który otworzył skrzynię, sam zaś zbliżył się do niej, wziął pierwszą z brzegu kopertę i otworzył, rozdzierając krawędź zębami. Wysypały się z niej małe, przezroczyste kamyki, rozbiegając się we wszystkie strony po podłodze.

Diamenty Koeniga.

Nie spuszczać z oka niemieckich naukowców zmiął pustą kopertę w dłoni. Wszyscy jak urzeczeni wpatrywali się w rozsypane kamienie.

Trudno im się dziwić, pomyślał Dawid, jeśli weźmie się pod uwagę, że właśnie od tego zależało dalsze działanie Peenemünde. W skrzyniach znajdowały się narzędzia, dzięki którym z nieba miała runąć ulewa śmierci na tysiące ludzi, podobnie jak plany nowych żyroskopów miały umożliwić nową, bezlitosną masakrę.

Miał już odrzucić z obrzydzeniem pustą kopertę i napełnić kieszenie kilkoma innymi, kiedy przypadkiem spostrzegł na niej fragment jakiegoś wyrazu. Rozwinął ją, cały czas trzymając broń skierowaną na czterech Niemców, i odczytał pojedyncze słowo: *echt*.

Prawdziwe. Autentyczne. Diamenty z tej koperty, a prawdopodobnie i z całej skrzyni, przeszły już kontrolę.

Zgarnął kilka kopert i zaczął je upychać po kieszeniach.

To było wszystko, czego potrzebował.

Dowód. Potwierdzenie.

Mógł zrobić jeszcze tylko jedno, ale o bardziej bezpośrednim, praktycznym znaczeniu; przeszedł wzdłuż stołu, miażdżąc rękojeścią pistoletu okulary wszystkich czterech mikroskopów, a następnie rozejrzał się w poszukiwaniu charakterystycznej skrzyneczki z wymiennymi elementami optycznymi. Musi gdzieś być, do diabła!

Znalazł ją na podłodze, pod stołem. Wysunął nogą, otworzył wieko i wysypał całą zawartość na podłogę, a następnie chwycił najbliższy stółek i uderzył kilkakrotnie w przedmioty wykonane z metalu i szkła.

Zniszczenie nie było całkowite, ale wystarczające, żeby uniemożliwić jakiegokolwiek prace przez co

najmniej czterdzieści osiem godzin.

Zaczął się powoli wyprostowywać z pistoletem cały czas zwróconym w stronę uczonych, kiedy usłyszał, a właściwie wyczuł niebezpieczeństwo; w niewyobrażalnie krótkim ułamku sekundy pojął, że zginie, jeśli natychmiast nie usunie się z linii ciosu.

Rzucił się w prawo, padając na podłogę, i w tej samej chwili dłoń zaciśnięta na rękojeści bagnetu przeszła powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdował

się jego kark.

Zostawił ten cholerny bagnet na podłodze! Zostawił go, jakby to był jakiś spróchniały patyk, w tymczasem wartownik odzyskał przytomność i dorwał się do niego!

Niemiec zdążył wydać tylko jeden, zduszony krzyk, zanim cios zadany ręką Dawida trafił go z taką siłą, że spod głowy, która z głuchym hukiem uderzyła w podłogę, zaczął od razu wyciekać pulsujący strumyczek krwi.

Ale to nie wystarczyło.

- Coś nie w porządku? - dobiegł z zewnątrz zaniepokojony głos strażnika pełniącego służbę na lądzie.
- Wołałeś mnie, Heinrich?

Nie było ani sekundy do stracenia.

Dawid rzucił się do stalowych drzwi, otworzył je raptownym szarpnięciem i wypadł

na zewnątrz, kierując się natychmiast za nadbudówkę, ku zasłoniętej przez nią części śródkręcia. W chwili, kiedy tam się znalazł, od strony dziobu nadbiegł trzeci, nie zauważony przez niego wcześniej wartownik, który natychmiast strzelił z biodra, nie celując.

Spaulding odpowiedział strzałem i jednocześnie poczuł, jak bok zalewa mu fala ciepłej krwi; kula otarła mu się o żebra, pozostawiając po sobie głęboką szramę.

Rzucił się przez reling do wody, słysząc, jak na pokładzie i nabrzeżu wybucha rozgardiasz zdezorientowanych okrzyków.

Wpadł z głośnym pluskiem do brudnej, oleistej wody i zaczął płynąć, starając się za wszelką cenę nie stracić głowy. Gdzie jest, w którym miejscu? Dokąd powinien uciekać? Na Boga, dokąd?

Krzyki były coraz głośniejsze. Zapłonęły reflektory, omiatając strugami światła portowe wody. Do uszu Dawida docierały głosy ludzi wrzeszczących do nadajników tak, jak mogą wrzeszczeć tylko ci, których ogarnęła potworna panika - bezsilnie i oskarżycielsko.

Nagle uświadomił sobie, że nie ścigają go żadne łodzie! Ani jedna nie odbiła od nabrzeża, niosąc na swoim pokładzie reflektory i ludzi z karabinami maszynowymi, którzy przesądziliby o jego losie!

Ani jedna!

O mało nie wybuchnął śmiechem. Działania w Ocho Calle były otoczone tak ścisłą tajemnicą, że ich organizatorzy usunęli nawet z okolicy wszelkie mniejsze jednostki, od których aż roiło się w innych częściach portu.

Mimo piekącego bólu w boku wzmógł tempo, starając się możliwie często zanurzać pod wodę. Trawler wraz z miotającymi się bezsilnie ludźmi Altmüllera i Rhinemanna pozostawał coraz bardziej z tyłu, niknąc powoli we mgle spowijającej okolicę. Spaulding pracował mocno ramionami, modląc się w duchu, żeby nie okazało się, że płynie w złym kierunku.

Ogarniało go coraz większe zmęczenie, ale nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę słabości. Po prostu nie mógł. Jeszcze nie teraz.

Miał przy sobie oskarżycielskie dowody operacji „Tortugas”.

Z przodu, w odległości dwustu, może trzystu jardów, dostrzegł zarys nabrzeża. To musi być tu. Musi!...

Woda wokół niego nagle się zakotłowała i tuż koło siebie zobaczył wijące się dziko, grube niemal na ramię węgorze, zwabione krwią lejącą się obficie z jego rany.

Walczył, kopiąc i uderzając ramionami, z trudem powstrzymując przeraźliwy krzyk podchodzący mu do gardła. Jego dłonie co chwila natrafiały na oślizgłe, węzowe ciała, czasem na drobne zęby, przed oczami zaczęły mu latać białe i żółte plamy, a głowa stawała się coraz cięższa i mniej posłuszna...

Wreszcie, kiedy wydawało mu się, że krzyknie, że musi krzyknąć, poczuł na ręce uścisk czyjejś dłoni. Ktoś wyciągał go z wody; spojrział w dół i zobaczył swoje stopy, wyłaniające się z kłębowiska czarnych, długich węgorzy.

Eugene Lyons zaniósł go do samochodu i wepchnął na tylne siedzenie. Dawid zdawał

sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje, ale jednocześnie miał wrażenie, że dotyczy to kogoś zupełnie innego.

Potem Lyons wszedł za nim do samochodu i Dawid poczuł na twarzy jedno, drugie, trzecie uderzenie.

Wkrótce przestał je liczyć. Były nieregularne, ale celne i bardzo silne.

Boże, dlaczego on to robi? Dlaczego nie przestanie? Chciał się jakoś bronić, ale nie mógł; Lyons, ten wyniszczony, prawie niemy Lyons bił go bezlitośnie, celowo, z premedytacją!

Spaulding rozplakał się jak dziecko.

A potem, zupełnie niespodziewanie poczuł, że wracają mu siły. Chwytał Lyonsa za ręce, gotów w

razie potrzeby nawet je złamać.

Potrząsnął głową, jakby budził się ze snu, i spojrzał na twarz fizyka. Lyons uśmiechnął się.

- Przepraszam... - wyszeptał z najwyższym trudem. - Byłeś... w szoku... przyjacielu.

W bagażniku samochodu znajdowała się doskonale zaopatrzona apteczka. Lyons zdezynfekował ranę Dawida, okrył ją jałową gazą i zalepił plastrem. Krwawienie ustało, opatrunek zaś powinien okazać się wystarczający nawet w wypadku, gdyby Spaulding mógł

pójść do lekarza dopiero za dzień lub dwa.

Następnie Lyons usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Dawid obserwował go ukradkiem. Braki w umiejętnościach i doświadczeniu fizyk nadrabiał staraniami i siłą woli.

Co chwila jego stopa naciskała zbyt mocno na pedał gazu i raptowne szarpnięcia w wyraźny sposób go peszyły, a po jakimś czasie zaczęły budzić w nim irytację. Wkrótce jednak Lyons nabrał nieco wyczucia i odnosiło się wrażenie, że panowanie nad pojazdem sprawia mu autentyczną przyjemność.

Dawid musiał wykonać trzy podstawowe zadania: skontaktować się z Granville'em, porozmawiać z Jean i dotrzeć do kryjówki, którą, miał nadzieję, udało się jej wyszukać dla niego. Jeśli będzie tam można sprowadzić lekarza, to dobrze, a jeśli nie, to po prostu położy się spać; osiągnął już taki stan, że nie mógł dalej funkcjonować bez odrobiny snu.

Jakże często, będąc jeszcze w Kraju Basków, szukał w górach odosobnionych jaskiń, by umościć w nich postanie z miękkich gałęzi i pozwolić nieco odpocząć swemu ciału i umysłowi. Nierzadko taki odpoczynek ratował mu później życie. Teraz również tego potrzebował.

A jutro rozliczy się z Erichem Rhinemannem i dokończy akt oskarżenia.

- Musimy znaleźć jakiś telefon - powiedział.

Lyons skinął głową.

Dawid poprowadził fizyka do centrum miasta. Według jego szacunków mieli jeszcze trochę czasu, zanim baza marines rozpocznie poszukiwania zakrojone na szeroką skalę, a tymczasem pomarańczowe znaczkę na zderzakach zapewniały im dodatkową ochronę, osłabiając ewentualne zainteresowanie policji. Wszyscy wiedzieli, że Amerykanie to dzieci nocy.

Przypomniał sobie o budce telefonicznej przy Casa Rosada, w której zginął najemny morderca przysłany z Rio de Janeiro.

Jadąc okrężną drogą i upewniając się, że nie są śledzeni, po piętnastu minutach dotarli do Plaza de Mayo. O dziwo, wcale nie był opustoszała, potwierdzając tym samym prawdziwość przedwojennych haseł reklamowych, określających Buenos Aires Paryżem półkuli zachodniej. Podobnie jak w Paryżu widziało się wielu nocnych spacerowiczów, zatrzymujące się i ruszające taksówki, prostytutki, usiłujące jeszcze znaleźć jakiegoś zamożnego klienta, podświetlone fontanny i zakochanych, zanurzających dłonie w ich wodzie.

Tak, Plaza de Mayo o wpół do czwartej nad ranem wcale nie było wyludnionym, opustoszałym miejscem. Dawid był bardzo zadowolony z tego powodu.

Lyons zatrzymał samochód przy samej budce.

- Nie wiem, co pan zrobił, ale w każdym razie wygląda na to, że poruszył pan gniazdo żmij. - Głos Granville'a był suchy i precyzyjny. - Jestem zmuszony polecić panu, żeby natychmiast wrócił pan na teren ambasady, zarówno ze względu na swoje własne bezpieczeństwo, jak i dobro stosunków dyplomatycznych.

- Obawiam się, że będzie pan musiał mi to dokładniej wyjaśnić - odparł Dawid.

Ambasador uczynił to.

„Jeden lub dwaj” ludzie, na których można było liczyć wśród junty, okazali się, rzecz jasna, jednym. Człowiek ów zaczął sprawdzać informacje dotyczące trawlera zacumowanego w Ocho Calle, po czym natychmiast został pod strażą zabrany z domu. W każdym razie tyle Granville zdołał się dowiedzieć od jego rozhisteryzowanej żony.

Godzinę później otrzymał poufną wiadomość od GOU, że jego „przyjaciel” zginął w wypadku samochodowym. Pułkownicy pragnęli złożyć mu z tego powodu serdeczne wyrazy współczucia.

Natychmiast spróbował ponownie połączyć się z żoną tego człowieka, ale okazało się, że linia jest przerwana.

- Jednak wplątał pan nas w to, Spaulding! Nie możemy funkcjonować, mając uwiązany na szyi ciężar powiązań z wywiadem, a sytuacja w Buenos Aires jest nadzwyczaj delikatna!

- Pan był już wcześniej wplątany, sir. Kilka tysięcy mil stąd ludzie cały czas strzelają do siebie.

- Gównu mnie to obchodzi! - Była to najmniej oczekiwana wypowiedź, jaką Dawid spodziewał się kiedykolwiek usłyszeć z ust Granville'a. - Czy nie potrafi pan zrozumieć, że mamy do wykonania zadania w... tych sztucznych warunkach, które zostały dla nas stworzone? Proszę bezzwłocznie wracać do ambasady, a ja zorganizuję panu natychmiastowy transport do Stanów. Jeśli to panu nie odpowiada, może pan się oddać w ręce marines, ale w tym momencie przestaję się poczuwać do jakiegokolwiek odpowiedzialności!

Mój Boże, pomyślał Dawid. „Sztuczne warunki”. „Odpowiedzialność”. W czasie kiedy giną ludzie, padają całe armie, ulegają zagładzie miasta!... A urzędnicy w wygodnych gabinetach wciąż bawią się w gry z gładkich słów i pozornych ruchów!

- Tego nie zrobię, ale powiem panu coś, co powinno dać panu trochę, do myślenia, sir.

W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin wszystkie amerykańskie jednostki, znajdujące się w strefie przybrzeżnej, otrzymają rozkaz zachowania absolutnej ciszy radiowej, wstrzymania obserwacji i pozostania na swoich miejscach. To samo dotyczy samolotów - żaden nie może znajdować się w powietrzu. To dosyć niezwykły rozkaz, prawda? Radziłbym panu zainteresować się,

co się za nim kryje. Przekona się pan, że pański garnitur dyplomatyczny nie jest tak nieskazitelnie czysty, jak się panu wydawało! Proponuję odszukać w Ministerstwie Wojny generała Alana Swansona. Przy okazji może mu pan powiedzieć, że zdemaskowałem „Tortugas”!

Dawid odwiesił słuchawkę tak gwałtownym ruchem, że na podłogę budki posypały się kawałki bakelitu. Chciał uciekać, otworzyć drzwi tej szklanej klatki i uciekać... Ale dokąd?

Wykonał kilka głębokich oddechów i ponownie połączył się z ambasadą.

Głos Jean był cichy, przepełniony troską i obawą, ale najważniejsze było to, że znalazła kryjówkę.

Mają jechać prosto na zachód, aż za Buenos Aires, a na końcu Rivadavia, przy figurze Madonny, skrócić w lewo. Polna droga zaprowadzi ich na niziny porośnięte trawą. Po trzydziestu sześciu milach skręcą w lewo, w miejscu, gdzie na podwójnym słupie znajduje się duży transformator. Dojadą do rancho, którego właścicielem jest niejaki Alfonso Quesarro.

Señor Quesarro będzie nieobecny, podobnie jak jego żona, ale zastaną służbę, uprzedzoną już o tym, że do posiadłości przyjadą przyjaciele pani Cameron.

Ona sama postąpi zgodnie z jego życzeniem i zostanie w ambasadzie.

I jeszcze jedno: bardzo, ale to bardzo go kocha.

Nad trawiastymi równinami wstał blady świt. Wiał ciepły wiatr i Dawid z trudem uświadomił sobie, że to styczeń, środek argentyńskiego lata. Na drodze, kilka mil za transformatorem, czekał na nich człowiek, który skierował ich do *rancheria* - osiedla małych, parterowych chat, znajdujących się w pewnej odległości od głównego budynku. Zostali umieszczeni w najdalszym budynekczku, stojącym na skraju rozległego, ogrodzonego pastwiska. Dom stanowił własność *caporala*, czyli zarządcy farmy.

Do tej właśnie chaty, jako do jedynej z całego osiedla, prowadziła linia telefoniczna.

Ich przewodnik otworzył drzwi, po czym dotknął ramienia Dawida i odezwał się po hiszpańsku, z silnymi naleciałościami akcentu indiańskiego:

- Telefon łączy przez centralę. Kazano mi panu powiedzieć, że działa słabo, nie tak, jak w mieście.

Gaucha nie zdawał sobie sprawy, że przekazuje mu zupełnie inną informację, żeby był ostrożny.

- Będę o tym pamiętał - powiedział Spaulding. - Dziękuję.

Mężczyzna wyszedł pośpiesznie i Dawid zamknął za nim drzwi. Lyons stał pośrodku pokoju, przed

łukowato sklepieniem przejściem do czegoś w rodzaju małej alkowy. W jednej dłoni ścisnął metalowy pojemnik z planami, drugą zaś dawał Dawidowi znaki, by się do niego zbliżył.

W alkowie, pod wąskim oknem, wychodzącym na rozległe pola, stało łóżko.

Spaulding rozpiął spodnie, ściągnął je, a następnie runął całym ciężarem ciała na twarde materac i natychmiast zasnął.

Wydawało mu się, że od chwili, kiedy wszedł do małej alkowy, minęło zaledwie kilkanaście sekund.

Poczuł czyjeś palce, obmacujące badawczo jego ranę, i skrzywił się, gdy zimno-gorący płyn zmoczył opatrunek, a przytrzymujący go plaster został oderwany mocnym szarpnięciem.

Otworzywszy z trudem oczy zobaczył pochyloną nad sobą sylwetkę jakiegoś mężczyzny. Obok stał Lyons, a na łóżku spoczywała charakterystyczna torba, taka sama chyba we wszystkich zakątkach świata. Mężczyzna był lekarzem.

- Spał pan prawie osiem godzin - powiedział do Spauldinga, posługując się bezbłędnym angielskim.
- Nie potrafiłbym przepisać panu skuteczniejszego leku... Założę w trzech miejscach szwy, chyba powinno wystarczyć. Będzie panu trochę niewygodnie, ale zakleimy to plastrem i będzie pan mógł się poruszać.

- Która godzina? - zapytał Dawid.

Lyons spojrział na zegarek.

- Druga - wyszeptał zupełnie wyraźnie.

- Dziękuję, że pan do mnie przyjechał - powiedział Dawid przesuwając się na łóżku, żeby zrobić miejsce dla instrumentów doktora.

- Niech pan poczeka, aż wrócę do siebie, do Palermo - odparł lekarz, uśmiechając się sardonicznie. - Jestem pewien, że mają mnie na oku. - Założył pierwszy szew, dodając pacjentowi otuchy spokojnym, pewnym siebie spojrzeniem. - Zostawiłem wiadomość, że wyjechałem do porodu na odległej farmie... O, ten już mamy. - Zacisnął węzeł i poklepał

Dawida po obnażonym boku. - Jeszcze dwa i będzie po wszystkim.

- Będzie pan miał jakieś kłopoty?

- Nie, nie przypuszczam. Junta często przymyka oczy, bo z pewnością nie możemy uskarżać się na nadmiar lekarzy... Poza tym ci, którzy nas przesłuchują, najczęściej chcą się potem u nas leczyć, oczywiście za darmo. Taką już mają mentalność.

- Coś mi się wydaje, że pan bagatelizuje sprawę. To chyba jednak jest niebezpieczne.

Lekarz wyprostował się, spoglądając w dół na Dawida.

- Jean Cameron jest naprawdę bardzo niezwykłą osobą. Jeżeli kiedyś ktoś napisze historię Buenos Aires w latach wojny, z pewnością ona zajmie w niej poczesne miejsce. -

Nachylił się ponownie i zabrał się do pracy. Dawid odniósł wrażenie, że doktor nie chce tracić czasu

na zbędne rozmowy.

W dwadzieścia minut później Spaulding był już na nogach. Uścisnął mocno dłoń lekarza.

- Obawiam się, że nie mam czym panu zapłacić - powiedział.

- Już pan to zrobił, pułkowniku. Jestem Żydem.

Dawid nie zwolnił uścisku, tylko go wzmocnił, nie pozwalając doktorowi cofnąć dłoni.

- Mógłby pan to wyjaśnić?

- Nie ma tu nic do wyjaśniania. Wśród miejscowych Żydów aż huczy od pogłosek o pewnym amerykańskim oficerze, który przeciwstawił się tej świni Rhinemannowi.

- I to wszystko?

- W zupełności wystarczy.

Lekarz uwolnił dłoń i wyszedł z pokoju. Dawid zamknął za nim drzwi. Teraz była kolej na tę świnię Rhinemanna.

Gardłowy, wściekły głos prawie rozsadzał słuchawkę. Dawid niemal widział przed sobą nabrzmiałe, niebieskie żyły, wyraźnie dostrzegalne na tle opalanej skóry, i wąskie, błękitne oczy, miotające piorunujące spojrzenia.

- To był pan! To pan! - Oskarżenie było powtarzane bez końca, jakby w nadziei sprowokowania zaprzeczenia.

- Tak, to byłem ja - potwierdził spokojnie Dawid.

- Pan jest martwy! Pan jest już trupem!

Dawid mówił wyraźnie, precyzyjnie, bez pośpiechu.

- Jeżeli jestem martwy, to nie wyślę do Waszyngtonu żadnej depechy, a tym samym nie będzie ciszy radiowej ani unieruchomienia okrętów i samolotów. Radary przechwycą trawler, a w chwili, kiedy obok niego wynurzy się łódź podwodna, obydwie jednostki zostaną natychmiast zatopione.

Rhinemann umilkł. Spaulding słyszał nierównomierny, płytki oddech swego rozmówcy, ale nie odzywał się, pozwalając, żeby jego słowa zapadły głęboko w pamięć Żyda.

Kiedy Rhinemann wreszcie się odezwał, mówił równie precyzyjnie, jak Dawid przed chwilą.

- W takim razie ma mi pan coś do powiedzenia, bo w przeciwnym wypadku nie dzwoniłby pan do

mnie.

- Zgadza się. Mam panu coś do powiedzenia. Przypuszczam, że zamierza pan osiągnąć spore zyski z tej operacji. Nie uwierzę, że jest inaczej.

Znowu chwila ciszy, a potem głos Rhinemanna, ostrożny i nie tak pewny siebie.

- Nie... To zwykła transakcja. Za pośrednictwo trzeba płacić.

- Ale zapłata nadejdzie później, prawda? - ciągnął Dawid beznamiętnym, obojętnym tonem. - Panu się nie śpieszy, bo przecież ma pan wszystkich w ręku... Nie jest prawdą, że ma pan otrzymać informację ze Szwajcarii, potwierdzającą dokonanie przelewu na pańskie konto.

Jedyna informacja, jaka do pana dotrze, ma pochodzić z okrętu podwodnego i dotyczyć zakończenia przeładunku diamentów z pokładu trawlera. To będzie sygnał, po którym ja odleczę z kompletem planów. - Roześmiał się bez śladu wesołości w głosie. - Gratuluję panu profesjonalnej roboty, Rhinemann.

- Czego pan chce? - zapytał podejrzliwie finansista.

- Ja także jestem profesjonalistą. Tylko ja jestem w stanie doprowadzić do tego, że otrzyma pan tę wiadomość z U-Boota. Nikt inny. Znam szyfr, dzięki któremu zgasną światła i ekrany radarów... Ale trzeba mi będzie za niego zapłacić.

- Rozumiem... - Rhinemann zawahał się przez chwilę. Dawid nadal wyraźnie słyszał

jego przyspieszony oddech. - Wydaje mi się jednak, że jest pan zbyt pewny siebie. Pańscy przełożeni oczekują na plany żyroskopów; jeżeli dostawa opóźni się z pańskiej winy, wymierzą panu karę, a tą, bez wątpienia, będzie śmierć. Co prawda nie oficjalna egzekucja w majestacie prawa, ale rezultat pozostanie ten sam. Z całą pewnością musi pan zdawać sobie z tego sprawę.

Dawid ponownie się roześmiał, lecz tym razem śmiech był dłuższy i niemal dobroduszny.

- Myli się pan, i to bardzo. Owszem, może dojść do egzekucji, ale mnie to nie dotyczy.

Do wczoraj znałem zaledwie połowę prawdy, teraz znam ją całą... Nie, mnie nic nie grozi.

Natomiast pan ma bardzo poważne problemy, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Po czterech latach w Lizbonie wie się to i owo.

- Jakież mają być te moje problemy?

- Jeżeli transakcja nie zostanie doprowadzona do końca, Altmüller przyśle do Buenos Aires co najmniej batalion swoich ludzi. Nie ujdzie pan z życiem.

Odpowiedziało mu milczenie, stanowiące dowód słuszności jego domysłów.

- Wynika z tego, że znaleźliśmy się po tej samej stronie - odezwał się wreszcie Rhinemann. - W ciągu jednej nocy przeszedł pan daleką drogę. Nie uląkł się pan ryzyka i wspiął się wiele szczebli w górę. Podziwiam tego typu agresywne ambicje. Jestem pewien, że zdołamy się jakoś dogadać.

- Byłem przekonany, że pan będzie pewien.

- Czy mamy od razu przejść do konkretnych liczb?

Dawid roześmiał się cicho.

- Pieniądze to tylko połowa zapłaty. Nie znaczy, żebym jej nie doceniał. Ma być obfita i najlepiej, żebym odebrał ją w Szwajcarii. Druga połowa zostanie uregulowana w Stanach. -

Ton jego głosu stał się nagle lodowato zimny. - Chcę nazwisk.

- Nie rozumiem.

- Więc niech się pan zastanowi. Chodzi o ludzi, którzy zorganizowali tę operację. O

Amerykanów. Muszę znać ich nazwiska. Nie obrzydliwego doradcy i zdezorientowanego generała, ale innych... Bez nich nie ma mowy o żadnej umowie.

- Wygląda na to, że człowiek z Lizbony jest kompletnie wyzuty z sumienia - zauważył

z wyraźnym respektem Rhinemann. - Jest pan, jak mówicie wy, Amerykanie, skończonym draniem.

- Czemu nie? Miałem dobrych nauczycieli.

Rhinemann najwyraźniej nie słuchał odpowiedzi Dawida. Nagle w jego głosie pojawiła się nuta podejrzliwości:

- Jeżeli chodziło panu o... o to, co pan powiedział, to dlaczego zrobił pan to wszystko dziś w nocy? Szkody nie są zbyt wielkie, więc dlaczego?

- Z bardzo prostego powodu. W nocy jeszcze nie wiedziałem, o co mi naprawdę chodzi. Doszedłem do tego dopiero później.

Bóg jeden wie, że właściwie tak było naprawdę, pomyślał Dawid.

- Tak, chyba rozumiem... - wycedził z namysłem finansista. - To bardzo ludzka reakcja...

- Muszę dostać pozostałą część planów - przerwał mu Spaulding - a pan musi wiedzieć, że wysłałem sygnał do Waszyngtonu. Żeby nie wypaść z planu, mamy jeszcze jakieś trzydzieści sześć godzin.

Zadzwońię do pana o szóstej. Proszę być gotowym do działania.

Dawid odłożył słuchawkę i stwierdził, że jest cały pokryty potem, choć w domku panował przyjemny chłód. Wiatr znad pól wpadał do środka przez otwarte okna, wydymając zaciągnięte zasłony. Spojrzał na Lyonsa, który siedział bez ruchu na prostym, wyplatany krześle i cały czas mu się przypatrywał.

- Jak wypadłem? - zapytał.

Fizyk przełknął kilkakrotnie ślinę.

- Bardzo... przekonująco - wychrypiął. Albo się tylko Dawidowi zdawało, albo uczoney coraz lepiej dawał sobie radę z mówieniem. - Tylko... ten pot na twarzy... i wyraz oczu... -

Lyons uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał. - Czy jest szansa... na resztę planów?

Dawid zapalił papierosa, zaciągnął się, spojrział na zasłony kołyszące się w powiewach wiatru i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie uczonego.

- Chyba będzie lepiej, jeśli się dobrze zrozumiemy, doktorze. Mnie te plany nic nie obchodzą. Może powinny, ale nie obchodzą. Jeżeli okaże się, że można je dostać tylko wtedy, gdy trawler spotka się z U-Bootem, wtedy nawet nie ma o tym mowy. Moim zdaniem i tak mamy teraz równo trzy czwarte więcej, niż przedtem, czyli zdecydowanie za dużo... Zależy mi wyłącznie na jednym: na nazwiskach. Dowody już mam, teraz potrzebuję nazwisk.

- Chce się pan zemścić - powiedział cicho Lyons.

- Tak! Oczywiście, że tak! - Dawid zdusił nie wypalonego nawet w jednej trzeciej papierosa, zerwał się z miejsca i podszedł do otwartego okna. - Przepraszam, nie miałem zamiaru krzyczeć. Chociaż, może powinienem. Słyszał pan, co mówił Feld, i widział, co zdobyłem w Ocho Calle. Zna pan całą tę obrzydliwą, cuchnącą aferę.

- Wiem też, że ci... którzy będą w tych samolotach... nie są za nic odpowiedzialni...

Niemcy muszą przegrać tę wojnę.

- Przecież pan widział! - ryknął Dawid, odwracając się od okna. - Dlaczego nie chce pan zrozumieć?

- A dlaczego pan twierdzi... że nie ma żadnej różnicy? Nie wierzę w to. Nie wierzę nawet w to, że pan w to wierzy.

- Ja sam nie wiem, w co wierzę... Nie, jednak wiem. Wiem, czemu się przeciwstawiam i czego nie chcę zaakceptować. Muszę znać te nazwiska.

- Zdobędzie je pan... Pytania, które pan sobie zadaje... są wielkie i ważne... Będą jeszcze pana

dreńczyć przez długie lata. - Lyons sprawiał wrażenie kogoś, kto nie może powstrzymać cisnących mu się na usta słów. - Bez względu na to, co się stanie... zgadzam się z Feldem. Ta wojna nie może zakończyć się ugodą, trzeba ją wygrać.

Fizyk umilkł i zaczął jedną dłonią masować sobie gardło. Spaulding podszedł do stołu, na którym stała karafka z wodą, nalał szklankę i podał ją Lyonsowi. Dokładnie w tej chwili uderzyła go pewna myśl: spośród wszystkich ludzi na świecie ten, którego teraz przed sobą widzi, najmniej skorzysta na zwycięstwie czy na szybszym zakończeniu wojny. A mimo to zaangażowanie i bezkompromisowość Ashera Felda wywarły na Lyonsie wielkie wrażenie.

Być może kalekiemu uczonemu, pomimo jego bólu i cierpień, udało się jednak nie zatracić do końca wrażliwości uczuć.

Asher Feld. Hotel Alvear.

- Proszę posłuchać - powiedział Dawid. - Jeżeli tylko nadarzy się okazja, a chyba tak będzie, spróbujemy zdobyć pozostałą część planów, ale to będzie wiązało się z poważnym niebezpieczeństwem, co prawda nie dla nas, lecz dla pańskiego przyjaciela Felda.

Zobaczmy. Nie mogę panu niczego obiecać. Przede wszystkim nazwiska... Jest szansa, bo dopóki ich nie zdobędę, Rhinemann będzie wierzył, że zależy mi na planach równie mocno, jak jemu na diamentach... W każdym razie, zobaczymy.

Odezwał się anemiczny, przerywany dzwonek telefonu. Dawid podniósł słuchawkę.

- Mówi Ballard.

- Tak, Bobby?

- Mam nadzieję, że jesteś czysty, chociaż wszystko zdaje się wskazywać na coś wręcz przeciwnego. Postanowiłem jednak zawierzyć memu przeświadczeniu, że rozsądny facet dla paru dolarów nie staje dobrowolnie przed sądem polowym.

- Bardzo słuszne przeświadczenie. I co, zdobyłeś jakieś informacje?

- Po kolei. Przede wszystkim chciałem cię poinformować, że marines chcą cię żywego lub martwego. Sądząc po tym, że są dosyć zdenerwowani, przypuszczam, że woleliby to drugie.

- Pewnie znaleźli Meehana i kierowcę...

- Otóż to. Najgorsze jest to, że się trochę spóźnili i obydwaj zostali obrabowani i sponiewierani przez jakichś włóczęgów. Poszukują cię pod zarzutem napadu, kradzieży, uprowadzenia i czego tylko chcesz.

- Nie szkodzi. Należało się tego spodziewać.

- Doprawdy? W takim razie chyba nie muszę ci mówić o Granville'u. Wziął mnie do takiego galopu,

że o mało nie stopiły mi się wszystkie anteny, a teraz jestem przykuty do biurka, bo Waszyngton szykuje jakąś supertajną odpowiedź.

- Czyli wynika z tego, że nadal nic nie wie - powiedział Dawid ze zniecierpliwieniem w głosie. - A Waszyngton próbuje się wyłgać.

- Akurat! Okazało się, że ta cisza radiowa to rozkaz z dowództwa! Wpakowałeś się w jakąś operację Centrali Wywiadu Aliantów i Ministerstwa Wojny!

- Oczywiście, że tak. Mogę ci nawet powiedzieć, w którym pokoju była przygotowywana.

- A więc to prawda... Ma tu przyplłynąć niemiecki okręt podwodny, przywożąc na swoim pokładzie paru ważnych berlińczyków. Przekroczyłeś swoje uprawnienia, to nie twój teren. Usłyszysz to od samego Granville'a.

- Gówno prawda! - wrzasnął Spaulding. - Pieprzone kłamstwo! Zapytaj jakiegokolwiek agenta, który pracował w Europie. Przez żaden z niemieckich portów nie da się przemycić nawet znaczka pocztowego! Chyba ja wiem o tym najlepiej!

- To nawet interesujące. Z kłamstwem można zrobić różne rzeczy, ale żeby aż...

- Daruj sobie te swoje dowcipy! Ostatnio straciłem poczucie humoru. - W tej samej chwili Dawid zdał sobie sprawę z tego, że nie powinien wrzeszczeć na Ballarda. Szyfrant nic nie wiedział o wydarzeniach ostatnich osiemnastu godzin i nadał traktował sytuację jako trudną i skomplikowaną, lecz daleką od rozstrzygnięcia między życiem a śmiercią. Nie słyszał ani o jatce w San Telmo, ani o znajdującej się w Ocho Calle przesyłce dla Peenemünde, ani o tym, że Haganah udało się przeniknąć do Centrali Wywiadu. W dodatku nie było czasu, żeby teraz go o tym wszystkim informować. - Przepraszam cię, Bobby. Mam masę rzeczy na głowie.

- Jasne, jasne - odpowiedział Ballard tonem wskazującym na to, że zdążył się już przyzwycząić do humorów swoich rozmówców. Kolejna cecha charakterystyczna dla wszystkich szyfrantów świata, pomyślał Dawid. - Jean powiedziała, że jesteś ranny. Podobno przewróciłeś się i trochę podrapałeś. Ktoś cię popchnął?

- Już wszystko w porządku. Był tu lekarz... Zdobyłeś jakieś informacje o Bardenie?

- Tak. Prosto z archiwum G-2 w Waszyngtonie, oczywiście na twoje nazwisko. Ten Barden na pewno się o tym dowie.

- Nie szkodzi. I co?

- Chcesz wszystko?

- Tylko to, co może się wydać... jakieś niezwykle. Na przykład, czym zajmuje się w Fairfax.

- O tym akurat nie ma ani słowa, tylko to, że ma dostęp do wszystkiego, co tajne. Nie jest w regularnej armii, tylko w rezerwie. Spędził kilkanaście lat w Europie i na Bliskim Wschodzie, włąda

pięcioma językami...

- W tym hebrajskim - wtrącił Spaulding.

- Rzeczywiście, a skąd...? Zresztą, nieważne. Studiował dwa lata w Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie, podczas gdy jego ojciec reprezentował interesy jakiejś dużej firmy tekstylnej. Potem przeniósł się do Harvardu, a jeszcze potem do jakiegoś małego college'u w stanie Nowy Jork... Nie znam go. Obronił pracę o problemach Bliskiego Wschodu. Po studiach aż do wojny zajmował się rodzinnymi interesami. Zdaje się, że zwrócili na niego uwagę ze względu na znajomość języków.

- Dziękuję. A teraz to spal, Bobby.

- Z przyjemnością. Kiedy do nas zajrzysz? Radziłbym ci zrobić to, zanim dopadną cię chłopcy z marines. Jean chyba potrafiłaby przekonać starego, żeby zatuszował sprawę.

- Już niedługo. Jak tam Jean?

- He? W porządku... Przestraszona i zdenerwowana. Zresztą, sam zobaczysz. Ale to dzielna dziewczyna.

- Powiedz jej, żeby się nie martwiła.

- Sam jej powiedz.

- Jest tam z tobą?

- Nie... - Ballard przeciągnął to słowo, a w jego głosie po raz pierwszy od początku rozmowy pojawiła się nuta autentycznego niepokoju. - Nie ma jej tutaj. Jest w drodze do ciebie.

- Co takiego?

- Jakąś godzinę temu dzwoniła asystentka tego lekarza, który cię opatrywał.

Powiedziała Jean, że prosiłeś, aby do ciebie przyjechała. Dawid, o co tu chodzi, do diabła?

- Byłem przekonany, że człowiek z Lizbony spodziewa się kontruderzenia. Dziwię się, że okazał się aż tak nieostrożny. - Heinrich Stoltz nawet nie starał się ukryć arogancji. - Uznał

pan, że z tej strony nic panu nie grozi, prawda? Cóż, jeszcze raz okazało się, jak trudno nie posłuchać wezwania ukochanego...

- Gdzie ona jest?

- W drodze do Lujan. Będzie gościem w Habichtsnest. Gościem honorowym, ma się rozumieć. Herr Rhinemann z pewnością bardzo się ucieszy, właśnie miałem zamiar do niego dzwonić.

- Posunął się pan za daleko! - Dawid starał się zachować spokój za wszelką cenę. -

Branie zakładników w neutralnym...

- Jakich zakładników? - zdumiał się Stoltz. - Pani Cameron jest naszym gościem.

Zresztą, jakież by był z niej zakładnik: synowa ambasadora, a właściwie była synowa, bo mąż nie żyje... Osoba całkowicie bez znaczenia. Ach, te wasze skomplikowane, amerykańskie konwencje towarzyskie...

- Doskonale pan wie, o co mi chodzi!

- Powtarzam jeszcze raz, że jest gościem pewnego znakomitego finansisty, z którym miał pan się spotkać... zdaje się, że w sprawie jakiejś międzynarodowej transakcji. To Żyd wygnany ze swojej ojczyzny, która obecnie jest także i pańskim wrogiem. Doprawdy, nie widzę powodu do niepokoju... chociaż przyznaję, że na pańskim miejscu istotnie dręczyłyby mnie pewne obawy...

Przeciąganie tej rozmowy nie miało najmniejszego sensu. Jean nie miała nic wspólnego ani z samą transakcją, ani ze zbieranymi przez Spauldinga dowodami. Do diabła z dowodami! Do diabła z bezsensownym poświęceniem! Teraz to nie miało już najmniejszego znaczenia.

Chodziło tylko o Jean.

- Czego chcecie?

- Byłem pewien, że zdecyduje się pan na współpracę. Jakąż to robi różnicę panu czy chociażby mnie? My tylko wykonujemy rozkazy. Pozostawmy filozofowanie innym, a sami starajmy się po prostu przeżyć.

- Nie mówi pan jak człowiek oddany sprawie, a właśnie jako takiego mi pana przedstawiano - powiedział na chybił trafił Dawid. Potrzebował czasu, choćby kilka sekund.

Żeby pomyśleć.

- Może to dziwnie zabrzmieć, ale jednak nim jestem. Co prawda bardziej w świecie, który odchodzi w przeszłość, niż w tym, który do nas przychodzi... Pozostała część planów znajduje się w Habichtsnest. Uda pan się tam natychmiast wraz z tym aerofizykiem. Pragnę, aby nasze negocjacje zakończyły się jeszcze dziś wieczorem.

- Chwileczkę! - Umysł Dawida pracował na najwyższych obrotach, usiłując wykryć podstęp w planie przeciwnika. - To nie jest najczystsze gniazdo, jakie w życiu widziałem.

Jego mieszkańcy pozostawiają sporo do życzenia.

- Podobnie, jak goście...

- Dwa warunki: po pierwsze, natychmiast po przyjeździe muszę zobaczyć panią Cameron. Po drugie, nie wyślę depeszy do Waszyngtonu dopóty, dopóki nie znajdzie się bezpiecznie w ambasadzie. Razem z Lyonsem.

- Porozmawiamy o tym później. Jest jeszcze jedna, bardzo ważna sprawa - Stoltz zawiesił głos. - Gdyby przypadkiem nie pojawił się pan w Habichtsnest dzisiaj po południu, już nigdy nie ujrzy pan pani Cameron. Mamy tu wiele rozrywek, z których nasi goście chętnie korzystają, ale ostatnio wydarzyło się kilka okropnych wypadków, w rzece, w basenie... a nawet podczas przejażdżki konnej...

Zarządca dał im mapę drogową i napełnił bak samochodu paliwem ze zbiornika znajdującego się na farmie. Spaulding usunął ze zderzaków pomarańczowe znaki, zdrapując jednocześnie z tablic rejestracyjnych część farby, tak że siódemki wyglądały jak jedynki, a ósemki zamieniły się w trójki. Następnie zerwał statuetkę zdobiącą chłodnicę, pochłapał

atrappę czarną farbą, usunął z kół wszystkie cztery dekle, a wreszcie wziął potężnych rozmiarów młot i ku milczącemu zdumieniu zarządcy przeszedł się z nim dokoła samochodu, uderzając w drzwi, błotniki, maskę, a nawet dach.

Kiedy skończył, elegancki jeszcze niedawno pojazd nie różnił się niczym od setek jeżdżących wraków, których wiele poruszało się po mniej uczęszczanych drogach.

Niebawem dotarli do podwójnego słupa z transformatorem i skręcili na wschód, w kierunku Buenos Aires. Dawid nacisnął pedał gazu; rozdźwięczały się obluzowane blachy, a całe podwozie wpadło w łatwo wyczuwalną wibrację. Lyons trzymał rozłożoną mapę na kolanach. Jeżeli można było jej wierzyć, powinni dotrzeć do Lujan nie korzystając z głównych dróg, dzięki czemu w istotny sposób zmniejszyłoby się ryzyko napotkania któregoś z patroli wysłanych z bazy.

Cóż za ironia, pomyślał Spaulding. Bezpieczeństwo Jean, a w gruncie rzeczy także i jego, zależało od jak najszybszego nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem, którego od ponad trzech lat zwalczał ze wszystkich sił... Teraz, za sprawą niewiarygodnych wydarzeń, a dokładniej mówiąc łańcucha zrad,

ciągnącego się od Berlina do Waszyngtonu, ten nieprzyjaciel stał się sojusznikiem.

Jak to powiedział Stoltz? „Pozostawmy filozofowanie innym, a sami starajmy się po prostu przeżyć”.

Miał rację, a jednocześnie całkowicie się mylił.

Niewiele brakowało, żeby Dawid minął drogę prowadzącą do Habichtsnest. Zbliżał

się do niej z przeciwnej strony, a poza tym jechał nią do tej pory tylko raz, w dodatku w nocy.

Zwolnił nieco i spojrział w lewo tylko dlatego, że jego uwagę zwróciły pojawiające się nagle na asfalcie czarne ślady kół, które nie zdążyły jeszcze wyschnąć w promieniach słońca.

Przypomniał sobie słowa jednego ze strażników na nabrzeżu Ocho Calle: „Wysyłają masę patroli...”

Wyobraził sobie wywrzaskującego rozkazy Rhinemanna i kolumnę limuzyn pędzących na złamanie karku, wyskakujących z piskiem opon z ukrytej drogi i gnających w kierunku pogrążonego we śnie San Telmo.

A później, tuż przed świtem, ta sama scena, tylko z udziałem mniejszej liczby i bardziej przestraszonych aktorów. Tym razem celem był mały półwysep, zwany Ocho Calle.

Spaulding niespodziewanie odczuł przyływ zawodowej dumy, uświadomił sobie bowiem, że nieźle dał się we znaki.

Wszystkim swoim nieprzyjaciołom.

W jego umyśle formowały się zarysy nowego planu. Na razie tylko zarysy. Wszystko zależało od tego, co spotka ich w Habichtsnest.

I od tego, do jakiego stopnia były autentyczne przesyczone nienawiścią słowa Ashera Felda.

Strażnicy w paramilitarnych mundurach skierowali lufy karabinów w stronę nadjeżdżającego samochodu. Psy z wyszczerzonymi zębami szarpały się na smyczach, ujadając ze wszystkich sił. Mężczyzna stojący po drugiej stronie elektrycznego płotu krzyknął

coś i czterej strażnicy podbiegli do samochodu. Otworzyli drzwi, a gdy Spaulding i Lyons wysiedli, pchnęli ich brutalnie na maskę i dokładnie obszukali.

Dawid rozglądał się ukradkiem dookoła, najwięcej uwagi poświęcając ogrodzeniu ciągnącemu się w lewo i w prawo. Starał się oszacować wysokość i stopień naprężenia poszczególnych odcinków, a także zapamiętać miejsca, w których były umocowane druty doprowadzające prąd i sposób ich zainstalowania.

Jego plan przybierał coraz bardziej realne kształty.

Kiedy znalazł się na tarasie, Jean rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją mocno i stał w milczeniu przez kilkanaście sekund. Odczuwał ogromną wdzięczność, że oto na kilka chwil znowu wszystko jest tak, jak być powinno.

Rhinemann i Stoltz stali przy balustradzie w odległości jakichś dwudziestu stóp.

Rhinemann wpatrywał się w Spauldinga swymi wąskimi oczami, otoczonymi fałdami opalonej skóry. Dawid widział ich wyraz już wielokrotnie u innych ludzi; był to przepełniony nienawiścią szacunek.

Na tarasie znajdowała się jeszcze jedna osoba; wysoki, jasnowłosy mężczyzna w białym garniturze siedział przy stoliku ze szklanym blatem. Dawid widział go po raz pierwszy w życiu.

- Mój Boże, Dawid, co ja zrobiłam? - Jean nie wypuszczała go z objęć.

- Między innymi ocaliłaś mi życie... - odparł delikatnie, gładząc jej miękkie, kasztanowe włosy.

- Trzecia Rzesza dysponuje nadzwyczaj dokładnymi informacjami, pani Cameron -

przerwał im z uśmiechem Stoltz. - Mamy na oku wszystkich Żydów, a szczególnie wszelkiego rodzaju fachowców. Wiedzieliśmy, że skontaktowała się pani z tym lekarzem z Palermo, jak również o tym, że pan pułkownik został ranny. Reszta była bardzo prosta.

- Czy opieka, jaką otaczacie Żydów, dotyczy również człowieka, który stoi obok pana? - zapytał jakby nigdy nic Spaulding.

Stoltz pobladł lekko, przenosząc ukradkowe spojrzenie z gospodarza na jasnowłosego mężczyznę siedzącego przy stoliku.

- Herr Rhinemann wie, że mówię o profilaktycznej obserwacji potencjalnie wrogich elementów.

- Tak, pamiętani. - Dawid delikatnie odsunął Jean i objął ją ramieniem. - Wczoraj udzielił mi pan pouczającej lekcji na temat godnej ubolewania konieczności stosowania pewnych praktyk. Szkoda, że ominął pana ten wykład, Rhinemann. Była tam mowa między innymi o skupieniu w pewnych rękach znacznej ilości żydowskich pieniędzy... Cóż, jeśli o to chodzi, to możemy już chyba zaczynać.

Rhinemann wyprostował się i odszedł na kilka kroków od balustrady, o którą się do tej pory opierał.

- Owszem, możemy. Najpierw jednak, aby, że tak powiem, uzupełnić skład naszego małego grona, pozwolę sobie przedstawić naszego znajomego, który przyleciał tu specjalnie z Berlina, korzystając z neutralnych połączeń, ma się rozumieć. Chciałbym, aby zdawał pan sobie sprawę z tego, że załatwia pan tę transakcję właśnie z nim, a nie z kimś innym. Dzięki temu sprawa nabierze większego

autentyzmu.

Dawid spojrział na mężczyznę w białym garniturze, napotykając jego chłodny, spokojny wzrok.

- Franz Altmüller, Ministerstwo Zbrojeń, Berlin - powiedział Spaulding.

- Pułkownik Dawid Spaulding, Fairfax, do niedawna człowiek z Lizbony - odparł

Altmüller.

- Jesteście szakalami, którzy korzystają w walce z najbardziej zdradzieckich metod i przynoszą hańbę swoim domom - wycedził Rhinemann. - Mówię to przy was, bo chcę, żebyście obydwaj to usłyszeli. A teraz, jak sam pan powiedział, panie pułkowniku, możemy już zaczynać.

Stoltz zaprowadził Lyonsa na dół, na wypielęgnowany trawnik wokół basenu. Przy dużym, okrągłym stole czekał jeden z ludzi Rhinemanna z metalową teczką w dłoni. Lyons usiadł tyłem do balkonu, strażnik zaś położył przed nim teczkę.

- Otwórz ją - polecił Rhinemann z tarasu.

Strażnik zrobił to, a Lyons wyjął plany i rozpostarł je na stole.

- Niech pan z nim zostanie, Stoltz - odezwał się Altmüller.

Attaché spojrział na niego ze zdziwieniem, ale nie zaprotestował.

Podszedł do krawędzi basenu i usiadł na płóciennym krześle ani na chwilę nie spuszczał Lyonsa z oczu.

- Czy mógłbym porozmawiać na osobności z pułkownikiem? - zwrócił się Altmüller do Jean.

Dziewczyna spojrzała niepewnie na Dawida, który delikatnie zdjął rękę z jej ramienia i wraz z jasnowłosym Niemcem odszedł w najodleglejszy koniec tarasu. Rhinemann został na swoim miejscu, cały czas spoglądając na Lyonsa.

- Przez wzgląd na nas obu wydaje mi się, że powinien pan powiedzieć mi, co właściwie wydarzyło się w San Telmo - powiedział Altmüller.

Dawid przypatrywał mu się uważnie. Niemiec nie kłamał ani nie usiłował wciągnąć go w pułapkę. Naprawdę nie wiedział ani o Haganah, ani o Asherze Feldzie. Na tym polegała jedyna szansa Spauldinga.

- Gestapo - oświadczył Dawid, nadając kłamstwu zwięzłą formę oczywistej prawdy.

- Niemożliwe! - prychnął Altmüller. - Pan doskonale wie, że to niemożliwe! Przecież ja tu jestem!

- Od niemal czterech lat w taki lub inny sposób mam bez przerwy do czynienia z Gestapo. Może pan być pewien, że znam swojego największego wroga.

- Pan się myli! To absolutnie niemożliwe!

- Chyba zbyt dużo czasu spędzał pan ostatnio za biurkiem. Czy mam panu przedstawić fachową analizę?

- To znaczy?

Dawid oparł się o kamienną poręcz.

- Nabrano pana.

- Co takiego?

- Dokładnie tak samo, jak mnie. Zrobili to dwaj ludzie, którzy postanowili wykorzystać nasze nieprzeciętne zdolności. Tak się dziwnie złożyło, że obydwaj mają takie same inicjały: A.S...

Błękitne oczy Altmüllera były utkwione w twarzy Spauldinga; lekko rozchylone usta świadczyły o niedowierzaniu, z jakim przyjmuje jego rewelacje.

- Albert Speer... - szepnął prawie niedosłyszalnie.

- Alan Swanson - uzupełnił spokojnie Dawid.

- Nie wierzę - oświadczył Niemiec ze znacznie mniejszym przekonaniem, niż zapewne miał zamiar. - Przecież on o niczym nie wie...

- Nie radzę wybierać się na głęboką wodę, dopóki nie umie się dobrze pływać. Można bardzo łatwo utonąć... Jak pan myśli, dlaczego zgodziłem się zawrzeć układ z Rhinemannem?

Altmüller nie słuchał go, usiłując w myślach ułożyć w rozsądną całość fragmenty niewyobrażalnie skomplikowanej układanki.

- Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, choć ja nadal nie mam zamiaru w to wierzyć, to wówczas nie zostanie wysłana żadna depesza, nie będzie ciszy radiowej, a wasze okręty i samoloty będą cały czas patrolować wody przybrzeżne. Transakcja nie dojdzie do skutku i wszystko pójdzie na marne!

Dawid stał przed nim ze skrzyżowanymi ramionami. Wiedział, że to najważniejsza chwila, kłamstwo mogło zostać uznane za prawdę albo odrzucone. Przeżywał już to nieraz, kiedy od jednego, jedyne kłamstwa zależało powodzenie całej operacji.

- Wasza strona gra brutalniej niż moja. Moi mnie nie zabijają. Wystarczy im pewność, że o niczym nie wiem. Chodzi im wyłącznie o te plany. U was sprawa wygląda zupełnie inaczej. Jeszcze wszystko

może się zdarzyć.

Dawid zamilkł i uśmiechnął się do Rhinemanna, który przerwał obserwację pogrążonego w pracy fizyka i odwrócił się w ich stronę. Altmüller ponownie przywarł

spojrzeniem do twarzy Spauldinga. Uczy się, pomyślał Dawid.

- Co pan rozumie przez „wszystko”?

- Kilka rzeczy. Próbę wyeliminowania mnie, zażądania, aby przysłano nowego człowieka, podsuniecie fałszywych planów, zabranie diamentów inną drogą niż morską -

trochę to trudne, zważywszy na rozmiary i ciężar skrzyń, ale możliwe do zorganizowania.

- W takim razie dlaczego uważa pan, że nie spróbuję zastosować któregoś z tych pomysłów? Sam mi je pan podsuwa.

Dawid spoglądał obojętnie w niebo, ale nagle odwrócił się i wbił wzrok w Altmüllera.

- Niech pan nigdy, ale nigdy nie wypływa na głęboką wodę! Lepiej, żeby został pan w swoim ministerstwie.

- Dlaczego?

- Cokolwiek zrobisz, jesteś martwy, Altmüller. Miał pan „konszachty” z nieprzyjacielem. Wie o tym nie tylko Speer, ale także Gestapo. Pańska jedyna szansa polega na tym, żeby wykorzystać to, co pan wie. Dokładnie tak samo, jak moja. Tyle tylko, że w pańskim przypadku stawką jest pana życie, a w moim pieniądze. Duże pieniądze, solidnie na nie zapracowałem.

Altmüller również zbliżył się do balustrady i stanął koło Dawida, spoglądając na widoczną w oddali rzekę.

- To wszystko nie ma sensu.

- Zależy jak na to patrzeć - odparł Spaulding. - W tym fachu nigdy nie dostaje się nic za darmo.

Patrząc prosto przed siebie poczuł nagle na sobie wzrok Altmüllera. Wiedział, że w umyśle Niemca narodziła się nowa myśl.

- Pańska wielkoduszność może okazać się błędem, panie pułkowniku. Wydaje mi się, że jednak mogę uzyskać coś za darmo, a dodatkowo jeszcze medal od Rzeszy i reputację bohatera. Mamy przecież pana i panią Cameron, bo ten fizyk raczej się nie liczy... Pan nada hasło, Spaulding. Był pan skłonny podjąć negocjacje, kiedy w grę wchodziły pieniądze, więc powinien pan mieć tym mniejsze opory, gdy stawką będzie wasze życie.

Dawid nie poruszył się, wpatrując się w dal ze skrzyżowanymi ramionami. Zdawał

sobie sprawę, że musi sprawiać wrażenie irytująco odprężonego, i robił wszystko, by sprostać temu zadaniu.

- Tamte negocjacje zostały już zakończone. Jeśli Lyons potwierdzi autentyczność planów, wyślę depezę, ale dopiero wtedy, gdy pani Cameron znajdzie się bezpiecznie na terenie ambasady.

- Wyślę pan depezę wtedy, kiedy panu każe! - Altmüller z trudem powstrzymywał się przed wybuchem. Rhinemann spojrzał w ich stronę, ale nie wykonał najmniejszego ruchu.

Dawid wiedział dlaczego: bawił go widok szakali skaczących sobie do gardeł.

- Przykro mi, ale obawiam się, że spotka pana rozczarowanie.

- W takim razie może dojść do bardzo przykrych wydarzeń. Z udziałem pani Cameron, ma się rozumieć.

- Niechże pan da sobie spokój - westchnął Spaulding. - Radzę wrócić do oryginalnego scenariusza. Nie ma pan żadnych szans.

- Jak na kogoś, kto jest zupełnie sam, sprawia pan wrażenie bardzo pewnego siebie.

Dawid gwałtownym ruchem odepchnął się od poręczy i odwrócił twarzą do Niemca.

- Ty cholerny głupcze! - wycedził głośnym szeptem. - W Lizbonie nie przeżyłbyś nawet godziny! Czy naprawdę myślisz, że przyjechałem tu ot, tak sobie, bez żadnego zabezpieczenia? Myślisz, że Rhinemann na to liczył? My, ludzie z pierwszej linii, jesteśmy nadzwyczaj ostrożni i tchórzliwi. Nie ma w nas ani odrobiny bohaterstwa. Nie wysadzamy w powietrze domów, jeśli istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że będziemy w środku. Nie niszczymy mostów, dopóki nie mamy zapewnionej innej drogi ucieczki.

- Jesteś sam, Spaulding. I nie ma już żadnego mostu!

Dawid obrzucił Altmüllera takim spojrzeniem, jakby tamten był cuchnącym kawałkiem mięsa, a następnie zerknął na zegarek.

- Stoltz jest głupcem. Jeśli w ciągu piętnastu minut nie uzyskam dostępu do telefonu, zacznie się cholerne zamieszanie i zwali się tutaj cała masa służbowych samochodów. Radzę nie zapominać, że jestem attaché wojskowym ambasady USA i że towarzyszy mi krewna ambasadora.

- Tylko bez żartów! To neutralne miasto, a Rhinemann...

- Rhinemann otworzy bramę i wyrzuci kopniakami dwa gryzące się szakale -

dokończył spokojnie Dawid. - Jesteśmy dla niego niewygodni. „Tortugas” mogłoby zniszczyć jego powojenny wizerunek, a na to nie może sobie pozwolić. To, co myśli o nas i o tym, co

reprezentujemy, nie ma najmniejszego znaczenia; liczy się tylko Erich Rhinemann...

Sądziłem, że pan o tym wie. Przecież to pan go wybrał.

Altmüller oddychał równomiernie, tylko zanadto głęboko. Usiłuje się opanować, pomyślał Dawid. Ledwo mu się to udaje.

- Czy... ustalił pan sposób, w jaki zostanie przekazane hasło? Nada je pan stąd?

Kłamstwo zostało kupione. Wieńczący całą konstrukcją kamień znalazł się na miejscu.

- Reguły takie, jak poprzednio: cisza radiowa, wstrzymanie obserwacji radarowych, unieruchomienie wszystkich jednostek... i trawler płynący pod paragwajską banderą może spokojnie wyjść z portu, a my dwaj wygrywamy. Co ty na to, szakalu?

Altmüller odwrócił się w stronę rzeki i oparł dłonie na marmurowej poręczy. Jego palce zbieleły, jakby usiłował nimi wgnieść kamienna powierzchnię.

- Zgoda, przywracamy reguły operacji „Tortugas” - powiedział, patrząc prosto przed siebie.

- Muszę zadzwonić - oznajmił głośno Dawid.

- Spodziewałem się tego - odparł Rhinemann, spoglądając z pogardą na Franza Altmüllera. - Nie bawi mnie branie zakładników. Moim zdaniem, to nikomu nie służy.

- Niech pan nie będzie taki zasadniczy. Dzięki temu zjawiłem się tutaj w rekordowym czasie.

- Może pan dzwonić. - Rhinemann wskazał mu aparat stojący na stoliku ustawionym w pobliżu wejścia na taras. - Pańska rozmowa będzie oczywiście wzmocniona przez głośniki.

- Oczywiście - zgodził się Dawid, biorąc do ręki słuchawkę.

- Tu radiostacja - rozległ się donośny głos.

- Mówi podpułkownik Spaulding, attaché wojskowy - powiedział Dawid, wymawiając starannie każde słowo.

Ballard umilkł na chwilę.

- Słucham, panie pułkowniku.

- Przed popołudniową konferencją zgłosiłem zapotrzebowanie na pewne informacje.

To już nieaktualne.

- Rozumiem, sir.

- Czy mógłbym mówić z głównym szyfrantem? Zdaje się, że nazywa się Ballard.

- Eee... Przy aparacie, sir.

- Przepraszam, Ballard, nie poznałem pana. Proszę przygotować się do wysłania zakodowanej informacji, którą zostawiłem w zielonej kopercie. Może pan ją otworzyć i zapoznać się z kluczem. Na mój sygnał wiadomość musi być natychmiast nadana, oczywiście z wykorzystaniem „Czarnego woalu”.

- Co proszę?

- Chyba pan wie, Ballard, że mam prawo korzystać z „Czarnego woalu”. Może pan to znaleźć nawet w leksykonie, więc proszę wszystko dokładnie przygotować. I nie zapominajcie o „Czarnym woalu”. Skontaktuję się z panem.

Dawid odłożył słuchawkę modląc się w duchu, żeby Ballard okazał się rzeczywiście tak dobrym fachowcem, za jakiego go uważał. A jeżeli nie, to żeby przynajmniej miał w sobie żyłkę do rozwiązywania kalamburów.

- Jest pan nadzwyczaj dokładny - zauważył Rhinemann.

- Staram się - wzruszył ramionami Dawid.

Odłożywszy słuchawkę Ballard wpatrywał się ze zdumieniem w telefon. Co Spaulding chciał mu powiedzieć? Na pewno to, że zarówno jemu, jak Jean i Lyonsowi nic się nie stało.

Przynajmniej do tej pory.

„Proszę przygotować się do wysłania zakodowanej informacji, którą wcześniej przygotowałem...”

To on ją przygotował, nie Dawid. Spaulding jedynie asystował przy tym.

Co za „zielona koperta”, do cholery?

Nie było żadnej koperty, wszystko jedno, zielonej, niebieskiej czy czerwonej!

Co miał znaczyć ten bełkot o „Czarnym woalu”? Przecież to nie miało żadnego sensu.

Musiał istnieć jakiś klucz do zrozumienia zagadki.

„Może pan to znaleźć nawet w leksykonie...”

W leksykonie? Leksykon... „Leksykon kryptografii”!

„Czarny woal”... Coś sobie przypominał... Dawno, dawno temu... To było bardzo stare, od dawna nie

używane określenie, ale na pewno coś znaczyło.

Ballard zerwał się z fotela i podszedł do półki z książkami wiszącej na przeciwległej ścianie. Nie zaglądał do „Leksykonu” już od lat; akademickie, przestarzałe dzieło...

Stał na samej górze, wraz z innymi podręcznikami, podobnie jak one pokryty grubą warstwą kurzu.

Poszukiwane hasło znajdowało się na stronie 71, wciśnięte między inne, równie niepotrzebne i bezużyteczne. Teraz jednak miało nabrać nowego znaczenia.

„Czarny woal”, znany także pod nazwą *Schwarz Tuchchiffre*, po raz pierwszy wykorzystany przez Niemiecką Armię Cesarską w roku 1916. Jego użycie wiąże się ze znacznym ryzykiem, jako że może być zastosowany tylko raz. Polega na przesłaniu umówionej, zakodowanej informacji z dodatkiem określenia czasu, w którym przestają obowiązywać wszelkie wcześniejsze ustalenia co do następstw i działań, jakie miała ona spowodować. W praktyce zaprzestano z niego korzystać już w roku 1917, kiedy...”

„Przestają obowiązywać wszelkie wcześniejsze ustalenia...” Ballard zamknął książkę, odstawił ją na półkę i ponownie zasiadł w fotelu.

Lyons przeglądał plany w tę i z powrotem, jakby sprawdzał wyniki swoich obliczeń.

Rhinemann dwukrotnie pytał, czy są jakieś problemy, i fizyk dwukrotnie odwracał się na krześle i kręcił przecząco głową. Stoltz cały czas siedział koło basenu, paląc papierosa za papierosem. Altmüller rozmawiał przez chwilę z Rhinemannem, ale sądząc po wyrazie twarzy obydwu mężczyzn, bez zadowalających ich rezultatów. Następnie wrócił do stolika ze szklanym blatem, gdzie zajął się przeglądaniem miejscowych gazet.

Dawid i Jean stali w pewnym oddaleniu na tarasie i rozmawiali przyciszonymi głosami. Co jakiś czas Dawid mówił kilka słów nieco głośniejsze, żeby dotarły do pozornie nie zwracającego na nich uwagi Altmüllera; były to luźne uwagi na temat ludzi z Nowego Jorku, biur projektowych i perspektyw jego zatrudnienia w jednym z nich. Mgliste, powojenne plany dwojga zakochanych.

Jednak zasadnicza część rozmowy dotyczyła zupełnie innego tematu.

- W hotelu Alvear czeka człowiek, który zameldował się jako E. Pace - szeptał Dawid, trzymając dziewczynę za rękę. - W rzeczywistości nazywa się Asher Feld. Powiedz mu, że jesteś ode mnie, i wymień nazwisko agenta z Fairfax Ira Barden. Nic więcej. Powiedz... że uznaję jego argumenty. Ma przystąpić do działania dokładnie w dwie godziny po rozmowie z tobą. Pamiętaj, dokładnie dwie godziny. On już będzie wiedział, o co chodzi.

Jean Cameron tylko raz nie wytrzymała i ze zdumieniem wciągnęła głośno powietrze, ale zaraz naprawiła ten błąd pozornie radosnym wybuchem śmiechu.

Altmüller oderwał wzrok od gazety i spojrzął na nich z pogardą. Jednak nawet niezbyt uważny obserwator bez trudu doszedłby do wniosku, że oprócz pogardy w jego oczach płonie z trudem tłumiona wściekłość.

Lyons wstał z krzesła i wyprostował swą mizerną postać. Spędził za stołem dokładnie trzy godziny i dziesięć minut. Odwrócił się i spojrzął w górę, na Spauldinga.

Skinął głową.

- W porządku - powiedział Rhinemann, podchodząc do Franza Altmüllera. - Bierzemy się do roboty. Wkrótce będzie już ciemno, więc myślę, że powinniśmy ze wszystkim zdążyć do wczesnego rana. Tym razem żadnych opóźnień! Stoltz! *Kommen Sie her! Bringen Sie die Aktenmappe!*

Stoltz zbliżył się do stołu i zaczął chować papiery do metalowej teczki. Dawid wraz z Jean podeszli do mężczyzn stojących na tarasie. Faszysta przemówił jako pierwszy.

- Plany obejmują w sumie około czterystu sześćdziesięciu stron maszynopisu, danych faktograficznych i równań algebraicznych. Żaden człowiek nie jest w stanie tego zapamiętać.

Brak choćby niewielkiej części czyni je całkowicie bezużytecznymi. Natychmiast, kiedy skontaktuje się pan z szyfrantem i poleci wysłać wiadomość, pani Cameron i fizyk mogą jechać do ambasady.

- Przykro mi - odparł Spaulding - ale nadam szyfrogram dopiero wtedy, kiedy tam się znajdą. Takie były ustalenia i nie mam najmniejszego zamiaru od nich odstąpić.

- Chyba nie sądzi pan... - zaczął z gniewem Rhinemann.

- Nie, nie sądzę - wpadł mu w słowo Spaulding. - Po prostu nie jestem pewien, w jakim stopniu może pan kontrolować wydarzenia, które rozgrywają się poza bramą Habichtsnest, a dzięki temu mam pewność, że będzie pan się naprawdę bardzo starał.

Była dokładnie dwudziesta pierwsza piętnaście, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

Słońce skryło się już za grzbietami wzgórz, a połyskująca srebrzyście wstęga rzeki zaczęła niknąć w gęstniejącym mroku.

Rhinemann podniósł słuchawkę, po czym skinął głową i podał Spauldingowi. Kiedy Dawid przyłożył ją do ucha, gospodarz pstryknął przełącznikiem znajdującym się z boku aparatu, włączając głośniki.

- Dawid? Jesteśmy już na miejscu - rozległ się głos Jean.

- Znakomicie. Żadnych problemów?

- Właściwie nie. Po jakichś pięciu milach doktor Lyons trochę się źle poczuł, bo kierowca jechał bardzo szybko.

After...five... Asher... Feld... Jean zrobiła to!

- Jesteś pewna, że to nic poważnego?

- Położył się, żeby trochę odpocząć. Minie jakiś czas, zanim zupełnie dojdzie do siebie.

Czas...

Jean podała Feldowi dokładny czas.

- To dobrze.

- *Genug! Genug!* - zniecierpliwił się stojący przy balustradzie Altmüller. - Już pan wie, że są w ambasadzie. Teraz szyfrogram!

Dawid obrzucił Niemca spokojnym, nieprzeniknionym spojrzeniem.

- Jean? Tak?

- Jesteś przy radiostacji?

- Tak.

- Daj mi tego Ballarda.

- Proszę.

- Słucham, panie pułkowniku? - Głos Ballarda nie zdradzał żadnych uczuć.

- Czy przygotował pan wszystko tak, jak prosiłem? Tak jest, sir. Potwierdzono także

„Czarny woal”.

- To dobrze. Proszę czekać na telefon ode mnie. Przypuszczam, że nie potrwa to dłużej niż kilka minut.

Dawid odłożył słuchawkę.

- Co pan robi?! - ryknął wściekle Altmüller. - Szyfrogram! Miał pan nadać szyfrogram!

- Zdradził nas! - zawtórował mu Stoltz, zrywając się z krzesła.

- Wydaje mi się, że powinien nam pan to wyjaśnić - odezwał się spokojnie Rhinemann, ale lodowaty ton jego głosu nie zwiastował niczego dobrego.

- Chodzi już tylko o drobne szczegóły - odparł Dawid, zapalając papierosa. - Czy możemy porozmawiać na osobności, Rhinemann?

- Nie widzę potrzeby - wycedził przez zaciśnięte zęby finansista. - O co chodzi? O

sposób, w jaki pan stąd wyjedzie? Wszystko jest już przygotowane. Zostanie pan odwieziony na lotnisko Mendarro; to niecałe dziesięć minut jazdy stąd. Samolot wystartuje jednak dopiero wtedy, gdy otrzymamy wiadomość o przekazaniu diamentów Koeniga.

- Ile to potrwa?

- A cóż to za różnica?

- Taka, że z chwilą zarządzenia ciszy radiowej i unieruchomienia naszych jednostek nie mam żadnej ochrony.

- Ach! - Rhinemann machnął ze zniecierpliwieniem ręką. - Zapewniam pana, że przez ten czas będzie pan najlepiej chronioną osobą na świecie. Nie mam najmniejszego zamiaru zrazić do siebie kogokolwiek z Waszyngtonu.

- Widzi pan? - zwrócił się Dawid do Franza Altmüllera. - Mówiłem, że my tu się zupełnie nie liczymy. - Ponownie skierował spojrzenie do Rhinemanna. - W porządku, zgadzam się. Ma pan zbyt wiele do stracenia. W takim razie pierwszy szczegół mamy wyjaśniony. Teraz pora na drugi, czyli na moją zapłatę.

Rhinemann zmrużył oczy tak, że przypominały wążiutkie szparki.

- Pan jest bardzo dokładny, Spaulding... W banku Louisa Quatora w Zurychu zostanie na pańskie nazwisko zdeponowana suma pięciuset tysięcy dolarów. To bardzo hojna zapłata i jako taka nie

podlega żadnym negocjacom.

- W zupełności się zgadzam. To więcej, niż się spodziewałem. Jakie są gwarancje?

- Ależ, panie pułkowniku! Nie jesteśmy przecież handlarzami. Pan wie, gdzie mieszkam, a ja wiem, co pan potrafi. Nie chcę żyć ze świadomością, że człowiek z Lizbony czuje do mnie jakąś urazę.

- Pan mi pochlebia.

- Pieniądze będą na pana czekały w Zurychu... Z ich podjęciem nie powinien pan mieć najmniejszych kłopotów.

Dawid zgasił papierosa.

- Niech będzie Zurych. Wreszcie ostatni szczegół: najważniejsza część mojego honorarium. Nazwiska. Proszę napisać je na kartce.

- Jest pan pewien, że je znam?

- To jedyna rzecz, której jestem pewien, a jednocześnie pańska szansa, której nie omieszka pan wykorzystać.

Rhinemann wyjął z kieszeni mały notes, oprawiony w czarną skórę, nabazgrał w nim pośpiesznie kilka linijek, po czym wydarł kartkę i wręczył ją Spauldingowi.

Walter Kendall

A. Swanson, U.S. Army

H. Oliver, Meridian Aircraft

J. Craft, Packard

- Dziękuję - powiedział Dawid. Złożył kartkę, schował ją do kieszeni i podniósł słuchawkę. - Proszę połączyć mnie z ambasadą USA.

Ballard po raz kolejny przeczytał sekwencję liczb, podyktowaną mu przez Spauldinga.

W jednym miejscu Dawid popełnił błąd, ale i tak treść wiadomości była zupełnie jasna.

Uwaga o „megacyklicznej częstotliwości 120 na wszystkich kanałach” stanowiła bezsensowny bełkot, ale i w tym przypadku sens był oczywisty.

120 minut.

„Czarny woal”.

Oryginalne hasło, do którego dostosowali szyfr, liczyło dziewiętnaście liter: POTWIERDZAM „TORTUGAS”

Hasło, które podał Spaulding, miało ich siedemnaście; Ballard spojrzał na te słowa.

ZNISZCZYĆ „TORTUGAS”

Za dwie godziny.

Pozostał jeszcze jeden „szczegół”, który wzbudził ogromną niechęć obu partnerów Spauldinga, choć żaden z nich nie potrafił przedstawić jakichś rzeczowych kontrargumentów.

Ponieważ do chwili wyjazdu na lotnisko Mendarro pozostało jeszcze około czterech godzin, a w tym czasie może zaistnieć wiele przyczyn, które sprawią, że albo on, albo Rhinemann stracą na jakiś czas teczkę z planami z oczu, Dawid zażądał, aby została ona przytwierdzona do czegoś łańcuchem, a klucze, zarówno od kłódki, jak i od samej teczki, przekazane jemu.

Dzięki temu będzie miał pewność, że nikt w ostatniej chwili nie dokona zmiany.

- Pan ma chyba jakąś obsesję - powiedział z niesmakiem Rhinemann. - Właściwie nie powinienem zwracać na to uwagi. Szyfrogram został już nadany.

- W takim razie niech pan potraktuje to jako wyświadczoną mi grzeczność. Ja jestem Fairfax 4-0. Kto wie, czy nie będziemy jeszcze ze sobą pracować?

Rhinemann uśmiechnął się.

- Nigdy nie należy tracić nadziei, prawda? Zgoda, niech będzie. Kazał przynieść łańcuch i kłódkę, nie mogąc powstrzymać się od przyjemności zwrócenia Dawidowi uwagi na to, że znajdują się w fabrycznych, nie naruszonych opakowaniach. Po kilku minutach metalowa teczka znalazła się w obszernym hallu, przymocowana łańcuchem do balustrady wykonanej z kutego żelaza, czterej mężczyźni zaś usiedli w salonie, skąd przez szerokie, łukowato sklepione przejście mieli znakomity widok na całą hali i na płaski, metalowy pojemnik stojący przy schodach.

Rhinemann wyraźnie się odprężył, zamieniając się nagle w gościnnego gospodarza.

Zaproponował drinki; Spaulding zgodził się od razu, Stoltz po chwilowym namyśle, Altmüller zaś odmówił.

Pojawił się jeden ze strażników w nowiutkim, idealnie uprasowanym mundurze.

- Nasi radiooperatorzy potwierdzają, że w całej strefie przybrzeżnej panuje całkowita cisza radiowa.

- Dziękuję - skinął głową Rhinemann. - Prowadźcie nadal nasłuch na wszystkich częstotliwościach.

Strażnik wyprężył się na baczność, odwrócił i wyszedł równie szybko, jak się pojawił.

- Pańscy ludzie są znakomicie wyszkoleni - zauważył Dawid.

- Za to im płacę - odparł gospodarz, spoglądając na zegarek. - A teraz nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Wszystko toczy się zgodnie z planem. Każę przygotować coś konkretnego do jedzenia; kanapki to trochę za mało, a poza tym, mamy przecież sporo czasu.

- Jest pan bardzo gościnnie - powiedział Dawid, kierując się ze swoim drinkiem w stronę krzesła tuż obok Altmüllera.

- I hojny. Proszę o tym nie zapominać.

- Byłoby mi trudno... Zastanawiam się jednak, czy mógłbym prosić o coś więcej. -

Dawid postawił szklanekę na stole i wskazał bezradnym gestem na swoje brudne, wymięte ubranie. - Pożyczyłem je od jakiegoś robotnika rolnego; licho wie, kiedy ostatnio było prane...

Byłbym nadzwyczaj wdzięczny za możliwość wykąpania się i ogolenia, a także za jakieś spodnie i koszulę...

- Jestem pewien, że może pan już wkrótce uzyskać to od swoich przyjaciół - odezwał się Altmüller, przyglądając mu się podejrzliwie.

- Rany boskie, człowieku! Chodzi mi tylko o prysznic! Plany są tam, w hallu. -

Spaulding gniewnym gestem wskazał przykuta do balustrady teczkę. - Trzeba być niedorozwiniętym umysłowo, aby myśleć, że będę chciał uciec bez nich!

Niemiec poczerwieniał i zacisnął raptownie dłonie na poręczach krzesła, starając się zapanować nad gniewem. Rhinemann roześmiał się.

- Pan pułkownik ma za sobą kilka męczących dni - powiedział do Altmüllera. - Jego prośba jest w pełni uzasadniona, a ja ze swojej strony mogę pana zapewnić, że nie pojedzie nigdzie indziej, jak tylko na lotnisko Mendarro. Szczerze mówiąc, trochę żałuję, że nie może uczynić nic innego, bo zaoszczędziłby mi wtedy pół miliona dolarów.

- Człowiek, który ma na koncie w Zurychu tyle pieniędzy, powinien przynajmniej czuć się czysty - odparł z uśmiechem Spaulding, podnosząc się z krzesła. - Ma pan rację co do ostatnich paru dni. Jestem wykończony i czuję wszystkie kości. Jeżeli łóżko okaże się wystarczająco miękkie, chyba trochę się zdrzemnę. - Spojrzał lekceważąco na Altmüllera. -

Chyba fakt, że pilnuje mnie batalion uzbrojonych ludzi, rozproszy nieco obawy naszego nerwowego przyjaciela?

- Dostyc! - parsknął z wściekłością Niemiec.

- Och, proszę się uspokoić. - Dawid wzruszył ramionami. - Wygląda pan niepoważnie.

Strażnik przyniósł mu spodnie, cienki golf i jasną marynarkę, zupełnie nowe, najwyraźniej drogie; nie ulegało żadnej wątpliwości, że będą w sam raz. Przybory do golenia znajdowały się w łazience. Gdyby jeszcze czegoś potrzebował, wystarczy, żeby otworzył

drzwi i poprosił. Będzie tam czekało dwóch ludzi.

Dawid skinął głową na znak, że zrozumiał, co to oznacza.

Poinformował strażnika, że zdrzemnie się jakąś godzinę, a potem weźmie prysznic i przygotuje się do podróży. Byłby bardzo wdzięczny, gdyby dopilnowano, żeby został

obudzony o jedenastej.

Strażnik obiecał, że tak się stanie.

Zegarek Dawida wskazywał pięć po dziesiątej. Jean zadzwoniła punktualnie o dziewiątej piętnaście. Asher Feld miał od tamtej chwili dokładnie dwie godziny.

A Dawid godzinę i dziesięć minut.

Do dwudziestej trzeciej piętnaście.

Zakładając, że Asher Feld wierzy w to, co mówi.

Pokój był duży, wysoki, znajdował się na drugim piętrze we wschodnim skrzydle budynku i miał dwa duże okna, sięgające od podłogi do sufitu. Było to wszystko, co Spaulding wiedział i mógł stwierdzić, dopóki paliło się światło.

Wyłączył je i podszedł do jednego z okien, po czym otworzył ostrożnie jego lewą połowę i wyjrzał na zewnątrz, kryjąc się częściowo za zasłoną.

Dach był spadzisty; niedobrze. Miał szeroki kanał odpływowy, prowadzący do odległej o jakieś dwadzieścia stóp rynny. To już lepiej.

Piętro niżej znajdowały się cztery niewielkie balkony, najprawdopodobniej należące do czterech oddzielnych sypialni. Skrajny dzieliło od rynny nie więcej niż pięć stóp. Mogło to się okazać istotne albo nie.

Poniżej rozciągał się trawnik, taki sam jak wszystkie trawniki w Habichtsnest: wypielęgnowany, lśniący w świetle księżyca zielonoczarnym połyskiem, gęsty. Tu i ówdzie stały ogrodowe meble z pomalowanych na biało metalowych prętów, a przecinały go ścieżki wykładane płaskimi kamieniami, obsadzone z obydwu stron bujnymi kwiatami. Nieco szersza, wysypana żwirem dróżka, zaczynała się przy ścianie budynku i prowadziła zakosami w kierunku drzew, majaczących w pewnym oddaleniu, by w ich pobliżu zniknąć w ciemności. Dawid pamiętał, że widział ją także z prawej części tarasu i że zwrócił uwagę na wyraźnie widoczne, liczne ślady kopyt. Należało się domyślać, że na drugim końcu ścieżki, gdzieś za drzewami, znajdowała się stajnia.

To na pewno było ważne, choć o tym, jak bardzo, nie sposób było się na razie przekonać.

W pewnym momencie we wnętrzu drewnianej altany, stojącej jakieś trzydzieści stóp od trawnika z ogrodowymi meblami, dostrzegł rozżarzony punkcik papierosa. Na użytek Altmüllera Rhinemann gotów był przysiąc, że za kilka godzin Spaulding znajdzie się w drodze na lotnisko Mendarro, ale sam wolał się odpowiednio zabezpieczyć, wystawiając wzmocnione straże.

Nic dziwnego. Dziwne byłoby, gdyby tego nie uczynił. Właśnie dlatego tak wiele zależało od autentyczności przekonań Ashera Felda.

Dawid wyprostował się, odwrócił od okna i podszedł do łóżka z baldachimem stojącego pod ścianą. Odsunąwszy narzutę rozebrał się do szortów, które otrzymał na farmie wraz z resztą garderoby, i położył się, zamykając oczy, ale nie mając najmniejszego zamiaru spać. Usiłował przypomnieć sobie

najdokładniej, jak tylko potrafił, wygląd wysokiego, znajdującego się pod prądem ogrodzenia, które otaczało rezydencję Rhinemanna. Tak, jak widział je wtedy, gdy był przeszukiwany przy samochodzie przez strażników.

W blasku reflektorów dostrzegł wtedy wyraźnie, że jeszcze na odcinku między bramą a drzewami parkan nieznacznie, ale wyraźnie skręca na północny wschód.

Jeszcze raz przywołał w pamięci widok roztaczający się z prawego narożnika tarasu, gdzie rozmawiał półgłosem z Jean.

Zaraz za trawnikiem z metalowymi krzeselkami i polem gry w krykieta teren obniżał

się wyraźnie, by po kilkudziesięciu jardach dotrzeć do pierwszych wysokich drzew, wśród których niknęła także szutrowa ścieżka ze śladami kopyt. Milę dalej znajdowała się już rzeka, ale patrząc w jej stronę z tarasu widziało się wyraźnie, nieco z prawej strony, spore przerwy między koronami drzew.

Pola.

Jeżeli na terenie posiadłości hodowano konie, a to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, to z całą pewnością musiały tu również być pola, aby zapewnić zwierzętom świeże pożywienie i pozwolić im wypocząć po frustrujących godzinach spędzonych z wędzidłem i pod siodłem.

Przerwy między drzewami oznaczały, że znajdują się tam wydarte lasowi pastwiska; nie istniało żadne inne wytłumaczenie.

Doszedłszy do tego wniosku Dawid zajął się szosą odległą o dwie mile na południe, biegnącą skrajem Lujan w kierunku Buenos Aires. Pamiętał dokładnie, że chociaż w rejonie Habichtsnest była położona na dość znacznej wysokości nad poziomem rzeki, to zaraz potem skręcała w lewo i prowadziła w dół, do Tigre. Usiłował przypomnieć sobie pierwsze minuty koszmarnej jazdy Bentleyem, która zakończyła się strzelaniną w Colinas Rojas. Tak, znalazłszy się na głównej szosie, samochód z całą pewnością przez kilka mil jechał na wschód, a potem skręcił nieco na północ, by po długim, łagodnym zjeździe znaleźć się niemal nad samym brzegiem rzeki.

Widziana z tarasu rzeka, pokryta białymi plamkami żagli i mniejszymi, ciemnymi motorówek, płynęła w prawo, na północny wschód.

Tędy należało uciekać.

Najpierw szutrową ścieżką pod osłonę drzew, a zaraz potem na północny wschód, w kierunku pól. Następnie w prawo, na wschód, a zaraz potem w dół, na północ, ponownie do lasu i wzdłuż rzeki, aż do ogrodzenia pod napięciem, otaczającego ogromny teren Habichtsnest.

Za ogrodzeniem znajdowała się szosa prowadząca do Buenos Aires.

Do ambasady.

Do Jean.

Dawid odprężył się, pozwalając, żeby ból promieniujący z rany w boku rozproszył się po całym ciele. Starał się oddychać równo i miarowo. Musiał zachować spokój, a to właśnie było w tej chwili najtrudniejsze.

Spojrzał na zegarek, który otrzymał w podarunku od Jean; dochodziła jedenasta. Wstał

z łóżka, nałożył spodnie, sweter i buty, ściągając sznurowadła najmocniej, jak tylko potrafił, po czym okręcił poduszkę swoją starą koszulą i wraz z brudnymi spodniami wsunął ją pod koc. Następnie ściągnął tu i ówdzie pościel, układając ją w fantazyjne fałdy i cofnął się o krok, by ocenić swoje dzieło.

W ciemności, rozjaśnionej jedynie światłem, które wpadnie z korytarza przez uchylone drzwi, łóżko mogło przez chwilę sprawiać wrażenie, jakby ktoś ciągle w nim leżał.

O nic więcej mu nie chodziło.

Przeszedł bezszelestnie przez pokój i przycisnął się do ściany tuż obok drzwi.

Jego zegarek wskazywał za minutę jedenastą.

Niemal w tej samej chwili rozległo się donośne pukanie; strażnik nie grzeszył delikatnością.

Drzwi otworzyły się.

- *Señor!*... *Señor!*...

Strażnik stanął w progu, spoglądając na łóżko.

- *Śpi* - rzucił od niechcienia przez ramię, po czym wszedł do pokoju.

- *Señor Spaulding!*

W chwili gdy znalazł się w środku, Dawid zrobił krok naprzód, oburącz chwycił go od tyłu za kark, zacisnął palce na szyi i szarpnął mocno do siebie.

Nie rozległ się nawet najśłabszy krzyk. Strażnik bezwładnie osunął się na podłogę.

Spaulding zamknął delikatnie drzwi i włączył światło.

- Bardzo dziękuję - powiedział głośno. - Mógłby mi pan pomóc? Ta rana cholernie boli...

Wszyscy w Habichtsnest wiedzieli, że Amerykanin został cokolwiek poturbowany.

Dawid nachylił się nad nieprzytomnym mężczyzną. Zaczął masować mu gardło, szczypać w nozdrza, a następnie nachylił się i wdmuchnął mu potężną dawkę powietrza w usta.

Strażnik otworzył oczy i poruszył się, wciąż jeszcze w szoku.

Dawid wyjął z przytroczonej do jego pasa kabury potężnego Lugera, a z pochwy wielki, myśliwski nóż, po czym przyłożył ostrze do gardła oszołomionego człowieka i nacisnął lekko, przecinając naskórek.

- Słuchaj, co mówię! - szepnął po hiszpańsku. - Masz się śmiać, rozumiesz? Jeżeli tego nie zrobisz, poderżnę ci gardło. Śmiejesz się!

Wybaluszone, przerażone oczy strażnika świadczyły o tym, że nie rozumie, co się dzieje; wiedział tylko jedno, że znalazł się w rękach szaleńca, który chce go zabić.

Mimo to roześmiał się, najpierw słabo i niemal niesłyszalnie, potem głośno, z coraz większą paniką.

Spaulding zawtórował mu.

Śmiech narastał. Dawid wpatrywał się w strażnika, dając mu znaki, że oczekuje od niego jeszcze bardziej entuzjastycznych wybuchów wesołości. Przerażony do ostateczności mężczyzna ryczał jak opętany.

Spaulding usłyszał skrzypnięcie naciskanej klamki; błyskawicznym ruchem opuścił

ciężką rękojeść Lugera na głowę zanoszącego się histerycznym śmiechem człowieka, po czym zerwał się i doskoczył do drzwi.

- *Que pasa, Antonio? Tu re...*

Luger uderzył w skroń Argentyńczyka z taką siłą, że eksplozja oddechu, który wyrwał się z piersi ogłuszonego mężczyzny, była niemal równie głośna, jak jego słowa.

Dawid zerknął na zegarek, osiem po jedenastej. Jeszcze siedem minut.

O ile człowiek nazwiskiem Asher Feld wierzył w to, co mówił z tak wielkim przekonaniem.

Spaulding zabrał broń strażnikowi, wsadził sobie za pasek drugiego Lugera, a następnie przeszukał kieszenie obydwu mężczyzn, zabierając im wszystkie banknoty, a nawet trochę drobnych.

Nie miał żadnych pieniędzy, a nie było wykluczone, że już niebawem może ich potrzebować.

Pobiegł do łazienki, gdzie odkręcił do maksimum kurek z gorącą wodą i pośpiesznie wrócił do pokoju, by zamknąć od wewnątrz drzwi prowadzące na korytarz, a następnie zgasił

światło i zamknął oczy, żeby przyzwyczaić je do ciemności. Otworzywszy je zamrugał kilkakrotnie, starając się usunąć migoczące plamy zmęczenia i podniecenia, i stanął przy oknie. Dziewięć po jedenastej.

Poczuł, że pocą mu się dłonie, więc wytarł je w swój kosztowny, elegancki sweter.

Oczekiwanie z każdą sekundą stawało się coraz bardziej nie do zniesienia.

Oczekiwanie na coś, co mogło wcale nie nadejść.

W następnej chwili wiedział już jednak, że nadeszło!

Bez żadnego ostrzeżenia rozległy się dwie ogłuszające eksplozje. Stało się to tak nagle, że Dawid wzdrygnął się odruchowo i wstrzymał na moment oddech.

Zaraz potem nocną ciszę przeciął terkot broni maszynowej.

Na zewnątrz rozległy się przerażone okrzyki i pojawili się ludzie, pędzący na oślep w kierunku, z którego dochodziły odgłosy strzałów.

Dawid obserwował histeryczne zamieszanie. Pięciu strażników, którzy, jak się okazało, pilnowali okien jego sypialni, wybiegło ze swoich kryjówek. Po prawej stronie, na eleganckim, głównym dziedzińcu Habichtsnest, pokazały się skaczące punkciki latarek, a w chwilę potem ryknęły potężne silniki, zagłuszające wrzawę rozkazów wykrzykiwanych bez najmniejszego sensu.

Wysunął się przez okno na zewnątrz i trzymając się parapetu opuścił na dach.

Obydwa Lugery znajdowały się za jego paskiem, a nóż trzymał w zębach, dzięki czemu nie był narażony na przypadkowe skaleczenie nie osłoniętym niczym ostrzem, w razie potrzeby zaś mógł się go łatwo pozbyć. Ostrożnie, krok za krokiem przesuwał się po stromiznie w kierunku odległej o kilka stóp rynny.

Dobiegające od strony wjazdowej bramy odgłosy kanonady przybrały na sile.

Należało podziwiać nie tylko zdecydowanie i wierność ideałom Ashera Felda, ale także jego możliwości i rozmach działania; wyglądało na to, że przywódca Haganah sprowadził do Habichtsnest jakąś niewielką, ale doskonale wyposażoną armię.

Dawid przykucnął powoli na spadzistym dachu i sięgnął ostrożnie prawą ręką do wylotu rynny, opierając się na lewej i na obu stopach. Wzmógł nacisk, sprawdzając jej wytrzymałość, po czym zdecydowanym, szybkim ruchem uchwycił ją oburącz, przerzuciwszy ciało na zewnątrz i zaczął opuszczać się w dół.

Poprzez huk wystrzałów do jego uszu dotarły dobiegające z góry głosy ludzi krzyczących po hiszpańsku i niemiecku, a zaraz potem łatwy do odróżnienia, donośny trzask pękającego drewna.

Wyważono drzwi do jego pokoju.

Spaulding znajdował się na wysokości skrajnego balkonu na pierwszym piętrze.

Wyciągnął lewą rękę, chwycił żelazną balustradę, dołączył drugą i zawisł trzydzieści stóp nad ziemią, ukryty pod balkonem.

Ci, którzy włamali się do pokoju, byli już przy oknach i nie tracąc czasu na otwieranie po prostu wypchnęli je kolbami, spuszczając w dół ulewę potłuczonego szkła i drewnianych drzazg.

Rozległa się kolejna piorunująca eksplozja, tym razem na polu odległym o ćwierć mili, otoczonym zewsząd przez las, a w chwilę potem zawtórowała jej druga, znacznie bliższa, bo na dziedzińcu rezydencji. Punkciki latarek zniknęły niczym zdmuchnięte płomienie świec. Asher Feld był już blisko. Ogień krzyżowy był morderczy. Samobójczy.

W chwili, gdy krzyki na górze ucichły, Dawid rozbijał się, by sięgnąć z powrotem do rynny. Udało mu się, choć z wysiłku o mało nie przegryzł ściskanego w zębach ostrza.

Szorując ciałem po zardzewiałym metalu zsunął się na ziemię, nie czując nawet, że ostre krawędzie tną skórę na jego dłoniach i palcach.

Wyjawszy z ust nóż, a zza pasa jeden z pistoletów, popędził skrajem szutrowej ścieżki w kierunku nieprzeniknionej, czarnej ściany lasu. Wpadł w korytarz wyznaczony skrytymi w ciemności pniami i zwolnił, gotów w razie najmniejszego niebezpieczeństwa skoczyć między nie w poszukiwaniu schronienia.

Niebezpieczeństwo nadeszło niemal natychmiast: padły cztery oddane jeden po drugim strzały. Pociski świsnęły w powietrzu, z głuchym, nieodwracalnym odgłosem wbijając się w grube pnie.

Spaulding schował się za jednym z nich i spojrzał w kierunku domu. Człowiek, który strzelał, stał przy rynnie. Był sam. W chwilę potem dołączył do niego drugi, z ogromnym, wściekle ujadającym dobermanem na smyczy. Obaj mężczyźni zaczęli coś do siebie krzyczeć, najwyraźniej nie mogąc porozumieć się co do tego, który z nich ma objąć dowództwo.

Kiedy tak się kłócili, na frontowym dziedzińcu rozległ się przeciągły terkot karabinu maszynowego, któremu zawtórował huk dwóch eksplozji.

Uwaga strażników skierowała się w tamtą stronę; ten z psem pociągnął za smycz, cofając się wraz ze zwierzęciem za narożnik budynku, podczas gdy drugi przypadł do ziemi, by niemal natychmiast zerwać się i pobiec zygzakiem w kierunku, z którego dochodziły strzały, dając swemu kompanowi znak, żeby poszedł w jego ślady.

I wtedy Dawid zobaczył go; na górze, po prawej stronie, na tarasie górującym nad trawnikiem i basenem.

Erich Rhinemann wypadł przez drzwi, wyrzaskując rozkazy z wściekłością, ale bez paniki. Porządkował swoje oddziały, wprowadzając w ich szeregi spokój i dyscyplinę. W

całym tym potwornym zamieszaniu był jak Cezar nakazujący legionom atak, atak, za wszelką cenę atak. Za nim na tarasie pojawili się trzej ludzie; ryknął coś do nich i dwaj natychmiast cofnęli się do wnętrza Habichtsnest. Trzeci sprzeciwił się, wymachując rękami i Rhinemann zastrzelił go bez najmniejszego wahania. Ciało osunęło się na posadzkę tarasu, natomiast Rhinemann podbiegł do ściany i zaczął coś krzyczeć.

Krzyczał do ściany - tak się wydawało.

Pomimo ogłuszającej kanonady Dawid usłyszał przytłumiony, jednostajny szum i w tej samej chwili zrozumiał, co się dzieje.

Rhinemann wezwał wagonik kolejki linowej, łączącej rezydencję z przystanią znajdującą się na brzegu rzeki.

Walka będzie trwała nadal, ale Cezar umknie z pola bitwy.

Świnia Rhinemann. Człowiek bez żadnych zahamowań. Bez skrupułów, bez honoru.

„Kto wie, czy nie będziemy jeszcze ze sobą pracować...”

„Nigdy nie należy tracić nadziei, prawda?...”

Spaulding wyskoczył z ukrycia i popędził z powrotem aż do miejsca, w którym las dochodził do trawnika rozpościerającego się przed tarasem a następnie podbiegł do białego, metalowego stołu, przy którym niedawno siedział Lyons, sprawdzając autentyczność planów.

Kiedy podniósł wzrok, Rhinemann zniknął.

Musi tam gdzieś być!

Nagle stało się dla niego przerażająco jasne, że jedynym, naprawdę ważnym powodem, dla którego odwołano go z Lizbony i przeniesiono na drugą półkulę, był właśnie ten człowiek, ukryty nad jego głową na tarasie.

- Rhinemann! Rhinemann, jestem tutaj!

Przy balustradzie pojawiła się potężna postać finansisty z automatycznym Sternlichtem w dłoniach. Potężnym. Śmiercionośnym.

- Jesteś trupem, Spaulding!

Otworzył ogień, zanim zdążyło przebrzmieć echo jego słów. Dawid rzucił się na ziemię,

przewracając po drodze stół, by w ten sposób zapewnić sobie jakąś ochronę. Pociski wyrwały kępki trawy i rykoszetowały, odbijając się od metalu.

- Popełniłeś samobójstwo próbując mnie oszukać! - krzyczał nadal Rhinemann, nie przestając ani na chwilę strzelać. - Moi ludzie są wszędzie! Zaraz tu będą! Pokaż się, Spaulding! Tylko przyspieszyłeś swoją śmierć. Myślisz, że zostawiłbym cię przy życiu?

Nigdy! Pokaż się! Jesteś już martwy!

Dawid doskonale wszystko zrozumiał. Wszechmocny manipulator nie miał

najmniejszego zamiaru zrazić do siebie wpływowych ludzi w Waszyngtonie, ale jednocześnie nie mógł dopuścić do tego, żeby człowiek z Lizbony pozostał na jego osobistym horyzoncie.

Plany żyroskopów dotarłyby bezpiecznie do Mendarro, tyle tylko, że bez Spauldinga, który zostałby po drodze zabity.

Wszystko było jasne.

Uniósł swego Luger.

Będzie miał tylko ułamek sekundy.

Schemat był prosty: najpierw odwrócenie uwagi, a potem ta króciutka chwila, kiedy można dokonać dzieła. Nauczył się tego w Kraju Basków.

Wbił wolną dłoń w ziemię i wyrwał pokaźną kępkę trawy, do której korzeni przywarła spora garść zmieszanej z drobnymi kamykami gleby, a następnie cisnął ją w powietrze, na lewo od chroniącego go metalowego blatu.

Sternlicht zaterkotał wściekle, a w tej samej chwili Dawid rzucił się na prawo od stołu i pięciokrotnie, raz za razem, nacisnął spust pistoletu.

Twarz Ericha Rhinemanna wybuchła krwistą czerwienią, karabin wypadł mu z rąk przyciśniętych do ciała w śmiertelnym skurczu, a potężne ciało zatoczyło się do tyłu, potem do przodu, by wreszcie bezwładnie przechylić się przez kamienną balustradę.

Rhinemann runął w dół z tarasu.

Dawid usłyszał wściekle krzyki, dobiegające gdzieś z góry, z pierwszego lub drugiego piętra, więc bezzwłocznie rzucił się do ucieczki, pędząc co sił z powrotem do lasu. Wpadłszy w czarny korytarz nie zwalniał tempa, czując pod nogami twardą, szutrową nawierzchnię ścieżki.

Ścieżka raptownie skręciła. W lewo.

Cholera!

Gdzieś w pobliżu rozległo się rzenie wystraszonych koni, a w jego nozdrza uderzył wyraźny zapach końskiego potu. Rozejrzał się szybko dookoła i po prawej stronie dostrzegł niski, długi budynek - stajnię. Z wnętrza dochodziło rozpaczliwe pokrzykiwanie stajennego, na próżno usiłującego uspokoić podenerwowane zwierzęta.

W umyśle Spauldinga na ułamek sekundy pojawił się pomysł, który jednak po krótkim wahaniu odrzucił; koń z pewnością byłby szybki, ale, zważywszy na okoliczności, najprawdopodobniej bardzo trudny do opanowania.

Pobiegł w kierunku stajni, skręcił za narożnik budynku i zatrzymał się dla nabrania oddechu i zorientowania się w terenie. Wiedział, gdzie jest, więc pozostawało jedynie wyobrazić sobie przestrzenną mapę terenu.

Pola! Gdzieś w pobliżu powinny być pola!

Pomknął wzdłuż parterowej budowli i tuż za nią ujrzał rozległe pastwisko. Tak jak przewidywał, teren był nachylony w kierunku północnym, ale nie tak bardzo, by utrudniać zwierzętom jedzenie, a jemu przeszkodzić w biegu. Na wschodzie, za polami, w świetle księżyca widać było zalesione wzgórza.

Właśnie tam musiał się kierować. Najkrótszą drogą, prowadzącą wprost do kłuszącego prądem ogrodzenia.

Na północny wschód.

Przeskoczył drewniany płot otaczający pole i popędził na przełaj przez porośniętą trawą, lekko nachyloną połąć ziemi. Nieustająca kanonada, choć coraz bardziej odległa, nie traciła nic na intensywności. W pewnej chwili znalazł się w miejscu, z którego roztaczał się doskonały widok w kierunku rzeki; także i z tej strony znajdował się zbity byle jak z desek płot, mający za zadanie chronić zwierzęta przed niebezpiecznym zbliżeniem się do stromego spadku. W domach nad brzegiem zapalały się coraz to nowe światła. Powiewy letniego wiatru przyniosły wściekle crescendo śmierci do zamożnych rezydencji, wrywając ze snu ich mieszkańców.

Gdzieś w pobliżu rozległ się huk pojedynczego wystrzału i kula świsnęła mu tuż koło głowy. Dostrzeżono go!

Błyskawicznie rzucił się w trawę i pośpiesznie odczołgał od miejsca, w którym się przed chwilą znajdował. Nachylenie terenu było tu nieco większe, więc toczył się bez oporów, aż wreszcie uderzył dość mocno w jeden z drewnianych słupów, wyznaczających koniec pastwiska. Kilka kroków dalej zaczynał się znowu las.

Nagle noc eksplodowała szaleńczym ujadaniem; Spaulding wiedział, że to on był tego powodem.

Uniósłszy się na kolana dostrzegł sylwetkę potężnego zwierzęcia, pędzącą w jego kierunku przez pole. W dłoni ścisnął rękojeść odbezpieczonego pistoletu, ale zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że strzał ułatwi jego prześladowcom zadanie, wskazując miejsce, w którym się znajduje. Nie nacisnął więc na spust, tylko przerzucił broń do lewej ręki, prawą zaś wyciągnął długi, myśliwski nóż.

Zwabiony zapachem ludzkiego ciała czarny potwór rzucił się na niego. Spaulding zasłonił się lewą ręką, czując potężne uderzenie twardego, muskularnego ciała i widząc, jak łeb dobermana pochyla się na bok, a wyszczerzone kły wbijają się w luźny sweter i jego przedramię.

Wyrzucił przed siebie prawą dłoń, z całej siły wbijając nóż w żołądek zwierzęcia. Z potwornej rany buchnęła gorąca krew i pies skonał z przeraźliwym wyciem, przerwany w połowie.

Dawid złapał się za ramię rozorane zębami dobermana. Był pewien, że po takim wysiłku i tylu gwałtownych ruchach pękł co najmniej jeden ze szwów w ranie na boku.

Przetoczył się na skraj lasu i popęzł na wschód.

Nie na wschód, do diabła! Północny wschód!

Otrząsnąwszy się z szoku uświadomił sobie nagle, że kanonada wyraźnie przycichła.

Kiedy to nastąpiło? Wciąż jeszcze rozlegały się donośne eksplozje, ale ogień z broni ręcznej stracił nieco na intensywności.

Tak, różnica była wyraźna.

Za to słyszał jakieś krzyki. Dochodziły z drugiej strony pola, z rejonu stajni. Uniósł się ostrożnie na łokciu i spojrział ponad trawę; dostrzegł sporo skaczących nerwowo latarek, a także coś, co sprawiło, że zamarł na chwilę w bezruchu, nie wierząc własnym oczom.

Światła latarek skoncentrowały się przez sekundę na postaci ubranej w biały garnitur, która pojawiła się we wrotach stajni na grzbiecie spienionego rumaka.

Franz Altmüller!

Altmüller zdecydował się na szaleństwo, z którego on, Dawid, zrezygnował!

Wiązało się to, rzecz jasna, z faktem, że mieli do odegrania dwie zupełnie różne role.

Spaulding zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jest zwierzyną, natomiast Franz Altmüller myśliwym.

Wokół stajni pojawiało się coraz więcej ludzi, ale Niemiec nie chciał, nie mógł

czekać. Wbił ostrogi w boki wierzchowca i w szalonym pędzie wypadł na pole.

Dawida wcale to nie zdziwiło, bo gdyby udało mu się ujść z życiem, Franz Altmüller mógł się już uważać za nieboszczyka. Jedyne, co mogło uratować go w Berlinie, to głowa człowieka z Lizbony - agenta Fairfax, odpowiedzialnego za fiasko operacji „Tortugas”, którego tożsamość mogliby potwierdzić naukowcy i strażnicy z Ocho Calle. Człowieka, którego zdemaskowało i sprowokowało Gestapo.

Rumak z jeźdźcem na grzbiecie zbliżał się coraz szybciej. Dawid wstał i puścił się biegiem na wschód. Nie mógł zostać na miejscu, Altmüller bowiem miał mocną, dalekosiężną latarkę i nawet gdyby skrył się w wysokiej trawie, to ślad, który by po sobie pozostawił, mógłby go łatwo zdradzić.

Jeżeli... Gdyby...

Musiał sam przed sobą przyznać, że jednak właśnie to rozwiązanie byłoby najlepsze, ale mimo to nie chciał z niego skorzystać. Wiedział doskonale dlaczego.

Nie chciał być zwierzyną, tylko myśliwym.

Chciał zabić Altmüllera.

Nieprzyjaciół takich jak Franz Altmüller nie pozostawiało się przy życiu, stanowili bowiem oni równie śmiertelne niebezpieczeństwo zamknięci w czasach pokoju za klasztorными murami, co podczas wojny na polu bitwy. Niemiec był wrogiem absolutnym.

Nie wynikało to bynajmniej z jego oddania dla Rzeszy, lecz z wrodzonej, głęboko zakorzenionej arogancji; widział, jak rozsypuje się w gruzy misterny, obmyślony przez niego plan „Tortugas”, a przyczyną tego jest człowiek, który kilkakrotnie dawał mu do zrozumienia, że uważa go za kogoś gorszego od siebie.

Franz Altmüller nie mógł się z tym pogodzić.

Nie pozwalała mu na to jego miłość własna.

Czekałby na swoją szansę, wszystko jedno gdzie: w Buenos Aires, Nowym Jorku, Londynie. Pierwszym jego celem stałaby się Jean. Dosięgnąłby ją kulą karabinową, nożem na zatłoczonej ulicy lub strzałem z pistoletu wyposażonego w tłumik. Kazałby Dawidowi zapłacić za zniewagę. Było to widać w jego oczach.

W chwili gdy rozpędzony koń znajdował się w połowie pastwiska, Dawid rzucił się w trawę i przywarł do ziemi. W pobliżu stajni zapłonął silny reflektor, kierując strumień światła w miejsce, w którym przed kilkoma chwilami zniknął doberman.

Altmüller ściągnął cugle, zwalniając do stępa. Posuwał się ostrożnie, omiatając grunt promieniami latarki, w drugiej dłoni trzymając pistolet gotowy do strzału.

Nagle bez najmniejszego ostrzeżenia od strony budynku stajni dobiegł huk ogłuszającego wybuchu;

reflektor zgasł, ludzie zaś, którzy zdążyli już przejść kilkanaście jardów w ślad za Altmüllerem, zawrócili i pobiegli w kierunku nowo powstałego ogniska zamieszania i paniki. W dwóch czy trzech miejscach przez wąskie okienka zaczęły wpełzać języki ognia.

Nawet jeżeli Niemiec zwrócił uwagę na odgłos eksplozji, to nie dał nic po sobie poznać. Kopnął boki zwierzęcia, zmuszając je do przyspieszenia kroku.

Koń nagle stanął jakby wryty i przeraźliwie prychnąwszy zaczął się niezgrabnie cofać, nie zważając na rozpaczliwe wysiłki jeźdźcy. Altmüller szalał i wrzeszczał na swojego wierzchowca i okładał jego boki piętami, ale na próżno. Koń natrafił na martwego dobermana i zapach świeżej krwi zupełnie go oszołomił.

Wreszcie Altmüller dostrzegł zdechłego psa leżącego w wygniecionej trawie. Zatoczył półkole latarką, omiatając jej światłem przestrzeń nad głową Spauldinga, po czym ściągnął cugle i skierował konia w prawo, w jego stronę.

Wkrótce stało się jasne, dlaczego to uczynił: na wysokich źdźbłach trawy widać było wyraźnie ślady psiej krwi.

Dawid odpełznął w bok najszybciej, jak potrafił, uciekając przed przesuwającym się powoli kręgiem światła. Znalazłszy się we względnej ciemności wstał i nachylony nisko nad ziemią, popędził w kierunku środka pola. Zaczekał, aż jego prześladowca znajdzie się między nim a ogrodzeniem okalającym pastwisko, po czym zaczął się ostrożnie zbliżać do niego.

Odczuwał wielką pokusę, żeby załatwić sprawę przy pomocy swego Lugera - z tej odległości nie mógł chybić - ale zdawał sobie doskonale sprawę, że z tego rozwiązania może skorzystać jedynie w ostateczności. Czekąco go jeszcze kilka mil przez las, w obcym terenie, a wystrzał

ciężkiego pistoletu ściągnąłby mu bez wątpienia na kark wszystkich, którzy znajdowali się w promieniu ćwierć mili od niego.

Mimo to mogło się okazać, że nie będzie miał innego wyjścia.

Od celu dzieliło go jeszcze dziesięć stóp... Poruszał się z maksymalną ostrożnością, ściskając w lewej ręce broń, prawą miał wolną. Jeszcze trochę bliżej... Nagle krąg rzucanego przez latarkę światła zatrzymał się, natrafiwszy na miejsce, w którym Dawid przeleżał

dłuższą chwilę bez ruchu.

W tej samej chwili Spaulding poczuł na plecach lekki powiew wiatru i w obezwładniającym przeblasku jasności zrozumiał, że to ostatnia szansa, żeby wykonać ruch.

Koń szarpnął raptownie głową, usiłując spojrzeć za siebie oczami wybałuszonymi ze strachu. Wraz z

wiatrem do jego nozdrzy dotarł zapach przesiąkniętego krwią ubrania Spauldinga.

Dawid rzucił się do przodu, prawą ręką celując w przegub dłoni Altmüllera i zacisnął

palce na jego broni; w niewyobrażalnie krótkim ułamku sekundy zdążył jeszcze zauważyć ze zdziwieniem, że to amerykański Colt kaliber 45. Niemiec, całkowicie zaskoczony niespodziewanym atakiem, usiłował odwrócić się w siodle, kopiąc jednocześnie nogami boki wierzchowca. Koń zarżał przeraźliwie i wspiął się na tylne nogi, ale Dawid nie puszczał, uczepiony całym ciężarem ciała ręki Altmüllera, aż wreszcie udało mu się ściągnąć go na ziemię. Uderzał dłonią Niemca dopóty, dopóki palce wreszcie się nie rozwarły i Colt potoczył

się w trawę. Kiedy to się stało, opuścił z całej siły swój pistolet na twarz przeciwnika.

Niemiec bronił się zaciekle, usiłując dosięgnąć lewą wolną ręką oczu Spauldinga, kopiąc wściekle kolanami i rzucając się na ziemi, przygwożdżony do niej ciałem napastnika.

- Ty... zdrajco! - wrzeszczał. - Ty i Rhinemann! Zdrajcy!

W blasku księżyca dostrzegł krew na ramieniu Dawida i zaczął szarpać to miejsce.

Spaulding czuł, że dłużej nie znieśie potwornego bólu.

W pewnej chwili Altmüller uderzył go ramieniem w żołądek i kopnął z całej siły, zrzucając na ziemię, po czym zerwał się błyskawicznie na nogi, tylko po to jednak, żeby natychmiast opaść na kolana i zacząć po omacku, gorączkowo szukać swego rewolweru.

Znalazł go.

Spaulding wyszarpnął zza pasa nóż i skoczył, jednym susem pokonując dzielącą ich odległość. Niczym na zwolnionym filmie widział, że lufa Colta zwraca się w jego kierunku, celując czarnym otworem wprost między oczy.

W momencie kiedy pchnięte z ogromną siłą ostrze zagłębiło się w ciało, rewolwer wystrzelił z ogłuszającym hukiem, osmalając twarz Spauldinga; kula przeszła pół cala od jego głowy.

Dawid pociągnął nóż w dół, wzdłuż klatki piersiowej, i tam go zostawił..

Śmiertelny wróg nie żył.

Wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia. Wkrótce będą tu ludzie, konie... i psy.

Dużo psów.

Przeskoczył ogrodzenie i wpadł między drzewa. Biegł na oślep, usiłując rozpaczliwie utrzymać kierunek, który sobie wyznaczył.

Północny wschód.

Tam czekało ocalenie.

Potykał się o kamienie i połamane gałęzie, grzązł w chaszczach, starając się znaleźć w nich jakąkolwiek, najwęższą nawet ścieżkę. Stracił już niemal zupełnie czucie w lewym ramieniu.

Strzelanina ucichła. Jedyne dźwiękami, jakie mu towarzyszyły w ciemności, były nocne odgłosy lasu i szaleńcze bicie jego serca. Walka przy stajni dobiegała końca. Ludzie Rhinemanna mogli skoncentrować się na pościgu.

Utracił sporo krwi; nie wiedział, ile dokładnie, mógł się tylko domyślać. Wiedział

natomiast, że jest coraz bardziej zmęczony. Gałęzie, które odgarniał przed twarzą, wydawały się coraz cięższe, zamieniając się w chwytające go złośliwie macki, łagodne wzniesienia zaś stały się nagle stromymi, niedostępnymi urwiskami, o których sforsowaniu nie było co marzyć bez lin i specjalistycznego sprzętu. Kilka razy ugięły się pod nim nogi i tylko najwyższym wysiłkiem woli zmusił je do posłuszeństwa.

Ogrodzenie!

U stóp niewielkiego pagórka, między drzewami.

Zaczął znowu biec, zataczając się i chwytając, czego popadnie.

Widział je przed sobą.

Ogrodzenie.

Nie wolno mu go dotknąć. Chociaż, może...

Podniósł z ziemi uschnięty patyk i rzucił go na druty.

Trzask i fontanna iskier. Gdyby go dotknął, byłby już trupem.

Spojrzał do góry, na pobliskie drzewa. Zalewający mu czoło pot szczypał w oczy, jeszcze bardziej zacierając i tak już niezbyt ostry obraz.

Któreś z nich musiało się nadawać.

Nie mógł być niczego pewien. Ciemność czyniła zwodnicze sztuczki, wchłaniając fragmenty konarów, a księżycowe cienie dorysowywały nieregularne kontury tam, gdzie w rzeczywistości znajdowała się jedynie pustka.

Nic! Ani jednej gałęzi sięgającej na drugą stronę ogrodzenia, którego nie mógł

dotknąć, bo oznaczało to pewną śmierć! Rhinemann kazał wyciąć po obu stronach parkanu wszystko,

co dawało choćby najmniejszą szansę przejścia górą.

Najszybciej, jak tylko potrafił, pobiegł na północ, w kierunku odległej o mniej więcej milę rzeki.

Może tam.

Ale rzeka, nawet gdyby udało się pokonać dzielące go od niej strome urwiska, znacznie zwolniłaby tempo jego ucieczki, kradnąc mu czas, którego tak rozpaczliwie potrzebował. Poza tym należało się spodziewać, że będą tam czekały uzbrojone patrole.

I wtedy to zobaczył.

Swoją szansę, co prawda tak nikłą, że w pierwszej chwili bał się nawet o niej pomyśleć.

Ucięta w połowie gałąź, stercząca kilka stóp nad napiętymi drutami, dochodząca na odległość kilku stóp od siatki. Była bardzo gruba, więc wykonujący polecenie Rhinemanna człowiek ułatwił sobie zadanie, odpiłowując ją w miejscu, w którym nie nastąpiło to większych trudności. Było zresztą bardzo wątpliwe, czy ktokolwiek zwrócił mu na to uwagę, gałąź bowiem znajdowała się zbyt wysoko, by można było pokusić się o jej wykorzystanie.

Dawid zdawał sobie jednak sprawę z tego, że to jego ostatnia szansa. Ostatnia i zarazem jedyna. Przekonanie to potwierdziły odgłosy, które przyniósł ze sobą kolejny podmuch wiatru: wściekłe, zbliżające się z każdą chwilą ujadanie ogromnych psów.

Wyjął zza paska jeden z pistoletów i przerzucił go na drugą stronę ogrodzenia; dwa takie ciężary w obliczu czekającej go wspinaczki to było trochę za dużo.

Dopiero za drugim razem udało mu się chwycić najniższą gałąź. Odzyskał już czucie w lewym ramieniu, tylko po to jednak, żeby walczyć z promieniującym z niego potwornym bólem. Podciągnął się z trudem, szorując stopami po śliskiej korze, i wywindował się w górę.

Miał wrażenie, jakby ktoś wiercił mu sztyletem w boku.

Ucięta gałąź znajdowała się tuż nad nim.

Przycisnął się twarzą do pnia i wyciągnął do góry obie ręce. W chwili gdy udało mu się chwycić za gruby konar, zaczął wchodzić po pniu, starając się wykorzystać każdą, nawet najmniejszą nierówność kory, po czym zagryzł zęby, szarpnął z całej siły i znalazł się na gałęzi. Ciężko dysząc usiadł na niej okrakiem i oparł się o pień.

Udało mu się. Był w połowie drogi.

Starł się uspokoić oddech i odzyskać ostrość widzenia. Spojrzał w dół, na kolczasty drut wieńczący siatkę; znajdował się jakieś cztery stopy pod nim, ale jednocześnie niemal trzy stopy z przodu. Z miejsca, na którym obecnie siedział, było do ziemi około ośmiu stóp. Jeżeli chce przedostać się na drugą stronę, musi dotrzeć do końca gałęzi i rzucić się ukosem w dół, licząc na to, że jego ciało nie zahaczy o druty i wytrzyma nie amortyzowany niczym upadek.

Ujadanie psów i głosy ludzi wyraźnie się przybliżały. Pościg wkroczył już do lasu zaczynającego się za pastwiskiem. Kiedy Spaulding odwrócił głowę, dostrzegł niewyraźne, migotliwe światełka, przedzierające się przez gęstą zasłonę liści.

Alternatywą była pewna śmierć.

Dalsze zastanawianie się nie miało najmniejszego sensu. To nie była pora myślenia.

Liczyło się tylko działanie.

Uniósł się na nogi, przytrzymując się cienkich, łamliwych gałązek, przesunął się ostrożnie na koniec gałęzi i skoczył, wkładając w odbicie wszystkie siły, jakie mu jeszcze pozostały. W ułamek sekundy później, kiedy mignęły pod nim druty najeżone kolcami, przekręcił się raptownie w powietrzu, starając się zwrócić nogami do pędzącej na jego spotkanie ziemi.

Jednocześnie doświadczył dziwnego, ulotnego uczucia: z jednej strony była to ostatnia rozpacz i determinacja, z drugiej zaś kliniczny, chłodny obiektywizm. Zrobił wszystko, co mógł. Absolutnie wszystko.

Runął na ziemię, przyjmując niemal cały impet uderzenia na prawe ramię, i zaczął

toczyć się z podkulonymi nogami, starając się rozprowadzić fale wstrząsu po całym ciele.

Zawadził o ostre korzenie wystające z gruntu i uderzył z rozpędem w twarde pień drzewa. Przeszywający ból w boku zasygnalizował mu, że rana jest całkowicie otwarta.

Zwinał się, usiłując powstrzymać krwawienie przyciśniętymi dłońmi. Jeszcze nie tak dawno czysty, elegancki sweter był przesiąknięty potem i krwią, zarówno jego, jak dobermana, i cały postrzępiony od licznych upadków.

Ale mimo wszystko udało mu się.

Prawie.

Był już poza terenem Habichtsnestu. Wolny.

Rozejrzawszy się dookoła zobaczył w świetle księżyca pistolet leżący na ziemi. Nie sięgnął po niego; ten, który tkwił za paskiem, powinien mu wystarczyć, a gdyby okazało się inaczej, wtedy nie pomógłby mu nawet drugi.

Od szosy dzieliło go jakieś pół mili. Odczołgał się w pobliskie zarośla, żeby złapać te siły, które w nim jeszcze pozostały. Będą mu bardzo potrzebne.

Ujadanie psów niosło się po okolicy głośnym echem, a okrzyki prowadzących je ludzi dobiegały z odległości nie większej niż kilkaset jardów. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ogarnęła go fala paniki.

Boże, co on robi? Nad czym się zastanawia?

Dlaczego traci czas?

Leży jakby nigdy nic w krzakach, karmiąc się przeświadczeniem, że jest wolny.

Ale czy tak jest w istocie?

Przecież niemal w zasięgu wzroku znajdują się uzbrojeni ludzie i krwiożercze zwierzęta.

W tej samej chwili usłyszał rozkaz, rzucony zadyszczanym, wściekłym, podnieconym głosem:

- Freilassen! Die Hunde freilassen!

Spuścić psy! Myśliwi byli przekonani, że zwierzyna została osaczona, i wysłali psy, żeby rozszarpały ją na strzępy.

Najpierw dostrzegł światła latarek na pobliskim wzgórzu, a potem sylwetki psów, pędzących na złamanie karku po stromym zboczach. Pięć... osiem... dwanaście bestii gnało co sił ku zdobyczy, której zapach wypełniał ich nozdrza. Zbliżały się z każdą chwilą, szczerząc przerażające kły, gotowe zatopić je w ciele wyczerpanym bezowocną ucieczką.

Okropny widok, którego Dawid stał się świadkiem w kilka sekund później, oszołomił go, wprawiając na jakiś czas w stan niemal zupełnego osłupienia.

Cały teren rozjarzył się niespodziewanie niczym migotliwy diadem, a powietrze wypełniły trzeszczące, trudne do opisanego odgłosy elektryczności pożerającej swe ofiary. Psy jeden za drugim wpadały w siatkę, ich krótka sierść natychmiast zajmowała się ogniem, a one wiły się w męce, wysyłając w nocne niebo swój bolesny, śmiertelny skowyt.

Zdezorientowani, przerażeni ludzie zaczęli strzelać, rozbiegając się we wszystkie strony. Niektórzy pośpieszyli na ratunek psom, inni szukali ukrycia, większość rzuciła się do ucieczki.

Dawid wypełznął z krzaków i zataczając się, pobiegł w kierunku szosy. Był wolny!

Habichtsnest okazało się więzieniem dla jego strażników bez drogi ucieczki, ale on był wolny!

Przyciskając dłonie do otwartej rany, biegł w ciemności przed siebie.

Pobocze szosy było wysypane piaskiem i drobnym żwirem. Spaulding wypadł z lasu i runął na ostre, niezliczone kamyczki. Wokół niego wszystko kołysało się i tańczyło, gardło miał

suche jak wiór, a w ustach czuł kwaśny smak wymiotowanego strachu. Uświadomił sobie, że nie jest w stanie się podnieść.

Daleko, z prawej strony, dostrzegł światła zbliżającego się samochodu. Jechał z dużą szybkością, na przemian włączając i wyłączając reflektory...

Sygnał!

Ale on nie mógł wstać. Nie mógł nawet unieść głowy.

I wtedy usłyszał swoje nazwisko, powtarzane przez kilka osób we wnętrzu pojazdu, dobiegające przez otwarte szyby niczym jakaś tajemnicza pieśń:

-...Spaulding! Spaulding! Spaulding...

Samochód już go prawie mijał, a on nie był w stanie nic zrobić!

Sięgnął za pas i wyszarpnął Luger.

Wystrzelił dwukrotnie, z trudem znajdując w sobie dość sił, żeby nacisnąć spust.

Po drugim strzale spowiła go nieprzenikniona ciemność.

Poczuł czyjeś palce, dotykające delikatnie jego rany, i wibrację poruszającego się pojazdu.

Otworzył oczy.

Leżał z głową na kolanach Ashera Felda, który uśmiechnął się widząc, że Dawid odzyskał przytomność.

- Wszystkiego się pan dowie, ale najpierw musi pana pozszywać lekarz. Nie mamy czasu do stracenia.

Dawid uniósł głowę z wysiłkiem; z tyłu samochodu siedział jeszcze jeden, młodszy mężczyzna, który miał na kolanach nogi Spauldinga i pochylał się nad raną w jego boku. W

dłoniach trzymał tampon z gazy i szczypce.

- Prawie nie będzie bolało - powiedział bałkańskim akcentem dobrze znanym Dawidowi. - Dość się pan wycierpiał. Dałem panu znieczulenie.

- Jak to?

- Zwykła nowokaina. Założę panu szwy. Do ramienia wstrzyknąłem panu antybiotyk, nawiasem mówiąc, uzyskany w laboratorium w Jerozolimie. - Młody mężczyzna uśmiechnął

się.

- Co... Gdzie...

- Teraz nie mamy czasu - przerwał mu łagodnie, ale stanowczo Feld. - Znajdujemy się w drodze do Mendarro. Samolot jest gotów do startu. Wszystko odbędzie się zgodnie z ustaleniami.

- Macie plany?

- Znaleźliśmy je przykute do schodów. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się aż takich udogodnień. Myśleliśmy, że będą na tarasie albo na piętrze. Dzięki Bogu, zdążyliśmy się ze wszystkim uwinąć; odwody Rhinemanna przybyły szybko, ale nie dość szybko... Dobra robota, z tymi schodami. Jak to się panu udało?

Dawid uśmiechnął się, usiłując zapanować nad tym, co według doktora „trochę” bolało. Mówienie sprawiało mu sporo trudności.

- Bo nikt... nie chciał tracić planów z oczu. Czy to nie zabawne?

- Cieszę się, że nie opuściło pana poczucie humoru. Będzie go pan jeszcze potrzebował.

- Co... z Jean?

Dawid wykonał ruch, jakby chciał się podnieść, ale Feld przytrzymał go za ramiona, a lekarz za biodra.

- Spokojnie, panie pułkowniku. Ani pani Cameron, ani fizykowi nic nie grozi.

Opuuszczą Buenos Aires pierwszym porannym lotem... Za kilka minut skończy się cisza radiowa. Radary zlokalizują trawler i...

Spaulding uniósł dłoń, nakazując Żydowi milczenie. Musiał głęboko odetchnąć kilka razy, żeby z trudem wyszeptać kilka zdań.

- Skontaktujcie się z bazą marines... Powiedzcie im, że spotkanie ma się odbyć mniej więcej w cztery godziny... od chwili, kiedy trawler opuści Ocho Calle... Ustalcie jego maksymalną prędkość... prześledźcie kurs... wyznaczcie rejon...

- Dobra robota - skinął głową Asher Feld. - Damy im znać.

Lekarz skończył swoje zadanie.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, moje szwy są równie dobre jak te, które założono by panu w Bethesda Center - powiedział swobodnym, przyjacielskim tonem. - A już na pewno lepsze od tych, które miał pan na ramieniu. To jakieś potworne partactwo. Może pan już usiąść, tylko bardzo ostrożnie.

Dawid zdążył już niemal zapomnieć o brytyjskim lekarzu z Azorów - Boże, to było chyba sto lat temu?! - który następnie zebrał tyle krytycznych uwag od swoich kolegów po fachu. Zupełnie niesłusznie, bo wykonał rozkaz, a ten był jednoznaczny: jak najszybciej wyekspediować amerykańskiego oficera poza teren lotniska Lajes.

Usiadł powoli, opierając się na ramionach dwóch ludzi Haganah.

- Rhinemann nie żyje - poinformował ich bez żadnych wstępów. - Możecie przekazać swoim ludziom, że nie będzie z nim już żadnych transakcji.

- Dziękuję - powiedział Feld.

Przez kilka minut w samochodzie panowała cisza. Niebawem pokazały się światła niewielkiego lotniska, przecinające jasnymi smugami nocne niebo.

- Plany znajdują się w samolocie - odezwał się Asher Feld. - Pilnują go nasi ludzie.

Przykro mi, że musi pan lecieć. Byłoby prościej, gdyby zawiózł je sam pilot, ale to, niestety, niemożliwe.

- Przecież po to zostałem tutaj przysłany.

- Obawiam się, że w tej chwili sytuacja nieco się skomplikowała. Wiele pan przeszedł, został poważnie ranny... Powinien pan trafić prosto do szpitala, ale boję się, że trzeba będzie z tym poczekać...

- Naprawdę? - Spaulding uświadomił sobie, że Feld usiłuje mu coś powiedzieć; coś, co nawet nie chciało bez oporów przejść przez gardło temu pragmatycznemu Żydowi. -

Chyba będzie lepiej, jeśli mnie pan wreszcie oświeci...

- Musi pan z tym sobie poradzić, panie pułkowniku - przemówił zdecydowanym tonem Asher Feld. - Otóż... Ci z Waszyngtonu nie spodziewają się, że przyleci pan tym samolotem. Wydali na pana wyrok śmierci...

Generał Alan Swanson, ostatnio pracujący w Ministerstwie Wojny, popełnił

samobójstwo. Ci, którzy go znali, mówili, że ten oficer pełen poświęcenia i patriotyzmu nie wytrzymał obciążenia spowodowanego olbrzymią odpowiedzialnością, a także wysiłku, jakiego wymagała codzienna, katorżnicza praca, dzięki której potężna machina wojenna toczyła się pewnie ku coraz bliższemu zwycięstwu.

Pułkownik Ira Barden zniknął w tajemniczy sposób ze znajdującego się w Fairfax, w stanie Wirginia, wielkiego, pilnie strzeżonego ośrodka Centrali Wywiadu Aliantów. Po prostu zniknął, i już; jednego dnia był, a następnego już nie. Wraz z nim z pancernych szaf ulotniło się sporo ściśle tajnych dokumentów. Największe zdziwienie u tych, którzy wiedzieli o całej sprawie, budziła zawartość owych dokumentów. Niemal wszystkie dotyczyły wysoko postawionych hitlerowców, mających związki z obozami koncentracyjnymi. Z całą pewnością nie były to informacje, którymi interesowałby się zwyczajny zdrajca. Dossier Bardena zostało odesłane do archiwów, rodzina zaś otrzymała zwięzłą informację, połączoną z wyrazami ubolewania, i pułkownika Bardena uznano za ZWA - Zaginionego w Akcji. Dziwne, ale rodzina nigdy nie żądała przeprowadzenia dokładnego śledztwa. I bardzo dobrze...

Szyfrant z Lizbony, nazwiskiem Marshall, odnalazł się w Kraju Basków. Został ranny w jakiejś granicznej potyczce i następnie wykurowany przez partyzantów. Doniesienia o jego śmierci okazały się grubo przedwcześnie, dokładnie tak, jak zaplanowano, niemieckie służby wywiadowcze bowiem przejawiały duże zainteresowanie jego osobą. Po pewnym czasie wrócił jednak do Lizbony i podjął na nowo swoje obowiązki. Wysłał stamtąd list do swego starego przyjaciela, który, jak przypuszczał, mógł niepokoić się jego losem. Przyjacielem tym był podpułkownik Dawid Spaulding, list zaś zawierał dosyć niezwykłą informację: Marshall donosił w nim, że nie ma za złe Spauldingowi jego wakacji w Ameryce Południowej, on także bowiem miał w tym czasie urlop. W przyszłości powinni jednak wspólnie planować tego rodzaju przedsięwzięcia, jak na prawdziwych przyjaciół przystało.

Był także inny szyfrant, tym razem w Buenos Aires: Robert Ballard. Jego akcje w Departamencie Stanu zdecydowanie wzrosły, okazało się bowiem, że wykrył niesamowity błąd w depeszy otrzymanej z Ministerstwa Wojny. Dzięki swojemu wielkiemu doświadczeniu i osobistej odwadze nie tylko jej nie potwierdził, ale także doprowadził do szczęśliwego wyjaśnienia całej sprawy. Z niewiadomych przyczyn w depeszy znalazło się zdanie o skazaniu na śmierć podpułkownika Dawida Spauldinga, oskarżonego o zdradę w obliczu wroga. Błąd powstał w którejś z komórek Ministerstwa Wojny, Departament Stanu zaś, jak zwykle, nie posiadał się z radości mogąc wytknąć to jego kierownictwu.

Doktor Eugene Lyons wrócił do Pasadeny. W jego życiu zaszły spore, żeby nie powiedzieć - ogromne zmiany. Otrzymał lukratywną posadę w laboratoriach Sperry Randa, jednych z najlepszych w całym kraju, a wkrótce potem poddał się operacji gardła, w szpitalu w Los Angeles. Prognozy: sześćdziesiąt do czterdziestu na jego korzyść, pod warunkiem, że nie zabraknie silnej woli. Nie zabrakło... I jeszcze jedno: Lyons uzyskał pożyczkę bankową, dzięki której podjął budowę

niezwykłego w kształcie, utrzymanego w stylu śródziemnomorskim domu... w leżącej na uboczu części Doliny San Fernando...

Pani Jean Cameron wróciła na Wybrzeże Wschodnie do Maryland - na dwa dni.

Departament Stanu, za osobistym wstawiennictwem ambasadora Hendersona Granville'a, przygotował specjalny list; choć jej status był daleki od oficjalnego, to jej obecność w ambasadzie okazała się nadzwyczaj potrzebna, jeżeli nie wręcz nieodzowna. Stanowiła łącznik między najróżniejszymi frakcjami i siłami, działającymi na terenie tego neutralnego miasta, co udawało się jej głównie dlatego, że nie należała do oficjalnych kół

dyplomatycznych. Urzędnicy z Departamentu Stanu postanowili wręczyć jej ten list podczas kameralnej, przygotowanej specjalnie z myślą o niej uroczystości, której splendoru miała dodać obecność jednego z ważniejszych podsekretarzy stanu. Jednak ku ich niemałemu zdziwieniu okazało się, że pani Cameron nie ma w jej rodzinnym domu w Maryland; była w Waszyngtonie, w hotelu Shoreham. W tym samym, w którym zatrzymał się także Dawid Spaulding. Nie wyglądało to na zbieg okoliczności, ale nie mogło w niczym zmienić nadzwyczaj przychylnego, życzliwego nastawienia Departamentu Stanu. Na pewno nie w tym miejscu i nie w tym czasie.

Pułkownik Dawid Spaulding spojrział w górę na jasnobrązowe, kamienne filary, zdobiące wejście do Ministerstwa Wojny. Poprawił swój wojskowy płaszcz, okrywając nim dokładniej rękę zwisającą na temblaku. Ostatni raz ma na sobie mundur. Ostatni raz wchodzi do tego budynku. Szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w górę po schodach.

To zabawne, myślał. Wrócił już prawie trzy tygodnie temu i od tego czasu całymi dniami i nocami myślał o tym, co dzisiaj powie. Na początku czuł wściekłość, odrazę i żal za straconym bezpowrotnie czasem. Ale życie toczyło się naprzód i w jakiś tajemniczy sposób te gwałtowne emocje osłabły, żeby wreszcie zamienić się w zmęczenie i wyczerpanie. Chciał z tym jak najszybciej skończyć i wrócić do życia, w którym obowiązują inne wartości.

Gdziekolwiek.

Z Jean.

Wiedział doskonale, że ludzi, kryjących się za tą operacją „Tortugas”, nie dosięgnie słowami, one bowiem, podobnie jak godność i sumienie, nie miały dla nich najmniejszego znaczenia. Bywały chwile, kiedy nie miały również i dla niego... To także było jedno z ich przestępstw. Ukradli... poczucie ludzkiej przyzwoitości. Tak wielu. Za tak niewiele.

Zostawił płaszcz w sekretariacie i wszedł do niewielkiej sali konferencyjnej. Byli tam wszyscy. Ludzie odpowiedzialni za „Tortugas”.

Walter Kendall.

Howard Oliver.

Jonathan Craft.

Żaden nie wstał. Żaden się nie odezwał. Wszyscy wpatrywali się w niego z uczuciem stanowiącym mieszaninę strachu i nienawiści. Tych uczuć często nie sposób było od siebie oddzielić.

Byli gotowi walczyć, protestować i zaprzeczać. Dyskutowali już na ten temat i doszli do wspólnych wniosków.

Jakież to proste, pomyślał Dawid.

Stanął przy końcu stołu, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej garść diamentów. Rzucił je na twarde, lśniący blat, małe kamyki potoczyły się z hałasem.

Siedzący za stołem ludzie od operacji „Tortugas” patrzyli na nie w milczeniu, ale zaraz przenieśli wzrok na twarz Spauldinga.

- To są diamenty Koeniga - powiedział Dawid. - Narzędzia dla Peenemünde.

Chciałem, żebyście je zobaczyli.

Howard Oliver wydał z siebie głośnie, zniecierpliwione westchnienie i odezwał się ze starannie wystudiowaną protekcjonalnością:

- Doprawdy, nie mamy najmniejszego pojęcia, co...

- Wiem - przerwał mu zdecydowanym tonem Dawid. - Jesteście wszyscy bardzo zajęci i tak dalej... W takim razie darujmy sobie niepotrzebną gadaninę. Zresztą wy w gruncie rzeczy i tak nie musicie nic mówić. Macie tylko słuchać. Będę się streszczał. Później, jeżeli uznacie to za stosowne, bez trudu możecie mnie odnaleźć.

Sięgnął lewą dłonią do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył z niej zwyczajną, szarą kopertę. Była bardzo bardzo gruba i zapieczętowana. Położył ją przed sobą na stole, po czym ciągnął dalej:

- Oto cała historia „Tortugas”: od Genewy do Buenos Aires, od Peenemünde do Ocho Calle, od Pasadeny do Terraza Verde. To obrzydliwa historia. Skłania do sformułowania pytań, które chyba na razie nie powinny być zadawane. Może nawet nigdy. Przez wzgląd na troskę o to, żeby świat pozostał jednak normalny. Chociaż trochę.

Ale to zależy od was przy tym stole... Istnieje kilka egzemplarzy tego... oskarżenia.

Nie powiem wam, gdzie są, a wy nigdy nie zdołacie ich odnaleźć. Ale istnieją, możecie mi wierzyć. I zostaną ujawnione w sposób, który zaowocuje ogromnymi, bardzo podobnie brzmiącymi nagłówkami gazet w Nowym Jorku, Londynie i Berlinie. Chyba, że zrobicie dokładnie to, co wam powiem...

Proszę nie protestować, panie Kendall, to nie ma najmniejszego sensu... Wojna została wygrana. Walki jeszcze będą trwały jakiś czas, ale wynik jest już przesądzony. Peenemünde nie próżnowało - przeczesywali ziemię wszerz i wzdłuż, i udało im się wyprodukować kilkaset rakiet. Zginie kilka tysięcy ludzi. Wielokrotnie mniej, niż się spodziewali i niż na to liczyli. Natomiast nasze samoloty zrównają z ziemią połowę Niemiec i my zostaniemy zwycięzcami. Tak właśnie powinno być.

Po czasie zabijania nadejdzie czas leczenia ran, któremu wy, panowie, poświęćcie resztę swojego życia. Zerwiecie wszelkie powiązania ze swoimi firmami, sprzedacie cały swój majątek, pozostawiając tylko tyle, ile jest niezbędne do życia, całą resztę zaś przekażecie anonimowo na cele dobroczynne. Sami oddacie swe niemałe talenty do dyspozycji rządu, w zamian za zwyczajne, rządowe pensje.

Do końca swoich dni będziecie szarymi, choć bardzo sprawnymi urzędnikami. Nikim więcej.

Macie dwa miesiące na spełnienie tych żądań. Ponieważ niedawno skazaliście mnie na śmierć, dodam tylko, że nieodłączną częścią naszej umowy jest moje osobiste bezpieczeństwo. Moje i moich bliskich, rzecz jasna.

Wreszcie chcę panów poinformować, jako że pomyślałem sobie, iż być może będziecie chcieli włączyć jeszcze kilka osób do naszego kontraktu, bo dowody zawarte w tej kopercie świadczą wyraźnie o tym, że nie działaliście sami... Możecie wymienić tyle nazwisk, ile chcecie. Świat znajduje się w tak oplakany stanie, że przyda mu się każda pomoc.

Spaulding podniósł kopertę i upuścił ją na blat stołu. Głośne klapnięcie papieru o drewno sprawiło, że wszyscy na nią spojrzeli.

- Radzę się dobrze zastanowić nad wszystkim - dodał Dawid na zakończenie.

Trzej mężczyźni siedzieli w milczeniu, wpatrując się w kopertę leżącą na stole. Dawid odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Waszyngtoński marzec... Kąśliwy, zimny wiatr i ani odrobiny śniegu.

Pułkownik Dawid Spaulding przeszedł na drugą stronę Wisconsin Avenue, kierując się w stronę hotelu Shoreham. Omijał trąbiące na niego samochody, nie zdając sobie sprawy, że poły jego nie zapiętego płaszcza furkoczą na wietrze, i nie czując przenikliwego zimna.

Już po wszystkim. Co prawda pozostaną głębokie blizny, ale z czasem...

U boku Jean...